

K. MIKSZYTA

•  
DZIWNE  
MALZENSTWO



CZY  
TEL  
NIK

Kálmán Mikszáth  
DZIWNE MAŁŻEŃSTWO

OB

41357



czytelnik

OB  
41. 357

KÁLMÁN MIKSZÁTH



DZIWNE  
MAŁŻEŃSTWO

CZYTELNIK

„DZIWNE MAŁŻEŃSTWO”  
KÁLMÁNA MIKSZÁTHA (1847—  
1910) TO NIEZWYKŁA I ROMAN-  
TYCZNA, CHOĆ OPARTA NA  
PRAWDZIWYCH WYDARZE-  
NIACH, HISTORIA WYMUSZO-  
NEGO PODSTĘPEM ŚLUBU, SEN-  
SACYJNEJ ROZPRAWY SĄDO-  
WEJ, SFINGOWANEGO POGRZE-  
BU I WIELKIEJ MIŁOŚCI, KTÓ-  
REJ UDAŁO SIĘ SZCZĘŚLIWIE  
PRZEWYCIEŻYĆ PRZESZKO-  
DY.



MIKSZÁTH  
DZIWNE MALŻEŃSTWO

OSZK

Országos Széchényi Könyvtár



KÁLMÁN MIKSZÁTH

# DZIWNE MAŁŻEŃSTWO

PRZEŁOŻYŁ STANISŁAW SREDNICKI

C Z Y T E L N I K • 1967

TYTUŁ ORYGINAŁU WĘGIESKIEGO  
KÜLÖNÖS HÁZASSÁG

Obwolutę i okładkę projektował  
MARIAN STACHURSKI

OSZK

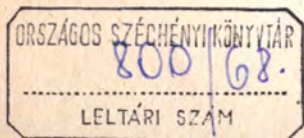
Országos Széchényi Könyvtár



OB 41.357

„Czytelnik”. Warszawa 1967 Wydanie I  
Nakład 10 280 egz. Ark. wyd. 20,5; ark. druk. 29,25.  
Papier druk. m/gł. kl. IV, 70 g, 82 × 104 z fabryki  
w Kluczach. Oddano do skład. 18 IV 66. Podpisano  
do druku 1 III 67. Druk ukończono w kwietniu 1967 r.

Krakowska Drukarnia Prasowa  
Zam wyd. 558; druk. 1994/66. R-044-320. Cena zł 25,—  
Printed in Poland



1967 e06390/32

*Rozdział pierwszy*

## STUDENCI W OLASZRÖSZKE

Opisuję tę historię według pewnej kroniki, której karty niezbyt jeszcze pożółkły ze starości, podając wszystkie fakty kolejno, tak jak się wydarzyły. Ten dokument wydał mi się na tyle wiarygodny, iż uznałem za zbyteczne zmieniać nazwiska bohaterów lub interpretować wydarzenia upiększając je literacko i fantazując. Ten, kto zapisał ową historię, nie miał zwyczaju okłamywać innych. Po cóż więc miałby oszukiwać siebie samego. Jeśli każde jego słowo zasługuje na zaufanie, i ja powinienem przekazać całą prawdę...

Opisana historia rozpoczyna się w kronice od tego, że osiemdziesiąt pięć lat temu, w Wielki Czwartek, dwaj studenci akademii sárospatackiej przybyli do karczmy we wsi Olaszrösške. Wybrali się do sąsiedniego komitatu\*, gdzie w miejscowości Bornóc zamierzali spędzić ferie świąteczne, a do owej karczmy przywędrowali „per pedes apostolorum” \* w godzinach poobiednich.

W owych czasach studentom nie wiodło się tak dobrze jak teraz. Wśród pomocy szkolnych pierwsze miejsce zajmowała trzciniowa pałka profesora, a jako środek komunikacji służyła para własnych nóg. Jeśli chodzi o odżywianie, to w owych czasach w brzuchu studenta burczało z głodu głośniejsz i mocniej niż teraz.

---

Objaśnienia znajdują się na końcu książki.

Gra w „dwa ognie” przyczyniała się do wzrostu „etye-petye”, jak wówczas nazywano po węgiersku apetyt. Nasi studenci, obaj brodaci i wąsaci, poprosili karczmarzę o coś do jedzenia. Zrobili kwaśną minę, gdy ta, pykając z fajeczki, oznajmiła, że niestety już nic nie ma.

— No cóż, sero venientibus ossa \* — wtrącił karczmarz, dając do zrozumienia, że jest obeznany z „kulinarną” łaciną. — Szkoda, że nie przysłiście panowie o godzinę wcześniej. Miałem taki gulasz, że i sam palatyn \* wylizałby talerz.

— Może jednak przygotujecie nam, matko, coś na prędkę do zjedzenia — zwrócił się do karczmarki jeden ze studentów, rzucając na nią błagalne spojrzenie, ona zaś, wypuściwszy z fajki kłęb dymu, zgodziła się wielkodusznie:

— Mam tutaj parę kurczaków — na podwórzu. Jeśli je sami złapiecie, zaraz wam upiekę.

Czemu nie, dlaczego nie mieliby złapać? Sárospatacki student — jeśli trzeba — potrafi złapać nawet diabła (właśnie tego samego roku Pál Molnár z Levelek schwytał jakiegoś upióra), a przecież, wiadomo, że upiór właściwie nie ma ciała. Za co go trzymać? Z kurczakiem łatwiejsza sprawa! Co prawda przed Wielkanocą kurczaki są jeszcze małe. Tak czy owak studenci postanowili udać się na podwórko, gdzie urządzili prawdziwe polowanie. Kurczęta poczuły niebezpieczeństwo, rozbiegły się i pochowały w różnych zakamarkach, kurniach i za sągami drzewa.

Na samym środku podwórza stał jeden jedyny pojazd: lekki węgierski wózek z siedzeniem obitym skórą. Uprząż była zluzowana, a konie wpakowały łby po same uszy do swego nieodłącznego i wiernego towarzysza, którego ludzie nazywają prozaicznie workiem. Słychać było tylko monotony chrzęst zucia.

W tyle wózka siedział rozparty szczuplutki, jasnowłosy, niebieskooki chłopaczek i grzał się w słońcu.

Gdy uprzednio bryczka wjeżdżała na podwórze, koła zawadziły o rosnące tuż przy bramie drzewo migdałowe i bladoróżowe kwiaty posypały się wprost na chłopca. Pozbierał je i teraz bawił się nimi. Oglądał z bliska i obrywał płatki. Stangret, krzątający się przy koniach, raz po raz zwracał się do niego:

— Może Lajoska zejdzie!

— A po co?

— Nie napiłby się wina?

— Nie.

Jednakże to, co się w chwilę potem zaczęło dziać na podwórzu, wyraźnie ożywiło i zaciekawiło chłopca. Nic dziwnego, nie tak łatwo spotkać studenta z Sáros-pataku, a tu jest ich aż dwóch i do tego uganiają się za kurczętami!

Lajoska zeskoczył z bryczki i zaczął wodzić bystrymi oczami za każdym ruchem studentów, którzy gonili stado kurcząt, starając się zagnać je w jakiś kąt, gdzie łatwiej byłoby je schwytać lub ogłuszyć kijem.

Wkrótce zebrała się spora gromadka ciekawskich gapiów, żadnych tak wesołego i niezwykłego widowiska.

Zza płotu patrzyli sąsiedzi, a dwie zalotne dziewczuchy, Ágnes i Panni, przerwały zmywanie w kuchni: miały one więcej niż ktokolwiek inny powodów do zainteresowania się dwoma przystojnymi paniczami. Ágnes знаła nawet jednego z nich — tego szczuplejszego. (Ojciec jego miał wielki majątek w tej okolicy).

Hałas na podwórku przed karczmą ściągnął na siebie uwagę Gyuri Szabó, który był hajdukiem \* u starosty powiatu. Szabó kręcił się często w pobliżu karczmy, a zmuszał go do tego jakiś czart, mieszkający w jego nienasyconym gardle. Jednak tym razem hajduka przyciągnął chichot i zamieszanie na podwórku. Grzechem

byłoby przepuścić takie widowisko i nie popatrzeć, jak to głodni studenci łapią kurczęta. Oho! Już jest! Ech, przeklęty ptak, znów się wymknął z rąk.

Rozległy się śmiechy, posypał się grad drwin. No, proszę, niczego nie umieją ci studenci! Tej sztuki nie można się nauczyć od imię pana profesora Kövyego. Na tych sprawach znają się lepiej lis albo kuna.

Z karczmy wyszedł sam gospodarz, również ćmiąc fajkę, jak i jego żona. Byli zresztą do siebie zadziwiająco podobni. Różnili się tylko tym, że jedno z nich nosiło spodnie, a drugie spódnicę. A może także sposobem trzymania cybucha: on w lewej ręce, a drugą wsadził w kieszeń spodni, ona trzymała cybuch w prawej, a drugą opierała na biodrze.

— Ej! Ostrożnie z kijami, panowie! Uważajcie, nie przetrąćcie ulubionego koguta mojej żony. Bo się wam od niej dostanie! Ej, Napoleon! Ratuj się, Napoleon!

Pomiędzy biegającymi na podwórku kurami spacerował wielki kogut z ogromnym pióropuszem, przypominającym swym jaskrawym upierzeniem bażanta. Na długim białym piórze, sterczącym z jego wspaniałego ogona był namalowany napis: „Vivat Napoleon Bonaparte!”.

— Łapcie tę rudą albo tę białą — wołał karczmarz. — Patrzcie, tam biegnie, do kurnika!

Widząc, że wszelkie starania studentów nie dają rezultatu, mały Lajos wyjął z kieszeni procę, założył kamyk, zatoczył nią kilka razy w powietrzu i puścił jeden koniec rzemyka. Kamyk jak strzała świsnął w powietrzu i ugodził wprost w mały, głupi łebek kurczęcia. Kurczę zakręciło się w miejscu i upadło.

Może temu kurczakowi poszczyliło się bardziej niż jego opierzonym braciom. Przynajmniej nie sążone mu było ani okuleć, ani umrzeć pod nożem kucharza. Zgi-

nał chwalebna i błyskawiczną śmiercią na polu walki w czasie wielkiej wojny studentów z kurzym plemieniem.

— Valde bene!\* — zawołał z uznaniem karczmarz. — Tak mógłby strzelić tylko Bóg albo pan Döry. (W tych czasach Wilhelm Tell nie figurował jeszcze na kartach do gry jako walet kier, bo w przeciwnym razie karczmarz znałby tę postać).

Chłopiec założył do procy drugi kamyk, wycelował i biała kurka także szybko wyzionęła ducha.

— Więcej już nie trzeba? — spytał zarozumiale.

Ton wyższości brzmiał w jego głosie i wydawał się aż śmieszny. No, no, proszę! Taki smyk, a zawstydził dwóch dorosłych studentów: „Więcej nie trzeba”?

Na szczęście nie dosłyszeli tego, nawet nie zwrócili na chłopca uwagi. Student prawa z akademii sárospatackiej to zbyt ważna osoba, żeby miał się interesować jakimś donatystą\*.

Prędzej lew dojrzy mrówkę pod nogami, niż student z Sárospataku zauważy uczniaka. To nie do pomyślenia. Istnieją takie nieporównywalne wielkości na świecie.

Mimo wszystko jeden ze studentów, ten puciołowaty, zbliżył się do niego i poklepał po ramieniu:

— Ładnie to zrobiłeś. Zuch z ciebie! Rośnij zdrowo, bracie!

Tyle tylko powiedział, ani słowa więcej. Jednakże rada ta, być może, przydała się chłopcu, bo rzeczywiście wyrósł zdrowo, tak że gdy w dwadzieścia czy trzydzieści lat później ów student spotkał go znowu i rozpoznał w nim wyśmienitego strzelca, nie wierzył własnym oczom.

— Jak się ten chłopiec nazywa? — spytał teraz woźnicę, który już właśnie zabierał koniom worki z obrokiem.

— Lajoska Kossuth\* — odpowiedział woźnica.

— Zuch mały! — powtórzył student. (Po raz pierwszy, ale nie po raz ostatni słyszał to imię i nazwisko) — Uczeń?

— Aha!

— Z jakiej szkoły?

— Z Újhely.

W tym samym czasie drugi student, nieco starszy, delikatny, wytworny, o subtelnych rysach twarzy, trochę nieśmiały, podniósł zabite kurczaki i chciał zanieść uroczyście karczmarce, gdy nagle Ágnes wyrwała mu je z ręki i powiedziała:

— Niech pan da, jasnie panie hrabio, mam właśnie gorącą wodę, zaraz oskubię.

W kuchni od razu zaczęła się krzątanina.

Wesoło zasyczał tłuszcz na brytfannie, zachrzęściły suchary w moździerz, zatrzeszczały skorupki od jajek — krótko mówiąc, zabrzmiała najmilsza dla uszu głodnych muzyka, wróżąca rychłe zaspokojenie. Ale los chciał inaczej. W księdze przeznaczeń zostało widać napisane, że coś przeszkodzi obiadowi studentów. Nie tak wiele do tego trzeba: czasem na przykład najzwyczajniejszy kot może ściągnąć z kuchni pieczyste. W rękach losu taki kot to wielka siła, mogąca zmienić bieg wydarzeń. Tym razem na przeszkodzie stanął nie kot, lecz pan starosta, którego Opatrzność wykorzystuje zazwyczaj do czynienia ludziom znacznie gorszych kawałów.

Stanowisko starosty powiatu zajmował wówczas baron István Döry. W chwili, kiedy w karczmie zabierano się do pieczenia kurcząt, siedział on na tarasie swego pałacu i gawędził z przedstawicielami wsi Bénye — ze starym wójtem Mártonem Zsombékiem i z członkami rady gminnej: Gergelyem Koppantó i Mihályem Szabó, którzy stali przed nim z obnażonymi na znak szacunku głowami.

István Döry był człowiekiem w podeszłym wieku i miał dziwaczną postać: wielki brzuch i mała główka na chudej, cienkiej szyi czyniły go podobnym do wionczeli. Nikt by nie uwierzył, że Döry był kiedyś żołnierzem. A przecież prawie całe swe życie służył w wojsku i miał na sumieniu niejedną sprawkę; służył zresztą nie tylko u Jego Cesarskiej Mości Franciszka \*, ale i gdzie indziej. Zwiedził wiele krajów, pływał po różnych morzach, lecz nigdzie nie pozostawił po sobie dobrych wspomnień. Był nawet i u Murzynów. Stary kamerdyner barona Döryego opowiadał, jak to raz jego pana omal nie zjedli ludożercy. Bardzo możliwe, że tak właśnie było, bo zdążyli go już oskubać (do Olaszröszke wrócił kompletnie łysy). Dlaczego jednak dzicy go nie zjedli, nie wiadomo. Na wszelki wypadek powinno się tego raczej żałować, gdyż nie siedziałby nam teraz na karku.

Krótko mówiąc, Döry żył i wzbogacił się kosztem ludu. W tej chwili siedział na tarasie i wysłuchiwał przybyłych do niego przedstawicieli wsi Bénye. Oznajmili mu, że wino z całej gminy zostało sprzedane: przyjechali kupcy z Bańskiej Bystrzycy i wykupili od razu dziesięcioletni zapas, nagromadzony w piwnicach. Sporo dźwięczącego złota dali za złoto w płynie. A teraz najodpowiedniejszy czas na sprzedaż tokaju.

— Przecież w tym roku wybrali nowego sułtana w Konstantynopolu, a mówią, że nowy sułtan żeni się i weźmie sobie, z przeproszeniem, trzysta żon! Taki rozpustnik! A więc odbędzie się trzysta uczt weselnych, jedna po drugiej, no to i wina popłynie sporo.

— Głupiście, Zsombék — odrzekł śmiejąc się baron. — Przecież Turcy nie piją wina.

— Nie trzeba im wierzyć, proszę jaśnie pana.

— Ile zapłacili za wino?

— Okrągłe dwa tysiące forintów.

— Breee! — zawołał Döry (ten wykrzyknik oznaczał w ustach barona najwyższy stopień zdziwienia. Nawet żaby okradał. Skoro nie mógł nic innego, zapożyczył od nich rehotanie.) — I coście zrobili z taką furą pieniędzy?

— Schowaliśmy w domu, w bezpiecznym miejscu.

— No — oburzył się starosta. — Nie lepiej to było złożyć wszystko do żelaznej skrzyni komitatu? Tam byłoby strzeżone.

Wtedy odezwał się Gergely Koppantó, którego niepostrzeżenie szturchnął łokciem wójt:

— Ale my uważamy, jasnie panie, że jeśli wysoki komitat coś połknie, to nigdy nie wypluje z powrotem.

— Jak wy śmiecie odzywać się w ten sposób o władzach komitatu! — krzyknął na niego baron. — Głupio zrobiliście! Wiecie przecież, że w Bénye jest mnóstwo złodziei. Ukradliby ostatnią kroplę oleju nawet z bezdennej dzbana biblijnej staruszki. Ale stara Sybilla była na tyle mądra, że nie trzymała swojego garnka z olejami w Bénye. Zresztą, w całej okolicy nie lepiej! Grasuje tam rozbójnik Janosik z jedenastoma kamratami. Ten wie wszystko. W ubiegłym tygodniu przysłał z lasu swojego człowieka do mego kuma Antala Dókusa z żądaniem, aby mu dał dwa półcie słoniny i nowe buty. Dókus posłał słoninę, a jeśli chodzi o buty, kazał powiedzieć, że żadnych nowych nie ma. Wówczas Janosik oznajmił, żeby z nim nie żartować, bo przecież nowe buty leżą w sypialni Dókusa na kanapie. I to się zgadzało. W południe przyniósł je z Újhely cygan-listonosz razem z blaszaną skrzynką do listów, a służący Dókusa, nic nie mówiąc swemu panu, położył buty na kanapie. Powiedzcie sami, czy można w naszych czasach trzymać pieniądze w domu?

— Ale my swoich pieniędzy dobrze pilnujemy — broił się wójt, poprawiając grzebień podtrzymujący mu

włosy. — Dniem i nocą stoi strażnik przed gminą. Jeden na zewnątrz, drugi wewnątrz.

Dwaj pozostali delegaci również potwierdzili, że straż, uzbrojona w widły, stoi wewnątrz budynku i przed nim.

Baronowi to nie wystarczało i na ich ważkie argumenty znajdował jeszcze bardziej przekonujące.

— To jeszcze nic nie znaczy, zrozumieliście? Strażnik to także człowiek. Można go namówić, można upić, kobieta może mu zabrać serce, a jeśli serca nie ma na miejscu, to i sumienie się chwieje.

Márton Zsombék uśmiechał się w zamyśleniu.

— Pomyśleliśmy i o tym.

— Jak to? — zdziwił się Döry.

— Hm — chrząknął wójt i obejrzawszy się, czy nikt nie podsłuchuje, mrugnął porozumiewawczo jednym okiem. — Przecież pieniądze schowane są wcale nie tam, gdzie stoi straż, tylko zupełnie gdzie indziej.

Uśmieł się baron z tej chłopskiej przemyślności i odprawił z Bogiem przedstawicieli wsi. W tym samym czasie przechodził tamtędy hajduk. Baron Döry lubił pogawędzić z ludźmi i był bardzo wszystkiego ciekawy, toteż od razu wszczął z nim rozmowę:

— Jakie nowiny we wsi, bracie? Gdzieś był, coś widział?

— Widziałem dwóch studentów w karczmie. Łapią kurczaki na podwórzu.

— Kurczaki? Cóż to, zamierzają je zjeść na surowo?

— Nie, karczmarka pozwoliła im złapać kurczęta i obiecała, że je upiecze. Studenci głodni jak wilki. To paniczne. Jeden nawet hrabia.

— Breeee! — zawołał żywo baron. — Nie wiesz, jak się nazywają?

— Nie, nie wiem.

— No to biegnij do karczmy i ściągnij ich do mnie na obiad.

Doczesne szczątki kurcząt pływały już we wrzącym tłuszczu, który syczał gniewnie, pryskał i tworzył bąble, gdy wtem do karczmy wszedł hajduk i oznajmił, że jasnie wielmożny pan baron Döry zaprasza studentów do siebie, ale niech się pośpieszą, bo w pałacu już nakrywają do stołu.

Studentów nietrudno skusić obietnicą smacznego obiadu; obaj gotowi byli udać się od razu z hajdukiem do barona, ale przedtem chcieli załatwić dyplomatyczną sprawę z karczmarzem, żeby nie obraził się za to, iż odchodzą.

— No, to przecież jasne! — rzekł karczmarz. — Oczywiście, że u barona obiad będzie wyśmienity, a na pewno lepszy od mojego.

— Co prawda, to prawda! Ale jednak, ile jesteśmy winni za kurczęta?

— Kto nie je, ten nie płaci — odparł gniewnie karczmarz.

— Ale przecież kurczęta są zabite i wy ponieśliście straty.

Na te słowa karczmarz zmieszał się i zarumienił. Potem pogładził się po brzuchu i nie bez urazy powiedział:

— Za kogo mnie bierzecie, panowie? Czyż ja przypominam w czymkolwiek jakiegoś chuderlawego krawca? Ja, moi drodzy, zjadam w ciągu dnia trzy, cztery obiady. Mogę i tę parkę kurcząt także spałaszować. Potrzeba mi tylko do nich małosolnych ogóreczków.

Jakiż to grzeczny był wówczas świat! Szkoda, że już nie wróci!

Po załatwieniu sprawy z gospodarzem studenci pożegnali się z karczmarką. Ona zaś rozczuliła się tak, jakby rozstawała się z najbliższymi znajomymi, i wzięła od nich słowo, że w powrotnej drodze odwiedzą ją z ca-

łą pewnością. Do tego czasu, dodała, podrośnie całe stado nowo wylęgłych kurcząt.

Po pożegnaniu studenci udali się do pałacu, którego dach czerwienił się między drzewami.

Boże miłosierny! I pałace w tych czasach także były inne. Surowa wojowniczość tchnęła od wznoszących się dumnie białych murów. Już od bramy ciągnęła się aleja wysmukłych topól, stojących szeregiem jak żołnierze na paradzie, na podwórku dumnie spacerował paw, wlokąc za sobą ciężki tren wspaniałego upierzenia. Wszystko dookoła było przepojone ciszą i majestatem. Stuletnie dęby nie dopuszczały do parku skrzywienia wozów chłopskich, przejeżdżających drogą. A w okresie przedwiośnia, wówczas gdy dęby nie przyoblekły się jeszcze w zielone listowie i gdy powiał wiatr, stukały ich nagie gałęzie jedna o drugą — tak, tak, tuk, tuk — zdawało się, że to nie gałęzie drzew uderzają o siebie, ale że gdzieś drogą maszerują kuruce Rákócziego.\*

O, Zemplén, o, Zemplén! Błogosławiona jest każda piędź twojej ziemi! Błąkają się po niej cienie bohater-skich kuruców. Nie, oni nie zniknęli całkiem. Oto rozłożyli się obozem w dolinie, w cieniu niewidocznych namiotów. Ziemia po dziś dzień należy do nich, a nie do tych, którzy na niej mieszkają. Żywi mają jeden tylko cel przed sobą — doczekać się wezwania umarłych bohaterów. Każdy krzak, każda piędź ziemi budzą wspomnienia o nich. Oto gdzieś słyhać rzenie koni. Co to? Widzisz jakiś ślad? Czy tu nie stapał złoty but? Tak, tak, oni są tutaj! Wynurzają się z mgły, przesuwiają między drzewami, ukazują przy źródłach. Niegdyś mitologia zaludniała lasy i strumienie faunami, najadami, koboldami. Chrześcijaństwo wyгнаło ich wszystkich. Ziemia opustoszała, ach, jakże opustoszała! I tylko na tym małym skraweczku odrodził się znów stary pogański świat, zaludniony jednak nie przez brzydkich

faunów, lecz przez wspaniałych bohaterów. Żyją tu, chodzą, wśród szeptów lasu słyhać ich głosy — oni nie mogą, nie powinni zniknąć całkowicie! Albowiem — gdyby kiedykolwiek przestali istnieć, dla żywych byłoby to równoznaczne ze śmiercią.

A te pałace, te dwory! Wędrowcze, jeśli zobaczysz gdzieś ich stare mury, zatrzymaj się i obnaż głowę! Nie ze względu na obecnego właściciela: ten, być może, nie zasługuje na to — gra w karty, pali fajkę, czka z przedzenia. Ale dwór! Ma wprowadzić gospodarza, lecz już dawno przestał być gniazdem rodowym dawnego właściciela, a obecny, być może, nie dalej niż wczoraj kupił go zaocznie namówiony przez jakiegoś sprytnego pośrednika, a jutro pośpieszy go sprzedać, jeśli będzie mógł na tym zarobić.

Starych posiadłości nie należy utożsamiać z nazwiskiem obecnego ich właściciela — ale trzeba pamiętać o tych, którzy mieszkali tu przedtem, i o tych, którzy będą mieszkali tu kiedyś. Stąd ciągną się nici, z których tajemnicze czółenko losu tka na warsztacie czasu płótno historii.

A jak dobrze żyją sobie mieszkańcy tych dóbr! Gotuje się i zjada takie mnóstwo najrozmaitszych potraw, że kominy kuchenne poczerniały od sadzy. A także, co tu ukrywać, niemało potu chłopskiego zrosiło te pola — po to, ażeby z kuchni dworskiej dniem i nocą buchał dym. Komin kuchenny to chciwy grabieżca! Ale za to jaka grzeczna jest brama! I może dlatego komin staje się grabieżcą, iż bramy są zawsze szeroko otwarte dla każdego. Lecz otwierały się one nie tylko, żeby wpuścić gościa. Czasami po to, aby kogoś wypuścić. Gdy za ogrodzeniem rozlegał się głos trąby bojowej lub przejeżdżał jeździec na koniu z okrwawionym mieczem — wtedy na siodło najpiękniejszego wierzchowca wskakiwał najdzielniejszy członek rodziny i brama skrzypiała na sta-

rych zawiasach, gdy wyjeżdżał z dworu. Powiewali mu na pożegnanie białymi chusteczkami siwowłosi starcy i matrony, panny w jedwabnych pantofelkach i mali braciszczkowie, dopóki nie zniknął im z oczu. Czasem powracał, czasem nie ujrzeli go już nigdy więcej.

Ale gdy znów rozlegało się granie trąby, otwierała się stara brama: znaczyło to, że w pałacu wyrósł jeszcze jeden rycerz.

Hajduk poprowadził studentów przez ogród. Była wczesna wiosna, drzewa w parku stały jeszcze nagie. Tylko brzoskwinie wypuściły pąki, a jodły chwiały swymi wspaniałymi, wiecznie zielonymi gałęziami. Ogrodnik krzątał się przy inspektach. Wyciągnął z ziemi świeże szparagi i chwalił się nimi przed hajdukiem. Uśmiechał się zadowolony, i z oblicza jego odczytać można było poczucie władzy, jaką posiadał nad ziemią. Jakby mówił: widzisz, jak ja rozkazuję tej ziemi niczym psu, jak ją ogłupiam? Musi rodzić wbrew swej woli. Chciałaby wydać szparagi dopiero w maju, ale ja jej nakazałem — i oto szparagi są, chociaż to dopiero kwiecień.

Zresztą wszystkie ogrody jaśniepańskie są podobne jeden do drugiego: znudzone i smutne. Nieszczęsne rośliny żyją tu niby w niewoli. Bo przecież panowie traktują je tak, jak chłopów pańszczyźnianych, i postępują z nimi nieludzko. Gdy rośliny nie ulegają ich woli, oni uciekają się do najrozmaitszych forteli. Tyran potrafi być pomysłowy, wytrwały, uparty. Idylla przyrody istnieje tylko w lasach i ogrodach chłopskich: tam malwa rozkwita, kiedy sama zechce, tam ziemia jest prawdziwą matką dla roślin, a nie najemną karmicielką — żywi je własną piersią dobrowolnie. Gdy jakaś Böske lub Panni zasieje trochę fiołków lub posadzi gałązkę pelargonii, a ziemia zechce — kwiaty urosną, a jeśli nie zechce, to tak pozostaną. Najczęściej wszakże ziemia jest dla nich dobra, a zapach kwiatów urodzo-

nych z własnej woli tak trwały, że gdy wnuczka otworzy modlitewnik babci i zauważy zasuszony kwiatek, to jeszcze poczuje jego delikatną woń. Jakże źle jest roślinom w parkach jaśniepańskich! Jodłom za gorąco, figowcom za zimno. Wszystkie rośliny czują się tu niewolnikami. Smutno kiwają głowami słabowite cytrusy i inne, równie nieszczęśliwe egzotyczne rośliny. A muszą na nich rozkwitnąć te płatki i te kolory, które stworzyła inna ziemia i malowało inne niebo.

Goście podeszli do altanki, przecież altany też są tam wszędzie. Stół był zrobiony z pnia drzewa. Leżała na nim gitara z gryfem przewiązany niebieską wstążką.

— Jak to, czy w tym domu jest panna?

— Tak, baronówna Mariska.

— To dobrze! — powiedział student z puciołowatą twarzą.

— Dlaczego dobrze — rzekł drugi — skoro w domu jest panienka, a do tego ma gitarę, znajdzie się i sztambuch. A skoro jest sztambuch, to i my będziemy musieli wpisać się do niego wierszem. A to już kłopot.

— Ty przecież masz talent, János! — roześmiał się puciołowaty.

— Łatwo ci się śmiać, bo sam jesteś poetą — zawołał gniewnie jego towarzysz. — Jeśli o mnie chodzi, to wolałbym drwa rąbać, niż pisać wiersze. Zresztą ty, ze swoim „Wniebowstąpieniem Rákócziego”, masz już niejako smutne doświadczenie na niwie poetyckiej — dodał śmiejąc się wesoło. — Dwie doby karczeru to nie żarty!

Była to aluzja do wiersza, w którym ów student opisywał wstąpienie księcia Rákócziego do nieba. Tę skandaliczną historię znał cały Patak. Nie stałoby się nieszczęście, gdyby nie przypadek, że był przy tym obecny baron Thugut \*. Wiersz młodego poety mówił o tym, że święty Piotr przyszedł do Wszechmogącego, zasiadają-

cego na tronie niebieskim w purpurowym płaszczu, i zameldował mu, iż przybył Ferenc Rákóczi II, czeka u wrót nieba i czy można go wpuścić?

„Naturalnie — odpowiada Pan Bóg. — Poczekaj! Ja sam pójde go przywitać, tylko włożę moją atyllę\*.” Na tym polegał właśnie cały dowcip. Baron Thugut, wszechwładny mąż stanu, wpadł we wściekłość i krzyknął do profesora: „To bluźnierstwo! Zuchwalca trzeba ukarać!”. Potem zwrócił się do chłopca: „Jeśli ciebie gdzieś nie powieszą, to i tak długo nie będziesz stąpał po ziemi — za to, że nie czcisz Ojca i Boga twego!” \*

Ścieżki w parku były świeżo posypane żwirem, który skrzypiał wesoło pod nogami. Upajający zapach wiosny odurzył obu młodzieńców. Powietrze wypełniało niezwykle słodkie tchnienie drzew i kwiatów i mile łaskotało nozdrza.

Wtem dał się słyszeć głos dzwonka.

— Do stołu podano, panowie! Proszę się pośpieszyć — powiedział hajduk.

## Rozdział drugi

### BARON DÖRY I JEGO RODZINA

W tej chwili w alei kasztanowej ukazał się stary baron, który przyspieszywszy kroku szedł na spotkanie gościom z wyciągniętymi rękami, jak gdyby chciał pofrunąć ku nim.

— No, serwus! Czy to wypada? — zawołał serdecznie. — Kto was wydał na świat: matka Węgierka czy też może wykarmiła was dzika koza? Co to, nie wiecie, komu macie się pokazać po przybyciu tutaj? Ach canis mater! \* No więc, mówcie krótko, kim jesteście.

— Hrabia János Buttler — przedstawił się wyższy student, ten szczuplejszy.

— Breee! Wyśmienicie! Znałem dobrze twego nieboszczyka ojca! Zupełnie podobny do ciebie. To jest, oczywiście, ty jesteś podobny do niego. A zresztą, wszystko jedno. Byliśmy razem pod Ursitz w świecie cesarza Franciszka, kiedy pojechał do Napoleona prosić go o pokój.

Nim doszli do tarasu, Döry pokrótce opowiedział o tym słynnym wydarzeniu.

— Ach, jacy obłudni potrafią być ci władcy! Widać, że jak Bóg daje komuś koronę, to i rozumu nie poskąpi. Wówczas i Panu Bogu jest łatwiej. Podjechalśmy wtedy do najbardziej wysuniętych pozycji Francuzów, do na pół zburzonego młyna, gdzie znajdowała się główna kwatera Bonapartego. Napoleon wyszedł do nas, objął

naszego cesarza i z żartobliwym wyrzutem powiedział: „Oto pałace, w jakich Wasza Cesarska Mość zmusza mnie przez trzy miesiące mieszkać!” Nasz cesarz grzecznie i uprzejmie odpowiada na to: „Jednakże zabawa w nich tak się udała, Sire, że nie powinniście mieć za to urazy”. Potem znów się uścisnęli, a twój ojciec nachylił się do mnie i szepnął mi do ucha: „Myślałem dotychczas, że nie ma na świecie wstrętniejszego zajęcia, niż być szewcem, dlatego że musi on mieć wciąż do czynienia z cuchnącym klejem, ale teraz widzę, że się myliłem”. Tak powiedział, słowo w słowo. Kpiarz był ten twój staruszek. No, a ty czym jesteś synem? — zwrócił się do drugiego studenta.

— Bernátha z Bornócu — Zsigmond.

— Aha! — zaśmiał się baron. — To ty jesteś ten słynny filut, który Pana Boga ubrał w węgierską kacabajkę! No, ale wielką głowę odziedziczyłeś po swoim rodzicielu. To znaczy twój ojciec ma ją jeszcze... No, cóż, przyszłość należy do wielkogłowych. Wybierasz się, oczywiście, do domu na ferie?

— Tak jest, łaskawy panie.

— I mój kochany Jancsi jedzie z tobą?

— Tak, spędzi u nas Wielkanoc.

— Ale przecież ma on w Pataku opiekuna, prawda?

— Tak jest, pana Istvána Fáyego.

— A kiedy chcecie być w domu?

— Dziś w nocy.

— Nie, moi kochani, nic z tego nie będzie. Ale dzwonią już na obiad, a więc proszę do stołu.

W jadalni gości oczekiwały damy — baronówna Mariska i jej guwernantka — obie ubrane według ówczesnej mody, z greckimi fryzurami: dwa skręcone loki u skroni otaczały niczym ramka ich twarze. Damy w owych czasach nie miały wyraźnie zaznaczonych bioder ani talii. Linia talii przebiegała prawie pod pachami.

mi. Ale to uchodziło za piękne już choćby dlatego, że takie suknie noszono w Paryżu i że mimo wszystko było w nich kobiece ciało. A człowiek pojętny sam się domyśli, w którym miejscu co się znajduje.

Pan domu przedstawił studentów, na których panienka rzuciła nieśmiałe spojrzenie spod puszystych rzęs i zaraz spuściła oczy dygając, jak to było wówczas przyjęte. Dziewczyna była niebrzydka, ale zimna jak lód. Miała nieco zbyt wysuniętą ku przodowi bródkę, lecz zdobił ją pełen wdzięku dołeczek. Czoło jej było może nieco zbyt wypukłe, co zresztą wcale nie szpeciło. O figurze nie dało się powiedzieć nic złego, a zabawny zwyczaj nieustannego nagryzania dolnej wargi czynił ją podobną do narowistej, arabskiej klaczki, która gryzie wędzidło nie mogąc pohamować instynktu swej niespokojnej krwi.

— Madame Malipau — przedstawił baron guvernantkę córki.

Madame Malipau była niebezpiecznie podobna do Doroty z wiersza Mihálya Csokonaiego \*. (W owych czasach każdy student nosił przy sobie ten utwór poetycki).

Za nimi dał się słyszeć szelest trzeciej sukni, która była zapięta na wszystkie guziki od góry do dołu na barczystej figurze miejscowego wielebnego proboszcza Jánoša Szucsinki. Księżulo był młody, przystojny, niebieskooki, różowiutki na twarzy, z zaznaczającym się już podbródkiem. Na jego wygolonych wargach igrał ironiczny uśmieszek. Powierzchnością swoją przypominał raczej nadwornego francuskiego abbe \* z czasów królestwa niż węgierskiego wiejskiego plebana.

— Aaa, hrabia Buttler — zawołał kłaniając się, gdy przedstawiano mu gości. — Znana stara rodzina! O ile się nie mylę, jeden z Buttlerów zasztyletował Wallensteina \*.

— Ach, szkoda, że to zrobił! — odezwał się hrabia

János ze smutnym uśmiechem. — Od tego czasu na Butlerach ciąży przekleństwo.

— No, dzieci, czas do stołu. János, ty, synku, usiądziesz obok mojej córki, a ty, Zsigmond, obok wielbego klechy. Zobaczysz, ubawi cię swoimi anegdotami.

Do stołu zasiadło sześć osób, chociaż nakryte było na siedem. Gdy wszyscy zajęli miejsca, spod stołu nagle wylazł ów siódmy biesiadnik i wskoczył na puste krzesło. Obaj studenci drgnęli zaskoczeni. Był to szympans, którego pan domu przywiózł z wyspy Borneo, wracając z pełnych przygód podróży. Rozpieszczał małpę i uczył najrozmaitszych sztuczek. Mademoiselle Mariska wstała od stołu i zawiązała szympansowi serwetkę pod brodą, za co otrzymała od niego w podziękowaniu pełne wdzięczności spojrzenie.

— Poczekaj, Kipi, to jeszcze za gorące dla ciebie... Zrozum, zupka jeszcze gorąca.

Głos baronówny brzmiał przyjemnie i dźwięcznie. Szympans zrozumiał swoją panią i zaczął dmuchać w talerz, wysuwając obrzydliwe wargi, po czym chwycił w łapy nóż, widelec i łyżkę, ale zaraz upuścił je, tak że spadły z brzękiem na podłogę. Podnoszenie sztuców należało do obowiązków madame Malipau. Dlatego też w jej nieobecności nazywano Kipi „monsieur Malipau”. To przezwisko wymyśliła Mariska i rozgłaszała we wszystkich okolicznych dworach.

Podczas jedzenia zupy stary baron nie omieszkał opowiedzieć głośno, w jaki sposób przywiózł małpę z Borneo. A kiedy podano pieczone, zaczął mówić o swych przygodach wojennych. Umiał je przyprawiać różnymi nader pikantnymi szczegółami i nawet w opowiadanie o szympansie wplótł miłosną historyjkę. Raz po raz wspominał o damulkach najróżnorodniejszego koloru skóry — białych, czarnych, kreolkach; nagle zauważywszy, że córka słucha, mówił:

— Córeczko, wyjdź, kochanie, na chwilę do drugiego pokoju!

Mariska wstawała posłusznie i oddalała się ze spuszczonej oczyma. Dopiero po kilku minutach ośmielała się zajrzeć do jadalni i pytać:

— Mogę już wejść, papo?

A gdy następna historyjka była ponad miarę frywolna, baron wysyłał z pokoju także i księdza:

— Ojczulku duchowny, wyjdźcie i wy także do drugiego pokoju, ale proszę nie podsłuchiwać pod drzwiami!

Dodać należy, że baron był żołnierzem do szpiku kości. Jadalnię zdobiły wyłącznie przedmioty wchodzące w skład ekwipunku wojskowego: szable, kindżały, strzelby i buzdycy. Obrazy też, zgodnie z jego smakiem, przedstawiały portrety dowódców: pułkownika Józsefa Simonyiego \* w bogato haftowanym dolmanie, słynnego Węgry Mihálya Sarlacha — rumianego, tęgiego mężczyznę w białym mundurze, ozdobionym orderami, najdzielniejszego generała w całej armii austriackiej; księcia Eugeniusza Sabaudzkiego \* z głową przypominającą zgniecioną gruszkę. Z martwych natur, zdobiących zwykle jadalnię, była tylko jedna, pędzla Jana Kupeczkiego \*, przedstawiająca prześlicznie wymalowaną tykwę z wielkimi wąsami. Baron lubił zapewniać, mrugając znacząco, że to także portret wojskowego. Ale tylko najbliższym znajomym dodawał szepcąc, iż jest to portret cesarza Franciszka.

Chociaż były kapitan lubił sobie pogwarzyć, ani na chwilę nie zapominał o swych obowiązkach gospodarza i w tym samym czasie, kiedy usta mu się nie zamykały, ręce jego nieustannie napełniały kieliszki winami wybornego gatunku. Ach, te wina! Gdy je przelykasz, wydaje ci się, że ogień rozlewa się po żyłach.

Tymczasem na stół wjechało prosię z rumianą chru-

piącą skórką. Prosię pieczone to nieodłączny towarzysz wina. Nawet po zjedzeniu zdaje się chrząkać po raz ostatni: burrgunda, burrgunda, burrgunda!

Sam gospodarz, jak się okazało, także kiedyś studiował w Pataku. Przy obiedzie przypomniał sobie jakieś wiersze, przeważnie treści bachicznej — na przykład o tym, jak to apostoł Paweł udał się do Rzymu; na ramieniu miał kij, a na nim gąsiorek, z którego częstował ochoczo apostoła Filipa. Śpiewając tę zabawną piosenkę zawsze można było zamiast imienia Filip wstawić imię sąsiada, który wypijał przeznaczoną dla Filipa porcję. Ksiądz z udanym oburzeniem kiwał głową.

— Ej, ej, domine illustrissime \*, nieładnie kpić ze świętych.

— Co też ksiądz mówi, ja nie kpię. Chciałbym tylko, żeby moi drodzy goście dobrze się bawili i następnym razem nie unikali domu Istvána Döryego.

Zsigmond Bernáth pośpieszył zapewnić gospodarza, że do końca życia nie zapomni tak serdecznego przyjęcia.

— Następnym razem już nie ominiecie mego domu?

— Nigdy!

— Ręka, chłopcy?

— Wstąpimy na pewno, drogi baronie.

— Przysięgnijcie: niech oślepnę, jeśli nie wstąpię.

— Niech oślepnę — powtórzył za nim János Buttler.

— A teraz w drodze powrotnej też?

— Oczywiście.

— No to doskonale. Ręka szlachcica to nie to samo, co łapa Kipi — szympana, podobnie jak reszta obecnych chrupiący pieczone prosię, mruknął gniewnie. — No, no, Kipi, nie gniewaj się. Gotów jestem uznać i ciebie za džentelmena!

Wino rozwiązało języki i studenci stali się bardziej gadatliwi. Anegdoty sypały się jedna za drugą. Baron śmiał się do rozpuku, trzymając się obu rękami za swój

wielki brzuch. Od czasu do czasu łapał opowiadającego za guzik i pytał zaniepokojony:

— Czekał no, czekał... czy Mariska nie powinna wyjść?

— Nie, nie, Boże broń!

Taka odpowiedź trochę zasmucała barona, tak jakby anegdota traciła swoją wartość.

Anegdoty to kwiaty na bagnie. Przeważnie wyrastają z brudu i błota. Lecz anegdoty studentów sárospatackich wyrosły na innym gruncie: materiału do nich dostarczyła wizyta kanclerza Thuguta w akademii.

Rzekomo arcyksiążę Karol wyraził życzenie zobaczenia słynnych studentów patackich, gdy będzie przejeżdżał przez miasto. „Chciałbym — powiedział do Thuguta — żeby wydano odpowiednie zarządzenia”. Baron Thugut wstydził się przyznać, że przy całej swej potędze nie może zmusić studentów do wyjścia powitalnego na ulice. Uciekł się więc do fortelu i wysłał do Pataku polecenie, żeby w dniu przybycia arcyksięcia do miasta ani jeden student nie ośmielił się pokazać na ulicy. To poskutkowało: na ulice wyległo całe kolegium, powyłazili z łóżek nawet ciężko chorzy.

— Czy to prawda, że studenci śpiewali wówczas Marsyliankę? — zapytał ksiądz.

— Oczywiście, niektórzy śpiewali.

— A czy to prawda, że Thugut zabronił studentom śpiewać hymnu?

— I to także prawda, ale studenci ułożyli nowy tekst. Chociaż pozbawiony wszelkiego sensu, nie został przynajmniej zakazany. I teraz wszędzie śpiewają go na melodię Marsylianki.

— Chętnie bym tego posłuchał! — zawołał baron.

— Z przyjemnością zaśpiewamy, jeśli pozwolicie.

— A Mariska nie musi wyjść?

— Nie.

— No, to zwilżcie gardła i zaczynajcie. Słuchamy.  
I obaj studenci zaintonowali na melodię Marsylianki  
bezsensowny zlepek słów:

Pałący smak, ten zapach mdły,  
Lej żur do gardeł, na rybę!  
Frau Mutter, daj ty raz mi jeść!  
Kotleta daj, sam gulasz i nalewek!  
Kotleta daj, sam gulasz i nalewek!  
Szampan też do ust nalej kompanii,  
Niech żyją Zsófia, Matilda!  
Im więc rzucaj sto braw.  
Gdzież są nowi do kompanii.

Kto sam syty, a je?  
Tort też, kawy tam chcą!  
Masz ją, masz ją, tę samą pij!  
Sam prefekt znosi ją!

Studenci śpiewali z zapałem i zdawało się, że włosy  
iskrzą im się na głowach.

Szympanś także nastawił uszu; jeśli zaś chodzi o ma-  
dame Malipau, to uroczyste i podniosłe dźwięki hymnu  
wywołały łzy w jej oczach.

— Boże mój — zawołała — jakież cudowny przekład!

I rzeczywiście, mimo całej absurdalności słów, „prze-  
kład” nie tylko harmonizował z rytmem melodii, ale  
i dźwiękowo naśladował oryginalny tekst francuski.

Boże, cóż za rytm!... Nawet parodia nie mogła go po-  
psuć. Jakże rozpala krew. To przecież głos zbuntowane-  
go olbrzyma! Nawet szympanś wydawał się wzruszony,  
szybkimi i niezręcznymi ruchami usiłował uwolnić się  
od zawiązanej na szyi serwetki, jakby zamierzał rzucić  
się do szturmu Bastylji.

Młodemu księdzu błysnęły oczy, jak gdyby kierowa-  
ny nadprzyrodzoną siłą, siadł do fortepianu, ażeby za-  
grać zachwycającą melodię Rouget de Lisle'a \*.

— Taką muzykę mógł skomponować tylko żoł-

nierz! — zawołał stary baron chępliwie i aż pstryknął palcami. — A wie pani, madame Malipau, czego tu teraz brak?

— Kawy?

— Do diabła z kawą! Brak... carmagnoli \* u licha. Pani z pewnością umie to tańczyć? — dodał śmiejąc się rubasznie. I zaczął od razu nucić: — „Paniusia nam nie chciała dać...”

Madame Malipau oblała się rumieńcem i śpiesznie wyszła z pokoju.

Ale czy można się gniewać na starszego pana? U tego wesołego staruszka zalety dziwnie krzyżowały się z wadami. O nim podobnie jak o pieniądzech cesarza Franciszka nikt nie mógłby powiedzieć z całą pewnością, czy są zrobione ze srebra, czy z miedzi. W jego naturze spletały się: chytryść i naiwność, skąpstwo i hojność, dobro i zło; ale nikt nie wiedział, w jakiej proporcji występuje każda z tych cech. Ksiądz, codzienny gość w domu barona (uczył baronównę muzyki i innych sztuk pięknych), dobrze znał starszego pana i tak go charakteryzował: z barona dałoby się wykroić dwóch ludzi — świętego i antychrysta-rozbójnika.

Jeśli chodzi o studentów, to pan domu bardzo im się spodobał, gdyż ich zdaniem była w nim jeszcze i trzecia osoba — bonvivant, umiejący w pełni korzystać z życia. Obaj młodzieńcy czuli się w jego domu całkiem swobodnie — zwłaszcza Zsigmond Bernáth, który postanowił zaraz po obiedzie nawet trochę poflirtować. Przysiadł się do baronówny Mariski i próbował nawiązać z nią rozmowę.

Prowadzenie rozmowy na Węgrzech można było zaliczyć do zajęć raczej niewdzięcznych. Sztuki tej nie posiadali ani mężczyźni, ani kobiety. Dziewczyna mająca ładne oczy wołała prowadzić rozmowę za ich pośrednictwem: opuszczała je albo podnosiła na zmianę. Wolno

było roześmiać się od czasu do czasu, ale tak, żeby nie pokazać zębów, gdyż to uchodziło za nieprzyzwoite. Mężczyźni mieli w zapasie tylko dwa tematy do rozmów: o pogodzie i o tym, „co się pani śniło?”. Owe dowcipne dialogi, które przeczytać można w powieściach, w rzeczywistości nigdy nie istniały. Były podobne do drzew na obrazach Rafaela — przecież takich drzew nigdy nie było.

Młodzi ludzie w ogóle rozmawiali ze sobą rzadko, a nagadać się dziewczyna mogła do woli dopiero po ślubie. Chociaż rozmowy między młodymi ludźmi były zaskakująco prymitywne, jednakże i w nich następowały długie pauzy, przerywane takimi na przykład pytaniami: „O czym pani teraz myśli?” A młoda panna wzdrgnąwszy się odpowiadała: „Proszę zgadnąć!” — „Ach, Boże mój, gdybym ja mógł wiedzieć!”.

Młodzieniec trzymał w ręku pasmo włóczki, a panna zwijała ją w kłębek. Takie zajęcie to już pierwszy krok na drodze do „poważnych zamiarów”. Młodzieniec trzymał w rękach pasmo włóczki i patrzył na dziewczynę. Uważane to było za nader interesującą rozrywkę.

Czyż mogli paplać tak dużo jak nasza współczesna młodzież?! Nie mieli odwagi wymieniać swoich myśli, mówić głośno o własnych ideałach — dotyczyło to zwłaszcza dziewcząt. Te sprytnie stworzonka udawały głupie owieczki, które nikomu wody by nie zmaciły. Ale jak tam było, tak było, za mąż wychodziły wszystkie.

Sam baron często pouczał córkę:

— Mów, moja droga, jak najmniej, a jeszcze lepiej nie mów w ogóle nic. Jeżeli nie powiesz czegoś, o czym twoim zdaniem należałoby wspomnieć, będziesz jeszcze miała sposobność porozmawiać na ten temat. A jeśli coś chlapniesz, co należałoby przemilczeć, to już nic na to nie poradzisz.

Tym razem wyjątkowo baronówna była bardzo roz-

mowna. Okazywała zainteresowanie zwłaszcza hrabią Buttlerem, którego oblicze nosiło pieczęć jakiejś melancholii.

— Pan jest przesądny, hrabio?

— Z czego pani to wnosi?

— Z pańskiej odpowiedzi wielebnemu księdzu, iż na Buttlerach ciąży przekleństwo. Dlaczego pan tak sądzi?

— Istnieje legenda, niestety sprawdzająca się, że wszyscy z naszego rodu są nieszczęśliwi. Na przykład nasi przodkowie.

— Tym bardziej są więc podstawy, żeby uważać, iż pan właśnie będzie szczęśliwy.

Hrabia János uśmiechnął się smutno, a baronówna sprostowała:

— Tak mi się przynajmniej zdaje.

— Dlaczego? — spytał hrabia roztargniony.

— Im dłużej trwa ślota, tym bardziej prawdopodobne, że nastąpi pogoda.

— Jest w tym pewna racja.

— A czy panu wiadomo — mówiła dalej dziewczyna — że pański przodek musiał za swoje grzechy spędzić pewien okres w czyścicu? Tam błąka się jego grzeszna dusza. Ale gdy przyjdzie moment odkupienia i dusza oczyści się z grzechów, z pańskiego rodu zostanie zdjęte przekleństwo.

— To ksiądz panią tego nauczył? — roześmiał się hrabia János.

— Pan, zdaje się, nie wierzy w duchy?

— Bóg jeden wie! Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. A pani wierzy?

— Rozumie się. Jeśli u nas zostanieie na wieczór, przyrzekam, iż każę wywołać ducha pańskiego przodka. Jeśli on sam nie będzie mógł się zjawić, wypytam o wszystko duchy stolika. Tak czy inaczej, dowiemy się, czy na pańskim rodzie ciąży przekleństwo, czy nie.

— No, chciałbym to wiedzieć!

— I dowie się pan. Tylko do tego potrzebne są panny Izsépy.

— A skąd ja je wezmę?

— To dwie stare panny, wyglądają jak wyschnięte mumie. Ale to świetne media. Z ich palców płyną fluidy. Panny mieszkają tam w żółtym domu, obok kościoła. Przychodzą do nas zwykle wieczorem, gdy są goście.

Tak już bywa na wsi. Ludzie nudzą się i z nudów stają się ponad miarę ciekawi. Z szybkością wiatru rozniosło się po całej okolicy, że u barona Döryego są goście, dwaj młodzi studenci. Pierwszą wieść o tym puścił hajduk Gyuri: „Jeden z nich to hrabia”. No, a ten drugi? Kim jest ten drugi — nie wiadomo. Tu można puścić wodze fantazji i obdarzyć tego drugiego wszelkimi tytułami.

Zanim wieść doszła do trzeciego dworu, okazało się, że gośćmi barona jest nie jeden, lecz dwóch hrabiów, a przy piątym domu ten drugi przeobraził się już w księcia.

No, na takich dwóch jaśniepanów warto popatrzeć. Ciekawość to mocna sprężyna, a jeśli jeszcze do tego przyłączy się i zawiść: „Ten stary gałgan wyłapał ich wprost z drogi!” „Męża łapie dla Mariski!” „O, stary chytrus, jak on się ze wstydu nie spali! Zadziwiający!”.

W każdym razie — takiej „parady” w żaden sposób nie można przepuścić

I z okolicznych dworków (a było ich kilka) do domu Dörych zaczęli ciągnąć pod wieczór goście — panowie, panie, młode panny, stare panny. Drzwi nie zamykały się ani na chwilę.

Przybyły panny Szirmay w bardzo śmiesznych słomkowych kapelusikach, przyszła piękna wdówka Major-noky (niechaj zginę, jeśli jej brwi nie są malowane!). Z sąsiedniej wsi przyjechał zarządca majątku hrabiego

Andrassyego razem ze swoim bratem. Brat zarządcy był starym kamratem barona, służyli razem w wojsku: powtarzał często żartami, że gdyby miał parę oczu z tyłu głowy, to mógłby nieraz popatrzeć na Napoleona. Słowem, zebrało się tak wiele gości, że wszystkich trudno byłoby wymienić.

Nie warto również opisywać tego wieczoru. Był taki sam jak wszystkie. Nikt nie powiedział niczego nowego.

Po jakimś czasie towarzystwo podzieliło się na grupy: starsi panowie zostali w jadalni, ażeby popić, pograć w karty, starsze panie rozsiadły się w sąsiednim salonie przy kawie, a młodzież w jednym z mniejszych pokojów rozpoczęła zabawy towarzyskie: „plotki”, „pierścionek”, „fanty”. Tylko ksiądz i szympanś chodzili z jednego pokoju do drugiego — od starszych dam do młodych panienek i od młodych kawalerów do starszych panów.

## *Rozdział trzeci*

### STARY ŚWIAT

Przyznać należy, że życie towarzyskie w tych czasach było nader smutne i nudne. Szczególnie ujawniało się to w stosunkach między mężczyznami i kobietami. Na próżno usiłują nas zapewnić kronikarze, że w owych czasach i sól była bardziej słona. Kronikarze ci nie widzą nic dalej swego nosa.

Mężczyźni chodzili na polowania, grali w karty i pili, gdy dręczyło ich pragnienie. Kobieta, ta ostra przyprawa naszego postnego życia, w owych czasach jeszcze nie odgrywała ważniejszej roli. Kto wie, czyja to wina? Niewątpliwie zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Mężczyźni zbliżali się tylko do tych kobiet, z których chcieli uczynić swe kochanki; kobieta interesowała się tylko mężem lub aktualnym kochankiem, a w ostateczności tym, który go zastąpi. Składała się głównie z ciała, w małym stopniu z duszy. W ciągu całego swego życia mężczyzna spotykał się tylko z takimi kobietami, które były mu powolne, albo z takimi, które go wypraszały za drzwi. Przyjaciółek platonicznych mężczyźni nie miewali. W najlepszym wypadku mężczyzna miał jedną lub dwie kumy. Zresztą to go nie niepokoiło. Dusza jego nie odczuwała potrzeby porozumienia słownego nawet przez godzinę w ciągu dnia z kobietami. Gdzież tam! Ale jeżeli popatrzymy na odwrotną stronę medalu, to stwierdzimy, że kobiety w owych czasach nie nadawały

się do światowych rozmów. Nie odznaczały się swobodną bezpośredniością i szczerością, nie wyróżniały żadną specjalną indywidualnością. Te najstaranniej wychowane były sentymentalne, a jeśli wykształcone, to całkiem nudne.

Niektóre znały nawet łacinę. No, ale te już były nie do zniesienia.

Mężczyźni dzielili kobiety na dwie kategorie: ładne i nieładne, cnotliwe i rozpustne. Ta klasyfikacja dotyczyła kobiet tylko do lat trzydziestu. Kobiety powyżej tego wieku to stare baby; prowadzą gospodarstwo, پوستurchują służące, trzymają męża pod pantoflem, o ile odznaczają się silnym charakterem, lub ulegają jego woli, o ile są łagodnego usposobienia. Jeśli chodzi o subtelne kobiety, jak: hrabina Boufflers, pani Recamier, Goeffrin i ich następczynie, które swym intelektem i konwersacją zdobyły salony i buduary, to na Węgrzech jeszcze się w owym czasie takie nie narodziły. Ówczesne żony stanowiły przedmiot zachwytów mężowskich tylko w okresie miodowego miesiąca i szybko powszedniały swoim małżonkom. Dlatego też stary Antal Szirmay, nasz wielce szanowny poseł do sejmu, przechadzając się po swoim ogrodzie z baronem Döry powiedział: „Małżeństwo to to samo co jedzenie: kto się stołuje w gospodzie, marzy o obiadach domowych, a temu, kto jada w domu, ślina cieknie na myśl o daniach restauracyjnych”. Możecie wierzyć, że tak jest rzeczywiście. Żony w owych czasach interesowały mężów tylko w ciągu pierwszych tygodni po ślubie, a potem stawały się już przydatnymi pomocnicami, dzieliły z mężami wszystkie troski i na dodatek rodziły mu potomków. Tak właśnie było. Biedaczki podzielały los kwiatka, który jest piękny i pachnący, dopóki go nie zerwą, a potem pachnie i cieszy oko przez jeden zaledwie dzień. Ale czy kwiat się tym martwi?

Kobiety też godziły się z losem, myślały, że tak właśnie powinno być. Nie protestowali również i mężczyźni. *Ignoti nulla cupido* \*. Posiadali jeszcze na pocieszenie charta Zagraja i wierzchowca Błyskawicę — mieli kogo kochać. Nawet nie podejrzewali, iż gdzieś daleko, na Zachodzie, najsubtelniejszą rzeczą pośród wszystkich radości ziemskich było towarzystwo kobiet. Najbardziej wyszukany smakołyk! Nie wiedzieli przecież, że współczesny wyrefinowany Adam nie zawsze wchodzi do raju po to, żeby posmakować owoców jednej jabłoni, ale częściej po to, żeby zachwycić się krasą wszystkich drzew i kwiatów. Subtelny Adam i wtedy może upajać się owocami rajskich drzew, kiedy sam nie jest głodny.

Jednak nie chcę rzucać kalumnii na kobiety owych czasów. Przecież są one naszymi matkami, zasługują więc na szacunek. Ale ja opisuję epokę i muszę być prawdomówny. Bez wątpienia miały one wiele cennych zalet, ale były prostackie i niewymagające.

A jak się sprawy przedstawiają obecnie? Tak właśnie, że kobiety przeszłości ze swoimi patriarchalnymi nawykami, skromnością i naiwnością przestały istnieć; natomiast kobiety pokroju pani Geoffrin, markiz de Lespinasse i Le-Defond jeszcze nie pojawiły się na Węgrzech. Nasze kobiety używają ich wytwornych perfum, dostawcy modnych towarów przywożą modele ich sukien, kapelusze, koronki. Ale jeśli chodzi o aromat ich duszy, ich czar i urok, ich bogate serce, inteligencję pociągającą i oryginalną — te wszystkie zalety nie mogą jednak przedostać się przez granicę.

O tym wszystkim mówi się jedynie na marginesie, albowiem, rzecz jasna, w domu barona nikt się w owych czasach nad tym nie zastanawiał, nikt nie rozmawiał na ten temat przy stole. Kobiety z ożywieniem opowiadały o tym, jak to pewnego dnia piękna wdowa Sennyey, ta świętoszka, wybierająca jaja spod kur i oglądająca je,

tak jak trzeba, pod światło, nagle zobaczyła swego drugiego męża, kapitana huzarów, dorodnego i postawnego mężczyznę. I cóż dalej? W cztery tygodnie później ukazał się we własnej osobie, kubek w kubek taki sam, jakim widziała go wtedy, a przedwczoraj w Újhely już odbyło się wesele („No i co wy na to powiecie, kumo? Że nie ma cudów na świecie?”). Mężczyźni przy stole, przy kieliszku, wygadywali na cesarza, który zbyt surowo traktuje szlachtę („Ten człowiek połknie nas, panowie!”).

Pál Izsépy (ojciec wspomnianych mumii) wygadywał na cesarza, który już za młodych lat pokazał, co potrafi. Gdy w dzień swej pełnoletności księżę, następca tronu, otrzymał pieniądze od ojca, aby kupić sobie konie według własnego wyboru, dobrał taką oto czwórkę: wielkiego perszerona, ruszającego się z trudem z powodu wielkiej wagi, krnąbrną kobyłę, która stawiała dęba, kąsała i nie pozwoliła nałożyć uprzęży, prawie zdechłą szkapę, tak starą, że ledwo pociągała nogami, i jedną ślepą wojskową klacz.

Gdy cesarz Leopold, ujrawszy tę czwórkę, zapytał syna, czy nie zwariował i co ma zamiar robić z tymi zwierzakami, on mu odpowiedział: „Chciałem pokazać Waszej Cesarskiej Mości. Ciężkie, tłuste konisko — to duchowienstwo węgierskie; ta krnąbrna nie dająca się okiełznać kobyła — to szlachta węgierska, a ta zajeżdżona szkapę — to lud węgierski”. — „No, a ta ślepa, zdychająca klacz?” — zapytał rozgniewany cesarz. „To ty, mój jaśnieoświecony ojczy, przecież i ty też nic nie widzisz!” Krótko mówiąc, od razu wtedy zrozumiałem, czego można spodziewać się po Jego Cesarskiej Mości. W tym czasie służyłem w Burgu jako gwardziści. Byłem wówczas młody, piękny i to jeszcze jak!

Gdyby ta rozmowa trwała dłużej, współbiednicy wypowiedzieliby na głos niemało gorzkich prawd, albo-

wiem tokaj to taki płyn, który zawsze wzbudza w Węgrach niechęć do Austriaków. W tym momencie panny wysłały ze swego pokoju małego urwisa Pistę Szirmayego, który nie powinien być obecny przy zabawie w rzucaniu chusteczką.

— No, jak tam, wiewióreczko, dobrze się bawicie? — zapytał baron.

— Bardzo dobrze, wujku Istvánie, tylko Mariska zachorowała. Odprowadzili ją do sypialni. Pokojówka Verona powiedziała, że Mariska ma mdłości.

Baron wstał z krzesła. Denerwował się zawsze, gdy jego córce coś się przydarzyło. Ubóstwiał ją.

— Co to znaczy, dlaczego nikt mi nie powiedział? — rozgorączkował się Döry i pośpieszył ku drzwiom.

— Wielebny ksiądz proboszcz nie pozwolił mówić — wymamrotał zalekniony chłopiec.

Nić gawędy, jak zawsze w takich okolicznościach, urwała się od razu i zaniepokojony István Döry coś tam mruknąwszy pośpieszył do pokoju córki.

W korytarzu zetknął się z Szucsinką.

— Dlaczego ksiądz mi nie powiedział, że Mariska zachorowała? — spytał gniewnie Döry.

Ksiądz uśmiechnął się sztucznie, ale nie umiał ukryć lekkiego zmieszania.

— Przecież to głupstwo. Nie ma o czym mówić — wymamrotał. — Pewno grzyby jej zaszkoziły. — Po czym dodał obłudnie: — Ja mam także rozstrój żołądka.

— Pal diabli żołądek księdza! — burknął baron i pośpieszył dalej, ale przed pokojem córki zatrzymał się. — Coś mi się w niej nie podoba, wie ksiądz! Przedwczoraj także źle się czuła, chociaż brała krople, które zapisał jej Medve w poniedziałek. Ostatnio nieraz widziałem, że jej twarz blednie nagle, oczy też nie są takie jak dawniej. Doktor coś tam głądził, ale nie pamiętam co. Ksiądz także nie pamięta?... Że nie powiedział nic konkretnego?

No tak, bo sam chyba dobrze nie wiedział. Wszystko to bałwany, a jednak dobrze by było, gdyby ksiądz nie zwlekając napisał do doktora, żeby zaraz przyjechał. Co prawda, ten doktor to wielki osioł, ale ja jestem jeszcze większy w tych sprawach i w takich chwilach każde jego uspokajające słowo działa na moją duszę jak rajski balsam. Proszę do niego napisać! I niech Andrés zaraz zaprzęgnie parę bułanków do bryczki i jedzie po doktora.

— Ale przecież to nie jest chyba konieczne, zapewniam pana, jaśnie panie baronie! Podobne niedyspozycje występują często u młodych ludzi obojga płci i same przechodzą.

— Jakoś nie przypominam sobie, żeby u mnie występowały kiedykolwiek podobne symptomy. Jeśli mdliło mnie kiedy, to tylko od wina.

Ksiądz uśmiechnął się ironicznie.

— Jaśnie wielmożny pan już zapomniał dni swojej młodości, ale mam nadzieję, że przekonam pana, jeśli przyniosę zapiski naszego uczonego eskulapa, Ignáca Stahlyego.

— Już mnie ksiądz przekonał! Tylko prędko proszę posłać po doktora!

Na takie dictum nie było sprzeciwu. Baron otworzył drzwi i wszedł do pokoju córki.

Błada jak trup Mariska leżała nieruchomo na kanapie. Gorset miała rozpięty: na śliczne czoło wystąpiły krople zimnego potu. Przy niej siedziały pokojówka Verona i madame Malipau.

— Co ci jest, moja sarenko?

— Oj, papciu, tak mi niedobrze! Zaraz umrę!

— No, no, no! — wymamrotał baron (stary żołnierz w takich chwilach roztkliwiał się momentalnie). — Nie mów mi takich rzeczy, nie denerwuj mnie! Wszystko będzie dobrze.

I swą dużą, suchą dłonią zaczął pieszczotliwie gładzić czoło córki.

— O, jaką ty masz delikatną rękę, papo.

— Przecież jej nie przepięłem — zażartował stary pan, wzruszony czułymi słowami córki i pragnąc ją rozweselić.

Laurowe krople najwidoczniej pomogły. Może ten Medve wcale nie taki bałwan. Baronówna poczuła się lepiej, choć jeszcze była słaba i wyczerpana.

— Wracaj, papo, do gości. Już czuję się lepiej i także za chwilę przyjdę.

— E, nie! Poleż jeszcze trochę, serdeńko! W żadnym razie nie wstawaj.

— Ale przecież już mi przeszło. Zobaczysz, że będę jeszcze tańczyć dziś wieczorem, o ile oczywiście nie pozwolisz odejść studentom.

— A czy ja bym pozwolił im odejść, jeśli ty tego nie chcesz? Powiedz — tylko nie gniewaj się, że cię o to pytam, sarenko moja kochana — który z nich podoba ci się bardziej?

I stary pan spojrzał na nią badawczo, spodziewając się, że na to jego pytanie białe policzki dziewczyny poróżowieją jak mleko, kiedy w nie wpadnie kropla czerwonego wina.

Ale dziewczyna nie zaczerwieniła się, odpowiedziała tylko obojętnie:

— Myślę, że Bernáth jest mądrzejszy, a Buttler chyba przystojniejszy.

— To znaczy, że Buttler podoba ci się bardziej?

— Chciałbyś wiedzieć?

— Tak.

Mariska rzuciła na niego szybkie, badawcze spojrzenie.

— A dlaczego?

— Tak sobie.

— W takim razie nie powiem.

— A ja i tak zauważyłem.

Mariska uśmiechnęła się kącikami ust, co oznacza zazwyczaj u młodych dziewcząt pełną wyższości pobłażliwość, jak gdyby chciała w ten sposób powiedzieć: „Głuptas z ciebie, mój papo, i tak nic z tego nie rozumiesz!”

— A czy ty byś mógł zajrzeć w głąb panińskiego serca, papciu? Ty byś nawet dna studni nie zobaczył. Sam tak mówiłeś, pamiętasz? Studnia ma najwyżej trzydzieści sążni głębokości, a serce panińskie jest znacznie głębsze.

Stary pan był zadowolony, że córka jest ożywiona, sprzecza się z nim, dyskutuje. Stopniał od razu.

Za oknem rozległ się turkot bryczki.

— Czeka! To András jedzie po doktora. Trzeba go zatrzymać! — Döry zerwał się, otworzył gwałtownie okno, ale po chłopaku nie było już ani śladu.

Zresztą niech tam! Przynajmniej przez otwarte okno wpadł do pokoju powiew świeżego powietrza, przesycony aromatem kwiatów. Tuż obok ganku rozkwitł krzak bzu; jedna z gałęzi, obsypana liliowymi gwiazdeczkami, zaglądała do okna.

Stary pan odszedł od okna, usiadł w nogach córki i zaczął stukać sygnetem jak młoteczką w obcas jej malutkiego pantofelka. Często tak bawił się z nią, gdy była malutka. Stukał i mówił: „Podkuję swego małego koniczka”.

— Tak, o czym to mówiliśmy? Poczeka. Ach, tak! Że ja nie widzę dna studni... Ale czyżby twoje serce było jak studnia? Gdzież tam! Kamień, moja droga, twoje serce to prawdziwy kamień.

— Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, iż zmiażdży kogoś pewnego pięknego dnia.

— Chciałem tylko powiedzieć, że nieczułe.

— Twarde. Zgoda. Ale nie myśl, papo, że w tym kamieniu już nic więcej nie ma. Widziałeś u mojego chrzestnego, Mihálya Kassaiego, bursztynową fajeczkę, a w niej zastygłego jakiegoś owada prehistorycznego, podobnego do komara?

— Co prawda, to prawda. Jak ty mądrze umiesz powiedzieć, do licha!... Ach ty, moje dziecko, w twojej główce aż roi się od tak zwanych idei, któreś wyczytała u Waltera Scotta. Tak, tak, tak. W munsztuku starego Miszki rzeczywiście siedzi jakiś komar. I jakże coś takiego przyszło ci do głowy?

— Właśnie o tym mówię, że być może i w moim kamiennym sercu jest zastygły taki komar.

Dziewczyna powiedziała to i roześmiała się dźwięcznie, a cały pokój jakby ożywił się i poweselał.

— Cha, cha, cha! Komar! — wybuchnął śmiechem baron. — Taki malusieńki komarek. No, ale szybko tam się dostał. Ja ci powiem, że jeśli to nawet komar, to bardzo solidny! Bogacz! Samych majątków i pałaców więcej niż palców u rąk. Bajecznie bogaty, to tylko ci powiem! Dla dziesięciu księżąt starczyłoby tego, co on otrzyma od swego opiekuna. I do tego jeszcze hrabia! Titulus et vitulus. \* Jeśli której dziewczynie taki narzeczony nie przypadnie do gustu, to niech zostaje na lodzie.

Mariska wydeła usteczka jak rozkapryszone dziecko.

— Co też ty mówisz, brzydki papuńciu! Ja wcale nie myślałam o Buttlerze. Idź, już nic więcej ci nie powiem. Albo to można z tobą podzielić się jakimś sekretem?

Przy tych słowach stary Döry zrejterował i uspokojony wrócił do gości, którzy zasypali go pytaniami o zdrowie Mariski.

— Ech, głupstwo! Nic strasznego! Zapewne przy obiedzie zjadła jakiegoś niedobrego grzyba. Ja na szczęście grzybów nie jadłem. To ten niegodziwiec Hinko

przyniósł je w prezencie. A ja, dureń, dałem mu jeszcze cwancygiera \*. No, dobrze, jutro dostanie na dodatek dwadzieścia pięć batów. Żebym tylko nie zapomniał! — przy tych słowach baron wyjął z kieszeni chusteczkę i zawiązał na niej supelek. — Przypomnij mi, Gyurka — zwrócił się do hajduka, który wniósł na salę jeszcze cztery flaszki z winem, dwie trzymał w rękach, a dwie pod pachami. — Ten supelek oznacza dwadzieścia pięć batów dla Istvána Hinko, chłopca pańszczyźnianego z Olaszröszke. A w ogóle, to już jej lepiej — mam na myśli Mariskę. Dzisiejsze panny są strasznie delikatne. Jak z cukru. Miałem i ja trzy siostry, ale takie, że choćbyś je przez dach przerzucił, staną na nogach jakby nigdy nic.

Wesoły nastrój wrócił i trwał już teraz niezmacony. Tymczasem część gości zasiadła do kart. W owych czasach grano w karty na wysokie stawki, ale nie znano jeszcze takich szaleństw, do jakich dochodziło dwadzieścia lat później, gdy w czasie sejmu w Preszburgu \* spotkali się przy zielonym stoliku Csernowics i Komáromy. Na kartę postawiono majątek Mácsa, razem z lasami, łąkami i nieużytkami. Mały chochlik mieszkający w kartach chwycił to bogactwo i przerzucił od jednego gracza do drugiego. Ależ silny był ten czart! Jak behemoth \*.

Studenci chcieli się już pożegnać, ale baron ich słuchać nie chciał:

— Zostańcie, zostańcie! No, dokąd wy teraz pójdziecie po nocy? Nasze okolice nie są tak bardzo bezpieczne.

— Chciałbym zobaczyć tego — roześmiał się Zsigmond Bernáth — kto by nas mógł obrabować!

— Wiem, że nie jesteście tchórzami, ale w każdym razie lepiej poczekać do rana. O świcie każę zaprzęgać, a do tego czasu i tak się nie położymy spać, do licha!

Argumenty gospodarza zostały poparte zjawieniem

się wędrownych muzykantów z trupy Marci Csóki, którzy od razu na podwórzu zaczęli grać jedną ze smutnych melodii Bihariego \*. Csóka, sukinsyn, umiał zwierzyć gości, jak pies gończy zwierzynę — czy to sroki mu donosiły, czy też sam rozpoznawał z dymu kominów, u którego z panów dziś przyjęcie.

— Breee! Trzeba zawołać Csókę!

No, teraz to już w żaden sposób nie można było wyjść. Studenci poddali się. A tymczasem w domu matka piecze ciastka z serem, akurat pewno już wyjmuje z piecyka. Ale co robić? — odmówić nie można. Muzyka gra, a to taka siła, której przeciwstawić się niepodobna. Vis major \*.

Zawrzała młodzieńcza krew — no i właśnie Mariska wróciła ze swego pokoju — z uśmiechem na ustach i z gałazeczką bzu we włosach. A z bawialni wynoszą już krzesła i kanapy. Wszyscy puścili się w tany.

Rozpoczął sam stary Döry. Skłoniwszy się głęboko przed piękną panią Majornoky, objął ją wpół i zawołał: „Ależ ty jesteś cienka w talii, siostrzyczko!” Tak z nią zawirował, że i młody lepiej by nie potrafił. Wszystkich ogarnęła wesołość. Nawet staruszek Izsópy nie wytrzymał i poprosił madame Malipau. Tańczyli oboje to z daleka od siebie, to blisko, człapiąc i kłaniając się ceremonialnie. Nie zważając na rytm czardasza kiwali się w miejscu lub stawiali drobne kroczki jak w menuecie.

— Ohoho! A gdzie chora?

Na progu stał wesoły grubasek z czyściutko ogoloną twarzą. Był cały po prostu wcieleniem jowialności i dziarskości. Pogroził laską w stronę tańczących i starając się nadać swej pulchnej twarzy wyraz surowości usiłował przekrzyknąć muzykę:

— Tańczcie! No, no! Dostaniecie suchot, żebyście wiedzieli. Cóż to, rozumu nie macie? Przy otwartych

oknach tańczycie? A zresztą biedny doktor także musi z czegoś żyć... Wobec tego bardzo jestem wam wdzięczny, panie i panowie!

— Patrzenie, wujek Medve! Wujek Medve przyjechał!

— Serwus, Ignác — zawołał baron. — Przyjechałeś?

— Jak widzisz. No, a gdzież chora?

— Chora? — zaśmiał się triumfująco gospodarz. — O, tam właśnie tańczy! Cha, cha, cha!

— Twoja nieboga jeszcze nie Boga! \* (Doktor, który lubił kalambury, umyślnie powiedział to zdanie). — Dlaczego w takim razie posyłano po mnie?

— Z dziewczyną było trochę kiepsko i ja się wystraszyłem. Miała zawroty głowy. Żołądek chyba sobie popsuła. Ale nie podoba mi się, że od pewnego czasu nie znosi dymu tytoniowego. Czy to przypadkiem nie coś z płucami?

— Płuca? No, tak, oczywiście. Na pewno. Ty jesteś lepszy doktor ode mnie. Ale wiesz co: zamiast się wymądrzać, lepiej płac pieniądze. Co tak patrzysz na mnie? Przecież powinienś płacić swojemu doktorowi. Czyżbym jakieś głupstwo palnął, że tak się na mnie gapisz?

Takie słowa wprowadzały barona Döryego za każdym razem w zdziwienie, ale nigdy nie traktował ich serio. Chłop — tak, chłop powinien płacić doktorowi, ale on, baron Döry, który jest z nim na ty? Czyż to nie wystarczająca nagroda dla doktora?

Doktor Medve był bardzo popularny w całej okolicy, mimo że w dawnych dobrych czasach ludzie umierali przeważnie śmiercią naturalną, bez pomocy lekarzy, wierzyli kukułce (ile razy zakuka, tyle lat człowiek przeżyje), leczyli się u znachorek, zamawiaczy-owczarzy, przy pomocy najrozmaitszych talizmanów i amuletów. Mówiono, że ten, kto znajdzie jaszczurkę w wigilię św. Jerzego, zaszyje ją w worek i będzie nosił na

piersi, nigdy nie zachoruje ani na różę, ani na podagrę. Na febrę znano także dobry środek: chory powinien poturlać się po dziewięciu mogiłach (czy to ze strachu, czy też na skutek wstrząsów fizycznych, nie wiadomo, ale jednak choroba mijała). W ogrodzie pani Dókusowej rosła trawa, która, jeśli wsunąć ją w ucho człowiekowi lub zwierzęciu, leczyła z każdej choroby.

Szanta pomagała tylko na suchoty, a jeśli nie poma-gała, to i tak było inne lekarstwo, działające niezawodnie (tylko że trudno je było dostać); trzeba było zaszyć w poduszkę lub pierzynę szczyptę prochów znakomitego hajduka z Zemplén, Pála Arnolda. Opowieść o tym, jak to go ukąsił wampir, jak umarł, a potem wstał z grobu i sam pokąsał czterech ludzi, wstrząsnęła w roku 1732 całą Europą.

Któż by uwierzył zresztą w takie sztuczki doktorów, jak „proszę pokazać język” i „chciałbym zbadać puls”. A jednak doktora Medvego wszyscy lubili. Ten człowieczek mały jak chomik wiecznie sprzeczał się i dyskutował ze wszystkimi, ale w gruncie rzeczy był do-broduszny i lubił pożartować. Szczególnie we dworach cieszyli się wszyscy, gdy przyjeżdżał. Niegdyś był lekarzem wojskowym i uciął sobie spory majątek, po czym wrócił do Bénye. Mówiono, że dawniej miał inne nazwisko, Bär albo Bärmann. Zawsze ludzie coś tam naplotkują. Zresztą, nie miało to żadnego znaczenia: pierwsza wybaczyła mu to szlachta, albowiem swoimi obyczajami całkowicie dostosował się i zespolił z nią. Na przykład miał najpiękniejszą na cały komitat kolekcję fajek piankowych. A jak były przepalone! Diabelnie imponowało to wszystkim. Ponadto z medycyną był za pan brat, a to także coś niecoś znaczyło.

Dziś jednak wszystko świadczyło o tym, że doktor jest w kiepskim nastroju, roztargniony i jak gdyby czymś zakłopotany. Był bardziej grubiański niż zwykle.

— Siadajcie, wujku Medve!... Prosimy tutaj, do nas — zapraszali go mężczyźni i kobiety.

— Dajcie mi spokój! Ja się do was nie nadaję. Jedyna prosta i szczerą istotą tutaj to Kipi. Chodź tu, Kipi, daj łapę doktorowi. Tak, tak, dobrze. Pozostań nadal uczciwym szympansem i nie ucz się niczego od tych tu...

Przybliżył się do tańczących, szarpnął za rękę Zsigmonda Bernátha i odciągnął go od baronówny Mariski.

— Czego pan chce? — rozłościł się student.

— Niczego, młody człowieku, oprócz mojego łupu. Panienko, proszę natychmiast udać się do swego pokoju!

Student zdziwiony wytrzeszczył oczy na doktora, jak gdyby ten był wariatem, który przypadkiem znalazł się na sali. Lecz Mariska uśmiechnęła się i to powstrzymało studenta od bardziej energicznej reakcji.

— Ależ, panie...

— Jestem Medve.\*

— Ach, tak? Skoro pan jest niedźwiedź, to niedźwiedzie lubią tańczyć czy też raczej każą im tańczyć, a pan sam nie tylko nie tańczy, ale przeszkadza innym.

— Wujek Medve to nasz doktor — wyjaśniła Mariska i skierowała się ku drzwiom.

Tymczasem inni goście wtrącili się do rozmowy i zaczęli prosić doktora, żeby pozwolił Marisce pobawić się jeszcze trochę, skoro jej nic poważnego nie dolega. Ale mały człowieczek był nieubłagany: potrząsał głową, wymachiwał rękami i mruczał z rozdrażnieniem:

— Tego jeszcze brakowało! Co to, rozumu nie macie? Ja chcę ją zreperować, a wy na nowo popsuć. Nic z tego, doktor Medve nie dopuści.

Młodziutka baronówna wstydliwie zapłoniona wyszła posłusznie z pokoju. Medve drobnymi kroczkami podążył za nią.

— Znów chcesz ją badać? — krzyknął w ślad za nim baron.

— Oczywiście! Czy może być coś przyjemniejszego jak opukiwanie tego ślicznego, świeżego ciała?

— Może i ja mam iść razem z tobą?

— Po co? Ty tylko przygotuj honorarium dla doktora!

Po pewnym czasie doktor wrócił do jadalni. Baron pośpiesznie odwołał go na stronę:

— No i znalazłeś coś?

— Jeszcze nie jestem pewien — odpowiedział Medve — jeszcze nie jestem pewien. W każdym razie w jej organizmie są jakieś niewielkie zmiany, tylko jeszcze się nie rozwinęły.

— Boże mój! — wyszeptał Döry przerażony zaglądając doktorowi w twarz, nieco zmieszany i nachmurzony. — Ukrywasz coś przede mną, Ignác?

Doktor wzruszył ramionami.

— Dobry lekarz mówi tylko to, co mu jest wiadome, i tylko to, co uważa za potrzebne. Jeśli ci to nie wystarczy, to wezwij innego lekarza.

Döry zbladł.

— To znaczy stan Mariski jest beznadziejny?

— Bynajmniej. Ale ty chcesz, żebym ci wypaplał wszystko, a ja tego nie zrobię. Nie spodziewaj się, że jeszcze coś ode mnie usłyszysz.

— Powiedziałaś, że choroba jeszcze się nie rozwinęła. Myślisz, że będzie się dalej rozwijała?

— Z całą pewnością.

— Straszysz mnie!

— No, to nie daj się straszyć.

Döry poczuł, że włosy stają mu dęba.

— Słuchaj, mój drogi, jeśli moja córka umrze, to się zastrzelę.

— Umrze? Kto ci to powiedział, że umrze? Dlaczego miałyby umierać? Nic złego jej się nie stanie.

— Och, Ignác, mój kochany, pozwól, że cię uściskam za te słowa.

— Nie, dziękuję. Lepiej zapłać mi, jak się należy!

— Zapłacę, ile tylko zechcesz, ale uratuj mi dziewczynę! A skąd masz pewność, że ona nie umrze?

— Bo od tego kobiety nie umierają.

— A więc to jakaś kobieca choroba?

Doktor kiwnął głową potakująco.

— Czy to blednica?

— Już ci mówiłem, że nic złego jej nie grozi. Na razie poprzestań na tym i nie wypytuj mnie więcej albo wezwij innego doktora i pytaj go, ile chcesz.

— No, dobrze, dobrze! Nie gniewaj się! Powinieneś zrozumieć niepokój ojca. A poza tym przeraziłem się, jak na ciebie spojrzałem. W zeszły poniedziałek, kiedy ją zbadałeś, także byłeś czymś zmieszany i zakłopotany.

— No, tak, oczywiście! Pański pokorny sługa. Od tej chwili, zanim stanę przed jaśnie panem baronem, będę uważał na wyraz swojej twarzy. A jeśli będę w złym humorze, co komu do tego, mam taką gębę, jaka mnie się podoba.

Baron uspokoił się i znów w dobrym nastroju pociągnął doktora do stołu.

— Chodź, napijemy się! Wierz mi, że i tobie twarz się rozjaśni, jak przełknjemy po szklaneczce tokaju. Hej, Gyurka, podaj tu winko, to najmocniejsze. A teraz siadaj tu, doktorze, przy stoliku i zagramy w wista.

— Ja nie piję, nie piję — bronił się doktor. — Przy mojej tuszy tokaj jest szkodliwy. Do diabła z twoim tokajem! Jeszcze od niego apopleksji dostanę. Każ raczej podać mi wina z wodą mineralną. A jeśli chodzi o wista, to gotów jestem zagrać, nie mam nic przeciwko

temu. Co prawda, powinienem pojechać do jeszcze jednego pacjenta, na folwark Rikkantó. Zachorował tam stary pastuch. Raka języka ma biedaczysko.

— Powiadają, że Bóg ukarał go za to, że złożył fałszywą przysięgę przed sądem — powiedział stary Izsépy.

— Bzdury i przesady — rzekł doktor. — No, dobrze, wstąpię do niego w drodze powrotnej.

Popatrzyli, jak innym idzie gra, po czym sami także zasiedli do kart. Grano już przy dwóch stolikach — i tak zabawiali się do samej kolacji, gdy goście zaczęli się rozchodzić. Na kolacji zostali tylko studenci, ksiądz, doktor, zarządca i Borhy, major w stanie spoczynku, stary kamrat barona. Panny Szirmay przyrzekły, że przyjdą po kolacji; proszono starego Izsépyego, żeby także został, ale powiedział, że wróci razem z córkami.

Przy stole doktorowi wrócił dobry humor. Ksiądz był dziwnie roztargniony i wyraźnie unikał jego spojrzeń. Mariska siedziała obok Buttlera, brała żywy udział w rozmowie, a od czasu do czasu ciskała kuleczkami z chleba w doktora Medve, który właśnie opowiadał o rozmaitych ciekawych przypadkach ze swojej praktyki lekarskiej.

— Lekarz — to istny Prügelknabe\*. Biją go za wszystko. Gdy powie, że choremu nie dolega nic poważnego, gniewają się na niego, nazywają bezdusznym psem; a gdy choroba wyda się lekarzowi niebezpieczna, obrażają się, mają pretensję, że straszy chorego, przez co jego stan się pogarsza. Gdy pacjent wyzdrowieje, mówią, że wróciłby do zdrowia także bez pomocy lekarza; jeśli nie następuje poprawa, twierdzą, że doktor źle leczył. Parszywy to zawód! Na niczyją wdzięczność liczyć nie można.

— Ale na tamtym świecie to już pana za wszystko sownie wynagrodzą — pocieszała go baronówna. —

Tam będzie panu zaliczone, ilu ludzi uwolnił pan od cierpień.

— Zaliczone? Ach, no tak, oczywiście! Przecież stamtąd, jak uczy wasza religia, zsyłają na ziemię wszystkie cierpienia. A po co zsyłają? Może ze względu na nas, lekarzy? Jakoś tego nigdy nie słyszałem. Zresztą, to wszystko puste gadanie. Kto wie, czy naprawdę istnieje „tamten świat”.

— A ja w niego wierzę — odparła Mariska, rzuciwszy spojrzenie na okno, przez które widać było skrawek granatowego, usianego gwiazdami nieba.

Ksiądz odłożył nóż i widelec.

— Ja jestem przekonany, że istnieje! — zawołał patetycznie. — Jakże można przypuszczać, że dusza, coś tak wzniosłego i niepojętego, nie potrafi istnieć w oderwaniu od ciała, że ma zniknąć bez śladu, jak para nad wystygłym rondlem. Czy to możliwe, aby po życiu ziemskim, gdzie jeden człowiek — dobry i szlachetny — jest biedny, nieszczęśliwy i do grobowej deski skazany na nędzę, drugi zaś — zły, grzeszny — pławi się w dobrobycie i życie uśmiecha się do niego wszystkimi urokami; czy to możliwe, powtarzam, żeby nie było najwyższego sądu, a po życiu ziemskim — innego świata, gdzie wszyscy ludzie byłiby sobie równi, gdzie każdemu Bóg odmierzałby według jego zasług. Pan Bóg nie mógłby, nie chciałby stworzyć świata tak niesprawiedliwego, pozbawionego wszelkiego sensu i logiki!

— Ple, ple, ple — roześmiał się doktor — logika to całkiem inna sprawa. Co ma z tym wspólnego logika? Duchowni nie powinni odwoływać się do logiki. Logika to Bóg myślących. Jeżeli naprawdę istnieje życie pozagrobowe, to zgodnie z logiką ksiądz powinien znaleźć się w piekle.

— Jjja? — zająknął się ksiądz i poczerwieniał na całej twarzy pod przenikliwym spojrzeniem doktora.

Studenci uśmiechnęli się, a baron wybuchnął głośnym rechotem, tylko baronówna zmieszana spuściła oczy.

— Tak, właśnie ksiądz! Jako pasterz duchowny powinien ksiądz znajdować się pośród zepsutych dusz, które miał za zadanie skierować na drogę cnoty. Ergo \* w raju, gdzie przebywają same cnotliwe, sprawiedliwe dusze, księża są całkowicie zbyteczni.

— Breee! — zawołał baron. — Ten Ignác to szpakami karmiony.

Widać było, że ksiądz uspokoił się nieco po tym wyjaśnieniu: „Trzeba znosić docinki tego starego kpiarza!”. Ale gdy doktor już zaczął, powstrzymać go było trudniej, niż odebrać psu kość.

— Przypuśćmy nawet, że życie pozagrobowe istnieje. Nasuwa się wówczas drugie pytanie: jaki jest ten świat? Niektóre ludy wierzą w metempsychozę. Ale to przecież nie odpowiedź. To nic innego, jak „istnieje i nie istnieje”. Bo jeżeli rzeczywiście istnieje wędrówka dusz, to czy ten kogut spacerujący po podwórku czuje się teraz nieszczęśliwy, jeśli był kiedyś, powiedzmy, młynarzem i tyle mąki nakradł za życia, że jego duszę wcielili w koguta? Czy temu kapłonowi nie jest obojętne, jeśli nic nie wie o tym swoim przeobrażeniu?

— A jeśli wie i cierpi... — wtrącił się do rozmowy major Borhy.

— Ależ nie wie! Skądże miałby wiedzieć? Gdyby wędrówka dusz istniała naprawdę i dusza naszego tłustego kapłona wiedziała, kim była przedtem, to i pańska dusza, drogi majorze, powinna by wiedzieć, w kim mieszkała kiedyś.

— Hm! To racja!

— No, to w takim razie całe życie pozagrobowe, razem z jego wędrówką dusz, grosza nie jest warte, jeśli mówić o karze za grzechy i nagrodzie za cnotę. Porozmawiajmy lepiej o innych aspektach życia pozagrobowego.

Turcy na przykład wyobrażają sobie tamten świat w postaci cienistego ogrodu, w którym śpiewają przepiękne hurysy. Hindusi jeszcze inaczej, my zaś przedstawiamy go sobie jako niebo i piekło, a katolicy dodają do tego i czyściec.

— Bardzo dobrze robią — zauważył baron.

— Dobrze? A dlaczego? — zapytał doktor niezadowolony, bo nie lubił, żeby mu przerywano.

— A dlatego, powiem ci, że czyściec przeznaczony jest dla takich właśnie jak ja. Człowiek sam najlepiej zna swoją wartość. Nie jestem zarozumiały i wiem, że nie mam żadnej nadziei dostania się do nieba. Ale i w piekle także nie chciałbym się znaleźć. A do czyścica może się i przepchać. Wyobrażam go sobie jako duchową pralnię. Bardzo mi odpowiada to stadium przejściowe i krótkoterminowe — z którego moi spoczywający w Bogu krewniacy wyciągną mnie za protekcją do nieba. Kiedy byłem jeszcze młodzieńkiem porucznikiem huzarów, zaglądałem często do kuchni, w której gospodarowała Nani, żeby potem móc dostać się do salonu, gdzie królowała Malvi... Wyjdź no na chwilę do drugiego pokoju, córeczko!

Mariska od dzieciństwa była przyzwyczajona do tego rodzaju ojcowskich nakazów i posłusznie, jak nakręcona lalka, poszła do drugiego pokoju, a gdyby nie szelest jej sukni, nikt by nie zauważył, że odeszła.

— Staliśmy wtedy w Preszburgu, byłem młody i straszny pies na kobiety, a jeśli chodzi o urodę, byłem nie mniej przystojny niż stary Izsépy, gdy był w gwardii. W sąsiednim domu mieszkała prześliczna wdówka; miała służącą, taką ładniutką dziewczynę z zadartym noskiem... No tak... Dobrze by było, gdyby i wielebny ksiądz wyszedł do drugiego pokoju, tylko — baron dorzucił swój zwykły żarcik — proszę nie podsłuchiwać pod drzwiami.

Książdz także posłusznie wstał i z wyrazem świętego oburzenia wyszedł w ślad za Mariską.

Doktor uśmiechnął się sarkastycznie, wyjął z kieszeni inkrustowaną perłową wykałaczkę (najprawdopodobniej jako „honorarium” od jakiejś wielkiej damy) i zaczął dłubać nią w zębach. Był urażony, że baron nie pozwolił mu dokończyć rozważań na temat życia pozagrobowego, i rzucił niedbale:

— Lepiej byłoby, gdybyś ty, mój zaciekle zwolenniku odosobniania dusz sprawiedliwych od grzesznych, sam zaczął podsłuchiwać pod drzwiami!

Baron słyszał te słowa, ale nie zastanawiał się nad ich sensem. Namiętny gaduła przypomina żołnierza, który w ogniu bitwy nie zauważy nawet, że został ranny.

W dalszym ciągu spokojnie opowiadał o swojej pikantnej przygodzie. A gdy dobrnął do końca, zapomniał już o replice doktora. Analogiczna historia przypominała się od razu także i majorowi Borhyemu. „Kamrat” spędził młode lata w Mediolanie, słynnym ze swojej katedry i kościołów, wśród czarujących signorin. Tam także przeżył trochę przygód, podobnych do tych, jakich doświadczył i malowniczo opisał Boccaccio. Potem i studenci zaczęli przypominać sobie rozmaite zabawne historyjki, jakich mnóstwo opowiadano w Sárospataku. Do tego miasta młodzież z całego kraju zwoziła pieniądze i anegdoty. Pieniądze pozostawały w kolegium, anegdoty zaś przechodziły do ogólnego użytku studentów.

— No, a teraz może już zawołamy z powrotem naszych wygnańców. Dobrego po troszku, a złego co za nadto, to nie zdrowo. No i Medve coś tam zrzędzi, że przeszkodził mi w dyskusji z księdzem. Mów dalej, Ignác!

Tematy męskich rozmów zmieniały się jak pola szachownicy — białe pole — zagadnienia religijne, potem czarne — różne pikantne historyjki i sprośności, potem

znów białe, potem znów czarne — i tak przez cały czas, tylko te dwie barwy na przemian. Opowiadano, że biskup z Pécsu przez siedemnaście lat nosił w kieszonce od kamizelki złotego talara z wizerunkiem Marii Teresy i ślubował sobie oddać go żebrakowi, o ile w rozmowie pomiędzy dwoma mężczyznami, trwającej nie mniej niż godzinę, nie usłyszy ani jednego pikantnego dwuznacznika. W końcu (kroniki nie podają, w jakim to towarzystwie durniów i mazgajów przebywał wówczas biskup) po siedemnastu latach przyszło mu rozstać się ze swoim talarem. A religia była jeszcze bogatszym źródłem tematów do rozmów i dyskusji.

Kalwinista naśmiewał się z papisty, papista z upartego kalwinisty, a obaj razem z luteranina. Ale to, co przed pół wiekiem stanowiło przyczynę ostrych tarć społecznych, teraz przeobraziło się w powód do żartobliwych docinków przy kieliszku wina. Cechy luteranów wymieniano dowcipnie w trzydziestu punktach: luteranin nosi w kapciuchu marchew zamiast tabaki, na wóz wsiada zawsze lewą nogą, wieczorem leżąc w łóżku pali swoją długą fajkę, opierając cybuch na ramieniu żony itd. itd. Teraz już nie zdejmuje się dzwonów z kościołów przeciwników, lecz tylko przedrzeźnia ich dźwięki, dobierając każdemu charakterystyczne dla niego tony. Wielki dzwon kalwinistów huczy miedzianym basem: „Przekleństwo wam, do diabła!”, dzwon katolicki dźwięczy śpiewnie: „Jezus Maryja, Jezus Maryja”, a dzwon luteranów bije wyraźnie. „Ani tu — ani tam, ani tu — ani tam!”. Leniwe umysły owych czasów wyostrzały się na podobnych kalamburach. Nic w tym zresztą dziwnego! W owych czasach nie było jeszcze gazet, które rozpowszechniałyby co dwadzieścia cztery godziny po całym kraju wiadomości, stanowiące materiał do dyskusji i wymiany zdań. Oczywiście wypadki polityczne zdarzały się również i w owych czasach, co

więcej, wtedy właśnie następowały wydarzenia wielkiej wagi politycznej. Jednakże do wiadomości zwykłych śmiertelników docierały tylko te najgłośniejsze, te, które wstrząsały światem — nie tak jak obecnie, kiedy wiadomo od razu o każdym najdrobniejszym fakcie. Napoleon tak zręcznie zrzucił z tronu paru pomniejszych monarchów, że wieść o tym nawet nie doszła do Olaszröszke. Lekką miał rękę — jak gdyby orzech zmiażdżył, a nie koronę. Gdy przybył, dajmy na to, do pewnego małego księstwa, nie obnażył nawet szabli, wyjął tylko z kieszeni ołówek i napisał na karteczce: „Od tej chwili przestaje panować tu dynastia Braganza \*”. I rzeczywiście, od tego czasu dynastia Braganza jak gdyby znikła! Ale co z tym mieli wspólnego mieszkańcy Olaszröszke, co oni o tym wiedzieli? Nie usłyszeli nawet skrzypienia owego słynnego ołówka.

Od niepamiętnych czasów te dwa fakty stanowiły niewyczerpany temat rozmów. Polityka to intruz, który od niedawna dopiero wtargnął w nasze życie.

Doktor znowu zaatakował księdza. Kiedy zaczynał się gorączkować, jego krótką, grubą szyją czerwieniała i nabrzmiwała, a małe, czarne oczka miały iskry.

— Weźmy religię bramińską lub buddyjską, różne perskie religie... Która z nich jest prawdziwa? A każda ma swój mit o królestwie niebieskim... Wynika stąd, że tych nieb powinno być co najmniej tyle, ile jest wsi na Węgrzech. W jakiej wsi znajdziemy się my, co?

— W naszej — odpowiedział ksiądz spokojnie. — W tej, którą przyrzeka religia chrześcijańska.

— A gdzie album z widoczkami tej cudnej krainy? Gdzie mapa? — Medve gniewnie uderzył pięścią w stół.

— No, no! Nie bluźnij, stary wolterianinie! — próbował uspokoić go baron.

— Można zapoznać się z nią czytając Pismo święte — bronił się ksiądz.

— Zostawmy w spokoju Pismo święte. Wymyślili je księża. Co, może nie księża? Więc kto w takim razie? Żaden rozumny człowiek, to już z całą pewnością. Na samym wstępie jest mowa o tym, że Bóg pierwszego dnia stworzył niebo, ziemię i powiedział przy tym: „Niech się stanie światłość!” i stało się światło — dodaje Biblia. No, dobrze, niech i tak będzie, ale nieco dalej Biblia mówi: „Na czwarty dzień stworzył Pan księżyc, słońce i gwiazdy” — i teraz dopiero wszystko staje się niezrozumiałe. Jakże mogła być światłość pierwszego dnia, jeśli Pan Bóg stworzył słońce, księżyc i gwiazdy dopiero na czwarty dzień? No i co? Może w ciągu tych trzech dni było jakieś inne źródło oświetlenia? Zgoda, przypuśćmy, że tak. Ale gdzie się podziało? Co się z nim stało? Proszę mi powiedzieć!

— No, no, Ignác! Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że księża porwali to... No, to... słowem to, co świeciło?

— No, oczywiście. Nie chciałem nic powiedzieć. Po prostu toczę bój i mam w swoim ręku pałkę — logikę, puszczam więc ją w ruch.

W rzeczywistości trzymał w ręku nie pałkę, tylko pusty kieliszek, z którego w roztargnieniu wypił wszystko wino, a potem w ogniu dyskusji zaczął machinalnie stukać nim o stół i stukał tak długo, dopóki go nie rozbił; odłamki z brzękiem posypały się na podłogę.

Wówczas odezwał się milczący dotychczas zarządca, Mihály Borhy:

— To znaczy, że pan, doktorze, nie wierzy i w to, że zmartwychwstaniemy w dolinie Jozafata?

— Pewno, że nie — odpalił doktor. — Co, do pioruna, może zmartwychwstać z mogiły, jeśli ciało przemienia się w proch, a dusza ulatuje? Wszystko wam się poplątało, moi panowie.

— I wujek Medve nie wierzy w to także — zapytała

baronówna — że niewidzialne dusze zmarłych unoszą się w przestrzeni i wszystko wiedzą o nas?

— Nie, moja panno, i w to także nie wierzę.

Pogroziła mu figlarnie paluszkciem.

— Zaraz, zaraz! Widzę, że pan doktor jest jeszcze gorszy niż hrabia Buttler. Ale ja dam panu nauczkę i to jeszcze dzisiaj! Zaraz przyjdą siostry Izsépy, a ja każę przynieść wirujący stolik.

— Nie, ja na to czekać nie będę. Nie jestem ciekaw podobnych głupstw.

## Rozdział czwarty

### JAKIE MOŻE BYĆ ŻYCIE POZAGROBOWE?

— A więc ty całkowicie nie wierzysz w istnienie jakiegokolwiek życia pozagrobowego? — nie przestawał dopytywać się baron, którego nadzwyczaj bawiło zacie trzewienie doktora.

— Nie wierzę i nie uwierzę, dopóki nie porozmawiam chociażby z jednym człowiekiem, który tam był. Tylko że takiego nikt jeszcze nie widział. Nawet Chrystus, od czasu gdy złożyli go do grobu, nie pokazał się więcej na ziemi.

— W Pataku opowiadają — wtrącił się do rozmowy Zsigmond Bernáth — jak to pewien pastor luterański dyskutował z księdzem na temat tego, co się dzieje na tamtym świecie. Każdy bronił swego punktu widzenia z wielką zaciekłością, aż w końcu tak ich ta dyskusja rozpałała, że poprzysięgli sobie, iż ten, który z nich wcześniej umrze, przyjdzie do tego drugiego i opowie uczciwie, po czyjej stronie jest prawda. Pastor zmarł wcześniej. W jakiś czas potem, w nocy, otwierają się drzwi i do sypialni księdza wchodzi nieboszczyk trupio-blady. Stąpając niedosłyszalnie zbliża się do łóżka księdza i mówi: „Ani twoja racja, ani moja”.

— I ja o tym słyszałem — potwierdził baron — stara historia.

Doktor machnął ręką z lekceważeniem:

— Od razu widać, że to był luteranin: ni tak, ni siak, ni ryba, ni rak.

— A może nie wolno mu było powiedzieć więcej.

— Ee, kto by tam mógł zakazywać duchowi? Skoro już odważył się na taką drogę, powinien był powiedzieć coś rozsądniejszego.

— Łatwo panu mówić, ale gdyby pan tak znalazł się na jego miejscu...

— Ja bym opowiedział wszystko. I opowiem, jeśli kiedykolwiek przyjdę stamtąd.

— Ręka, Ignác! Jeśli ty, oczywiście, zaryzykujesz iść o zakład.

— Bzdury! Powiedziałem przecież, że ja w nic nie wierzę.

— A jednak, jeśli jest tam cokolwiek, przyjdiesz i opowiesz.

— Przy pierwszej sposobności.

— Słowo honoru?

— Słowo! — zawołał wesoło doktor i wyciągnął rękę do barona.

— A ty przetnij, studentie, chociaż to wszystko, rozumie się, są głupstwa! My nigdy nie umrzemy! Nalej wina, Gyurka!

I dopóki goście nie wstali od stołu, szły toasty jeden za drugim. Pan domu pił za zdrowie gości — studentów, potem za swego starego kamrata, kamrat pił za zdrowie baronówny Mariski. Zarządca Borhy wznosił kielich za zdrowie Napoleona: „Daj mu Boże zdrowie i dobrą żonę” (w tych czasach uparcie krążyły plotki, że Napoleon ma zamiar ożenić się z córką cesarza austriackiego Franciszka). Podniósł się również z kielichem w rękę doktor i z najpoważniejszą miną zaproponował, żeby wypić za zdrowie szympansa „dostojnego członka społeczeństwa Olaszröszke”. „Tego cynika doktora do gruntu zepsuła rewolucja francuska” — burknął baron. Zsigmond Bernáth powiedział parę kwiecistych słów na cześć pana domu, wychwalając jego dobroć i szlachetność. A baron

tak się rozczulił, że objąwszy młodzieńca ramieniem, powtarzał: „Studencie, studencie, tyś mnie zrozumiał”. Księdzu nie pozostało nic innego, jak zaproponować toast za zdrowie chudej jak szczapa madame Malipau, którą porównał do ogrodnika, albowiem hoduje ona, ku radości oczu wszystkich, precudny kwiatek. (Baronówna od razu przetłumaczyła jego słowa na francuski, co wywołało niezwłocznie obfite łyży u madame, spadające do talerza z obierzynami jabłek i skórką od sera.) Widać było, że Buttler także obmyśla jakiś toast, ale tak z tym zwlekał, że jego pomysł pozostał nie zrealizowany, gdyż akurat w tym czasie przybyła rodzina Izsépych. Obie panny sterczały jak żerdzie jedna pod prawą, druga pod lewą ręką starego gwardzisty. W jakiś czas potem zjawily się panny Szirmay, za nimi mały Pista i w końcu ich mama. Trzeba było już choćby dla przyzwoitości opuścić jadalnię.

Doktor odszukał swoją laskę z kościaną rączką i zaczął się żegnać.

— Ech, ty! Nie zamierzasz chyba iść pieszo? — zaprotestował baron. — Poczekajże na rządcę. Albo jeśli chcesz, sam każę zaprzęgać.

— Co to, to nie! Jeszcze mam rozum; nie zamierzam rozchorować się dla twojej przyjemności. Księżyc świeci — taka przechadzka przy księżycu to czysta rozkosz. Najadłem się, napiłem, spacer dobrze mi robi.

I rzeczywiście, wielce szanowny doktor sapał jak dobrze utuczona gęś.

— No, a coś ty zapisał Marisce?

— Świeże powietrze. Jeśli do prowadzenia wojny są potrzebne tylko pieniądze, pieniądze i pieniądze, jak mówi Montecuccoli, to dla zdrowia, mój drogi baronie, potrzebne jest tylko powietrze, powietrze i powietrze. Niech ona przez cały dzień przebywa w ogrodzie.

— A ty kiedy przyjedziesz?

— Któregoś dnia wpadnę.

Z tymi słowami doktor pożegnał się. Całe towarzystwo odprowadziło go na ganek, co sprawiło mu prawdziwą przyjemność i nawet zażartował:

— Tak, tak! Szanujcie swego doktora, a długowieczność macie zapewnioną.

Niebo zaczęło zaciągać się chmurami.

— Może dać ci parasol?

— Ja nie Niemiec.

— A może weźmiesz mój kieszonkowy pistolet? — krzyknął w ślad za nim baron.

— Po co? Tego, kto dla mnie groźny, kule się nie mają.

Szedł parkiem, leniwie przebierając swoimi krótkimi nóżkami. Ujadanie psów świadczyło, że owczarki go zauważyły; jeszcze przez pewien czas słychać było skrzywienie żwiru, aż wreszcie odgłos jego kroków umilkł w oddali.

W domu tymczasem powrócono do programu rozrywkowego, który przerwała kolacja. „Budzę cię” i „Fanty” to zabawy, które nie przejadają się nigdy, tak samo jak chleb. Dopóki kobiety będą piękne, te gry towarzyskie nie utracą swego uroku.

Zbliżała się już północ, a ilość fantów ciągle się powiększała (nawet panny Izsépy doczekały się swojej kolejki — jedną z nich wybrał mały Pista, a drugą liściowy hrabia Buttler), gdy wtem Mariska oznajmiła, że jeszcze coś nastąpi.

— Ho, ho! Buttler, jeszcze coś panu obiecałam.

— Tak, tak, duchy. No niechże się zjawia!

Mariska poleciła, żeby przyniesiono z błękitnej bawialni do salonu ciężki dębowy stół, gdyż mały, lekki stoliczek z drzewa różanego, na którym stał wazonik z fiołkami, mógł nasunąć podejrzenia, że ktoś go porusza.

Wszyscy zebrali się przy stole, tylko szympansa wyrzucono za drzwi. Bezmyślne stworzenie mogło się nie spodobać duchom.

— Do stołu, do stołu! — brzmiał rozkazujący głos Mariski. — Proszę siadać, hrabio Buttler! Daj rękę, Ilonka! A ksiądz niech położy obie ręce tutaj. Bernáth, pan zostanie na swoim miejscu i zdejmie z ręki sygnet. A ty, papuśku, nie przyjdiesz? Posuńmy się troszeczkę, zrobimy miejsce dla Pisty. Proszę przybrać poważny wyraz twarzy, bo duchy nie lubią niedowiarków ani kpiarzy. Ajajaj, Buttler, niechże pan się nie śmieje!

Wszyscy położyli dłonie na stole tak, że małe i duże palce siedzących obok siebie stykały się, tworząc nieprzerwany łańcuch. Jakże prześliczne były pulchne rączki hrabianek Szirmay (niby świeżo rozkwitłe kwiatki różowiały ich wypielęgnowane paznokietki) i jakże ostro kontrastowały z nimi czerwone, żylaste ręce pańien Izsépy.

Jedna z nich, Vilma, wywracając w ekstazie oczy jak lunatyczka, zaczęła odmawiać cicho, sennie, grobowym głosem przeznaczoną na podobną okazję modlitwę. Ona jest najlepszym medium.

— Amen — powtórzyli wszyscy, gdy skończyła.

Teraz mogą już przychodzić duchy. Droga wolna.

Wirujące stoliki to ogólnie znana rozrywka w owych czasach. Co więcej, bardzo modna. Znaczy to, że spirytyzmem zajmowali się nawet ludzie nie będący jego wyznawcami, nawet i ci, którzy nie zdradzali specjalnego zainteresowania tą dziedziną. Jeśli chodzi o istotę rzeczy, to wiara w duchy jest równie stara, jak i atrakcyjność spraw nadprzyrodzonych. Jednakże spirytyzm miał swoje ukryte i znacznie silniejsze sprężyny. Człowiek nigdy nie może pogodzić się z myślą, że jego istnienie zostanie przerwane. Zakorzeniony w człowieku ego-

centryzm rodzi w nim pragnienie wiecznego istnienia, nawet po śmierci. Co tu mówić, człowiek to egoista.

Spirytyzm jest niewątpliwie równie stary, jak cała ludzkość; w miarę czasu zmienia się tylko jego sens i oblicze. Jednakże pierwszą zjawą z tamtego świata nie mógł być nikt inny tylko Kain. Już starożytni Grecy i Rzymianie wierzyli w to, że dusze zmarłych wędrują po ziemi. Nawet bogów swoich ściągnęli na ziemię, bo tak im było wygodniej.

Przesądny wieśniak węgierski od niepamiętnych czasów wierzył w duchy, które ukazują się otulone w białe szaty i straszą żywych, a wraz z pierwszym paniem koguta znikają. Na ich widok człowieka ogarnia przerażenie: nikt nie ma ochoty wdawać się z nimi w rozmowę. Dlatego więc chłopu nie przychodzi do głowy przywoływać z tamtego świata swych krewniaków, na odwrót, gotów on jest raczej zamówić mszę i świeczkę postawić za spokój duszy zmarłego, żeby tylko spoczywała wiecznie w ziemi-matce.

Inna sprawa z jaśniepaństwem. Oczywiście, oni potrzebują czegoś osobliwego. Od strachu przed upiorami broni ich wykształcenie, a dla zabawy wywołują takie duchy, które potrafią ich rozweselić, „wstępują” w stoły i w ten sposób gawędzą z ludźmi.

Pierwsi zaczęli wywoływać duchy magowie, tacy jak Cagliostro \* i jemu podobni. Ale ci byli jeszcze skromni: wywoływali Astharotha \*, który miał swój dzień przyjęć — środę (tak samo jak na przykład palatyn ma czwartek). W środę zjawiał się na wezwanie i tych, którzy go wywołali, wyposażał w umiejętności podobania się możliwym tego świata... Szkoda, że od tego czasu dobry Astharoth zrobił się bardziej skąpy — i chociaż karierowiczów namnożyło się sporo, nie mają już tego ducha wspomagającego, tylko własne obrotne języki.

Moda wirujących stolików przywędrowała z Amery-

ki, gdzie była bardzo popularna. Jankesi, a zwłaszcza ich damy, szaleli po prostu. Z pewnością myśleli sobie, że skoro są takimi parweniuszami, iż nie mają ani swoich lordów, ani hrabin, ani królów, ani sławnych rycerzy, ani wielkich pisarzy, ani kobiet o światowej sławie, skoro nie mogą odebrać Europie żywych znakomitości, to przynajmniej wywołają zmarłych wielkich ludzi na wieczory z herbatą i wistem. „Halo! Kręć się, wiruj, stoliku!”. Chwytają się tego, co jest śmiałe, straszne i niewiarygodne.

Najtrudniejszy moment seansu to początek. Duchy mają widocznie swoje kaprysy, które należy odgadnąć. Może na stole leży dłoń jakiegoś nie odpowiadającego im człowieka. Jest to wystarczający powód, żeby duch nie zjawił się na wezwanie. Co więcej, jeszcze inne duchy odstręczy.

Ale w domu barona Döryego można było się tego nie obawiać. Przy stole siedziały dwie ulubienice duchów — panny Izsépy. Na tej grzesznej ziemi nie udało im się wyjść za mąż, ale za to kurmacherzy \* z tamtego świata walili tłumnie. Mariska opowiadała, że czasami przychodziły do nich na seanse duchy rycerzy bretońskich, a nawet i trubadurów, co niezwykle pochlebiało obydwom dziewczynom.

Psst, ciszej! Aż serca zamarły. Stół zaczął drgać i huścić się rytmicznie.

— Idą! — żarliwym szeptem odezwał się ksiądz. (Miał na myśli duchy).

Madame Malipau przysunęła do siebie okrągłą tabliczkę z alfabetem, ażeby przygotować się zawczasu. Nie umiała ani słowa po węgiersku, toteż jakiegokolwiek oszustwo z jej strony nie wchodziło w rachubę.

— Kogo wywołamy? — zwrócił się ksiądz do stojących wokół stolika starszych panów.

— A czy można, kogo się chce? — zapytał major.

— Najpierw przychodzi jakiś pośrednik.

— Co ksiądz powiedział? Pośrednik?

— Duchy także mają swoich pośredników. A ci nawiązują już rozmowę z naszymi mediami.

— Hmm. To znaczy, wszystko odbywa się za pośrednictwem agentów?

— I w końcu nic z tego nie można zrozumieć. Wśród duchów niższego rzędu istnieją takie, które lubią płatać figle i pleść nieprawdopodobne bzdury. Zwłaszcza celuje w tym pewien podłotek z Koszyc. Zachowuje się tak, jak gdyby nigdy nie była przy zdrowych zmysłach.

— Co to za podłotek z Koszyc?

— Niejaka Rózsika Tóth, zmarła przed osiemdziesięciu laty. Jechała na ślub do Preszowa razem ze swoją matką, a w drodze powrotnej powóz wywrócił się i spadł do wąwozu. Teraz ona ciągle figluje i pęta się nieproszona.

Major, podkreślając węża, zauważył zdziwiony, że dziewczęta zamieniły się znacząco spojrzzeniami, i jak gdyby podzielały zdanie księdza na temat zwariowanej Rózsiki.

— Ale może nam się uda od razu wywołać kogoś rozsądnego — mówił dalej ksiądz, który najwidoczniej dobrze orientował się w świecie duchów — kogo mamy teraz wywołać?

— Wywołajmy Ferencza Rákócziego II — zaproponował rządcą. — Jego Wysokość Księcia Rákócziego — dodał śpiesznie z lękiem, gdyż stół zakolysał się podejrzenie.

Na ustach księdza zjawił się wyniosły, protekcjonalny uśmiech człowieka pobłażliwego dla cudzej naiwności.

— Nie takie to proste! Duchy znajdują się przecież w różnych sferach, łaskawy panie. Są i takie, które nie mają jeszcze określonego miejsca; one właśnie wędrują

po ziemi. Jest to swego rodzaju kara. Rózsika Tóth tuła się na przykład już osiemdziesiąt lat.

— Na nic lepszego nie ma co liczyć! — zauważył śmiejąc się stary Döry.

— Kto wie! Osiemdziesiąt lat życia pozagrobowego to tyle, co jedna minuta na ziemi. Te duchy, które są już umiejscowione w różnych sferach, szybują w powietrzu szukając swej drogi do Boga. Zresztą, pomiędzy sferami są duże różnice...

— Słowem, i na tamtym świecie nie ma równości, tam także są magnaci i biedacy.

— Tak jest, i dlatego właśnie tak trudno nawiązać kontakt z duchami wyższych sfer. Może i Rákóczi...

— Nie udzieli mi audiencji...

— Możliwe... ale przepraszam, już się ktoś zgłasza.

Zapanowała cisza jak makiem zasiał, słychać było tylko skwierczenie świec. Stolik zaczął dygotać i walić w podłogę jak żywa istota w ataku konwulsji. Gdzieś z wnętrza stolika dobiegło coś w rodzaju westchnienia, ucho złożyło jak gdyby lekkie brzęczenie.

— Kto tam? — zapytała Anna Izsépy grobowym głosem.

Stół poruszył się, usłyszeli jakiś tajemniczy stuk; potem jeszcze raz i jeszcze raz: puk-puk, puk-puk... Madame Malipau, jak pod dyktando, wskazywała litery swoimi cienkimi palcami. Stukanie urywało się, kiedy palce madame natrafiały na niewłaściwą literę; drugą ręką zapisywała słowa, które wystukiwał stolik: Mihály Bónis.

Zjawił się duch starego szlachcica z komitatu Szabolcs. Zmarł przed pięcioma laty, a przedtem często bywał w domu Dörych. Bernáth i Buttler dobrze znali tego starca, który za życia był zapalonym myśliwym. No, teraz trudno mu przyzwyczaić się do tego, że na tamtym świecie nie ma ani kuropatw, ani zajęcy!

— Czy moglibyśmy porozmawiać z Ferencem Rákóczim II? — zapytała Anna Izsépy.

Duch długo nie odpowiadał. Stół wykonywał jakieś nieokreślone ruchy, jakby dla kawału przechylał się to w prawo, to w lewo; wkrótce potem uniosła się w górę jedna noga, potem druga — jak u brykającego żrebaka — po czym stolik, niby naładowany magnesem, zaczął drgać rytmicznie (jakby niewidzialny człowiek szczękał zębami): Puk-puk, puk-puk!...

— Odpowiedź! — wyszeptali wtajemniczeni.

Madame kolejno zapisywała wystukiwane litery, z których powstało zdanie:

„Ferenc Rákóczy był już dziś tutaj w Olaszröske pod niepozorną postacią studenta”.

Wszyscy, nawet niewierzący, oszołomieni tym nadprzyrodzonym zjawiskiem, skierowali spojrzenia na studentów: który to z nich? Biedni studenci spiekli raka i zamienili się spojrzeniami, jak gdyby jeden chciał powiedzieć drugiemu: No, ale zaszczycił nas ten stary Bónis. Co prawda, za życia nazywał nas osłami.

Później wszakże Bernáth szepnął do Buttlera:

— Widziałeś dziś w karczmie tego chudego chłopaczka, który strzelał kamieniami do kurcząt?

— Pewno, że widziałem. Może to on jest tym studentem?

— A jeśli rzeczywiście?

— Nie wiesz, jak się nazywa?

— Zapomniałem.

— Kto chce poznać swoją przyszłość? — zapytał ksiądz. — Medium dziś łaskawe i chętne do rozmowy.

Nikt się nie odważył. Nie — to nie żarty! Tu idzie o śmierć i życie. Tylko mały Szirmay zaczął się wiercić na swoim krześle: to jeszcze dziecko, a do tego Szirmay; taki nie boi się niczego.

— No, niechże coś powie mały hrabia!

— Jakie będą moje losy? — odważnie zadał pytanie chłopiec.

Odpowiedź została wystukana: „Umrzesz w królewskim przepychu”.

W oczach hrabiny Szirmay, po tak wspaniałej wypowiedzi dla jej syna, ukazały się łzy rozrzewnienia; od tej chwili ślepo wierzyła stukającemu stolikowi, który tak hojnie obdarzył ją radosną wróżbą \*.

Stolik przechylił się, jak gdyby ktoś go popchnął, „nerwowy fluid” uleciał i wszyscy poczuli, że stolik znów stał się martwym przedmiotem z drewna.

— Odszedł — rzekła z żalem jedna z młodych hrabianek Szirmay. — Może pogniewał się na kogoś?

— Skądże znowu — powiedział ksiądz — duchy mają taki zwyczaj. Przychodzą i odchodzą, kiedy chcą. Ten jeszcze przyzwoicie postąpił — bo jednak odpowiedział. Ale teraz przyjdzie inny. Może Rózsika. Psst, stuka! Słyszeliście? To duch. Stuk-stuk. Madame, proszę zapisywać.

— Kto tu jest?

Madame zapisała litery: „Ignác Medve”.

— Cha, cha, cha! To Ignác — śmieli się starzy panowie. — A to ci heca!

Buttler z miną triumfującą i z ironicznym uśmiechem zdjął ręce ze stolika. — No, przecież jasne, że to bzdura.

Mariska gniewnie uderzyła łokciem w „zaczarowany” stolik.

— Znów ta głupia Rózsika urządza swoje psoty.

W odpowiedzi na uderzenie łokciem baronówny, stolik widocznie pogniewał się, zaskrzypiał i zatrzeszczał, jak gdyby płakał, po czym zakręcił się szybko niby liście jesienią na wicherze. Jednocześnie z jego wnętrza czy też z nóżek, a może z głębi któregoś z krzeseł dobiegły ostre, przerażające dźwięki. Wszyscy obecni aż zadrżeli.

— A jednak to doktor — rzekła Anna Izsépy prawie w transie.

Siostry Izsépy były prawdziwymi transmiediami. Obie miały w świecie pozagrobowym swoje astrale, które kontaktowały się z nimi bezpośrednio, choć obie panny o tym nie wiedziały. Tylko połowicznie istniały na tym świecie, tylko w połowie były sobą — resztę ich wypełniały astrale. Twarze i ręce drżały konwulsyjnie, w sposób aż nadto widoczny. Stary Izsépy opowiadał, że po każdym seansie spirytystycznym były tak zmęczone, tak wyczerpane, jakby cały dzień przepracowały w polu.

— Ciszej, proszę was, panie i panowie! Zobaczmy, co to może znaczyć.

Stolik uspokoił się, stukanie stało się cichsze, bardziej równomierne i wyjątkowo dobitnie przekazywało litery. Madame Malipau ledwie nadążała zapisywać je na papierze.

Wszyscy zaciekawieni pochylili się, pragnąc przeczytać:

„Obiecałem, że przyjdę powiedzieć, jak jest na tamtym świecie. Nie wydawajcie pieniędzy na lekarzy. Śmierć w gruncie rzeczy to tylko nieznaczna zmiana. Dusza zmienia miejsce, ciało — kształt”.

— Niepojęte! — zawołał ksiądz z przejęciem.

Stary Döry nachylił się, żeby sprawdzić stolik, po czym ze śmiechem rozejrzał się po wszystkich.

— Kto z was zrobił ten kawał?

— Dziwne — zastanawiał się głośno major Borhy. — Przecież to jest styl doktora. Czy to prawda, że madame nie zna węgierskiego?

W tej samej chwili za oknami rozległ się tętent konia, a potem gwałtowne stukanie do drzwi. Wszyscy drgnęli, choć duchy wchodzą przecież zazwyczaj inną drogą.

— Wejść!

Na progu ukazał się wachmistrz pandurów \* w mundurze, z torbą i szablą przy boku.

— Co się stało, Jeszenka?

— Melduję posłusznie, jaśnie wielmożny panie starosto, że dziś na drodze do Bénye polowy Balbó znaleźli zwłoki pana doktora Medve.

Twarze obecnych pobladły, osłupiałe oczy wyrażały strach. Wszyscy zerwali się z miejsc; sam baron dosłownie zmartwiał z przerażenia. Szympanś wpadł przez uchylone drzwi i nawet on ze smutkiem patrzył na pandura.

— Breeee! — wymamrotał baron. — To niemożliwe. Przed dwoma godzinami stąd odszedł. Kto wam to powiedział?

— Sam widziałem.

— Widzieliście doktora?

— Tak jest, widziałem.

— No i co?...

— Już nigdy więcej na tym świecie nie napisze recepty.

— Zabity?

— Nie zauważyłem żadnych śladów. Co prawda, nie badałem tak, jak należy. Spieszyłem się, żeby zameldować jaśnie panu o tym wypadku, a także po to, żeby otrzymać rozkazy, co robić dalej.

— Zaraz napiszę raport do wiceżupana, żeby przysłał rano komitatowego medyka. Goniec konny natychmiast zabierze raport. Zrozumieliście?

— Tak jest. A co tymczasem robić z ciałem?

— Nie ruszać, dopóki ja sam go nie obejrzę... Albo nie, dopóki nie zbada go medyk. Postawiliście wartę?

— Dwóch pandurów.

— Czy to pewni ludzie? Nie ogołocą mu kieszeni?

— Całkiem pewni, mogę ręczyć za nich.

— Co za jedni?

— Jeden z nich, András Kázmári, przyszedł do nas z bandy Janosika, chłop twardy jak skała! Drugi to Józsi Kolompos.

— Któż to taki ten Józsi Kolompos?

— Jaśnie pan starosta raczy wiedzieć. Ten, który siedział w Munkácsu za zabójstwo.

Baron zmierzył wachmistrza gniewnym, badawczym spojrzeniem.

— I wy ręczycie nawet za mordercę?

— Właśnie dlatego, jaśnie wielmożny panie starosto. Ten, któremu trafiło się coś większego, nie będzie rozmieniał się na drobne.

— A jednak, mój drogi Jeszenka, wracajcie tam natychmiast i pilnujcie do jutra, póki ja nie przyjadę. Uważajcie, żeby niczego nie tknąć palcem. W nocy i tak nic tam nie wypatrzę. Ciemno jest chyba, prawda?

— Całe niebo zachmurzone, można spodziewać się deszczu.

— Zabierzcie z sobą rogożę i przykryjcie nieboszczyka, tylko ostrożnie. Biedny Ignác, biedny Ignác! I nawet przy stole nie było trzynastu osób. Ojej! A wy, Jeszenka, zaczekajcie w sieni; zaraz napiszę list do wiceżupana.

Przez ten czas, kiedy baron w swej kancelarii pisał meldunek, a potem włożył go do koperty z napisem: „cito citissime!”, goście pobledli i zgnębieni, jak to bywa w takich wypadkach, przypominali sobie ostatnie słowa zmarłego. Każdy po kolei przytaczał coś interesującego, a nawet zadziwiającego. Dziś — zgadzali się na to wszyscy — był on jakiś wyjątkowo dziwny. Dlaczego właśnie zaczął mówić o życiu pozagrobowym? Dlatego, że sam, biedak, już tam się wybierał. A pamiętacie, co powiedział, gdy baron zaproponował mu, żeby wziął na drogę pistolet? Odpowiedział: „Tego, kto dla mnie jest groźny, kule się nie imają”. No, czyż to nie zadziwia-

jące? Och, wiedział widocznie, że śmierć czatuje na niego przy drodze. Mądry był nasz doktor, to trzeba przyznać. Nie będzie już drugiego takiego, jak on, w naszym okręgu. Świeć Panie nad jego duszą! A jaki obowiązkowy był z niego człowiek! Z tamtego świata przyszedł, tak jak obiecał. Co za niezwykły wypadek! Do tej pory nie mogę się uspokoić — powiedziała stara hrabina Szirmay.

Studenci byli także do głębi wstrząśnięci tym, co się stało.

— Nigdy tego nie zapomnę — szepnął Bernáth.

— No i co pan teraz powie, niewierny Tomaszu? — zapytała baronówna Buttlera, który chodził tam i z powrotem po pokoju blady jak ściana.

— Poddaję się — odparł zamyślony.

Baronówna podeszła do stołu, żeby rozjaśnić świece. Ksiądz w tym samym czasie rozmawiał z zarządcą, jaka to wielka strata dla duszy, jeśli człowiek odchodzi na tamten świat bez spowiedzi. I jak mu żal tego doktora... Słyszac szelest sukni Mariski, obejrzał się za siebie i zrobił parę kroków w jej stronę.

— On wiedział wszystko, ale nie wydał — szepnęła dziewczyna.

Duchowny uśmiechnął się chełpliwie.

— Zamknąłem mu usta złotym zamkiem.

Wszyscy wzdychali, żalowali zmarłego, tylko w starym Izséym wzbierała zawiść: „Ach, jaką on miał ciekawą śmierć. Ileż o nim będą mówili w komitacie. Kto inny przejdzie przez życie nie zauważony i odchodzi niepostrzeżenie jak jaka mrówka. Ot, na przykład pełźnie mrówka po czarnym kamieniu. A kto to widzi? Ani kamień nie zostawia na niej śladu, ani ona na kamieniu. Poszczyliło się temu doktorowi”. Biedny stary Izséy sam stał już prawie na progu śmierci, toteż nie było mu obojętne, w jakich okolicznościach ona go spotka.

— Gotów jestem iść o zakład — mamrotał do majora bezzębnymi ustami — że o tym wypadku będzie wzmianka w kalendarzu koszyckim, tak jest zdumiewająca. Chciałbym wiedzieć: czy dusza jego wciąż jeszcze przebywa w tym stoliku?

Major szcząkał zębami ze strachu.

— Nigdy nie bałem się żywych ludzi, ale nieboszczyk to dla mnie za wiele... Niech to diabli, ja już tego wytrzymać nie mogę.

Poprosił brata, ażeby kazał zaprzęgać konie, tylko niech jadą, jeśli to możliwe, inną drogą, nie tamtędy, gdzie leży trup doktora: jego nerwy nie wytrzymają tego widoku.

Jedynie mały Szirmay odważył się zaproponować, żeby raz jeszcze zapytać doktora o tamten świat. Teraz mógłby wszystko opowiedzieć, póki Bozia nie zdążyła zabronić mu tego. Szkoda byłoby przepuścić taką okazję.

Baron, który wrócił z kancelarii, również podtrzymał myśl wyrażoną przez chłopca: a nuż to jednak było morderstwo? Duch doktora zechce może wskazać zabójcę. I wówczas Döry pokazałyby tym panom z komitatu, co potrafi stary żołnierz! Stworzy pozory, że swoim własnym rozumem rozsypał nici przestępstwa.

— Dobrze! Porozmawiajmy z duchem doktora! Tylko mnie pozwólcie zadawać pytania.

Jednakże do tego nie doszło. Straszny wypadek odebrał wszystkim śmiałość. Nikt nie odważył się nawet przybliżyć do zaczarowanego stolika.

Za oknem było ciemno, choć oko wykol. W szyby zaębniły pierwsze krople deszczu. Teraz już i to także działało na nerwy.

Goście zaczęli się żegnać jeden po drugim. Każdy z nich prosił barona o przewodnika z latarką, żeby łatwiej trafić do domu. Baron zaprowadził studentów do

przeznaczonego dla nich pokoju i życzył im dobrej nocy.

— Kiedy chcecie jechać?

— Wcześniej, zaraz o świcie.

— Dobrze, wydam polecenie stangretowi.

— W takim razie, jeśli pan dobrodziej pozwoli, pożegnamy się z panem już teraz.

— Niech Bóg was błogosławi, moi chłopcy! Nie zapominajcie o swoim przyrzeczeniu w drodze powrotnej!

Baron nie mógł zasnąć całą noc. Meble w pokoju trzeszczały i skrzypiały, szklanka z wodą na nocnej szafce pękła — słowem, majaczyły mu się różne tajemnicze znaki. „Dobrze, dobrze, mój przyjacielu, dobrze, Ignác, zaraz przyjadę. Rozumiem, nieprzyjemnie ci tam leżeć, ale ja już jadę do ciebie”.

Gdy tylko niebo na wschodzie poróżowiało, starosta wstał i pojechał na miejsce wypadku.

Nie znalazł nic podejrzanego. Stary Medve leżał na ziemi pod wątlą gruszą, z otwartymi oczyma. Zastygłe spojrzenie jego szklanych oczu było jakieś dziwne; wydawać by się mogło, że chciał coś powiedzieć. Nie ulegało wątpliwości: starego doktora trafiła po drodze apopleksja.

Gdy baron pochylił się nad nim, usłyszał cykanie zegarka z kieszonki. Stworzony przez człowieka mechanizm jeszcze pracował, a stworzony przez Boga zatrzymał się już na wieki. Gorycz zakradła się do serca barona. Ciężko pomyśleć, że jakiś zegarmistrz potrafił stworzyć rzecz trwalszą aniżeli twórca wszystkiego, co istnieje na ziemi. Jakże wielki jest człowiek, a mimo to jest niczym. Oto ten, który tu leży, przed kilkoma godzinami jeszcze był człowiekiem mądrym i uczonym, a teraz leży martwy jak ten skrawek ziemi, na który upadł.

— Jeszenka, wyjmijcie z jego kieszeni portfel, zegarek, papiery. Obejrzymy, a potem zabiorę je ze sobą.

Jeszenka obszukał kieszenie nieboszczyka, ale niewiele przy nim znalazł cennego: na palcu sygnet z amethystem, w kieszonce srebrną cebulę (to ten zegarek tak cykał), tabakierkę z różanego drzewa z miniaturowym portrecikiem doktora Guillotine, oprawioną w masę perłową wykałaczkę i portfel.

Baron otworzył go i przeliczył pieniądze: było dziewięćdziesiąt guldenów w banknotach, a w owych czasach pieniądze papierowe były niezbyt cenione.

— I nic więcej?

W kieszeni spodni był klucz, trzy talary i trochę miedziaków.

— A tu jeszcze jakaś karteczka, proszę uniżenie... ale rozdarta.

— Wszystko jedno, dajcie ją tutaj, może tam jest coś ważnego.

Baron rzucił okiem na rozdartą karteczkę.

— Nic ważnego — mruknął rozpoznawszy swój niebieski papier i charakter pisma proboszcza z Olaszröske.

Był to zapewne kawałek listu, który wczoraj na jego prośbę ksiądz wysłał do doktora z prośbą o przybycie do chorej Mariski.

Zamierzał już wyrzucić kartkę, gdy wtęmem zauważył urywek zdania: „...proszę zataić prawdę przed jej ojcem.”

Baron bardzo się zdziwił: Co to za „ona”? Co to za ojciec? Przecież może być mowa tylko o Marisce, a ojciec to on sam. To znaczy, że przed nim trzeba ukryć prawdę? Jaką prawdę?

Litery zawirowały mu przed oczyma. Rozprostował zmięty papier i przeczytał: „Wynagrodzimy pana naj...” Koniec tego słowa był przeniesiony na drugą linijkę,

ale tu kawałeczek papieru został wydarty (zapewne zapalono nim fajkę) i można było odczytać jeszcze tylko dwa słowa na samym dole: „załączam 50 reńskich guld...”.

— Szukajcie dalej! — ochryple powiedział baron wstrząśnięty. — Powinny być tam jeszcze inne papiery.

Ale w innych kieszeniach nic nie znaleziono. Zresztą i tego było dosyć. Baronowi zdawało się, że cały świat wokół niego zawirował. W jego umyśle zrodziło się straszne podejrzenie. O Boże! Czyżby to było możliwe! To czyste, niewinne dziecko...

Na czole barona ukazały się kropelki potu, choć ranek był chłodny i lekki, srebrzysty szron jak muszki pokrywał trawę, a gałęzie nisko rosnącej gruszy kulily się zziębnięte. Po drugiej stronie wiejskiej drogi strzelała ku niebu smukła, zgrabna topola: siedziały na niej dwa kruki z powagą i nie odrywały oczu od martwego ciała. Myślały zapewne: „Gdyby nie było tych ludzi, doktor stałby się naszym łupem.”

Tymczasem przyjechali wozem Márton Zsombék, wójt wsi Bénye, a z nim Mihály Koppantó i gospodyni doktora. Straszna wiadomość dotarła już do nich, przybyli więc na miejsce wypadku. Wójt złożył głęboki ukłon jedynie panu staroście, po czym zafrasowany podrapał się w głowę: za jego przykładem poszedł Mihály Koppantó, wyrażając żal, że tak się złożyło, iż właśnie pod tą gruszą znalazł wieczne odpoczywanie wielmożny pan doktor Medve. Zły to znak. W żaden sposób nie mógł zrozumieć — cóż to — czy mało innych drzew na tej drodze, a jednak tu umarł. Smutne to, bardzo smutne.

Kiedy indziej baron zastanowiłby się nad tym, dlaczego właściwie obaj są tacy zafrasowani i dziwnie niezadowoleni, ale teraz myśli jego były daleko. Dopiero

po paru latach wyjaśniło się, dlaczego wójtowi tak się nie spodobało, że doktor umarł akurat pod tą gruszą. Chodziło o to, że właśnie tu zostały zakopane w żelaznej skrzynce pieniądze za sprzedane wino — dwa tysiące guldenów, których pilnowali dla zamydlenia oczu uzbrojeni w widły ludzie w domu zarządu gminy.

Z ponurą miną wysłuchał baron wójta, po czym oddał mu rzeczy znalezione przy zmarłym — wszystkie oprócz karteczki.

— Odwieźcie ciało doktora do domu — zarządził — żadnych śladów morderstwa tu nie ma.

To powiedziawszy, wszedł do bryczki i pograżył się w swoich ponurych rozmyślaniach. Przypomniał sobie wszystko po kolei, a między innymi i wczorajszą uwagę doktora, kiedy wysłał księdza razem z Mariską do sąsiedniego pokoju: „Byłoby dużo lepiej, gdybyś ty sam zaczął podsłuchiwać pod drzwiami”.

Teraz dopiero baron zrozumiał wszystko. Był bliski obłędu.

— Prędzej, prędzej! — pogaśniał stangreta.

Para gniadych mknęła jak wichher, unosząc lekką bryczkę.

„Zabiję tę dziewczynę, niech umrze! — mówił do siebie. — Po co ma żyć we wstydzie i hańbie? A co będzie potem, co będzie potem? Ją pochowają, a co ze mną się stanie? Powiem: «Była moją córką, postąpiłem z nią tak, jak na to zasłużyła. Jestem szlachcicem i nie mogłem postąpić inaczej!!»”

Może by to go uspokoiło, gdyby nie nękające go demony. Jeden z nich jak gdyby rozdzierał mu serce, drugi świdrował mózg, trzeci dźgał nożem, a czwarty szeptał:

„Co ci z tego przyjdzie, żeś ty szlachcic, żeś zemścił się i ukarał, jeśli nigdy potem nie zobaczysz swej córki, jeśli rano nie przyjdzie powiedzieć ci: Dzień dobry, pa-

pušku!, nie roześmieje się, nie pogłaszcze twojej brody? Co ci po honorze, jeśli nie usłyszysz więcej jej dźwięcznego głósiku w ogrodzie i w ogóle już nigdzie, nigdzie na tym świecie? Co ci z tego przyjdzie, że ludzie będą mówić za twoimi plecami: Dumny człowiek, wysoko ceni swój honor. A poza tym sam jesteś winien. Dlaczego jej nie upilnowałeś? Krew to krew, burzy się i szumi. Nawet woda kipi na ogniu. A więc kto ponosi winę? Ty sam!”

Był jeszcze piąty demon (w takich wypadkach zlatują się całą gromadą), który mówił: „Posłuchaj, Döry, dam ci dobrą radę... Hm, dobrą radę... Śmiały pomysł, to prawda, ale spróbować można...”

Baron zaczął jeszcze bardziej popędzać stangreta.

— Szybciej, durniu!

Konie były już tak pokryte pianą, że nie jeden, a stu ludzi mogłoby się nią namydlić. Gdy wjechali na podwórze, baron zeskoczył z bryczki. Natknął się na parobka z koszem i motyką.

— Studenci chyba jeszcze nie wyjechali? — zapytał gorączkowo.

Parobek z szacunkiem wyjął fajkę z ust, przełożył ją do lewej ręki i powiedział:

— A jakże, wyjechali już, proszę uniżenie.

Za tę informację otrzymał taki siarczasty policzek, że motyka, kosz i fajka wyleciały mu z rąk. Trzy dni jeszcze chodził spuchnięty.

Na ganku stała madame Malipau w czerwonym szlafrocuku i trzepała jakieś białe płótno.

— Co nowego, monsieur? — zapytała barona, usłyszawszy jego kroki na kamiennych schodkach tarasu. — Czy udało się coś wyjaśnić?

Aż płonęła z ciekawości, tak bardzo pragnęła się dowiedzieć, czy to była naturalna śmierć, czy zabójstwo.

— Tak, wyjaśniło się — lodowatym głosem odparł

baron — że pani jest wstrętna i niedbała i że ja nie mam zamiaru ani chwili dłużej trzymać pani w swoim domu. Proszę spakować manatki i powiedzieć stangretowi, dokąd ma panią odwieźć.

Madame zbladła jak śmierć.

— Ależ, panie baronie, przecież to niemożliwe! Pan chyba żartuje — wymamrotała.

Baron nie raczył jej nic odpowiedzieć i ciężko dysząc pobiegł do pokoju córki. Na progu siedział szympan, a w pobliżu niego myła się duża pręgowana kotka. Patrzyli oboje na siebie i zdawali się uśmiechać.

Baron kopnął małpę (tak że zaskrzeczała i czym prędzej uciekła), szarpnął drzwi i huknął groźnie:

— Wstawaj, nieszczesna!

Mariska jeszcze spała w swej śnieżnobiałej, przybranej koroneczkami pościeli; oczy, przysłonięte czarnymi, jedwabistymi rzęsami, miała zamknięte. Głowa jej spoczywała na brzeżku poduszki; prześliczne długie włosy spadały falami do samej podłogi, a promień słońca igrał wesoło w czarodziejskich puklach.

Na łoskot gwałtownie otwieranych drzwi i głośny okrzyk dziewczyna drgnęła, otworzyła oczy i uśmiechnęła się, zobaczywszy ojca.

— Toś ty tak krzyczał, papuśku?

Stary człowiek zmieszał się. Ach, lepiej byłoby nie widzieć tego jej uśmiechu. Zaczerwienił się, zaczął w myśli szukać słów.

— Tak, tak, to ja krzyknąłem... Powiedziałem...

— Coś ty powiedział, papuśku?

— Wstawaj, moja malutka. Muszę z tobą porozmawiać.

Głos jego brzmiał już łagodnie i bardzo smutno.

## Rozdział piąty

### AMATOR ZAGADEK

A więc studenci udali się w drogę. Cóż to będzie za radość w Bornócu. Od samego rana cały dom jest na nogach. Trzy dorodne służące krzątają się w kuchni pod kierunkiem kucharki Vidonkowej, która raz po raz posyła je z różnymi poleceniami to tu, to tam.

— Przynieś no trochę cynamonu! Podaj brytfannę, nie tamtą, ta będzie lepsza! Nadziałaś już kurczaki? Ach, ty gamoniu, przypaliłaś słoninę. Gdzieś ty podziała imbir?

W każdym rondlu coś bulgotało. Erzsika wstawiała do rozpalonego pieca babki, posmarowawszy je przedtem żółtkiem za pomocą miękkiego, gęsiego pióra.

Nawet męską część służby zatrudniono babską robotą. Furman János tłucze mak w móżdżerzu, a stan-gret Jóska, ponieważ należy mu się delikatniejsza robotą, uciera masło i przekomarza się z chichoczącymi dziewczuchami. — Nie słuchaj ty go, Panka, bo talerz ci wyleci z ręki! (Panka ubija widelcem pianę na talerzu).

Sam wielmożny pan udał się skoro świt z fuzją do lasu, żeby upolować jakąś dziczyznę dla chłopców, choć teraz kiepski czas na polowanie. Najbardziej ze wszystkich denerwuje się pani domu, coraz to narzeka, że pora roku fatalna i że niczego jeszcze nie ma z warzyw. Ogórki, chociaż hodowane w cieplarni, takie ma-

lutkie, kapusta kwaszona, niezbędna do ulubionego dania hrabicy Jánoša — racuszków — już się skończyła; kaczkę jeszcze są w puchu, gąsienice też; zapasy zeszłorocznych owoców i winogron już wyczerpane.

— Ach, Boże mój, Boże mój! Czym ja nakarmię biedaczków?

I tak jakby na lamenty gospodyni rondle odpowiadają wesołym syczeniem: szsz... szsz... to para unosi pokrywki i z szumem wyrывa się na wolność! W piekarniku rumieni się już prosie; w wielkim saganie dumnie postępują pulchne gołąbki — och! och! — a na samym środku pieca w rondlu syczy gniewnie smalec, w którym pływają się faworki.

Ale panią Bernáthową jeszcze coś innego niepokoi. Czy aby tym chłopcom nie stało się coś złego w drodze? I gdzie oni nocowali? A może szli zbyt prędko i Zsigmond zgrzany napił się zimnej wody? Już czas, żeby się zjawili. Ejże, Marci, czy wiesz, co myślę?

— Słucham jaśnie pani.

— Skocz no na dzwonnice i popatrz, czy nie widać ich na drodze! Pan organista da ci klucz, jak powiesz, że ja go proszę.

Marci, oberwany, bosy chłopak, który latem pracował jako pomocnik przy orce, a teraz ma okazję kręcić się przy kuchni w oczekiwaniu, że coś mu spadnie z pańskiego stołu, ucieszył się z tego polecenia i pędem pobiegł na dzwonnice.

Co prawda dzwony, jak mówił Jóska Tormási, zakrystian, wywieziono do Rzymu, ale dzwonnica na szczęście nie poszła ich śladem.

Wspinając się po kręconych schodkach mały Marci, skoro już znalazł się w świątyni Bożej, postanowił myśleć o śmierci Chrystusa, ale gdy przypomniały mu się smakowite zapachy wypełniające kuchnię, doszedł do wniosku, że Zbawiciel poświęcił się nie dla całej ludz-

kości, lecz tylko dla dwóch studentów z Sárospataku. Ze zdziwieniem stwierdził, że dzwony są nie w Rzymie, tylko tu na miejscu. Tak oto do duszy jego wkradło się pierwsze zwątpienie.

Chłopiec wrócił do wielmożnej pani z wiadomością, że na drodze nie widać nikogo ubranego po pańsku, tylko z daleka nad rzeczką Kucorgó ukazała się jakaś karetka.

Wielmożna pani znów uderzyła w lament, ale w tej samej chwili przed ganek zajęchała bryczka — ta sama, którą Marci zauważył z dzwonnicy — i, patrzcie no, wyskoczył z niej najpierw Zsigmond, a potem János.

— Jezus Maria! To wy? A ja już myślałam, że to jacyś wielcy panowie.

I wówczas dopiero nie było końca uściskom i wypytywaniom: — Kiedyście wyjechali? — Jeszcze wczoraj rano. — Jak to, nocowaliście u barona? Znałam go za moich młodych lat, był przystojnym oficerem. A więc ożenił się? No tak, oczywiście — odpowiada samej sobie — skoro mówicie, że ma córkę. Ładna? Zresztą wszystkie one teraz ładne. Wystarczy kupić w aptece bielideł i rózu. A więc przyjechaliście jego kareta? Od razu widać, że to dobry człowiek. Czego stoisz, Panka, z rozdziawioną gębą? Leć i powiedz Vidonkowej, żeby poczęstowała stangreta jak należy. No, wejdźcież do domu! Zaraz wróci wasz ojciec. Oj, co też ja gadam? Zwariowałam chyba. Chociaż czasami zdaje mi się, żeś ty, János, także nasz syn. Nie obrażaj się na starą ciotkę. Co się z wami dzieje? Zaniemówiliście czy co? Słowa nie można się od was doczekać. Czy i waszym profesorom też tak odpowiadacie?

— Mamo kochana, profesor zadaje tylko jedno pytanie i czeka na odpowiedź.

— Ale o ileż trudniejsze, nieprawdaż, mój chłopcze? Oj, jak wyście schudli! No, nic, to się da naprawić.

Wkrótce przyszedł i pan domu, sędzia tabularny kilku komitatów, i znowu zaczęły się uściski i rozpytywania. Potem z kolei zaczęli przybywać znajomi, panie i panowie, żeby popatrzeć na młodych ludzi, o których przyjeździe wie już cała wieś. Mówiono o nich w każdym domu, gdzie są piece z kominkiem \* i gdzie w ogrodzie kwitną geranium i werbena — słowem, tam, gdzie mieszkają dziewczęta. Och, wesoła w tym roku będzie Wielkanoc! A jaki śmigus! Teraz już pewno w każdym domu robią pisanki. Ileż będzie radości, tańców! Przecież do Bernáthów przyjechali na święta studenci!

Dni są już dość długie i wkrótce nasi bohaterowie tak się zżyją z przytulnymi pokojami domu rodzicielskiego, z miłym ciepłym gniazdem rodzinnego, z cudowną sztuką kulinarną Vidonkowej, z zapachem tytoniu z Gálócsu, że gdzieś w mglistą dal ulecą wspomnienia o ponurym kolegium, o zamku w Pataku i jego staroświeckich murach; będzie im się zdawało, że nigdy nie wyjeżdżali z tego domu, a jeśli, to nie na dłużej niż na pół godziny. Każdy z nich wrócił do tego, co musiał porzucić ubiegłej jesieni.

Zsigmond udał się do stajen i obór i zaczął oglądać krowy, byki, woły, przywitał się ze swym ulubionym ogierem Motylkiem, który poznał go od razu i zarżał radośnie. János zaś rozmarzony poszedł na spacer do ogrodu, ażeby popatrzeć na znajome miejsca. Był bardzo szczęśliwy, że mógł zostać sam.

Rozkwitły tylko morele i czereśnie, które zaufały wiosennemu słońcu i otwarły swe płatki na spotkanie jego pierwszych ciepłych pocałunków. Ach, jakże często bywają one zwodnicze! Nadejdą przecież jeszcze trzej „ogrodnicy” — Pankracy, Serwacy i Bonifacy. Zima odchodząc zrzuciła ze swego wozu tych świętych, a oni pozostali znacznie w tyle i pieszo wloką się za nią. Oczywiście zakwitł i bez, ale jemu i tak już wszystko

jedno. Nie musi owocować, zakwitł — a więc spełnił swój obowiązek. Ogromne, potężne dęby są powolne i stateczne, na nich nie nabrzmiewają pączki. Tym drzewom-olbrzymom wciąż jeszcze śni się zima.

Zatopiony w swoich myślach hrabia János wolno szedł w głąb ogrodu, wzdłuż szemrzącego strumyka, który płynął po uślanym kolorowym żwirze dnem i mijał jeden za drugim pięć czy sześć małych mostków. Za ostatnim mostkiem wznosiło się kamienne ogrodzenie; zatarasowałoby drogę strumykowi, gdyby w dole nie było zakratowanego otworu, przez który strumień wpadał do sąsiedniego dużego ogrodu.

Najbardziej ze wszystkich lubił hrabia János ten strumyk. Mały strumyk odnosił jego listy tam, do tak drogiego jego sercu ogrodu. I teraz także płynie w tę stronę, co myśli Jánosa — zawsze i tylko do tego samego miejsca.

Po cóż ukrywać przed czytelnikami, przed tyloma mądrymi ludźmi to, o czym ćwierkają wszystkie okoliczne wróble? Dlaczegoż mamy nie wyjawić, że sąsiedni ogród należy do Miklósa Horvátha, którego dom bieli się tam na wzgórzu (ściślej mówiąc, widać tylko narożnik zza sosen i brzoź), że stary Horváth ma córkę, imieniem Piroska, i że dla hrabiego Jánosa jest to najmiłsza na świecie dziewczyna.

Stary Horváth to jeden z najbogatszych ludzi w okolicy, ale ponieważ jest synem kuśnierza, nie pasuje całkiem do tego świata feudalnego. Majątek swój zdobył trochę niezwykle, rzecz można — nawet zawstydzającym sposobem: przy pomocy własnego rozumu. Inni zdobywali bogactwa mieczem lub za pomocą obrączki. *Tertium non datur* \*.

Rzecz w tym, że za młodych lat Miklós Horváth był profesorem chemii w Koszycach, lecz nie wzbogacił się, podobnie jak jego koledzy, którzy nie byli ulubieńcami

bogów. Należał do stanu duchownego, ale właśnie zakochał się, zrzucił sutannę, pozostawił katedrę, a ponieważ nie znał niczego na świecie prócz chemii i poezji, zaczął zastanawiać się nad tym, jak przeobrazić swoje umiejętności w pieniądze.

No, z poezji pieniędzy wyciągnąć się nie da. Smutnym przykładem prawdziwości tego stwierdzenia jest Mihály Csokonai, który w dziurawych butach chodził od mecenasa do mecenasa, a przecież ci mecenasi mieszkają tak daleko jeden od drugiego! Csokonai był samotny, natomiast Miklós Horváth miał piękną żonę, która wkrótce po ślubie obdarzyła go dwiema córeczkami — bliźniaczkami. Jasna rzecz, trzeba było znaleźć jakieś zajęcie i oczywiście wykorzystać raczej chemię niż ars poetica\*.

Właśnie wtedy po śmierci ojca Miklós Horváth, jako jedyny syn, otrzymał w spadku około sześciu tysięcy guldenów i wówczas przyszło mu do głowy, żeby zająć się gorzelnictwem. Ponieważ jednak zwykła wódka jest bardzo tania, gdyż tylko chłopci ją piją, Horváth wymyślił coś nowego. Wiedział, że na wsi od wielkiego święta, podczas wesela czy chrzcina, doprawiają wódkę miodem i taką piją chętnie nawet kobiety. Wpadł na pomysł produkowania specjalnej nalewki dla szlachty. Przecież jasnie panowie mają pieniądze i mogą dobrze zapłacić.

Przemysławszy wszystko, Horváth doszedł do wniosku, że jego napitek powinien być koloru róży i słodki jak cukier, ponadto mocny, aromatyczny z posmakiem kminku. Węgrzy lubią, żeby im się odbijało po wypiciu. Niech więc będzie według ich woli.

Przygotował nasz zacny Horváth tę wymyślną mieszankę i nazwał ją „rózanką”. Kupił kadzie, przywiózł z Wiednia aparat do pędzenia wódki (dopiero co wynaleziony) i zaczął produkować ten niebywały napitek w wielkich ilościach.

Sąsiedzi i krewni tylko głowami kiwali:

— Zwariowałeś czy co? Myślisz, że ludzie będą to kupować? Nie tak łatwo rozruszać Węgra. Pomysł niezgorszy i wódka niezgorsza, ale gdzie są kupujący?

Horváth uśmiechał się chytrze:

— Na cmentarzu...

Wówczas wszyscy zgodnie orzekli, że on po prostu zwariował.

Miklós Horváth nie był wszakże pozbawiony pomysowości i kiedy zobaczył, że interes nie idzie, posłał agentów na górne Węgry do proboszczów i kazał im zebrać w parafiach kościelnych informacje, gdzie i kto z bogatych dziedziców zmarł niedawno, pozostawiając duży spadek.

Wkrótce wysłannicy wrócili ze spisami zmarłych. I wówczas imć pan Horváth kazał naładować wozy beczkami z nalewką i rozwieźć beczułki „rózanki” po jednej dla każdego umarłego dziedzica. Agenci ruszyli w drogę, zatrzymywali się przed każdym pogrążonym w żałobie dworem, staczali z wozu beczułkę i oświadczyli, że gdy poprzednim razem tędy przejeżdżali, wielmożny pan kazał im taką beczułkę dostarczyć.

Spadkobiercy dziwili się — albo i nawet nie dziwili — mówili, że niestety dziedzic właśnie zmarł, ale żeby nie komplikować sprawy, wezmą beczułkę „rózanki”, chociaż nie wiedzą, co to takiego.

— Bądźcie spokojni, nie pożałujecie — zapewniali agenci.

I tamci rzeczywiście nie żalowali. Tak więc, nie zawsze po dobrej woli kupujących, zbyt rósł. Wracając z pustymi wozami agenci zatrzymywali się i brali od proboszczów nazwiska nowych „nabywców” spośród nieboszczyków. Opatrzność była w tym jednym konsekwentna: śmierć nie szczędziła i wielkich panów, chociaż co prawda nie w tym stopniu co gilotyna paryska,

która poczyniła w ich szeregach znaczne spustoszenia.

A więc spisy wciąż się uzupełniały i wozy Horvátha raz po raz ruszały w drogę. Liczba ich wciąż wzrastała i teraz jeździły już one aż do Alföld i za Dunaj prawie do Zagrzebia, a nawet jeszcze dalej. Przecież zaci Chorwaci także lubią dobrą wódkę i na szczęście, tak samo jak wszyscy inni ludzie, są śmiertelni.

W ciągu kilkunastu lat gorzelnia Horvátha bardzo się rozrosła; od rana do wieczora kipiały kotły, a pieniędzy gospodarz miał tak dużo, że nie wiedział, co z nimi zrobić. Gdy cesarz Franciszek zaapelował do szlachty i magnatów, żeby spełnili swój obowiązek i wzięli na siebie ciężar choć części kosztów wojny z Francuzami, Miklós Horváth sam jeden posłał do Wiednia tyle wołów, ile cały komitat Szatmár. Jeśli chodzi o Szatmár, to z historii wiadomo, iż wysłał cesarzowi tysiąc sztuk bydła, co znalazło odbicie w ówczesnym dwuwierszu:

Tysiąc sztuk wołów posłał Szatmár cesarzowi,  
A cesarz mu jednego wysłać postanowił.

Chodziło o to, że właśnie w tym roku cesarz mianował nowego nadzupana w Szatmárze. Najjaśniejszy Pan okazał Horváthowi większą hojność niż całemu komitatowi. Nadał gorzelnikowi szlachectwo, dodając do jego nazwiska stały przydomek „Szilvási” — śliwkowy-śliwicki (to akurat nie odpowiadało prawdzie, gdyż Horváth fabrykował swoją różankę nie ze śliwek).

Z chwilą gdy został szlachcicem, przestał pędzić wódkę (zajęcie to już nie licowało z jego nowym tytułem) i kupił od zbankrutowanych hrabiów Czoborów duży majątek, gdzie zamieszkał razem ze swoimi córkami, które do tego czasu zdążyły podrosnąć.

Tak oto stary Horváth został bogatym człowiekiem i do tego szlachcicem. Węgierska szlachta w tym cza-

się stanowiła środowisko, w którym skupiała się elita kraju. Wystarczyło, ażeby ktoś zdobył autorytet i szacunek z tego czy innego względu lub kapitał materialny czy duchowy, tak wysoko ceniony, to niezależnie od tego, czy był Rumunem czy Niemcem, od razu przyjmowano go do swojego kręgu. Dewiza była jedna: przyciągnąć wszystkich najważniejszych. Idee narodowe dlatego mogły się uchować tak długo, że szlachta każdego, kto mógłby dla niej być niebezpieczny, czyniła swoim sojusznikiem.

Poza tym kręgiem pozostawali tylko najślabi, najbardziej bezradni. Przyznać należy, że nasi przodkowie byli mądrymi ludźmi i wy, panowie demokraci, nie plujcie na wyblakłe i zniszczone stare herby. To są relikwie. Z nich właśnie, z tych małych herbów powstała barykada zabezpieczająca nietykalność wielkiego, świętego herbu, który zamierzaliśmy przerobić, wbrew wiekowym tradycjom, i zastąpić go duchem masońskim.

Szlachta węgierska nie stanowiła nieprzebitego muru, oddzielającego klasy uprzywilejowane od ludu, w tym murze znajdowała się szeroko otwarta brama dla tych wszystkich, którzy zasłużyli sobie na prawo wejścia do wewnątrz. Ale mimo bogactw Horvátha, szlachta patrzyła na niego z góry. Nawet inni Horváthowie, ci z Bibit, Felsőbogács, Nagyvárad, nie lubili Miklósa i nie odwiedzali go, chociaż on złożył im wizytę.

Niechęć do niego tłumaczyli nie tym, że zajmował się pędzeniem wódki, lecz że sprzedawał ją w sposób oszukańczy, na rachunek zmarłych, co niezupełnie było prawdą. Do tego sposobu uciekał się tylko na początku, później jego interes szedł doskonale bez pomocy jakichkolwiek sztuczek.

Dlatego właśnie w jego domu bywała tylko drobna szlachta, z tych, co to „chodzą w bekieszach”. Ale ich

także złościła pompatyczność Horvátha i często robili uszczypliwe żarciki pod jego adresem, na co on jednak, jako człowiek dobroduszny, nie zwracał uwagi.

— Nic nie szkodzi — mówił — szlachectwo, tak samo jak galareta, musi mieć czas, żeby zastygnąć.

Przyznać należy, że było w nim coś z parweniusza, trochę nadętości, od czego rzadko który self-made man \* jest wolny. Wpadł mu na przykład do głowy wariacki pomysł, żeby przerobić swój dom na średniowieczny zamek. Pomijając całą niesmaczność tego postanowienia, było to co najmniej niebezpieczne tak brawurować po minionym niedawno okresie Robespierre'a i Marata!

Ale choćby zbudował wieżę z marmuru, choćby pokrył ją całą srebrem — i tak nie będzie to autentyczne. Ot, na przykład, dom Bernáthów nie ma żadnych specjalnych ozdób, tylko fasadę zdobią cztery kolumny, a mimo to jest on wiele wart, już chociażby dlatego, że w jednym z narożnych pokoi zatrzymał się pewnego razu — przejazdem z Kaposu — sam Ferenc Rákóczi z małżonką. I coś więcej jeszcze! Zostawił w tym domu przez zapomnienie okutą miedzianą szkatułkę, taką, w jakich podróżujący magnaci owych czasów wozili pieniądze (oczywiście pustą). Ponadto frejliny księżnej (te rzeczywiście już jadły chleb darmo) pakując rzeczy zostawiły na stole jej gorset.

Zadziwiająca, jak można go było zapiąć na jej talii... Za to wyżej był bardzo szeroki.

No, czy taki pan Horváth mógłby zbudować dom podobny do tego, w którym księżna Rákóczi zostawiła swój gorset? Oczywiście, że nie.

Ale Horváth nie zrażał się i udawał prawdziwego „właściciela zamku”, upodabniając się tym błaznowaniem do małpy w domu Dörych, która zobaczywszy pewnego razu, jak szewc bierze miarę z malutkiej nóżki baronówny Mariski, także wyciągnęła do niego łapę.

Miklós Horváth zbudował wieżę, zwodzony most, a gdy był obecny w domu, nad wieżą powiewała flaga z herbem Horváthów, przedstawiającym głowę wołu (No, tak, cesarz nie zmienił swego zwyczaju: za tysiąc wołów płacił jednym łbem wołowym!). O ileż ładniejszy jest herb Bernátha — na błękitnym polu noga przebita mieczem!

Gdy Horváth zasiadał do obiadu, na zamkowej wieży trzykrotnie trąbiono na rogu — jakby specjalnie po to, żeby cała wieś, usłyszawszy te chrapliwe dźwięki, mówiła: „Aha, u Horváthów podano zupę”. O ileż przyjemniejszy dla ucha był szlachetny dźwięk używanej od dwustu lat srebrnej zastawy w domu Bernáthów, zwłaszcza jeśli przyłączał się do tego brzęk stuletniej porcelany.

W osobie Horvátha zabawnie łączył się były nauczyciel chemii ze średniowiecznym feudałem, o jakich naczytał się w książkach. Dlatego też wywierał na wszystkich komiczne wrażenie. A na przykład sposób, w jaki wydał za żonę swą córkę Rozalię — śmiechu wart.

Była to ładna, postawna dziewczyna, rzekłbyś, cesarzowa Maria Teresa w młodości. Po całej okolicy krążyły wieści, że ma dostać wielki posag, i konkurenci zaczęli ścigać ze wszystkich stron jak trzmielę do miodu.

Wszyscy pałali ciekawością, komu dostanie się za żonę „Różany płatek”, jak nazywano ją w świecie „arystokratycznym”.

Zarozumiały parweniusz oświadczył, że pluje na rangi, pochodzenie i bogactwo, a córkę swą wyda tylko za mądrego człowieka, który odpowie na trzy pytania. Stara małpa! Naczytał się bajek o tym, jak to dawniej rycerz, starając się o rękę córki jakiegoś pana zamku, musiał najpierw ściąć mieczem z czarodziejskiego drzewa trzy złote jabłka.

Przyjechał któregoś dnia w konkury młody człowiek z Wiednia, słynący jako wielki mądrala; mówiono, że czeka go wspaniała przyszłość, że może zostać nawet kanclerzem. Takie to słuchy poprzedzały jego przybycie.

No, cóż, bardzo dobrze! Wysłuchał Horváth młodego człowieka przychylnie, zaprosił na obiad, obiecał zaraz po obiedzie dać odpowiedź.

Przy stole gawędził z nim o różnych rzeczach, nie mających żadnego związku z konkurami. Między innymi powiedział, że w swoim czasie także bywał w Wiedniu i zawsze stawał w hotelu „Matschaker-Hof”, a zaraz potem opowiedział, skąd się wzięła ta nazwa.

— A więc, gdy zakładano fundamenty, wykopano żelazną skrzynkę. Otwierają i — co widzą. W skrzynce są małe i duże matschakery. Stąd się wzięła, synku, nazwa hotelu „Matschaker-Hof”.

Młody człowiek wysłuchał tego z poważną miną i był bardzo zadowolony: teraz już będzie wiedział, skąd wzięła się ta nazwa. Poza tym nic szczególnego w opowiadaniu starego Horvátha nie zauważył, pomyślał tylko w duchu: „Jakaż to głupia anegdota”. Anegdota była rzeczywiście głupia, a przy tym nienowa nawet w owych czasach. Ale pan Horváth nagle wyraźnie ochłodził w stosunku do konkurenta, a po obiedzie oświadczył, że bardzo mu żal, ale córka jest za młoda i za mąż jeszcze jej nie wyda.

— Ach, mój panie, proszę się przyznać, że to tylko pretekst do odmowy. Czuję, że w czymś panu nie dogodziłem. Proszę powiedzieć szczerze i otwarcie, jaki jest istotny powód?

Horváth, zgodnie ze swym kupieckim przyzwyczajeniem, chwycił gościa za guzik, jak to czynił zawsze, gdy rozmawiał z kimś poufale, i powiedział:

— Otóż, młody człowieku, pan nigdy nie będzie tym,

za jakiego pana wziąłem początkowo. Nie znajduję w panu prawdziwego dążenia do wiedzy, natomiast widzę dużo zarozumiałstwa. A to znaczy, że na wielką karierę liczyć pan nie może.

— Ależ przepraszam, skąd pan może ni z tego, ni z owego tak twierdzić?

— Ni z tego, ni z owego? A czy pan, młody człowieku, wie, co to są matschakery? No i co, zarumienił się pan?... Nie wie pan. Nie należy się czerwienić, jeśli się nawet czegoś nie wie. Lepiej zapytać. Widzi pan, ja sam nie wiem, co to takiego matschaker. Ale różnica między nami polega na tym, że ja na pańskim miejscu bezwarunkowo starałbym się dowiedzieć, a pan nawet nie spróbował. Ja nigdy nie przybieram takiego mądrego wyrazu twarzy i nie będę udawał, że wszystko rozumiem. Czego nie wiem i nie umiem, tego się nauczę.

Słowem, młody człowiek musiał wracać do domu bez narzeczonej, ale za to bogatszy w znajomość jeszcze jednej anegdoty. Czytelnik niechaj nie wątpi o autentyczności tej historii, bo przecież opowie to każda stara baba w okolicy; nawet Ferenc Kazinczy\* wspomina o niej w swoich zapiskach.

Drugim pretendentem do ręki Horváthówny był jakiś wielki przedsiębiorca z Brna. Jako człowiek interesu, nie ukrywał przed przyszłym teściem, że zamierza za posag żony otworzyć przedsiębiorstwa w całej Europie środkowej. Staremu Horváthowi spodobała się szczerłość starającego się, ale powiedział mu właściwym sobie żartobliwym tonem:

— Słusznie, bardzo słusznie. Z przyjemnością wydam swoją córkę za człowieka interesu, bo i ja w swoim czasie byłem przedsiębiorcą. Jednakże sądzę, że pan słyszał, iż jestem trochę dziwakiem. Proszę nie protestować! Wiem, że mówiono już panu o tym, i to jest prawda.

Jestem rzeczywiście trochę wariat. Ale mój obłąd nie jest niebezpieczny, proszę się nie obawiać. To swego rodzaju mania. Mam zwyczaj zadawać pewne pytania każdemu, kto stara się o moją córkę. A reszta zależy od odpowiedzi. Wiem, że to głupia fantazja, ale nic na to poradzić nie mogę.

— Tak, słyszałem coś niecoś.

— No, w takim razie proszę mi odpowiedzieć na takie pytanie: codziennie z Preszburga do Brássó wychodzą dwa dyliżanse pocztowe i tyleż samo w odwrotnym kierunku. Jeśli, powiedzmy, podróż trwa dziesięć dni, ile dyliżansów spotka pan na drodze z Preszburga do Brássó.

— Dwadzieścia.

— No, no, młody człowieku! Proszę dobrze pomyśleć, nie tak jest.

— W tej zagadce musi być jakaś pułapka.

— Zapewniam, że nie ma.

— To znaczy, że dwadzieścia, bez wątpienia; albo, jeśli przyjąć, że dwudziesty przybywa do Preszburga akurat wtedy, kiedy ja stamtąd wyjeżdżam, to w takim razie dziewiętnaście.

— Nie, nie! Bardzo mi przykro, mój młody przyjacielu!

— Niech mi pan pozwoli pójść do swego pokoju, żebym mógł spokojnie zastanowić się nad pańskim zadaniem.

— Proszę bardzo — zgodził się Horváth uśmiechając się ironicznie.

Cały dzień przedsiębiorca z Brna siedział w pokoju i liczył jak opętany, zabazgrał cyframi dziesiątki arkuszy papieru. Pot lał się z niego strumieniami, ale wszystko było na nic. Za każdym razem otrzymywał inny wynik. W końcu poprosił kucharkę o ziarnka bobu i rozsypawszy je na stole próbował wyobrazić sobie

ruch dyliżansów pocztowych na drodze Preszburg—Brássó. Ale i to nic mu nie pomogło, zaplątał się tylko jeszcze bardziej.

Horváth widząc, że biedny konkurent nie może dać sobie rady, postanowił nie męczyć go dłużej i powiedział:

— Niechże pan zrozumie, że z pana nigdy nie będzie dobry przedsiębiorca. Pan nie umie przewidzieć rozwoju wypadków już w najbliższej przyszłości. Przecież drogą Preszburg—Brássó jadą także i te dyliżanse, które zostały wysłane przed dziesięcioma dniami, oprócz tych, które wyruszały przez te dziesięć dni. A więc jedźcie razem czterdzieści dyliżansów. A co się tyczy pańskiej drogi powrotnej, to proszę nie mieć mi za złe, ale będzie pan musiał wrócić z koszem.

Taki to figlarz był z tego Horvátha. Wszyscy już myśleli, że jego córka nigdy nie wyjdzie za mąż z powodu dziwactw ojca, gdy wtem w ich domu zjawił się przystojny oficer huzarów, rodem z za Dunaju, nazwiskiem Bezerédj, znany ze swej głupoty. Znajomi już z góry wyśmiewali się: „Ten to na pewno przepadnie”. Biedny Bezerédj co prawda prochu nie wymyślił, ale ku zdziwieniu wszystkich odpowiedział doskonale na trzy pytania zadane mu przez Horvátha i dostał „księżniczkę” za żonę.

Teraz z kolei kpiarze męczyli się nad zagadką, nie mogąc zrozumieć, jak to ten Bezerédj przechytrył staro Horvátha. Oczywiście nikt tej zagadki nie rozwiązał, a sprawa była całkiem prosta. Kapitan miał piękne, długie wąsy, a takie długie wąsy są o wiele ważniejsze niż rozum. Huzarskie wąsy olśniły córeczkę, która знаła na pamięć wszystkie pytania ojca i nauczyła wásala, jak na nie odpowiadać.

Teraz przyszła kolej na siostrzyczkę Rozalii, Katalin. Tym razem stary Horváth wykonywał jeszcze trud-

niejsze pytania dla konkurentów, ale szczęście go za-  
wiodło. Tak to bywa: tam gdzie już jest kapitan, to  
i porucznik drogę sobie utoruje. Jednakże niższa ranga  
nie może serio pretendować do ręki dziewczyny — by-  
łoby to nader nieskromne. Musi więc działać okólnymi  
drogami. W ten sposób porucznik Pál Langwitz, którego  
kapitan Bezerédj przyprowadził do domu swego teścia,  
pewnej nocy bez zbędnych słów porwał Katalin, za-  
oszczędziwszy staremu Horváthowi kilku wymyślnych  
pytań.

Niczego więcej porucznik do końca swego życia nie  
umiał zaoszczędzić.

## Rozdział szósty

### TRZECIA CÓRKA

Ten cios ostatecznie dobił Horvátha. Rozzłoszczony na cały świat postanowił swoją najmłodszą córkę, dziewczynę najładniejszą w całej okolicy, wychować tak jak Turczynkę, z dala od męskich oczu. Piroska w owym czasie chodziła jeszcze w krótkiej sukieneczce i myślała, że dziedziniec i ogród, wielki duński dog, kotka angora, baranek z niebieską wstążeczką na szyi i kilka sąsiednich dachów, widocznych z daleka, stanowią już cały świat.

Wychowywana w takich warunkach dziewczyna nie słyszała nigdy żadnych ordynarnych słów, nie miała koleżanek ani kolegów i nie nauczyła się wcześniej flirtować. Ale gdy jej młode ciało zauważyło, że duszy nie pozwalają się rozwijać, także zwolniło rozwój, jak gdyby zdecydowało: do czego się śpieszyć? A przecież to ciało było niezwyklej urody. Twarzyczka najpiękniejsza, jaką tylko można sobie wyobrazić — wysokie, szlachetne czoło promieniejące prawdziwą niewinnością, niebieskie, łagodne oczy, wspaniałe, jasne jak len włosy, ujęte złotą przepaską, żeby nie spadały na czoło. A jakaż figura! Boże mój, co to będzie, gdy dziewczyna włoży gorset, który podkreśli linię jej talii. Teraz jeszcze nosi kaftanik, ale i w nim wygląda bardzo zgrabnie. Tak, widocznie przeznaczeniem Piroski jest nosić specjalną odzież — nie utkaną, nie haftowaną, lecz szczer-

złotą, dlatego, że Horváth pragnął wychować swą najmłodszą córkę po prostu dla jakiegoś królewicza.

Ale po pewnym czasie ojciec zaniepokoił się, gdy zauważył, że córka jest bardzo wątła. Do tego jeszcze imię dziewczyny stale przypominało, jaka ona powinna być \*. Piroska stawała się coraz chudsza i bledsza, niemal przezroczysta; pod jej oczyma ukazały się sińce, a na twarzy wszystkie żyłki, tak widoczne, że policzyć by je można.

— Nie ma rady, trzeba sprowadzić doktora — rzekł Horváth i posłał po żyjącego jeszcze wówczas doktora Medve.

Przyjechał doktor — Panie, świeć nad jego duszą — i stary Horváth zaczął go dręczyć swymi podstępными pytaniami:

— Niech pan zgadnie, dlaczego pana wezwałem?

— Pewno ktoś zachorował — odpowiedział Medve.

— Wszystko możliwe, ale proszę zgadnąć, kto miał zachorować? Od tego jest pan doktorem.

Na to stary Medve aż zakipiał ze złości.

— Co? Myśli pan, że i mnie będzie pan zadawał swoje zagadki? Jeśli pan chce wiedzieć, to pan zachorował. Na rozum.

— No, no, proszę się nie gniewać — rzekł gospodarz pojednawczo. — Nie podoba mi się cera Piroški, no i jej ogólny wygląd, bledziutka jest, słabiutka i wątła; nie rozwija się. Chciałbym wiedzieć, co jej dolega.

— Pan powinien to lepiej wiedzieć niż ja. Co ona robi zazwyczaj codziennie?

Horváth powiedział lekarzowi, jak dziewczyna spędza dzień; o tej a tej godzinie wstaje, uczy się, potem gra na fortepianie, zjada obiad, znów uczy się, a potem haftuje, zjada kolację i przed snem słucha baśni, które opowiada jej niania.

— Otóż i sam pan odkrył przyczynę. Na szczęście, rada się jeszcze znajdzie.

— Ach, Bóg zapłać, doktorze!

— Niech pan nie ceduje na Pana Boga takich rzeczy — przerwał Medve. — Proszę raczej posłuchać uważnie. Dziewczyna zrobi się rumiana jak róża, o ile pan będzie ściśle trzymać się moich wskazówek. W przeciwnym razie zmarnieje zupełnie.

— Proszę rozkazywać — zacinając się z przerażenia wyszeptał ojciec.

— Jak się nazywa ten las, który stąd widać?

— Bernyés...

— Do kogo należy?

— Do mnie.

— Otóż w ciągu stu dni panienska musi chodzić z siekierką do tego lasu i co dzień zrybać jedną brzoźkę grubości mojej ręki. Ścięte drzewa niech układa na stos, a jak znajdzie się tam setna brzoźka, panienska rozkwitnie niczym najpiękniejsza róża.

— Co też pan mówi? — zdumiał się Horváth. — To niemożliwe! Ja mam jej kazać tymi słabymi, delikatnymi rączkami drzewa rąbać, jak zwyczajnemu najemnikowi? Pan chyba nie mówi tego serio! Mam pozwolić wyjść jej za bramę, żeby mężczyźni oczy na nią wytrzeszczali? Nigdy! Poprzysiągłem sobie! Dwie córki już mi skradli. Wystarczy! Nie oddam ostatniej, najładniejszej. Ona zostanie ze mną.

Doktor Medve wzruszył ramionami:

— Niech pan robi, co pan chce. Ale jeszcze raz uprzedzam: albo sto brzoźek — albo jedno drzewo orzechowe, z którego zrobi się dla niej trumnę.

Były gorzelnik musiał ustąpić i piękna dziewczyna została wypuszczona ze swego zamknięcia na wolność. Co dzień rano szła do lasu Bernyés i siekierką z gładko wypolerowanym styliskiem ścinała jedną małą brzoźkę.

Najczęściej do lasu odprowadzał ją sam ojciec, czasem guwernantka. Pewnego razu, tego właśnie dnia, kiedy ona Pirosce towarzyszyła (Amor-figlarz lubi urządzać takie kawały), János Buttler i Zsigmond Bernáth — będący w owym czasie dopiero początkującymi studentami — zapragnęli udać się do lasu na poszukiwanie ptasich gniazd. Wiejski pastuszek wskazał im najodpowiedniejsze miejsce. Wprawdzie las Bernyés nie należał do nich, ale wyprawa tym bardziej była kusząca.

Dziewczyna rąbała wyznaczone na ten dzień drzewo, a gdy przerwała na chwilę, aby odpocząć, zrobiło jej się żal brzoźki. Pewno ją to boli. Jakże biedaczka może nie cierpieć, jeśli czasem aż sok się pojawia — a przecież to nic innego niż łzy lub krew. Przez ten czas, kiedy dziewczyna rąbała drzewo, guwernantka, sentymentalna Niemka, zbierała kwiaty dla małej, a ściślej mówiąc, dla siebie samej. Była to koścista stara panna, z dużym nosem i z takimi długimi nogami, że gdyby urodziła się dawniej, mogłaby wydać na świat choćby i paru drągali, z jakich w swoim czasie ojciec Fryderyka Wielkiego dobierał swą znakomitą kolekcję. Chodziły słuchy, że wielbicielem matki Fräulein Frydy był sam Goethe. Kto wie, może to i prawda?...

Ta legenda rodzinna „zdemoralizowała” Fräulein Frydę, która od tego czasu poczuła niepohamowany pociąg do romantyki. Tylko w ten sposób da się wyjaśnić, dlaczego guwernantka wówczas, kiedy Piroska ścinała brzoźkę, biegała od kwiatka do kwiatka. W końcu tak się oddaliła, że gdy panienska zauważyła ukazujących się zza drzew dwóch z pańska ubranych chłopców i zaczęła wołać przerażona: „Fryda, Fryda!” — biedna Fräulein nie mogła jej usłyszeć. Była to naprawdę straszna chwila.

Piroska, pochłonięta pracą, stukała głośno siekierką.

Twarzyczka jej się zarumieniła, a na czoło wystąpiły drobne jak perełki kropelki potu.

Chłopcy zabłądzili w lesie i nie mogąc znaleźć drogi postanowili: „Pójdziemy do tego drwala, on nam na pewno wskaże drogę”. Buttler miał przy sobie miedziane dwa grosze; zamierzał dać je drwalowi na piwo.

I nagle oczom chłopców ukazała się cudowna scena — szczuplutka dziewczyna z siekierką w rękę. Młody hrabia János tak osłupiał, że nie mógł się ruszyć z miejsca. Był nieco starszy od Zsigmonda i czytał już kiedyś o leśnych nimfach.

Teraz także nie wątpił, że ma przed sobą nimfę, bo tylko one mogły mieć takie siekierki z polerowaną rękojeścią.

Usłyszawszy trzeszczenie chrustu Piroska podniosła głowę, a gdy gałęzie drzew rozsunęły się i obaj młodzieńcy wyszli na polanę, krzyknęła przerażona, a siekierka wypadła jej z rąk:

— Fryda! Fryda!

Dziewczyna chciała uciec, ale nie mogła się poruszyć.

Zsigmond pierwszy zorientował się w sytuacji.

— Niech się panienska nie boi, my panienki nie skrzywdzimy — powiedział łagodnie i podszedł do niej bliżej. — Proszę nie odwracać twarzą i nie drżeć tak bardzo. Pokażę coś panience. O, jakie ładne jajeczka znaleźliśmy w ptasich gniazdach.

Dziecięca ciekawość przemogła strach i dziewczynka zdecydowała się spojrzeć: na dłoni Bernátha leżało pięć maleńkich jajeczek, pstrych i różowawych, jakby wytoczonych z marmuru, i takich ślicznych, że aż trudno słowami to wyrazić.

Piroska uśmiechnęła się, jednakże nie śmiała dotknąć jajeczek.

— Niechże panienska weźmie choć jedno — poprosił chłopiec wyciągając rękę.

Dziewczynka wreszcie nabrała odwagi i zapytała:

— Pan mi naprawdę ofiaruje?

— Oczywiście, nie wiedzieliśmy, jak podzielić pięć na dwóch. Teraz będzie akurat po dwa dla każdego. Prawda, mój przyjacielu?

Ponieważ ostatnie słowa odnosiły się już do Jánośa, Piroska spojrzała na drugiego młodzieńca. Ten zaczerwienił się po same uszy i odparł zmieszany:

— Jeśli panience podobają się jajeczka, to mogę oddać i te także.

W tonie chłopca brzmiało tyle szczerego ciepła, że serce Pirośki wezbrało wdzięcznością.

— Nie, nie, za nic na świecie nie zgodzę się zabrać panu tych śliczności!

Głosik jej zadźwięczał tak słodko, że ptaszki na drzewach odpowiedziały radosnym szczebiotem. A jakież tu ich mnóstwo! Była zdziwiona, że mogła się bać, skoro dookoła tyle ptaszków.

— Panienska jest przecież Pirośką Horváthówną, prawda? Tą słynną pięknoscią? — zapytał obcesowo Zsigmond.

Dziewczynka nie zrozumiała żartów i odpowiedziała naiwnie, z prostotą, nawet się nie rumieniąc:

— Tak, to ja.

— Słyszałem o paniencie od żony jednego z naszych parobków. Służyła przedtem w waszym zamku i opowiadała, że panienkę pod szkłem trzymają. Jak motylki w muzeum patackim. Tak właśnie sobie panienkę wyobrażałem. Nadzianą na szpilkę i pod szklanym kloszem — mówił dalej figlarz ze śmiechem. — A teraz myśmy się z kolegą nawet trochę wystraszyli — wzięliśmy panienkę za leśną nimfę. — A po co panienska rąbie te drzewka?

— Dlatego, że tatuś mi kazał.

— Ejże! Dziwny człowiek z tatusia panienki.

Tymczasem János przybliżył się także i zdecydował wtrącić do ich rozmowy:

— Ciężka praca, prawda?

— Bardzo ciężka — odpowiedziała dziewczynka ze smutnym uśmiechem. — Przecież ja muszę nie tylko ściąć drzewo, ale jeszcze odnieść na ten stos, dołożyć do tamtych.

Wskazała ręką w stronę polany, gdzie już leżało prawie piętnaście młodych brzoźek ze zwiedłymi liśćmi.

János nieraz czytał bajki o takich okrutnych ojcach; także mieli zamki, kubek w kubek takie same jak Horváth.

— Ale mam nadzieję, że niecały las musi panienka wyrębać? — zapytał z wielkim zainteresowaniem.

Piroska, odpowiadając Jánosowi, nie wiadomo dlaczego patrzyła na Zsigmonda, choć János był o wiele przystojniejszy od swego towarzysza: oczy miał wielkie i rozmarzone, a na twarzy rumieńce. Podbródek w owym czasie jeszcze gładki jak u dziewczyny, lecz nad górną wargą ukazywał się cień przyszłych wąsów.

— Ależ nie, oczywiście, że nie — odpowiedziała z uśmiechem schylając się po siekierkę. — Muszę ściąć tylko sto drzew i wówczas moja robota będzie skończona.

János podszedł do niej bliżej i zaproponował:

— Proszę pozwolić mi ściąć to drzewko. Niech pani da mi swoją siekierkę.

Piroska kiwnęła głową na znak zgody. Sięgając po siekierkę, János niechcący dotknął jej palców, a dziewczyna śpiesznie cofnęła rękę jak oparzona.

Teraz inaczej zastukała siekierka. Drzewo trzeszczało i skrzypiało, drzazgi leciały na wszystkie strony. Siekierka jakby się zrosła z ręką Jánosa — od razu widać, że mężczyzna! Jak on pięknie wyglądał przy tej robocie! Ani się nie zmęczył, ani nie spocił. Tak leciuteńko

uderzał siekierką, jak gdyby trzepał dywanik. „Boże mój — pomyślała dziewczyna — jaki on silny!”

Jeszcze jeden zamach, jeszcze drugi i drzewo z głuchym stukiem runęło na trawę. Jak szybko je ściął, jakby od niechcienia!

A potem János i Zsigmond podnieśli brzoźkę i biegiem — nie ciągnęli jej po ziemi, tak jak Piroska, tylko zarzucili na barki — zanieśli na stos innych brzoźek, których przeznaczeniem było umrzeć po to, żeby żywe zostało drzewo orzechowe — to, z którego w przeciwnym wypadku trzeba byłoby zrobić trumnę. I w życiu drzew także się zdarza taka głupia niesprawiedliwość!

Chłopcy zaczęli się żegnać.

Piroska teraz żałowała, że tak szybko odchodzą.

— A więc wy nie jesteście rozbójnikami? — spytała łagodnie i z lekkim zdziwieniem.

— A panienka wzięła nas za rozbójników?

— Straszono mnie, że w lesie są rozbójnicy.

— Bardzo możliwe, że rozbójnicy są w lesie — obrażonym tonem powiedział Zsigmond. — Nawet na pewno są, tylko wyglądają całkiem inaczej. Słowem, my nie jesteśmy nimi. Mieszkamy w sąsiednim domu. Ja jestem Zsigmond Bernáth, studiuję filologię, a to mój przyjaciel, hrabia János Buttler; męczy się nad retoryką w szkole w Pataku.

— Szkoda — rzekła dziewczyna naiwnie.

Buttler uśmiechnął się.

— A pani by wolała, żebyśmy okazali się rozbójnikami?

— Tak — odpowiedziała spuszczać oczy. — Bobym się przestała ich bać.

Zanim guwernantka wróciła na polanę z wiankiem na głowie i bukietem kwiatów za dekoltem, po chłopcach już śladu nie było.

— Widzi panienka, przez tak krótki czas drzewo

ścięte i nawet odniesione na miejsce. To wspaniale. Z każdym dniem przybywa sił, moje dziecko. Och, jak się tatuś ucieszy!

Piroska w pierwszej chwili miała ochotę opowiedzieć o tym, co się stało (spotkanie ze studentami było niezwykłym zdarzeniem), ale spodobał jej się podziw guwernantki i po namyśle postanowiła: „Dobrze, niech się ojciec ucieszy. W ogóle nie będę nic mówić, bo w przeciwnym razie Fryda domyśli się wszystkiego i powie uszczypliwie: — Ach, więc to tak, moja panienczko? Pracę wykonał ktoś inny! Na szczęście drzew tu nie braknie, proszę ściąć następne!”

Ani w drodze powrotnej, ani w domu Piroska nie puściła pary z ust o spotkaniu w lesie. Przed wieczorem jednak, spacerując po ogromnym, trzydziestohodowym \* ogrodzie doszła aż do starego muru, odgradzającego posiadłość Horvátha od ogrodu Bernáthów. Myślała sobie: „Tam mieszkają ci chłopcy. Dużo bym dała, żebym tak mogła zajrzeć i zobaczyć, co oni teraz robią”.

Jajeczko zakopała potajemnie w ogrodzie, z nadzieją, że wykluje się z niego ptaszek, tak samo jak z nasionka wyrasta fiołek.

Przez cały następny tydzień dni tak samo jak dawniej płynęły monotennie: Piroska chodziła do lasu albo z guwernantką, albo w towarzystwie ojca, a czasem z obojgiem. Rzeczywiście poprawiła się wyraźnie; błękitne cienie pod oczami znikły, biel delikatnej skóry zabarwił lekki rumieniec. Cieszył się stary Horváth i powtarzał nieustannie: — Patrzcie no, doktor Medve niegłupi człowiek, zna się na rzeczy. Piroska niedługo będzie rumiana jak róża.

Co dzień bardziej przestrzegał dziwnej recepty doktora i wybierał dla swej córki coraz grubsze drzewa. Niech się zmęczy, niech się zgrzeje, zdrowie to także

kapitał, niech go ta mała gromadzi. I czekał niecierpliwie, kiedy wreszcie dziewczyna stanie się naprawdę krzepka i silna. Któregoś dnia, nie mając nic lepszego do roboty, postanowił policzyć, ile drzew jego córka już ścięła i złożyła na polanie. Okazało się, że trzydzieści cztery... To znaczy, że zostało jeszcze sześćdziesiąt sześć... Hm, zadziwiająca rzecz ta nauka — kto by pomyślał, że można zdobyć rumieńce dzięki tym brzoźkom.

— Ale, ale — mrucał — dlaczego aż trzydzieści cztery? Przecież zaczęliśmy całkiem niedawno. Coś mi tego za dużo! Fräulein — zwrócił się z gniewem do Frydy — czy pani nie pamięta, kiedy rozpoczęliśmy leczenie?

— Akurat przed miesiącem.

— A niech to diabli! Przecież nie ma w kalendarzu miesiący po trzydzieści cztery dni. To niemożliwe, Fräulein...

— Ależ ja wiem z całą pewnością.

Zaczęli oboje przypominać sobie, kiedy to doktor był u Piroski. Okazało się, że akurat przed trzydziestoma dniami, zaś ściętych drzew było trzydzieści cztery.

— Jak to się stało, moja ptaszyno?

— Nie wiem, tatuśku!

— A możesz ty czasem ścięła po dwa drzewka?

— Ależ, tatuśku, dosyć się namęczę i z jednym.

— Może to ściał ktoś obcy, złodzieje albo chłopki przychodzące do lasu po chrust? — wyraziła podejrzenie Fräulein Fryda.

— Brednie! — wykrzyknął stary Horváth. — Złodzieje nie ścinałoby drzew, tylko zabrali już ścięte. Gdybyśmy nie mogli doliczyć się paru brzoźek, byłoby to jeszcze do wytłumaczenia, a w tym tkwi jakaś zagadka. Wprost niepojęte! Czy niczego nie podejrzewasz, córeczko?

— Nie, tatuśku.

— Gdybym wierzył w bajki, przypuszczałbym, że ty

„masz jakąś dobrą wróżkę, która ci pomaga. Siedzisz w domu, a ona za ciebie ścina drzewa, żeby siekierka nie nadwerżyła twych delikatnych rączek.

Twarz Piroski oblał rumieniec, takiego rumieńca nie wymalowałoby nawet tysiąc ściętych brzoźek! Spostrzegawcze oko mogłoby z wyrazu jej twarzy odkryć, że jakiś niespodziewany pomysł błysnął w jej głowie. Rzeczywiście Piroška pomyślała: „Musiał to zrobić któryś z nich, ale który?”

I serduszko jej tak zakołatało, że aż się przestraszyła: lada chwila wyskoczy z piersi.

To drobne wydarzenie poruszyło mieszkańców zamku. Życie ich przecież takie monotonne i nudne. Stary pan z natury był bardzo podejrzliwy, a po ucieczce Katicy z domu rodzicielskiego najbliższy powód pobudzał jego bogatą fantazję.

Piroška natomiast coraz częściej bywała zamyślona i roztargniona. Gdy guwernantka wołała ją, wzdrygała się przestraszona. Wieczorem długo nie mogła zasnąć, przewracając się w łóżku z boku na bok, a w ciągu dnia szukała samotności w ogrodzie nad strumieniem. Cały czas dręczyło ją pytanie: który z nich. Była smutna i zarazem taka szczęśliwa. A jak odtąd wszystko dookoła zmieniło się dla niej! Drzewa szumiały inaczej, ptaki inaczej śpiewały i jakoś dziwnie, tajemniczo szeleścił wietrzyk w gałęziach drzew... I jak dzwoneczek szemrał strumyk, wypływający z sąsiedniego ogrodu...

Pewnego dnia stała tam dłużej i nagle zobaczyła płynący po wodzie malutki papierowy okręcik. Szemrze strumyk i niesie okręcik, który żegluje pomiędzy barwnymi kamykami i trawkami. Na chwilę zatrzymuje się przy brzegu lub zaplącze w wodorostach, ale już nadbiega następna fala i niesie go dalej. A na okręciku kiwa się wesoło czerwony kwiatek, maleńki jak guziczek — ogrodnicy nazywają te kwiatki „iskierkami”.

Dokądże tak płyniesz, iskierko?

Zatrzymaj się! Dziewczyna sięgnęła, złapała okręcik i wyjęła kwiatek. A tuż obok karteczka — nie chciała wierzyć własnym oczom — na karteczce napisane: „Dzień dobry, panno Pirosko!”.

Otóż i przyplęła iskierka.

Dziewczyna aż zaklaskała w dłonie z radości: „A więc już tutaj jesteś, iskierko moja, serduszek moje. Włóż cię do modlitewnika. Do mnie płynęłaś na okręciku! Od chłopców? Ale którego z nich, którego?”.

W tej samej chwili z wieży usłyszała znajomy głos:

— Panienko, panienko, czas iść do lasu!

Dziewczyna drgnęła przestraszona jak złodziej złapany na gorącym uczynku.

Na wieży stała Fräulein Fryda trzymając narzutkę, kapelusz i parasolkę.

Piroska wsunęła kwiatek za dekolt, a stateczek rzuciła w krzaki. Gdy zeszła po schodach, lokaj podał jej siekierkę mówiąc:

— Panienko, ostrze bardzo się stępiło; dobrze byłoby po drodze wstąpić do kuźni i naostrzyć je trochę. Nasza osełka pękła, toporek nie da rady rąbać brzoźki. Wie panienska, gdzie kuźnia, czy zaprowadzić?

— Chodźmy razem, Mártonie. A gdzie ojciec?

— Wielmożny pan poszedł na polowanie, w lesie panienkę odszuka.

Kuźnia znajdowała się na skraju wsi, z dala od zabudowań, żeby od iskier wylatujących przez wrota i otwór w tylnej ścianie nic się nie zapaliło.

Kowal Márton Apró był ważną osobą we wsi, toteż miał dobre mniemanie o sobie i swoim zawodzie.

W ogóle dawni kowale byli niepodobni do dzisiejszych. Kowal owych czasów to człowiek najlepiej poinformowany w całej wsi, ustępował mu pod tym względem nawet dziedzic, ksiądz, a cóż dopiero organista czy

pisarz gminny. Kuźnia zastępowała klub polityczny i gazetę. Bogatsi dziedzice nawet własne miękkie krzesła trzymali dla siebie w kuźni i po obiedzie, jeśli sprzykrzyło im się siedzieć w domu, przychodzili tam wypalić fajeczkę.

Wówczas czeladnik wynosił ich krzesła, panowie rozsiadali się w pobliżu kowala i z taką powagą puszczały dym z fajek, jak gdyby zasiadali w parlamencie.

Jeden z czeladników kowala, pyzaty chłopaczek, zajmował się tylko podawaniem panom węgielka, gdy któremuś zgasła fajka.

W kuźni zawsze było mnóstwo przejezdnych. Jeden chciał podkuć konia, inny naprawić obręcz. Wiele nasłuchali się i napatrzyli w czasie długiej podróży, a kowal, nie przerywając pracy, sprytnie wyciągał od nich wiadomości.

Czasem do rozmowy wtrącali się panowie — pytali o to i owo lub wymieniali myśli czy poglądy.

Słowem, kto chciał uchodzić za dobrze poinformowanego o tym, co się dzieje na świecie, nie mógł omijać kuźni. Tutaj dyskutowano nad zagadnieniami, jakie omawiane są we współczesnych gazetach: różnego rodzaju zabawne, pouczające historyjki i pożyteczne wiadomości. Dobry gospodarz chciał wiedzieć, gdzie i jaki jest urodzaj pszenicy i ile płacą za zboże tamtejsi kupcy żydowscy. O sytuacji politycznej także można było wyrobić sobie pogląd na podstawie tych rozmów. Na przykład w Siedmiogrodzie rosłą ceny owsa, to znaczy, że zanosi się na wojnę. „Bieżące wiadomości” uzupełniały różne historyjki o zbrodniach lub o pikantnych koligacjach małżeńskich, o których opowiadali podróżni przez ten czas, kiedy kowal naprawiał ich pojazdy.

Tą drogą doszło do wiadomości, że w Preszburgu niedawno umarła jakaś hrabina i cały swój ogromny majątek zapisała stangretowi. Inny woźnica opowiadał, że

widział w Szécsényu u pana Szilassyego takie ogromne barany, że byki przed nimi uciekały. Wszystko to było bardzo interesujące: może komuś też trafią się takie barany albo taka hrabina.

Gdy nasze damy przybyły do kuźni, Márton Apró podkuwał kopyto jakiegoś siwka.

— Niech panienka nie podchodzi bliżej, bo jeszcze iskierka spadnie na batystową sukienkę — rzekła guwernantka — i nieszczęście gotowe.

Pirosce przeleciało przez myśl: „Już na mnie spadła jedna iskierka i niemało mam z nią kłopotu.”

Lokaj Márton zawołał do kowala:

— Hej, majster, chodźcie tu, jest robota!

— Czego chcecie? — spytał nieuprzejmie kowal.

— Nie widzicie, że przyszła wielmożna panna Horváthówna?

— Widzę, nie jestem ślepy — burknął kowal flegmatycznie.

— Szybciej, trzeba jej naostrzyć siekierkę.

— Teraz nie mam czasu — burknął majster.

— Jak to nie macie czasu? — spytał gniewnie lokaj.

— Konia leczę — wyjaśnił kowal. — Koń chory, a panienka zdrowa. Zdrowy może poczekać. Najpierw trzeba pomóc choremu — ciągnął spokojnie, obwiązując tylną nogę konia szmatą posmarowaną jakąś mazią (leczeniem koni w owych czasach zajmowali się także kowale).

Niegrzeczna odpowiedź majstra rozgniewała lokaja.

— No, no, ładnie przyjmujecie panienki, kiedy już raczyły tu wstąpić!

— A po cóż to raczyły — uśmiechnął się kowal. — Co moje rzemiosło ma wspólnego z panienkami? Panienki u swych pantofelków podkówek nie noszą. Ja jestem człowiekiem żelaza, a one żelazo mają tylko przy talii, w gorsetach. I nie ja wszywam je w gorsety, tylko krawcy, żalosne pokraki. Że też oni ośmielają się do-

tknąć żelaza. To wstyd i obraza dla kowala. Ja tam z pannami nie mam nic wspólnego.

Na szczęście Fräulein Fryda nie rozumiała ani słowa po węgiersku, w przeciwnym razie już by się obraziła i odeszła. Piroska zaś była zmieszana i po cichutku, jak wystraszona owieczka, zaczęła cofać się ku wyjściu.

Kowal był w gruncie rzeczy poczciwy, tylko przekorny. Wymyślał na wszystko: na księży, na sądy, na władzę, ale ulitowałyby się nad zmokłym na deszczu kotem i w chłodne, zimowe noce nawet okna kuźni zostawiał otwarte, ażeby wróble mogły wlatywać na rozgrzewkę.

— Gdzie ta siekierka? — zwrócił się do lokaja, gdy skończył opatrywać konia. — Co, taką siekiereczką panienka rąbie? Zwariowali chyba ci panowie. Ech, nie, moja gołąbeczko! Taka robota nie dla tych, co to tylko kawkę popijają! Siekierka to jedyne narzędzie pracy biedaków. A teraz widać podobało się ono i jaśnie państwu... Powiem wam otwarcie, że głupia to moda! Parę dni temu przychodził tu młody hrabia Buttler, abym obsadził mu siekierkę. Dałby Bóg, żeby teraz panowie rąbali drzewo dla nas! Myśmy dla nich przez tysiąc lat rąbali!

Lokaj wystraszony zerknął na panienkę: czy rozumiała i nie obraziła się na kowala za takie zuchwałe słowa. Bardzo był zdziwiony, gdy zobaczył, że twarz jej się rozpromieniła, jak gdyby nikt nigdy nie mówił nic przyjemniejszego niż ten grubianin.

Hrabia Buttler także kazał zrobić sobie siekierkę. Teraz ona już wie, kim jest ta dobra wróżka, która za nią ścinała brzoźki w lesie. Wszystko stało się jasne! I w ciągu jednej chwili Piroska zrobiła się mądra, rozsądna, a także silna, gdyż odgadła swą pierwszą wielką tajemnicę. Teraz nie kosztowało jej wiele wysiłku ścięcie brzoźki w lesie Bernyés. Siekierka stukała tak głośno, że stary Horváth usłyszał to z daleka.

Podszedł do córki i zapytał ze współczuciem:

— Nie zmęczyłaś się zbyt, córeczko?

Dziewczyna odpowiedziała wesoło:

— Cały las mogłabym wyrąbać!

— No, dzięki Bogu! Teraz dopiero możesz zrozumieć, jaka siła jest w pracy.

— A ty, tatuśku, ustrześliłeś co?

— Jednego zajęcia i jednego Cygana — odpowiedział z uśmiechem stary Horváth.

— Czyżby na śmierć? — spytała przestraszona.

— Zajęcia — tak, a Cygana lekko tylko. Biedaczysko zbierał grzyby, a ja patrzę — coś tam się czerni i rusza w krzakach. Zmierzyłem i wypaliłem.

— Biedny, bardzo płakał?

— Zaczął lamentować na cały głos, wtedy ja dałem mu zajęcia jako odszkodowanie.

— No i co, był zadowolony?

— Początkowo widocznie uważał, że to mało, ale uspokoilem go mówiąc: „Posłuchaj, hultaju, byłoby przecież o wiele gorzej, gdybym zabił ciebie, a zajęcia tylko ranił. Poza tym zajęć nie dostałby zabitego Cygana, tak jak ty teraz zajęcia”. I przyznał mi rację.

Stary pan śmiał się dobrodusznie ze swej myśliwskiej przygody. Był to w gruncie rzeczy dobry człowiek, jego mądre, szare oczy błyskały wesoło i figlarnie. Tylko ubierał się rzeczywiście bardzo dziwacznie. Mówiono, że starał się naśladować strojem hrabiów Andrásyich. I to było bardzo śmieszne dlatego, że wszyscy Andrásyowie byli wysocy, szczupli, poruszali się z godnością, a Horváth mały, z brzuszkiem, grubym karkiem i krótkimi nogami. Nosił surdut à la Goethe, szyję aż po same uszy owijał czarną jedwabną chustką, spodnie kazał sobie uszyć z modnego w owym czasie austriackiego sukna z Gratzu: na szarym tle utkane były maleńkie figurki strzelców alpejskich z fuzjami i psami. Istna galeria

obrazów! Mnóstwo takich samych ludzi i psów na spodniach z przodu i z tyłu — zaiste, ciekawy to widok! Nic dziwnego, że dzieciakom wiejskim sprawiało niemałą radość oglądanie pana spacerującego w tych spodniach po ulicy. Nawet psy wiejskie, zwierzęta dość zawistne, nie mogły spokojnie patrzeć na swych sukiennych współbraci.

Fryda znalazła piękną dziką różę i wetknęła ją staremu Horváthowi w butonierkę, mówiąc przy tym: — Ot, tak będzie wyglądała nasza Piroska za sześćdziesiąt dni!

Uwaga guwernantki przyjemnie zaskoczyła starego pana, schylił się i pocałował Fräulein Frydę w rękę.

Dodać należy, że zarówno on, jak i wielu innych bardzo szanowali córkę byłej bogdanki Goethego, jako że w tym czasie w całej Europie panował kult tego wieszca. Na tę nagminną chorobę szczególnie zapadały guwernantki: na całym kontynencie nie znalazłoby się ani jednej, która by nie miała w linii wstępnej jakiegoś pokrewieństwa z tym poetą. Najwidoczniej z jego ekscelencji wieszca był porządny hulaka — miał nie mniej niż dwadzieścia znanych całemu światu romantycznych przygód, nie licząc tysiąca innych, które przypisywała mu plotka.

— Ad vocem \*, sześćdziesiąt dni! — odezwał się radośnie stary Horváth. — Dobrze, że mi pani przypomniała. Policzymy nasze brzoźki.

Znów się okazało, że jest o trzy sztuki więcej, niż Piroska mogła ściąć od ostatniego podsumowania. Teraz już Horváth wpadł w złość:

— To skandal! Gospodarować w moim lesie! Patrzcie, znów ktoś wyrębał trzy drzewa i rzucił je na stos. Kto tu grasuje i czego chce?

Stary sięgnął po zawieszony na szyi myśliwski róg i zaczął ze wszystkich sił trąbić. Ostre dźwięki rozległy się po całym lesie. Ptaki zamilkły na chwilę, jak gdyby

staraly się odgadnąć, co to może znaczyć. A las staje się tak cichy, a nawet straszny, gdy nie słyhać w nim ptasich głosów. W chwilę później rozległ się z dala odzew rogu. Gajowy dawał znać, że usłyszał wezwanie pana i śpieszy do niego.

W kwadrans później zjawił się na polanie mężczyzna ogromnego wzrostu, z wąsami zwisającymi do podbródka, w szubie, z fuzją i pasiastą torbą.

— Co się tu dzieje, Istók? — krzyknął na niego gwałtownie Horváth. — Ktoś tu ścina bez naszego pozwolenia drzewa.

Istók pokiwał głową:

— To niemożliwe. Ja bym słyshał stuk siekiery.

— Widać, że jednak możliwe! Nie zaprzeczysz temu, o czym ja wiem z całą pewnością.

Gajowy przeżegnał się.

— W takim razie, wielmożny panie, tylko diabeł mógł coś takiego zrobić — odparł z zabobonnym strachem — jakimś diabelskim, bezszelestnym narzędziem.

— Diabeł? Co ty za bzdury pleciesz, Istók? A po co diabłu drzewa?

— Za pozwoleniem, wielmożny panie, dlaczegóż by nie? Musi przecież czymś palić w kotłach piekielnych.

— Głupiś ty, Istók! — zaśmiał się Horváth. — Drwa diabłu niepotrzebne. Ma dość pod ziemią węgla.

— To prawda, ale to są jednak jakieś czary — wyszeptał Istók nieco uspokojony. — Gdyby jakiś chłop ściał drzewo, zaciągnąłby je do domu. Jacy są chłopci, to i wielmożny pan, i ja dobrze wiemy. A złych duchów żaden z nas, ani wielmożny pan, ani ja nie widzieliśmy. Skąd możemy wiedzieć, jakie mają obyczaje.

Na początku stulecia prości ludzie byli pod całkowitym wpływem księży i dusze ich omotała pajęczyna przesądów, tak jak krzaki oplatały ofiarne barany Abrahama. Właśnie zeszłego roku w Wielki Piątek jacyś

dwaj zbóje zabili na drodze do Kaposu wędrownego zegarmistrza (w owych czasach zegary reperowali w całym kraju wędrowni zegarmistrze, chodzący od wsi do wsi). Zamordowali go dla rabunku pięciu guldenów, które miał przy sobie. W torbie zegarmistrza pomiędzy narzędziami zbóje znaleźli kawałek słoniny. Jeden z nich zaczął jeść, a drugi powstrzymał go przerażony: „Na Boga, co ty robisz? Przecież dziś Wielki Piątek!”. Słyszac te słowa morderca odrzucił zakrwawioną ręką zakazany postem kasek w krzaki.

— Rozkazuję ci, Istók — rzucił Horváth. — Zostaw inną robotę, przygotuj zasadzkę i pilnuj — jeśli złapiesz tego, co ścina drzewa, kimkolwiek jest, zwiąż go i przyprowadź do mnie. A pamiętaj — jeśli teraz bez twojej wiadomości choćby jedno drzewo zostanie zrąbane, źle z tobą będzie! Zrozumiałeś?

— Tak jest, wielmożny panie, zrozumiałem.

Stary Horváth chciał nastraszyć Istóka, ale słyszac ten rozkaz struchlała Piroška. Istók zaś tylko podrapał się w głowę i poprosił, żeby pan dał mu prochu i kulek, albowiem, co tu ukrywać, dotychczas nosił fuzję raczej dla parady: wobec istot ziemskich wystarczyły jego silne ręce. A teraz, kto wie, z kim będzie miał do czynienia, z jakimi potworami czy diabłami? A kula to zawsze kula!

## Rozdział siódmy

### GDY OKRĘCIKI PŁYNĄ Z PRĄDEM I POD PRĄD...

Piroska była wzburzona. Wielką radość zamroczył nagle głęboki niepokój: „O, Boże drogi! Biednego Buttlera mogą przyłapać albo, co nie daj Boże, nawet go zastrzeli ten straszny wąsacz, Istók. Matko święta, Bogurodzico, pomóż mi, poddaj myśl!” Piroska czuła, że powinna ocalić Buttlera. Ale jak? Komu może zaufać? Wolałaby umrzeć niż wyjawić komukolwiek swoją tajemnicę. Może napisać do niego list? Lecz kto mu go doręczy? Gdyby nawet ktoś tego się podjął, od razu domyśliłby się wszystkiego, powtórzył ojcu, roztrąbił na cały świat.

Nie mogła się doczekać powrotu do domu; ledwo przyszli, od razu pobiegła do ogrodu poradzić się swoich kwiatów, rosnących wzdłuż ścieżek, a głównie tego, który już zaczął więdnąć na jej piersi. Sięgnęła po kwiatek i długo patrzyła na niego z zachwytem, potem skierowała wzrok na strumień: jemu powinna być wdzięczna, to on przyniósł na swoich falach biały okręcik z „iskierką”.

Ach, gdyby ten okręcik mógł popłynąć w drugą stronę... Co powiesz na to, srebrzysty strumyku?

Strumyk szemrał i coś tam odpowiadał, ale któż go zrozumie? A przecież na pewno dawał jakąś dobrą radę! Piroska zerwała goździk i rzuciła go do wody. Malutkie fale powstały wokół kwiatka, potem uniosły go — na to

nie było rady! — zwykłym szlakiem w dół daleko od ogrodu, na pola.

Wkrótce przyszedł ogrodnik z grabiami i wielkimi nożycami. Był to poczciwy Niemiec z Koszyc, którego, jak opowiadali, nadżupan abauński wypędził za to, że posadził jakieś południowe rośliny na dachu piwnicy. Sam nadżupan zaś twierdził, iż ogrodnik posyłał swoim ukochanym bukiety z najrzadszych kwiatów, rosnących w jego ogrodzie. Nie było to takie wielkie przewinienie i Horváth wziął go do siebie uważając, że z wiekiem ów człowiek wyleczy się z tej wady.

Piroska przywołała ogrodnika:

— Dziadku Müller, jesteście przecież bardzo mądrym człowiekiem, prawda? (Ogrodnik kiwnął głową, że zgadza się z jej sądem). Wszystko wiecie. (Ogrodnik znowu kiwnął głową). Czy moglibyście tak zrobić, żeby ten strumyk popłynął w przeciwną stronę?

Ogrodnik zastanowił się chwilę.

— Oczywiście, mógłbym. Gdyby postawić groblę, to woda popłynie wstecz.

— No, to proszę to zrobić!

— Po co?

— Żebym ja zobaczyła.

— Nie mam czasu teraz na takie zabawy, jeszcze wielmożny pan zobaczy i będzie się gniewał.

— A jeśli ja bardzo, bardzo poproszę — i Piroska złożyła błagalnie rączki.

— Teraz i tak nie mogę tego zrobić, najwcześniej w niedzielę.

— A ja chcę teraz! — Piroska tupnęła nogą, zachmurzyła się i wojowniczo ujęła pod boki. — Ja tu rozkazuję, do stu diabłów! (Tego zwrotu dziewczynka nauczyła się od kucharki).

Ogrodnik roześmiał się na cały głos i z zachwytem popatrzył na panienkę. Jaka ona teraz ładna!

— Ach, więc mnie się nie boicie? Wiecie co? Przy-  
niosę woreczek tytoniu od ojca.

Taki argument wystarczył, ogrodnik już się nie opierał. Gdyby zaproponowano Müllerowi brylant wielkości gęsiego jaja, nie dałby się tym przekupić. Brylant to koniec końców tylko kamień. Ale tytoń... z tytoniem inna sprawa. Tytoń to roślina, a wszystkie rośliny bli-  
skie są duszy ogrodnika.

— No, cóż, zgoda, panienko!

Przyniósł deskę, kilka kamieni i zręcznie sporządził  
groblę.

— Dziękuję, dziadku Müller, teraz możecie odejść.

Pod groblą woda zaczęła szybko przybierać. Ponie-  
waż nurt był zagrodzony, wzburzyła się, zafalowała, pluskała o deskę, biła o brzegi i zaczęła odpływać wstecz  
szerokimi kręgami. Potem, jak gdyby po zastanowieniu  
zdecydowała, że rozsądniej będzie ustąpić, zawróciła.  
Najpierw przepłynęła tylko mały odcinek i zatrzymała  
się przekornie, jak gdyby zawstydzona. Biegająca na-  
przeciw fala odepchnęła ją, potem sama zawróciła i ra-  
zem popłynęły z początku niezdecydowanie, aż w końcu  
cały strumień skierował swój nurt w przeciwną stronę.

Piroska nabazgrała ołówkiem na małej karteczce:  
„Proszę uważać, nie chodzić do lasu i nie rąbać za mnie  
drzew, bo mogą tam pana przyłapać”.

Potem pobiegła po ukryty w sitowiu okręcik, umie-  
ściła w nim karteczkę, a na wierzchu zatknęła śnieżno-  
biały goździk.

— No, a teraz ruszaj w drogę, okręciku! Niech ci  
Matka Przenajświętsza dopomoże!

Puściła okręcik na wodę, a strumyk śpiesząc się  
i szemrząc, zaniósł go do ogrodu Bernáthów. Dziewczy-  
na zaś, zmieszana, jak gdyby popełniła przestępstwo, co  
się pobiegła do domu. Do głowy jej nie przyszło, że oj-  
ciec spacerując w tym samym czasie wzdłuż zielonej

ściany głogu, mógł zapytać ogrodnika, strzygącego krzaki, czy nie widział gdzie Piroski.

— Bawi się nad strumykiem. Dopiero co zrobiłem na jej prośbę groblę.

— Groblę? Jaką groblę?

— Koniecznie chciała, ażeby woda w strumyku popłynęła w odwrotnym kierunku.

— Hm! — mruknął stary pan i zostawiwszy ogrodnika ruszył nad strumyk. Ach, woda rzeczywiście płynie w odwrotną stronę, a razem z nią biały, papierowy okręcik. Licho wie, co tam jeszcze wymyśliła ta mała figlarka. Gdzież ona jest?

— Pirosko! Pirosko! — zawołał Horváth i pośpieszył w stronę okręcika.

Tymczasem János czekał z niecierpliwością. Serce szeptało mu, że coś musi się stać: albo liścik zostanie rzucony przez płot, albo kwiatek (co będzie znaczyło „tak”); jeśli nic nie będzie — to znaczy „nie”. Jeśli zaś wieczorem pod murem zjawi się kowal Márton Apró, żeby zakryć otwór siatką tak gęstą, że przez nią nie prześliznie się papierowy okręcik, to jasne będzie, że liścik wpadł w ręce ojca.

Cały dzień hrabia spędził nad strumieniem przy zakratowanym otworze, czekając na jakiś znak. I nagle — cóż zobaczył? Coś takiego, czego nie mógł sobie nawet wyobrazić: gniewnie szmerząc i zalewając brzegi bryzgami białośnieżnej piany, woda w strumieniu popłynęła wstecz. A otóż i ukazał się biały okręcik. János zauważył go, serce omal nie pękło mu ze szczęścia. Na okręciku leżał biały kwiatek, na którym siedła mała, głupiotka pszczołka.

Buttler przeczytał liścik i wsadził kwiatek do butonierki. A nazajutrz, gdy woda popłynęła w zwykłym kierunku, młodzieniec wysłał nowy okręcik z liścikiem. Podziękował Pirosce za to, że go uprzedziła, i przyrzekł,

że nie będzie już ścinał brzołek w Bernyés, jednakże uda się tam, żeby móc choć z daleka na nią popatrzeć.

Na trzeci dzień z ogrodu Horváthów przyплыnął okrę-cik z odpowiedzią, która zawierała wyjaśnienie, iż do-ktor zalecił Piroscie dla wzmocnienia ściąć sto brzołek, i jeżeli ona będzie uciekała się do jakichś forteli, żeby tego nie wykonać, będzie to tylko z uszczerbkiem dla jej własnego zdrowia.

Tak już było dzień za dniem. Nawiązała się między nimi korespondencja i okręciki z listami odbywały swe regularne rejsy. Treść tych liścików była całkiem nie-winna: János i Piroaska opowiadali sobie nawzajem o drobnych, nieważnych wydarzeniach w ich życiu, o tym, co im się śniło w nocy. „Dziś w naszym ogrodzie zakwitł aloes”. „Dziś dostałam z Wiednia nowy kapelu-sik, tak w nim śmiesznie wyglądam”. Okręcik przyniósł sztubacką odpowiedź: „Jakżebym chciał panienkę w nim zobaczyć! Próbuję narysować z pamięci portret pa-nienki”. „Jakżebym chciała zobaczyć ten portret”.

Tak to trwało około trzech lat w czasie wakacji, jeśli oczywiście „postillon d'amour” \* nie miała przeszkód. Albowiem czasami, gdy lato było wyjątkowo skwarne, strumień nagle wysychał i więź między dwiema marzy-cielskimi duszami urywała się.

W tym czasie widywali się bardzo rzadko i tylko z da-leka przez parę minut, gdy Piroaska wraz ze swoim oj-cem wracała z pola.

Takie spotkanie sprowadzało się do tego, że młody hrabia, mijając oboje, kłaniał się grzecznie; stary pan kiwał w odpowiedzi głową, a dziewczyna bladła. Hor-váth trzymał córkę z dala od wszelkiego towarzystwa, a z rodziną Bernáthów był w nieprzyjaznych stosun-kach. Do kościoła Horváthowie chodzili rzadko, a poza tym bogowie obu tych rodzin mieszkali w innych świą-tyniach: Horváthowie byli luteranami, a przekonania

religijne w owych czasach stanowiły mur, dzielący ówczesnych panów. Zresztą z pożytkiem dla kraju. Gdyby w owym okresie polityki usypiania narodu węgierskiego, na dworze czy też w domach magnatów bliskich dworowi, przyjmowano chętnie szlachtę protestancką, gdyby z nią nawiązywano przyjaźń i faworyzowano tak jak katolików — kto wie, do czego byśmy teraz doszli.

Na szczęście magnaci protestanccy spotykali się na dworze z nader chłodnym przyjęciem; nie pozostawało im nic innego, jak wracać do swoich dworków i z nudów prowadzić narodowowęgierską politykę, jako że w polityce dworu nie mogli brać udziału. Drobną szlachtą protestancką również nie miała dostępu do magnatów-katolików, którzy widzieli w niej ludzi innej wiary, przypadała im więc rola wtórowania możliwym i oczywiście niezadowolonym współwyznawcom; oni właśnie podtrzymywali ten słaby płomyk, który czterdzieści lat później zapłonął w groźnym wichrze rewolucji, ażeby nie zgasnąć już nigdy.

Słowem, w Wiedniu prowadzono stale głupią politykę, która sprzyjała pojawianiu się wodzów węgierskiej opozycji narodowej! Wzywano jednego czy drugiego ad audiendum verbum \*, dostawał tam reprimendę i wracał do domu. Nadworni doradcy monarchy ogromnie lubili te musztrujące sceny. „Dobrze dostał po nosie od cesarza” — z satysfakcją mówili między sobą.

Głupcy. Nie rozumieli, że nie szcztka w nos, lecz „buławę wodza” otrzymywał ten, kogo uważali za ofiarę.

Stary Horváth był też w dobrych stosunkach z rodzinami Prónayaków, Radvánszkich, Zayaków i Keczerów. Odwiedzał ich raz na rok; naradzali się, snuli plany i dyskutowali gorąco.

Zwykle działo się to w maju, Piroška zostawała w do-

mu, ale Buttler nic na tym nie zyskiwał: miał tylko jednego patrona — strumień...

W czwartym roku listy stały się obszerniejsze. János opisywał swoje myśli i uczucia, swoje zmartwienia i kłopoty. Piroška pisała tak samo. Rozkwitł już nie tylko aloes, rozkwitły i serca. Wyznali sobie miłość i na falach strumienia płynęły w obu kierunkach wyznania: „Kocham Cię, kochać Cię będę do końca życia” — „Zostaniesz moją żoną?” — „Tylko Twoją i niczyją inną”. A gdy nadeszły piąte wakacje ich znajomości, Piroška wyrosła, przeobraziła się w piękną, kwitnącą młodą dziewczynę, rumianą jak róża i świeżą jak zorza poranna. Hrabia János także zmężniał, zapuścił sobie wąsiki i bokobrody; za dziesięć miesięcy skończy prawo i będzie mógł się ożenić. Była o tym mowa w karteczkach wysyłanych strumykiem. János pisał, że jego opiekun István Fáy (którego żona jest z domu Bernáthówna) to bardzo dobry człowiek. Wie już o wszystkim i niezadługo, gdzieś koło Zielonych Świątek, uzna pełnoletność hrabiego, a wówczas János obejmie w posiadanie wszystkie swoje majątki. Znaczy to, że zostaną usunięte wszelkie przeszkody, które mogłyby nie dopuścić do złączenia się z ukochaną Pirošką; pozostanie tylko jedno: trzeba będzie przekonać jej ojca, o którym mówią, że jest bardzo dziwnym człowiekiem. Młodzieńca martwiło, co się z nim stanie, jeśli ojciec odmówi mu córki albo też da takie zagadki, których nie będzie mógł rozwiązać? Ani w dzień, ani w nocy nie może uwolnić się od tych myśli. Już od dwóch lat jego przyjaciele-studenci nie widzieli go śmiejącym się, a dziewczęta w Pataku nazywają go „smutnym Buttlerem”. Liściki przybywające z ogrodu Horváthów działały na niego uspokajająco: ojciec wcale nie jest takim despotą, jakim go malują, a starających się o jej siostry dlatego wystawiał na próbę, że kochał swoje córki i pragnął, aby miały

dobrych mężów. Treść tych listów wyrażała zdecydowanie, a w jednym z nich było napisane czarno na białym: „Jeżeli nawet mój ojciec się nie zgodzi, to także będę Twoją i pójdę wszędzie, gdzie mi każesz. Dla Ciebie, nawet wbrew jego woli, porzucę dom rodzicielski. Napisz mi tylko, czy i Ty tego chcesz?”.

Hrabia János napisał w odpowiedzi:

„Nie, serduszek moje, nie chcę, gdyż marzę tylko o tym, żebyś była szczęśliwa, a błogosławieństwo ojcowskie znaczy bardzo wiele: kiedy istnieje — w blasku szczęścia nie widać go, ale jeśli błogosławieństwa zabraknie — nie widać szczęścia: czarnym cieniem kładzie się nań gniew rodzicielski.”

Ostatniego dnia wakacji, gdy stangret zaprzęgał już konie, przypląnął ostatni okręcik z odpowiedzią.

„Bądź dobrej myśli, kochany János, do Wielkanocy — do Twego następnego przyjazdu — postaram się wzruszyć serce ojca. Przez ten czas wymyślę jakiś sposób, który pomoże Ci zdobyć jego przychyłność. Ojciec mój lubi poetów starożytnych, Owidiusza i Horacego — oto droga do jego duszy. Czytaj ich wiersze. Niechaj Bóg Ci dopomóż! Myśl o mnie często, jak najczęściej”.

Taka oto jest historia tej dziecinnej, romantycznej miłości. W ciągu pięciu lat widzieli się mniej niż dziesięć razy, z tego tylko jeden raz rozmawiali ze sobą przy pierwszym spotkaniu w lesie, a jednak znali się dobrze nawzajem z listów. Otwierali w nich swoje serca, a ponieważ okręciki nie wytrzymały dużego ładunku — arkuszy papieru, wypełnionych obszernymi wyznaniem — i mogły dostarczać tylko króciutkie liściki, tym zwięźlejsza i bardziej przemyślana była ich treść. Gdy taki list dochodził do rąk adresata, rozgrzewał mu serce żarem miłości i urastał w jego oczach do rozmiarów całego tomu. Podobnie dzieje się z zerwaną gałązką bzu: więdnie, płowieje, ale wystarczy przynieść ją do

domu i wstawić do wody, aby znów rozkwitła i stała się jeszcze piękniejsza.

Dzisiaj, zaledwie młody hrabia wyskoczył z karocy Döryego, od razu przeobraził się w dawnego stęsknionego, niecierpliwego kochanka. Wszystko dookoła — drzewa, góry budziły w nim wspomnienia ukochanej. János ledwo mógł się doczekać popołudnia, kiedy to, pełen słodkich marzeń, udał się do ogrodu i idąc brzegiem strumienia dotarł do muru oddzielającego park Horváthów. Zatrzymał się przed zakratowanym otworem i puścił na wodę przygotowany już okręcik. Wiedział, że po drugiej stronie czeka Piroska.

„Przybyłem. Pamiętaj o swojej obietnicy.”

Odpowiedź spodziewał się otrzymać nazajutrz, ponieważ wody w strumieniu było mało i po zagrodzeniu mogła spiętrzyć się przed groblą i popłynąć wstecz dopiero po całym dniu. Tak się też i stało. Odpowiedź przybyła nazajutrz.

„Witaj, ukochany. W drugi dzień świąt odwiedź ojca. Poproś o moją rękę, a co będzie dalej, zobaczymy.”

Jakże znamienne były te trzy dni w życiu studenta. W drugi dzień Wielkanocy rozstrzygnie się jego los. Czy to możliwe? O, Boże! Z niecierpliwością oczekiwał tego dnia i tej godziny, czekał i bał się. A co będzie, jeśli stary pan powie mu „nie” i odbierze wszelką nadzieję?

„Nadziei jednak nie będzie mógł mi odebrać — pocieszał się János. — Nadzieja pozostanie mi w każdym razie.” Bywały chwile, kiedy pragnął odłożyć wizytę na późniejszy termin, ale sam sobie tłumaczył: nie można, skoro Piroska tego chce, tak musi być.

Był z natury nieśmiały, toteż gdy nadszedł drugi dzień Wielkanocy, musiał sam sobie dodawać otuchy, zanim wreszcie zdecydował się z bijącym sercem niepewnym krokiem pójść do zamku Horváthów. „Niechaj inni się boją, ja nie mam czego!” Obmyślił sobie do-

kładnie, co będzie mówił, od czego zacznie. Ale ledwo znalazł się pod bramą, nagle poczuł zawrót głowy, wieża zamkowa zawirowała mu przed oczyma, potem przechyliła się, oderwała od dachu, skoczyła na boczną wieżę, dała susa na drugą, stamtąd wybiegła do ogrodu i pomknęła daleko na pole, dopędzając uciekający przed nią zielony łan pszenicy.

Miał już ochotę zawrócić pod pretekstem, że źle się czuje, ale czy może to uczynić? On, hrabia Buttler? Nigdy! Nawet gdyby powiedziano, że zetną mu głowę! Ta myśl dodała mu siły i jak Mucjusz Scewola \* wyciągnął rękę, żeby chwycić za kołatkę u drzwi.

W tej chwili był odważny i zdecydowany. Zazwyczaj nie starczało mu siły ducha do podjęcia decyzji i wolał snuć plany; ale jeśli już coś postanowił, to nie wahał się i nie wycofywał. Trudno mu było uwolnić się od lęku, podobnie jak trudno czasem rozstać się z ulubionym ubraniem; ale gdy już rozstrzygnął, nie myślał o tym więcej.

Zastukał kilka razy kołatką.

Do drzwi zbliżył się z drugiej strony lokaj Márton, wyjrzał przez okienko, a gdy poznał przybyłego, wpuścił go.

— Czy wielmożny pan w domu?

— Tak, w domu, proszę dalej.

Lokaj poprowadził hrabiego przez pokój wypełniony różnymi aparatami, kolbami i retortami — laboratorium chemiczne starego pana. Pokój sąsiedni był jego gabinetem.

Horváth, który pisał coś przy biurku, od razu odsunął papier i z wetkniętym za ucho gęsim piórem wstał, aby przywitać gościa. Uśmiechając się przyjaźnie podszedł do Jánosa i schwyciwszy go za obie ręce potrząsnął nimi przyjacielsko.

— Jestem hrabia János Buttler.

— Owszem, owszem — szybko powiedział Horváth. — Mam zaszczyt znać jaśnie wielmożnego pana hrabiego i bardzo się cieszę. Proszę usiąść i powiedzieć, czym mogę służyć, owszem.

János zarumienił się i zaczął ogródkiem, tak jak to sobie umyślił, zbliżać się w rozmowie do celu swej wizyty: otóż przyszedł w ważnej i delikatnej sprawie... zresztą, dawno już chciał zapoznać się z panem dobrodziejem, gdyż słyszał, że wielce szanowny pan Horváth jest miłośnikiem poezji Horacego Flaccusa i Owidiusza Nasona, których i on ceni wysoko...

— Hm, a więc pan lubi Owidiusza Nasona, a ja myślałem, że...

— O, ja uwielbiam wszystkich poetów — mówił z zapałem Buttler — i dawno bym już złożył panu uszanowanie, gdyby nie to, że obawiałem się wydać natrętem...

— O, na pewno nie, pod żadnym względem! Jednakże niech pan raczy zauważyć, że owszem, prozaicy także zasługują na szacunek. Owszem, prozaicy. U jednego z nich przeczytałem wczoraj, że... Megarczycy głodowali i zdecydowali się prosić o pomoc Lacedemończyków. Gdy ich posłowie zjawili się w Sparcie, mówca, owszem, w przepięknych słowach starał się przekonać sąsiadów, że powinni zrozumieć ich krytyczną sytuację, w jakiej się znaleźli wskutek złych urodzajów, i udzielić im pomocy. Spartanie, wysłuchawszy z głęboką uwagą tego wspaniałego przemówienia... owszem, wspaniałego przemówienia, odpowiedzieli posłom: „Wracajcie do domu, dobrzy ludzie, i powiedzcie, żeby wasz lud przysłał innych posłów, jako że wasza mowa była taka długa, że zanim dobrnęliście do końca, myśmy już zapomnieli, o co szło na początku i w środku.” Wrócili więc z niczym posłowie do Megary — a po kilku tygodniach przybywają nowi i mówią Spartanom: „Mieliśmy nieurodzaj,

głodujemy, pomóżcie nam.” Wstaje wówczas jeden z mieszkańców Sparty i mówi z pogardą: „Ech, po cóż tyle gadania, wytarczyłoby pokazać pustą torbę!...” No, owszem, owszem... Może i rzeczywiście wystarczyłoby, gdyby i jaśnie pan też coś takiego zrobił.

Nic chyba prostszego. Na ścianie wisiał portret Piroski. Została uwieczniona pędzlem wędrownego malarza w swej pierwszej długiej sukni.

Hrabia Buttler śmiałym gestem wskazał na ścianę.

— Owszem, owszem, jaśnie pan hrabia zjawił się tutaj z powodu mej córki, owszem.

— Kocham ją — otwarcie wyznał młody człowiek z głębokim wzruszeniem.

— Ach, tak? To znaczy nie Owidiusza Nasona, lecz ją?... Owszem, a więc ją. No, cóż, na razie wszystko w porządku, ale jak to się mówi, *audiatur et altera pars* \*: co ona o tym myśli, owszem — nagle spowaźniał, a twarz jego przybrała surowy wyraz.

— Panienska kocha mnie także.

— Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

— Wiem.

— Skąd pan wie? — i bacznie, jak sędzia, spojrzał mu w oczy.

— Widzi pan, odsłonię przed panem pewną tajemnicę. Otóż, ja już od pięciu lat prowadzę korespondencję z Piroską i ona pisze mi to w swoich listach.

— Na okręcikach? — zapytał stary pan obojętnym tonem.

— No, tak... na... okręcikach — wyjąkał hrabia, zdziwiony, że Horváth wie już o wszystkim.

— No, to jeszcze nic nie znaczy — roześmiał się do brodusznie stary pan — skoro już do tego doszło, to i ja panu wyjawię pewną tajemnicę: przy pomocy tych okręcików, drogi hrabio, korespondował z panem przez te wszystkie lata nikt inny, tylko ja sam.

Hrabia Buttler zbladł śmiertelnie i cofnął się o krok.

— To niemożliwe!

— Owszem, możliwe, ponieważ tak było. Moja córka, Piroska, nie ma najmniejszego pojęcia o tych listach. Owszem. Chce się pan przekonać? Proszę bliżej.

Sięgnął po list, który pisał, gdy Buttler przybył, i podsunął mu pod same oczy. W Jánosa jakby grom uderzył. Poznał pismo tak dobrze znane z listów, które przyływały na okrężnikach. Te same piękne, starannie wykaligrafowane, okrągłe litery, które oszukiwały go przez pięć lat.

## Rozdział ósmy

### CZERWONA RÓŻA, BIAŁA RÓŻA

Serce Jánosa wciąż jeszcze ścisnął ból, ale w oczach już mu zamigotały iskierki gniewu.

— Wielmożny panie — zaczął wzburzony, głuchym głosem. — Brzydko bawił się pan ze mną przez te pięć lat. Proszę o wyjaśnienie, co skłoniło pana do takiego zachowania?

Nozdrza mu się rozděły, twarz pobladła, a w oczach płonął złowieszczy ognik, zapowiadający burzę.

Horváth z zachwytem patrzył na niego i myślał: „Jakież on teraz piękny! Dlaczego to ja nie mam takiego syna!”

— No, no, no, młody człowieku — uśmiechnął się protekcjonalnie zachowując olimpijski spokój — pan się zanadto gorączkuje, owszem, ale nie mogę tego brać panu za złe, albowiem „juventus ventus”!\*

— Żadnych „ventus”! — zgryźliwie przerwał mu hrabia. — Pan został szlachcicem, a szlachcic, nawet osrebrzony siwizną, nie ma prawa wykręcać się łacińskimi porzekadłami.

Stary Horváth ani mrugnął.

— Szlachcic, owszem, ale muszę panu powiedzieć, młodzieńcze, że jest coś ważniejszego — to szlachcic-ojciec, owszem. Otóż ja jestem ojcem i gdy spostrzegłem, że ktoś szuka dostępu do serca mojej córki i to na domiar sposobem tak romantycznym — szemrzące strumyki, okręciki, bukieciki — miałem prawo pomyśleć:

„Aha, ty chcesz porwać mi córkę? A ja zatarasuję ci drogę i przekonam się najpierw, kto ty jesteś i co z ciebie za człowiek!”

Młody hrabia skłonił swą piękną głowę na znak, że jest przytłoczony tym argumentem.

— W ciągu pięciu lat korespondowałem z panem, jednocześnie starając się nie wzbudzić podejrzeń i wniknąć w świat duchowy młodziutkiej dziewczyny. Nauczony długoletnim życiowym doświadczeniem prowadziłem grę z panem... — czyli z tobą, mój synu. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żebym ci mówił „ty”, tak jak to już dawno robiliśmy w listach.

W tym miejscu hrabia skrzywił się, jakby go coś zabolalo — tak nie na miejscu wydał mu się ten żarcik, nie odzywając się jednak ani słowem i z niecierpliwością czekając, co będzie dalej.

— Pięć lat to kawał czasu, mój synu, i przez ten czas dobrze cię poznałem. Taka była moja niezłomna wola. Postanowiłem sam wybrać męża dla mojej najmłodszej córki. I oto wybieram ciebie, owszem!

Wyciągnął z sympatią obie ręce do Jánosa i objął go. Hrabia ze smutkiem popatrzył na starca, jak gdyby nic z tego nie rozumiejąc.

— Co się z tobą dzieje, do licha? Dlaczego masz taką kwaśną minę, jakbym ci odgryzł ucho? Czy tak powinien wyglądać kawaler, który otrzymał rękę panny?

— Pan zburzył świat moich marzeń — odpowiedział hrabia János z wyrazem głębokiego smutku na twarzy — i obawiam się, że moja wizyta była całkiem bezcelowa. Proszę o wybaczenie...

— Bzdura! A Piroska?

— O, ona mnie prawie nie zna. Przecież w gruncie rzeczy to całkiem inna osoba, nie znana mi, w każdym razie nie ta, którą znałem i której obraz stworzyłem sobie w ciągu tych paru lat i zachowałem w sercu.

— Nie bądź fantastą, drogi bracie. Co się stało, tego się już nie zmieni. Dopomóc sprawie można by tylko w jeden sposób — i pod srebrnym wężem starego zjawił się dobroduszny uśmiech.

— W jaki? — zapytał machinalnie młody człowiek.

— Gdybyś ty ożenił się ze mną, owszem, ale wątpię, czy taki *modus vivendi* \* przypadłby ci do gustu.

Teraz już i János uśmiechnął się także.

— A poza tym, widzisz, prawdą jest, oczywiście, że korespondowała z tobą nie Piroska, ale prawdą jest i to, że ona sobie tego życzyła. Pierwszy okręcik, który przyniósł ci liścik z uprzedzeniem, żebyś nie chodził do Bernyés, bo tam mogą ci złapać, Piroska sama puściła na wodę. Zauważyłem go, wyłowilem i nie mówiąc nikomu ani słowa przepisałem tę karteczkę własną ręką; Piroski nie dopuszczałem do strumienia, odgrodziwszy uprzednio tę część parku.

— A więc pan myśli — zapytał hrabia János z ożywieniem — że ona nie stroni ode mnie?

— Myślę? — Cóż to, głupiec jestem, żeby latami korespondować ze studentem dla własnej przyjemności? Już lepiej byłoby pisywać do biskupa z Koszyc. — On jest dużo mądrzejszy i do tego mój krewny. Nie, wiedziałem, że dziewczyna cię kocha.

— O, Boże, gdybyż to była prawda — westchnął János.

— Idę o zakład, że to prawda!

— A jak się można o tym przekonać?

— Całkiem po prostu: zapytajmy ją samą.

— Ale kiedy?

— Zaraz, niezwłocznie.

— Tutaj, w mojej obecności?

— W twojej obecności.

— Nie, nie — zaprotestował hrabia — padłbym trupem, gdyby powiedziała, że mnie nie kocha.

— Nie padniesz, do diabła!

I Horváth otworzył drzwi: oczom Jánosa ukazała się amfilada pokojów.

— Pirosko, Pirosko! — zawołał stary. — Chodź tutaj!

Nie minęła minuta — ale co tu mówić, nawet i pół minuty (choć Jánosowi zdawało się, że to cała wieczność minęła), jak z drugiego pokoju dał się słyszeć delikatny szelest sukni. Hrabia jak gdyby posłuszny jakiemś wyższemu nakazowi, zamknął oczy i poczuł chłodny powiew wywołany falowaniem jej sukni, a jednocześnie ciepło promieni słonecznych, wpadających przez zielone żaluzje okien.

Po chwili rozległ się dźwięczny głosik:

— Jestem, co tatuś każe?

János od razu otworzył oczy; zdawało mu się, że teraz dopiero nie widzi nic, choć przed chwilą mając oczy zamknięte, spostrzegał wszystko, co się dzieje w pokoju.

Niby mglista zjawa w drzwiach stała Piroaska. Wydawać by się mogło, że to nawet nie ona sama, tylko jej portret zeszedł ze ściany i stanął w drzwiach jak w ramce. Ale ubrana była inaczej. Miała na sobie skromną perkalikową sukienkę, w której było jej bardzo do twarzy, i biały fartuszek; z rękawów zakasanych powyżej łokci wynurzały się różowe jak kwiat czereśni ramiona. W tej chwili były bezradnie opuszczone, podobnie jak jej główka, pochylona niby złamana lilia. Jakże była piękna!

— Wezwałem cię, kochanie, gdyż musimy znaleźć odpowiedź na pewne bardzo ważne pytanie. Podejdź tu bliżej. Ale dlaczego jesteś w takim dziwnym stroju?

Dziewczyna rzuciła okiem na swój fartuszek, na swoje ręce i zapłonęła cała. Po chwili zaczęła szybko opuszczać zakasane rękawy.

— Pitrasiliśmy coś z Frydą w kuchni — wybąkała — a ja nie wiedziałam... o... Boże drogi!...

— No, cóż takiego? Chcesz uciekać? No, nie! Podejdź bliżej, podejdźże... O, tak, do mnie!

Piroska stanęła za ojcem, wspięła się na palce i oparła podbródek o jego ramię. Ukryta za plecami Horvátha zdecydowała się wreszcie rzucić ukradkiem nieśmiałe spojrzenie na gościa.

— Zgadnij, w jakiej sprawie przyszedł do mnie hrabia Buttler?

— Nie wiem, tatusiu, naprawdę nie wiem — cicho powiedziała dziewczyna zdławionym głosem.

Buttler zrobił krok naprzód, automatycznie i nieporadnie jak lunatyk; wargi mu drżały, czuł, że powinien coś powiedzieć, ale stary Horváth nie dopuścił do tego.

— Sam powiem, owszem. Przyszedł prosić o twoją rękę. No, no, co na mnie patrzysz z takim zdziwieniem? Posłuchaj: teraz wszystko zależy od ciebie. Jeśli go kochasz, wychodź za niego. Jeśli nie, rzeknij wyraźnie. Odpowiedz, co ci serce dyktuje.

Dziewczyna odruchowo cofnęła głowę, kryjąc się za plecami ojca niby za parawanem.

Wśród ciszy zdawało się, że słyhać, jak biją serca dwojga młodych.

— No, nie bądźże dzieckiem, odpowiadaj!

Dziewczyna zacisnęła usta i milczała. Słyhać było tylko tykanie starego zegara ściennego: wahadło leniwie poruszało się w obie strony.

— No i czego milczysz? A poza tym dlaczego chowasz się za moimi plecami? To nie parawan! Idźże sobie już, bo się rozgniewam!

Odszedł do okna i dziewczyna nie miała gdzie się schować, przypominała teraz delikatną roślinkę, której nagle zabrano podpórkę. Ogarnęło ją dziwne uczucie,

że jest sama, samiuteńka... Teraz drżała jak lilia na wietrze...

Podeszła do ojca i oparła głowę na jego piersi.

— Oj, wstyd mi, tak mi wstyd — wyszeptwała ledwo dosłyszalnie.

— Może nie zdecydowałaś się jeszcze? Potrzebny ci pewien czas do namysłu?

— Nie.

— Co to znaczy „nie”? Czyś jeszcze nie zdecydowała, czy też chcesz się nad tym namyślić?

— Nie wiem, nie wiem — powtarzała jak w półśnie.

Stary zaczął tracić cierpliwość, na czole jego pojawiły się zmarszczki.

— Ach, ty mały tchórze! Jakaż to z ciebie będzie żona? Jesteś jeszcze dzieckiem. Teraz widzę sam, że za wcześnie z tobą o tym mówić. Otóż i cała odpowiedź. Gdybyś kochała Buttlera, pokonałabyś swój wstyd, miłość bowiem, widzisz, silniejsza jest niż wstydlivość. Na tym skończymy. Możesz odejść, jeśli chcesz, do swojego pokoju.

Ale dziewczyna przywarła kurczowo do piersi ojca, potem nagle objęła go za szyję i starała się przyciągnąć jego dużą głowę do swych ust, ażeby szepnąć mu coś do ucha. Stary coś tam mruknął o kolczyku z granatu, którym go zadrapała.

— Wstyd mi, że jestem w takiej sukience — wyszeptwała.

— He, he, he — roześmiał się dobrodusznie stary. — Ach ty głuptasku! — i pocałował ją w usta. — Jak to ona powiedziała: „wstyd mi, że jestem w takiej sukience!”. O, Ewo, Ewo, komiczna Ewo! Jakież głupie wymagania ma twoja płeć. No dobrze, idź się przebierz, jeśli masz ochotę; i jeszcze coś: nie musisz odpowiadać słowami. Jeśli kochasz Buttlera — wepnij we włosy czerwoną różę, a jeśli nie, to białą.

Piroska wybiegła. Buttler westchnął: „Już nie wróci”. W trzecim pokoju zabrzmiała filuterna piosenka, którą w owym czasie przywieziono z Paryża.

W Grenoble wróbel na kościele  
Cwierka głodny swoje trele.  
Tralala, tralali  
Ej, ptaszyno, głupiaś ty!

Piosenka oddalała się coraz bardziej, aż wreszcie całkiem ucichła.

Stary Horváth pykał z fajeczki, a potem nabił ją na nowo. Buttler zatonął w cichych marzeniach. To miał nadzieję, to ją tracił. Myśli przelatywały mu przez głowę z zawrotną szybkością: „Teraz ubiera się, teraz sznuruje jej gorset, nakładają spódnice, a teraz posyła pokojówkę do oranżerii po różę. Ale po jaką? Białą czy czerwoną? Pokojówka już wie. Szczęśliwa! — János z niecierpliwością spojrział na zegarek. — Jakże długo nie wraca. A może wcale nie przyjdzie, tylko zawiadomi przez lokaja, że rozboleła ją głowa”.

— Kiedy myślisz urządzić wesele? — zapytał stary Horváth, wymachując fajką z długim cybuchem, ażeby rozpaścić hubkę.

Buttler drgnął.

— Pan był łaskaw coś powiedzieć?

Tymczasem hubka zgasła i stary znowu zaczął manipulować krzemieniem, a takie zajęcie wymaga skupienia. Nagle drzwi się otworzyły i weszła Piroska. Jakież było ich zdziwienie, gdy zobaczyli, że jest w tej samej sukience, tylko we włosach jej płonie wesołym płomykiem czerwona róża.

— I to jest ta twoja wspaniała toaleta? — gniewnie zapytał ojciec kiwając głową.

— Tak, tatusiu, przecież przyniosłam wachlarz.

Och, wachlarz! No, oczywiście. Tego tylko brakowało!

Za wachlarzem można się schować wstydliwie i kokieteryjnie o ileż lepiej niż za plecami ojca. Wachlarz to mały, lecz przemyślny oręż — dodaje śmiałości. Teraz dziewczyna już się wcale nie bała, przynajmniej nie można było tego zauważyć.

— Ach, kobiety, kobiety — zawołał żartobliwie stary Horváth wznosząc oczy ku niebu. — Wszystkie jesteście takie same! Przybyła z orężem i nawet przyniosła odpowiedź w postaci tej czerwonej ozdoby we włosach.

Potem mrugnął wesoło do Buttlera:

— Widzisz? A co ci mówiłem! No, podejdz bliżej, pocałuj swoją narzeczoną.

Buttler z rozanielonym wyrazem twarzy, niepewnym krokiem jak pijany, podszedł do dziewczyny. Piroska także zrobiła krok w jego stronę i pochyliwszy się podstawiła twarzyczkę.

— Proszę wziąć swoją różę — wyszeptwała ledwo dosłyszalnie.

Drżącą ręką Buttler wyjął kwiatek z jej prześlicznych, jasnych jak len włosów.

— Dziękuję.

I pocałował to miejsce, w które wpięta była róża, po czym ostrożnie włożył kwiatek do swej butonierki. Piroska przypadła głową do jego piersi, tuż obok podarowanej róży.

Stary Horváth znów zaczął wymachiwać swoją fajeczką, żeby ją rozżarzyć, i powtórzył pytanie:

— No, owszem, owszem, a kiedy wyprawicie wesele?

## Rozdział dziewiąty

### WIELMOŻNA PANI W STROJU GALOWYM

Wesele? Ale kto o nim teraz myśli? Takie pragnienie zjawi się może jutro, a może dopiero pojutrze.

Na razie narzeczeni są szczęśliwi, że mogą siedzieć obok siebie i trzymając się za ręce patrzeć sobie w oczy; szczęśliwi, że perkalikowa sukienka Piroski musnęła kolano młodzieńca, że János może poprawić własną ręką kosmyk jej włosów opadający na czoło.

Teraz wszystko wydaje im się słodyczą, która nie może znudzić się nigdy. A tysiące wymyślnych pytań i tyleż rozkosznych odpowiedzi (takich wymyślnych, że od razu mógłby je odgadnąć nawet ślepy kotek).

— Czy pan János pamięta, jak tam w lesie podarował mi ptasie jajeczka?

— O, jeszcze jak dobrze pamiętam. Przecież zakochałem się od razu.

— Doprawdy? I ja także.

— Naprawdę?

— Czy można mi nie wierzyć?

— Wierzę, wierzę, tylko proszę nie patrzeć na mnie takimi smutnymi oczami.

— Ach, tak, więc nie podobają się moje oczy?

— Co znowu? Wcale tego nie chciałem powiedzieć.

Chcą wszystko wiedzieć i wszystko wyjaśnić. Przypominają dzieci, które bawiąc się nad strumieniem oblizują każdy kolorowy kamyczek — może jest z cukru?

— A proszę powiedzieć mi, co Piroška myślała wtedy, jak mnie zobaczyła tutaj?

— Co ja pomyślałam?... Rzeczywiście, co ja myślałam? Ach, przypomniałam sobie. Byłam pewna, że to na śmigus.

— Rzeczywiście, przecież dzisiaj lany poniedziałek. Można?

— Co też takiego? To nie jest przyjęte u takich... no, wiadomo... u takich jak my.

— Czyżby pani wtedy myślała tylko o śmigusie? Nie może być, żeby serce nic nie szepnęło. Proszę się przyznać, Piroško.

— Mam powiedzieć prawdę?

— Tak — cicho i czule poprosił hrabia János.

— Wydawało mi się, że wiem, o co chodzi.

— To znaczy, że kocham?

— Kował mi to powiedział.

— Kował? Jak to?

— Kował powiedział o naostrzeniu siekierki. Domyśliłam się od razu, kto ścina za mnie drzewa, i bardzo mnie to wzruszyło.

— To znaczy, że ja, jak zwykły drwal, siekierką zapracowałam na chleb?

— Jak to — obraziła się Piroška. — To znaczy, że ja jestem jak zwykły chleb?

— Skądże? Raczej jak słodki pierniczek z miodem! Chciałam powiedzieć — jak szczęście. Przepraszam za to przejęzyczenie.

Tak więc musieli sobie wyjaśnić mnóstwo różnych, niezmiernie ważnych spraw. Zdawałoby się, że nie ma końca ich wesołemu gruchaniu, a jeśli się pokłóca, naburmuszą, to i tak zaraz się pogodzą.

Odwrócił się stary Horváth, zaczął szperać w szufladzie ogromnego starego kredensu, szukając fajki, nie widzi ich, można więc szybko pocałować Piroškę. No,

a kto raz spróbował tego słodkiego miodku, ten już jest stracony dla spraw poważniejszych. Dotychczas młodzi tylko patrzyli na siebie i sprawiało im przyjemność widzieć, jak to drugie nagle zaczerwieni się lub zblednie. Teraz nastąpiło drugie stadium: oboje czekali już tylko na to, kiedy stary odwróci się do okna, żeby sprawdzić, czy niebo nie zaciąga się chmurami (bzdura, skąd się mają nagle wziąć chmury?!). Trzecie stadium nastąpi, gdy przyjdzie wieczór. Czas pożegnać się i życząc dobrej nocy wrócić do domu. Teraz dopiero zaczyna się udręka! Pierwszy dzień jeszcze jakoś tam przeszedł, a na drugi już w duszy rodzi się protest. Jakże to wszystko szybko dojrzewa! Nic dziwnego, ogrzane jest przecież słońcem miłości. Z wczorajszych upojeń nie pozostało już ani śladu. W sercu rośnie niepokój i powstaje dręczące pytanie: „Kiedyż wreszcie wesele?” A kiedyż może być?

Przed końcem lipca mowy nie ma, bo przecież najpierw trzeba ukończyć prawo, żeby hrabia János Buttlar stał się człowiekiem wykształconym, chociaż i tak każdy z rodu Buttlerów rodzi się od razu wykształcony. Co prawda można wyznaczyć ślub na Zielone Świątki, ale wtedy mówiono by, że on jest studentem, a ona studentową. Jeszcze, broń Boże, złośliwy paszkwil ułożą prawnicy na Jánosa. Wprawdzie nie musiałby kończyć prawa, ale co powie profesor Kövy, który tak lubi Buttlara? Nie, niech już lepiej będzie wesele w końcu czerwca na świętego Piotra i Pawła.

Na tym stanęło. Co prawda dużo czasu pozostało jeszcze do tego terminu, ale i spraw niemało. Trzeba zawiadomić pisemnie całą rodzinę i zamówić w Wiedniu i w Koszycach mnóstwo rzeczy potrzebnych do wyprawy.

Forys już nazajutrz osiodłał konia i pogalopował do Pataku do Istvána Fáyego, opiekuna Buttlera, żeby zawiadomić go o zaręczynach.

Fáy odpowiedział narzeczonemu i narzeczonej uroczystymi epistołami i ku miłemu zdziwieniu Jánosa przysłał dawno przygotowane i leżące do tej pory w szufladzie świadectwo pełnoletności hrabiego Buttlera. Opiekun wyrażał zgodę na ślub i załączał rodzinne pozdrowienia. Przyjechałby chętnie sam ucałować drogą „siostrzenicę”, ale przekłeta podagra nie pozwalała mu wstać z łóżka. W zamian przysłał słynną rodzinową kolię ze szmaragdów, którą Buttlerowie przy zaręczynach dawali swym narzeczonym. „Naszyjnik ten — pisał Fáy na zakończenie listu — w swoim czasie należał do matki króla szwedzkiego, Karola XII, i jak głosi podanie, przynosi szczęście każdemu, kto go posiada”.

Wysyłając forysia do Pataku Buttler kazał mu wstąpić do mistrza złotnika, Mihálya Bujdosó, i kupić dwie solidne złote obrączki — jedną większą, drugą mniejszą.

Drugi forys również udał się w drogę: wiozł list hrabiego Buttlera do zarządzającego majątkiem w Bozосу. Młody hrabia prosił w tym liście, ażeby jak najszybciej, nie szczędząc pieniędzy ani wysiłku, upiększyć pałac i park, gdyż w końcu czerwca przyjedzie tam i już zamieszka. Niech ogrodnik zasadzi jak najwięcej kwiatów, gdyż razem z hrabią zamieszka w pałacu jeszcze ktoś, kto bardzo kwiaty lubi.

Na całej wolnej przestrzeni pomiędzy drzewami niech posadzą kwiatki, zwane „iskierkami”. W liście była także mowa o tym, że trzeba oczywiście zarybić staw.

„Byłoby również wskazane — pisał hrabia — skomunikować się z zarządzającym moim majątkiem pardańskim, Ferencem Nogállem, i z rządcą majątku w Siedmiogrodzie, Józsefem Gáborem, w celu przeniesienia części słowików do parku w Bozосу, żeby tam śpiewały...” i tak dalej.

Horváth o mało nie skonał ze śmiechu, gdy János pokazał mu ten list.

— Chciałbym ja widzieć te twoje słowiki, jak będą je łapać i przesiedlać, i czy potem będą śpiewały? A jeśli chodzi o staw, toś jeszcze o czymś zapomniał. Cesarz Heliogabal \*, kiedy się żenił, kazał napęłnić całe jezioro olejkim różanym, ażeby pachniało z daleka.

— To może i ja mam zrobić tak samo?

— Głuptasie! Teraz na całym świecie nie znajdziesz takiej ilości olejku różanego. Poszedłby na to nie tylko twój majątek, ale i mój na dodatek.

Już całe trzy dni hrabia czuł się szczęśliwy. Zapewne zawiadomienia o zaręczynach, które Horváth rozesłał do rodziny, wszyscy już otrzymali, a János wciąż jeszcze ukrywał swe szczęście przed rodziną Bernáthów.

Lecz oto nadszedł ostatni dzień ferii świątecznych. Nazajutrz rano trzeba było jechać do Pataku. Bernáthowa już piekła im gęś na drogę i nasmażyła racuszków, a w domu nikt jeszcze nie wiedział o tajemnicy Jánosa. Było mu wstyd przed samym sobą, lecz bał się nieprzyjemnej rozmowy, wiedział bowiem, jak bardzo Bernáthowie nie lubią byłego gorzelnika, z którym już od dwunastu lat nie rozmawiali.

Wszystko jedno, nie może odjechać nie powiedziawszy tym dobrym staruszkom o tym, co zaszło. Ale w jaki sposób, żeby nie sprawić im przykrości; János postanowił załatwić wszystko jak najsprytniej i poszedł do kuchni, gdzie krzątała się wielmożna pani (w tej chwili właśnie wymierzyła policzek nieostrożnej służącej, która nadepnęła na małe kurczątko tak mocno, że pisnęło i zdechło).

— A ja wam właśnie na drogę gęś piękną, synku — ta wyrosła wcześniej niż inne i ładnie utuczyła się na swoje nieszczęście. Gdyby tak jeszcze parę dni ją potrzymać i dokarmić, zrobiłaby się ze dwa razy tłuszciej-

sza. No, ale nie ma rady, profesorowie nie będą czekali. Popatrz no na tę gąskę, jak się ślicznie przyrumieniła w brytfannie.

— Dziękuję, ciociu, ale teraz nie gęś mi w głowie.

— Domyślam się, urwisie, znów chcecie zatrzymać się w Olaszrösške u Dörych. Będzie tam wielka uczta! Tylko uważaj, żebyś nie rozkochał się w pięknej baronównie.

— Już się zakochałem, ciociu.

— Coś ty powiedział? — spytała ze zdumieniem.

— Powiedziałem, że ciocia mnie już nie kocha.

— Ajajaj, jak możesz gadać takie rzeczy? Bo chlusię w twoje bezwstydnne oczy z tej warząchwi.

— Ależ, ciocia nawet nie patrzy na mnie — niby to biadał János.

— Jak to nie patrzę? Nawet i teraz patrzę.

— Przysiąc mogę, że od trzech dni ciotunia nie spojrziała na moją rękę...

— Co takiego? Skaleczyłeś się?

— Czy ciotunia nic na niej nie zauważyła?

— Co takiego, boli cię? Może karbunkuł?

— Niech ciotunia spojrzy...

I z tymi słowami János jak dziecko, które chce się czymś pochwalić, wyprostował prawą dłoń: na palcu, obok rodowego sygnetu, lśniła gładka złota obrączka.

Na ten widok Bernáthowej wypadła z rąk warząchew. Patrzyła z przerażeniem.

— Komu masz zamiar to oddać?

— To? Nikomu aż do samej śmierci. Sam ją dostałem.

— Od kogo?

Młodzieniec uśmiechnął się szelmowsko.

— Proszę zgadnąć, ciotuniu.

— Nie będę zgadywać, a jeśli nie powiesz mi w tej chwili, to dostaniesz takie lanie trzepaczką, jakiego

zaden hrabia na świecie jeszcze nie dostał. Po to tyle lat kochałam cię i wychowywałam od małego!

I poczciwe jej oczy w jednej chwili napełniły się łzami.

János zaczął całować ją po rękach, prosząc o wybaczenie, a potem nachylił się i wyszeptał do ucha najdroższe imię, które było dla niego cenniejsze niż srebro i złoto, bardziej lśniące niż wszystkie wspaniałe klejnoty i miłsze niż wszystkie melodie świata: „Piroska Horváthówna, Piroska Horváthówna.”

Ciotka w milczeniu dała mu znak, żeby poszedł za nią do pokoju. János przestraszył się. A co będzie, jeśli wpadnie jej do głowy kazać mu klęczeć na drwach, jak to często robiła, gdy był jeszcze mały.

— Mów, opowiadaj po kolei, jak to się stało — rzekła surowo, wyraźnie urażona w swej dumie.

János opowiedział wszystko od początku do końca.

— I to się stało trzy dni temu?

— Tak, ciotuniu.

— A tyś do tej pory ani słowa nie pisałeś?

— Tak, chociaż mi to z trudem przyszło, gdy biedna Piroska chciała przyjść tutaj, a ja się bałam wam powiedzieć.

— Niedobrze zrobiłeś, János. Weź sobie za żonę choćby i córkę kata, mnie tam wszystko jedno: skoro ona jest twoja, to znaczy, że i dla mnie jest córką. Mówisz, że chciała przyjść do mnie, biedactwo?

— Tak.

— I coś jej powiedziała?

— Powiedziałam, że boję się, że ciocia ją źle przyjmie.

— Co takiego? Tak jej powiedziałaś? — zawołała z gniewem ciotka i szeroko otworzyła drzwi. — Ej, Panka, szybko! Gdzie moja czarna jedwabna suknia?

— Czyżby ciocia chciała pójść... tam?

— Właśnie tam. I to zaraz, a nie wróćę, dopóki jej tu nie przyprowadzę.

Hrabia János popatrzył na nią ze zdumieniem. Czy to naprawdę ciotka, czy może — wszak już wierzył we wszystko — ożyła jego ukochana matka, którą znał tylko z portretu, wiszącego w sali pałacu w Bozосу, a która wydała go na świat, przypląciwszy to własnym życiem.

Ale chociaż stała przed nim nie matka, lecz ciotka Bernáthowa, János, kierowany jakąś niepojętą siłą, przypadł do jej piersi, szepcząc: „Mateczko, moja kochana mateczko!”

Oczy młodzieńca były pełne łez.

Wielmożna pani rzeczywiście zaczęła się ubierać w galowy strój. Zrobiła sobie modne w owym czasie loczki, włożyła jedwabną suknię, kolię brylantową, bransoletki, kolczyki z czarnymi perłami — mówili ludzie, że takie same perły są tylko w koronie króla angielskiego — spryskała chusteczkę wodą różaną, po czym nakazała huzarowi, aby on, niosąc na ręce jej czarną koronkową mantylę, kroczył po wojskowemu w odległości czterech dokładnie odmierzonych kroków, a jeśli się pomyli, to ona mu, psubratowi, parasolką łeb rozpląta.

Pani Bernáthowa, chociaż w domu taka skromna, umiała, gdy zaszła potrzeba, przeobrazić się w taką światową damę, że z łatwością mogłaby zająć miejsce na Hofburgu.

János siedział na tarasie i wypatrywał z niecierpliwością, kiedyż to nareszcie ciocia wróci i przyprowadzi ze sobą Piroskę. Minał czas podwieczorku, a jej wciąż nie było. Cóż ona może tam robić tak długo?

Oto już słońce zachodzi: dopiero co promienie jego igrały wesoło na ciocinych oleandrach w doniczkach,

a teraz już się kryje, aż dziwne, że nie chce czekać dłużej na Piroskę.

Tymczasem wrócił z pola stary Bernáth z Zsigmondem i oczywiście zaczęli się dopytywać, gdzie jest matka...

Cóż im powiedzieć? I tak się przed nimi prawdy nie ukryje.

— Poszła do Horváthów.

— Co takiego, oszalała? — zawołał stary Bernáth.

— Nie, to ja oszalałem, wujaszku.

I musiał od początku opowiadać o swej wielkiej tajemnicy, jak to zaręczył się z panną Horváthówną. Zresztą, opowiadając tę historię po raz drugi, nie czuł już zakłopotania (człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego) i prawdę mówiąc, doznawał nawet satysfakcji opisu-  
jąc z upojeniem wszystkie szczegóły wydarzenia.

Stary Bernáth był z natury małowówny, powiedział więc tylko:

— Ależ canis mater!

Zsigmond był zdziwiony słysząc tę nowinę.

— Słuchaj, to prawie jak w bajce! A ja dotychczas nic nie zauważyłem! I ukrywałeś to przede mną! No, czekaj, czekaj, ty milczku!

— Wybacz mi, bracie, ale ja sam przez ten cały czas chodziłem jak lunatyk.

— No i co, zadawał ci stary Horváth zagadki?

— Jedną tylko, a i tę sam rozwiązał. W ciągu pięciu lat wysyłałem na falach strumyka płynącego przez ich park papierowe okręciki z listami do Piroski. I ona w ten sam sposób odpowiadała mi. Potem wyznaliśmy sobie miłość, przyszedłem do niej do domu i opowiedziałem wszystko jej ojcu. Wyobraź sobie, jak byłem oszołomiony, gdy stary powiedział mi, że Piroaska nie ma pojęcia o tych listach, gdyż cały czas korespondo-

wał ze mną jej ojciec, a nie ona sama. Robiłem to, mówił, po to, żeby lepiej poznać przyszłego zięcia.

— Coś takiego! — wymamrotał stary Bernáth — taki dobry ojciec nie może być byle jakim człowiekiem.

Ten ciekawy szczegół wywarł na nim takie wrażenie, że nie mógł się uspokoić. Wstał ze swego ulubionego fotela (do którego nóżek w kształcie lwich łap była umocowana na stałe luneta, ażeby przy jej pomocy można było obserwować, jak pracują na polach pańszczyźniani chłopcy) i zaczął spacerować po tarasie. Widać było, że jest w rozterce; mamrotał coś półgłosem, a od czasu do czasu słychać było tylko poszczególne słowa.

W komitacie nazywano go „Sprawiedliwym Bernáthem”. I on był dumny z tego zaszczytnego miana. A teraz zaczął się zastanawiać: czy naprawdę jest sprawiedliwy? Czy zasłużył na taką sławę? Może nie miał racji w stosunku do Horvátha?

Wreszcie wróciła wielmożna pani. Co prawda, przybyła sama, bez Piroski, ale wesoła, ruchliwa i tak lekkim krokiem wbiegła na ganek, szeleszcząc suknią, jak gdyby była od wczoraj zaręczona.

Stary Bernáth poczłapał na jej spotkanie udając, że o niczym nie wie.

— Gdzieżeś ty bywał, czarny baranie?

— W ogrodzie, w ogrodzie, mój miły panie — odpowiedziała mu w tonie znanej dziecięcej piosenki.

— Coś tam widział, czarny baranie?

— Że jesteśmy oboje starymi durniami, mój miły panie.

— Ejże, a dlaczego to?

— Dlatego, że przez całe swoje życie gardziliśmy miłą i dobrą rodziną Horváthów i mieliśmy ich za psi pazur, zamiast żyć z nimi w przyjaźni i zgodzie.

Ta właśnie myśl nurtowała starego sędziego tabularnego, a tu jeszcze żona, jak na złość, zaczęła mówić o tym samym. I po cóż ta długowłosa istota wtykać ma nos do jego najskrytszych myśli. Stary Bernáth pośpiesznie uchylił się od rozmowy na ten temat i zapytał:

— No i coś ty jeszcze tam zobaczyła, mateczko?

— Że nasz synek to ciamajda. Sprzątnęli mu sprzed nosa miłe, najładniejsze, najlepsze stworzenie, jakie urodziło się w tej okolicy, gdzie Bernáthom od wieków dostawało się wszystko, co najlepsze.

Stary Bernáth i Zsigmond roześmieli się i tylko János odczuł niepokój i spytał nieśmiało, dlaczegoż to „stworzenie” nie przyszło.

— Obiecała, że zaraz przyjdzie, jak się tylko przebierze i nakarmi swoje ptaszki. Zje u nas podwieczorek. Hej, Erzsika, Panka, Borka! Raz, dwa, trzy!! Dalej, żywo, zagotujcie w rondlu mleko! A ty zobacz, czy jest u nas kawa palona! Wyjmij z kredensu najładniejsze filiżanki, nakryj stół białym adamaszkowym obrusem w saloniku księżnej Rákóczi (w pokojach „księżęcych” pani Bernáthowa przyjmowała tylko najdostojniejszych gości).

Zaczęła krzątać się, biegać od jednego kredensu do drugiego, potem do spiżarni po specjały, z jednego miejsca wyjmowała paczkę biszkoptów, z drugiego — kiście winogron lub słodycze od Nelweisa, słynnego cukiernika nadwornego, które trzy lata temu przysłał z Wiednia z okazji złotego wesela Bernáthów imć pan Mihály Lónyay.

W tym rozgardiaszu biedny Bernáth omal nie zwałił się z nóg, gdy żona zderzyła się z nim na progu. Zamiast przeprosin pogłaskała jego siwą brodę.

— No, nie gniewaj się, mój drogi zrzędo, i pogódź się z dobrym, zacnym Horváthem!

Stary gniewnie odepchnął rękę żony:

— Nie wtrącaj się do tego, czego nie rozumiesz!

— Wierz mi, to dobry człowiek; a poza tym János by się bardzo ucieszył.

— Gdyby nie pędził tej przeklętej „rózanej nalewki”... — burczał pod nosem stary.

— Czy to taki wielki grzech pędzić wódkę? Mało to ja w życiu różnych rzeczy napitrasiałam? A jednak ty mnie kochasz.

— Ale nie oszukiwałaś ludzi!

— Jak to nie oszukiwałam! Pamiętasz, jak byłeś chory? Przyrządzałam dla ciebie gołąbki faszerowane cielęcina i piskorze smażyłam na maśle śmietankowym. A jak zapytałeś mnie, na czym, powiedziałam, że na smalcu.

— No, no, myślisz, że ja cię nie znam? Gotowa jesteś otruć człowieka.

Rezultat był taki, że wielmożna pani rozplakała się (oczy miała, jak się to mówi, na mokrym miejscu). Mąż musiał ją przeproszać, gdyż nie chciał, ażeby witała miłego gościa z zapłakanymi oczyma.

— Tylko nie płacz, nie mogę na to patrzeć. Znam się na tej twojej chytrej polityce! No, dobrze już, dobrze, uspokój się. Zastanowię się, jeśli chodzi o Horvátha.

Po jakimś czasie zjawiała się Piroska w towarzystwie Fräulein Frydy, a stary pan zachowywał się tak, że Bernáthowej serce wypełniała radość i myślała: „Jakiego ja mam dobrego męża!”

Przy stole Bernáth sam zajmował się miłym gościem i nie dopuszczał nikogo do głosu: nalewał wody, podnosił serwetkę, gdy spadła, i zabawiał licznymi historyjkami, tak że w końcu hrabia János rozzłościł się i powiedział z wyrzutem:

— Proszę mi nie zabierać narzeczonej!

Bernáth zgodził się ustąpić Jánosowi za jednego calusa, którego da mu, oczywiście, Piroska. Po długich

pertraktacjach hrabia zezwolił na jeden pocałunek, a Piroska posłusznie objęła białosnieżnymi rączkami zmierzwioną głowę starego pana i cmoknęła go w rumiany policzek. Ale nienasycony Bernáth i potem także nie dawał jej spokoju, gdzież tam! Cały czas kręcił się koło niej. Przyniósł podnózek, a potem zaczął pokazywać jej różne cenne przedmiociki, przy każdym opowiadając ich dzieje. A gdy Piroska pochwaliła wymalowaną na kości słoniowej miniaturkę Marii Antoniny, od razu podarował jej piękne cacko na pamiątkę.

— Będzie to dla mnie wielka radość, jeśli panna Piroska przyjmie ten drobiazg.

Potem sięgnął po gorset należący niegdyś do księżny Rákóczi i zaczął go przymierzać Piroscie — rozumie się, na sukni. Jednakże i tak gorset okazał się za duży. Mierzyć gorset! Zajęcie rzadko przypadające w udziale nawet królom (raczej krawcom) — cóż to za przyjemność dotykać cudnych kształtów — ramionek, szyjki, talii, dziewiczych bioder!

Buttler zagryzał usta, wściekły, że stary nie domyślił się, ażeby jemu, Jánosowi, pozwolić na tę przyjemność przymierzania gorsetu. Oddałby za to jeden ze swych majątków.

Pani Bernáthowa jednak nie wytrzymała i niby to gniewnie krzyknęła na męża:

— Ach, ty stary lowelasie!

W odpowiedzi na to Bernáth błysnął na nią oczyma, jak gdyby to nie były oczy, a dwie spinki brylantowe wyłaniające się z fałd pogniecionego od starości skórzanego futerału.

Przy tych żarcikach i figlach czas mijał niepostrzeżenie. Że już jest późno, spostrzegli się dopiero wtedy, gdy służba wniosła i postawiła na stole zapalone świece. Fräulein Fryda zaniepokoiła się, czy nie nadużyła może

wyznaczonego im czasu. Cała rodzina Bernáthów wstała, aby je obie odprowadzić. Jednakże stary Bernáth i teraz nie chciał odejść od Piroski, wziął ją pod rękę, a Zsigmond i János musieli zadowolić się towarzystwem panny Frydy. Przez całą drogę hrabia mruczał niezadowolony.

— Popatrz, ostatni wieczór minął, a ja nawet nie mogłem porozmawiać ze swoją narzeczoną.

Było już ciemno i stary Horváth, który ruszył na spotkanie córki, w pierwszej chwili nie poznał, kto ją odprowadza. Dopiero gdy się przybliżył, spostrzegł Bernátha. Dwaj panowie przez chwilę stali naprzeciw siebie, nie wiedząc, jak się zachować. Ale pani Bernáthowa gniewnie zmarszczyła swe wspaniałe brwi, a mimo panujących ciemności, mąż zrozumiał, że daje mu znaki, i niespodziewanie wyciągnął rękę do Horvátha.

— Dobry wieczór, sąsiedzie!

— Dobry wieczór — odpowiedział tamten cicho, jakby bojaźliwie.

Na tym rozmowa urwała się, co pośpieszył wykorzystać Buttler i zbliżywszy się do Piroski ujął ją za rękę. Dłoń jej była ciepła jak ptasie gniazdko.

— Proszę pisać jak najczęściej — wyszeptwała.

— Jutro będzie piękna pogoda — odezwał się w końcu Bernáth spojrzawszy ku niebu, na którym niewidzialna ręka zapalała już tysiące gwiazd — dobra dla naszych odjeżdżających studentów.

Piroska westchnęła, Horváth powtórzył machinalnie:

— Owszem, dla odjeżdżających.

— Znów zostanę samotny jak sierota — rzekł Bernáth melancholijnie — znów nie będę miał syna.

— Codziennie — uzupełniała swój nakaz Piroska.

— Tak, i ja wkrótce nie będę miał córki — powiedział Horváth.

— Prawda, prawda — rzekł zadumany stary szlach-

cic i głos mu zadrzał — i ty także nie będziesz miał córki.

O, to „ty”! Jak ciepło zadźwięczały te słowa w powietrzu, jakim zgodnym chórem zagrały w odpowiedzi tysiące świerszczy i cykad w bujnie rosnącej trawie przed bramą Horvátha! Powiał świeży wiaterek, zaszeleściły gałązki drzew; zdawać by się mogło, że to w mogiłach drgnęły kości przodków Bernátha. Tylko natura mogła ocenić w pełni tak niezwykle wydarzenie, że potomek stu rycerskich ojców powiedział „ty” do gorzelnika!

## Rozdział dziesiąty

### IMĆ PAN TÓTH PLOTKUJE

Wszyscy życzyli sobie „dobrej nocy” i furtka się zatrzasnęła. Jednakże na krótką chwilę zdążyła mignąć w powietrzu biała chusteczka, zaciśnięta w małej ręczce. Ten znak pożegnalny przeznaczony jakby tylko dla Jánosa, który był na tyle zręczny, że z błyskawiczną szybkością nachylił się, ucałował najdroższą rączkę i szybko chwycił chusteczkę, a potem w drodze do domu przez cały czas rozkoszował się jej zapachem.

W swoim pokoju położył chusteczkę pod poduszkę, chcąc mieć miłe sny. Niestety, nie pozwolono mu dośnić do końca.

Najpierw ukazał się Jánosowi obraz prześlicznej właścicielki chusteczki. Są już oboje razem, mieszkają w małej chatce. Piroska gotuje obiad, a on dorzuca drew do paleniska i całuje precudną kuchareczkę, kiedy mu tylko przyjdzie ochota. Wreszcie obiad jest gotów, János siadł do stołu, zawiązuje serwetkę pod szyją i czeka na zupę. Nagle drzwi się otwierają, ale zamiast Piroski zjawia się jakaś stara wiedźma z talerzem w ręku.

— Co ty tu robisz? — krzyczy na nią János.

— Przyszedłem jaśnie panicza zbudzić.

Drgnął, obudził się. Patrzy — to nie wiedźma i nie Piroska, lecz tylko huzar András przyniósł śniadanie i prosi, żeby panicz ubrał się jak najszybciej, gdyż za-

przeżono konie. Na ganku czeka już Zsigmond pogwiżdżując.

Smutno, smutno, a w drogę trzeba się zbierać. Powóz ma ich dowieźć tylko do Olaszröszke, gdzie odwiedzą, tak jak przyrzekli, barona Döryego, a nazajutrz udadzą się, już pieszo, do Pataku.

— Chłopaki mają mocne nogi — po co męczyć konie! — rozstrzygnął stary Bernáth.

Jaka szkoda, że nad ziemią wisi taka gęsta mgła, zasłaniająca zupełnie zamek Horváthów. Piroska na pewno stałaby przy oknie. Nie, nie bez powodu powiadają, że na Buttlerach ciąży przekleństwo, teraz także jak na złość ta mgła!

Hrabia János przez całą drogę był smutny, chociaż mgła, która tak go zmartwiła, rozwiała się w końcu i błysnęło kwietniowe słońce. Jeszcze nie przypieka, tylko łąskoce, migoce i igra jak beztroskie pacholę. Jeszcze nie przegnało mrozu, więc i słońce świeci, i mróz szczypie. W ciągu dnia słońce nagrzeję drzewa owocowe tak, że wywabi na świat białe kwiatki, a w nocy zakradnie się mrozik i ozdobi gałązki szronem. Dobrze, że drzewa nie umieją się skarżyć, nie wiadomo bowiem, do kogo miałyby większą pretensję — do słońca czy do mrozu.

W drodze Zsigmond próbował rozproszyć chmurne myśli Jánosa.

— Czegóż tak się smucisz, bracie? Gdybym ja był na twoim miejscu, nie wiedziałbym, co robić ze szczęścia.

— Ty masz inny charakter. Widzisz, ja się boję przeszłości. Tak jakby gotowała mi coś nieprzewidzianego i strasznego. Chwilami zdaje mi się, że zaraz runie na mnie jakaś czarna góra.

— Co też ty wygadujesz! Wszystko składa się jak najlepiej. Twoje obawy nie mają sensu. Fantazjujesz i tyle!

— A czy to mało — rozłąka z Piroską? Nie wyobrażasz sobie, jak ją kocham.

— Przecież nie ocean was dzieli. W każdej chwili możesz przyjechać, zobaczyć się z nią. Teraz sam sobą rządysz. Na razie pomówmy o sprawach realnych, po co bez potrzeby fantazjować. Będziemy zaraz w Olaszrösške i przy kolacji napijemy się u starego barona. Patrz, już widać pałac.

Rzeczywiście, nieco dalej za zakrętem, poprzez korony wysokich topól przeświecał rdzawoczerwony dach pałacu Dörych.

— Jak myślisz: jaka jest ta baronówna Mariska? Hrabia Buttler wzruszył ramionami.

— Nie zauważyłem w niej nic szczególnego.

— Ach, ona ma w sobie coś tajemniczego.

— Nie wiem... być może — odpowiedział János z roz-targnieniem.

Myślami wciąż jeszcze był daleko, przy Pirosce. Zamknął oczy, próbował ją sobie wyobrazić. Ale zaraz albo Zsigmond kichnął (och, jakiż on jest prozaiczny), albo bryczka podskoczyła, albo ugrzęzło koło, stangret trzasnął z bicia — i miła zjawa od razu zniknęła.

Krajobraz też nie interesował Jánosa, chociaż jechali przez okolicę bardzo malowniczą: doliny ustępowały miejsca górom, a lasy gęstwinie krzaków i trzcin.

— Słyszysz, János, jak krzyczy czapla? — Tik, tik, tik.

Oczom ich ukazało się Podgórze: białe paliki winnic, oblepiające stok góry, upodobniały ją do grzbietu ol-brzymiego, naszpikowanego zająca.

Stary stangret, który służył kiedyś w pułku benczur-skim, coś sobie przypomniał i obróciwszy się na koźle, zaczął opowiadać o tym, jak to pewnego razu ich pułk szedł tą drogą na Koszyce. Gdy przybyli tu właśnie, ich generał Klaris (hrabia Larisch) jak nie krzyknie nagle:

„Baczność, na prawo patrz!“. Żołnierze przeszli paradnym krokiem obok góry, jak na defiladzie przed cesarzem. Tak, ta góra zasługuje na taki szacunek, jak sam cesarz!

Czwórka koni rwała wesoło, ciągnąc lekką bryczkę niby puszek. Nagle z lasku wyszedł na drogę jakiś człowiek w czarnym surducie i niby stary znajomy pomachał do nich kapeluszem.

— Bonum mane praecor! \*

— Ho, ho! Patrz, to karczmarz z Olaszrösške — ten sam, który nie chciał od nas wziąć zapłaty za kurczęta. Zatrzymajcie no, konie, dziadku Istók!

Stangret ściągnął lejce i konie stanęły. Studenci przyjaźnie powitali imć pana Tótha.

— No, niech pan siada — zaproponował Zsigmond. — Podwieziemy pana do domu i porozmawiamy po drodze. Ja przesiądę się na kozioł. Dawno mam już ochotę wziąć lejce do ręki.

Imć pan Tóth skromnie otarł ręką wąsy i ze wschodnią powolnością odpowiedział, iż on, oczywiście, chętnie pojechałby z młodymi panami, jako że bardzo jest strudzony, idzie bowiem pieszo z sąsiedniej wsi, bo na wóz załadował żonę, dzieciaki i dwie kumy, także z dziećmi — tyle ich było, że ostatnie ledwo się zmieściło. Bardzo dziękuje paniczowi za miłą propozycję, ale przyjęć jej nie może, albowiem jest on szlachcicem jurat in verba magistri \* i hołdując zasadom, wypowiedanym w swoim czasie przez marszałka szlachty, imć pana Pála Dókusa: „Prawdziwego szlachcica poznać od razu, bo nie udaje ważniejszego ani mniejszego, niż jest w rzeczywistości“. Dlatego więc i on za żadne skarby nie siądzie do bryczki, zaprzężonej w cztery konie. Do końca życia śmieliby się z niego sąsiedzi.

— No, to może prawda — zgodził się Zsigmond. Ale stangret dał dobrą radę:

— A gdyby pan siadł na koźle przy mnie, w tym nie ma nic złego.

— To całkiem inna sprawa — i wielce szanowny Tóth wlaźł na kozioł, usiadł odwrócony półbokiem, ażeby wygodniej mu było rozmawiać z paniczami.

Chodziło o to, że w bogatych komitatach, które zamieszkiwała arystokracja, rangę i pozycję szlachcica określić można było według jego zaprzęgów. Notabene w tych czasach każda rzecz co innego oznaczała. Ludzie szaleli za symbolami. W Siedmiogrodzie na przykład o randze szlachcica decydowała ilość kominów na dachu jego domu. Były więc rodziny o dwóch „dymach”, jednym „dymie” i takie, gdzie dym wychodził któreśdy mógł spod słomianego dachu. W biednych słowackich komitatach miarą ziemskiej wielkości była ilość i rodzaj drzew w ogrodzie. Baronowie Révayowie i Justhowie zasiadali pod lipami lub sosnami, szukając pod nimi tylko cienia, Lehoccy i Rakovscy sadzili w swych ogródkach drzewa orzechowe, dlatego że one, oprócz rozległego cienia, dawały jeszcze także i trochę orzechów; drobniejsza szlachta wolała śliwę, która daje mało cienia, ale za to dużo owoców.

W komitatach: Zemplén, Szabolcs, Ungvár rangę szlachectwa określały zaprzęgi. Bernáthowie, na przykład, zaliczali się do rzędu takich rodzin szlacheckich, które powinny jeździć czwórką koni. Ktoś należący do tej rodziny mógł wyruszyć w drogę pieszo, ale nie paroknką — to byłoby poniżej godności jego rodu. Parą koni mogą jeździć jacyś tam Fodorowie, Bóthowie, Oroszowie i Zsitkovscy.

Zaprzęg świadczył nie o zamożności rodu, lecz o jego pozycji. Szlachcic mógł się wzbogacić, mieć własną stadninę, a mimo to przynajmniej przez dwa pierwsze pokolenia musiał zaprzęgać tylko jedną parę koni, o ile w tym czasie nie osiągnął odpowiedniej rangi urzędni-

czej, nie miał korzystnej koligacji albo jakiejś innej pomyslniej okoliczności. Gdyby zaprzągnął czwórkę koni, stałby się przedmiotem obmowy. Karierowiczów i szalbierzy w owych czasach nie było jeszcze wielu. Może tylko jakiś polski panek, którego los sprowadził do tego kraju, reprezentował ten genre.

Rozumie się, i zaprzęgi czterokonne nie zawsze były jednakowe. Barkóczyowie jeździli czwórką gniadych, Perényiowie — wronych, Sztárayowie mieli w zaprzęgu cztery ogiery, Waldsteinowie i Majláthowie po cztery kłusaki jednej maści, wysokości i jednego chodu, wyselekcjonowane z tysiąca koni, co już świadczyło o przynależności do magnaterii. Ale gdyby z podobną pompą zaczęli wyjeżdżać Szerencsyowie, Csathówie i Bernáthowie, naraziliby się na ośmieszenie. Czwórka koni, należąca do Bernáthów, była złożona bez wyboru, jak wypadło: z lewej ruda klacz i kary wałach, o całą dłoń wyższy od niej, a z prawej, na czele zaprzęgu żwawy deresz — słowem, każdy koń wyróżniał się jakąś osobliwością. Ażeby zaprzęg wyglądał jeszcze bardziej patriarchalnie i ażeby reprezentowana była w nim cała rodzina końska, za matką biegł drobnym truchcikiem żrebak z janczarkiem u szyi.

— No, co dobrego ostatnio u waszmości?

— Specjalnie dobrych nowin nie ma — odpowiedział po namyśle karczmarz. — Może tylko to, że moja teściowa umarła.

— Naprawdę?

— Właśnie podczas świąt. Dziś dzielili majątek pomiędzy rodzeństwo nieboszczki. Stamtąd wracam.

— A duży to spadek?

— Taki sobie, coś tam się każdemu dostało, mogło być więcej, gdybym był przy niej w czasie choroby, a tak przez cały czas kręcił się ksiądz, więc większą część majątku zapisała na kościół. Przed śmiercią mówiła do

mnie: „Nie gniewajcie się, dzieci moje, że oprócz swej duszy zapisuję Bogu część tego, co posiadam. Postępuję tak dlatego, że wszystko, co mam, to podarek od Boga”. „No, nieładnie — mówię — mamusiu, zwracać podarki.” Gdy ksiądz to usłyszał, odepchnął mnie od łóżka, aż się znalazłem tak daleko, jakby mnie wcale tam nie było.

— Miejscowy ksiądz? Czy to nie ten czasem, z którym poznaliśmy się u barona Döryego?

— Tak, ten sam, sąsiednia wieś także należy do jego parafii. Chytry, śliski człowiek, ale diabelnie przystojny. Na stare lata albo pójdzie w biskupy, albo sam szatan z niego wylizie. Jednakże nie bywa już w domu Döryego. Pan starosta pokazał mu, gdzie raki zimują. Widocznie źle uczył baronównę.

— No, a kurczęta żony waszmości podrosły już?

— Podrosły, ale co z tego. Chyba nie przeznaczone wam skosztować moich kurcząt: trzeci dzień już dwaj pandurzy czekają przy drodze prowadzącej do wsi. Chcecie czy nie chcecie, jest rozkaz, żeby was doprowadzić do pałacu barona. No i co, zależy wam na tym, co upitrası moja żona? Zresztą, prawdę mówiąc, sam nie radziłbym próbować: ciągle jeszcze oplakuje swoją matkę i łyzy kapią do każdej potrawy. Ja zjadam wszystko, przecież jestem jej mężem, ale ktoś inny nie musi.

— A więc u Dörych wszyscy są w domu?

— Zawsze, ale nikt do nich już nie przychodzi. Wygląda na to, że się do czegoś przygotowują. Przez osiem, a może nawet i dziesięć dni i nocy pracowali u nich murarze, stolarze, cieśle i kowale.

— Może to panienka za mąż wychodzi?

— Nie, nic o tym nie słyszałem. Guwernantkę francuską także wyrzucili.

— Naprawdę? Słyszysz, János? Madame Malipau już nie ma u Dörych.

— Nie szkodzi — rzekł Buttler. — Z powodzeniem może ją zastąpić szympans.

— Ach, ta małpa? Mało brakowało, żeby i jej nie było. Wiecie, co się stało? Bardzo dziwna historia. W sąsiednim domu mieszkają ze swoim ojcem dwie stare panny Izsépy. Jedna z nich, Anna, od pewnego czasu znajdowała co rano świeżo rozkwitłą różę na parapecie okna swej sypialni. Kto jej przynosił i w jakim celu? Po wsi rozeszły się słuchy, że Anna ma wielbiciela! I to o tak dziwnym guście. Sama panna Anna nie je, nie pije, nie śpi. Szczęście ją aż rozpiera. Któż to jest ten tajemniczy adorator? Cały dom w napięciu, wszyscy tylko czekają, że lada chwila zjawi się osobiście. Ale tu nikogo nie ma i nie ma. Całymi nocami stoją na straży śludzy, stajenni, nikogo pod oknami nie widzą — a rano znów róża na parapecie. Panna postanowiła za wszelką cenę dowiedzieć się, kto przynosi kwiaty, a przynajmniej skąd przychodzi i dokąd odchodzi. Kazała posypać ziemię pod oknem popiołem — zostaną na nim ślady nóg. Rano patrzą... Boże ty mój! Wszystkie pięć palców stopy wielbiciela odcisnięte w popiele. „Do diabła! — wykrzyknął stangret. — Widocznie ten pan boso chodzi!”. Ale to jeszcze nic. Popatrzyła kucharka, popatrzyła Szekeresowa, Kajszałowa, Vidákowa, słowem, wszystkie stare baby z ich domu i sąsiedztwa — aż nagle jedna z nich jak nie krzyknie: „Jezus Maria, ta poczwara nie ma pięt!”... I zaraz po wsi rozeszła się plotka, że kwiaty przynosi najmłodszy syn Belzebuba i więdźmy Dromy. A ten szatan jest taki młody, że nie utworzyły mu się jeszcze kopyta. Plotki te przyparowały o wściekłość starego Izsépyego i kazał wysłużonemu żołnierzowi, który nie bał się ani Boga, ani diabła, a pilnował pańskiej ziemi, ażeby czuwał całą noc pod oknem i zastrzelił łajdaka, nie zważając na to, kim on jest. Tak się też i stało. W nocy wartownik usłyszał

szmer i dał ognia z karabinu w coś ciemnego pod oknem: Rozległ się straszny wrzask i pisk, a gdy ludzie się zbiegli, zobaczyli, że pod oknem leży zraniona mała Dörych. Nieszczęsna panna Anna, słowo daję, żal mi biedaczki, zasłabła ze wstydu, dostała febry i od tej pory nie wstaje z łóżka. Mała wciąż jest jeszcze pod opieką doktora, bo jakoś nie może wrócić do zdrowia, dokucza jej i postrzelona łapa, i zranione serce.

Zsigmond śmiał się do rozpuku z tej wesołej historii.

— Coś takiego! Dramat miłosny w Olaszröske!

Nawet János uśmiechnął się i powiedział zjadliwie:

— Mała najwidoczniej kogoś przedrzeźniała, tylko kogo? Chyba napatrzyła się na coś podobnego w pałacu. Oto temat do epigramatu dla ciebie, Zsiga.

— A skąd brała róże o tak wczesnej porze?

— Wykradała z oranżerii.

— A to szelma! — śmiał się Bernáth. — Tak, miłość denique \* miłość! Aż płonę niecierpliwością, żeby zobaczyć pana szympansa.

— Prr! Jużeśmy prawie przyjechali — rzekł imé pan Tóth. — Ja lepiej zejść, a oto i pandurzy.

Rzeczywiście, na skraju wsi czekali już konni żandarmi, Jeszenka i András Kázmári. Stali przy rozstajnych drogach, z których jedna okrążała wieś. Zajęli taką pozycję na wypadek, gdyby studentom przyszło do głowy ominąć wieś i pojechać prosto do Pataku. Na końcu drugiej drogi, wiodącej do pałacu, oczekiwał ich sam gościnnie gospodarz.

Pandurzy zatrzymali bryczkę, zasalutowali studentom i oznajmili, że jaśnie wielmożny pan baron już od dwóch dni z niecierpliwością ich wygląda i przesyła swoje uszanowanie. Imé pan Tóth zeszedł z kozła i pożegnał się uściskawszy gorąco ręce studentów, a żandarmi niczym konwój towarzyszyli im po obu stronach bryczki przez całą wieś.

Wieśniacy, kobiety, dziewczęta, małe dzieci — słowem wszyscy, kto żył, od małego do dużego, wylegli przed opłotki, jak to się działo zawsze, kiedy przejeżdżał zaprzęg czterokonny. Chłopi, którzy zostali w domu, ażeby narąbać drew, i zgrzybiali staruszkowie, niezdolni do żadnej cięższej pracy w polu, krzątający się po obejściu, także witali przejeżdżających.

W owych czasach chłop był jeszcze pokorny, szanował jaśnie panów, przekonany, że to ich wielkoduszność pozwala mu uprawiać matkę ziemię-karmicielkę. Dopiero potem wyjaśniono chłopu, że to on karmi swoją pracą dziedzica. Są pewne rzeczy, których ludzie nie powinni wiedzieć.

Wtedy dziedzic w oczach chłopu był opiekunem, obrońcą wszystkich jego spraw. Kiedy na przykład właśnie w Olaszröszke kuśnierz János Urbay dowiedział się, że pochodzi ze szlachty, tak się zdenerwował, że nawet napisał prośbę do wielmożnego komitatu, aby pozostawiono go w stanie pańszczyźnianym, gdyż bez pomocy jaśnie pana i tak nie wyżyje.

A więc godność szlachcica miała wartość tylko pod warunkiem, że należała do niej i czwórka koni. Teraz także mieszkańcy Olaszröszke kłaniali się czwórce koni, a nie temu, kto nią jechał.

— Jak nas zobaczą pod takim konwojem — zauważył hrabia Buttler — pomyślą jeszcze, że jesteśmy aresztowani.

Bernáth chciał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili właśnie przybyli na miejsce. Brama pałacu otworzyła się ze skrzypieniem. Wypuściwszy kłęb dymu uroczyste wypalił moździerz, a po nim drugi. Przestraszone konie stanęły dęba.

— Breeee! Witajcie chłopcy! — zawołał baron wymachując słomkowym kapeluszem z szerokim rondem — a ja już myślałem, żeście poumierali.

## Rozdział jedenasty

### DZIWNE ZWIASTUNY

Baron przyjął studentów z wyjątkową, nawet przesadną serdecznością, tak jak się wita starych, długo oczekiwanych przyjaciół; objął, uściskał po ojcowsku, aż im kości zatrzeszczały, i odprowadził do przeznaczonych dla nich pokojów. Jednakże nie wiadomo dlaczego Zsigmonda zaprowadził do bocznego skrzydła domu, chociaż żadnych innych gości nie było i miejsce dla niego w głównym budynku także by się znalazło. Wydało się dziwne również i to, że było mało służby: dom opustoszały, posępny — rzekłbyś, zaczarowany pałac z baśni.

Na ganku przemykały jakieś cienie; pod filarem przeciągał się czarny kot, patrząc na studentów żółtymi ślepiami. Od strony kuchni pojawiali się co pewien czas jacyś ludzie: potem służąca z miednicą (coś tam z niej wychlusnęła), a po chwili mignęła głowa kuchcika w białym kołpaku i zaraz znikła. Ale to byli sami nieznanzi ludzie.

Döry uprzedził gości:

— Nie zajmujcie się zbyt długo swoją toaletą, zaraz siądziemy do obiadu.

Hrabia János poprosił, aby mu pozwolono napisać przed obiadem parę słów do domu, chciał bowiem, żeby liścik zabrał stangret, który będzie wracał, gdy tylko nakarmi konie.

— Czy tam czasem nie przytrafiło się wam co złego po drodze?

— Nie, po prostu coś mi się przypomniało.

— No dobrze, przyślę wszystko, co trzeba do pisania, a służbie zapowiem, żeby się nie śpieszyła z zupą.

Nie znany Jánosowi hajduk przyniósł na srebrnej tacy papier, kałamarz i nie zaostrome pióro gęsie — gdyż zgodnie ze zwyczajem naostrzyć pióro powinien sam gość własnym scyzorykiem.

Hajduk, kawał draba, miał wyraz twarzy chmurny i patrzył spode łba. W jego małych oczkach kryła się obłuda; na domiar zezował jednym okiem. Roztargniona natura zapomniała widocznie przydzielić mu czoło, gdyż rude włosy wyrastały od razu nad samymi brwiami.

Ab invisis \* można go było powiesić.

— A dawnego hajduka, Gyuri, już tu nie ma? — zapytał go Buttler.

— Ja jestem zamiast niego — odpowiedział nowy hajduk głuchym, gardłowym, jak gdyby spod ziemi głosem.

János szybko nakreślił parę słów do Piroski o tym, co czuł i myślał: „Zdawało mi się, że przez cały czas koła bryczki wystukiwały: Kocham cię, kocham, kocham. Dopiero co przyjechaliśmy do barona Döryego, ale dużo pisać nie mogę, Moja Najukochańsza, gdyż zaraz będzie obiad, a miałbym ochotę powiedzieć Ci tak dużo, dużo... No, to nic, wieczorem przed snem napiszę do Ciebie długi, bardzo długi list”.

Przeczytał to, co napisał, i nie spodobał mu się ten liścik. Zakochanych można zawsze poznać po tym, że uważają siebie za kiepskich stylistów; u innych śmiertelników tego się nie spotyka. Zmiał więc w rękę papier, wsunął go do kieszeni, napisał drugi list i pośpiesznie zaniósł stangretowi.

Po drodze na zakręcie długiego korytarza spotkał się

oko w oko z baronówną. Wyciągnął do niej rękę na przywitanie. Była blada, oczy miała spuszczone, a dłoń zimną jak trup. Buttler zauważył, że cała drży.

— A więc przyjechaliście jednak — westchnęła i odwróciła głowę.

Zachowywała się dziwnie, jak gdyby była niezadowolona, że przyjechali.

— Przynieśliśmy przecież, a każdy prawdziwy Węgier dotrzymuje danego słowa.

— I później często żałuje.

Buttler spojrział na nią, zaskoczył go ten chłodny ton: kryło się w nim coś złowieszczonego, jak gdyby jakaś tajemnica.

Baronówna była ubrana w sukienkę z kołnierzykiem pod samą szyję, uszytą z materiału w drobne kwiatuszki, który w owych czasach nosił nazwę „pompadour”. Od kołnierzyka aż po sam dół sukienka miała pionowe plisy, ciągnące się przez wzgórza i doliny.

Widocznie baronówna sama poczuła, że nie jest dość uprzejma, bo poprawiła się szybko:

— Ale ja się bardzo cieszę, żeście przyjechali. Bardzo mi się tu przykrzy i smutno samej.

— Przykrzy się pani? Przecież tu tak wesoło na wsi!

— No, sam pan się przekona... Tak, sam pan się przekona — rzuciła i poszła do jadalni.

Wkrótce wszyscy siedzieli już przy stole. To znaczy we czwórkę, bo szympanś jeszcze chorował. Smacznego jadła i dobrego wina było pod dostatkiem. Baron Döry znów usiłował sięgnąć do swej beczki anegdotek. Dziś jednak nie udawało mu się przyprawić ich ostrym sosem dwuznaczników; ani razu nie mówił Marisce, żeby wyszła do drugiego pokoju. Widać było, że coś go gnębi. Baronówna zaś wyraźnie unikała wzroku Buttlera. Nie mogąc ukryć zakłopotania starała się usilnie podtrzymać rozmowę z Bernáthem. Gawędzili na temat nasion

kwiatowych, sadzonek i drzew. Bernáth śmiał się mówiąc, że młode dziewczęta nic się na tym nie znają. U nich we wsi, na przykład, jest taka jedna ładna dziewczynka (teraz już prawie duża panna, a wkrótce może i za męża wyjdzie), której oni obaj z Buttlerem dali pewnego razu ptasie jajeczka. I co ona z nimi zrobiła, głupiotka? Zakopała w ziemi i czekała, że się z tego wyklują młode pisklęta.

Buttler zaczerwienił się, cała twarz mu płonęła. Baronówna Mariska popatrzyła na niego uważnie i jeszcze bardziej zbladła.

— Pijcie, panowie studenci, pijcie! — częstował ich Döry. — Tylko to, co wypijemy, jest nasze. Życie krótkie, śmierć wieczna! Pij i ty, Mariska. Chciałbym, abyśmy wszyscy byli w dobrym nastroju! Trąć się kieliszkiem z hrabią Buttlerem. Ano, pokażcie, czy umiecie się tak trącać, ażeby kielichy zadzwoniły.

Mariska stuknęła swym kieliszkiem w kieliszek Jánośa. Wypili. Od wina zarumieniła się jej delikatna cera. Z białej róży przeobraziła się w różową.

— Niechaj mówią co chcą moi wrogowie, ale tego, że u mnie nie ma dobrego wina, nawet najgorszy wróg nie powie. Skosztujcie tego czerwonego, koloru granatu.

Oczywiście studenci nie dali się długo prosić.

— A teraz podaj nam, Gergely, złote puchary, należ w nie starego tokaju. Zaraz się przekonamy, kto z nas jest prawdziwym mężczyzną.

Przyniesiono z kredensu puchary ze szczerego złota.

— Ten oto kielich z rubinami podarował dzielnemu Pálowi Döryemu król Ludwik Andegaweński \*, gdy razem wojowali pod Neapolem. Ej, chłopcy, piękna zapewne była niewiasta o takich jak te rubiny ustach, która kiedyś piła z niego! Zabiła swego męża. I wtedy

odebrali jej ten puchar. Nazywała się Joanna... Wypij z tego kielicha, hrabio Jánosu.

Dwa inne złote pucharki także miały swoją historię. — Jeden z nich — opowiadał Döry — należał do Menyhárta Ballassyego (dość podejrzane jest to złoto, do diabła, gdyż ten zacny jegomość miał zwyczaj bić monety z miedzianych dzwonów). Trzeci puchar dostał mój ojciec w podarku od swego ojca chrzestnego, hrabiego Wallensteina. W ogóle rodzina Dörych, jeśli teraz coś zdobywa, to tylko z okazji chrzcin.

Hrabia Buttler drgnął przerażony, gdy usłyszał, że na stole stoi kielich, który kiedyś należał do Wallensteina. Zły to znak! Nie mógł już więcej pić.

Döry jakby się zawziął, żeby upić studentów. Ale wszystkie jego namowy, cała energia były daremne. Na próżno intonował stare pieśni biesiadne, mówiące, że już nasz praszczur Noe tworząc winnice nakazywał: „Pijcie, pijcie, psubraty!”. Lecz hrabiego Buttlera nie interesowały przykazania Noego i z uporem odsuwał kielich Wallensteina. Wywierał on na nim takie wrażenie, jak gdyby to nie złote naczynie stało na stole, lecz trupia czaszka szczerząca zęby. Nie pozostawało więc nic innego, jak wstać i wyjść na ganek, zaczerpnąć świeżego powietrza.

Döry przepuścił studentów przodem, a sam po drodze szepnął córce:

— Trzymaj się, teraz nadchodzi decydująca chwila.

— On nie zechce — wyszeptała dziewczyna zdławionym głosem.

— Właśnie dlatego powinnaś znaleźć w sobie siłę. Wszystko postawione jest na jedną kartę. Albo wygrać, albo zginąć.

— Oj, papo, tak mi wstyd.

Stary rozzłościł się, krew uderzyła mu do głowy:

— Milcz, ty!... Trzeba się było wcześniej wstydzić,

teraz już nie ma o czym mówić. Idź do swego pokoju i przebierz się.

Mariska potulnie schyliła głowę. Przypominała gałązkę uginającą się pod ciężarem własnego owocu.

Döry ruszył za nią korytarzem i w tym samym miejscu, w którym przed obiadem spotkał ją Buttler, zatrzymał córkę i powiedział:

— Nie bój się, a w żadnym razie nie trać odwagi; to się musi nam bezwarunkowo udać. To magnat, kąsek do pozazdrosczenia. A sposób, w jaki za niego wyjdiesz, nikogo nie obchodzi. Ludzie pogadają, pogadają i zapomną.

— O, Boże, żeby to już mieć poza sobą!

— Co takiego?

— Żeby ludzie już zapomnieli.

— Nie bój się! W takich sprawach jest jeden pewny sprzymierzeniec. Czas. Ale przecież ty się nie boisz?

— Nie boję się — wyszeptała dziewczyna drżąc jak liść osiki.

Stary baron zostawił córkę i wrócił do studentów. Właśnie podszedł do nich stangret Istók, który zjadł obiad i napił konie, a teraz wracał do domu.

— Nie zapomnijcie o tym liściku, dziadku Istók!

— Gdzieżbym zapomniał, paniczu!

Bryczka Bernáthów ruszyła z dziedzińca, a gdy odjechała, służba zamknęła bramę i zarygłowała ciężką żelazną zasuwą.

Dziwne! Zazwyczaj brama zostawała szeroko otwarta na przyjęcie gości.

Wkrótce potem dało się słyszeć stukanie młotkiem w zasuwkę furtki. A więc i furtkę zarygłowano.

Bernáth spojrział znacząco na Buttlera, jakby chciał powiedzieć: „Tu się na coś zanosi”.

— Gergely, Gergely, zobacz, kto tam stuka!

Dziedziniec był całkiem pusty, jak wymarły. Nigdzie

nie było widać żywej duszy: ani tych, którzy pracowali w kuchni, ani tych, co nakrywali do stołu, nie mówiąc o stajennych i reszcie służby, zazwyczaj kręcącej się po dziedzińcu. Nikogusieńko!

Powiał chłodny wiatr, zaszumiał wśród drzew parku i nagle ucichł, podobnie jak zamiera ze słabym piskiem gęganie gęsi, której nagle poderżnięto gardło.

Gergely ociągał się z opuszczeniem jadalni, w której uprzytał kielszki z nie dopitym winem. W różny sposób można uprzytać wino — jeden zanoszą do kredensu, drugi nie wylewa za kołnierz... ale teraz pal diabli wino!

— Skocz no, zobacz, kto tam stuka do bramy, ale powiedz, że nikogo nie ma w domu, rozumiesz? Chcę dzisiaj być sam z moimi drogimi gośćmi.

Bernáth nadstawił uszu i usłyszał, że furka jednak zaskrzypiała przy otwieraniu. Czyż mógł ktokolwiek wejść wbrew rozkazowi pana domu?

Za chwilę dały się słyszeć na schodach kroki. Tup, tup, tup, Zsigmond z uwagą wpatrywał się w twarz barona — rozgniewa się czy też tylko zdziwi, że hajduk kogoś wpuścił, ale w surowej twarzy starego wojaka można było wyczytać tylko obojętność, to znaczy, że wie o niespodziewanej wizycie.

Nagle czarny pilśniowy kapelusz, czarna sutanna i znajoma twarz pojawiły się w drzwiach — przewielebny ksiądz proboszcz Szucsinka we własnej osobie.

Ale nie był to już ten sam uśmiechnięty ojciec duchowny, który niegdyś czuł się tu jak motyl na kwiatku. Teraz zbliżał się niepewnym krokiem, ze zwieszoną głową i spuszczonej oczyma, niby łagodny sługa Boży, daleki od marności tego świata. Nawet głos jego brzmiał z chrześcijańską pokorą.

Nisko uklonił się baronowi, a potem przywitał się z paniczami. Döry, nie podając mu ręki, wskazał na krzesło obok siebie.

Zsigmond znów spojrział ukradkiem na Buttlera i gestem wyraził swe zdziwienie. Przecież, według słów karczmarza, Döry zabronił księdzu pokazywać się w pałacu. Lecz Buttler był ślepy na wszystko, co się wokół niego działo, i nie dostrzegał znaków, które dawał mu Zsigmond. Wpatrywał się jak urzeczony w swój pierścionek zaręczynowy, nie okazując zainteresowania gestami kolegi.

— Dobrze, że ojczulek przyszedł — rzekł baron nie patrząc na niego. — Proszę porozmawiać z moim miłym gościem Bernáthem, a ja tymczasem poproszę do siebie do gabinetu kochanego hrabiego Jánośa. Chodźmy, Jánoś!

Bernáth niespokojnie poruszył się na krześle. Baron objął Buttlera w pól i pociągnął za sobą ciemnym, wilgotnym korytarzem w stronę swej kancelarii. Spod łukowatego stropu zerwał się nietoperz i musnął Jánośa skrzydłem po twarzy.

— Fe, co za obrzydlistwo, jakże mnie przestraszył. („No, niejednego ty się jeszcze przestraszysz” — powiedział sobie w duchu Döry.)

Otworzył drzwi i wprowadził Buttlera do kancelarii starosty powiatu, której umeblowanie stanowiło kilka krzeseł i kanapa, obite brązową skórą. Pod ścianą stał wysoki regał pod sam sufit załadowany aktami i papierami, pod oknem biurko, a na nim dwie świece i krucyfiks, przed którym składały przysięgę strony, a także leżał kalendarz i Biblia, na którą przysięgali luterańscy — kładli na niej wówczas rękę; a jeśli w pobliżu nie było Biblii, to wykorzystywano do tego celu „Sennik Sybilli”, z oprawy podobny do Biblii. W tej chwili otwarty sennik leżał na kanapie.

W kącie pokoju poniewierały się „dowody rzeczowe”: siekiery, pistolety, brzytwy, kosy, pałki. Pod ścianą le-

żała wiązka prętów z drzewa orzechowego — skuteczny środek przeciw grzechom ziemskim.

— Oto moja kancelaria. Siadaj, kochany chłopcze. Tu, tu, na kanapce. Nie bardzo przytulnie tutaj, nawet trochę ponuro, prawda? Ja, widzisz, dobrze tu się czuję. Ale są tacy, co się tu czują bardzo źle. Bo ludzie są różni. Zresztą dość o tym. Masz tytoń, zapal! Przy fajeczce będzie nam przyjemniej omawiać ten wspaniały plan, który obmyśliłem w twojej nieobecności — tak go zbudowałem jak mała pszczołka swój plaster, w którym później składać będzie miód. He-he-he, tak, miód!

## Rozdział dwunasty

### DRAMAT W OLASZRÖSZKE

— Słucham, łaskawy panie.

— No, dobrze, ale twoja fajka jeszcze się nie rozżarzyła. Poczekaj, masz drugą, jeśli ta się nie pali. Spróbuj tę, to dobra fajka, roboty samego Nagya. Takiej teraz nikt własnemu bratu nie oddałby taniej niż za trzydzieści dukatów. Cóż za linia, jakie wdzięczne wygięcie! Spójrz tylko! A jaki piękny munsztuk... Szkoda, że umierają tacy ludzie jak ten Nagy. No widzisz, rozżarzyła się. Tak, synku, o cóż to ja chciałem ciebie zapytać? Aha, przypomniałem sobie... Co ty na przykład myślisz o mnie? Tylko mów szczerze, jak prawdziwemu Węgrowi przystoi.

Hrabiego Buttlera zdziwiło nieco to pytanie. Odpowiedział jednak:

— Uważam pana za porządnego człowieka.

— Otóż to, właśnie tak. — Stary pokiwał głową. — A teraz powiedz, co myślisz o mojej córce?

To pytanie wydało się Buttlerowi jeszcze dziwniejsze.

— O panie Marisce?... Mam dla baronówny wielki szacunek.

— Wiem o tym, synku... No, a co, ładna? Podoba ci się?

— Ładna. Jak każda młoda dziewczyna.

— A jak tobie się podoba? Mówię tak prosto z mostu, ale przecież jestem żołnierzem.

— Oczywiście — odparł János. — Dlaczego miałyby się nie podobać?

— Dobrze, na razie wszystko idzie jak z płatka. Węgrzy rozumieją się nawzajem w pół słowa; jednakże im więcej się mówi, tym się lepiej rozumie. Ciekawe, co byś ty mi odpowiedział, gdybym ja ci oświadczył: kręć się, kręć, wrzecziono — ci studenci podbili moje serce. Rzadko kto tak mi się spodobał od pierwszego wejrzenia, jak wy; może raz, kiedyś w Pradze — byłem wtedy jeszcze porucznikiem — oczarował mnie pewien student... Co prawda, później się wyjaśniło, że to była przebrana młodzianka księżniczka. Nno, tak... Mam nadzieję, że was nie można podejrzewać o coś podobnego.

— Nie sądzę — uśmiechnął się hrabia János.

— No więc wracajmy do naszych spraw, a tę historię opowiem wam później, wieczorem. Otóż, gdybym ja tak powiedział: „Zostawię tu jednego z tych dwóch studentów, wydam za niego moją córkę i urządzimy takie weselisko, że nawet umarli zatańczą!” Co byś ty na to powiedział?

Buttler spojrział na barona niespokojnie, starając się zrozumieć, czy ten dziwak mówi serio, czy też żartuje jak zwykle. Jednakże twarz Döryego była wyjątkowo poważna i jak się zdawało, baron z napięciem czekał na odpowiedź.

„Przecież to niemożliwe, żeby on mówił serio — pomyślał János. — W ten sposób nie swata się baronówny”.

— No więc, jak? — niecierpliwie nalegał baron.

— Odpowiedziałbym, łaskawy panie, że bardzo dziękuję za tak wielki zaszczyt, ale ja, na przykład, nie mogę z niego skorzystać: jestem na wieki związany z kimś innym i na znak tego noszę ten oto pierścionek.

— Breeee! — krzyknął baron, jak gdyby ukąsiła go żmija. — A cóż to za pierścień?

— W tych dniach zaręczyłem się z panną Horváthówną — odparł Buttler i wyciągnął rękę z miną tak rozpromienioną, jakby spodziewał się, że za chwilę usłyszy entuzjastyczne gratulacje.

Jednakże to nie nastąpiło. Natomiast baron roześmiał się wesoło.

— Zaręczyłeś się! Tylko tyle? A ja się już przeraziłem, żeś ty się z kimś innym ożenił. Już prawie zły byłem na ciebie, żeś tak lekkomyślnie postąpił i zburzył moje wszystkie plany — mówił głosem słodkim jak miód. — Zaręczyny to głupstwo! Zaręczyny to tylko maleńkie preludium. Nie ma o czym mówić. Człowiek widzi jabłuszko i mówi sobie: zerwę je, obiorę, pokraję i zjem. Ale na razie jabłko wisi na drzewie. Więc dlaczegoż by tymczasem nie mogło zdarzyć się tak, że na innym drzewie zobaczy drugie jabłuszko? A ponieważ to drugie jest bliżej, to je wcześniej schrupie. *Intelligis ne, amice? \**

W głowie Buttlera huczało, jakby dzwony biły na alarm. Zdawało mu się, że cały pokój razem z meblami zawirował.

— No, dlaczego nie odpowiadasz? Co na to powiesz?

— Nic.

— Jak to nic?

— Powiedziałem już przecież, że jestem zaręczony i kocham narzeczoną nad życie — i po chwili, podnosząc nieco głos, János dodał: — I w ogóle nie rozumiem tych pańskich żartów.

— To znaczy, że dobrowolnie nie ożenisz się z Mariską?

— Nigdy — János wstał i chciał wyjść.

Starosta skoczył jak kocur i zagroził mu drogę.

— Ohoho! Powoli, mój synku, nie tak prędko. Siadaj na swoim miejscu. Zrozum, że jeśli lis porwał koguta, to go już nie wypuści. I przyjmij do wiadomości —

w głosie jego zabrzmiała groźba — że jeśli nie ożenisz się z Mariską dobrowolnie, zostanie ona twoją żoną, czy chcesz, czy nie! Nawet nie próbuj się sprzeciwić, mój chłopcze! — Chwycił go za guzik marynarki i znów zaczął tonem łagodnym i przymilnym: — Widzisz, to jest nieuniknione. Nie rób zmartwienia człowiekowi, który za kilka godzin zostanie twoim kochającym teściem.

Buttler wyrwał mu się z rąk.

— Ej, panie baronie, tego już za wiele! — zawołał rozgorączkowany. — Nie myślałem, że pańska gościnność idzie w parze z taką niesmaczną zabawą. Nie życzę sobie ani chwili dłużej zostać w tym domu! Żegnam pana! — i szarpnął drzwi kancelarii, aby uciec jak najszybciej.

Jednakże z głębi korytarza dwa grube głosy wrzasnęły jednocześnie:

— Wracać!

We drzwiach stali dwaj uzbrojeni pandurzy, Jeszenka i Kázsmári; stuknęli groźnie karabinami w kamienną posadzkę i wymierzyli w Jánosa lufy.

Buttler, pobladły z wściekłości, półprzytomny, cofnął się jednak.

— Cóż to ma znaczyć, mój panie? — zapytał wyniośle, a oczy jego miały gromy.

— Przecież mówiłem, serdeńko, żebyś się nie upierał — uspokajał gospodarz łagodnym tonem, takim, jakim się perswaduje małym dzieciom. — Widzisz, co się dzieje, gdy ktoś nie słucha starszych?

— Czy panu wiadomo, że to gwałt?

— Oczywiście, mój drogi.

— A czy wiadomo panu, że ja jestem już pełnoletni i jako magnat jestem członkiem Izby Magnackiej...?

— Tego jeszcze nie wiedziałem, ale cieszę się, że jesteś pełnoletni.

— Jak pan śmie zatrzymywać mnie siłą? Drogo pan za to zapłaci!

Jednakże i ta groźba nie wywarła na baronie żadnego wrażenia.

— No cóż, możliwe, ale jak wiesz, palatyn mieszka bardzo daleko i rękę ma nieruchliwą. Cesarz jest jeszcze dalej, a jego głowa o ileż wolniej pracuje. Poza tym — przeznaczenie jest silniejsze niż cesarz i palatyn. Wszystko, co się stało — to zrządzenie losu. Uspokój się, mój drogi, i obejmij mnie po synowsku, tym bardziej że wcześniej czy później i tak będziesz musiał to zrobić.

Buttler gotów był rozerwać tego człowieka na strzępy, a nie ścisnąć, zakipiał gniewem, w skroniach mu tętniło, oczy nabiegły krwią, z niepohamowaną wściekłością rzucił się na barona.

— Zaduszę cię — wychrypiał — własnymi rękami!

— No, no, spokojnie, po co się tak gorączkować! Ajajajaj, mój chłopaczku, przecież z ciebie po prostu dziki kot! Nigdy bym nie uwierzył, że przyjdzie mi wydać za mąż córkę za takiego człowieka.

Mały, przysadzisty Döry z taką siłą chwycił Buttlera za rękę, że ten nie mógł się ruszyć: jak gdyby dwie stalowe klamry ścisnęły go. Po chwili Döry łagodnie popchnął Jánosa w kierunku foteła.

— Widzisz, co z tego wychodzi? Do czego to podobne? I cóż ty osiągniesz swoim uporem? Mądrzej zrobisz, jeśli przestaniesz się upierać, przybierzesz minę zadowolonego i poddasz się temu, co nieuchronne. Bo jak ty teraz wyglądasz? Oczy nabiegłe krwią, twarz wykrzywiona... Gdyby Mariska cię zobaczyła, to, Bóg mi świadkiem, musiałbym ją także namawiać... I krawat rozwiązany. Doprowadź się choć trochę do porządku przed uroczystym obrzędkiem.

Nie czujac się na siłach uczynić cokolwiek, Buttler

zgrzytał tylko zębami. Jednakże słowo „obrzątek” wstrząsnęło nim do głębi.

— Przed jakimże to uroczystym obrządkiem? — ochryplym głosem spytał János patrząc szeroko otwartymi oczyma na starostę, który klękawszy zbierał poniewierające się w kącie „corpora delicti” — prostacką broń, ostre narzędzia, okolicznej ludności, a potem zamknął je w skrzyni.

— Ech, głuptasie! Ciągłe jeszcze nie rozumiesz? Przed ślubnym obrządkiem, mój chłopcze. Widziałeś przecież księdza.

Ta niesłychana śmiałość zrodziła w duszy Buttlera nie strach, lecz na odwrót, iskierkę nadziei (jakież to dziwny mechanizm — umysł ludzki!).

„Głupstwo — myślał w duchu — nie można takich rzeczy brać na serio. Przecież Węgry znajdują się w Europie!... To wszystko są kawały starego Miklósa Horvátha, który chce wystawić na ostatnią próbę jego miłość do Piroski. Na pewno są z baronem starymi przyjaciółmi i gdy Horváth dowiedział się, że mam spędzić tu cały dzień, napisał mu o zaręczynach i poprosił, żeby raz jeszcze wystawić na próbę jej narzeczonego.”

Ta myśl wydała się Jánosowi do tego stopnia prawdopodobna, że zrobiło mu się wstyd, iż tak się dotychczas zachowywał.

— Nie, nic z tego nie będzie — odpowiedział już prawie całkiem spokojnie.

— Co to znaczy?

— Znaczy to, że kiedy ksiądz zapyta: „Czy kochasz tę niewiastę?” — odpowiem: „Nie Kocham, Kocham inną”.

— Ksiądz będzie miał w uszach watę, wierz mi, drogi chłopcze! Rozumiesz? Watę!...

— Skończmy z tą komedią! Odgadłem, co się w tym kryje: pan po prostu żartuje i chce się dowiedzieć, czy dość mocno Kocham swoją narzeczoną. Może pan napi-

sać do mego przyszłego teścia, że żadna siła na ziemi ani nawet sam diabeł nie zdoła oderwać mnie od Piroski.

Chytry lis od razu poczuł, skąd wiatr wieje: odgadł, co ma na myśli Buttler. Widząc, że dobrocią i perswazją niczego nie wskóra, postanowił wykorzystać błędne domysły Jánośa, ażeby zabezpieczyć sobie dalszy bardziej pokojowy bieg wypadków.

Udawał zmieszanego. Przypominał magika, który udawaną niezręcznością usiłuje zakryć swe karty przed wzrokiem nazbyt ciekawego obserwatora.

— No, coś ty, coś ty? Jak mogłeś pomyśleć coś podobnego? Że ja jestem taki głupi, żeby odstąpić Horváthowi bogatego zięcia? Przecież nie widywaliśmy się ostatnio, przysięgam na mój honor!

Skwapliwe dążenie barona, ażeby odsunąć od siebie wszelkie podejrzenie, jeszcze bardziej umacniały Buttlera w swoich domysłach: „Nie widywali się, oczywiście, ale mogli przesyłać sobie listy.”

Teraz Buttler już był górą:

— Ano, niech pan spróbuje. Zobaczymy! Ale uprzedzam, łaskawy panie, że zrobi się z tego wielki skandal, gdyż ja będę sprzeciwiał się ze wszystkich sił i nie pozwolę robić z siebie pośmiewiska z powodu pańskich kawałów.

Döry wzruszył ramionami.

— Rozumu już cię nie nauczę, najwyżej mogę ośmieszyć.

Sięgnął po stojący na biurku srebrny dzwoneczek i potrząsnął nim. Małe cacko zadźwięczało cieniutko, ostro i zarazem ponuro niby dzwon pogrzebowy. Ledwo ucichło dzwonienie, gdy nagle w obu drzwiach pokoju zgrzytnęły klucze i otwarto je na oścież. Buttler chwycił się obiema rękami za głowę, jak gdyby ujrzał straszłą zjawę. Weszła baronówna Mariska — blada niby trup, w białej sukni ślubnej, w długim welonie, opada-

jącym aż do podłogi, a we włosach miała wpiętą gałązkę konwalii. Dziewczyna staniała się na nogach i można było przypuszczać, że lada chwila upadnie. Z tyłu za nią kuśtykała stara chłopka, z twarzą pomarszczoną jak pieczone jabłko. Szeptala do Mariski, starając się dodać jej otuchy:

— No, no, niech się panienska nie boi. Wszystkie przeszliśmy przez to samo — i ja, i matka panienki. W tych sprawach tylko początek jest nieprzyjemny i koniec, a to, co pośrodku — wcale nie jest takie złe.

Z przeciwnej strony wszedł ksiądz w pełnym stroju liturgicznym, również blady jak skazaniec przed szafotem; za nimi ukazała się obmierzła postać hajduka.

Ksiądz w liturgicznym ornacie?! — krew zastygła w żyłach Buttlera.

Teraz już zrozumiał — nie, to wszystko nie komedia! Ksiądz nie włoży szat liturgicznych dla głupiego żartu. Tu się gotuje straszny grzech — przestępstwo.

János znowu rzucił się ku drugim drzwiom i szarpnął je z rozpaczliwą siłą.

Uzbrojeni pandurzy tak jak przedtem stali za drzwiami. Znów zabrzmiało: „Z powrotem” i drogę zagrodziły mu dwie lufy karabinowe.

— Wiecie, kto ja jestem? — krzyknął János do jednego strażnika i popchnął go.

Zandarmi mimo woli cofnęli się o krok.

— Tak jest, wiemy. Jaśnie pan hrabia János Buttler.

— Puście mnie natychmiast, bo zgnijecie w lochu, hajdaki!

— Nijak nie możemy, jaśnie panie hrabio. Z powrotem, z powrotem!

— Jestem właścicielem siedmiu majątków, jestem wielkim magnatem. Każdy z was dostanie ode mnie w podarunku wieś, tylko mnie wypuście!

Draby popatrzyły na siebie. Wieś to ponętna rzecz,

jednakże ława, na której starosta spuszcza lanie winowajcom, to rzecz bardzo nieprzyjemna; a poza tym — przyręczone wsie na razie jeszcze daleko, a ława całkiem blisko — w szopie lub na podwórzu.

I obaj chwycili biednego Jánosa, podnieśli w górę, jakby nic nie ważył, i wepchnęli z powrotem do pokoju. Walczył z nimi, gryzł, kopał ze wszystkich sił, a gdy wciągnęli go za nogi i ramiona przez drzwi, zdążył jeszcze krzyknąć na cały głos:

— Zsigmond, Zsigmond, Bernáth, do mnie, prędzej!

Sklepienie wilgotnego korytarza powtórzyło wielokrotnym echem ten pełen rozpaczony krzyk i rozniosło go po wszystkich pomieszczeniach opustoszałego domu. Jeśli serca ludzkie okazały się nieczułe, to chociaż kamienie gotowe były mu pomóc.

Pandurzy postawili Jánosa pośrodku pokoju i odeszli. Baronówna Mariska odwróciła się twarzą do ściany. Nie mogła na to patrzeć. Piersią jej wstrząsało łkanie. Jeszcze w niej ocalały resztki wstydu...

János drżał jak w febrze, z czoła spływał mu zimny pot. Pogroził pięścią księdzu i baronowi.

— Wy, słudzy Pana Boga i króla! To, co tu robicie ze mną — to wstyd i hańba, grzech i zbrodnia, a ja, jako szlachcic węgierski, protestuję przeciwko temu w imię Boga i króla!!

Baron uśmiechnął się chłodno, usiadł za biurkiem, wysunął szufladę, wyjął z niej nabity pistolet i potrząsnąwszy nim w powietrzu, rzekł z właściwym sobie komicznością:

— No, a teraz przystąpimy do rzeczy, bez żadnych wahań i wątpliwości. Każdego, kto będzie miał słabe nerwy, uspokoję na zawsze tym oto instrumentem.

— Oto moja pierś, proszę strzelać do mnie! — zawołał hrabia János głosem tak rozzwierającym, że nawet stary

żołnierz drgnął. — Miejcie litość, nie zrobiłem przecież nic złego!

Pistolet w ręku barona zachybotał. Tak przynajmniej opowiadał nazajutrz czeladzi hajduk Gergely, z uwagą obserwujący tę scenę. Ale stary obłudnik pokiwał tylko głową.

— No, jeszcze nie oszalałem, żeby strzelać do własnego zięcia. Tego tylko brakowało! Za kogo ty mnie bierzesz, drogi synku?

I dał znak księdzu, że czas już zaczynać. Ten przybliżył się parę kroków. Wówczas Buttler rzekł uroczyście, załamującym się głosem:

— Jeżeli ksiądz jest sługą Boga, a nie szatana, proszę stąd wyjść! Wszystko, co się tu dzieje, uważam za bezprawie. Tej panny ja nie kocham, nie pragnie jej ani moje ciało, ani moja dusza. Tak mi dopomóż Bóg!

Döry machnął lekceważąco ręką.

— Głupstwo!... Wielebny ojcie, proszę zaczynać!

W owych czasach obrządek ślubny dokonywany był według rytuału pazmańskiego\*. Zgodnie z „Ritus celebrandi matrimonii sacramentum \* napisanym w staroęgierskim języku, tym, którzy wstępowali w związek małżeński, zadawano mnóstwo kolejnych pytań. Jednakże „nulla regula sine exceptione” \*, toteż księża trzymali się tego rytuału lub nie.

— Jak się nazywasz? — zwrócił się ksiądz głuchym, stłumionym głosem najpierw do Buttlera, a potem do baronówny. Buttler nic nie odpowiedział i odwrócił się pogardliwie. Z ust baronówny wionęły słowa cichutko jak brzęczenie pszczoł:

— Maria Halápi Döry.

Ksiądz nie zwrócił najmniejszej uwagi na to, że Buttler nie odpowiedział. Nie zdziwili się także świadkowie, albowiem nic nie słyszeli: oboje mieli uszy dobrze zatkane watą.

Ksiądz jak gdyby nigdy nic kontynuował ceremonię ślubną i zwrócił się do hrabiego z zapytaniem:

— W imię twojej wiary chrześcijańskiej zapytuję cię, powiedz prawdę, czy nie jesteś związany obietnicą ślubną z żadną inną prócz tej szlachetnej dziewczicy? Czyś nie przysięgał innej, że weźmiesz ją za małżonkę?

— Tak, ślubowałem! — krzyknął Buttler tak gromkim głosem, że powinien przeniknąć przez watę. — Ale nie tej osobie, która tu stoi. Tak, przysięgałem Piroscie Horváthównie, że ożenię się z nią i będę jej wierny. I teraz klnę się na Boga i Przenajświętszą Bogurodnicę, że tego ślubowania nigdy nie złamię!

Wielebny ksiądz chyba i tego także nie słyszał. Z podobnym pytaniem zwrócił się do Mariski, zastępując tylko — zgodnie z rytuałem — słowa „szlachetna dziewczica” słowami „szlachetny mąż”.

Mariska ledwo dosłyszalnie wyszeptała: — Nie.

— Kochasz tę szlachetną dziewczicę? — znów zwrócił się do Buttlera ksiądz.

— Nienawidzę! — odpowiedział twardym jak stal głosem Buttler.

Zachowanie dziewczyny zdradzało jej niewymowną mękę. Stary baron wyczuł to i podbiegł do niej.

— Ojcie, umieram, coś ty zrobił? — rzekła łamiącym się głosem i padła mu na ręce.

— Opanuj się, wytrzymaj jeszcze chwilę, a wszystko będzie dobrze. Odpowiadaj „tak”. Zbierz siły, moja dziecko. No, mów, mów!

(W tej właśnie chwili ksiądz zadał jej to samo pytanie, co Buttlerowi).

— Tak — wyszeptała Mariska.

— Chcesz pojąć ją za żonę?

— Nigdy — odpowiedział Buttler.

— Chcesz zostać jego żoną?

— Chcę — smutnym głosem odezwała się ledwo żywa Mariska.

Ksiądz znów zwrócił się do Buttlera.

— Raz jeszcze zaklinam cię, powiedz prawdę: czy nie istnieje między wami pokrewieństwo lub inna przeszkoda do zawarcia małżeństwa?

— Ty dobrze wiesz, klecho, co stoi między nami! Grzech jest między nami — z gniewem krzyknął Butler — gdyby nie to, że masz na sobie święte szaty, wepchnąłbym ci twoje słowa z powrotem do gardła. Rób dalej swoje, z tej komedii i tak nic nie będzie: jeszcze istnieje prawo na Węgrzech.

To powiedziawszy, Butler usiadł przy biurku i udając obojętność zaczął nabijać fajkę. Ksiądz zagryzł usta i milczał.

— Kończcie tę ceremonię — przynaglał Döry.

Czekał ich jeszcze obrządek „benedictio annulorum” \*. Döry wyjął z kieszeni dwie obrączki i podał je księdzu. Ksiądz pobłogosławił obrączki i podał je oblubieńcom, ażeby włożyli na palce. Butler wziął obrączkę i tak niezręcznie — czy też, ściślej mówiąc, tak zręcznie — cisnął ją, że odskoczyła od ściany i uderzyła w lewą skroń kucharkę Szimáncsiową, wezwaną w charakterze świadka. Powieka jej od razu zsiniała i spuchła, a obrządek rozrósł się do wielkości niemal talara Marii Teresy. Kucharka ryknęła z bólu i już się wojowniczo ujęła pod boki, lecz zaniepokojony baron, ażeby ją udobruchać wyjął jej z uszu watę i szepnął:

— Nie wrzeszczcie, już my was wykurujemy. Pierwszy raz chyba jesteście na takim weselu, gdzie na was złoto ciskają.

A więc sprawa z obrączkami nie bardzo się udała, ale to tylko niewielka formalność. — Ani ksiądz, ani świadkowie nie byli pedantami. Butler zaś uważał, że jego protest wystarczy, ażeby nikt tej komedii nie brał na

serio. Z wolna to wszystko zaczęło wydawać mu się śmieszne. Niezwykła przygoda, a niech ją diabli! Z jakim to zamierającym sercem będzie słuchała opowieści o tym maleńka Piroska, jaka będzie przerażona! Wieść o tej historii rozejdzie się po całym świecie jak opowiadanie o tajemniczym Gasparze Hauserze \* lub o znakomitym księciu Buckingham \*, którego porwała lady Dudley. (Co prawda, kiedy najemne zbiry w nocy wyciągnęli księcia prosto z łóżka, przytaszczyli go do niej bosego i w samej bieliźnie, pruderyjna lady była zdęgowana i krzyknęła: „A więc tak on wygląda! O, zanieście go natychmiast z powrotem”).

Teraz nastąpiło z kolei „benedictio nubentium” \*; już zaczęło się ściemniać, przedmioty i twarze ludzkie utonęły w szarym półmroku, panującym w pokoju, a liście pochylonej za oknem lipy, drżące na wietrze, rzucały cienie, tak że wydawało się, iż po ścianie skaczą ropuchy.

Lokaj wyszedł do sąsiedniego pokoju, wrócił po chwili z zapalonymi świecami i postawił je na biurku. Potem wyszedł jeszcze raz i przyniósł wielką księgę. Drzwi zamknął za sobą na klucz. Z korytarza dobiegały jakieś odgłosy, hałas i zgiełk. Z urywków zdań i pojedynczych okrzyków nietrudno się było domyślić, że to Bernáth kłóci się z pandurami, którzy go nie chcą wpuścić.

Ksiądz dał znak baronowi, że teraz nastąpi związanie rąk stułą (jak się okazuje, do wrót raju prowadzi nie jeden, lecz kilka stopni). Döry podszedł do Buttlera i znów głosem słodkim jak miód zaczął go prosić, żeby wreszcie ustąpił. János nic mu nie odpowiedział i z obojętnością baszy tureckiego kurzył fajkę, wypuszczając wielkie kłęby dymu, ażeby okazać w ten sposób najzupełniejszą obojętność wobec tego, co się dokoła niego dzieje. Jednakże baronowi nie była już potrzebna duchowa kapitulacja Buttlera. Teraz i on sam już w nią nie wierzył.

Starał się tylko chwycić Jánosa za rękę i pomóc księdzu złączyć z ręką Mariski i nakryć stulą.

Buttler próbował wyrwać się, lecz bezskutecznie: Döry tak ścisnął jego dłonie swymi straszliwymi kleszczami, że János nie mógł się ruszyć.

— No, no, synku! Nie sycz i nie parszaj! Teraz to już jest bez znaczenia.

Słowa te doprowadziły Buttlera do wściekłości: gdy Döry puścił jego rękę, z taką siłą grzmotnął barona pięścią w pierś, że stary żołnierz zachwiał się na nogach. Zgrzytając zębami János chciał rzucić się na księdza, który stał jak wrośnięty w ziemię, z rozszerzonymi strachem oczami i mamrotał formułę przysięgi. Na jego szczęście Döry przyszedł do siebie i skoczył do „młodożeńca”. Rozpoczęła się między nimi zaciekle walka; mocując się ze sobą przewrócili krzesło. Wreszcie hrabia całkowicie stracił siły i runął na obity skórą fotel.

W tym samym czasie obrzydliwy lokaj Gergely podszedł do starej Szimáncsiowej i wyjmując jej z uszu wate, szepnął szczerząc zęby:

— Jak widać, mateczko, powinni byli jaśnie państwo nie tylko uszy, ale i oczy nam zakleić.

— Doczekamy się i tego — uśmiechnęła się starucha. — Ale powiadam ci z góry, że to ma być duży banknot, bo cośmy tu widzieli, synku, warte jest złota i srebra.

Teraz już i sam Döry stracił cierpliwość; zmęczony tą katowską robotą, schrypniętym głosem wyszeptał księdzu do ucha:

— Szybciej, szybciej! To biedactwo za chwilę zemdleje.

Ale zemdlenie już nie groziło Marisce. Łzy trysnęły z oczu i to jej ulżyło. Przypadła głową do poręczy kanapy i zaszlochała głośno, rozdzierająco.

— Gdzie jest księga? — zapytał ksiądz. — Gergely, gdzie księga!

Teraz już sam baron skoczył na poszukiwanie pióra i atramentu i pilnował, żeby ksiądz wpisał do księgi metrykalnej zawarcie związku małżeńskiego.

— No, tego nawet sam diabeł pazurami nie wydrapie! — zawołał z jawną satysfakcją, zerkając na Buttlera, czy ten czasem nie próbuje, zebrawszy ostatek sił, podrzeć fałszywy dokument.

Ale János był kompletnie załamany, nerwy odmówiły mu posłuszeństwa, w jego rozgorączkowanym mózgu jak wichry przelatywały myśli; osłupiałymi oczyma patrzył zobojętniały, jak drzwi się otwierają i jak jeden za drugim wychodzą ludzie, będący współuczestnikami tej sceny, której on do końca życia nie zapomni.

— Niedobrze urządziliśmy to wszystko — powiedział ksiądz do barona, gdy znaleźli się już w ciemnym korytarzu. — Trzeba było go upić przedtem, a poszłoby jak z płatka. Ale ja zrobiłem wszystko, co mogłem. Jaśnie wielmożny pan baron nie ma powodu się skarżyć. Być może, zapłacę za to utratą szat kapłańskich, być może, znajdę się za to w więzieniu, ale wiem przynajmniej, że zrobiliśmy wszystko, co było trzeba!...

Baron strzepnęłał palcami.

— Proszę to zostawić mnie, domine reverende \*, dalsze sprawy to już moja troska. Taka z nich jeszcze para małżeńska będzie, że aż miło, zobaczy ksiądz!

— A świadkowie są pewni?

— Jeszcze jak! Dwoje łajdaków, których w każdej chwili mogę oddać w ręce kata.

Długo trwało, zanim Buttler ocknął się z letargu i postanowił opuścić ten pokój. Zdziwił się, widząc, że drzwi są zamknięte, nawet te, które prowadziły na korytarz. Zaczął bić pięściami, ale nikt nie przychodził, nikt się nie odzywał. Otworzył okno, jednakże z zewnątrz były umocowane grube kraty. A więc o ucieczce nie ma mowy. Nie mógł zrozumieć, czego oni jeszcze — po tym,

co się stało — mogą chcieć od niego. Bez wątpienia czekają go jakieś nowe kłopoty. Ta nieokreślona sytuacja męczyła Jánośa bardziej niż odegrana dopiero co komedia ślubu. Małżeństwo to, oczywiście, unieważni trybunał kościelny. Rzecz jasna, że ani przez chwilę nie będzie miało mocy prawnej. Ale co się tu jeszcze szykuje?

Zagadka ta przyprawiała Buttlera o ponure myśli i znowu gorycz napełniła mu serce. Ale czyż nie ma sposobu, ażeby dusza ludzka doznała ulgi? János ukląkł i zaczął się modlić, ale nie pokornie i z adoracją, jak to dawniej bywało, lecz urągliwie i z wyrzutem.

— O, Boże, Boże! Czym zawiniłem wobec Ciebie, że jesteś dla mnie taki niemiłosierny? Przecież Cię miłuję, jestem oddany całym sercem, posłuszny Twoim przykazaniom, a Ty karzesz mnie tak bezlitośnie.

Serce ścisnęło mu się boleśnie na myśl o przerażających słowach „do siódmego pokolenia będziecie płacić za grzechy ojców waszych”.

János westchnął głęboko: „Ech, Buttlerze, mój stary antenacie, i po co ci to było wbijać sztylet w pierś tego Wallensteina! I dla kogo to zrobiłeś? Dla cesarza? Widzisz, jak teraz cierpi twój wnuk”.

W tej samej chwili ktoś zastukał w okno, ale nie był to stary przodek Buttlera, tylko hajduk Gergely.

— Jaśnie pan baron prosi jaśnie pana hrabiego, żeby zechciał spędzić noc w tym pokoju. Kolację przyniosą tutaj. I tutaj także przygotuję posłanie. Od jutra jesteśmy wszyscy do dyspozycji, ale tę noc pan hrabia spędzi tutaj.

Buttler skłonił się ironicznie i odpowiedział:

— Proszę powiedzieć jaśnie panu baronowi, że kłaniam mu się nisko i zostanę w tym pokoju, zwłaszcza że nie mam innego wyjścia. I proszę jeszcze przekazać panu baronowi, że życzę mu spokojnej nocy.

Potem usiadł przy biurku i zaczął pisać do Piroski długi list, rozpoczynający się od słów:

„Wyobraź sobie, moje ty szczęście umiłowane, jakie dziwne rzeczy działy się ze mną dzisiaj. Nie przerażaj się tylko: jestem Bogu dzięki zdrow i cały i zaraz napiszę Ci szczegółowo i po kolei o wszystkim, co mi się przytrafiło...”

## Rozdział trzynasty

JÓZSI VIDONKA

Kiedy Döry zaprosił nic nie podejrzewającego Buttle-  
ra do swojej kancelarii, księdza zostawił po to, ażeby  
zajmował drugiego studenta rozmową. Proboszcz zaczął  
wykonywać to zlecenie gorliwie i wkrótce obaj młodzi  
ludzie zaczęli gorąco dyskutować.

Przedmiotem ich polemiki była moda, szeroko rozpo-  
wszechniona w owych czasach wśród szlachty zempleń-  
skiej, a również i w innych komitatatach, polegająca na  
tym, że przedstawiciele rodzin szlacheckich w północ-  
nych Węgrzech mówili trzema językami: po niemiecku,  
po węgiersku i po słowacku, przy czym dwoma ostat-  
nimi obowiązkowo.

Te dwa języki wystarczyły, ażeby popisywać się  
przed chłopami: jeśli szlachta mieszkała na wsi słowac-  
kiej, rozmawiała między sobą po węgiersku, aby służba  
nie rozumiała, jeśli wieś była węgierska — panowie  
mówili między sobą po słowacku.

— Podobny obyczaj doprowadzi do tego, że węgier-  
ski język zniknie zupełnie — oburzał się młody Ber-  
náth.

Ksiądz natomiast występował w obronie języka sło-  
wackiego i zaczął dowodzić, per longum et latum \*, iż  
Árpádownie \* także mówili po słowacku. Dodał, że wła-  
śnie pisze na ten temat naukowy traktat, który zamie-  
rza posłać do wsi Bányácska Ferencowi Kazinczyemu  
do oceny.

Bernáth rozzłościł się i odpowiedział szorstko:

— Proszę, może ksiądz posyłać. Nie oprawi go w ramki, tylko rzuci do kąta.

Jednakże ksiądz nie ustępował i zaczął udowadniać, że dawni Madziarzy, gdy przybyli do nowej ojczyzny, nie sprowadzili ze sobą dostatecznej ilości kobiet ze swego plemienia i brali za żony jasnowłose Słowaczki. Stąd w języku węgierskim jest tyle wyrazów słowackich na oznaczenie przedmiotów domowego użytku. I bardzo możliwe, że dzieci ich mówiły językiem swych matek, a nie ojców, którzy prawie nigdy nie zsiadali z konia, odbywając dalekie wyprawy aż do samego piekła z Lehelami i Botondami.\*

— Możliwe, że i tak się zdarzyło, ale tylko wśród prostego ludu. Sami Árpádowie nigdy nie zapominali ojczyzniego języka.

— A więc dlaczego nadawali swym komitatom słowackie nazwy: „Novigrad”, zamiast Nógrádu, Czarnograd zamiast Csongradu i nawet swojej rezydencji nadali słowacką nazwę Visegrad?

Bernáth z irytacją zamachał rękami:

— Z tego nic nie wynika. Lud od najdawniejszych czasów tak ponazywał te zamki i okręgi, a królowie pozostawili stare nazwy, gdyż to nie miało dla nich znaczenia. I prawdę mówiąc, proszę księdza, cudzoziemscy duchowni ubiegali się usilnie o względy naszego świętego Stefana \* i wpoili w niego wygodne dla duchowieństwa dogmaty polityczne, jak na przykład: „Naród, który używa tylko jednego języka, to bardzo słaby naród”. Tę formułę na pewno wymyślił jakiś ksiądz, a król powtórzył ją tylko: potomni zaś święcie w nią uwierzyli.

W tym miejscu ksiądz Szucsinka aż zakipiał:

— W owych czasach taki pogląd był bardzo mądry. Może dziś utracił swe znaczenie, ale słowa te padły z ust samego świętego Stefana. Jeśli zaś chodzi o mnie, to ja

wcale nie jestem zwolennikiem tej maksymy, a uznaję tylko to, co nawet po latach nie traci znaczenia. Pierwsi Árpádowie, nie ulega wątpliwości, przez pewien czas mówili po słowacku. Nazwy zamkom nadawał lud, ale imiona dla swych dzieci wybierali przy chrzcie sami rodzice. Książęta nosili imię słowackie Béla, a przecież Béla to nic innego, jak łacińskie imię Albertus, alba equale, to znaczy — biały, a po słowacku Biela. Quod erat demonstrandum \*.

Bernáth jeszcze bardziej się rozżłościł:

— Warto by wam, księża, zabronić brania papieru i pióra do ręki, bo wszystko poprzekręcacie! Oj, biedna nasza historia! Jakże wyście ją zniekształcili od samego początku, kiedy się nią tylko klechy zajęli. Króla Kálmána \* za to, że walczył z ciemnotą i zabobonem, a broił oświecenia, zmieszaliście z błotem i nazwaliście garbusem.

— Panicz chyba jest protestantem? — zapytał ksiądz.

— Upartym kalwinem.

— W takim razie wszystko zrozumiałem.

— Oczywiście i to jest dla was zrozumiałe — zauważył Zsigmond pogardliwie — dlaczego księża zrobili z Kálmána garbusa.

— No, skoro pan uważa, że to nieprawda, proszę dowieść, że on miał proste plecy.

— To jest jasne i bez żadnych dowodów. Gdyby był ułomnym, to z tego rodzaju kalectwem nie obrano by go nigdy wodzem krzyżowców. Przecież w owych czasach tylko siła fizyczna i marsowy wygląd mogły imponować rycerzom. Tak, dużo wody przepłynęło od tej pory przez Dunaj, a cesarz przez długi czas nie chciał mianować dowódcą Eugeniusza Sabaudzkiego tylko dlatego, że był pokraczny. Po prostu nie do wiary, do jakiego stopnia historycy pozbawieni są elementarnej logiki i do tej pory biorą za dobrą monetę głupie książęzowskie wymysły.

— Widać, że pan, młody człowieku, jest wielkim wrogiem duchowieństwa.

— Jestem wrogiem seminariów dlatego, że one wychowują was na obłudników i hipokrytów.

— A ja jestem wrogiem kolegów dlatego, że wychowują was na arogantów i gburów.

— Cóż to, aluzja?

— Jak pan uważa.

— Wypraszam sobie!

Dyskutanci gotowi byli rzucić się na siebie jak dwa koguty. Oczy księdza rzucały błyskawice, wargi mu drżały (usta pozbawione wąsów są bardziej wyraziste). Bernáth aż kipiał z oburzenia i z trudem panował nad sobą. Nagle do pokoju wszedł na palcach hajduk Gergely i nachyliwszy się nad księdzem szepnął mu do ucha:

— Już się zaczyna.

Iskry gniewu momentalnie zgasły w oczach księdza, zbladł jak chusta, wstał i wyszedł razem ze służącym.

Zsigmond bardzo się zdziwił: zaczyna się? Co się może zaczynać? Wszystko w tym domu jest jakieś tajemnicze. Wszędzie sekrety! Tajemniczo szeleszczą liście drzew; tajemnica unosi się w powietrzu, w błękitnym dymku z komina małego domku, w którym mieszka ogrodnik.

„Ech, głupstwo! Wszystko to wytwór wyobraźni — uspokajał sam siebie. — Ciekawe, gdzie się podziewa János? O czym oni mogą tak długo rozmawiać z baronem? Może pójść go poszukać?” — pomyślał, ale od razu zrezygnował, bo przecież nie wypada wdzierać się nieproszonemu i przeszkadzać w rozmowie.

Posiedział jeszcze jakiś czas na tarasie wyglądając, czy kto nie przyjdzie. Ale dom był cichy i opustoszały. Od chatki ogrodnika zalatywał obrzydliwy zapach. Co to jest, u diabła?

Bernáth poszedł w stronę domku i zobaczył rozłożone na parapecie otwartego okna długie szklane rurki.

„Ach, więc o to chodzi — topią łój na świece.”

Szklane rurki, z otworami po obu końcach, przez które przesuwano knot, napełniano rozpuszczonym łojem. Łój zastygł i świeca była gotowa. Wszystko to raczej dość prymitywne. Ale nasi przodkowie, gdy po raz pierwszy zobaczyli ten wynalazek i dowiedzieli się, że twórcą jest Polak, niejaki Kamiński, mówili z zachwytem: „O, ten gałgan miał głowę!”

Rurki wynosiła z domu mała córeczka ogrodnika, a ponieważ nie wszystkie mieściły się na parapecie, dziewczynka opierała je również pod ścianą wprost na ziemi.

Z boku siedział biały kudłaty pies i z filozoficznym spokojem spoglądał już to na szklane rurki, już to na człowieka leżącego na rozpostartym kożuchu, grzejącego się na słońcu i pogryzającego słoninę.

Patrzył, patrzył pies na te cuda i w żaden sposób nie mógł zrozumieć, jak to się dzieje, że świński tłuszcz pochłaniany przez człowieka zjawia się znowu w szklanych rurkach (żółtawy, woniejący płyn w rurkach stygnąc białł szybko i przybierał apetyczną konsystencję smalcu). To cudowne przeobrażenie wydawało się psu niepojęte. Zdumiony, kręcił łbem w obie strony, dzięki czemu upodabniał się do ruchliwego dyrygenta.

Tak się zatopił w obserwowaniu tych dziwnych rzeczy, że nawet dokuczliwe zielone muchy, bzykające nad nim, nie mogły oderwać jego oczu od tego zjawiska.

Bernáth ocenił cały komizm tej sceny, uśmiechnął się i pomyślał: „Nawet i pies węszy jakąś tajemnicę. W rzeczywistości na jego oczach odbywają się rzeczy najzwyklejsze pod słońcem, tylko on nie jest w stanie ich zrozumieć. Widocznie ja tak samo jak on nie mogę pojąć, co się dzieje w tym domu?”

— Panie Zsigmond, młody pan! Co za niespodzianka! Usłyszawszy znajomy słowacki akcent Bernáth odwrócił się. Człowiek, który go zawołał, odłożył na bok nóż i słoninę zaskoczony.

— Skąd panicz się tu wziął?

Bernáth poznał syna ich kucharki Jóskę Vidonkę.

— Ki diabeł? Czy to ty Jóska-złota rączka? To ja mogę spytać, skąd się tu wziąłeś? Pracowałeś, o ile mi wiadomo, u stolarza w Újhely.

— Jestem stolarz i wszystko, co pan chce. Ale tu jestem sam sobie panem, jem słoninę i popijam łojem. A co porabia moja kochana matula?

— Jest, jest, gotuje nam pyszne obiadki. Gdyby wiedziała, że spotkam się z tobą, przysłałaby ci placek z kukurydzy.

— Niech to pies zre. Ja tu jem piecyste i piję sobie tyle wina, ile dusza zapragnie. I to jakie wino! Tokajskie wino, młody pan! Ohoho! Żyję tu jak u Pana Boga za piecem...

— Czyś ty tu może został ogrodnikiem?

— E, tam! — obraził się Jóska i znowu wyciągnął się jak długi na kozuchu, opierając na obu dłoniach rozkuślaną głowę.

— Nie, bez żartów, czym się zajmujesz?

— Czekam.

— I nic więcej nie robisz?

— Nic a nic, tylko czekam, a i to niełatwa sprawa — ziewnął i znów zaczął zajadać słoninę.

— A na co ty tak czekasz?

Młody Vidonka mrugnął zagadkowo.

— Na wieczór.

— Na wieczór? A po co?

— Ohoho, o tym właśnie nie wolno mi mówić — uśmiechnął się chytrze Vidonka. — Prawda?

Pytanie to było skierowane do zielonego dzbanka,

który stał u jego nóg, do połowy zakryty krzakiem agrestu. Sięgnął po dzbanek, wypił parę łyków, cmoknął z przyjemnością i odstawił go na bok.

— Na pewno z osiemset trzeciego!

— Widzę, Józsi, że dobrze ci się dzieje! Opowiem to twojej matuli. Od dawna tu jesteś?

— Chyba już dziesięć dni będzie.

— I przez cały czas czekasz?

— E, gdzie tam! Ja tu zrobiłem taki majstersztyk, że gdyby mój mistrz Márton Odrejovics zobaczył, bez gadania wydałby za mnie swoją młodszą córkę, a właściwie nie młodszą, bo ta trochę zezuje, ale starszą, Katuskę. Ta je krasna, młady pan! Ako laluja! Ogrodnik nie wyhodowałby ładniejszej.

Józsi Vidonka był silny, dobrze zbudowany i nawet można by uważać go za przystojnego, gdyby nie to, że kiedy był mały, pański wieprzek odgryzł mu część górnej wargi. Tak go to szpeciło, że strach było na niego patrzeć, bo kawałek dziąsła i zęby zawsze było widać przez tę szparę.

— Jaki majstersztyk? Czy to znaczy, że potrafisz zrobić jeszcze coś do rzeczy? A chodziły słuchy, żeś całkiem przepił rozum.

Bernáth mówił to wszystko tylko po to, żeby chłopcu rozwiązał się język. Wiedział doskonale, jaki zdolny jest Józsi. Wystarczyło, żeby coś raz zobaczył, a już sam potrafił to wystrugać, choćby scyzorykiem. Zresztą był także wynalazcą. Vidonka zmajstrował nawet zegar, w którym wszystko do najdrobniejszych szczegółów było zrobione z drzewa, tylko wagi z kamienia. A chodził z taką dokładnością, że Vidonce mógł pozazdrościć nawet wprawny zegarmistrz. Przez cały rok pracował nad zrobieniem wozu „samochodu”, nawet próbował skonstruować maszynę do latania.

W owych czasach wiele było w tym kraju samorodnych talentów, ale tylko nieliczni, jak na przykład Kempelen \* z Preszburga, osiągnęli sukcesy. Ten arcymistrz jeździł od króla do króla z maszyną, która wygrywała w szachy z każdym, nawet najsilniejszym graczem, nie wyłączając Napoleona I. Dotychczas nikomu nie udało się odkryć tajemnicy tej maszyny.

Józsi Vidonka rokował wielkie nadzieje na przyszłość i stary Bernáth, widząc jego uzdolnienia, oddał chłopca do terminu do stolarza w Újhely. Niestety, najczęściej zdarzało się, że takie chłopskie samouki, które mogłyby współzawodniczyć ze sławnymi amerykańskimi wynalazcami, zaprzepaszczały całkiem swoje talenty: albo kleciły na pańskim dworze trumny, albo też majstrowały zabawki dla pańskich latorośli, licząc na to, że pan da im na wódkę.

Józsi Vidonka obraził się, usłyszawszy tak niepocholebną opinię z ust młodego panicza, i odpowiedział urażony:

— No, jeszcze pan usłyszysz o tej maszynie.

— Kiedyż to?

— Może jeszcze dziś wieczorem.

— Przecież wieczora tylko patrzeć. Dlaczego nie miałbyś powiedzieć o godzinę wcześniej, jeśli to coś pomysłowego? Pewno nie ty zmajstrowałeś. Powiadają, że tu niemało rzemieślników pracowało; chyba słyszałeś dzwon, ale nie wiesz, gdzie on i jeszcze chwalisz się czyimiś wynikami. Jakby się twoja mama ucieszyła, gdybym jej to opowiedział! Ale ja przecież nie zostanę do wieczora.

— Panicz wyjeżdża?

— Jak najprędzej!

— A nie powie pan nikomu?

— Zastanów się, czy ja ci źle życzę? Dostałbym od twojej matki!

— Biedna matula! Ach, jaką wieprzowinę z fasolką umie przyrządzić! — rozczulił się chłopak. — No, dobrze, wyjawię panu ten sekret, ale gęba na kłódkę, bo bieda będzie z Jóską. Niech pan się przybliży, powiem panu na ucho... Taką maszynę zmajstrowałem, że może postawić podłogę na miejsce sufitu albo sufit na miejsce podłogi, jak kto woli.

— Słuchaj, Józsi, mów ty lepiej po słowacku. Łatwiej mi będzie cię zrozumieć.

— Dobrze, młady pan — i Vidonka przeszedł na język słowacki. — Mówię panu, zmajstrowałem taką maszynę, że może cały pokój przenieść do drugiego.

— Co to za maszyna? Aha, zapadnia. Nawet pokój może opuścić w dół?

— Nie opuścić w dół, tylko podnieść... Zresztą, jeden diabeł! Albo to nie wszystko jedno, czy podsunąć psu kość, czy pies za kością polecą?

Bernáth zastanowił się chwilę.

— A w których pokojach potrzebna taka przebudowa?

— W kancelarii barona i w pokoju na piętrze, zaraz nad nią. Nie chwając się powiem: dobra robota! Szkoda, że panicz nie może zobaczyć.

— A kto mieszka w tym pokoju na piętrze?

— Jak to kto? Panna baronówna. Jakaż ona piękna, ojej! I dziś w nocy moja maszyna — drogo barona nie kosztowała — ma kogoś podnieść w górę i na siłę wprowadzić do panienki. Licho wie, po co. Cóż to, ten mazgaj nie może iść na własnych nogach?

Bernáth cofnął się, jakby go kula trafiła. Teraz już dla niego wszystko było jasne.

Zniekształcone usta Vidonki wykrzywił uśmiech, lecz nagle chłopak rzucił kapelusz na ziemię i uderzył się dłonią w czoło.

— No, no, młody pan! Czego to pan się tak wystraszył? A może ja się niepotrzebnie wygadałem? Może to panicza zamiarują podnieść tą maszyną... co?

Ale Bernáth nie miał już czasu na odpowiedź: przeskakując przez klomby i krzaki pobiegł pędem w stronę głównego budynku.

## Rozdział czternasty

### SYTUACJA SIĘ KOMPLIKUJE

Jakiś czas Zsigmond błąkał się po tym ogromnym domu, do którego każdy z przodków barona Döryego uważał za obowiązek dobudować coś według własnego gustu: jeden w stylu romańskim, drugi w barokowym, a jeszcze inny po prostu tak, jak to przyszło do głowy wiejskiemu murarzowi.

Te części budynku, w których nikt nie mieszkał, zapadły się nieco, gdzieniegdzie popękały mury; zagnieżdżyły się tam sowy i nietoperze. Stary pałac, stojący na wzgórzu, przypominał wyglądem pochyloną staruszkę, już opierającą się na lasce, lecz wciąż jeszcze marzącą o młodych latach w poszumie drzew, przy szczebiocie ptaków, brzęczeniu pszczół.

Bernáth obszedł całą znaną mu i zamieszkałą część domu, zajrzał do wszystkich pokoi, ale nigdzie nie spotkał żywej duszy. Tylko szympans Kipi z obandażowaną lewą łapą leżał na poduszce w pokoju, należącym dawniej do guwernantki, i głośno jęczał.

Kipi na własnej skórze poznał perfidię miłości — już więcej nigdy nikomu nie będzie przynosił kwiatów.

— Ej, jest tam kto? — zawołał głośno Bernáth.

Ale nikt mu nie odpowiadał.

Pod ziemię zapadli się mieszkańcy tego domu czy co?

Nagle młodzieńcowi wydało się, że ktoś go woła:

— Zsigmond, Zsigmond, Bernáth! Chodź tutaj!

Nie ulegało wątpliwości, że był to głos Buttlera. Brzmiał głucho, jak gdyby dobywał się spod ziemi — a może to była tylko halucynacja.

Ale jeśli to był rzeczywiście głos Jánośa, to dobiegał chyba z parteru, gdzie nikt teraz nie mieszkał. Ta półsuterena służyła niegdyś za areszt. Co prawda w owych odległych czasach, kiedy to jeden z pierwszych właścicieli pałacu, niejaki Krucsay, wykorzystywał swoje jus gladii \*. Kiedyś w tym miejscu, gdzie znajduje się obecnie cieplarnia, Krucsay kazał ściąć głowę swojej pięknej żonie.

W dolnym pomieszczeniu, ciemnym i wilgotnym, nie mieszkała nawet służba. Jednakże Bernáth przypomniał sobie, że Döry kiedyś w czasie rozmowy powiedział, iż nie znosi zapachu chłopskich szub i kozuchów, dlatego kazał przenieść swoją kancelarię, w której rozpatrywał sporne sprawy, na ów parter.

Zsigmond pobiegł w dół po schodach, jak mógł najszybciej. Sporo jednak czasu minęło, zanim udało mu się odszukać wśród labiryntu schodów i krętych korytarzy drogę do kancelarii. Na ścianach nie widać było żadnej tabliczki, pokazującej drogę, ale przy wejściu na korytarz o łukowatym sklepieniu Zsigmond natknął się na ławę przeznaczoną do chłosty, a w pobliżu na podłodze leżały dyby. Bernáth domyślił się, że tu właśnie musi być kancelaria.

Po omacku, trzymając się ściany, zaczął iść wzdłuż ciemnego korytarza, gdy wtem usłyszał czyjś głos:

— Kto tam?

Bernáth nic nie odpowiedział i zrobił jeszcze parę kroków naprzód.

— Odpowiadać, bo strzełę — rozległ się znowu ten sam głos.

— Ja, Zsigmond Bernáth, gość tego domu — odpowiedział młodzieniec.

— Wracajcie, paniczu, tutaj nie macie czego szukać! Ale Zsigmond uparcie posuwał się naprzód, aż w końcu natknął się na dwóch uzbrojonych pandurów.

— Gdzie hrabia Buttler? — zapytał surowo.

— Proszę mu nie przeszkadzać, on teraz jest bardzo zajęty, zobaczycie się później.

— Chcę wiedzieć, czym jest zajęty? Tu się knuje coś złego. Co z nim robią?

— Nic złego, paniczu, chciałbym znaleźć się na jego miejscu. Za jedną taką noc mógłbym być przez dwa lata psem u juhasów.

Słowom tym towarzyszył ordynarny, cyniczny śmiech.

— Puśćcie mnie! Chcę tam wejść!

— Nic z tego nie będzie, paniczu, proszę się nie gniewać i nie mieć pretensji.

— Ale jakim prawem ośmielacie się zagradzać mi drogę?

— Ano takim prawem, że ten, kto nie jest zaproszony na ślub, nie powinien tam wchodzić.

— Ślub?!!

A więc to jest rozwiązanie zagadki! Teraz wszystko jasne: po co przyszedł ksiądz, dlaczego zamknęli bramy, żeby obcy gość nie zaskoczył gospodarza, dlaczego usunęli zbędną służbę z domu i dlaczego zatrzymali tylko ludzi wtajemniczonych i współników. Teraz jest wszystko jasne jak słońce.

Döry postanowił za wszelką cenę wziąć za zięcia bogatego magnata. Nie w ciemną bitą: siedem majątków hrabiego Buttlera — to łakomy kąsek. Ale jak się stało, że Zsigmond nie domyślił się tego wcześniej? Przecież mnóstwo znaków mówiło o tym. A teraz to już chyba tylko bić głową w te wilgotne mury. Wszystko, co stało się w ciągu tego dnia, wydało mu się łańcuchem ściśle powiązanych ze sobą wydarzeń. Teraz tam, w kancela-

rii, ksiądz gwałtem żeni Buttlera; mało tego, wieczorem przy pomocy maszyny-windy podniosą Jáńosa do góry i znajdzie się w jednym pokoju z panną młodą. Rankiem do tego pokoju wejdą słudzy „świadkowie” — a potem przysięgną w sądzie, że oblubieniec spędził noc razem z oblubienicą... Boże, Boże miłościwy! Czy ty rządysz światem, czy też pozwalasz mieszać się do losów innych ludzi każdemu, kto ma na to ochotę.

Krew zawrzała w Zsigmondzie, z wściekłością odepchnął pandura.

— Wejść tam, żeby nie wiem co! Precz mi z drogi, hultaje!!

— Ani słowa, paniczu, bo jak nie, to rozprawimy się z panem!

Jeden z pandurów, Kázsmári, chwycił Bernátha za pas i lekko, jak szczeniaka, uniósł w górę, a po chwili postawił niczym pusty dzbanek. I jeszcze się na domiar uśmiechnął, obwieś!

— Ano, uważaj, garnuszku, żebyś nie pękł!

Żelazne łapy miał ten Kázsmári, do trzeciego roku życia matka piersią go karmiła.

Zsigmond zorientował się, że siłą nic nie wskóra, i szybko zmienił taktykę.

— Bójcie się Boga, dobrzy ludzie! Zrozumcie, ja muszę tam wejść koniecznie. Wy jesteście na służbie komitatu, prawie jak żołnierze, z pewnością macie kamratów, za których gotowi jesteście oddać życie, tak samo jak oni za was. Przecieżście Węgrzy jak i ja. Mój najlepszy przyjaciel znalazł się w opałach, gorzej niż pod szubienicą. Dajcie mi możliwość niedopuszczenia do bezprawia, jakie tam się dzieje. Do serc waszych pukam, moi drodzy. Spójrzcie na tę sprawę innymi oczyma. Mój przyjaciel ma narzeczoną, śliczną dziewczynę, kochają się oboje bardzo. Tej dziewczynie serce pęknie. Przecież i wyście kochali kiedyś w swoim życiu! Wiem,

dzielni z was ludzie, możecie zastrzelić zbója, lecz palcem nie tkniecie małej, bezbronnej ptaszyny. I nie pozwolicie przecież na to, żeby z waszej winy przestało bić jej serduszko. Wpuście mnie, dobrzy ludzie! A jeśli nie chcecie się narazić, udawajcie, że wtargnąłem siłą i że nie mogliście sobie ze mną poradzić. Wpuście mnie, a Bóg wam za to zapłaci, a i ja sam także sowicie was wynagrodzę.

Wsunął rękę do kieszeni i wyjął z niej cztery cwanycgiery z wizerunkiem Matki Boskiej w szatach królewskich i z dzieciątkiem na ręku (z tych sześciu, które dała mu matka przy pożegnaniu), i podał je pandurom. Lecz oni ze śmiechem odepchnęli jego rękę.

— Ale podskoczyła cena! — drwił Jeszenka — młody hrabia przed chwilą ofiarowywał wieś każdemu z nas, a pan chce się wykpić czterema cwancygierami.

— I hrabia dałby, skoro obiecał.

— Przydałyby się nam, paniczu, myśmy ludzie biedni. Człowiek zawsze szuka, gdzie mu lepiej, lecz cała bieda w tym...

— W czym?

— Że gdy zaczyna swędzić dłoń, to i szyja swędzi. Jesteśmy bezsilni wobec naszego pana. Idźcie, paniczu, z Bogiem. Skoro nie można, to nie można.

Bernáth już sam zrozumiał, że nic nie wskóra, i wręczywszy pandurom pieniądze zaczął prosić, żeby pozwolili chociaż popatrzeć przez dziurkę od klucza. Pandurzy naradzili się między sobą i wyrazili zgodę — to przecież nikomu nie zaszkodzi — jednakże na wszelki wypadek trzymali go za rękę. Bernáth zajrzał i zgrzytnął zębami z wściekłości. W tej właśnie chwili ksiądz nakrył stulą rękę baronówny i hrabiego Jánosa, którego stary Döry mocno trzymał.

— Łajdaki! — krzyknął Zsigmond. — Jaka szkoda, że nie mam siły, aby zetrzeć was wszystkich na proch!

— Dobrze, że panicz takiej siły nie ma. Ja bym na pańskim miejscu cieszył się, że i mnie także gdzieś nie zamknęli, jak tamtego. Wielki błąd popełnił jaśnie pan baron, że panicza zostawił na wolności. Przecież pan mógłby im przeszkodzić, gdyby nas tu nie było.

Zsigmond zachnął się jak smagnięty biczem. To prawda, byłoby o wiele gorzej, gdyby i jego gdzieś uwięzili. A teraz jest na swobodzie i może się na coś przydać: może wszcząć wielki alarm albo coś innego przedsięwziąć. Trzeba stąd uciec jak najszybciej.

Przynaglony tą myślą ruszył śpiesznie z powrotem po ciemnych schodach i korytarzach. Gdy wyszedł przed dom, było już całkiem ciemno. W oddali na dzwonnicy wiejskiej smętnie rozjęczał się dzwon. Gwiazdy błysnęły na niebie, a w oknach wiejskich chałup zamigotały światełka.

Zsigmond pędem rzucił się ku bramie. Lecz okazało się, że zarówno brama, jak i furтка są zaryglowane, na próżno napierał całym ciałem i walił w nie pięściami.

O tym, żeby wdrapać się na mur, otaczający ze wszystkich stron posiadłość, nawet marzyć nie było można. Cały był najeżony ostrymi gwoździami. Pobiegł więc dalej w nadziei, że uda mu się gdzieś znaleźć jakąś szczelinę w ogrodzeniu. Zdążył się, okrążywszy cały park, ale ani jednej dziury nie znalazł w tej ścianie bez początku i końca.

— A więc i ja także jestem więźniem.

Co teraz robić? Poczekać na barona, zmierzyć się z nim, rozwalić mu łeb i uwolnić przyjaciela! Lecz rozsądek podpowiadał Bernáthowi, iż w tej chwili jest on słaby, a siłę zdobędzie dopiero wówczas, gdy uda mu się wydostać za ogrodzenie. Ale jak to uczynić?

Pod samym murem rosła potężna lipa, której konary stykały się prawie z konarami jesionu, rosnącego w sąsiednim ogrodzie. Gdyby tak udało się przeskoczyć na

ten jesion i wyrwać na swobodę. To myśl nie najgorsza.

Zsigmond zręcznie łąził po drzewach od dzieciństwa. Zdjął teraz trzewiki (w owych czasach również i panowie nosili buty z krótkimi cholewkami), związał ich ucha sitowiem i przewiesiwszy je sobie na ramieniu, zaczął szybko wdrapywać się na drzewo.

Właśnie w samą porę, gdyż zanim dobiegł do wierzchołka, usłyszał groźny głos barona:

— Przeszukać każdy zakątek, on musi tu gdzieś być! Macie znaleźć go choćby w piekle! Nie mógł wyjść poza ogrodzenie.

Serce Bernátha waliło głośno. Znieruchomiał, bojąc się, żeby szelest gałęzi nie zdradził go.

A kroki już się zbliżały... To pandurzy rozgarniali krzaki szukając zbiega.

Döry podszedł do domku ogrodnika i na cały głos zawołał Jóskę Vidonkę:

— Hej, stolarzu, nie widziałeś tu gdzieś młodego panicza?

— Nie, nikogo nie widziałem. Nikogo prócz czarnego kota.

— A bodajżeś się udławił nim, durniu!

Potem zaczęli coś tam do siebie szeptać, ale chociaż Bernáth nadstawiał uszu, nie mógł zrozumieć ani słowa, mimo iż wiatr wieczorny wiał w jego stronę.

Wkrótce potem pandurzy odeszli do zachodniej części parku, tam gdzie znajdowała się altanka i kręgielnia. Zsigmond wykorzystał tę chwilę i zaczął wdrapywać się znowu na lipę ze zręcznością wiewiórki (niebezpieczeństwo dodawało mu sił), a gdy dotarł do miejsca, w którym gałęzie obu drzew prawie stykały się ze sobą, uchwycił się obiema rękami wielkiego konara i śmiałym susem przeskoczył na sąsiednie drzewo. Ale w tej samej chwili związanie butów pękło i jeden spadł na zie-

mię w parku barona, a drugi razem z jego właścicielem znalazł się za murem — w posiadłości Izsépych.

Czujnym jak u zająca uchem Zsigmond dosłyszał urywek rozmowy pandurów:

— Tss, coś zachrząściło, nie słyszałeś, Kázmári?

— Nie — odpowiedział drugi pandur. — To tam w rogu kot z drzewa zeskoczył.

*Rozdział pierwszy*

## WIELKA BIEDA MAŁĄ LECZY

Bernáth odetchnął z ulgą, tylko strata buta złościła go trochę. Wyobrażał sobie, jak śmiesznie musi wyglądać boso, ale nie mógł przecież wciągnąć tylko jednego buta i utykać niczym wiersz z jambem i trochejem w ars poetica. Ech, malum omen! \* W jaki sposób do diabła zdoła teraz pomóc Jánosowi? Człowiek nawet w podartej odzieży i w dziurawym kapeluszu zawsze jeszcze jest człowiekiem, ale na bosaka sam Napoleon przestałby być cesarzem. Zaczął szukać w pamięci wśród wydarzeń historii powszechnej i odnalazł tylko jedną pocieszającą analogię: Mihály Teleky \*, uciekając z pola bitwy, ugrzązł w bagnie; nogę wyciągnął, choć z trudem, lecz but w nim zostawił.

„No, cóż — pomyślał Bernáth — co się zgubiło, tego się nie odnajdzie. A teraz — jak najszybciej wiać stąd!”

Skradając się, przemknął cichutko przez ogród Izsépych i nie zauważony przez nikogo znalazł się obok domu.

Nie mógł przejść przez podwórko, bo to byłoby niebezpieczne — mało się tam kręci różnej czeladzi? Trzymając się muru Dörych obszedł dom dookoła. Zajrzał w jedyne oświetlone okno i dostrzegł jedną z panien Izsépy. Siedziała przy stole i bawiła się z białym mopsem: pieściła i głaskała psa, wiązała mu na szyi niebieską kokardkę. Zsigmond przypomniał sobie mimo

woli historię z szympansem i przyszedł mu do głowy szelmowski pomysł: żeby położyć na parapecie okna jeden ocalały, a teraz już na nic niepotrzebny but — to by był dopiero materiał do domysłów!

Jeszcze dwa-trzy kroki i Zsigmond znalazł się na drodze do wsi. Był wolny jak ptak! Ale cóż ma robić, komu się poskarżyć, kogo zbuntować? Wszak tu każdy boi się Döryego. Trudno mu było stąpać boso po kamieniach i bruzdach, ale szedł szybko naprzód, aż się zadyszał (bał się biec, ażeby nie zwrócić na siebie uwagi). Spotykani przechodnie ze zdziwieniem wpatrywali się w mrok, a nie słysząc kroków, przychodzili do wniosku, że to idzie jakiś bosy wędrowny czeladnik. Ruszył prosto do karczmy.

W domu imć pana Tótha świeciło się tylko jedno okno. Gdy Bernáth zastukał, gospodarz właśnie rozbieirał się. Żona jego leżała już w łóżku, pozostawiwszy miejsce przy ścianie dla męża, i paliła fajkę.

— Kto tam? — zapytał Tóth i otworzył okno.

— To ja, student.

— Ajajaj! Poznałem panicza po głosie! Wśród tysięcy głosów bym go poznał. Johanna, daj no klucz, leży u ciebie pod poduszką.

Pan Tóth wziął świecę i wyszedł. Wpuścił studenta do sieni i bardzo się zdziwił widząc, że jest bosy.

— Ach, stała się straszna rzecz, okropna historia!

I Bernáth powiedział szczegółowo o wszystkim, co zaszło.

Karczmarz własnym uszom nie wierzył. Raz po raz drapał się w ciemność, a w miarę opowiadania potakiwał głową, ręce jego mimo woli zaciskały się w pięści. Wytrzeszczonymi oczyma patrzył na Bernátha i widać było, że jest bardzo wzburzony.

— Znów ci księża! Wszystko, co najgorsze, to księża! — wykrzyknął gniewnie i natychmiast zasłonił usta

dłonią. — Psst! Mówmy ciszej, żeby moja żona nie usłyszała; ta bigotka leży obok w pokoju. Z tej całej historii widać, że ksiądz jest diabolus rotae! \* Nie bez powodu zabronili mu pokazywać się w tym domu, z pewnością coś tam zmalował. Dlatego wszystko to odbywało się w takim pośpiechu. No, co będzie dalej, zobaczymy. Takie rzeczy nie mogą się długo utrzymać w tajemnicy. Zanim upłyną trzy kwartały... He, he, he!

— Co pan mówi?! — krzyknął przerażony Bernáth. Biedakowi aż włosy dęba stanęły. — Czyżby pan przypuszczał?...

— Tak właśnie myślę, rogo \*. Człowiek, jak wiadomo, grzeszy nie bez przyczyny. Fiołek wyrasta ze swego nasienia, kapusta ze swego, kartofel z sadzeniaka, a grzechy ludzkie z innych grzechów. Jeżeli nawet baron poszedł na to z chciwości, to co mogło skłonić księdza, żeby zdecydował się na taki ryzykowny krok? A poza tym, proszę mi wierzyć, rogo humillime \*, baronówna została stworzona z tego samego przewrotnego żebra, z którego powstała i pramatka Ewa. Szkoda tylko, rogo, że poprzednim razem nie skosztowaliście moich kurcząt. Ajajaj! I co jaśnie panicz zamierza teraz uczynić?

— Przede wszystkim chcę oswobodzić mojego przyjaciela.

— A ile panicz ma żołnierzy i dział?

— Nic nie mam. Ale przyszedłem do pana, żeby poprosić o pożyczanie wierzchowca, bo chcę dostać się do Pataku, gdzie mieszka Fáy, opiekun Buttlera. To bardzo wpływowy człowiek i na pewno będzie wiedział, co należy uczynić. I jeszcze jedno: niech mi pan pożyczy, jeśli można, parę butów.

Słyszac te słowa Tóth spochmurniał i pokiwał głową.

— Butów nie pożyczę, chociaż pan Gibara, szewc z Tállya, przyniósł mi dziś nowe, giemzowe, i to takie,

że księżę nie powstydziliby się ich włożyć. Ale... ale jeśli pan Döry dowie się, że ja pożyczyłem paniczowi buty, jutro wyrzuci mnie ze wsi razem ze wszystkimi moimi manatkami. Konia także paniczowi nie dam, dam za to mądrą radę: może panicz wyprowadzić sobie sam jednego z mojej stajni. Tam znajdzie się i siodło — wisi na gwoździu.

— Jak to?! Mam ukraść konia?

— No, niech panicz posłucha: jesteśmy obaj szlachciami i możemy zrozumieć się nawzajem. Panicz może mi potem konia zwrócić, ale niechaj we wsi wszyscy myślą, że wierzchowca mi ukradziono. Panicz mnie rozumie? A ja zaraz zawołam stangreta, żeby mi przez ten czas natarł maścią plecy — to ostatnia z ziemskich rozkoszy, jaka mi pozostała. Panicz niech się schowa za szynkwasa, a potem niech wyjdzie, weźmie świecę, pójdzie do stajni i najspokojniej w świetle osiodła siwka. Wtedy już szukaj wiatru w polu! Czy panicz wie, jaka to przyjemność, kiedy nacierają i masują plecy? Co prawda, dla dobra sprawy trzeba koniecznie, ażeby człowiek przedtem dobrze się najadł, to jest warunek, jak to się mówi, *sine qua non* \*. Ale ja mam ciągle jakiś ciężar w żołądku. No, tak... Ci księża, co? To ci księża! Nie mogę zapomnieć o tej historii.

Bernáth zgodził się na propozycję karczmarza. Bo i jakże mógł się nie zgodzić?

Wszystko poszło jak z płatka: stangret, zawołany przez karczmarza, wszedł do domu, a Bernáth przez ten czas wśliznął się niepostrzeżenie do stajni, znalazł szybko wszystko, co mu było potrzebne, osiodłał konia, w kilka minut później galopował już drogą do Petrahó.

Za Petrahó znajduje się terażniejsza Józseffalva. W owych czasach ta wieś nie tak się nazywała. I cały komitat Zemplén wyglądał wtedy inaczej. Obecnie obszar komitatu przypomina swymi konturami but z wy-

winiętą cholewą (takie buty nosił Rákóczi w Wiener-Neustadt), a w początkach ubiegłego stulecia przypominał raczej niemowlę w powijakach. Nożyce wiedeńskie pocięły na skrawki cudowną krainę wzgórz i dolin, która wyhodowała kuruców \*. Część ziemi za Cisą, w sąsiedztwie Viss, Kenézlő i Zalkod, lecz bardziej na południe — Csobajd, Ladány i Tardos przyłączono do komitatu Szabolcs. Komitatowi Ung także coś się dostało, co prawda „w zamian” za powiat Szinna. Ludzie, oczywiście, pozostali na starym miejscu, myśleli, czuli i biedowali tak jak dawniej. Za to teraz nie zbierali się już na komitackich sesjach szlacheckich w Újhely. Wielki żółty gmach komitatu to istne gniazdo os, tam dojrzewają ziarna buntu, wylęga się ptak turul \*.

W Józseffalva Bernáth spotkał znajomego woźnicę z Pataku, Cserepesa, który wioził puste ule i zatrzymawszy się przed karczmą karmił konia obrokiem.

— Co nowego w Pataku? — zapytał Bernáth.

Woźnica opowiedział wszystkie ostatnie nowiny: o świcie na brzegu Bodrogu znaleziono zamordowanego człowieka i dziś z powodu tej sprawy przyjechał do Pataku sam wiceżupan \*, wielmożny pan Tamás Szirmay, teraz jeszcze tam przebywa.

Sama Opatrzność go chyba zesłała — ucieszył się Bernáth.

— Czy to czasem nie u pana Istvána Fáyego zatrzymał się wiceżupan? — zapytał student.

— Nie, zatrzymał się u zarządcy majątku. Pan István Fáy ma wielkie zmartwienie i dlatego nawet go nie zaproszono.

— Mam nadzieję, że nie stało mu się nic złego? — zapytał Bernáth wystraszony.

— Jakby to powiedzieć... — wymamrotał Cserepes — chodzi o to, że wielmożny pan sprowadził sobie z zagranicy za tysiąc forintów jakieś tam cebulki tulipanów.

— Wiem, z Holandii. Sam pisałem mu list z zamówieniem jeszcze przed Wielkanocą.

— No i w porządku. Przyszły te cebulki pocztą, w specjalnych skrzynkach, owinięte w watę. Dziś rano wielmożny pan Fáy zabrał się do sadzenia ich, wyniósł do ogrodu i położył na oknie domku ogrodnika, a sam zaczął kopać ziemię, żeby przygotować ją do zasadzenia tych roślin. Przez ten czas pracujący u niego w ogrodzie robotnicy dniówkowi — Słowacy — mieli przerwę na śniadanie. I trzeba trafu, że jeden z nich zauważył te cebulki. Zakradł się pod okno, zgarnął je wszystkie i rozdzielił między resztę robotników. Rozszczepili cebulki na cząstki i zjedli aż miło.

— A niech to diabli!...

— Może sobie panicz wyobrazić, jak biedny pan Fáy miotał się i rwał sobie włosy z głowy. I co najdziwniejsze — dodał Cserepes, odrzucając głowę w tył na znak zdziwienia — że cebulki zjedli Słowacy, a bólów brzucha dostał pan Fáy. Tak już było z nim kiepsko, proszę uniżenie, że...

— Na pewno z irytacji.

— Posłali po doktora, a ten kazał kłaść na brzuch gorące worki z owsem. Zaraz rozeszły się o tym słuchy po całym mieście. Wszyscy śmieli się, oczywiście żal im też było takiego dobrego, zacnego pana. A wiceżupan, gdy się o tym dowiedział, postanowił zatrzymać się w innym domu. Ach, jaką on ma piękną czwórkę koni! Napatrzeć się nie można!

— Kto? Wiceżupan?

— Aha! Jak one wszystkie razem zadzierają łby! Pewno na szerokich łąkach się pasaly, prawda?

— Pewno, że tak.

— Ogromne muszą być te łąki?

— Niektóre z nich są takie, jak stąd do Pataku.

— Ach, do diabła z tym „Czerwonym Rakiem”! \* —

zirytował się Cserepes. — W jakiż to sposób udało mu się zagarnąć aż tyle swoimi kleszczami.

Bernáth zaśmiał się i smagnąwszy swego siwka pocałował w stronę Pataku nie zatrzymując się już nigdzie aż do samego dworku pana Fáyego.

Gdy przybył na miejsce, koguty jeszcze nie piały — a więc było przed północą.

Stary pan nie spał, siedział w fotelu w bibliotece i gorzko wzdychał, nie mogąc odżałować utraty cebulek tulipanowych. Serce zamilowanego ogrodnika otrzymało taki cios, że omal nie pękło z bólu.

Usłyszawszy stukot kopyt końskich, wyrzał przez okno, ale że wzrok miał już dość słaby, nie od razu poznał Bernátha.

— To ja, drogi wujaszku, to ja.

— Tak późno! — jęknął Fáy głosem męczennika. — No cóż, moje dzieci, kładźcie się spać. Ale mnie zostawcie w spokoju — chory jestem, mam teraz na brzuchu pijawki. Jeśli jesteście głodni, zbudźcie kucharkę: wasza biedna ciocia dopiero co się położyła.

— Ja sam przyjechałem, wujaszku Pista.

— A János?

— Z Jánosem jest kłopot.

Słyszając te słowa István Fáy jakby nagle ozdrowiał. Należał on do tych ludzi, którzy boleśnie reagują na drobne niepowodzenia, wielkie zaś na odwrót, przyjmują z hartem ducha. Zerwał się z fotela i gromkim głosem przywołał Bernátha.

— Chodź tu szybko i opowiadaj!

Zsigmond zeskoczył z konia i wszedł do pokoju, słabo oświetlonego dwiema łożówkami. Na czole stary pan miał przypięty zielony daszek, ochraniający jego słabe oczy przed zbyt jaskrawym światłem.

— Cóż to jest, u licha! — krzyknął zdziwiony. — Co się stało z twoimi nogami? Nie słyszę kroków.

— Jestem boso, wujaszku.

— Co ci to znowu, zwariowałeś?

— Boże broń, po prostu jestem bez butów: zgubiłem je uciekając z niewoli.

— Co za banialuki opowiadasz? Z jakiej niewoli? Opowiedz wszystko po kolei, krótko i zrozumiale.

Trzeba było opowiedzieć tę całą historię od początku do końca, a więc wszystko, co zostało już przeze mnie powyżej opisane, z tą różnicą, że Zsigmond wyłożył to w sposób bardziej zagmatwany; zresztą, nic dziwnego, gdyż István Fáy przerywał mu ciągle, kichał, wymyślał, uderzał pięścią w stół i omal nie wlepił mu paru kuksańców.

— No i jakież лихо was tam poniosło, durnie?! Dobrze wam tak! Nie widzieliście sami, że to zasadzka? Nie tłumacz się, proszę cię. Ty powinienesz być mądrzejszy — przecieżeś nie hrabia! Ale też okazałeś się osłem. Gdybym ja zobaczył, że na mnie czekają pandurzy, to bym od razu zrozumiał, że nie mam po co tam chodzić. Że też w was nie wzbudziła podejrzeń taka niezwykła gościnność? A to, że ksiądz zjawił się w domu, który mu wymówiono? Trzeba chyba nie mieć krzty oleju w głowie, żeby tego nie zrozumieć. A to, że usiłowano was upić? A to, że Jánośa gdzieś uprowadzili?... Ech, widzę, że z ciebie wielki niedołęga. No i z tymi butami także. Gdybyś chociaż zawiązał je czymś mocniejszym, skoro już postanowiłeś wleźć na drzewo. Tego jeszcze brakuje, żebyś zaziębił się i wyciągnął kopyta. Zresztą, niewielka byłaby to strata. No, ale już dość o tym. Biegnij, włóż jakie buty i zaraz jedziemy! Straszna historia! Skandal na cały kraj! Boże, co za gwałt, co za bagno!

Nie zwlekając ani chwili, stary pan zaczął zrywać z siebie ciepłe chusty, którymi miał obwiązany brzuch. Zdjął wszelkie kompresy, aż przeobraził się w końcu w szczupłego mężczyznę. Gdy dobrał się wreszcie do

pijawek, oderwał je bezlitośnie od swego ciała, mruknąwszy: „Dosyć picia mojej krwi, amici \*”; z wściekłością wyrzucił je przez okno, jak gdyby to nie były jego „krewniaczki”, tylko czerwie. Potem zapiął się na wszystkie guziki, wdział zielony surdut, nasunął kapelusz na głowę, sięgnął po laskę ze srebrną gałką w kształcie kaczego łba... i włożył do bocznych kieszeni po jednym pistolecie.

— No, a teraz chodźmy do wiceżupana, albowiem *periculum in mora* \*. Jeszcze dziś w nocy *brachium* \* musi się udać do Olaszröszke.

W przedpokoju stary lokaj Máté Baksa, były insurgent \*, natłuszczał sadłem buty. Gdy zobaczył, że jego pan gdzieś się wybiera, zdumiony zagroził mu drogę.

— No, nie, wielmożny panie — gderał. — Nic z tego nie będzie, kto widział, w nocy wybierać się na spacer do miasta? Ja do tego nie dopuszczę! Kto jest chory, ten powinien leżeć w łóżku, a jeśli nie, to zaraz powiem o tym wielmożnej pani.

— Nie, nie zrobisz tego, stary pierniku! — krzyknął mu nad samym uchem István Fáy (lokaj przywykły do huku armat miał słuch nietęgi). — Nie zrobisz tego, rozumiesz? To sprawa żołnierska — dziś w nocy ruszamy zbrojnie na wroga. Musimy rozprawić się z pewnym łajdakiem, rozumiesz? To nie to samo, co cebulki tulipanowe! Zrozumiałeś? No, co ja powiedziałem?

Dla pewności trzeba było żądać od starego sługi, żeby powtórzył, co usłyszał.

Twarz starego Máté pojaśniała: jego pan już śmieje się z tej historii cebulek tulipanowych. (Wielki kłopot wyleczył mały).

— Że to sprawa żołnierska — odpowiedział stary sługa — i że nie mam chodzić do wielmożnej pani z raportem...

— A jeśli ona zadzwoni w nocy i zapyta o mnie, po-

wiedz, że ja śpię spokojnie w swoim łóżku. A więc, co ja w tej chwili robię?

— Wielmożny pan spokojnie śpi w łóżku.

— Aż dziw, jakiś ty pojętny, Máté! Ale czego ty się łapiesz za mój surduty! Chcesz zapiąć? Nie dotykaj go załuszczoneymi rękami, bo dostaniesz po karku.

## Rozdział drugi

### BRACHIUM

Szybkim krokiem ruszyli przez główną ulicę. Pan Fáy kroczył sprężysto, jak staremu grenadierowi przystało, zapomniawszy o swojej podgarze.

Wszystko świadczyło o tym, że wiceżupan i jego goście jeszcze nie ułożyli się do snu.

Wokół domu zarządcy sнуło się mnóstwo ludzi. Okna były jasno oświetlone, kobiety, dziewczęta i chłopaki, rozmaite łazęgi, zbiegli się dziś tutaj. Jedni po to, żeby popatrzeć na wiceżupana we własnej osobie (nawet przez okno nie każdemu to się udaje), inni po to, żeby posłuchać muzyki. Dźwięki jej płynęły pięknie zza otwartych okien i wydawały się takie czyste, jak gdyby nie dotknęły jeszcze pańskich uszu. Nic więc dziwnego, że drażniący i urzekający śpiew skrzypiec działał na młodych chłopców. Który był śmielszy, korzystał z okazji i objąwszy przygodną sąsiadkę, bo w ciemności każda jałówka jest czarna, rozpoczynał tany na środku drogi, aż do chwili, gdy przejeżdżający wehikuł przerywał te pląsy.

Przed bramą pańskiego domu zgromadzili się zgrabni huzarzy, pandurzy, hajducy; zaczęli wesoło co śmielsze młódki, dla których barwne mundury zawsze były bardzo pociągające.

Dziewczęta podchodziły coraz bliżej do okien, jako że w świetle lepiej było widać ich ładne buziaki, co z jed-

nej strony sprzyjało kokieterii, z drugiej zaś rozpałało namiętności huzarów.

Przestronny dziedziniec był cały zatłoczony karetami, kolasami, bryczkami i innymi pańskimi pojazdami rozmaitego rodzaju. Służba, zgromadzona w pobliżu, pykała z fajeczek i nie zostawiała suchej nitki na panach z całego komitatu.

Ważną personą był wiceżupan zempleński, można go było porównać chyba z samym słońcem, a za nim następował cały orszak krążących wokół planet, które stanowiły świtę. Do Pataku przywiodło go nie tylko owo morderstwo. Zbiegało się ono z jego kolejnym wyjazdem w te strony. Co roku, na wiosnę i jesienią, odwiedzał on najważniejsze miejscowości w swoim komitacie: Patak, Hummenne, Tokaj i klasztor norbertanów w Llesz. Wszędzie urządzano na jego cześć wielkie przyjęcia, a w niektórych miejscowościach dla uczczenia tak wielkiego wydarzenia zarządzano nawet salut z haubic. Wyjazdy jego odbywały się z wielką pompą: czwórka siwych, jabłkowitych koni, na koźle stangret i strzelec, z tyłu dwóch huzarów, a obok pojazdu kurier. W drugim powozie jechał lekarz domowy: wielmożny pan pił i jadł zawsze *praesente medico* \*, w obawie przed apopleksją (w razie czego niech doktor będzie odpowiedzialny). Razem z lekarzem jechali dwaj polscy rezydenci, których wiceżupan zawsze zabierał ze sobą, gdyż lubił z nimi pożartować. Inni panowie, którzy mu towarzyszyli, zaprzęgali do swoich pojazdów najlepsze konie, zwłaszcza że te wyjazdy wypadały akurat w tym samym czasie, co pokazy końskich „podlotków”.

Przez cały dzień odbywały się na dziedzińcu targi: goście dobijali interesu, dobierali sobie i wymieniali konie, zaprzęgali je do rozmaitych pojazdów, a z kolei inne wyprzęgali.

I dziś także zebrała się tutaj cała okoliczna szlachta:

Melczerowie, Dókusowie, Bónisowie, Jantowie, Ghillányiowie, Szemerowie, olbrzymi bliźniacy Bodówie (trudno było uwierzyć, że tych dwóch dryblasów urodziła razem jedna matka — raczej należało przypuszczać, że każdego z nich rodziły wspólnymi siłami dwie kobiety) i wysoki, zgrabny Sennyey (uprzęż na jego koniach dźwięczała tak melodyjnie, że wiejskie młódki porzucały dzieje i tak jak stały, z rękami po łokcie utyłanymi ciastem, biegły do bram, aby popatrzeć na przejeżdżający zaprzęg). Dźwięczały janczarki i głośno biły serca niewieście.

Tu właśnie, jak bekasy jesienią, zlatywali się nałogowi karciarze. Podczas tych zjazdów szła gra na całego, a karciarze mieli węch specjalnie wyczulony. Oni z góry wiedzieli, że wiceżupan dziś będzie w Pataku. Rodzina Ibrányich, hrabia Vandernath, Pilisy i Vékey przyjechali jeszcze poprzedniego dnia: co prawda Pilisy, jak mówią, zawrócił wpół drogi: pod Borsi przebiegł mu drogę zając, a po tak niedobrej wróżbie uznał za właściwe wrócić i zasiać do pasjansa.

Wśród gości byli tak szanowani, jak na przykład sędziowie tabularni, Antal Szirmay i Ferenc Kazinczy, którzy mogli zawstydić każdego, kto popełnił grzech przeciwko czystości języka „scitha idioma” \*.

Oczywiście i teraz w nocy czymże mogli się zająć panowie, jak nie grą w karty? Goście dawno już odeszli od wielkiego białego stołu, uginającego się pod ciężarem lukullusowym, usiedli przy małych, zielonych stolikach. Zarządzający majątkiem książąt Bretzenheimów, Ambrus Balásházy, który tak gościnnie przyjmował komitackich dostojników, a wydatki zapisywał na konto rozchodów majątkowych, co jakiś czas tłumaczył się przed drogimi gośćmi:

— Racście wybaczyć mi, panowie, iż goszcząc was w swoim skromnym domu, podałem na stół tylko naj-

prostsze potrawy, nie mogąc poczęstować was takimi drogimi i wyszukanymi daniami, jakimi częstował dziś na śniadaniu Słowaków imć pan Fáy.

Wielmożni panowie, w czasie gdy im się jedzenie odbijało, wybaczyli mu to z łatwością i śmieli się do rozpuku z tej historii o cebulkach tulipanowych, a najgłośniej ci, którzy wygrali w karty.

Pan domu zatroszczył się i o tych, którym się nie powiodło. Otworzył duży, zielony kufer, stojący w zielonym pokoju. Było to panaceum \* Bretzenheimów, gdzie w złotych monetach, talarach i plikach banknotów przechowywał mienie administrowanych majątków i zostawił go otwartym, oznajmiając na cały głos (sam zamierzał się do wista w ostatnim pokoju).

— Komu zabraknie pieniędzy, może stąd pożyczyć!

Oczywiście nietrudno mu było okazywać hojność. W owych czasach nie było jeszcze ani ubogich wśród ludzi na stanowiskach, ani oszustów, ani defraudantów; co się zaś tyczy pechowych graczy — a takich i wtedy było wielu — to oni często i chętnie zaglądali do żelaznego kufra, czerpiąc zeń ile dusza zapagnie; byłoby nieprzyzwoitością kontrolować ich. A nasz pan Ambrus Balásházy przysięgał na wszystkie świętości, że goście tak rzetelnie zwracają długi (albo zwracali od razu, albo przysyłali później), iż bilans skarbcza zgadzał się co do jednego grosza.

Właśnie gra toczyła się w najlepsze; kosmyki włosów opadały w nieładzie na czoła, wąsy zwisały... i akurat wtedy drzwi otworzyły się i do sali, niby nocna mara, wpadł pan Fáy w towarzystwie Zsigmonda Bernátha.

Wszyscy zerwali się ze swych miejsc z radością, albowiem Fáy był bardzo popularny w całym komitacie. Wielki potentat! Dwukrotnie wybierano go jednomyślnie wiceżupanem. Za każdym razem oznajmiał, że jeśli znajdzie się choć jeden człowiek, któremu ta kandyda-

tura nie odpowiada, to niech podniesie rękę, wówczas on nie uzna tych wyborów. Oczywiście, wśród wielmożnych panów nie znajdował się nikt taki, już choćby dlatego, że nie chciał ryzykować życia, gdyż szlachta z Gálszécsu wykończyłaby go od razu — nawet nie z tego powodu, że tak bardzo lubili Fáyego, ale dlatego, że zawsze ich świerzbila ręka, ażeby wyprawić kogoś na tamten świat.

Sam wiceżupan rzucił karty i podbiegł do Fáyego, pragnąc go objąć jako krewnego (István Fáy był wujem wiceżupana ze strony matki), lecz stary pan powstrzymał go surowym gestem. Złożywszy głęboki ukłon, zaczął gromkim głosem:

— Wielmożny wiceżupanie! Przybyłem tutaj po północy, nie bacząc na swoją chorobę, ale nie po to, ażeby się z panem uściskać, lecz po to, by prosić głowę komitatu o sprawiedliwość, o obronę przed infamią \*, o ukaranie przestępcy i łajdaka, który gwałtem porwał mego pupila, hrabiego Jánosa Buttlera, i do spółki z pewnym wyzutym z sumienia księdzem ożenił go fraude et vi coacta \* ze swoją córką, chociaż hrabia był zaręczony już z inną.

— Kto to? — zawołało jednocześnie kilkanaście osób, z zapartym tchem wysłuchując tych najświeższych nowin.

— Kimkolwiek on jest, ryzykuje własną głowę! — zawołał wiceżupan.

Jego słowa zabrzmiały tak dobitnie i uroczyście, iż wszystkim przez chwilę zdawało się, że to miecze zadzwoniły, rozwieszzone pod sklepieniem sali.

Lecz Fáy nie pozwolił sobie przerwać:

— Nie bacząc na to, że ceremonia tego bluźnierczego ślubu została już dokonana i że mój pupil jest pełnoletni i do tego członkiem Izby Magnatów, dotychczas

trzymają go uwięzionego, zmuszając do spędzenia nocy w sypialni narzuconej mu gwałtem oblubienicy.

— Przecież to potworne! — wykrzyknął wiceżupan. — Któż to uczynił?

— Błuznierstwo to wydarzyło się w Olaszrösške, w domu Istvána Döryego.

Na tę wiadomość nastąpiło ogólne poruszenie; wszyscy byli zaskoczeni. Nawet sam wiceżupan bezradnie podrapał się w głowę.

— Döry, hm, Döry...? A niech to! Więc Döry. Potężny człowiek, groźny i do tego ma liczną koligację. Cóż mamy zrobić?

— Proszę wysłać do niego brachium i to nie zwlekając; muszę uwolnić mojego pupila.

— Ale przecież już noc, wuju Pista — powiedział błagalnie i z niepokojem wiceżupan. — Jak to posyłać brachium do domu magnata?

— Pan Bóg czuwa i nocą, a więc niechaj i sprawiedliwość nie śpi.

Wiceżupan zmieszał się nie na żarty; zaczął szukać pretekstów, żeby to odłożyć na później, co doprowadziło Istvána Fáyego do wściekłości. Zrobił się purpurowy jak rak na herbie Szirmaych i ze złością uderzył pięścią w stół.

— Sprawa jest prosta: albo wyślemy niezwłocznie brachium, albo pan przestanie być wiceżupanem. Mówię to panu ja, stary István Fáy.

Groźba poskutkowała. Wiceżupan skapitulował i próbował udobruchać rozgniewanego starca:

— Ajajaj, wujku Pista, przecież ja co innego chciałem powiedzieć. Zastanawiałem się tylko nad słowami wujaszka, że Pan Bóg czuwa i w nocy. No tak, panu Bogu czuwać nietrudno, przecież jego nie wybierają na trzy lata. On jest wieczny! Zresztą, ja nic nie powiedziałem, ja nic nie myślałem, tylko proszę się na mnie

nie gniewać! No, niechże wuj nie patrzy na mnie tak surowo. To przecież nie ja zjadłem te cebulki tulipanowe. Oczywiście, zaraz tam pojedziemy. I ja sam także pojedę — niech pandurzy, huzarzy siadają na koń! Jest tu zresztą nasz prokurator komitacki, dwóch starostów Kandó i Palóczy i podstarostowie Puky i Draveczy. Natychmiast zaprzęgać!

Los — złośliwy kibic — przemieszał, w dosłownym tego wyrazu znaczeniu, karty; jeden za drugim gracze wstawali od swoich stolików, nie dokończywszy partii. I jeszcze długo potem, w kilka tygodni później, gracze klęli — jedni Istvána Fáyego, który popsuł im ten wieczór, drudzy barona Döryego, który wciągnął Buttlera w taką zasadzkę, a jeszcze inni Buttlera: „I czego on właściwie chce? Przecież z Mariski mogłaby być całkiem ładna hrabina!” Zwłaszcza ci, którym karta zaczęła akurat iść. Ci, którzy już trochę wygrali, z westchnieniem obliczali, jaką to jeszcze sumę mogliby zainkasować, gdyby Mariska Döry choć jeden dzień jeszcze zdecydowała się wytrwać w swym dziewictwie. Jakie to smutne, że karciarze są tacy egoiści i cynicy!

Brachium wyruszyło. Około dwudziestu pandurów i huzarów wskoczyło na siodła. Wyglądali jak mała armia. Wśród ciszy przed świtem ziemia drżała i jęczała pod końskimi kopytami.

Panowie pojechali powozami. Fáy siedział razem z wiceżupanem, naprzeciwko niego Bernáth; raz jeszcze opowiadał Szirmayemu o wszystkim, co się zdarzyło. Szirmay ze smutkiem myślał o tym, jaki to długi protokół będzie musiał napisać jutro. Któremu z podstarościch powierzyć tę sprawę? Z którym jest najbardziej na pieńku?

Była piękna noc wiosenna; ziemia zdawała się marzyć o miłości; pierwsze pocałunki słońca budziły w niej zamyślenie i czułość, którą z właściwą sobie hojnością

przekazywała ludziom. Nie zazdrosna, lecz dobra i łagodna. Lasy także szeptały o miłości, na drzewach otwierały się pączki, a wietrzyk wiosenny przelatywał, roznosząc aromat akacji i upajając figlarnie ludzkie nosy. Powietrze było pełne słodyczy i miękkości.

Lecz oto na wschodzie kolor nieba zaczął się zmieniać, a gdy kawalkada była już w pobliżu Petrahó, firmament rozjaśnił się całkiem. Przedporanny wietrzyk jak gdyby odwinął skraj ciemnej sukni nieba. Pod nią ukazała się białoróżowa tkanina. Serca ludzkie ogarnęło podniosłe uczucie. Wydawać by się mogło, że świat rzuca na niebo rąbek płaszcza Bożego, a przedświt rozkłada biały obrus, na którym wkrótce błysnie złoty talerz słońca.

— Świta — odezwał się wiceżupan.

— Szybciej! Musimy się śpieszyć! — przynaglał niecierpliwie Fáy.

Jeźdźcy spięli wierzchowce ostrogami, starając się nie dać wyprzedzić powozom. Mknęli, raz po raz wyprzedzając się nawzajem.

Tymczasem robiło się coraz jaśniej. Wreszcie zza drzew ukazał się pałac Dörych.

— Tam, patrzcie! — wykrzyknął nagle Bernáth.

Pomiędzy zieleniejącym łanem pszenicy, na którym spoczywała biała, gęsta mgła, biegł naprzeciw jakiś człowiek ubrany po pańsku i nie patrząc, gdzie jest miedza, a gdzie obsiane pole, potykał się co chwila o grudy ziemi.

— Kto to? — spytał wiceżupan.

— To Buttler. Jak mi Bóg miły, Buttler!

Bernáth stanął w powozie i zaczął machać chusteczką.

— No, to się udało! — wyszeptał wiceżupan. — Dzielny chłopak! Deo gratias!\*

Był bardzo rad, że już nie będzie musiał wtrącać się do tej historii.

Tak, to był rzeczywiście hrabia Buttler. Ale jak on wyglądał, biedaczysko! Bez kropli krwi w twarzy, z rozwianym włosiem, bez kapelusza, cały drżący.

Panowie wyskoczyli z powozów; sam wiceżupan ruszył hrabiemu na spotkanie, już z daleka krzycząc po łacinie (ażeby służba nie mogła zrozumieć):

— Consummasti ne matrimonium, domine frater? \*

W zmęczonych oczach młodego człowieka zamigotały iskielki nienawiści.

— Non, domine vicecomes — odpowiedział zdławionym głosem — nec corpus tetigi \*.

— Chwała Panu na wysokościach! — zawołał István Fáy wznosząc z ulgą oczy ku niebu.

Był tak przejęty, że nie mógł wysiąść z powozu i siedział w nim nieruchomo jak posąg, patrząc tępo przed siebie.

— No i wszystko w porządku! — powiedział wiceżupan, machnąwszy przy tym z zadowoleniem ręką, jak gdyby odrzucał akta załatwionej już sprawy. — Nic strasznego się nie stało. Nie napoczętą pomarańczę uważa się za całą i dopóki nikt jej nie ugryzł, przyjmie ją z powrotem nawet handlarz. Takie małżeństwo konsystorz rozwiąże od razu. Cała ta historia funta kłaków niewarta! Nic straconego, jeśli nie liczyć twojego kapelusza, bracie. Siadaj do mego powozu, obok Bernátha, jest tam już twój opiekun... Ale co to takiego? Co to jest, wujku Pista? — zawołał przerażony spojrzawszy na Fáyego. — Na wujka ubraniu widać krew!

— Aha! A więc o to chodzi? — zawołał Fáy radośnie, jak ktoś, kto dokonał ważnego odkrycia. — A więc z tego powodu tak osłabłem, do licha! No, oczywiście, teraz już rozumiem! W nocy przystawiłem sobie pijawki i w pośpiechu widocznie źle zalepiłem ranki. Poszukajcie jak najprędzej jeszcze trochę hubki.

W owych czasach każdy szanujący się człowiek miał

przy sobie hubkę. Udając się w drogę, ludzie zabierali zawsze krzemień, hubkę i krzesiwo, klucz od kuferka z najcenniejszymi rzeczami i stalowy scyzoryk. Pan Fáy doprowadził się szybko do porządku, a wiceżupan kazał woźnicy zawracać. Brachium utraciło teraz wszelki sens, albowiem pan hrabia, którego wiceżupan gotów był wyciągnąć choćby z samego piekła (lubił takie patetyczne słowa — pod warunkiem, oczywiście, że nie będą kładły na niego żadnej odpowiedzialności), był uwolniony, o czym po powrocie trzeba będzie napisać oficjalny protokół, gdyż o zatarciu tego incydentu, co można było z góry przewidzieć, nie ma mowy.

Buttler, zanim usiadł do powozu, zwrócił się z prośbą do wiceżupana, żeby mógł wysłać list przez gońca konnego.

Szirmay zawołał jednego z huzarów i János wręczył mu grubą kopertę, na której staromodnie wypisany był następujący adres:

„Do rąk własnych Wielmożnej Szlachetnie Urodzonej Piroski Horváthówny, mojej najdroższej narzeczonej z Bornócu”.

— Kiedyś ten list napisał? — spytał Fáy.

— W nocy.

— Będąc pod kluczem?

— Tak, tam.

— A więc nie byliście razem? — dopytywał się Fáy w dalszym ciągu.

— Nie, byliśmy.

— Nie odpowiadaj tak lakonicznie — jakbyś w aptece każde słowo ważył. Opowiedz wszystko po kolei. Co się tam działo?

Jánosowi tak samo, jak każdemu innemu człowiekowi na jego miejscu — kręciło się w głowie od tego wszystkiego, co zaszło. Zaczął więc opowiadać od Ada-

ma i Ewy: jak to oni obaj przyjechali do barona, jak ten starał się ich upić itd., itd.

— No, całą tę historię w ogólnych zarysach znamy, o szczegółach później porozmawiamy. A teraz opowiedz o tym, co się z tobą działo już po ślubie.

— Wszystko odbyło się tak, jak zostało zaplanowane. Przekupiony i dobrze wyuczony swej roli personel nagle znikł i ja zostałem sam jeden zamknięty w tak zwanej kancelarii na parterze. Po jakimś czasie służący przyniósł mi kolację i pościel. Chwyciłem go za gardło i omal nie udusiłem łajdaka — w tej komedii on grał rolę świadka — ale zauważyłem, że za drzwiami stoi uzbrojona straż: znaczyło to, że ucieczka jest beznadziejna.

— Wiesz, jak się oni nazywają? — zainteresował się Szirmay.

— Nie wiem.

— No i co dalej?

— Gdy ten łotrzyk odszedł, wróciłem znów do pisania listu. Notabene od razu po tej idiotycznej ceremonii zacząłem pisać list do Piroski. Zajęło mi to czas mniej więcej do wpół do jedenastej. I napisałem w liście o wszystkim, co przecierpiałem. Ale ludzkie cierpienie podobne jest do jamy, im więcej człowiek kopie, tym jest głębsza i większa. Byłem tak wyczerpany, że po prostu padłem na fotel. Trwałem na pół we śnie, wpół na jawie. Miałem oczy otwarte, ale nic nie widziałem. Byłem półprzytomny, chociaż zdawałem sobie sprawę, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Nagle poczułem, że unoszę się w górę, ale w mojej ówczesnej sytuacji nawet i to nie docierało w pełni do mej świadomości. Dopiero gdy całkiem przyszedłem do siebie, usłyszałem w pobliżu płacz. Zerwałem się na równe nogi i oczom moim ukazał się zaskakujący widok. W pokoju płonęły dwie świece, stojące na nocnej

szafce, zakrytej białym tiulem. Baronówna leżała skulona na posłanym łóżku i gorzko płakała. Czy to sen, czy to jawa? Czyżbym zasnął w tym właśnie pokoju? Ale tam przecież świece stały na biurku i nie było żadnego łóżka. Stopniowo zaczęło mi się w głowie rozjaśniać: to inny pokój, wywindowano mnie w górę przy pomocy jakiegoś mechanizmu — i to miała być końcowa scena odegranej przez nich komedii.

— A canis mater! — mlasnął językiem wiceżupan. — Interesująca konstelacja! I coś ty zrobił z tą dziewczyną?

— Nic nie zrobiłem. Nawet na nią nie patrzyłem.

— Czekaj... Była rozebrana czy nie?

— Nie, leżała w sukni, z twarzą wtuloną w poduszkę, płakała.

— A ładna chociaż, hihi? Kiedy widziałem ją ostatnim razem, była jeszcze jak nierozkwitły pączek.

— Dość przystojna — odpowiedział Bernáth.

— No, János, ależ diabelnie zimna krew płynie w twoich żyłach.

— Dobra irlandzka krew! — wtrącił się do rozmowy István Fáy. — Buttlerowie pochodzą z Irlandii. Niegdyś kozy ich karmiły.

Stary Fáy lubił tak czasem zażartować sobie z pupila.

— A ta dziewczyna nie próbowała rozmawiać z tobą? — dopytywał się wiceżupan, który był wielce łasy na cudze tajemnice, o ile to nie pociągało za sobą żadnych przykrych konsekwencji i osobistej odpowiedzialności.

— Tak, dwa razy zwracała się do mnie załamując ręce, i przyznam, że byłem szczerze wzruszony... o ile oczywiście i to jej zachowanie nie było także z góry obmyśloną komedią.

„Proszę mi wybaczyć — szeptała — proszę się na

mnie nie gniewać! Zmusili mnie! Wszystko to się działo wbrew mej woli!”.

Odwróciłem się od niej i krzyknąłem:

„Proszę się do mnie nie odzywać. Ja pani nie chcę znać i nawet głosu pani nie chcę słuchać! Nigdy, przynigdy!”. Całą noc stałem przy oknie, nie odwracając się. Próbowiałem nawet wyłamać kratę...

— Ładna noc poślubna, nie ma co! — pokiwał głową Szirmay.

— A więc udało ci się wyłamać żelazne pręty kraty? — zapytał Fáy.

— Nie, okazało się to ponad moje siły.

— No, to w jaki sposób zdołałeś uciec?

— Całkiem po prostu. O świcie drzwi się otworzyły i wszedł na palcach siwy kamerdyner, którego przedtem nie widziałem w domu barona. Zapytał, czy może wziąć ubranie do oczyszczenia. „Przecież widzisz, że jestem ubrany” — odpowiedziałem. Po chwili wsunęła głowę przez drzwi ładniutka pokojówka: „Jaśnie pani hrabinie może przynieść śniadanie do łóżka?”. Wtedy dopiero zrozumiałem, w jakim celu windowano mnie na piętro. Tylko po to, żeby ci dwaj nowi „świadkowie” zastali nas oboje razem. Chytrze ukartował to wszystko stary lis! Domyśliłem się, że rola moja na tym się kończy i że zaraz będę wolny. Wyszedłem przez otwarte drzwi, minąłem jadalnię i znalazłem się przed domem. Brama była także otwarta na roścież i tak jak stałem, z gołą głową, nie oglądając się za siebie, wybiegłem pędem.

— Ja, będąc na twoim miejscu, uszczypnąłbym chociaż tę pokojówkę — rzekł Szirmay. — Trzeba było przecież zemścić się jakoś za tę narzeczoną, którą narzucili ci siłą. Zemsta, jak wiadomo, jest rozkoszna, a zwłaszcza w takiej formie!

— Co było, to było — zakończył sprawę Fáy. —

A teraz musimy pomyśleć o tym, jak by się tu zemścić na baronie Dörym za jego łajdactwa. Trzeba się zatroszczyć o to, żeby podgrzać kocioł w piekle dla jego grzesznej duszy. Ten kawał nie ujdzie mu płazem.

— Obawiam się, mój drogi opiekunie, że czeka nas niemało kłopotów.

— Nie bój się niczego. Cierpliwości, tylko cierpliwości. Pozwól mi zająć się twoimi sprawami.

— I tak dużo czasu trzeba będzie na to stracić — zwiesił ze smutkiem głowę Buttler. — Mnie nie zabraknie cierpliwości, ale co powie Piroska? Czy zgodzi się czekać?

— Jeśli kocha, to się zgodzi, a jeśli nie kocha, to na Węgrzech jest tyle dziewcząt, co zajęcy na polu.

Usłyszawszy te słowa János jeszcze bardziej posmutniał. Co go obchodzą jakieś tam pola i hasające na nich zajęczki, jeśli serce jego jest przykute do jedynej na całym świecie dziewczyny?

Stary Fáy nie mógł patrzeć obojętnie na takie cierpienia swego pupila, nie mógł znieść jego bolejącego spojrzenia. Ujął głowę Jánosa w swoje duże dłonie, pogładził go dobrotliwie po zmierzwionych włosach i zaczął pocieszać:

— No, nie bądź taki smutny! W takich chwilach przypomina mi się zawsze twoja biedna matka. Uśmiechnij się, zrób to choć dla mnie! Ale nie tak, ty uparciuchu! Na widok takiego uśmiechu człowiekowi samemu chce się płakać. No, uśmiechnij się jak należy! Wierzaj mi, taki kłopot przemija jak przelotny deszczyk. A teraz posłuchaj, co ci powiem.

— Słucham, mój drogi opiekunie.

— Wiedz o tym, że baron Fischer, arcybiskup z Egeru, to mój najlepszy przyjaciel.

Buttler nie od razu pojawił, z czego ma się cieszyć.

— Opowiem mu, jak to było, i wystarczy jedno jego

skinienie, żeby cała ta komedia prysła jak bańka mydlana.

Ale słowa te nie rozproszyły smutku Buttlera i Fáy uciekł się do jeszcze jednego argumentu:

— Ja, mój drogi, jestem taki człowiek: jak sobie coś postanowię, to wykonam! Jeśli zajdzie potrzeba, to udam się do samego papieża w Rzymie, synku, przecież i on jest moim... hm... tego...

Chcąc pocieszyć Jánosa, Fáy gotów był powiedzieć mu coś bardzo przekonywającego, na przykład to, że z papieżem jest także w jakiś sposób spokrewniony, ale przeprowadził dewaluację w ostatniej chwili i całkiem innym tonem dodał: — To nie przyniesie mej godności uszczerbku.

Tak rozmawiając dojechali do Pataku. Już kiwały im przyjaźnie koronami liści ogromne lipy i kasztany, rosnące wokół dworku Fáyego. Słońce zrzuciło z siebie poranną senność i rozpaliło swymi promieniami blaszane dachy wieżyczek. Jednakże w bramie oczekiwała ich gradowa chmura: stała tu wielmożna pani Fáyowa uzbrojona w miotłę i wymachiwała nią groźnie w kierunku małżonka.

Stary Fáy wystraszony wciągnął głowę w ramiona, a ramiona nakrył płaszczem.

— No i oberwiemy za to, bracie! — szepnął do wiceżupana. — Teraz ty już stań w mojej obronie, jeśli masz krztynę sumienia.

— A za co gniewa się ciotka Anna?

— Ano wiesz, za te pijawki, przecież wyskoczyłem z łóżka chory. Zresztą, kobieta, sam rozumiesz: włos długi, a rozum krótki.

### Rozdział trzeci

#### ZNAKOMITY PROFESOR KÖVY I ADWOKAT PEREVICZKY

Mała, głupiutka pszczołko, przestań bić słabymi skrzydełkami o szybę. Wiem, czego ty chcesz! Wczoraj, przedwczoraj i jeszcze wcześniej było otwarte okno, na którym stoi rozkwitły kwiatek. Dobrałaś się do niego i kołysałaś w jego kielichu, rozkoszując się nektarem i upajając aromatem. Ale oto czyjaś ręka zamknęła okno i ty nie możesz dotrzeć do kwiatka. Zmęczyłaś się, potrzebny ci wypoczynek. Dzień jest chłodny, wilgotny, deszcz leje, a kielich kwiatka to jedyne miejsce, gdzie mogłabyś spokojnie odpocząć. Lecz bezlitosna ręka zamknęła okno i nie możesz dostać się do wnętrza domu.

Bijesz skrzydełkami o szkło, mała, głupiutka pszczołko, nie zdając sobie sprawy, że twoje skrzydełka pękną wcześniej niż szyba. Brzęczysz, prosisz, domagasz się: „Nie zatrzymuj mnie, wpuść!”. Ale czyż to od szyby zależy, że też ty tego nie rozumiesz, nierozsądna pszczołko! Nie tędy droga, jeśli chcesz dobrnąć do kwiatka. Nie dlatego pada deszcz, że okno jest zamknięte, ale dlatego jest zamknięte, że deszcz pada. Wzbij się lepiej ponad chmury, do samego słońca, i poproś je, żeby znów zesłało na ziemię swe życiodajne promienie. Kiedy zaświeci słońce, okno znowu się otworzy.

Na nic się nie zda mówić to wszystko pszczołce, przecież ona i tak nie zrozumie. Ale często się zdarza, że

człowiek ma rozumu nie więcej niż pszczoła, szczególnie gdy jest zakochany.

Tak przynajmniej postępował nasz Buttler.

Gdy znalazł się w swoim pokoju, wśród książek, zabrał się do pisania i przez cały boży dzień siedział nad listami do Piroski. Ledwo napisał jeden, darł go i od razu zaczynał drugi, potem trzeci, czwarty. One pozwalały mu chociaż myślał być razem z nią.

Wieczorem ktoś zastukał w drzwi.

— Proszę — wymamrotał w roztargnieniu János.

Drzwi się otworzyły i wszedł Miklós Horváth. Ruchliwy i żwawy człowiek — teraz był złamanym starcem. List Jánosa otrzymał tego samego dnia po południu (rączego konia miał widać huzar!); a poza tym goście zarządcy, którzy w nocy wrócili do swych domów, już zdążyli opowiedzieć wszystko, co widzieli (złe wiadomości rozchodzą się szybko). Wkrótce więc wszystkie cztery komitaty wiedziały już o „ślubie w Olaszröszke” i dziesięć tysięcy starych bab z tych komitatów nie posiadało się z oburzenia: „Czy warto żyć na świecie, jeśli takie rzeczy mogą się zdarzyć?”

Biedna Piroaska przeczytała list i padła zemdlona. Fräulein Fryda musiała cucić ją wodą. Gdy dziewczyna wróciła do przytomności, chciała od razu jechać do Jánosa, ale ojciec nie pozwolił jej na to. Kazał zaprząć konie i nie zatrzymując się nigdzie sam pojechał do Pataku.

Buttler rozpromieniony podbiegł do niego.

— Ach, to wy, ojczulku kochany! Skąd się tu wzięliście?

Lecz stary Horváth odsunął go od siebie.

— Poczekaj, mój chłopcze, jeszcze nic nie wiem, co i jak. Teraz ty dałeś mi trudną zagadkę, a ja jej nie umiem rozwiązać. Najpierw sam opowiedz, jak to się wszystko stało.

— Gdzie Piroska? — niecierpliwie zapytał Buttler.

— Ta wiadomość zwała ją z nóg.

— O, Boże, Boże mój!

— No, no, nie rozpaczaj. Porozmawiajmy o tamtym; muszę wiedzieć, co się jeszcze da zrobić.

I znów Buttler musiał opowiedzieć wszystko od początku do końca, z najdrobniejszymi szczegółami.

Państwo Fáyowie dowiedzieli się o przyjeździe Horvátha i weszli do pokoju. Nie było końca uściskom rąk, wszyscy wyrażali głośno oburzenie na to, co się stało.

Opowiadanie Jánosa do pewnego stopnia uspokoiło Horvátha.

— To przecież nonsens! Owszem, małżeństwo z pewnością zostanie rozwiązane.

— Ja też jestem tego zdania — rzekł Fáy.

— Jeżeli istnieje Bóg na niebie, to nie dopuści do takiej niesprawiedliwości — powiedziała pani Fáyowa.

— Bardzo dobrze, żeś przyjechał — ciągnął Fáy, raz po raz ściskając rękę Horvátha. — Zaprosiłem dziś na kolację Sándora Kövyego, znakomitego profesora prawa, i Kristófa Pereviczkyego, najprzebieglejszego spryciarza wśród adwokatów na Węgrzech. Posłałem po nich powóz do Újhely. Urządzimy małe konsylium.

— Właśnie i ja chciałem zaproponować coś w tym rodzaju. Owszem.

— Nie zostawimy przecież chłopca w biedzie — rzekł Fáy patrząc z miłością na swego pupila.

Słyszając tyle niosących otuchę słów od swoich bliskich, Buttler ożywił się, podobnie jak zwiędła trawa, spryskana rosą, gdy pani Fáyowa powiedziała:

— Szkoda jednak, że waćpan nie przywiózł ze sobą Piroski.

Na to Horváth odpowiedział grzecznie, lecz stanowczo:

— Łaskawa pani, w podobnych sprawach jestem

człowiekiem surowych zasad i uważam, że hrabia János nie może widzieć się z Piroską, dopóki ta cała mgła się nie rozwieje. Owszem, ta mgła.

János odczuł to jak ostatnie namaszczenie. „Dopóki nie rozwieje się ta cała mgła!”. Podobnego uczucia doznaje więzień widząc, jak zamurują ostatni otwór, przez który mógłby dotrzeć do niego promień słońca.

Co z nim się stanie, jeśli nie będzie mógł widywać Piroski? — „Dopóki nie rozwieje się ta cała mgła...?” A jeśli nie rozwieje się długo?

Tymczasem pan Horváth i pani Fáyowa zaczęli się certować — jak to było w owych czasach przyjęte — o to, kto z nich starszy, choć całkiem nietrudno byłoby ustalić, gdyby wyznali, w którym roku każde z nich się urodziło. Ale reguły uprzejmości nakazywały powątpiewać o starszeństwie sąsiada przy stole, i oni oboje na przemian używali zwrotów grzecznościowych, które w języku węgierskim oznaczają młodszego \*, dopóki nie przyjechali niecierpliwie oczekiwani goście — najpierw imć pan Sándor Kövy, a wkrótce potem i Kristóf Pereviczky. Ten należał do miłośników zegarków, jakich nie mało zresztą było w owych czasach. Nosił przy sobie po kilka naraz tych cykających instrumentów i dlatego miał w kamizelce różne dodatkowe kieszonki. W ciągu dnia nieraz sprawdzał i regulował swoje liczne zegarki, a w ogóle cackał się z nimi tak jak inni z końmi lub chartami, wychodząc najwidoczniej z założenia, że jak je dobrze „wytresuje”, będą cykać i chodzić zgodnie z jego życzeniami.

Zjawiając się w jakimś domu Pereviczky przede wszystkim wyjmował zegarek i pytał gospodarza, która godzina.

Teraz także był wierny swemu zwyczajowi i pierwsze słowa, z jakimi zwrócił się do Fáyego, były:

— Która godzina u wielmożnego pana?

— Pięć po ósmej.

— Niech to diabli! — zawołał adwokat. — Szczęśliwy z pana człowiek!

— Dlaczegoż to, carissime?

— Dlatego, że pański zegarek chodzi dokładnie tak samo jak moje. To ważna rzecz, mówię panu. Byłem wczoraj u hrabiostwa Andrásyich w Töketerebesu. Tam, wie pan, każdy zegar pokazuje inną godzinę. Niektóre śpieszą się o kwadrans, a nawet o pół godziny.

— Nic dziwnego. Drogie zegarki, podobnie jak drogie konie, chodzą szybciej niż tanie.

— Cha, cha, cha! — roześmiał się Pereviczky — niezły dowcip. Winszuję z całego serca, doskonały zegarek. Jeśli panu przyjdzie kiedy ochota sprzedać go...

— Wie pan, carissime, jeśli wygramy ten proces, podaruję go panu oprócz honorarium. Takie to już widać przeznaczenie: Jedną cebulę diabeł mi ściągnął, a drugą sam mu oddam. Bo przecież między adwokatem a diabłem nie ma żadnej różnicy. Nieprawdaż, mości panie Kövy?

Kövy zamrugał oczyma, obramowanymi siwymi rzęsami, i dobronudszny uśmiech zaigrał na jego ogolonych wargach. Pereviczky zaś odparł zacierając ręce:

— Gratias ago, domine spectabilis\*, jestem do pańskich usług.

Mężczyźni udali się na naradę, a wielmożna pani do kuchni: takim godnym panom, którzy muszą natężyć swój umysł, należy się suta kolacja.

Fáy zaprosił na naradę również i Zsigmonda Bernátha, który po raz pierwszy uczestniczył w takiej poważnej konferencji uczonych mężów i czerwienił się jak panienka.

— Dlatego właśnie zaprosiliśmy pana, panie mecenasie, i pana, panie profesorze — zaczął István Fáy — żebyście udzielili nam rady w tej arcyniemilej sprawie.

Zapewne wiecie już, panowie, obaj, co się stało?

Adwokat rzeczywiście miał już o tym swoje wiadomości.

— Pewno, że tak! Jakżebym miał nie słyszeć o zaślubinach w Olaszröszke jaśnie wielmożnego hrabiego pardańskiego, którego mam honor tu widzieć! Trzeba przyznać, że to paskudna historia!

— Niech pan nas nie straszy, domine Pereviczky! Może pan zechce przedtem zapoznać się ze wszystkimi okolicznościami sprawy.

— To nawet nie jest takie niezbędne — zauważył adwokat.

— Jak to? — wtrącił się Kövy. — Przecież pan wie o tej sprawie tylko tyle, ile pan słyszał. Nie znając całej prawdy nie należy wyciągać wniosków.

— Prawda to rzecz drugorzędna — upierał się Pereviczky. — Niemniej jednak warto posłuchać, gdyż na tej podstawie można przewidzieć, co będzie się starał udowodnić nasz przeciwnik w swych kłamstwach.

I hrabia János — któż zliczy, po raz który już — znów opowiedział tę całą historię od początku do końca. Bernáth dodał wszystko, co było jemu wiadome. Słuchając ich Pereviczky pogwizdywał, chrząkał, robił jakieś notatki na leżącym przed nim arkuszu papieru i co jakiś czas wykrzykiwał: „doskonale”, „no, no”, „o, hoho”. Słowem, widać było, że bawi go ta cała historia i że patrzy na tę sprawę tak, jak krawiec na materiał, zastanawiając się głośno, co z niego można będzie skroić.

W przeciwieństwie do Pereviczkyego profesor Kövy, wielki jurysta, o którym Kazinczy powiedział kiedyś, że każde jego słowo zasługuje na wyrycie w marmurze, już to czerwieniał, już to bladł z wściekłości i oburzenia, wiercił się niespokojnie na krześle i niecierpliwie szurał nogami po podłodze.

Kiedy opowiadanie dobiegło końca, spojrzenia wszystkich skierowały się na profesora, z niecierpliwością oczekując odpowiedzi od niego jak od wyroczni.

— A więc tak, moi panowie. Casus ten to nie cielątko i nie beczka piwa, a tym bardziej nie małżeństwo — zaczął Kövy w ten sam sposób, w jaki rozpoczynał swoje wykłady, używając wielu barwnych porównań i wyrazistych obrazów. — Dlatego, że cielątko ma cztery nogi, beczka — klepki i obręcze, a związek małżeński powstaje tylko wtedy, kiedy istnieje wzajemna zgoda dwóch osób różnej płci. Co prawda, ceremonia odbyła się w obecności duchownego. Ale przecież w zeszłym roku i u pana, panie Fáy, podczas święta winobrania gotowano paprykarz barani również w obecności duchownego. Jednakże tego paprykarzu nie można nazwać związkiem małżeńskim, chociaż składały się nań części owcy i części barana. Co się zaś tyczy tego piwa, którego nawarzył Döry, to jest ono dość kiepskie i jak należy sądzić, nie wyjdzie mu na zdrowie. Tak więc można tu wytoczyć podwójny proces. Po pierwsze re-torsjonalny \*, przed władzami komitatu — z powodu zamachu na wolność osobistą hrabiego Buttlera i zmuszenia go do ślubu; a po drugie, przed konsystorzem, ale nie o rozwiązanie małżeństwa, jako że małżeństwa nie było, lecz o uznanie nieważności więzów małżeńskich, jako że ksiądz, chociaż gwałtem i parodiując obrządek kościelny, jednakże związał stułą ręce młodej pary.

Pereviczky kiwnął głową na znak zgody.

— Słusznie, tak właśnie jest.

Fáy i Horváth zapytali jednocześnie:

— Jak pan sądzi, panie profesorze, jaki będzie wynik procesu?

— Konsystorz uzna, że związek jest nieważny, a ksiądz znajdzie się w więzieniu (notabene, ja bym kazał odrąbać mu ręce, którymi związał stułę).

— No, a co będzie z baronem Dörzym?

— Jego także wsadzą za kratki (notabene, ja bym skonfiskował jego majątek). Wszystkich wsadzą do więzienia; i pandurów, i świadków (notabene, ja bym kazał odciąć im uszy za to, że były wypchane watą).

Śluchając tego mecenas Pereviczky potrząsał głową przecząco i machał rękami, jak gdyby odpędzał muchy siadające mu na nosie lub na czole. Ale przecież much w pokoju nie było, zachowanie takie nie zapowiadało nic dobrego.

— Niestety, jestem całkiem innego zdania — zaczął jakimś zmienionym, jakby syczącym głosem. — Nie wszystkie zegary wskazują czas jednakowo i nie wszystkie mózgi rozumują na jedno kopyto — a w tym przypadku nie tak, jak wielce szanowny pan profesor. Utique\*: taka głowa jest jedyna na cały kraj! To wszyscy wiedzą, wróble o tym ćwierkają na dachach. Ach, jakby to dobrze było, gdyby wszyscy mieli takie umysły! Ale Niestety, ludziom do tego daleko. Waszą sprawę, moi panowie, będą rozpatrywać nie takie mózgi. Jaką wartość mają dla nas rozważania wielce szanownego pana profesora? Żadnej. Lepiej już zaprosicie mózg lżejszy, gorszy, mniej poważny, słowem głupszy. Takim mózgiem jest właśnie mój. Wszystko, co się stało, widzę przed sobą i czuję, że osiągnąć sukces nie będzie łatwo. Nie miecz, lecz scyzoryk sprawiedliwości jest co najwyżej przydatny do tego, ażeby naostrzyć gęsie pióro lub wyczyścić nim paznokcie, ale nam — ponieważ będziemy wojować z diabłami — potrzebny będzie oręż diabelski. Skoro Döry odważył się na takie przestępstwo, to nie ulega kwestii, że wszystko dobrze obmyślił z góry i że świadkowie są z nim mocno związani i będą zeznawać całkiem inaczej, nie tak, jak nam to wszystko opowiedział jaśnie wielmożny pan hrabia Buttler. Przysięgną, że wszystko odbywało się tak, jak odbyć się po-

winno. Ksiądz także stwierdzi, że narzeczony powiedział: „tak” i „kocham”. Co więcej, zjawia się nowi świadkowie — tacy, którzy rankiem po nocy poślubnej zastali oblubieńców razem. I wówczas gdy świadkowie staną przed konsystorzem i opowiedzą, że „widzieli”, to proszę wziąć pod uwagę, jakim nędznym robaczkiem wyda się sądowi nasza racja, chociaż wprowadzimy ją na salę jak lwa ryczącego.

W tym momencie obaj starzy panowie zerwali się równocześnie z miejsc.

— Jak to, więc prawo w tym kraju już nie istnieje? — walnąwszy pięścią w stół krzyknął István Fáy.

— Prawa, oczywiście, istnieją, i to prawa surowe, ale w tej sprawie głos decydujący będą mieli księża, a księża są silniejsi niż prawo.

Profesor Kövy słuchał wywodów adwokata Pereviczkyego z pogardliwym uśmiechem. Ściągnął z palca wielki sygnet, na którym różnobarwnymi światłami mienił się szlachetny opał, a który podarował mu w Berlinie król pruski w nagrodę za dysputę z uczonymi — i podrzuciwszy go w górę, chwycił w powietrzu. Tak się zazwyczaj zabawiał wysłuchując na egzaminach odpowiedzi studentów.

— No, cóż — rzekł Kövy. — Przypuśćmy nawet, że baron Döry przekupił świadków. Ale ta windująca maszyna — czyż nie będzie świadczyć o dokonanej przemocy?

— Z tym nie będzie kłopotu. Vidonka na pewno ją sprzątnie.

— W takim razie weźmiemy Vidonkę...

— A Vidonkę sprzątnie Döry.

Buttler siedział na pół żywy, tak jakby był na własnym pogrzebie. Pereviczky każdym swoim słowem wbijał jeszcze jeden ćwiek w wieko jego trumny. Wreszcie János nie wytrzymał i zerwał się z krzesła.

— Zastrzełę tego człowieka jak psa! — parsknął, ciężko dysząc. — I wszystkich sędziów... A potem sam sobie strzełę w łeb, jeśli przegramy ten proces.

— No, no — próbował ostudzić go Miklós Horváth. — Uspokój się, synku. Jeśli takie groźby przeciekną na zewnątrz, to tylko sprawę skomplikują. Milczenie i działać — oto, co powinno stać się naszą dewizą.

— Tak, ale przecież mecenas mówi, że my przegramy ten proces!

— Ja tego nie mówiłem — usprawiedliwiał się Pereviczky. — Powiedziałem tylko, że nasza prawda niewiele jest warta. Oblicze ma piękne, ale ręce krótkie, znaczy więc, że trzeba je wydłużyć.

— Jakim to sposobem?

— Złotem, he-he, he-he, złotem trzeba wydłużyć jej ręce.

Buttler spojrzął na opiekuna: nie odważał się jeszcze rozporządzać swoim majątkiem samodzielnie, gdyż był pełnoletni zaledwie od tygodnia. Fáy zrozumiał jego pytające spojrzenie.

— Ja tak zarządzałem twoimi majątkami, mój synu — oświadczył nie bez dumy — że sędziów swoich możesz posadzić na fotelach ze szczerego złota.

— Żeby potem mogli zabrać te krzesła ze sobą — powiedział drwiąco Horváth. — Teraz i ja widzę, że pan rozumuje słusznie i że my musimy walczyć wszelkimi siłami i wszelkimi środkami, wykorzystując zarówno nasze wpływy, jak i naszą informację, a także i pieniądze. Pochwalam ten plan działania, bo przecież proces to to samo, co bitwa, a jak wygrywać bitwy — dał nam receptę generał Montecuccoli. No cóż, i u mnie znajdują się na ten cel pieniądze. Będziemy walczyć do upadłego! W ten czy w inny sposób, ale musimy zwyciężyć!

Stary pan poczerwieniał na twarzy i nawet wypiękniał. Buttler podbiegł do niego i uściskał gorąco.

Ale w tym momencie profesor Kövy tak się oburzył, tak głośno stuknął sławnym królewskim pierścieniem w stół, że stary blat aż jęknął. Oświadczył, że natychmiast wyjdzie, i byłby to zrobił, gdyby pan Fáy nie chwycił go za poły długiego profesorskiego surduta i tym sposobem nie zatrzymał.

— Nie wypuszczę pana profesora! Przysięgam!

— Wezwaliście mnie tutaj — huczał dotknięty do żywego profesor — ażebym opowiedział wam o wzlocie orłów. A sami zaczęliście się naradzać nad tym, jak napchać brzuchy szakalom. Puśćcie mnie!

Jakoś udało się go udobruchać, ale nie ukrywał swego niezadowolenia i różnymi docinkami dawał odczuć swą wyższość i pogardę. Kiedy hrabia Buttler poprosił adwokata, żeby przyśpieszył sprawę, gdyż dla niego każdy dzień rozłąki z ukochaną narzeczoną znaczy tyle samo co rok, Kövy rzucił zjadliwie pod adresem swego ucznia:

— Porzuc tę nadzieję, *carissime amice* \*, kolec bowiem w mgnieniu oka wbija się w nogę, ale zanim się go wyciągnie, mija parę godzin, i to też tylko wtedy, gdy zajmie się tym poczciwy felczer. A jeśli kolec zacząną wyciągać różni adwokaci-krętacze, to przede wszystkim wepchną go jeszcze głębiej, ażeby kuracja trwała jak najdłużej.

Buttler nie wiedział, co odpowiedzieć, ale stary Horváth dał znak, żeby się przybliżył, i szepnął mu do ucha:

— Nie słuchaj ty tego profesora. On buja w obłokach. To człowiek mądry i prawy, ale nam jest potrzebny szczywany krętacz, który przeszedł przez ogień i wodę i z niejednego pieca chleb jadał. Pereviczky jest właśnie taki, jakiego nam trzeba, musimy go cenić. Jeśli zaś chodzi o przyśpieszenie sprawy, pozostaw to mnie, już ja się postaram.

## Rozdział czwarty

### PRZYGOTOWANIA DO WALKI

Po tych słowach Horváth wstał i pociągnawszy za sobą pana Fáyego do wnęki okiennej, naradzał się z nim jakiś czas, po czym zakomunikował adwokatowi, iż zlecają mu prowadzenie sprawy na następujących warunkach: o ile wygra proces w ciągu jednego roku, otrzyma honorarium pięć tysięcy złotych guldenów; o ile wcześniej, to za każdy miesiąc dostanie po tysiąc dodatkowo, jeśli zaś proces przeciągnie się ponad rok, honorarium zmniejszy się o dwieście złotych guldenów za każdy miesiąc.

Pereviczky wyraził zgodę. Był to sprytny i zręczny adwokat, a nikt nie mógł równać się z nim na całych górnych Węgrzech: bezczelny aż do cynizmu, śmiały i agresywny, przy tym dobry psycholog. W Peszcie krążyły legendy na ten temat, jak to on umiał okręcić sobie około palca septemvirów\*. Wszystkich potrafił oczarować, stosując przy tym bardzo proste środki. Gdy któryś z nich miał ładną córkę, przynosił jej w prezencie szkatułkę z nasionami rzadkich kwiatów. Tam, gdzie była liczna dzieciarnia, zjawiał się ze stosem najrozmaitszych zabawek. Dzieci znały go i ledwo pokazał się w domu, witały radosnymi okrzykami: „Wujek Pereviczky, wujek Pereviczky!”, włożyły mu na kolana, na plecy, na ramiona, i wielce szanowny tatuś, gdy wyjrzał do przedpokoju usłyszawszy ten hałas, musiał ściągać

swoje latorośle, które oblepiły adwokata jak gaśienice drzewo.

Jeśli któryś z septemvirów zdradzał zainteresowanie dla swego rodowodu, adwokat z Újhely przywoził stare, na pół zbutwiałe dokumenty, w których znajdował potwierdzenie więzów pokrewieństwa z Máthe Csákiem, Garami i Omodami \* (owe „autentyczne” dokumenty preparował dla niego pewien podstarzały adiunkt). Jeśli zaś septemvir okazywał się lowelasem, Pereviczky i na niego miał sposób. W Turócu, tam gdzie mieszkała jego liczna uboga rodzina, adwokat odnalazł trzy krewne wyjątkowej urody. Jedna z nich, niezwykle zgrabna, była rozwódką, a dwie pozostałe — wdówkami o prześlicznych, jasnych jak len włosach. Krewniaczki zamieszkały u niego w domu; Pereviczky, udając się do Pesztu, zawsze zabierał ze sobą jedną z nich. Oczywiście, razem z nią zjawiał się w domu tego septemvira, który był mu potrzebny.

W owych czasach nie używano jeszcze na dokumentach stempli, ale ładna kobietka w postaci załącznika nie mogła sprawie zaszkodzić. Pereviczky przeproszał, że ośmielił się przyjść do jaśnie wielmożnego pana septemvira z kuzynką — lecz niestety, nie może zostawić jej samej w obcym mieście. Potem zaczynał wyklądać swoje argumenty, a ładniutka kobietka jednocześnie strzelała oczkami, pomagając septemvirowi zrozumieć (co on zazwyczaj rozumiał), jaki powinien być wyrok. Bardzo możliwe, że to tylko plotki, kto wie? Złośliwe języki istniały zawsze i wszędzie, podobnie jak ładne kobietki, a uczciwych adwokatów nigdy i nigdzie nie było. Ale omówienie tej kwestii wykracza poza ramy naszej opowieści, zwłaszcza że i bez tego mamy sporo kłopotów z unieważnieniem ślubu.

Należy tylko zapewnić, iż kancelaria adwokacka Pereviczkyego była w pełnym rozkwicie, a ponadto w Új-

hely szanowano go za to, że nie tylko opiekował się swoimi biednymi krewniaczkami, ale rozpieszczał je i woził ze sobą do Pesztu, tym bardziej że, jak mówią, krewniaczkom podobały się te wyjazdy.

Krótko mówiąc, losy Buttlera znalazły się w odpowiednich rękach. W końcu uznał to nawet i profesor Kövy, któremu spodobała się propozycja opłaty adwokackiej w charakterze premii wysunięta przez Horvátha, wobec czego wszyscy usiedli do kolacji w całkowitej harmonii. Jednakże ani martwe prosię, ani kapłon nie zdołały ożywić nastroju towarzystwa, a zwłaszcza przyczynić się do zmiany tematu. Uczestnicy biesiady raz po raz wracali w rozmowie do mającego się odbyć procesu i do wypadków w Olaszröszke. (Tego wieczora na pewno baron István Döry musiał mieć czkawkę).

Dopiero mocne wino wzbudziło pewność, że wynik procesu będzie pomyślny. No, jeśli wynik dobry, to wszystko dobre! Warto za to wypić!

Wszyscy obecni ustalili sposoby dalszej walki i rozdzielili między siebie role: Pereviczky wraca do domu i natychmiast przystępuje do organizowania procesu (pieniędzy proszę nie żałować, spectabilis). Pan Fáy w tym tygodniu jeszcze pojedzie do Egeru do arcybiskupa barona Istvána Fischera, ażeby osobiście opowiedzieć Jego Eminencji o tej całej historii, a Miklós Horváth — na dwór palatyna w Budzie, gdzie ma liczne stosunki, co ułatwi uzyskanie audiencji, chociaż o tej porze roku palatyna bardzo trudno zastać, gdyż całymi dniami pracuje w swym ogrodzie blisko Kelenföldu.

Profesor Kövy zaofiarował się, że jeszcze dziś w nocy napisze piękną epistolę do Jego Ekscelencji hrabiego Ferenca Széchényiego, który jest kawalerem Orderu Złotego Runa, mieszka obecnie w Wiedniu i ma dostęp do samego cesarza. Stary hrabia to dawny wielbiciel profesora Kövyego i robi to dla niego, że zrelacjonuje

odpowiednio historię Buttlera cesarzowi Franciszkowi.

— Ach, gdyby tak dobroduszna cesarzowa Ludwika też go wysłuchała — westchnęła pani Fáyowa.

Przy kolacji postanowiono też, że już od jutra począwszy hrabia Buttler przejmie swoje majątki, porzuciwszy corpus iuris \*, bez czego może się doskonale obejść.

— Koniec z twoim życiem studenckim, bracie! Zbudzisz się jutro jako jeden z najbogatszych magnatów węgierskich — pouczał go István Fáy. — Rozprostujesz ramiona, zrozumiałeś? Wyzbędziesz się swojej panińskiej wstydlivosti — ona przystoi jakiemuś tam wice-notariuszowi. Przyjdzie do ciebie wielce szanowny profesor Kövy, którego ty tak lubisz, i poprosi cię o datek na potrzeby kolegium, a ty każesz mu całą godzinę czekać w przedpokoju i odpowiesz cedząc przez zęby... No, czego się rumienisz? Tak to już jest przyjęte, amice, możesz nie protestować. A jeśli ja cię odwiedzę, to zmrzujesz oczy, jakbyś mnie nie poznawał. Już teraz słyszę, jak powiesz: „Na, wie geht es, Alter?” \*. I jednocześnie pomyślisz: „Przecież jestem magnatem, a magnat powinien być dumny!”. Spieszę się, żeby ci to powiedzieć, bo teraz ty jeszcze rozumiesz po węgiersku, a minie rok czy dwa i zapomnisz mowę węgierską, przestaniesz mnie rozumieć. No, czegoś się tak rozplakała, moja najdroższa połowico? (Pan Fáy zauważył, że jego żona wyciera oczy fartuszkciem). Dlaczego, myślisz, ja tak na niego burczę? No, naturalnie. A co, wyobrażasz sobie, że on całe życie będzie się trzymał twojej spódnicy? Niech teraz rozwinie skrzydła do lotu, a ja, jak kwoka, która wysiedziała dzikie gąsiątko, mówię mu, że on nie jest naszego gatunku, może latać nad wodą wyżej niż my i mieszkać nawet na bagnach, jeśli chce być podobny do innych gęsi. Dużo masz ziemi, łąk, młynów i chłopów pańszczyźnianych, synku. Za swoje bo-

gactwo winien jesteś wdzięczność ojczyźnie. Przez całe życie pamiętaj o tym i zadawaj sobie pytanie: co dałeś jej w zamian? Przez całe życie spłacaj swój dług! A jeżeli okaże się, że dałeś ojczyźnie więcej niż ona tobie, moje kości będą spokojne w grobie.

Buttler wzruszył się słuchając tych podniosłych słów, chciał coś odpowiedzieć, ale nie mógł, tylko się rozplakał.

Pani Fáyowa objęła go za szyję, jak to było w jej zwyczaju, i głaszcząc Jánosa po włosach zaczęła czynić łagodne wyrzuty jemu i mężowi na przemian:

— No, nie bądźże takim dzieckiem! Nie wstyd ci płakać w obecności swego przyszłego teścia? Co powie na to pan Horváth? A ty czegoś tak się rozgadał, stary pleciugo? Dolałbyś lepiej wina gościom, przecież nikt nic nie pije.

Stary Fáy powiedział wszystko, co miał na sercu. Potem zakomunikował Jánosowi, że zamówił dla niego na jutro służbę i czwórkę koni z Bozосу, ale tam niech on zabawi tylko tyle czasu, ile będzie mu potrzeba do uroczystego przejęcia spraw spadkowych, a potem niech się uda do Preszburga na sesję diety \*, gdyż powinien żyć tak, jak żyją magnaci. Od tego, komu wiele jest dane, również i wiele się wymaga. Wśród przyjeżdżających na dietę na pewno znajdzie się sporo jego ziomków i krewniaków, którzy będą mogli wpłynąć na wynik procesu. Może nawet uda się Jánosowi zwrócić ich uwagę na bezprawie popełnione w Olaszröske.

Nazajutrz rano przed domem Fáyego rzeczywiście stanął zaprząg pięknych koni i Buttler pożegnał się ze swoimi opiekunami, roniąc łzy wzruszenia tak samo jak i oni; a w sobotę pan Fáy pojechał do Egeru (że był kalwinem, nie chciał robić tego w piątek). W tym samym czasie Bernáthowa zawiadomiła listem swoją bratową — panią Fáyową, że Horváth także pojechał do

Budy. Przed odjazdem sporządził testament, wyłączając z liczby swoich spadkobierców swoją średnią córkę, a wykonawcą testamentu „wyznaczył — pisała pani Bernáthova — mojego męża, z którym tak bardzo zaprzyjaźnili się w ciągu ostatnich dni.”

Wszędzie panował ruch, tylko w Olaszrösške była cisza.

Żądna sensacji opinia publiczna z zapartym tchem śledziła dalszy rozwój wypadków. Wiadomo było, że Buttler wytacza sprawę, lecz nikt nie wiedział, co ze swej strony przedsięwzięmie Döry. Niektórzy dużo dąliby za to, żeby móc porozmawiać z kimś, kto widział choćby przez okno tę świeżo upieczoną panią Buttlerową, a jeszcze więcej temu, kto z nią rozmawiał osobiście.

Lecz, ku wielkiemu niezadowoleniu ciekawskich, wszelkie plany mieszkańców pałacu w Olaszrösške, a także ich zachowanie, było otoczone pikantną tajemnicą. Począwszy od dnia ślubu bramy były zamknięte, a na oknach zapuszczono żaluzje. Cały pałac wyglądał jak opustoszały.

Jednakże opinia publiczna do tego stopnia była żądna sensacji, że niektóre światowe damy (jak na przykład piękna pani Sztárayowa i obdarzona melodyjnym śmiechem pani Ketzerowa) postanowiły wziąć sobie służące z Olaszrösške, a żeby choć od nich dowiedzieć się czegoś o „hrabinie”. Rumianolice wieśniaczki w podwiewających sutych halkach niewiele wiedziały o tej całej historii, ale i te skąpe informacje były dość atrakcyjne dla plotkarek. Jasnie panie z takim samym aplombem mówiły: „moja służąca z Olaszrösške”, z jakim ich mężowie mówili: „mój strzelec z Czech”. Żartobliwy pomysł przerodził się wkrótce w powszechną modę, gdyż każda szanująca się dama w tym komitacie zaczęła domagać się od swego męża nie tylko słomkowego kapełusza z Florencji czy rękawiczek ze Szwecji, ale i słu-

zącej z Olaszrösške. Dziewczynom tym płacono dwa razy więcej niż innym. Moda owa nie zanikła nawet i w dwadzieścia, trzydzieści lat później, kiedy rodzina Dörych od dawna już tam nie mieszkała i nikt nie wiedział, z czego słyną dziewczęta z tej wsi. Tak się już utarło, że uważano za wielki szyk, gdy na stół, nakryty adamaszkowym obrusem, filiżanki z sewrskiej porcelany podawała dziewczyna z Olaszrösške. Popyt na dziewczęta stamtąd — niczym na tytoń z Gálócsu — wzrósł niezwykle. Rzecz prosta, za mąż wychodziły one szybciej i łatwiej niż dziewczęta z innych wsi; organięści, zamożni rzemieślnicy i szlachcice zagrodowi z całego komitatu zjeżdżali się do Olaszrösške na oględziny, wybierali sobie z góry czternasto- czy piętnastoletnie i prawie bili się o nie.

A ponieważ dziewczęta tak wcześnie wychodziły tam za mąż, niezmiernie trudno było dostać stamtąd służącą. Tylko magnaci, tacy jak Sennyey, Andrásy i Majláth mogli pozwolić sobie na taki zbytek, ażeby za bajeczną sumę nająć dziewczynę z owej wsi do swej kuchni.

Na szczęście i to szaleństwo się skończyło, podobnie jak wiele innych, w przeciwnym razie piękne dziewczyny z Olaszrösške wychodziłyby za mąż tylko za królów.

Podczas gdy Döry nie ujawniał swoich zamiarów, Pereviczky wszczął gorączkową działalność. Napisał i złożył do konsystorza akta procesowe, po czym udał się do Turócu na poszukiwanie nowych przystojnych krewniaczków: kanonicy konsystorza to także ludzie z krwi i ciała, na domiar bardzo obfitego, a mogą bardziej zmięknąć, gdy istotę sprawy wykladać im będzie raczej piękna kobieta niż stary adwokat z żółtymi od tytoniu zębami. Z pola widzenia Pereviczkyego nic nie uszło uwagi. W Wiedniu trzymał swego agenta, który informował nuncjusza, jak należy zrelacjonować tę sprawę w Watykanie. Inny jego zaufany człowiek (tenże sam

adiunkt Kifika, który umiał tak zręcznie podrabiać dokumenty) został wysłany do Wiednia, z poleceniem wywołania odpowiednich nastrojów wśród księży-jezuitów, cieszących się wielkimi wpływami w pałacach możnych, a w szczególności wśród nabożnych arcyksiężnych. Ale działalność rozwijał nie tylko Pereviczky, inni także nie zasypiali gruszek w popiele. Z Egeru wrócił pan Fáy obsypany mnóstwem obietnic; w listach z Budy, przesyłanych na adres pana Fáyego, Miklós Horváth podawał wiadomości rokujące duże nadzieje.

„Znalazłem tu bardzo wpływowego patrona — komunikował między innymi — *illo tempore* \* mojego kolegę szkolnego, niejakiego hrabiego Lascy, generała w stanie spoczynku, który codziennie gra w wista z palatynową. Opowiedział jej o oburzającym łajdactwie barona Döryego, owa dama niezwykle się tym przejęła i powiedziała swemu mężowi: »Cóż z ciebie za palatyn tego kraju, jeśli dzieją się w nim podobne rzeczy!« Ten Lascy to mój dobry znajomy, a kiedyś był znanym dowódcą armii. Jednakże nasi mądrzy patrioci węgierscy mają mu za złe, że raz na zawsze zdemoralizował armię cesarską, jako pierwszy z tych, którzy bardziej troszczyli się o ładne mundury niż o męstwo żołnierzy. Stałem w hotelu »Sieben Kurfürsten« w Peszcie... itd.”

Tylko od Buttlera Fáy nie miał żadnych wiadomości. Minęło kilka tygodni, a z Preszburga nie przywoził żadnego listu ani dyliżans pocztowy, ani umyślny (w owych czasach wielcy panowie woleli wysyłać gońców). Rozpróżniaczył się chłopak czy też przedsięwziął coś na własną rękę? Zresztą pan Fáy nie zaniepokoiłby się tym milczeniem, gdyby nie to, że posłowie z komitatu Zemplén powiedzieli mu, iż Jánoša Buttlera w Preszburgu nie ma i nie było. Stary pan zatrwożył się nie na żarty, a choć w tym momencie właśnie zabrał głos sam Ferenc Kazinczy i nie wypadało ewaporować, Fáy kazał na-

tychmiast zaprzęgać konie i pojechał, nigdzie się nie zatrzymując, do Bozосу.

— Gdzie hrabia? — zapytał mieszkańców pałacu.

Zarządca i lokaje zameldowali, że jaśnie pan hrabia był w mjątku miesiąc temu, spędził tu trzy dni i zaraz potem wyjechał.

— Nie wiecie dokąd?

Skąd mogli wiedzieć. Stangret, który odwoził młodego hrabiego, mówił, że zawiózł go do Kaposu, gdzie hrabia wysiadł na rynku.

— No, a co potem?

Stangret, rusiński drab, mówiący przez nos, nie odpowiedział na pytanie, tylko wysunął dolną wargę i wzruszył ramionami.

— Coś ty, niemowa? — krzyknął na niego Fáy.

— No, wysiadł i tyle.

— Może coś powiedział przynajmniej?

Rusin pomyślał i podrapał się w głowę.

— Nie, nic nie mówił.

— A coś ty potem robił?

— Wróciłem do domu.

— A dlaczego wróciłeś do domu?

— Dlatego, że jaśnie pan tak kazał.

— A więc sam widzisz, durniu, że jednak coś powiedział.

Fáy zastanowił się. A może Jánosowi przyszło do głowy obejrzeć któryś z pałaców: Párdány, Rozmáli i Erdötelek? Młodzi ludzie lubią nowe wrażenia i on pewno teraz rozkoszuje się oglądaniem swych posiadłości.

Fáy kazał rozesłać tylu gońców, ile Buttler miał pałaców w tej okolicy, nakazując im odszukać jaśnie pana hrabiego za wszelką cenę i jak najszybciej, gdyż będzie czekał na ich powrót z niecierpliwością. Ponadto wysłał umyślnego konno do Bernáthów do Bornócu.

Na drugi i na trzeci dzień gońcy wracali. Wszyscy meldowali panu Fáyemu, że hrabiego nigdzie nie udało się znaleźć. Te poszukiwania stały się pożywką dla plotek, rozeszły się słuchy, że młody hrabia zginął. A skoro zginął, znaczy, że to sprawka barona Döryego. Jego ludzie wykończyli zapewne młodego hrabiego. Biedny Buttler! No cóż, oczywiście niezły pomysł, teraz już żadnego rozvodu nie trzeba i panna Döry zostanie wdową, hrabiną Buttlerową.

## Rozdział piąty

### ZJAWIA SIĘ OJCZULEK KROK

Te wieści śmiertelnie zatrwożyły pana Fáyego. Nie tylko jego zresztą. Imć pan Buday, zarządzający majątkami i oddany bezgranicznie całej rodzinie, której służyli jeszcze jego przodkowie, także przestraszył się nie na żarty. Prawie nie znał Buttlera osobiście, ale wystarczyło, że wiedział, iż to ostatni potomek rodu. Gdy szczątki śmiertelne hrabiego znajdą się w doboruszczańskim grobowcu, zostanie odwrócony na zawsze herb rodu Buttlerów. Nie zobaczy się go już nigdzie, ani na uprzęży końskiej, ani na fasadach pałaców, ani na drzwiczkach karet — nigdzie i nigdy! Ziemie hrabiego zostaną na swoim miejscu, tylko że znajdą się w innych rękach. A to właśnie najbardziej przerażało staro zarządcę...

— Trzeba by coś zrobić — mówił Buday trzęsąc się jak w febrze.

Fáy nie odrywał od niego oczu.

— A cóż możemy zrobić?

— Może posłać zawiadomienie do zarządu komitatu?

— Do komitatu? A idźże pan do stu diabłów, domine!... — zakipiał Fáy. — Gdyby komitat istniał od stworzenia świata, to po dziś dzień jeszcze prowadzono by śledztwo, kto zabił Abła. A jeszcze prokurator komitatu tak by się w tej sprawie zaplątał, że w ogóle nie

można by się było w niej zorientować. Nie, niech pan lepiej każe zaprzęgać, niech pan jedzie do Ungváru po doktora: czuję, że zachorowałem. To jedno.

— Tak jest, rozumiem!

— A drugie: niech pan odszuka niejakiego Mátyása Kroka, który powinien mieszkać gdzieś za cerkwią we własnej kamienicy. Tego starego człowieka także proszę przywieźć do Bozosu.

Zarządca wyjechał i pod koniec dnia wrócił. Dwie osoby, których Fáy potrzebował, wsadził do karety, a dla siebie wynajął chłopski wóz mówiąc, że robi to ze względu na zdrowie; napadły go, jak mówił, mdłości. A na wozie chłopskim je wytrzęsie. Doktor próbował przekonywać Budayego, obiecywał zapisać jakieś lekarstwo, zapewniał, że jazda wozem wcale nie jest najlepszym środkiem na niemoc, lecz zarządca nie pozwolił mu dokończyć, mówiąc:

— Proszę darować, panie doktorze, ale ja sam wiem najlepiej, czego mi trzeba.

Przyznać należy, że wpadł na dobry pomysł: zaprząkł dwa najlepsze konie z pańskiej czwórki, dzięki czemu przyjechał do Bozosu o pół godziny wcześniej niż doktor i Krok.

Ujrawszy go Fáy zawołał niezadowolony:

— A to co znowu? Czyż ja panu nie mówiłem, kogo pan ma przywieźć?

Ale tym razem zarządca nie chciał już słuchać potulnie i sam przeszedł do ataku; twarz mu z gniewu poczerwieniała jak grzebień koguci.

— A dlaczego spectabilis nie był łaskaw powiedzieć, co to za człowiek ten Krok? Czy ja mogę jechać w jednej karecie z kimś takim? Nie, już raczej poszedłbym pieszo, boso po ściernisku! Zresztą oni za chwilę tu będą, przyjadą pańską karetą.

— No, no — rzekł pojednawczo Fáy, któremu spodo-

bało się, że zarządca ma tak duże poczucie własnej godności. — Dobrze, dobrze! Ale po co tak od razu rzucać się na kogoś? Pan wie przecież, jaki jestem rozdrażniony, gdy dokuczają mi kolki. A co się tyczy Kroka, to widział pan kiedy polowanie na susły?

— Jakżebym miał nie widzieć. Zalewa się ich nory wodą.

— A kto to robi?

— Przeważnie wołoscy Cyganie.

— Widzi pan? I byłoby niemniej dziwne, gdyby polowaniem na susły zajmowali się biskupi. Dla naszej sprawy potrzebny jest Krok, będziemy więc dla niego, biedaka, pobłażliwi.

Ów Mátyás Krok był rzeczywiście niegdyś lokajem u opata peszteńskiego, Ignáca Martinovicsa \*. W skwarne letnie wieczory lokaje — a było ich w owych czasach u Martinovicsa dwóch — korzystając z nieobecności swego pana, rozbierali się do naga, a potem wdziewali szaty opata i zasiadali do kart. Szczególnie bawiło ich to, jak widzieli w lustrze, że dwaj opaci w habitach różną w durnia. Któryś razu Martinovics wrócił wcześniej niż zwykle, w towarzystwie; jeden ze służących usłyszawszy stukanie do drzwi, zdążył się jeszcze szybko przebrać i pobiegł otworzyć, gdy tymczasem drugi, tenże właśnie Krok, stracił głowę i ze strachu wlaź pod łóżko. Podśluchał wówczas rozmowę spiskowców-jakobinów i wydał ich policji wiedeńskiej. Potem udało mu się wstąpić do policji w charakterze tajnego agenta, tam osiągnął sukcesy, aż wreszcie, u schyłku lat, kupił sobie dom w ojczystym mieście Ungvárze. Co prawda, mieszkańcy nie nazywali go inaczej, jak ten „przeklęty człowiek”, i nie chcieli się z nim zadawać.

Mátyás Krok miał już lat siedemdziesiąt. Był niewielkiego wzrostu i wszystko na nim było białe: włosy, broda, brwi i rzęsy — nawet oczy wydawały się jakies

białawe, błyszcząły jednak jak szkło i tak przenikały człowieka na wskroś jak dwie szpilki.

Fáy od dawna znał starego Kroka i teraz, chociaż kolki już wykrzywiały cierpieniem jego twarz, starał się uśmiechnąć przyjaźnie, gdy Krok wszedł razem z doktorem.

— Dzień dobry, staruszkule! No, jak się żyje na tej grzesznej ziemi? Widzę, że z was jeszcze zuch. A niech to lichy... moglibyście być moim ojcem, a jak się trzymacie! Dzień dobry, doktorze, dziękuję, że pan przyjechał. Dobrą mieliście drogę, prawda? Podle się czuję, kochany doktorule. Proszę siadać. Ale najpierw zatroszczymy się o duszę, bo przecież i dusza we mnie chora. Jej leczeniem zajmie się teraz stary Krok, a zaraz potem, doktorze, zatroszczymy się o grzeszne ciało.

Mrugnął do Kroka i zaprowadził go w głąb domu.

— A wiecie, ojczulku Krok, po co ja was tu sprowadziłem? Chodzi o to, że mój pupil, hrabia János Butler, zniknął w nader tajemniczych okolicznościach, a jeśli nawet nie zniknął, to w każdym razie nie ma go tam, gdzie go wysłałem.

Krok nie powiedział ani słowa, tylko mrugał swymi białymi rzęsami i pocierał kciukiem czoło, wyżłobione tysiącami zmarszczek; od tego gładzenia głębokie zmarszczki poruszały się jak jelita, nadając coraz to inny wyraz jego twarzy.

Fáy opowiedział, że János odesłał z Kaposu swój powóz, nie zataił, że młody hrabia to jeszcze trochę żółtodziób: za bardzo wrażliwy i niezdecydowany, jeśli chodzi o charakter. Jednakże uczciwy, prawdomówny i szlachetny; nie hulaka, nie karciarz, nie rozpustnik i od tej strony nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Istnieje jednak coś jeszcze, mała katastrofa, która się właśnie niedawno wydarzyła.

Krok kiwnął głową.

— Znam tę historię z Dörým. A zresztą, niech pan będzie łaskaw opowiedzieć.

Kiedy Fáy opowiedział już wszystko, co uważał za najistotniejsze, Krok zadał mu parę pytań.

— Czy hrabia Buttler miał zamiar jechać do Presz-burga?

— Tak, z tym się rozstaliśmy. Ale trzeba zaznaczyć, że bardzo kocha swoją narzeczoną.

— A czy nie pojechał do niej do Bornócu?

— Nie! Ja tam też posyłałem forysia. A poza tym, ustaliliśmy, że nie będzie widywać narzeczonej, dopóki nie skończy się proces. A Buttler jest rycerski, dotrzyma słowa.

— A co wielmożny pan myśli?

— Boję się cokolwiek przypuszczać.

— Wielmożny pan podejrzewa, że on popełnił samobójstwo — rzekł Krok wbijając w Fáyego świdrujące spojrzenie.

— Trudno mi o tym mówić, ale nie wykluczam. To marzyciel, umie na pamięć „Cierpienia młodego Werthera”.

— Bzdura, bzdura! — mruknął pod nosem, raczej do siebie, Krok. — Dobre książki nie zabijają, już prędzej złe. A jeśli człowiekowi zaszczepić przeciwko samobójstwu sto pięćdziesiąt tysięcy holdów ziemi, to on z łatwością wyleczy się z wszelkich wpływów książek.

— A więc uważa pan?

— Uważam, że ta cała historia funta kłaków niewarta. Na dowód tego mógłbym zostawić w domu swej żonie jedno oko i ucho, zwłaszcza że ona jest trochę głucha i ślepa.

— Nie rozumiem.

— Chcę przez to powiedzieć, że wielmożny pan zamawia u snycerza stylisko topora, które mogłyby zrobić pierwszy wiejski parobek — i Krok chełpliwie wziął

szczyptę tytoniu ze swej tabakiery i wciągnął w nozdrza.

Fáy ożywił się momentalnie, gdyż zrozumiał, że sprytny szpicel gotów się zająć tą sprawą.

„Nie pożałowałbym i dziesięciu złotych talarów, gdybym mógł zajrzeć mu do czaszki. Ciekawe, czy on ma tam tyle samo zmarszczek, ile na twarzy. I co się w nich kryje?”

Próbował wyciągnąć z niego coś jeszcze.

— A powiedzcie, mój drogi, dlaczego waszym zdaniem ten wypadek jest tak mało ważny?

— Dlatego, że żadnego wypadku nie ma.

— Jak to? — zdziwił się Fáy.

— A całkiem po prostu! Na przykład — zapytam teraz wielmożnego pana, czy nie zgubił pan kluczy?

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— No dobrze, to znaczy, że pan nie zgubił. A jeśli pan zacznie szukać kogoś z kluczy i nie znajdzie od razu, to czy nie będzie pan przekonany, że go zgubił? Tak czy nie?

— Może i tak.

— No właśnie! Gdyby pan nie szukał teraz hrabiego, nie uważałby pan, że on zaginął. A gdyby teraz mój kum Lepiczky zaczął mnie szukać w Ungvárze i nie znalazł, to jak wielmożny pan sądzi, czy to by znaczyło, że ja zaginałem?

Fáy już zaczął tracić cierpliwość do takiej dziwnej logiki.

— Słuchajcie, ojczulku Krok! — zawołał opryskliwe. — Nie uważajcie mnie za człowieka ogarniętego manią prześladowczą. Nie wymyśliłem przecież tego wszystkiego. Po całej okolicy krążą słuchy, że Döry nasłał zbirów, żeby zamordowali Buttlera.

Krok roześmiał się.

— Jak mają nie krążyć słuchy, jeśli sam wielmożny

pan z nadmiernym pośpiechem wszczyną poszukiwania, czym wzbudza niepokój całej okolicy. Rzuca pan małe ziarno, a plotka je podnosi i zwraca w postaci całego krzaka. Oczywiście teraz dręczą pana okropne podejżenia, a w gruncie rzeczy nic się przecież nie stało, prócz tego, że hrabiego Buttlera nie ma w Bozосу, a gdzie się znajduje — nie wiadomo.

— Poczciwy z was człowiek. Uspokoiłście mnie już prawie i nawet przestały dokuczać mi kolki. Niech diabli porwą tego doktora! Sam już nie wiem, co mu teraz powiedzieć. (Zatroskany podrapał się w głowę). A więc co, bierzecie się do poszukiwania hrabiego? Tylko po cichutku, bez hałasu.

— Ja tam biorę się do wszystkiego, co daje pieniądze.

— I zaczynacie natychmiast?

— Natychmiast, ale proszę pozwolić, chciałbym przeprosić służbę w pałacu.

— Gotów jestem służyć wam wszelką pomocą. Możecie dysponować służbą, powozami, końmi, tylko śpieszcie się, śpieszcie!

— Za dwa dni będzie wiadomo, gdzie jest hrabia.

— Jestem wam niezmiernie wdzięczny... I wy także nie pożałujecie, ojczulku Krok. He, he, co mam teraz powiedzieć temu doktorowi?

Krok nie zwlekając wziął się do dzieła i przede wszystkim wy badał służbę pałacową. Był delikatny i miły w obejściu — to zjednywało mu ludzi i od razu dobrze usposabiało każdego, z kim rozmawiał. Poważny, zacny z wyglądu, robił wrażenie czcigodnego starca. W jego spojrzeniu odczytać można było dobroć i łagodność — Pan Bóg, kiedy trzeba, umie i łotrzykom nadawać powierzchowność dobrych ludzi. Ubiór Kroka także różnił się od jego duchowego oblicza: nosił się od stóp do głów z węgierską, a na jego safianowych butach pochwaływały ostrogi. I nie domyśliłby się sam diabeł,

jeśli to nie on ukrywał się w skórze tego człowieka, że Krok był kiedyś szpiclem w Wiedniu, i że z jego winy poszło na szafot wielu węgierskich patriotów.

Słudzy nie potrafili udzielić żadnych konkretnych wskazówek. Hrabia był tu przez trzy-cztery dni i w tym czasie nie kontaktował się z nikim obcym. Żadni goście nie przyjeżdżali do pałacu.

— Gdzie mieszkał hrabia?

— W pokojach wychodzących na południową stronę parku.

— Zaprowadź mnie tam, synku — poprosił lokaja.

Ojczulek Krok przeszukał wszystko w tych pokojach, ale niczego nie znalazł.

— Kto tutaj zwykle sprząta?

— Służąca.

— A chociaż ładna, synku?

— Gdzie tam, szkaradna!

— No, to chwała Bogu — rzekł ojczulek Krok udając, że zrobiło mu się lżej na duszy. — Nie grozi mi przynajmniej niebezpieczeństwo, jeśli mi ją tu przyślesz.

Kamerdyner parsknął śmiechem i w chwilę później wepchnął do pokoju kobietę lat około sześćdziesięciu, wdowę po jednym z fernali.

— No, siostrzyczko, podobno ty tu sprzątasz?

Stara baba pośliniła palce i zaczęła nimi przyglądać włosy na czole.

— Ja.

— Czyś nie wymiotła czasem, serduszko ty moje, jakichś papierów po wyjeździe hrabiego? Podartych, zgniecionych, rozumiesz, na których byłoby coś napisane?

— Bardzo możliwe.

— A nie mogłabyś tego odszukać? Jak to zrobisz, powiem, że dzielna z ciebie kobiecina.

— Znajdę na pewno, wszystkie śmiecie stąd wrzu-

camy do dużej skrzyni. A tutaj tak rzadko się sprząta, że stare śmiecie jeszcze na pewno w niej pozostały.

— No to leć, duszyczko moja!

Starucha wybiegła z pokoju wartko jak wrzeciono; idąc korytarzem, nie oparła się pokusie, żeby nie pochwalić się służbie, obijającej się bezczynnie, jaki to miły ten stary pan: „i mówił, i zachowywał się tak godnie...”

Wkrótce wróciła i przyniosła w fartuchu całą kupę skrawków papieru. Ojczulek Krok zamknął się w pokoju i złożył starannie ze skrawków część listu tej treści: „...Kochana Pirosko, dziwię się, że nie piszesz. Nie zabronili ci chyba korespondować ze mną? To byłoby okropne!”. Na tym list się urywał. Potem Krok odtworzył także i drugi urywek listu: „Najdroższa moja Pirosko! Dzień i noc dręczy mnie przecucie, że Ty mnie nie kochasz, bo gdybyś kochała, tobyś pisała do mnie. Wiedziałybyś, że w moim nieszczęściu nie może być innej pociechy. Czyżby zabronili Ci pisać do mnie? To byłoby straszne...”. I ten list również został nie dokończony. Najwidoczniej hrabia nie był zadowolony z początku i darł swoje listy. Podobnych wariantów Krok znalazł około sześciu: we wszystkich — mniej lub więcej składnie powtarzała się ta sama skarga.

Jeden list prawdopodobnie udało się Buttlerowi sklecić w całości i ten wysłał zapewne do Piroski. Wśród śmieci znalazły się skrawki jeszcze jednego listu, napisanego kobiecą ręką. Ojczulek Krok złożył te strzępki i z wielkim trudem odczytał, co następuje:

„Mój kochany!

Proszę Boga, żeby ten mój list przynajmniej Ciebie zastał w dobrym zdrowiu. Piroška jest chora, Twoje listy ją tylko niepokoją. Wiesz przecież, jaka ona jest, biedactwo, delikatna. Oszczędzaj ją, jeśli jest Ci naprawdę droga, i kochaj uczciwą miłością. Nie gniewaj

się, że tak piszę, mój drogi Janika, i za to także, że Twój list do niej odsyłam przez Twojego wiernego służącego nie rozpieczętowany. Posłuchaj mnie, swojej starej ciotki, co modli się za Ciebie do Boga, który raczył doświadczyć Cię tak surowo. Nie chciałabym, żeby na dobre imię naszej łagodnej owieczki, która i tak bardzo cierpi (przecież i choruje ona także przez Ciebie, synku kochany) padła choćby cząstka tego cienia, jaki rzuciła ręka Boża na Wasze szczęście. Wprawdzie szczęście może wrócić i wróci jeszcze, Pan Bóg ma przecież dwie ręce, a ta druga — nie bój się, synku, — nie uschła jeszcze i Was kiedyś pobłogosławi. Ale dobrego imienia, synu mój, tego najcenniejszego skarbu każdej dziewczyny, zwrócić nie można. I jeśli od samego początku ukaże się na nim plama, to nigdy nie będzie można uważać go za nieskalane. Co by ludzie powiedzieli, gdyby teraz Piroska korespondowała lub spotykała się z Tobą? Bardziej niż ktokolwiek inny Wy powinniście unikać spotkania. Wymaga tego zarówno szlacheczka przyzwoitość, jak i ojciec Pirocki, który zostawił swoją córkę pod moją opieką. Sam jest teraz w Budzie i czyni starania w Twojej sprawie, oby Bóg użył mu na to sił, zdrowia i zbawił go i Was wszystkich od złego. Boleję nad tym, że z tych właśnie powodów nie mogę Cię zaprosić do nas. A jaki piękny nasz ogród jest teraz po wczorajszym deszczu! Wprawdzie ostatnio los nam nie sprzyjał. Część drzew owocowych w sadzie zmarzła, a Motylek, wierzchowiec naszego Zsigi, skacząc przez płot nadział się na sztachetę. Och, jaki rozgardiasz panuje teraz w naszym domu! Nawet zadowolona jestem, że mieszkam u Horváthów. Dobrze by było, gdybyś Ty jakoś ostrożnie powiedział memu synowi o nieszczęściu z Motylkiem, bo ani ja, ani mój mąż nie mamy odwagi napisać mu o tym. Tysiąc całusów przesyła Ci twoja kochająca ciotka — Bernáthowa.

PS. Bądź dzielny i uczciwy, mój kochany, pamiętaj o tym, że inni ludzie także cierpią: księżęta, królowie, a nawet i cesarze. Wszyscy jesteśmy robaczki Boże i nie możemy urzeczywistnić od razu wszystkich swoich pragnień. Przypomnij sobie, jak to przed sześciu laty byłam obłożnie chora na ślepą kiszkę i przez całe dwa lata potem nie wolno mi było nawet tknąć owoców, a ja ginęłam z pragnienia, żeby ich skosztować.

Omam nie zapomniałam napisać Ci, że kucharka Vidonkowa zachorowała na wrzodzianki; biedna, zacna kobiecina, wątpię, czy to jej przejdzie. Raz jeszcze całuję — Ta sama.”

Ojczulek Krok nie znalazł w tych listach żadnej myśli przewodniej, której mógłby się uchwycić; zasepiony zebrał posklejane listy, żeby pokazać panu Fáyemu, który przez ten czas zdążył szczęśliwie pozbyć się ungvárskiego doktora Gribyego.

W momencie gdy jeszcze naradzał się z ojczulkiem Krokiem, do pokoju wbiegł ogrodnik, niejaki András Kapor, głośno lamentując: jego żona umiera, a słyszał, że tu jest doktor. Może da jej coś, o ile, oczywiście, wielmożny pan pozwoli.

— No, jakże? Da coś, z pewnością da. Zwłaszcza że i mnie samemu już nie bardzo potrzebna pomoc doktora. — Strasznie złościła go obecność doktora, gdy nie był chory. — Co za szczęście! To jest, chciałem powiedzieć, co za nieszczęście! Niech pan idzie, niechże pan idzie do chorej, kochany doktorku!

## Rozdział szósty

### UBRANIE GRIBYEGO

Na twarzy chudego, wysokiego doktora pojawił się kwaśny uśmiech, gdy dowiedział się o nagłym wyzdrowieniu pacjenta i o nieoczekiwanym pojawieniu się nowego. Jednakże z całą gotowością poszedł do chorej, zabierając ze sobą narzędzia i torbę, w której nosił swe wypróbowane środki na wszelkiego rodzaju dolegliwości. Po jakimś czasie wrócił całkowicie uspokojony.

— No i jak tam, pomógł jej pan doktor?

— Pomoc już nie była potrzebna.

— Jak to, czyżby umarła?

— Z całą pewnością umarła, puls już wcale nie bił.

Fáy nie mógł się powstrzymać i zaczął biadać:

— Ajajaj, biedna ta Kaporowa, biedna Kaporowa! Jakie pyszne pierożki umiała robić!

Wreszcie, ażeby udobruchać doktora, postanowił ugościć go wspianiałym podwieczorkiem i kazał nakryć stół na werandzie. Był piękny, ciepły wieczór. Podczas gdy Krok zajmował się podklejaniem listów, Fáy i doktor rozmawiali o tym i owym, a głównie o spoczywającym w Bogu doktorze Medve, o jego sztuce cudownego wprost leczenia.

— Tak, tak! Niejednego nauczyliśmy się od siebie nawzajem — powtarzał wciąż doktor Griby.

Pana Fáyego zaczęła już nudzić ta rozmowa, gdy wreszcie do pokoju wszedł szybko Krok, niosąc w rękę

podklejone listy. Pan Fáy gwałtownie zwrócił się ku niemu:

— No i znaleźliście coś?

— Nic prawie, dowiedziałem się jedynie, że młody hrabia wyjechał stąd w nie najlepszym nastroju.

— O, Boże! Czyżby się coś stało?

— Niech pan raczy przeczytać!

Fáy przebiegł wzrokiem listy; był zgnębiony, ręce opuścił bezradnie.

— Czyż nie mówiłem? Melancholia, rozpacz...

— Ech, nie należy od razu przypuszczać nic najgorszego. Jadę niezwłocznie do Kaposu.

— Niech wam Bóg pomoże. Kazać zaprzęgać?

— Chciałbym zadać jeszcze parę pytań. Czy nie ma tu gdzieś podobizny młodego hrabiego? Nie znam go przecież, nigdy go nawet nie widziałem, a jego portret mógłby mi się bardzo przydać.

— Mam jego miniaturę w medalionie na dewizce od zegarka. Co prawda bardzo maleńką.

— Nie szkodzi. Z jakich to czasów ten portret?

— W marcu, tego roku, byliśmy razem z Buttlerem w Enyedzie, u śmiertelnego łoża jednej z jego ciotek — po niej także otrzymał spadek — i tam namalował go na słoniowej kości — proszę sobie wyobrazić — dwunastoletni chłopczyzna, ledwo od ziemi odrósł. Niejaki Miklós Barabás\*. Powiedziałem wtedy sędziemu koronnemu, żeby wsadził do kozy tego szczeniaka: z takim nieprzeciętnym talentem wykieruje się z pewnością na fałszerza pieniędzy.

— Można popatrzeć?

Fáy odpiął od dewizki złote cacko, wyobrażające odciętą przez gilotynę głowę Ludwika XVI, i nacisnął sprężynkę. Głowa otworzyła się, lecz w niej zamiast mózgu (zresztą i za życia także nie było go za wiele)

ukazała się malutka płytką ze słoniowej kości z emaliowanym portretem Buttlera.

— Hm, hrabia to piękny młodzieniec! Co prawda, o całej jego figurze nie można sądzić według tej miniatURY.

— Jest smukły i wysoki jak topola.

— Ech, gdybym ja był taki jak on — Krok mrugnął — nie oglądałbym się za inną, tylko za księżniczką, do diabła.

— I ja też tak myślę — odpowiedział machinalnie Fáy.

— Czy nie ma żadnego innego portretu?

— Nie ma i myślę, że nigdy nie będzie \*. On jest bardzo skromny i nieśmiały. Na siłę, można powiedzieć, skłoniłem go, żeby pozował temu smarkatemu malarzowi.

— Mogę wziąć ze sobą tę miniaturkę?

— Nic nie mam przeciwko temu, mój stary, ale zaklinam, żebyście mi ją oddali. A gdybyście spróbowali przywłaszczyć sobie tę tak cenną dla mnie pamiątkę — pogroził mu palcem pan Fáy — to do przyszłej zimy wyrosnie wam spory brzuszek (wyjaśnić należy, że w owych czasach prosty człowiek mógł utyć tylko w więzieniu).

Ojczulek Krok uśmiechnął się uprzejmie.

— W każdym razie zachowam ją. A teraz chciałbym się dowiedzieć dokładnie jeszcze jednego: jak był ubrany hrabia, gdy wyjeżdżał.

— No, nic prostszego! Jego kamerdyner wie na pewno, a i stangret także. Nie posiadał zbyt wielkiego zapasu garderoby. Sam zamawiałem dla niego ubranie w Pataku. Ej tam — Fáy klasnął w dłonie (na jego wezwanie zjawiła się klucznica) — proszę przysłać do mnie kamerdynera!

Nietrudno było go odszukać: pałając ciekawością, że-

by się dowiedzieć, o czym panowie rozmawiają, przysłuchiwał się tej rozmowie schowany za filarem.

— Ej, Márton, jak był ubrany hrabia, kiedy wyjeżdżał? Przypomnij sobie dobrze i opowiedz temu panu.

Márton zamyślił się, po czym z natężeniem szukając w pamięci zaczął opisywać ubranie hrabiego.

— Cóż to jaśnie pan hrabia miał na sobie? Co to ja mu przynosiłem? Aha, proszę unieżenie, był w szarych spodniach, w takiej samej... tak, tak... w takiej samej kamizelce i... Mówiłem już o surducie?

— Nie, nie mówiłeś.

— I w szarej kamizelce...

— O szarej kamizelce jużśmy słyszeli, bałwanie... Nie rozdziawiaj tak gęby jak szczupak na piasku.

W tym samym momencie błędzący wzrok kamerdynera zatrzymał się na surducie doktora Gribyego. Márton trzepnął rękami, tak jak gęś skrzydłami, gdy nagle zerwie się sznurek, którym była związana.

— Miał na sobie kubek w kubek taki sam surdut! — zawołał z przejęciem. — Taki sam — jeśli nie ten sam!

Doktor zaczerwienił się po same uszy, a Fáy burknął na kamerdynera:

— No, no, nie fantazuj, taki sam — może być, mnie się też jakby coś przypomina, tylko nie mów, że ten sam. Bo i jakże można by wierzyć twoim słowom.

Ale Márton w dalszym ciągu podejrzliwie spoglądał na surdut. Głupie, szare oczy kamerdynera omal nie wyskoczyły z orbit.

— A my zaraz zobaczymy, proszę wielmożnego pana, czy to ten sam, czy nie ten sam — bronił się Márton. — Dopóki hrabia tutaj był, ja codziennie czyściłem jego surdut: na łokciu była wypalona dziurka wielkości ziarenka grochu. Jaśnie pan hrabia przypadkiem oparł łokieć na odrobinie tłącego się tytoniu, który wypadł

z fajki. I podszewka, wiem dobrze, była podarta. No, cóż to szkodzi, zobaczymy!

Nie namyślając się długo podszedł do doktora i bez żadnego skrepowania uniósł jego łokieć w górę.

— No i co, nie mówiłem? — zawołał z triumfem. — Proszę, oto ta dziurka wielkości ziarnka grochu. Ja wiem, co mówię! A teraz obejrzymy podszewkę.

Doktor zmieszał się i zaczerwienił jak rak. Kamerdyner odwinął połę surduta.

— Proszę uniżenie, niech pan doktor się odwróci.

Biedny Griby, stojąc jak słup przed kamerdynerem, odwrócił się i Márton wskazał na szew długości dzieściu cali, ściągający rozerwaną podszewkę.

Ojczulkowi Krokowi aż okulary spadły z nosa, taki był zaskoczony. Na szczęście nie rozbiły się o kamienną posadzkę werandy.

— Do stu tysięcy diabłów — wykrzyknął. — Sprawa zaczyna przybierać poważny obrót. Rozwija się, bardzo się rozwija. To już nie są żarty! Rzeczywiście potrzebny jest tutaj sam Krok, wielki Krok, słynny Krok. Skąd pan ma to ubranie, panie doktorze?

Poblady Fáy drżał jak liść osiki. Jakże miał nie pamiętać tego szwu? Przecież jego własna żona reperowała podszewkę Jánosowi, gdy pewnego razu zaczął w ogrodzie o sęk drzewa.

Doktorowi robiło się zimno i gorąco na przemian; bełkotał coś, kręcił głową, zmieszany próbował wyjaśnić, chociaż widać było po nim, że sam nie bardzo rozumiał, o co tu chodzi. Nagle Fáy podbiegł do niego i chwycił za kołnierz.

— Człowieku — zagrzmiał — skąd wzięłeś ten surdut?

Sprawa zaczynała być poważna, skoro sam István Fáy, potężny pan i sędzia tabularny licznych komitetów z taką złością rzuca się na biednego, poczciwego

doktora Gribyego, który przez całe życie nawet muchy nie skrzywdził. Trzeba powiedzieć prawdę.

— To ubranie — wyjął doktor — tydzień temu przywiózł mi mój brat, właściciel oberży w Kaposu. Ze względu na tuszę nie pasowało na niego, a skąd je wziął, tego nie wiem.

Twarz wystraszonego doktora tchnęła taką szczerością, że nie można było wątpić o jego prawdomówności.

Fáy z głębokim westchnieniem zwałił się na trzciniowy fotel.

— Zabili go! — jęknął i zakrył twarz dłońmi. Siedział tak przez chwilę, a poprzez jego palce zaczęły płynąć łzy.

Ale w chwilę później przewyciężył słabość, otarł oczy i już opanowany stał się znów takim, jakim go widziano zwykle — człowiekiem ze stali. Twardym, energicznym głosem rozkazywał kamerdynerowi:

— Kaźcie stangretowi natychmiast zaprzęgać. Krok, jadę z wami. Niech do mnie przyjdzie zarządca, wydam polecenia.

Stangret zaprzęgał konie; od strony domku ogrodnika przykuśtykał na krótkich, grubych nóżkach zarządca.

— Niestety jest o wiele gorsze, niż przypuszczaliśmy, Buday — powiedział Fáy. — Ale cokolwiek się stało, na razie trzeba pilnować porządku i trzymać język za zębami. Jara pszenicę, która pozostała, wysiać, a kanał odpływowy na polu w Berenicy naprawić. Pana doktora niechaj odwiezie do Ungváru stangret Jóska. Ach, jeszcze ta biedna Kaporowa!... Wyprawcie jej pogrzeb jak się należy, z dwoma księżmi i trumną z orzechowego drzewa. Urządźcie także stypę na nasz rachunek. Zasłużyła na to: wyjątkowo smaczne pierożki umiała robić!

— Kto wie — zauważył prostodusznie zarządca. — Może się jeszcze wykaraska.

— Ale przecież to już chyba godzina minęła, jak ona umarła.

— A kto to powiedział?

— Przecież sam doktor.

— Ale gdzie tam, przepraszam bardzo — obruszył się zarządca. — Przed chwilą ze mną rozmawiała.

To, że los się tak na niego wziął, wyprowadziło w końcu z równowagi biednego Gribyego. Jeśli chodzi o surdut, to Bóg z nim, pogodził się już z tym wstydem. Ale żeby taki profan obniżał jego kwalifikacje, tego już nie mógł ścierpieć. Krew zawrzała w nim i z pogardliwym spojrzeniem (jednakże z godnością właściwą uczonemu) oświadczył:

— Ona może mówić, ile jej się podoba, a jednak umarła: puls jej nie bił.

Zajechał powóz. Fáy uścisnął po przyjacielsku rękę zarządcy.

— Uważajcie na wszystko, mój drogi Buday. Może nie będę mógł wrócić tak szybko. Jeśli na Zielone Świątki przyjedzie z Debreczyna Izajasz, zawiadomcie mnie listownie w Pataku. (Słynny biskup kalwiński Izajasz Buday \* był bratem zarządcy).

Potem Fáy sprężyście wskoczył do powozu.

— Ej, doktorze, doktorze! — zawołał nagle. — Jakiż jestem roztargniony. Zapomniałem spytać, którą oberżę ma pański brat w Kaposu? Wy, ojczulku Krok, siadajcie na koźle obok stangreta, a ja pojedę sam w powozie.

— Oberża nazywa się „Gryf”, wielmożny panie — odpowiedział za doktora Krok.

— Ruszaj!

## Rozdział siódmy

### WESELE W „GRYFIE”

To, że Fáy posadził „miłego staruszka” nie obok siebie, lecz na koźle, wzbudziło wśród czeladzi wielkie zdziwienie, gdyż ich panu obce było wszelkie wywyższanie się. Zazwyczaj, o ile w jego domu nie było gości, przy stole do obiadu zasiadał zawsze ktoś z zaufanej służby.

I nie było to wcale rzadkością w kołach ziemiańskich średniej zamożności. Najczęściej łaska pańska przypadała jakiejś staruszce — byłej niańce pana, pani lub ich dzieci. A potem, gdy z tego czy innego powodu raz znalazła się za pańskim stołem, to na mocy tradycji (którą Węgrzy szanowali zawsze) zajmowała już to miejsce na stałe. Podobna łaska stanowiła dowód dobrych stosunków pomiędzy państwem a służbą, a poza tym taki człowiek był nader pożyteczny w domu, gdyż będąc równie bliski służbie co i jaśnie państwu, umiał zrozumieć i zręcznie rozproszyć chmury czy złagodzić osamotnienie.

Czwórka koni cwałowała szybko, mimo że spod kopyt przyskały grudki błota, gdyż po długotrwałych deszczach droga bardzo rozmokła. Nie umieli budować dróg nasi przodkowie, „narzucali błoto na błoto”; w czasie suszy kurz wznosił się kłębamii, a w czasie śloty — breja sięgała koniom do brzuchów.

Ale i najlepsza droga dziś wydawałaby się panu Fáyemu zbyt długa; jego bujna fantazja pracowała go-

rączkowo, a serce ścisnęło się trwożą — przecież było ono takie miękkie, jak to błoto, ale błoto ze złota, a każdy najmniejszy dotyk zostawiał na nim ślad.

Przez myśl przelatywały mu wszelkie najgorsze nieszczęścia, jakie mogły spotkać Jánosa. Chwilami widział młodego hrabiego leżącego na dnie Cisy. Nad nim przepływały sumy i jesiotry: one to, a nie stary Krok, wiedziały z całą pewnością, gdzie znajduje się hrabia. Po chwili znów w jego wyobraźni malował się inny obraz: János pada ugodzony skrytobójczą kulą, obskakują go bandyci, ściągają z niego odzież, żeby mieć chociaż jakikolwiek łup... Nie, lepsza już jakakolwiek pewność, choćby najgorsza, niż taki niepokój!

— Ej, Péter, daleko jeszcze do tego Kaposu?

— Właśnie wjeżdżamy do miasteczka.

Ściemniło się. Niebo było całkowicie zasnuwane chmurami i nad ziemią stała tak gęsta mgła, że w odległości dwóch kroków nic nie było widać.

Szkoda! Warto by opisać takie miasteczko, gdyż w owych czasach nie były one jednakowe jak żołnierze w szeregu i nie dzieliły się na kategorie. Obecnie na Węgrzech jest ze trzysta takich samych Kaposów, podobnych jedno do drugiego jak bliźnięta; ze sto Losonców, ze dwadzieścia Koszyc i tylko jeden Budapeszt, macierz wszystkich miast węgierskich. Z tą jednak różnicą, że nie należy do tych matek, które karmią swoje dzieci, lecz na odwrót, sama żywi się kosztem ich i dlatego wszystkie owe miasteczka są takie nędzne, małe i anemiczne.

Dawniej miasta nie były tak szablonowo do siebie podobne i podróżowanie stanowiło wielką przyjemność. Ten, kto zwiedził wiele miast, doznawał wrażenia, że wszędzie na całym wielkim świecie ma znajomych i ziomeków, co sprawiało z tego czy innego powodu dużą satysfakcję. Na przykład w Újhely można było kupić

dobre wino, w Tiszaújlaku świetną pomadę do wąsów, w Körmöcu koronki niby z piany morskiej, w Miskolcu pyszne bułki, w Rimaszombacie manierki, w Gácsu sukno mocne jak skóra, w Lévie skórę miękką jak sukno, w Esztergomie siodła, w Suboticy fartuchy, w Selmecu fajki, w Györze scyzoryki, a w Libetbányi jałowcówkę.

Teraz każdą z tych rzeczy można kupić w każdym mieście, w pierwszym lepszym sklepiku na rogu ulicy i wcale nie trzeba udawać się po nie w daleką drogę. Jednakże przyznać należy, że towary te nie są w tak dobrym gatunku jak dawniej i że nabywca nie doznaje takiej przyjemności jak wówczas, kiedy kupował mając jednocześnie przeżycia podróży.

Jeśli chodzi o Kapos, to miasto owo słynie z sit i przetaków. Gdy ktoś przywiózł sito z Kaposu ładnej dziewczynie, mieszkającej gdzieś daleko, to wynagradzała ofiarodawcę buziakiem. A teraz dają za nie raptem osiemdziesiąt grajcarów.

Nie, nie tak znowu źle bywało w dawnych czasach...

— Péter, wiesz, gdzie jest „Gryf”?

— Wiem, wielmożny panie.

Pojazd zaturkotał na kocich łbach jezdni. Po błocie konie mogły iść kłusem, ale po ostrych kamieniach człapały krok za krokiem. Jadącym zdawało się, że droga trwa całą wieczność. Wreszcie zatrzymali się pod ostrołukową bramą oberży. Przy wejściu wisiał młodszy brat dzwonu z wieży kościelnej, który pan Fáy od razu zaczął szarpać niecierpliwie. Bramę oświetlał nikły płomyk latarni. Na zewnątrz „Gryf” nie wywierał przyjemnego wrażenia. Długi, niski, zgrzybiały budynek, jak gdyby miał zapaść się w ziemię. Jednakże tak ponuro przedstawiał się tylko od zewnątrz, w środku był pełen życia: grała muzyka, panował gwar, przez otwarte okna dobiegały wesołe okrzyki.

Na dźwięk dzwonka ukazał się zgrabny chłopak w stroju drużby: czarnych sukiennych spodniach i kamizeli na haftowanej koszuli z bufiastymi rękawami. Na ramiona miał narzucony haftowany włóczką dolman, a okrągły jego kapelusz zdobiły sztuczne róże; przepasany był barwnym pasem w drobne białe kwiatki.

— Co, pokój? — zapytał, zawadiacko wyprężając się przed przybyszami.

— Tego jeszcze nie wiemy. Chcielibyśmy najpierw porozmawiać z gospodarzem. Gdzie on jest?

— Teraz nie można z nim rozmawiać.

— A ty coś za jeden?

— Ja, karczmarczyk.

— A dlaczego to nie można mówić z gospodarzem? — wtrącił się ojczulek Krok. — Może oniemiał?

— Właśnie, że krzyczy.

— No to co, może rozum stracił?

— Oho! Dopiero teraz nabrał rozumu.

Ojczulek Krok zdecydował, że należy działać bardziej energicznie i krzyknął:

— Dość tych żartów. Nie pleć po próżnicy, młokosie. Widzisz, że z tobą rozmawia wielki pan? Zdejmij kapelusz, ty taki owaki!

Karczmarczyk potulnie zdjął kapelusz. Był to dobry chłopak i usłyszawszy taką reprimendę bardzo się zmieszał.

— Ja nie żartuję, tylko trochę wypilem — tłumaczył się z rozbrajającym uśmiechem. — Prawdę mówię, chodzi o to, że gospodarz tańczy teraz, i to z panią Hadasową, a do winobrania mogłaby z niej stać się taka oberżystka, że lepszej nie ma co szukać.

— A co się tam teraz dzieje?

— Weselisko, proszę uniżenie — chłopak jakby się zdziwił, że są ludzie, którzy o tym nie wiedzą. — Tak jest, wesele. Gospodarz wydaje za mąż swoją przyrodnią

siostrę, tę, która prowadziła kuchnię w oberży. A teraz będzie gospodarzyć pani Hadasowa, bo ona umie gotować jeszcze lepiej; poza tym to wdówka, nawet młoda i dorodna, a od mężczyzn z przeproszeniem nie ucieka. Tylko patrzeć, jak będzie drugie weselisko. Chociaż gospodarz tłuścioch, zawadiaka i ma ciężką rękę, jednakże serce dobre, to znaczy, może pójść z torbami: czyli za wiele ma krewniaków-oberwańców, którzy w każdej chwili mogą cały majątek rozdziobać... jednak...

O ile początkowo trudno było nakłonić wesołego karczmarczyka do rozmowy, niemniej trudno było go teraz powstrzymać.

— No, nie gadaj tyle, bracie! Idź lepiej powiedz gospodarzowi, żeby wyszedł na chwilę.

Karczmarczyk wzruszył ramionami:

— Nie wyjdzie.

Ojczulek Krok aż nogą tupnął. Na szczęście zjawił się huzar pana Fáyego z szablą u boku, ten sam, który pomagał woźnicy uporać się z końmi. Krok skorzystał z jego obecności, ażeby nastraszyć młokosa.

— Dość gadania. Niech wielmożny pan każe ściąć głowę temu gadule, jeśli piśnie jeszcze choć słowo.

Widząc, co się święci, karczmarczyk pędem pobiegł do sali, ale po chwili wrócił z triumfującym wyrazem twarzy.

— No i co ja powiedziałem? Właśnie, że nie wyjdzie: choćby sam, powiada, palatyn go wzywał.

— Cóż, w takim razie chodźmy do niego — zdecydował Fáy.

— To co innego! — zawołał radośnie karczmarczyk. — Od tego trzeba było zacząć. Tam będziecie mogli porozmawiać z gospodarzem.

Z tymi słowami poprowadził gości do drugiej części zajazdu, służącej za mieszkanie dla gospodarza.

Chętny do rozmów ojczulek Krok po drodze wypytywał:

— Za kogo to wychodzi młodsza siostra gospodarza?

— Za stolarza, niejakiego Jóskę Vidonkę, który zamierza otworzyć w Polsce własny warsztat. Dziś po północy wsiądzie na wóz z żoną i wyjedzie.

Pan Fáy drgnął usłyszawszy znajome nazwisko. A więc to ten sam Vidonka, który zrobił dla barona Döryego „podnoszącą maszynę”! Nici zaczynają się rozplątywać. Oto gdzie znajduje się gniazdo wszelkich przestępstw! Są na dobrej drodze!

— Czy to nie ten sam, co pracował jako czeladnik u stolarza w Újhely? — cicho zapytał Fáy.

— Ten sam — odpowiedział karczmarczyk — znam go od dawna. Był ostatnim nędzarzem, a tu od razu bogaty! Teraz żeni się z Katuską, jako że dawno już marzył o tym, a ona jest córką jego dawnego pana i matki mojego pana, wdowy, która po raz drugi wyszła za mąż za stolarza Odrejovicsa w Újhely i urodziła im się córka, ta właśnie Katuska.

— A więc to tak! — mamrotał udręczony Fáy.

Szli korytarzem, natykając się raz po raz to na łóżko, to na stół czy kredens, wyniesiony z mieszkania z powodu wesela.

Fáy zajrzał do sali i znieruchomiał przy drzwiach. W pierwszej chwili wydawało mu się, że izba nie stoi w miejscu, lecz wiruje razem z mnóstwem rozczzerwienionych twarzy tańczących kobiet i mężczyzn (na pierwszy rzut oka — rzemieślników, zawadiacko bijących się po cholewach butów). Szelest powiewających sukien, woń ciał kobiecych, zmieszana z zapachem dymu fajkowego, potu i kwiatów, którymi były przystrojone głowy i piersi kobiet, czad bijący od łożowych świec, wszystko to czyniło z tej sali jakby przedsionek piekła.

To tu, to tam wydzierał się z tłumu głośny okrzyk górujący ponad ogólnym hałasem. Rzekłbyś, wesele samego Belzebuba. „Eech!”, „Uuch!” — ktoś dawał wyraz swej bujnej wesołości. Nagle rozległ się wstydlivy, zduszony pisk — jakiś kawaler uszczypnął swoją damę w delikatne miejsce. No, to nic... Nogi stukają tak, że podłoga aż trzeszczy i wzbijają się kłęby kurzu.

Kobiety machają chusteczkami, starając się odegnać od siebie kurz. W kącie sali ktoś przygotowuje poncz w glinianym garnku; ktoś inny popycha wirującą w pobliżu stolika tancerkę, a od płonącego spirytusu zajmuje się jej ogromna kokarda; ktoś jeszcze inny chwytą dzban i leje wodę na tę, co ucierpiała od ognia, ale tak, że zalewa wodą czepce na głowach co najmniej tuzina jej sąsiadek. Ale i to nic nie szkodzi — byleby zabawa trwała!

Nagle pomiędzy gości wskoczyła para brytanów i nikomu nie udawało się wygnać ich na dwór, gdyż w izbie było gorąco i drzwi cały czas musiały być otwarte. Co ktoś wygonił psy, one zaraz wracały. Im także podoba się wesele, chociaż raz po raz ktoś nadeptuje na ich łapy i ogony. Dodać należy, że krzywdę tę znoszą wcale nie w milczeniu — skomlą i szczerzą zęby. Nie ścierpiała obrazy wilczyca Aza i wbiła kły w nóżkę pani Lányiowej (głupie zwierzę, a wie, co ładne). Teraz robią w kuchni owej pani kompresy na łydkę, a szelma Pista Nagy — ażeby oślepl — zakradł się tam i podgląda.

Na środku sali żwawo tańczy nowożeniec — przytupuje, klęka raz po raz, bez ustanku, aż do całkowitego wyczerpania! A Katuska — jakaż ona ładna! — przegina się i wije jak zmijka — może nawet i syczy. Wianuszek na jej główce przekrzywił się na bakier i sterczy, ale nawet i z tym jej do twarzy. Raz po raz wydziera się z rąk oblubieńca i kołysząc się w biodrach tańczy przed nim drobnymi kroczkami, po chwili zawiruje tak, że

i wianuszek na jej głowie krąży, zaczepiając koniuszkami wszystkich stojących w pobliżu. Ona kręci się, wiruje, a potem daje nura w tłum tańczących. Oblubieniec za nią — już to ją dogania, już to znów wypuszcza z rąk, podskoczy w miejscu jak kozioł, uderzy się dłońmi po cholewach i rozłożywszy ręce, jak gdyby zamierzał ją objąć, mknie za nią, przytupując i podśpiewując:

Ja som pan, wielki pan,  
Toto je moj tulipan.

Raz po raz pobrzękuje pieniędzmi w kieszeni albo wyciągnie parę talarów, podrzuci wysoko i złapawszy je w powietrzu, rzuca do Cyganów-muzykantów:

— Ej, Cyganie! To jeszcze nie ostatnie, zrozumieście?

Monety przelatują nad ludzkimi głowami — dobrze, że nie trafiają: mogłyby kogoś uderzyć w oko. A tyle tu pięknych oczu, że nie warto mówić o stracie jednego.

Pan Fáy czuł się źle wśród tego zażuchu, dzikich wrzasków i kołowania. Karczmarczyk zniknął mu z oczu, więc się zwrócił do mężczyzny w granatowym surducie, który stał w pobliżu i raz po raz klekotał zamykając i otwierając srebrną pokrywkę fajki, z której widocznie był bardzo dumny.

— Proszę mi powiedzieć, który to jest gospodarz?

Stateczny jegomość, do którego zwrócił się Fáy, przesunął cybuch fajki w drugi kącik ust i wskazał na jednego z tańczących:

— Ten właśnie, tłusty jak wieprz.

Rzeczywiście gospodarz był bardzo gruby, ważył tak na oko ze dwa cetnary, ale gęba jego miała wyraz taki dobroduszny i nawet głupkowaty, że Fáy westchnął z ulgą: „No, nie, to nie może być twarz mordercy”.

Z całej postaci gospodarza biła niewinna błogość.

Jego małe szare oczki błyszczały dziecinnym zachwytem, gdy patrzył na biuściastą partnerkę, którą obejmował w pół obiema rękami. Wdówka miała białe jak śnieg ramiona i figlarne, kuszące oczy. „O, pan Griby to jeszcze chłop na schwał! — zdawała się mówić cała jej istota. — On jeszcze niejedno potrafi!”

Może już nie umie tak zawadiacko tańczyć, jak ten oto pisarz miejski, ale nie poddaje się jednak: podsłakuje, przytupuje, trzęsie ogromnym ciałem i obraca dokoła siebie swą damę, obejmuje, przyciska, a chwilami podrzuca w górę.

Ale oto ktoś dał znak ręką i skrzypce nagle umilkły, a kawalerowie puścili swoje damy.

Imć pan Griby obejrzał się gniewnie, ażeby sprawdzić, kto to zrobił. Przed nim stał nieznamy pan, dystyngowany, głos miał władczy. Oberżysta ma niezawodne oko, od razu wie, kto jest ważną osobą — nie wiadomo, skąd to wie, ale nie myli się nigdy.

— Muszę z waszmością porozmawiać, panie Griby, i to zaraz.

— Proszę — spokojnie zgodził się oberżysta.

— Ale to nie jest miejsce na taką rozmowę. Czy nie znajdzie się tu jakiś osobny pokój?

— Jak pan sobie życzy. Co prawda, nie mam tu przed nikim sekretów, a dziś nie obsługuję przyjezdnych, ale skoro jaśnie wielmożny pan...

— Tylko wielmożny pan.

— Skoro wielmożny pan odwiedził moje skromne mieszkanie, gdzie każdy dla mnie jest drogim gościem, rozumie się, zrobię wszystko, co wielmożny pan rozkaże. Proszę za mną.

## Rozdział ósmy

### OJCZULEK KROK KOMBINUJE

Oberżysta zdjął ze ściany klucz, zapalił świecę, poprowadził pana Fáyego na koniec korytarza i tam otworzył jeden z pokojów dla przyjezdnych. Ojczulek Krok cichutko jak myszka wszedł za nimi — umiał, jeśli chciał, chodzić bezszelestnie. Toteż Griby bardzo się zdziwił, gdy postawiwszy świecę na stole i obejrzawszy się, zobaczył przed sobą nie jednego, lecz dwóch nieznanomych.

— To mój człowiek — wyjaśnił Fáy.

— A z kim mam zaszczyt rozmawiać? — zapytał oberżysta.

— István Fáy z Pataku.

— Słyszałem, słyszałem. Opiekun hrabiego pardańskiego. Czym mogę służyć?

Fáy i Krok z wielkim zainteresowaniem śledzili każdy jego ruch, wyraz oczu, ale ich trwożliwe podejrzenia rozwiewały się z każdą chwilą.

„Usłyszymy — myśleli obaj — co ty powiesz, a wówczas my ci powiemy, o co nam chodzi.”

— Proszę mi wyjaśnić — podnosząc uroczyście głos, z patosem oskarżycielskim zaczął Fáy — skąd u pana znalazło się ubranie, które potem podarował pan swemu bratu, doktorowi Gribyemu, w mieście Ungvárze?

Krok aż przetaił okulary, żeby łatwiej odczytać myśli oberżysty z jego twarzy.

Pan Griby ziewnął.

— Och, ileż to razy można opowiadać tę bląhą historię. Zrozumiałe, bo u nas w Kaposu wielkie wydarzenia bywają rzadko. Żyjemy spokojniutko, nic ważnego się nie dzieje. Nawet całymi tygodniami nikt nie umiera. Niedawno wyjechał stąd z „Gryfu” pewien uczony Niemiec, dziwak, miał ogromną ochotę zobaczyć ruski pogrzeb. Poradziłem mu, ażeby poczekał, aż umrze ktoś z miejscowych. Biedaczysko przeczekał dwa tygodnie i, prawdę mówiąc, sporo pieniędzy wydał. Niepojęte po prostu, skąd ci Niemcy biorą pieniądze. Codziennie przychodził do mnie z pretensjami: „Co to jest, dotychczas nikt jeszcze nie umarł?”. Miał pecha, przez dwa tygodnie umierali albo kalwini, albo katolicy. Wreszcie się rozzłościł, zaczął robić mi wyrzuty, że wyprowadzam go w pole i specjalnie zatrzymuję czczymi obietnicami. A przedwczoraj już nie wytrzymałem i wyrzuciłem go z „Gryfa”, odesłałem do mojego brata doktora, do Ungváru. On potrafi przeobrazić żywego człowieka w nieboszczyka, a ja nie umiem.

Oberżysta tak był zadowolony ze swego żartu, że jego podwójny podbródek zatrzęsł się ze śmiechu jak galareta.

„Morderca nie umiałby tak się śmiać” — pomyślał Fáy i uśmiechnął się także; przypomniał sobie historię z Kaporową w Bozосу.

— Dobrze, dobrze, mój miły panie — przerwał chłodno oberżyste ojczulek Krok i przeszył go wzrokiem. — Ale to ubranie jakim sposobem znalazło się w pana rękach?

— Ach tak, ubranie! To była naprawdę bardzo dziwna historia. Otóż, jakieś dziesięć dni temu zatrzymał się u mnie pewien elegancko ubrany młody pan. No, ale w tym nie byłoby nic dziwnego, gdyż w „Gryfie” nocował w swoim czasie książe Bretzenheim we własnej osobie.

Stary Krok zaczął tracić cierpliwość.

— A niech dunder świśnie tego pańskiego księcia. Do rzeczy! Wiemy dobrze, że książęta także śpią we własnej osobie i nikt się za nich wyspać nie może. Proszę mówić o ubraniu, nie widzi pan, że płoniemy z ciekawości?

— Ale to przecież nic ciekawego. Mówię właśnie, że ów młody pan przyjechał, zjadł kolację, położył się spać, a rano wyszedł ze swego pokoju w ubraniu zwykłego czeladnika. Zazwyczaj, jeśli już do czegoś takiego dochodzi, to przeważnie bywa na odwrót: pewnego pięknego poranka czeladnik przemienia się w eleganckiego pana. Takie wypadki zdarzają się często w Pieszczu, gdzie niemało jest wielkich traktierni.

Pan Fáy pokiwał głową.

— Niepojęte! No, a co potem?

Nastąpiła głęboka cisza, tak że można było słyszeć bicie serca starego pana.

— Podszedł do mnie, a ja akurat stałem za bufetem, Katuska też przysłała, żeby mnie zapytać, ile się należy od Mihály Szabó i czy można jeszcze dać mu na kredyt. Zacząłem grzebać się w moich karbowanych kijach \* (dotychczas nic nie znalazłem, a niech to lich!) i oto podchodzi do mnie ów młody człowiek i płaci za nocleg cwancygierem. — „Wyjeżdżam” — powiada.

„Niedobrze — myślę — a ja ci teraz pokażę, że ze mnie nie można robić durnia!”. — I mówię: „Ależ pan się od wczoraj zmienił!”. Młody człowiek spojrział na mnie z gniewem i odpowiedział, że to jego sprawa. A ja na to: „Racja, ale pytam dlatego, że widzę, iż pan nie zabrał ze sobą swego dawnego ubrania. Co mam z nim zrobić?” — „Niech pan zrobi, co pan chce — odpowiedział. — Może go pan nawet wyrzucić”. Na tym nasza rozmowa się skończyła. Młody człowiek odjechał,

a ja to ubranie, ponieważ na mnie nie pasowało, podarowałem bratu.

— Dobrze pan zrobił — pochwalił go pan Fáy. — (Z radością oddałby Gribyemu dla jego brata i swój własny surdut).

— Otóż i wszystko — zakończył pan Griby opowiadanie o tym dziwnym wydarzeniu.

Fáy z radością chwycił wielką czerwoną rękę oberżysty i uścisnął ją mocno. Nastrój poprawił mu się tak bardzo, jak gdyby przez jakiś niewidzialny kranik wlano mu do żył świeżej krwi.

— Nie ma waszmość pojęcia, jaki ciężar spadł mi z serca! Spodziewałem się o wiele gorszych rzeczy, a to jest, sądząc z tego, co pan mówi, po prostu drobiazg. Ach, to huncwot! Gdybym przynajmniej wiedział, co on jeszcze wymyślił! No, bardzo dziękuję za te wiadomości.

— Z chęcią opowiedziałem wszystko, co wiem — odezwał się tamten z prostotą.

— Ale skąd on wziął ubranie czeladnika?

— Od mojego kuma, krawca Bodolyiego. Ten chwalił się przede mną nazajutrz.

Fáy zwrócił się do Kroka, pogrążonego w głębokiej zadumie.

— Słyszeliście, Krok? Trzeba będzie odszukać tego krawca. Może János powiedział mu cokolwiek o swoich planach?

Ojczulek Krok drgnął, jak człowiek nagle obudzony.

— Powolutku wszystko się wyjaśni — wymamrotał i sięgnął do kieszeni po tabakierę, ażeby dodać bodźca swemu mózgowi.

— Krawiec jest tutaj, na weselu — oświadczył Griby — mogę go zaraz przysłać.

— To się dobrze składa — zawołał Fáy i z zadowolenia aż przytknął palcami. — Teraz przyszło mi do głó-

wy, że dobrze byłoby zjeść kolację. Niech pan każe, drogi gospodarzu, przynieść tu coś do zjedzenia i wino, ale najlepsze, jakie pan ma. Chciałbym także po przyjacielsku porozmawiać z Vidonką, ale to już później, a na razie proszę przysłać krawca i kolację.

Słuchając tych słów Griby z obrażoną miną kiwał głową. Nie, ci panowie żądają od niego niemożliwości! Skoro już trafili na wesele, niech jedzą i piją ze wszystkimi gośćmi. Właśnie za chwilę nakrywają stoły i on wszystkich prosi. Przynajmniej nic nie będzie ich kosztować, a kolacja w osobnym pokoju byłaby o wiele droższa, chociaż jadło i napoje wcale nie byłyby tak dobre.

— Dziękujemy za zaproszenie, panie gospodarzu, ale jeśli pan przyśle coś lepszego, to i tu będzie doskonałe.

— Co mam najlepszego, znajdzie się na stole weselnym — odpowiedział pan Griby nachmurzony — wiem, co to honor, i znam się na różnicy między gośćmi — zaproszonymi czy nie zaproszonymi — a przypadkowo przejezdny.

Pan Fáy musiał posłużyć się całym swoim krasomówstwem, zanim udało mu się przekonać gościnnego gospodarza. (Jakże on niepodobny do swego młodszego brata doktora! Co to znaczy człowiek nie zdemoralizowany nauką!). Chcą, powiedział, jeszcze naradzić się nad czymś w tym pokoju; dużo spraw mają do omówienia. A poza tym — obaj są niemłodzi, zmęczeni, muszą odpocząć.

Wreszcie, choć z wielkim trudem, gospodarz uznał te argumenty i powiedział, że wyda odpowiednie dyspozycje w sprawie kolacji i przyśle swego kuma — dodał jednak przy tym: „Jeśli zechce przyjść”. Gdyż, jak mówi przysłowie: każdy krawiec struga barona.

Ale szlachta mieszkająca w Kaposu nie trzymała się tego przysłowia i bardzo miała za złe krawcowi jego

pyszałkowaty szyld, jaki umieścił nad drzwiami swej pracowni naprzeciwko „Gryfa” — „Szlachcic Máté Bodolyi de Bodolo et Réna — mistrz krawiecki”. Zdaniem miejscowej szlachty rzemiosło krawieckie było poniżej ich stanu, chociaż i oni sami byli także rzemieślnikami, wyrabiali sita i przetaki, ale to nie wydawało im się tak niskim zawodem. Bo przecież sito to zabawka dla kobiet, może wziąć je do rąk nawet sama królowa, a portki szyć... i jeszcze łątać... Nie, to już dno upadku! Wstyd i hańba, słowo daję! I jeszcze wywiesić taki szyld — z wyliczeniem pełnego szlacheckiego tytułu! Dodali więc do tytułu krawca jeszcze słowa: „de Bodolo et Réna, de żelazko i wełna.”

W jakiś czas potem ktoś zastukał do drzwi. To zjawił się pan Bodolyi. Ledwo przestąpił próg, a już Fáy rozpoznał w nim owego człowieka przyjemnej powierzchowności, którego zapytał o gospodarza.

Krawiec wiedział niewiele; ale i tę odrobinę, jaka mu była znana, przekazał z wielce poważną miną. Młody pan rzeczywiście był u niego przed paroma dniami pod wieczór, kiedy już spędzono krowy („właśnie tym byłem zajęty, bo krów mam, chwała Bogu, aż sześć”). Wybrał dla siebie czarną kurtkę z małymi guziczkami i zapięciem z plecionego sznurka, taką, jaką zwykle noszą młodzi czeladnicy, czarne spodnie i kamizelkę. A jeśli panowie chcą mieć całkowity obraz, może dodać, że ubranie na tym młodym człowieku leżało tak, jakby było specjalnie na niego szyte, i że zapłacił za nie uczciwie.

— No, rozmowa ta niewiele nam dała — zauważył pan Fáy, gdy krawiec poszedł. — Ale, ojczulku Krok, wy jesteście człowiekiem mądrym, doświadczonym policjantem, co o tym wszystkim teraz myślicie?

— Myślę — po pierwsze, że hrabiego nie zamordo-

wano, a po drugie, że nie popełnił samobójstwa, bo przed samobójstwem nie trzeba zmieniać ubrania.

— I ja też tak uważam. Dzięki Bogu, że chociaż to udało nam się ustalić.

— A jeśli chodzi o mnie — ciągnął ojczulek Krok — to ja wiem o wiele więcej. Wiem na przykład, gdzie on jest teraz i co robi.

— Co wy mówicie? — zawołał Fáy i spojrzał na swego rozmówcę z niedowierzaniem.

— Właśnie mówię. Ale chciałbym wielmożnemu panu zadać jedno pytanie. Czy w Bozосу ogrodnik ma pomocnika?

— Nie.

— Na pewno?

— Na pewno.

— Który się nazywa Mihály Veres?

— Nie, skoro mówię.

— No, niech mnie gęś kopnie, jeśli hrabia pardański w tej chwili nie pracuje u ogrodnika pod nazwiskiem Mihály Veres!

— Czyżby? Co też pan mówi, ojczulku Krok! Skądże by chłopakowi coś takiego przyszło do głowy? A poza tym, skąd to możecie wiedzieć?

I z nieukrywanym zdziwieniem patrzył na małego człowieczka, krążącego po pokoju, wymachującego rękami i śmiesznie marszczącego zatroskane czoło.

— Skąd? Z tych kawałeczków papieru! Znalazłem wśród nich dokumenty na nazwisko Mihálya Veresa, pomocnika ogrodnika, podpisane przez hrabiego i uwierzytelnione pieczęcią majątku. Ale ponieważ pieczęć na dokumentach odbiła się słabo, hrabia podarł ten papier i prawdopodobnie napisał inny. Wówczas nie przywiązywałem do tego większego znaczenia i nawet nie skleiliśmy skrawków.

— Możliwe, że to prawda. Ale gdzie on teraz jest? I skąd wiecie, gdzie on jest?

— Bo on może być tylko w dwóch miejscach. Albo, jeśli chce przyczynić się do wygrania procesu, zamieszkał pod cudzym nazwiskiem jako ogrodnik u barona Döryego w Olaszröszke i z ukrycia śledzi swoją „żonę”, albo też w przebraniu obserwuje posunięcia przeciwnika.

— Hm, to byłoby nie takie głupie. Ale *juventus ventus*, po nim trudno spodziewać się tyle sprytu.

Ojczulek Krok uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Mogło być i tak: po przeczytaniu listu pani Bernáthowej, dowiedziawszy się, że panna Piroska jest chora, a starego pana Miklósa Horvátha nie ma w domu, hrabia postanowił niby księżę z bajki poszukać pracy na dworze swej ukochanej. Zgolił brodę, ostrzygł się, żeby go nie poznali, chodzi nocami pod oknem swego nieosiągalnego ideału, snując liczne plany i polując na chwilę, kiedy będzie mógł spojrzeć na nią chociaż z daleka.

Fáy zerwał się żywo i uderzył w stół otwartą dłonią.

— Dość, dość, ojczulku Krok! — zawołał z zachwytem. — Macie głowę na karku! Nie ulega wątpliwości, hrabia János jest obecnie w Bornócu. To jest równie pewne, jak to, że ja teraz z radością puszcę się w tany. Nawet z tą, jak jej tam, wdówką Hadasową. Niech mnie diabli porwą, jeśli tego nie zrobię.

Z tymi słowami chwycił kapelusz i skierował się do wyjścia. Już stojąc w drzwiach odwrócił się i powiedział do Kroka:

— Niech pan szybko zje kolację, ojczulku Krok, a potem weźmie moją karete i jedzie do Bornócu po hrabiego Jánosa. Powie pan, że kazałem mu natychmiast wracać razem z panem. A ja idę na wesele, mam tu jeszcze jedną ważną sprawę do załatwienia.

Przechodząc przez ciemny korytarz pan Fáy z wdzięcznością podniósł oczy ku niebu, z którego miliardy gwiazd patrzyły na niego, jakby chciały dodać mu otuchy i wskrziesić w nim nadzieję.

— Głupi chłopak — westchnął. Tak jak pszczoła: bije, tłucze skrzydłami w zamknięte okno, za którym stoi kwiatek pełen nektaru. Ech! A przecież okno otwiera się od wewnątrz.

## Rozdział dziewiąty

### PRAWDZIWA KRÓWKA

Fay miał w głowie chytry plan: był przekonany, że Döry dał Vidonce pieniądze i teraz wysyła go za granicę, ażeby pozbawić Buttlera najważniejszego świadka. To znaczy, że baron nie ma zaufania do Vidonki. Wynika stąd, że i Döry nie traci czasu nadaremnie: postawi tylko takich świadków, co do których ma pewność i którzy wszyscy jak jeden mąż będą świadczyli przed konsystorzem, iż ślub odbył się według wszelkich obowiązujących reguł.

W takich okolicznościach byłoby niewybaczalną lekomyślnością wypuścić z rąk tego jedyne cennego świadka i dać mu możliwość wyjazdu do Polski czy nawet do Ameryki. Przeciwnie, trzeba za wszelką cenę pozyskać tego Vidonkę i nie wypuszczać go z rąk. „To palec Boży — pomyślał Fáy — że Vidonka akurat trafił mi się po drodze”.

I dlatego właśnie teraz tak śpieszył do gości, pozostawiając samotnego starego Kroka. Oberżysta Griby bardzo się ucieszył ujrzawszy Fáyego („od pierwszej chwili wiedziałem, że wielki pan musi być porządnym człowiekiem”). A gdy ten, przyłączywszy się do gości, zaprosił do czardasza wdowę Hadasową, Griby gotów był oddać życie za niego. Fáy ledwo mógł doczekać się chwili, żeby odwołać na bok nowożeńca i choć trochę wymacać grunt.

— Słyszałem, młody człowieku, że opuszczacie nasz kraj.

— Niestety, tak. Cóż może zrobić biedak?

— Jednak wielka szkoda, że taki dzielny człowiek, taki zdolny majster wyjeżdża w obce strony.

— Z pewnością wielka szkoda — zgodził się rozczulony pochlebstwem Vidonka.

— Słyszałem o was dużo dobrego.

— Prawdę mówili. Ale co z tego? Trzeba wyjeżdżać. A skoro trzeba, to trzeba.

— A ja, widzicie, mam taką słabość, że grosza nie żałuję, żeby pomóc rodzimym talentom. Co byście powiedzieli na to, gdybym was zaprosił do pewnego majątku jako stolarza? Pensję otrzymacie uczciwą i możecie tam pracować i rozwijać swoją wiedzę i zdolności.

— Rozpłakałbym się i odpowiedziałbym jednak, że muszę wyjechać. Dajcie mi pokój!

Fáy rzucił się do boju. Wiedział, że teraz walczy z Dörym. To była bitwa, a na wojnie wszystkie środki są dopuszczalne.

— Słuchajcie, jakby to było cudownie! Mieszkalibyście ze swoją żoną w pałacu. Czulibyście się takim samym panem jak rządca. Lokaje także czapkowałiby i mówili imé panie Vidonka.

Stolarz westchnął.

— W majątku jest cały las wielkich stuletnich drzew orzechowych, a każde z nich takie, że i trzech mężczyzn nie może objąć pnia. Będziecie mogli ściąć każde, które się wam spodoba.

Vidonka jęknął. Twarz mu się wykrzywiła z bólu.

— A poza tym, co innego klecić skrzynie lub sąsieki dla polskich chłopów, a co innego rzeźbić złożone bielźniarki, w których księżne i hrabiny chowają swoje jedwabne halki.

Vidonka aż zadygotał. Rozbudzona ambicja owładnęła nim całkowicie.

— Oprócz dużej pensji w gotówce będziecie dostawać zboże, tłuszcz, drwa. Za każdą udaną rzecz, którą zrobicie — jeszcze parę złotych talarów; a ponadto подарuję waszej żonie krowę.

„Co takiego? Krowa dla Katuski? Prawdziwa krowa, krowa, która będzie żarła pańskie siano, a mleko dawała im? Może łaciata? Oczywiście musi mieć duże wymię i guzy na rogach, ażeby jego żoneczki nie bodła”. Ta propozycja ostatecznie zbiła z nóg Vidonkę. W jego oczach ukazały się łzy, nabiegały coraz obficie, a ponieważ spora ilość wypitego wina także nie była bez znaczenia, w końcu Vidonka sam zaryczał jak krowa.

— Nie mogę, w żaden sposób nie mogę — skamlał łamiącym się głosem — ja już jestem sprzedany.

Pan Fáy nie wyraził najmniejszego zdziwienia.

— Nic strasznego, zwrócimy temu człowiekowi pieniądze.

Vidonka zamyślił się, widać było po jego twarzy, iż dręczą go wątpliwości. Po chwili machnął rozpaczliwie ręką.

— To i tak nic nie pomoże. Wszystko skończone. Ten, kto mnie kupił, jest potężny. A co powiedział, to i zrobi: przyjdzie z karabinem i — bum! — strzeli we mnie. Fuk! — i wyleci ze mnie dusza. I nigdy już nie będę szanowanym imć panem stolarzem w majątku, a Katuska — moją żoną.

— No, niezupełnie tak, gdyż ten wszechwładny pan taki straszny jest tylko u siebie w domu, dla swojej czeladzi, no i może gdzieś w okolicy. Ale tam, dokąd ja was zabiorę, jest ktoś inny, stokroć od niego potężniejszy; w porównaniu z nim wasz pan jest tak mało wart, że nawet psy na niego czekać nie będą.

Jak wiadomo, pan Fáy był wielkim krasomówcą

i umiał przekonywać (nic dziwnego, że jako wiceżupan cieszył się taką popularnością). Całkowicie zbił z pantałyku Vidonkę i po tej rozmowie biedny chłopak kręcił się roztargniony wśród gości. Ale Fáy uznał, że to jeszcze nie wystarczy, szala wagi jeszcze nie przechyliła się na jego stronę, wahała się na razie to tu, to tam. Fáy czuł, że trzeba dorzucić jeszcze jeden ciężarek. Wciągnął w tę sprawę i Katuskę, i pana Gribyego, podnieciwszy ich swoimi propozycjami; zaczęli we trójkę z ożywieniem szeptać między sobą. Katuska i Griby po kolei usiłowali przekonać Vidonkę, co wywołało zamieszanie wśród gości, którzy zaczęli dopytywać się nawzajem: „Co to jest, u diabła? Nie słyszeliście, kumie? (lub kumo?)”. I drużba Vidonki, zezowaty hajduk barona Döryego — Gergely (co prawda, tutaj był w pańskim ubraniu i podawał się za podstarościego komitatu) poczuł swym psim węchem, że się dzieje coś niedobrego. Lecz gdy tylko podchodził do grupki rozprawiających z ożywieniem gości, rozmowa przechodziła na inny temat. Słowem, szale wagi wahały się do tej chwili, dopóki w pięknych oczach panny młodej nie ukazały się łzy — pierwsze łzy po ślubie. Jakąż ogromną siłę one posiadają! Jedna łza okazała się tak ważka, że zadecydowała o wszystkim; wypłynęła spod puszystych czarnych rzęs, a szala wagi przechyliła się od razu na stronę pana Fáyego.

Około północy wrócił do swego pokoju, ale nie rozbieirał się, tylko czekał: wiedział, że ziarno rzucone przez niego zacznie kielkować. Toteż ani trochę nie był zdziwiony, gdy drzwi otworzyły się cicho i Vidonka ostrożnie zakradłszy się do pokoju padł przed nim na kolana:

— Przyszedłem, kochany patronie, ażeby wyrazić zgodę na wszystko, co raczył mi pan zaproponować. Bóg poskąpił odwagi, ale żona dodała mi swojej, nabra-

łem śmiałości i wyrażam zgodę, aby zostać nadwornym imć panem stolarzem, i na krówkę. Ale to jeszcze nie wszystko, gdyż na moim karku siedzi zmora. Prawdziwy szatan. Vidonka nie ma siły strząsnąć go z siebie. A poza tym złożyłem przysięgę: co prawda Božia może jej nawet nie słyszała. A jeśli nie słyszała, to i wybaczy. Tylko ta zmora — od niej nie można się odczepić...

Potem Vidonka przyznał się, że Döry dał mu tysiąc guldenów i obiecał jeszcze dwa: za nie hajduk Gergely kupi mu w Polsce dom i stolarnię. Tenże hajduk dziś w nocy odwiezie go chłopskim wozem, który jest już wynajęty i stoi w szopie. A dwa tysiące guldenów zaszyte są w kieszonce kamizelki hajduka. Vidonka nie zataił i tego, że przysiągł przed Dörym na krucyfiks: niech go Bóg skarże, niechaj ziemia nie przyjmie jego prochów, jeśli on wcześniej niż za lat dwadzieścia wróci z Polski, gdzie będzie mieszkał pod obcym nazwiskiem! (Jednakże, jeśli w ogóle nie pojedzie do Polski, to znaczy, że nie będzie mógł stamtąd wrócić, wobec czego nie złamie przysięgi.) Ale jego przysięga — to drobiazg, gorzej z tą, którą złożył Döry.

Poprzysiągł, że jeśli gdziekolwiek spotka Vidonkę, to zastrzeli go na miejscu. Rozumie się, że jeśli nie spotka go nigdzie, to nigdzie go nie zastrzeli. Tego więc także można uniknąć. Ale zły duch, któremu Döry kazał go pilnować, to już naprawdę wielkie niebezpieczeństwo. Złowrogi hajduk chodzi krok w krok za nim i śledzi każdy jego ruch. Gdyby wielmożny patron zdołał cokolwiek z nim zrobić, wówczas wszystko byłoby załatwione. Siekiera miałaby rękojeść.

Fáy zamyslił się przez chwilę. Zły był na siebie, że odesłał swój powóz.

— Czy oberżysta ma jakiś wóz? — zapytał.

— Ma.

— No to sprawa całkiem prosta. Trzeba upić tego

diabła-hajduka, a tymczasem niech gospodarz zaprzęga do wozu i czeka gdzieś w mieście w umówionym miejscu. Zawczasu trzeba naładować na wóz skrzynię i pierzyny młodej żony. A ona sama niech nie żegnając się z nikim wyjdzie, niby po to, ażeby odpocząć trochę, a huzar będzie czekał na nią na ulicy przed „Gryfem” i odprowadzi ją do wozu.

Vidonce aż zęby zaszczękały ze strachu.

— Ajajaj! W nocy? Huzar? Młoda żona? Nie, na to się nie zgodzę! Co to, to nie.

— Ech, co za głupia zazdrość! Przecież ten huzar to stara ruina.

— A mógłbym tak zerknąć na niego?

— W takim razie wymyślimy coś innego. Wyjdźcie oboje po cichutku, niby to do kuchni albo do sieni całować się, jak to bywa w podobnych wypadkach.

— Bywa, bywa! — radośnie potwierdził Vidonka i oczy mu błysnęły. — Myśmy już dziś ze dwa razy wychodzili.

— No to teraz po raz trzeci wyjdziecie nie do sieni, a prosto do wozu, dokąd was huzar zaprowadzi; siądziecie na wóz — a potem szukaj wiatru w polu! Nie zatrzymacie się w drodze ani razu aż do samego Bozosa. Mój hajduk zawiezie tymczasem list do zarządcy, żeby zaopatrzył was we wszystko co trzeba, dał wam niezwłocznie mieszkanie i obronił przed każdym napastnikiem.

— A Gergely? — zaniepokoił się Vidonka.

— Gergely najpierw się spostrzeże, potem zacznie szukać, a po was już ani śladu! Zdobycz uciekła sprzed nosa.

— A jeśli zacznie nas ścigać?

— Niech tylko spróbuje! Ręczę, że odniosą go do domu na prześcieradle, zamówię u zarządcy dwadzieścia pięć takich kijów, że Gergely będzie to pamiętał do koń-

ca życia! Zarządca akuratny człowiek, a procenty płaci od razu.

Vidonka roześmiał się, odpowiadał mu taki wesoły obrót rzeczy. Wyciągnął rękę zdecydowany:

— No, dobrze! Oto ręka uczciwego człowieka.

Uścisnęli sobie ręce i twarz pana Fáyego rozjaśniła się triumfalnie. Westchnął głęboko, jak ktoś, kto wykonał ciężkie zadanie.

„No, teraz już wygraliśmy proces — pomyślał zadowolony. — Chciałbym, żeby Pereviczky widział, co potrafi były wiceżupan”.

Odechciało mu się spać. Miał przed sobą jeszcze wiele spraw do załatwienia. Trzeba było porozmawiać z Gribym o wozie, dać wskazówki huzarowi, napisać list do imć pana Budayego.

„Domine dilectissime! \*

Mój zaufany przyjacielu!

Zaangażowałem majstra nazwiskiem Vidonka do majątku jako stolarza, który będzie świadkiem w naszym procesie, a którego właśnie Döry chciał przy pomocy swych podłych machinacji usunąć z naszych oczu. Proszę się postarać, dilectissime, żeby jak najlepiej urządzić jego i jego żonę, niech opływa we wszystko jak pączek w maśle i niech do niego mówią imć panie. Nie mógłbym go, oczywiście, zaangażować de iure \*, zaangażowałem jednak, bo tak każe prudentia.\*

Trzeba go strzec jak oka w głowie, gdyż, być może, będą go śledzili, a nawet próbowali przeciągnąć na swoją stronę.

Obligatus servus \* — Stefanus Fáy de Fáj.

PS. Comes Joannes in amore profiscens offensus est. (Hrabia János do licha znalazł się, wyjechał w swoich miłosnych sprawach.)”

Skończywszy pisać ten list, Fáy nie położył się spać, dopóki nie zostało wykonane wszystko (a stało się to do-

piero około drugiej w nocy), co przewidział i zaplanował.

Wtedy dopiero zamknął drzwi, zatkał okno poduszką, ażeby zagłuszyć jęki muzyki, i wkrótce najspokojniej w świecie zasnął. Śniło mu się, że jest małym chłopcem i że znalazł jajeczko dzikiego gołębia. Zdyszany, rozradowany niesie to jajeczko do domu. Nagle spotyka pana Pereviczkyego, który ni stąd, ni zowąd przekształca się w kwokę. Kwoka dziobie jajko tak długo, aż skorupka rozpada się na dwie połówki i wyskakuje nagle brzydki czarny kotek. Miaucząc głośno biegnie do Fáyego i stuka łapkami tak głośno, jakby to nie były kocie łapki, ale cztery kamienne maczugi. Wtedy Fáy zbudził się przestraszony.

Słońce było już wysoko na niebie i zaglądało do pokoju przez okno, niezupełnie szczelnie zasłonięte poduszką.

Do drzwi stukał ktoś naprawdę. Ach, jak to dobrze! To znaczy, że czarny kotek śnił się tylko.

— Proszę wejść!

— To ja, drogi opiekunie!

— Ach, jesteś, ty taki owaki! Mam ci coś do powiedzenia. Zaraz otworzę, synu marnotrawny!

Otworzył drzwi i ujrzał przed sobą młodego czeladnika, tak pięknego, jakich malują tylko na miodowych piernikach, w życiu takich przystojnych młodych chłopców widuje się rzadko, albowiem każde rzemiosło wyciska swoje piętno na twarzy człowieka, który je uprawia. Rzeźnik tyje, rośnie mu drugi podbródek, twarz lśni — powiadają, że to od oparów, jakie unoszą się z ciepłego, świeżego mięsa, z którego on zdiera skórę. Krawiec chudnie, oczy mu się zapadają, plecy garbią. Na czole kowala od silnych uderzeń młotem w kowadło powstają zmarszczki i uwydatniają się kości policzkowe. Słowem, każde rzemiosło nakłada

swoje piętno na człowieka. Akurat wczoraj na weselu ktoś opowiadał, że przed dwoma tygodniami w Debreczynie zwariował jakiś uczony profesor od tego, że łamał sobie głowę nad zagadnieniem, dlaczego czeladnicy szewscy są tacy weseli, a sami majstrzy tacy ponurzy.

Buttler był bardzo przystojny w tym zwykłym, sukiennym ubraniu, kortwanowych butach, z ogorzałą twarzą. Fáy przeraził się: Przyszło mu na myśl, że jeśli János pojedzie do Bozosa, to „imć pan” Vidonka zzielenieje z zazdrości i jeszcze, nie daj Boże, ucieknie razem ze swoją Katuską.

— No, no, wejdz i siadaj!

Tym razem nie uściskał go, nawet ręki mu nie podał. Mył się, ubierał, a przez cały czas gderał i czynił wymówki.

— Coś ty za głupstw narobił? Jeśli stary Horváth dowie się o tym, będzie tak zły, że odzagna się od ciebie. Wiesz przecież, że to dziwak. Ale i w oczach innych takie postępowanie uchodzi za słabość. Powstanie opinia, że masz miękki charakter, że nie jesteś prawdziwym mężczyzną. A ileś ty stracił przez ten czas? Czyś już zapomniał o moim zaleceniu? Powinieneś był pojechać do Preszburga zapewnić sobie pomoc ze strony dygnitarzy, magnatów i wyższych duchownych, którzy się tam zbrali. A ty zamiast tego jedziesz wzdychać i brzdąkać na gitarze. A przez ten czas, gdy pilnujesz ukochanej w Bornócu, przegrywasz tu proces, a więc i dziewczynę. Nie, przyjacielu, w ten sposób nie osiągniesz szczęścia na tym świecie.

Buttler z miną winowajcy spuścił głowę i nic nie odpowiedział.

— A teraz łap posłów, szukaj wiatru w polu! Śladu po nich nie ma, jeśli nie liczyć tego, co pozostawiły ich sękaty palce na zielonych stolikach w Preszburgu. Teraz zaczęły się roboty w polu, i oni wrócili do swoich

majątków. Ale i niezależnie od tego, jakże można tak postępować? Czy to przystoi węgierskiemu magnatowi? Kto ty jesteś — nędzny komediant, rozbójnik z gór czy wilk z bajki Ezopa, zmieniający tyle razy skórę, ile tylko trzeba? A poza tym — i to jest najstraszniejsze — czy przystoi kawalerowi kompromitować niewinną dziewczynę? Ech, János, że też tego nie podszeptała ci dusza szlachcica. Widocznie usnęła głębokim snem!

— Nie panowałem nad swoim sercem — głucho odpowiedział Buttler. — Dowiedziałem się, że ona jest chora, i czułem, że umrę, jeśli się nie znajdę w pobliżu niej.

— Bzdury! Dlaczego miałbyś umierać? Widziałeś to kiedy, żeby dzban pękał sam dlatego tylko, że nie może stać obok wazonika z rezedą?

— Przysięgam, mój drogi opiekunie, że wcale nie miałem zamiaru spotykać się z nią! Chciałem tylko wiedzieć w każdej chwili, jak ona się czuje. Jestem taki nieszczęśliwy!

Spojrzał swymi pięknymi oczami na Fáyego, a było w nich tyle smutku, że staremu zrobiło się żal i zaczął z wolna łagodnieć.

— Imaginujesz sobie tylko te nieszczęścia. Tak robią wszyscy zakochani! A przecież miłość to wielkie bogactwo, osiołku. Tyle tylko, że nie zaspokaja w pełni. Żaden zakochany nie czuje się nigdy na tyle szczęśliwy, żeby mu jeszcze czegoś nie brakowało. Ale czy może uważać się za nieszczęśliwego, jeśli kryje w swej duszy największy skarb, jakiego nie zamieniłby na najdroższe klejnoty świata?

Mądre słowa działały na duszę Buttlera jak balsam: kiwał pokornie głową, jeszcze osypaną przydrożnym kurzem.

— No, czyż nie mam racji, co? Przecież ty wolisz dać wszystkie skarby świata za to, że Piroška istnieje, niż gdyby się nie urodziła. Albo że kocha ciebie, nie innego?

No co, milczysz? Widzisz, ty głuptasie, że jesteś szczęśliwym człowiekiem.

Po czym, wkładając rękę przez wycięcie kamizelki, przysunął się do Jánosa i przyjaźnie poklepał go po głowie. Ten zaś uśmiechnął się, gdyż taki gest oznaczał u starego całkowite pojednanie. A poza tym udało mu się przekonać Jánosa, że nie jest nieszczęśliwy.

— Widziałeś ją chociaż? — dopytywał się Fáy w jakiś czas potem, ale już żartobliwym tonem.

— Gdzież tam! Ona przez ten cały czas nie wstawiała z łóżka; dziś po raz pierwszy pozwolono jej pół godzinki posiedzieć przy oknie. Od dawna już marzyłem o tym dniu, ale widać jakaś klątwa wisi nad Buttlerami: akurat dziś mój opiekun musiał posłać po mnie tego człowieka.

— Kroka? No właśnie. Gdzieś ty go zostawił?

— Poszedł na śniadanie.

— No, bracie, niezbyt wesołe znalazłeś dla siebie zajęcie: strzyżenie krzaków, sadzenie, kopanie ziemi... no i marzenie. Aż dziwne, żeś stamtąd sam nie uciekł.

— Przeciwnie, byłem bardzo zadowolony, bo od przychodniej służby wiedziałem wszystko o Piroscie. Powtórzono mi, że ona w malignie mówi cały czas o swoim narzeczonym, o tym, że podróżuje z nim razem na statku, na tratwie, że razem na obłoku wzbijają się w niebo, bliżej słońca. Ach, jak przyjemnie było mi tego słuchać.

— Tak... no, ale żeby zdobyć te wiadomości, musiałeś latać za pokojówkami, przyznaj się, lowelasie!

— Jakże można mnie o coś takiego podejrzewać! — zaprotestował gorąco hrabia János.

— No, no, nie złość się, cnotliwy Józefie! Nie chciałem cię obrazić, chociaż jeśli mam powiedzieć prawdę, kocur to kocur i zawsze zostanie kocurem. Takie jest moje zdanie. Co prawda, nie każdy kot pożera mysz-

kę — niektóre koty tylko igrają z myszką... Mam rację, co?

Słyszac takie bluźniercze słowa Buttler zaczerwienił się po same uszy i potrząsnął przecząco głową.

— Dobrze, dobrze, dajmy temu spokój — rzekł pan Fáy pojednawczo. — Ja nie mam nic przeciwko temu. Byłoby mi jednak nieprzyjemnie, gdyby ktoś cię tam rozpoznał.

— Nie zbliżalem się nawet do domu, chyba tylko w nocy, dlatego że ciocia Bernáthowa ciągle tam krążyła i bałem się, żeby mnie nie spostrzegła. Prawdę mówiąc, pewnego razu omal sam nie uległem pokusie.

— Ach, tak! Więc jednak?

— Od chwili, kiedy Piroska zaczęła wracać do zdrowia, ogrodnik codziennie robił dla niej bukiet i posyłał go przez pokojówkę. Pomyślałem sobie, że i ja także mogę zrobić bukiet i ukryć w nim liścik, ale ogrodnik odepchnął mnie i powiedział: „Zabieraj się stąd, gamoni, co ty się na tym znasz?”

— A tyś nie dał mu w pysk?

— Wolałem ścierpieć wszystko, byle tylko być blisko niej, byleby mnie stamtąd nie wyrzucił.

— No, a w jaki sposób się rozstaliście?

— Ogrodnik nie chciał mnie puścić: teraz, powiada, jak już czegoś mnie nauczył, powinienem odsłużyć u niego co najmniej rok. I wówczas właśnie ten Brok czy Krok — diabelnie sprytna bestia — szepnął ogrodnikowi, że on jest tajnym agentem policji, nawet pokazał dokumenty. A o mnie powiedział, że ja — to słynny Dymitr Bavtya ze zbójckiej bandy Janosika. Usłyszawszy to Niemiec — ogrodnik nazywa się Müller — wystraszony od razu mnie odprawił. A za ten czas, który pracowałem u niego, zapłacił mi cztery cwancygiery.

— Masz je przy sobie? — zapytał Fáy stojąc przed lustrem i starając się uczesać z przedziałkiem: bez po-

śpiechu, starannie rozdzielał grzebieniem swoje srebrne włosy.

— Mam je tu w kieszeni.

— Pilnuj ich dobrze, mój synu, a gdy przyjdzie czas, oddaj narzeczonej — rzekł Fáy wzruszony — albowiem zaprawdę powiadam ci, tymi czterema cwancygierami silniej przywiążesz dziewczynę do siebie niż wszystkimi majątkami Buttlerów.

— Tak zrobię, kochany opiekunie.

— Hola, poczekaj! Zrobisz to, ale dopiero wtedy, gdy ja ci pozwolę, nie wcześniej. W ogóle musimy poważnie porozmawiać, hrabio pardański.

I twarz pana Fáyego przybrała uroczysty, prawie majestatyczny wyraz, a głos zabrzmiał słodko i smętnie jak dzwonek w kościele.

— Przymknij mi, daj słowo szlachcica, że pod żadnym pozorem nie będziesz starał się zbliżyć do swojej Piroski, póki ja ci na to nie pozwolę. A teraz — koniec! Nigdy już nie będziemy wspominać o tej słabostce ani nikomu opowiadać.

Buttler wyciągnął do niego rękę.

— Jaka drżąca! — zauważył Fáy.

— Wszystko jedno. Skoro daję rękę, to obietnicy dotrzymam.

— Wiem. Może nie będziesz musiał już długo czekać, bo i myśmy także nie zasypiali gruszek w popiele, tak jak ty. Gdybyś wiedział, do jakich przemyślnych sposobów musiałem uciekać się dziś w nocy, ażeby zatrzymać jako świadka pewnego słowackiego chwata — tego samego, który zmaistrował tę maszynę w pałacu Döryego. W domu opowiem ci ze wszystkimi szczegółami. Obiecywałem mu mirę, kadzidło i złoto, a nawet nadanie szlachectwa — chociaż wiesz dobrze, jaki jestem wściekły na Słowaków od tego czasu, kiedy zjedli moje tulipanowe cebulki. No, ale skoro trzeba było, to trud-

no! I teraz ten chłopak, chwala Bogu, jest już w Bozосу. Inne sprawy także przyjęły pomyślny obrót. Arcybiskup Fischer przyrzekł mi, że stanie po twojej stronie, twój przysły teść zapewnił sobie pomoc ze strony palatyna. Pereviczky jeździ od Annasza do Kaifasza i pisze, że za dwa-trzy miesiące można spodziewać się wyroku. Słowem, póki ja żyję, nie bój się niczego!

Buttler rozpromienił się; aż podskoczył z radości. Opiekun natchnął go nową nadzieją. Przypadł do pana Fáyego i skłoniwszy się głęboko ucałował mu ręce.

— Całego życia mi nie starczy, żeby się za to wszystko odwdziżyć.

— Dajże spokój! Ja nie jestem ksiądz — zaprotestował stary pan zmarszczywszy brwi. — Za co ty mi masz być wdzięczny? Nie jestem taki osioł, żeby za wszelką cenę zyskać twoją wdzięczność. Mam za to własną oddzielną nagrodę. Widzisz, za każdym razem, kiedy udaje mi się dokonać takiej sztuki jak z tym Vidonką — ukazuje mi się moja siostrzyczka Maria, twoja nieboszczka matka, patrzy na mnie z nieba i mówi do twojego ojca: „No, ale szelma ten stary Pista!”. I gdy o tym pomyślę, tak mi się robi wesoło, tak wesoło...

Próbował się uśmiechnąć, pokazać, jaką wesołość wywołuje na jego twarz ta myśl, i dopóty rozciągał usta i mrużył oczy, dopóki nie błysnęły w nich dwie wielkie łzy.

## Rozdział dziesiąty

### NIEWIDZIALNE RĘCE

Szumiały jeszcze lasy na wzgórzach ungvárskich, ale już nie tak jak wtedy, kiedy to w leśny szum włączały się głośnie westchnienia Buttlera.

Wiele drzew zginęło od tego czasu, a mało wyrosło. Starzeje się ziemia, stygnie. Gigantyczne zwierzęta, potężne drzewa i wielkie namiętności zaczynają znikać z powierzchni ziemi.

Wciąż jeszcze ptaszki wiją gniazdka, jeszcze śpiewają i ćwierkają o miłości, jeszcze przefruwają nad Bozosem w stronę Bornócu boże krówki. Ale czy ktoś zwraca na to uwagę!

Tu i ówdzie można zobaczyć jeszcze wywrócony kamień graniczny z wyrytą na nim literą „B”. Ale czy to coś oznacza? Pod pługami rolników błysnie od czasu do czasu guzik lub sprzączka albo też z rozprutej piersi ziemi-karmicielki wyłoni się na pół przegniły obcas pańskiego buta... i ruski chłop, idący za pługiem westchnie: „Ech, może ten but należał do hrabiego Jánosa!”.

A potem będą opowiadali bajki o dobrych dawnych czasach, jak to było wtedy! Jak to zajeżdżały tutaj powozy i karety z forysiami i hajdukami. Teraz sam król tak się nie ubiera, jak strojni byli w owych czasach huzarzy Buttlerowscy, ludzie przypomną sobie to i owo, wspomną ten wielki proces i tak dalej... i tak dalej...

W owych czasach nawet chłop był sam sobie panem.

Szczególnie jeśli chodziło o palenie w piecu. Teraz to i drew nie dla wszystkich starcza, a wówczas wszędzie walały się drzewa ścięte w pańskim lesie. Wyrąb lasów zapoczątkował już imć pan Buday. Każdy, kto się nie lenił, razem ze swoimi domownikami taszczył do domu zwalony dąb, a nikt chłopca nie pytał, skąd go wziął. I wówczas nikt nie upatrywał w tym żadnego przestępstwa, jak to się dzieje teraz, gdy ktoś podniesie z ziemi słomkę, żeby przeczyścić munsztuk fajki.

A więc ogromne pnie wciągano do sieni, gdzie naprzeciwko drzwi znajdował się piec. Wsuwano jeden koniec i podpalano. Ludzie grzeli się przy kominie i gotowali jedzenie. Gdy część polana spłonęła i zamieniła się w popiół, pchali je w piec dalej, jak tylko mogli najgłębiej. Tak mijały dni i tygodnie; stopniowo zmniejszał się dąb-olbrzym, jak to się dzieje z ołówkiem stolarza.

Rzecz jasna, że dopóki nie spaliło się całe bierwiono, nie można było zamknąć drzwi od sieni, gdyż sterczało za próg. Oczywiście nie było to bardzo wygodne, ale rąbać i piłować drzewa chłop także nie lubił. Z dwojga złego wybrał mniejsze — wolał nie zamykać drzwi. W każdym razie kosztowało go to mniej wysiłku...

Przed domem stoi ławka, na podwórku pod morwą druga, to tu, to tam widać jeszcze inne ławeczki. Nawet w dni powszednie na każdej z nich siedzi jakaś baba w fartuchu; wygląda to tak, jakby się kwoki rozsiadły.

W domu na wysokim łóżku wśród pierzyn wyleguje się przez całą noc aż od późnego ranka młódka. U góry nad nią, na sznurkach zwisających z powały kołysze się koryto, w którym leży niemowlę. Jeśli dziecko zapłacze, nie ma żadnego kłopotu: matka pchnie nogą kolebkę, a ta zacznie się kołysać. Huścić na rękę dziecko przez całą noc to uciążliwe zajęcie, a pchnąć nogą kołyskę można nawet i przez sen. Jeśli koryto zacznie kołysać się zbyt mocno, to dzieciątko albo wypadnie z niego,

albo nie. Jeśli nie wypadnie — to dobrze, matka nie ma kłopotu, a jeśli nawet wypadnie, to blisko, tylko na jej łono. Jeśli nie wypadnie, ale zacznie płakać, to i na to jest sposób — ładna kołysanka, którą na pół przez sen śpiewa matka swojemu maleństwu:

Spij, dzieciно, zaśnij już,  
we śnie błogim oczka zmruż.  
Bozia ześle ptaszka tu,  
tatuś klatkę zrobi mu.  
Mama kaszki z mleczkiem da,  
hrabia János cukierka.

Dużo wody upłynęło od tych czasów. Dawno wyrosły, a potem zestarzały się i przeobraziły w bezzębne starsuszki i siwowłosych starców ówczesne niemowlęta, które jadły te cukierki, kołysały się w kolebkach i usypiały przy łagodnym śpiewie matki.

Jeśli dzisiaj wiedzą coś o „wielkim procesie” — to tylko z opowiadań.

A w swoim czasie postawił on na nogi cały kraj, od Wiednia do Munkácsa. Nawet dalej, w Brassó i gdzie indziej, kobiety, wracając z kościoła, rozprawiwały o procesie: „Jak to się wszystko skończy?”

Protestanci, katolicy, księża i mieszczanie, wielcy panowie i mali — wszyscy podzielili się na dwa obozy, cały kraj z zapartym tchem śledził przebieg procesu, jak gdyby to była akcja jakiegoś dramatu, od wyniku którego zależą zasiewy.

Gdy umarł Józef II, to mimo surowego nadzoru czyjaś bezbożna ręka (policja nie zdołała dociec, kto to uczynił) na jego sarkofagu nakleiła kartkę z paszkwilem, którego dwa ostatnie wiersze brzmiały tak:

Sein Kopf und Herz wird nicht verwesen  
Denn sie sind von Stein gewesen.

Ten dwuwiersz dobrze przetłumaczył na węgierski András Dugonics, profesor uniwersytetu w Peszcie:

Jego serca i głowy śmierć też nie odmienia,  
Bo miał jedno i drugie z kamienia.

Święta prawda! Wszyscy bali się, że tradycje Józefa nie umrą, tak były jeszcze świeże.

Duchowieństwo pilnowało się i starało nie dopuszczać do rozgłosu swoich wewnętrznych spraw. Lepiej już zatuszować księzowskie grzechy, aniżeli je obnażać, albowiem błędy poszczególnych osób mogłyby zaszkodzić całemu duchowieństwu. Moźni świeccy skłonni byli wyciągać wnioski, oparte na fałszywych przesłankach. Karykatury z tych czasów ukazywały Józefa II z dwoma workami na szyi: w jednym był kler, a w drugim węgierska konstytucja. Monarcha, wymachując rękami, uderzał to w jeden, to w drugi worek.

Świeccy magnaci na tyle przywykli do takiego postępowania ze strony Józefa, że nawet i po jego śmierci, kiedy zostawił na wieki porządnie wymłócone oba worki, wpadali w lęk, jeśli ktoś dotknął jednego z nich, jak gdyby się bali, że zaraz przyjdzie kolej na ten drugi. W rzeczywistości zaś w jednym worku były raki, a w drugim drożdże, rzeczy, jak wiadomo, najzupełniej ze sobą nie związane.

Wszystko jedno. Magnateria doszła jednak do wniosku, że sprawę ślubu w Olaszröszke należy poprowadzić z wielkim taktem.

...Ach, ten takt! Jest jak parszywy pies, wiecznie pętający się w naszym kraju pod nogami sprawiedliwości.

Niewidzialne ręce poszły w ruch. Nie wiadomo, w jaki sposób i skąd, ale nagle całe zgraje wszelkich pośredników, niby szarańcza, ruszyły — jedno do Pataku, drugie do pałacu w Bozосу.

Powiernik arcyksiężnej Marii Elżbiety, cieszący się

wielkimi wpływami na dworze, potężny hrabia Ferenc Zichy uświadomił sobie nagle, że jest on właściwie krewniakiem Fáyego, a więc powinien z całą rodziną złożyć mu wizytę.

Gdy siedzieli w palarni, hrabia Zichy bąknął o tym, że Jej Wysokość Arcyksiężna Maria Elżbieta rada by usłyszeć, że Fáy gotów jest wpłynąć na hrabiego Buttlera i namówić go do tego, aby pogodził się z żoną, zamiast kompromitować szlacheckie rody i obniżać prestiż kościoła.

— Ależ, Ferenc, mój drogi — zaprotestował Fáy z kwaśną miną. — Ona nie jest jego żoną.

— O to właśnie chodzi. Niechaj uzna ją za swoją żonę!

— A jeśli on jej nie kocha?

— Ech, czyż nie może się opanować, skoro tego wymaga dobro publiczne?

— Cóż to za dobro publiczne?

— Spokój i zgoda w narodzie, respekt dla kościoła — wartości niezachwianych nie wolno burzyć w opinii publicznej.

— A on jednak kocha inną.

— Ach, dajże spokój! Na takie rozumowanie może się zdobyć szewc, który bierze sobie za żonę jakąś tam Zsófikę, a potem ona staje się dla niego jucznym zwierzęciem, jego rozkoszą, jego służącą, przyjaciółką, towarzyszką życia i doradczynią! Oczywiście, on trzyma się tej, którą w tym celu sobie wybrał. Ale inna sprawa, jeśli chodzi o takiego pana, tak wielkiego magnata, jak Buttler. Żona potrzebna mu jest tylko po to, żeby pokazywać się z nią publicznie, żeby go reprezentowała. A do tego trzeba, żeby suknia na niej ładnie leżała, jeśli zaś o miłość chodzi — mój Boże, tyle kwiatów rozkwita na tym świecie! I niech sobie Buttler zrywa ten kwiatek, do którego ma pociąg.

Wszystko to podawał Ferenc Zichy przyprawione odpowiednim sosem, przy czym ze specjalnym naciskiem zaznaczał, że w razie korzystnego rozstrzygnięcia tej sprawy, Fáy doczeka się wysokiej nagrody. Słyszając te słowa, pan domu jeszcze bardziej spochmurniał; stawał się coraz mniej rozmowny, aż w końcu całkiem umilkł. Żegnając się z nim Zichy jeszcze raz zapytał:

— A więc co mam powiedzieć arcyksiężnie? Co mam jej powtórzyć?

— Powiedz, że ja jestem szewcem.

W tym samym czasie Jánosa Buttlera odwiedził w Bozосу hrabia Antal Mojżesz Cziráky, ten sam, który później został sędzią kurialnym, gratissima persona \* na dworze wiedeńskim, ulubieniec cesarzowej Ludwiki. Urządził się tak, jak gdyby pojechał do Ungváru na polowanie do hrabiego Schönborna. Jednakże, jak to dowcipnie zauważył jeden z myśliwych György Lónyai, „hrabia przyjechał polować na dziki, a chce zastrzelić gołębia”. Z Ungváru Cziráky pojechał do Bozосу, gdzie zapoznał się i zaprzyjaźnił z Jánosem Buttlerem; bawił u niego dwa tygodnie i przez ten czas ze sprytem zawodowego dyplomaty przekonywał swego nowego przyjaciela, żeby zapomniał o Piroscie i zostawił sprawy w tym stanie, w jakim są. Traf zrządził, że w tym samym czasie przejeżdżał tamtędy Jego Eminencja biskup siedmiogrodzki Sándor Rudnay — w nocy zajechał do pałacu w Bozосу, gdzie — znów przypadkiem — spotkał się ze swoim najmiłszym przyjacielem i kolegą szkolnym hrabią Czirákym. Rażno wziął się do dzieła i biskup, a obaj tak długo prowadzili rozmowy z hrabią Jánosem, że ten skłaniał się to w jedną, to w drugą stronę niczym młoda jabłonka, której korona ugina się pod silnym podmuchem wiatru.

Jednakże namowy okazały się bezskuteczne, albowiem choć jabłoń się ugina, łamιά jej gałázki, opada

listowie, ale pozostaje coś, czego w żaden sposób zmienić nie można: kwiecie nadal pozostaje różowe.

Jednakże — niestety! — i na tym sprawa się nie skończyła. Niewidzialna ręka próbowała wszystkich sposobów. Hrabiemu Jánosowi zaproponowano wysoki urząd nadzupana ungvárskiego, ale za pewną cenę, której on nie przyjął.

Zdarzyło się również, że młody hrabia Pál Schönborn, przebywający stale w Wiedniu, przyjechał na lato wraz z żoną do Ungváru. Przywieźli ze sobą słynną w owych czasach aktorkę Elizabeth Clareton, którą cesarz nazywał swoją „miłą koteczką”. Panna Clareton jakoby uczyła śpiewu hrabinę Schönbornową. Młodzi małżonkowie oczywiście zaprosili do siebie Buttlera i aktorka zakochała się w nim śmiertelnie; ta czarująca uwodzicielska syrena, zwiewna jak nimfa leśna, zapłoniwszy się wstydliwie, wyznała mu miłość od razu przy drugim spotkaniu w parku — do trzeciego nie doszło, gdyż hrabia Buttler nie przyjął następnych zaproszeń małżonków Schönbornów.

„Stronnicy” Piroski uważali to wszystko za pomyślne znaki. Stary Fáy, jeśli przyjeżdżał do Bozосу na „pierożki”, jak mawiał (albowiem gosposia Kaporowa, którą już pogrzebał doktor Griby, robiła je wyśmienicie tak jak dawniej) — opowiadał wesoło o tych różnych pokuśach, z jakimi spotykał się János.

— Oni czują widocznie, że konsystorz unieważni to małżeństwo, w przeciwnym razie nie zachowywaliby się tak bezwstydnie. Chciałbym tylko wiedzieć, kto kryje się za tymi pośrednikami? Döry? On nie jest dość silny. Jezuici? Możliwe! Tak czy inaczej, ktoś tu działa. My widzimy tylko pióra pawie, a samego ptaka nie widzimy.

Tak to na projektach i nadziejach upłynęło całe lato. Pereviczky odwiedził wszystkich członków konsystorza,

sześciu kanoników, a tydzień przed tym posłał „generalnemu audytorowi caesarum” dwa złote półmiski ze skarbcza Buttlerów. Potem odszukał w Ludányu, w komitacie nógradzkim, madame Malipau, która została gubernantką w rodzinie państwa Gyürkych i opowiedziała, że proboszcz w Olaszrösške, ksiądz Szucsinka, kochał się w baronównie Marisce Döry i co rano osobiście kładł na jej oknie bukiet kwiatów. Madame strofowała go nawet za to, gdyż uważała, że taki stosunek nauczyciela do uczennicy jest niewłaściwy. Jednakże nic bardziej obciążającego Marię Döry madame przytoczyć nie umiała.

W Bozосу odbywały się często narady. Ze dwa razy przyjeżdżał i stary Horváth. Poza tym kręcili się stale różni krewniacy Buttlerów: Majláthowie, Sztárayowie, Perényiowie, Lónyaiowie, Korláthowie — ci wszyscy starali się, ażeby małżeństwo Buttlera zostało unieważnione. Czasami kucharka nie nadążała z robotą i do pomocy poczciwej Kaporowej wzywano piękną młodą Vidonkową, która w swoim nakrochmalonym fartuszkuz i białym jak śnieg czepeczku, obszytym delikatną koronką, była rzeczywiście prześliczna. Czasami wielcy magnaci sami zaglądali do kuchni, niby to po węgielek do fajki, i gdzie mogli podszcypywali Katuskę, nic sobie z tego nie robiąc, że za drzwiami stoi, gryząc wargi, stolarz, szarpany męką zazdrości, wysapując gniew i połykając gorycz.

W starym pałacu zawsze było ludno i gwarno. Podwórze zatłoczone pojazdami; próżnujący stangreci łązili za wiejskimi młódkami, chociaż odbić żonę podejrzliwemu i przezornemu Rusinowi bynajmniej nie tak łatwo. Taki to i łąty na swoich nowych parcianych portkach przyszywa zawczasu, przy czym robi to tak zręcznie, żeby w razie czego na kolanie rozdarły się nie spodnie, tylko sama łąta.

Nie tylko krewniacy, ale i wyższa szlachta komitatu: Oroszowie, Petrovayowie, Ajtayowie, Szerencsyowie, Bóthowie — zauważyli otwarte gościnne wrota pałacu. Przybyli do wielkiego nababa i oblepiali go jak osy dziuplę z miodem. Oni to przyzwyczajali Jánosa do polowanek, kart i do wina. A to właśnie było mu na rękę: gdy pił, zapominał o wszystkim, a gdy zapominał, był szczęśliwy.

Stopniowo Buttler stawał się dobrym kompanem. Spędzał czas z gośćmi, grał w karty, bawił się, polował, słowem, brał udział we wszelkich możliwych rozrywkach. Dał się również wciągnąć do publicznych spraw komitatu, tak że na jesiennej sesji zabrał głos, witany gromkim wiwatem. Wielki magnat bez trudu staje się wielkim człowiekiem. Buttler wystąpił w sprawie nie tak bardzo ważnej, mówił tylko o konieczności naprawienia drogi, ale to nie miało znaczenia — zbierał laury, godne krasomówcy takiego jak Kölcsey \*. Ci, co mieli sposobność słyszeć Kölcseyego, teraz łamali sobie głowę, który z nich jest lepszym mówcą.

Owacje towarzyszyły hrabiemu również i po sesji komitatu; ściśle mówiąc, dopiero teraz się zaczynały. Stale znajdowali się wielbiciele „wielkiego mówcy”, którzy śpiesznie wsiadali do swoich karet, powozów i bryczek, ażeby odwieźć go do Bozосу. Spodziewali się, że czeka ich tam lukullusowa uczta.

Tak też i było. Na długość pięciu sal rozstawiono stoły, uginające się pod ciężarem potraw, podawanych wyłącznie na srebrze; zarzynano woły, ofiarą uczyty padało bez liku kaczek i gęsi. Buday zwoływał wszystkie kobiety ze wsi umiejące jako tako gotować i wspólnymi siłami przygotowywały one ucztę, podobną do tej, o jakiej opowiadał Miklós Eszterházy \*, który w ubiegłym tygodniu wrócił z koronacji rosyjskiego cara.

Krótko przygotowywana biesiada trwała jednak dłu-

go: już zbliżała się północ, a panowie wciąż jeszcze siedzieli za stołem i przepijali do siebie zaczerwienieni, rozgorączkowani, opróżniali czary i kielichy. Słowa łąły się obficie anizeli wino, a przy każdym toaście wynoszono pod niebo zalety młodego hrabiego.

W żadnym ogrodzie nie znalazłbyś tylu kwiatów, ile ich przewijało się w tych mowach, a takiej ilości miodu nie zebrałoby się i w stu ulach. Goście wykorzystywali wszelkie sposoby, ażeby pochlebić gospodarzowi.

Pito za szczęśliwy wynik procesu (podobno za tydzień ma się zacząć przesłuchiwanie świadków); pili za zdrowie arcybiskupa Fischera (niewielki zadatek nie zaszkodzi księżom). Niejaki pan Viczmándy wznosił toast za zdrowie „nieobecnej”. Wszystko jest w domu magnata, brak tylko delikatnej lilii na głównym miejscu przy stole. Lilia zaś dręczy się teraz w ogrodzie w Bornócu i tęskni za słońcem, które przesłoniły jej chmury. Ale słońca, panowie, nikt nie ukradnie!

Wielce szanowni przedstawiciele komitatu nagrodzili mówcę burzliwymi oklaskami i gromkimi wiwatami, albowiem w owych czasach istotnie nie można było porwać słońca; teraz wprowadzie także nie można, lecz przedstawiciele komitatu już nie urządzaliby podobnych owacji z powodu faktu tak prozaicznego.

W tym samym czasie, kiedy na sali rozprawiano o liliach, ich wdziękach i aromatach, za oknami lunął rzęsy deszcz. W potężnych podmuchach wichury trzęsły się i uginały wiekowe drzewa, strugi deszczu wpadały przez szpary w ramach okien i kilku lokajów zajętych było wycieraniem powstałych kałuż.

Tym razem gości było tak dużo, że całą służbę postawiono na nogi; nawet sam zarządca, wielce szanowny pan Buday, wnosił pod pachą butelki wina.

Katuska podawała czarną kawę, a Vidonka z niebywałą zręcznością wyciągał zębami korki.

Nagle błyskawica oświetliła park, a w chwilę później od strasznego grzmotu zatrzęsły się potężne ściany; na stołach zatańczyły filiżanki i kielichy. Potem nastąpiła grobowa cisza i hrabia János oznajmił:

— Zdaje się, że w dom uderzył piorun.

W tej samej chwili głośno zaskrzypiały wrota. Goście wyteżyli słuch: słychać było, jak na dziedziniec wjeżdża jakiś ciężki powóz.

— Vidonka! — rozkazał hrabia — wyjdźcie i zobaczcie, kto przyjechał. Kimkolwiek jest podróżny, trzeba przygotować dla niego wieczerzę i nocleg. Psia pogoda dzisiaj! Słuchajcie, Vidonka, jeśli ten przybysz jest kimś z panów, możecie go tu wprowadzić.

Po dziesięciu minutach Vidonka wrócił błądy jak trup: kolana się pod nim trzęsły, zęby szczękały.

— Któż to tam? — zapytał Buttler. — Febra was trzęsie, Vidonka! Dlaczego nie odpowiadacie?

— Jaśnie pani hrabina jest tutaj — wychrypiał Vidonka.

— Jaka hrabina? — zdziwił się hrabia.

— A małżonka jaśnie pana hrabiego, Maria Döry!

## Rozdział jedenasty

### DWA PIĘKNE OBRAZY

W sali zapadła grobowa cisza, którą mąciło tylko uroczyste tykanie wielkiego zegara z brązu: tik-tak, tik-tak. W kandelabrach płonęły świece, rzucając migotliwe cienie na ścianę obwieszoną od góry do dołu wieńcami jelenimi, rogami turów i innymi trofeami myśliwskimi.

Hrabia Buttler w milczeniu wbił spojrzenie w Vidonkę, jakby przed nim ukazał się upiór. Ręka mu drgnęła, wypadł z niej kielich i rozbił się, a szlachetne wino utworzyło na obrusie żółtą plamę, płynącą w stronę Já-nosa. W innych okolicznościach rozległyby się pikantne okrzyki: „Ohoho, zanosi się na chrzciny”. Ale teraz nikt nie powiedział ani słowa. Zdawało się, że wszyscy boją się przerwać to straszne milczenie, płoszące na ustach gości żarciki i dowcipy, tylko z sąsiednich sal dobiegał wesoły gwar. Tam jeszcze nikt nic nie wiedział.

Teraz pan Buday otworzył drzwi i pierwszy zmałcił ciszę. Zarządca wraz z Vidonką wyszedł na dziedziniec słysząc turkot pojazdu, jednakże zorientował się, że z taką niedobłą nowiną lepiej posłać najprzód stolarza, sam zaś przerażony zjawił się nieco później. Teraz także nie śmiał odejść od drzwi i stanąwszy patrzył na wykrzywioną kurczowo twarz Buttlera, wyrażającą bezradność i dezorientację.

Biedny, poczciwy zarządca, miał niedobry zwyczaj myślenia na głos. Starał się ten nawyk przezwyciężyć,

ale teraz oczekując w napięciu, co podejmie jego pan, nie wytrzymał i powiedział półgłosem, jakby do siebie, ale w grobowej ciszy każdy to wyraźnie usłyszał:

— A biedna pani chora.

Być może, że te właśnie słowa wpłynęły na odpowiedź Buttlera.

— No, cóż się tak na mnie gapicie? — wykrzyknął gniewnie, ochryplym głosem, nie spuszczać nieruchomego spojrzenia z Budayego. — Po co mi o tym meldujecie? Skoro przyjechała tu taka nieszczęśliwa, to dajcie jej schronienie. Nie leży w zwyczaju Buttlerów wypędzanie kogoś, kto przybywa pod ich dach, choćby to był zbrojca, żebrak czy wróg. Nigdy nikogo nie pytali, kim on jest i jak się zwie.

Przy tych słowach János chwycił ze stołu flaszkę wina i opróżnił ją jednym haustem.

Buday zrobił kilka niezdecydowanych kroków i znizywszy głos zakomunikował:

— Pani nie jest sama, jaśnie wielmożny panie.

— A z kim?

Zarządca wahał się chwilę — czy może taką wiadomość podać na głos wszem i wobec?

— Jest z nią... jest z nią...

— No któż z nią jest?

— Sam nie wiem, jak to powiedzieć. Jest z nią... ta... babka z Újhely.

Pan Buday wypalił to i śpiesznie się ulotnił w obawie przed reakcją, jaką powinny były wywołać jego słowa; wolał usłyszeć o tym od innych.

Boże święty, co się tam działo, jakie powstało zamieszanie! Co za historia! Co za niesłychana historia! Jak to? Ośmieliła się przybyć tu, i to jeszcze w takim stanie!

Zaskakująca wieść w mgnieniu oka obudziła w ludziach niskie instynkty: jeden okazał się zawistnikiem, który w cichości ducha cieszy się z cudzego nieszczęścia,

inny faryzeuszem, który swym biadaniem zatruiwa atmosferę, ktoś znów ciekawskim, chcącym dowiedzieć się więcej, a jeszcze inny plotkarzem, którego judzi szatan gadatliwości. Jedni zerwali się, żeby jak najszybciej roznieść po salach tę wiadomość, inni bez słowa zamieniali się spojrzeniami, kryjąc uśmiech, niektórzy liczyli na palcach miesiące, przy tym ci delikatniejsi robili to pod stołem, a bardziej cyniczni — otwarcie: maj, czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, razem pięć miesięcy! Cha, cha, cha! — pięć miesięcy. Za oknem wiatr huśtał korony drzew, a chwilami wpadał do sali, jak gdyby powtarzał razem z innymi: Cha, cha, cha! — pięć miesięcy. Nawet zegar zmienił tykanie i zdawał się wtórować: tik-tak, pięć-pięć, tik-tak — pięć-pięć miesięcy!

Buttler oparł się plecami o fotel, na czoło jego wystąpił zimny pot. Jak błyskawica oświetliła ciemne tło wszystkiego, co dotychczas zaszło. Stało się jasne, co zmusiło Döryego do takiego postępu, co spowodowało pośpiech i doprowadziło do gwałtu nad nim. Wszystko zrozumiał, wszystko... O, cóż za hańba, cóż za wieczna hańba! Ze ścian ogromnej sali patrzyli surowo jego antenaci — rycerze z rodu Buttlerów, w hełmach i zbrojach, kiwali głowami, tak mu się zdawało, z groźbą, jak gdyby chcieli zapytać: „No i co ty na to powiesz?” A olbrzymi Georg Buttler skierował swą włócznie wprost na Jánosa.

Hrabia drgnął i zamknął oczy. Nie, to tylko przywidzenie. O, Boże, przecież to wszystko tylko mu się wydaje. Ale gdyby ten witeź bez skazy wstał teraz z grobu, to jego włócznie skierowana ostrzem przeciwko Jánosowi byłaby bardziej prawdziwa niż na tym portrecie, gdzie jeździec na białym koniu trzyma ją uroczyście w jednej ręce, jak przystoi heroldowi królewskiemu podczas koronacji — a w drugiej miedzianą surmę, tak-

że nieruchomą, namalowaną! Gdyby portret ożył, a ten jeździec podniósł surmę do ust, o czym zaczęłyby trąbić? W jej dźwiękach zabrzmiałby zew: „Zabij!”.

Krew kipiała Jánosowi w żyłach, w głowie huczało, pierś wznosiła się ciężko. Zdawało się, że wszyscy antenaci ze ścian sali, jak gdyby na znak olbrzyma Georga, zaczęli krzyczeć jednogłośnie: „Zabij! Zabij!”. Każdy dźwięk wydawał się uderzeniem młota. Mnóstwo młotów huczało w głowie Jánosa Buttlera. Walily i walily, jakby chciały wbić jedną myśl: „Zabij, zabij!”. No, dobrze, zabiję — postanowił i wstał szybko.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na niego. Na ścianach sali rycerskiej, w której były nakryte stoły dla gości, wisiała najrozmaitsza broń: strzelby, pistolety. Wystarczyło sięgnąć po jedną z nich... No tak, ale ci panowie siedzący tutaj wyrwą mu broń z ręki...

— Pozwólcie mi oddalić się — powiedział, a głos jego brzmiał tak, jak gdyby wydobywał się spod ziemi. — Muszę napisać do mego adwokata o tym niemiłym wydarzeniu. A wy bawcie się tymczasem beze mnie.

Udał się do swego gabinetu. Dwóch lokajów niosło przed nim zapalone świece.

— Możecie odejść!

Wysunął szufladę, w której zawsze leżał naładowany pistolet, i zaczął go teraz szukać. Pistolet był pod papierami i hrabia długo musiał grzebać w szufladzie, zanim go znalazł. Patrzy i widzi: pod kurkiem zwinięta biała wstążeczka i jakiś suchy badylek. János potrzymał go w rękę, dumając, skąd on się tu wziął i czy czasem nie zanieczyścił zamka. Przez ten czas, gdy hrabia sprawdzał i przedmuchiwał pistolet, przypomniał sobie, że ten suchy badylek to właśnie ów biały kwiatek „iskierka”, którą przywiózł mu z ogrodu Horvátha pierwszy papierowy okręciak płynący strumykiem, a biała wstążeczka to ta sama, którą był przewiązany pierw-

szy list Piroski. Te relikwie miłości przywiezione z Paktaku schował do szuflady jego kamerdyner. Od tych miłych wspomnień zrobiło się Jánosowi cieplej na sercu i nie mógł powstrzymać się od słów: „Kochana, po coś ty przyszła do mnie teraz? Czego się spodziewasz ode mnie w tej chwili, gdy ja zdecydowałem się na zbrodnię? Chcesz mi stanąć na drodze, zepsuć pistolet? Powiedz, czego ty chcesz?”

I zaschnięty kwiatek odpowiedział:

„Wówczas, pamiętasz, uprzedzałem cię, żebyś nie ruszał się z miejsca, żebyś nie chodził do lasu, tylko został w domu — w przeciwnym razie nieszczęście nieuniknione. Dziś powtarzam ci to samo. Byłem biały, teraz żółkłem, ale moja rada pozostała niezmienną: nie ruszaj się z miejsca, bo będzie nieszczęście”.

Nagle ktoś zapukał do okna. Buttler drgnął zaskoczony i podniósł głowę. Ach, nic nadzwyczajnego, to tylko ptaszek, przemoczona mała jaskółeczka, która odbiła się od stada. Inne ptaki przedwczoraj już odleciały wielkimi gromadami na południe, a ona, biedactwo, została w tyle i drży teraz w przejmującym, jesiennym chłódzie. Ukryła się na parapecie, ale deszcz i tu nie przestał jej prześladować. Szuka więc schronienia. Buttler zlitował się nad ptaszyną, trzeba ją wpuścić, przecież to ptak Najświętszej Marii Panny.

Odłożył pistolet i otworzył okno. Jaskółka wpadła do pokoju i zaczęła krążyć. Z jej przemoczonych skrzydełek kapiała woda na podłogę, na meble. Wreszcie ptaszyna usiadła na szczycie wielkiego lustra w złotej ramie, akurat w tym miejscu, gdzie był wyrzeźbiony herb rodu Buttlerów, i zaszczębiotała wesoło. Hrabia ujrzał siebie w lustrze potarganego, z wykrzywioną bólem twarzą, z dzikim wyrazem oczu, a za plecami — łagodne, dobrotliwe kobiece oblicze, patrzące na niego z odbitego w zwierciadle portretu jego matki, Marii Fáy.

Jej różowe wargi zdawały się uśmiechać do niego, a miły głos mówił: „Synku, synku, jakże ty byś mógł zabić człowieka, skoro litujesz się nad ptaszyną?”

Hrabia odwrócił się, żeby pod tym portretem wypłakać swój ból i żal.

Usiadł naprzeciw przed biurkiem i tak długo, natarczywie się przyglądał, aż w końcu miał wrażenie, że portret ożył. Zaszleściły koronki białej jedwabnej sukni, opinającej ciasno smukłą kibić, błysnęły sznury pereł.

Obok portretu matki wisiał drugi obraz, przedstawiający Marię Pannę — znakomita kopia tycjanowskiej Madonny. To samo wysokie, szlachetne czoło, takie same piękne oczy jak u tamtej kobiety. Obrazy wisiały w ten sposób, iż obie twarze były zwrócone ku sobie, rzekłybyś po to, aby mogły pogwarzyć ze sobą.

Co powiedziałyby sobie, gdyby mogły?

Matka Święta — Boża Rodzicielka — z pewnością pocieszyłaby tę drugą i rzekła:

— Mój syn dźwigał krzyż, On był silny.

Na to Buttlerowa odpowiedziałaby:

— I mój go także dźwiga. On też będzie silny.

Równie dumne byłyby obie matki.

Na myśl o tym z oczu młodego hrabiego trysnęły łzy, przynosząc ulgę jego udręczonej duszy. Oparł głowę o stół i płakał gorzko dopóty, dopóki pistolet i zaschnięty kwiatek całkiem nie zwilgotniały.

Dopiero gdy się wypłakał, poczuł ulgę. Tak oto wyrównywał rachunki Bóg z człowiekiem. Za gorycz — łzy, a za łzy ożywcza rosa wiary. Dobrze jest układać się z Bogiem.

Wytarł oczy i przypomniał sobie o gościach. Prawie uspokoiony pośpieszył do nich, ale wszystkie sale już opustoszały. Goście porozjeżdżali się z takim pośpiechem, jakby ich wymieciono.

Hrabia zadzwonił.

Wszedł huzar.

— Wszyscy goście odjechali?

— Wszyscy.

— Osiodłajcie mego konia.

W kilka minut później na dziedzińcu rżał niecierpliwie ulubiony rumak Ogień. Hrabia w szarym płaszczu przeszedł korytarzem, gdzie w kącie zauważył Budayego, palącego ze smutną miną fajkę. Ujrawszy hrabiego imć pan Buday wstał z szacunkiem.

— Jeszcze nie śpicie?

— Nie, jaśnie panie. Podziwiam burzę. Nie mogę zasnąć.

— A jednak połóżcie się. Stare kości muszą odpocząć.

— Kiedy jaśnie pan wróci?

— Może za tydzień, może za rok, a może nigdy. Ale proszę przez cały czas zachowywać się tak, jakbyście w każdej chwili oczekiwali mego powrotu.

— Tak jest, rozumiem. Czy będą jeszcze jakieś rozkazy?

— Żadnych. Aha, zresztą jeszcze jedno. W moim gabinecie zamknięta jest jaskółka, proszę pamiętać o tym, żeby ją rano wypuszczono.

— Tak, dopilnuję, a co do tej... sprawy?

— W tej sprawie żadnych rozkazów. Bóg z wami!

Wskoczył na konia i odjechał. Dwa dni jeździł bez odpoczynku, zatrzymując się tylko z rzadka we wsiach lub niewielkich dworach, ażeby nakarmić konia i samemu coś zjeść i wypić. Pałace magnatów omijał; zajechał tylko do własnego w Illeházie. Ale i tam nie mógł zostać dłużej niż dwa dni; gnała go troska, popędzał smutek. Na trzeci dzień kazał zaprząć najdziksze konie z całej stadniny i pagalopował do Pataku, do Istvána Fáyego.

Stary przywitał go naburmuszony jak indyk.

— Znowu głupstw narobiłeś? Dlaczegoś nie wyrzucił tej kobiety? Teraz możesz wrócić do Bozosa, jeśli lubisz płacz niemowlęcia lub jeśli chcesz ucałować pannę Butlerównę. Właśnie wczoraj przyszła na świat. Dziś rano Buday przywiózł tę wiadomość.

## Rozdział dwunasty

### GORĄCZKOWE DNI W EGERZE

Wszystko, co nastąpiło później, było jedną ciągłą męką i walką.

Niebo zachmurzone od samego rana. Słońce, tak jeszcze niedawno idące wesoło w swej purpurowej szacie po świeżej rosie, ukryło się za chmurami i teraz już nie widać ani jego blasku, ani nie czuć ciepła, wiadomo tylko, że jest schowane za obłokami. Człowiek czeka, że za chwilę wyjrzy i ogrzeje go, jednakże nadpływa nowa chmurka. I to taka maleńka chmurka! Wydaje się, że wystarczy dmuchnąć — a śladu po niej nie zostanie.

Ot, tak wygląda pokrótce cała ta smutna historia. Ledwo rozwieją się chmury, ukaże się nadzieja — a oto znów nadpływa chmura. I wszystko zaczyna się od początku, dopóki nie zapadnie wieczór, a po nim noc.

Szczęśliwy jest ten pisarz, który w swej opowieści może namalować takie niebo, jakie zechce. Ale ja piszę kronikę. Hrabia János Buttler był wśród nas, pod tym niebem, widzieliśmy jego cierpienia; na każdym kroku spotkać można ludzi, którzy w owych czasach witali się z nim uściskiem ręki, patrzyli na jego zasmuconą twarz...

Proces został wyznaczony przez konsystorz na dzień czwarty października, jednakże sesja nie odbyła się, gdyż przewodniczący arcybiskup zachorował. Chodziły słuchy, że objadł się jakichś grzybów i cierpi na nie-

strawność. Kanonicy wystraszeni, że arcybiskupa otruto, odroczyli rozprawę. Biedny Pereviczky aż zębami zgrzytał z wściekłości:

— Wszystko już było dobrze przygotowane! Poszłoby jak po maśle!

Nowy termin wyznaczono na styczeń.

Jednakże zima i w tym roku okazała się bardzo surowa.

Historia opisuje dwa dziwne, a pamiętne zdarzenia tej zimy: po pierwsze, w Tokaju dwa razy w owym roku odbyło się winobranie, gdyż w początkach października, kiedy winogron jeszcze nie zbierano, Podgórze pokryła gruba warstwa śniegu, który stopniał dopiero w marcu i zbiory odbyły się dopiero na wiosnę roku następnego, w jesieni zaś zbierano plon po raz drugi. To było jedno wydarzenie.

Drugie, dzięki któremu ta zima się upamiętniła, znane jest całemu światu: armia Napoleona została rozbita w Rosji przez największego wodza — Grudzień. Niedobitki jej zostały wykończone przez surowe mrozy.

Dodać należy, że historia przemilczała jeszcze jeden godny uwagi fakt — znalazł on odbicie tylko w naszej kronice — a mianowicie, że w Egerze także była surowa zima, co sprawiło, że niemal wszyscy starcy w tym mieście powymierali. Z tego powodu arcybiskup, który za zwyczaj na Wielkanoc zapraszał do swego stołu starców na tak zwany „biały obiad”, w tym roku nie znalazł w mieście wystarczającej ilości ubielonych siwizną ludzi, trzeba było więc zbierać chłopów z sąsiednich wsi.

Tak, to była straszna zima! Wśród kanoników uczyniła także spustoszenia, zabrała od razu trzech, w ich liczbie i przewielebnego Józsefa Jablonczyego, generalnego audytora causarum. Jak na złość, wszyscy trzej zaliczali się do stroników Buttlera. Szczególnie ciężką stratą stała się śmierć Józsefa Jablonczyego; był on inspirato-

rem tej części duchowieństwa, która sprzyjała rozwiązaniu małżeństwa. Dowodził nieraz, że ten, kto wyciąga cierni z nogi i nogę leczy, spełnia uczynek, który się Bogu spodoba. Ten zaś, kto wpycha cierni głębiej tylko po to, żeby go nie było widać — nie tylko nie leczy nogi, ale przyczynia się do choroby całego ciała i obciąża swoje sumienie.

Pan Pereviczky dowiedział się o śmierci trzech kanoników w Nowy Rok z samego rana. Wybierał się razem ze swoimi krewniaczkami do kościoła i gorącymi żelazkami fryzował sobie kołnierz koszuli. Rzuciwszy okiem na list, adwokat zawołał:

— Oszukali, ograbili, uciekli z moimi tysiącami!

I nagle chwycił się za serce, żelazka wypadły mu z ręki, wydał okrzyk, jak gdyby kogoś gonił, i runął martwy na ziemię. Najwidoczniej tak był wstrząśnięty, że nie mógł pohamować się i ruszył w pogoń za trzema kanonikami, którzy uciekli na tamten świat. Ale raczej wielebnym ojcom nie należy zazdrościć, bo jeśli już Pereviczky tam podążył, na pewno dobierze się do nich i wydrze im to, co mu się należy, niezależnie od tego, w którym z trzech znanych departamentów się znajdują: w niebie, piekle czy w czyścću.

Jednakże takim lekkomyślnym postępkim zepsuł Buttlerowi całą sprawę. W rękę Pereviczkyego zbiegały się wszystkie nici: wielkim wysiłkiem i fortelami wydzwignął on ogromny gmach procesu, zgromadził wszystkie argumenty i opracował niezbędną taktykę; znał wszelkie sprężyny, przy których pomocy można było wpływać na poszczególnych członków sądu i świadków; wiedział, jaki guzik nacisnąć, gdzie i co przykręcić. Koło zatrzymało się i potężny mechanizm zegarowy przestał funkcjonować.

Nieoczekiwanie podjął się prowadzić sprawę pewien adwokat z Ungváru, nazwiskiem Mihály Szücs, ale po-

nieważ zostało zbyt mało czasu, aby zapoznać się z dokumentami i faktami, z kolei strona Buttlera była zmuszona zwrócić się do konsystorza z prośbą o odroczenie. Znowu trzeba było czekać do lata.

Przez ten czas Buttler bawił się w chowanego z Marią Döry, która objeżdżała wszystkie majątki hrabiego jeden za drugim. Pewnego razu udało jej się zastać go w Párdányu, dokąd przybyła, zabrawszy ze sobą małą Mariskę w pieluszkach.

Buttler siedział pod lipą na podwórzu i bawił się z ulubionym psem, gdy wtem zajechał przed dom jego powóz z Bozосу.

Ubrana w czarną żałobną suknię Maria lekko zeskończyła z powozu, wzięła z rąk niani dziecko i padła na kolana przed Buttlerem. Wprost na żwirowaną ścieżkę.

— O, panie! — rzekła drżącym głosem. — Błagam o przebaczenie!

Dziecko rozplakało się. Powiadają, że matka uszczypnęła je, podobnie, jak to głosi anegdota, Maria Teresa uszczypnęła swego maleńkiego Józefa na sejmie w Preszburgu.

Hrabia chłodno odwrócił się od niej:

— Nie znam pani, ale wydaje mi się, że pani jest niespełna rozumu.

Po tych słowach udał się do stajni, gdzie kazał zaprząć konie i w kwadrans później mknął do swego myśliwskiego pałacyku w Vukicach. Siadając do powozu z gorzkim uśmiechem powiedział do zarządcy Ferenca Nogálla:

— A jednak to dobrze, że człowiek ma tyle pałaców. Zawsze może mieć pod ręką czystą zmianę bielizny.

W tym jednym zdaniu, wyraźniej niż w całych foliach adwokackich, odbił się głęboki wstręt, jaki czuł

Buttler do tej kobiety, związanej z nim węzłami małżeńskimi.

Następnego lata konsystorz przystąpił wreszcie do rozprawy.

Dnie były upalne, po prostu podzwrotnikowy skwar — może dlatego, że zima była taka sroga i długa, a także i dlatego, jak mówił István Fáy, że pies nie zje ani gorąca, ani zimna, zjawia się one wcześniej czy później.

Mimo piekielnego żaru proces wywołał w mieście ogromne zainteresowanie. Na ulicach przed pałacem arcybiskupim zbierały się tłumy, ażeby popatrzeć na przyjeżdżających uczestników rozprawy.

Takich bohaterskich kobiet jak te, które w swoim czasie odpędziły od miasta Turków, dawno już nie ma \*. Kobiety współczesne odznaczają się tylko ciekawością. Można je było zobaczyć w każdym oknie, a te, dla których nie starczyło parapetów, wyległy z domów, wystawiając się na bezlitośnie pałace promienie słońca. Słowem, na ulicach zgromadziły się takie tłumy, że dla utrzymania porządku trzeba było wezwać konnych pandurów.

Pierwsza przyjechała Maria Döry powozem zaprzężonym w czwórkę koni z dzwoneczkami. Była piękna i zgrabna, ubrana na czarno, twarz jej zakrywała czarna woalka, zza której jak dwa agaty świeciły śmiało wielkie, czarne oczy.

Wszyscy uczestnicy procesu ze strony barona Döryego przybyli o jeden dzień wcześniej do Egeru i stanęli w różnych zajazdach. Ale dziś, z powodu tak wielkiego tłoku ludzi, tarasujących ulice, Maria Döry Buttlerowa musiała jechać powozem aż do samego pałacu arcybiskupiego. Obok niej siedział stary Döry, w białym słomkowym kapeluszu nasuniętym na oczy. Od zeszłego roku zapuścił sobie brodę, całkiem siwą, z odcieniem żółtym jak upierzenie kanarka.

Tłum stał w głębokim milczeniu, wtem jakiś czeladnik kamasznika zawołał:

— A ta młódka całkiem śliczna!

Inni zaczęli na niego sykać.

Ktoś krzyknął:

— Wiwat Piroska Horváthówna!

Setki głosów podchwyciło:

— Niech żyje Piroska, Piroska, Piroska!

— Breee! — syknął ojciec przygryzając brodę. — Ta hołota ośmiela się szydzić z ciebie. Zaśmiej się im w twarz.

— Milcz, ojcze, milcz! Wolałabym pod ziemię się zapisać.

Kareta stanęła przed pałacem arcybiskupim, w którym miała odbyć się sesja sądu kanonicznego.

Maria wysiadła z karety, unosząc lekko skraj sukni, tak że można było widzieć jej malutkie czarne pantofelki i nawet kawałek zgrabnej nóżki w oślepiająco białej pończoszcze.

Brodaty student prawa, stojący przed wrotami pałacu, wykrzyknął z zachwytem:

— Czegóż do czarta jeszcze potrzeba temu hrabiemu, skoro tak piękna kobieta mu nie wystarczy!

Maria była bliska zemdlenia, lecz ten mimowolny i nieoczekiwany komplement przywrócił jej siły. Jadąc kareta, czuła nienawiść tłumowi, i spośród sykania, hałasu, obrażającego śmiechu, nawet wyzwisk ten okrzyk był jedynym, w którym zabrzmiało współczucie. I słowa studenta przesłoniły jej obraz powszechnej nienawiści, podobnie jak kwiatek wyciągnięty z kupy śmieci i położony na wierzchu urodą swą przesłania całą jej szpetotę. Maria ucieszyła się, serce zabiło radośnie — wszak była kobietą! Uśmiechnęła się i dumnie jak paw poczęła wstępować na schody.

W tym samym czasie tłum rzucił się na kareta i ze-

rwał z drzwiczek i zaprzęgu herby Buttlerów. W ten oto sposób lud ogłosił swój wyrok w procesie. Stangret z wyżyn kozła patrzył na to ze śmiechem.

Pojedynczo zaczęły nadjeżdżać inne osoby, wezwane do sądu. Przyjechał bryczką hajduk Gergely i stara Szimáncsiowa; przybyli zuchowata pokojówka Nina Biró i kamerdyner József Tományi — ci sami, którzy rankiem w pokoju nowo zaślubionych „widzieli ich razem”. Trzecią bryczką zajechali pandurzy Kázsmári i Jeszenka, a czwartą — adwokat barona Pál Kalmár, zajęty rozmową z księdzem Szucsinką.

Tych uczestników procesu tłum nie znał. Nawet ci, którzy lepiej niż inni orientowali się w szczegółach sprawy, mogli co najwyżej zgadywać, kim jest ten lub ów z nadjeżdżających. Ucierpiał tylko jeden ksiądz: rzucono w niego z tłumu stęchłym jajkiem, które trafiło go w ramię i zażółciło sutannę.

— Bądźcie przekłęci, szatańskie szczury! — krzyknął groźnie duchowny.

W jakiś czas potem inną drogą przybyli przyjaciele Buttlera. Przyjechali prosto ze wsi, gdyż János i w tych stronach miał majątek.

Hrabia pardański przybył do Egeru z królewską pompą: chciał olśnić mieszczan i wyrzucić wrażenie na duchowieństwie, na co liczył István Fáy.

Najpierw przejechały z turkotem ciężkie wozy, naładowane bielizną pościelową, skrzyniami ze sprzętem kuchennym, beczułkami tłuszczu, jaškami, cebarami. W Egerze Buttler miał także pałacyk, zazwyczaj stojący pustkami. Teraz właśnie tu się zatrzymał.

Zaraz za tymi czterema jechały dwa wozy, w których z trudem mieścili się kucharze w białych fartuchach i płaskich czapkach, a z nimi kuchciki. Na dalszych dwóch wozach jechała hrabiowska kapela — dwunastu Cyganów w jaskrawo czerwonych dolmanach, haftowa-

nych srebrem. Za nimi stąpały osiodłane wierzchowce hrabiego, prowadzone przez stajennych i masztalery.

Na tym korowód urywał się i dopiero po pewnym czasie ukazał się jeździec w żółtym dolmanie, pomarańczowych spodniach i z miedzianą trąbką u boku. Był to herold, który dawał znak, że kto żyw powinien ustąpić z drogi, jako że nadjeżdża wielki pan. Za nim jechali na małych, lecz silnych konikach dwaj ludzie w długich chabrowych kontuszach, czapach z jastrzębimi piórami i z pochodniami przytroczonymi do siodła. Za nimi ośmiu oszczepników w miedzianych hełmach, połyskujących w słońcu. Dalej — na ognistych, idących tanecznym krokiem białych koniach harcowało dwudziestu czterech huzarów w żółtych butach i jednakowych zielonych kubrakach, haftowanych czerwienią — chłopcy rosłe na schwał, z długimi wąsami i ze szramami od szabel na twarzy. Jeszcze niedawno brali udział w insurekcji przeciw Napoleonowi. Tylko że wówczas było ich o wiele więcej: opiekun hrabiego pardańskiego wystawił pułk z dwóch tysięcy dzielnych huzarów.

Nad całą tą procesją snuła się ogromna chmura kurzu; tak to już było w owych czasach — im większy pan, tym więcej kurzu; nawet największy magnat lykał go niczym ambrozję — najwidoczniej smakował mu, gdyż bardzo dużo kosztował.

Wreszcie w kłębach kurzu ukazał się zaprzęg hrabiego Buttlera, pięć karych ogierów cugowych, trzy pierwsze były pędzone z siodła. Obok karety biegł mokry od potu kurier, chudy chłopak w kurtce szafranowego koloru.

Za powozem jechało konno jeszcze dwudziestu czterech huzarów, w białych dolmanach, na koniach buła-

nych z białą grzywą. Koni nie można było rozróżnić, wyglądały tak jak zrodzone z jednej matki.

Na widok tych wszystkich wspaniałości patrzącym aż dech zapierało z zachwytu. Sam pojazd hrabiego był pozbawiony wszelkich ozdób, zwykła bryczka. Obok Fáyego siedział Buttler, w skromnym codziennym surducie i miękkim kapeluszu. Cały jego ubiór kosztował mniej niż guziki na kurtce jednego huzara. Ale to właśnie świadczyło o magnackim geście.

Obok jechał na szybkim koniu giermek z dwiema manierkami na szyi: w jednej było wino, w drugiej woda. Tę drugą trzeba było często napełniać wodą ze studni lub ze źródeł, a potem szybko doganiać kawalkadę: dlatego właśnie dano giermkowi tak rączego konia.

Podobne orszaki teraz już spotyka się bardzo rzadko, zwłaszcza w tych okolicach. Wyżej w górach, na przykład w Nógrádie czy w Nyitrze niektórzy magnaci tacy jak Czoborowie, Illésházyowie, Ballassowie jeszcze czasem tak jeździli, ale tylko w wyjątkowo uroczystych okolicznościach, na przykład przy obejmowaniu stanowiska nadzupana lub biskupa, któryś z nich zabłysnął taką wspaniałością.

Przejechały jeszcze dwa pojazdy, zaprzężone w czwórkę koni; w jednym z nich obok zarządzającego majątkiem w komitacie Heves siedział Zsigmond Bernáth i mówili o tym, że lepiej byłoby mieć mniej huzarów, a więcej świadków. Uwaga trafna, gdyż świadkowie Buttlera mieścili się w jednej bryczuszce, jako że było ich tylko dwoje: Vidonka i madame Malipau. Sądząc z ich energicznej gestykulacji i ruchu warg także o czymś rozprawiali. Ale ponieważ madame mówiła tylko po francusku i po niemiecku, a Vidonka tylko po słowacku i po węgiersku, dla każdego z rozmawiających pozostało na zawsze tajemnicą to, co powiedziała druga osoba.

Gdy dojeżdżali do miasta, z lewej strony z miedzy na polu kukurydzy wyskoczył zajac i przebiegł drogę przed powozem Buttlera, pomiędzy huzarami na białych koniach. I jakżeż to ośmielił się, bezczelny!

Buttlerowi — a był on bardzo przesądny — ciarki przebiegły po plecach.

— Diabeł w nim siedzi, drogi wuju.

— Nie bój się go! — roześmiał się Fáy. — Zapewniam cię, że nie siedzi w nim żaden diabeł. Nie tak on wygląda. Sam go co prawda nigdy nie widziałem, ale mój przyjaciel i kum w Debreczynie, niejaki profesor István Hatvani, zapewnia, iż pewnego razu sam z diabłem rozmawiał. Zapytał go: „Czy ty jesteś mężczyzna, czy kobieta? W jakiej postaci ukazujesz się ludziom?” A ten odpowiedział: „W takiej, że ci to nawet do głowy nie przychodzi.” No, a my od dawna myślimy, że zajac — zły znak, a zatem to się nie sprawdza, zajac nic złego nie znaczy. Diabeł niegłupi, wie, że nie w zajęczą skórę musi się stroić, jeśli chce nam zaszkodzić. Prędzej wlezie w jakiegoś kanonika.

Tak rozmawiając wjechali do miasta i ledwo skrzyżowali na ulicę Hatvańską, już tłum poznał Buttlera i rozległy się wiwaty. Od tych okrzyków aż zadrżał pałac arcybiskupi, tak że członkowie konsystorza domyślili się od razu, kto przyjechał.

Niektórzy stojący na ulicy machali kapeluszami, a kobiety z okien — chusteczkami. Całe miasto było jakby upojone tym zbytkiem i wspaniałościami.

Hrabia zdjął kapelusz i machinalnie kiwał głową w lewo i w prawo. Nagle ktoś rzucił mu mały bukiet. Kwiaty przeleciały ponad głowami tłumy i upadły prosto na kapelusz Jánosa.

Buttler wziął je w rękę. Były tam trzy czerwone „iskierki”, przewiązane pasemkiem jasnych kobiecych włosów.

János obejrzał się i spojrzawszy w tę stronę, z której rzucono mu bukiet, wykrzyknął:

— Piroska!

Mignęła mu znajoma miła twarzyczka. Te same oczy, ten sam uśmiech, tylko w jakimś dziwnym obramowaniu. Na skrzyżowaniu dwóch ulic: Hatvańskiej i Niemieckiej, stała zgrabniutka wiejska dziewczyna. Głowę jej okrywała biała chustka w groszki. Ale zanim Butler zdążył się jej przyjrzeć, śliczna główka znikła w tłumie, jakby umyślnie.

— Nie gadaj! — rzekł Fáy. — Niemożliwe.

— Ona! Ona! Przebrana za chłopkę! — zawołał János i twarz mu się rozpromieniła ze szczęścia. — Głowę daję, że to ona!

— Zdawało ci się tylko!

## Rozdział trzynasty

### ROZPRAWA PRZED KONSYSTORZEM

Kareta zatrzymała się przed pałacem arcybiskupim; pan adwokat Szücs już ich oczekiwał.

— Zaraz rozpocznie się sesja, jaśnie wielmożny panie hrabio.

— Kto przewodniczy? — zapytał Fáy.

— Audytor.

— A nie arcybiskup?

— Arcybiskupa boli noga. Jakiś przyszcz mu wyskoczył, noga spuchła, nie może włożyć buta.

— Ot, i masz diabła — wyrwało się Fáyemu. — Tym razem przybrał postać przyszcza!

Przyjechali akurat w samą porę: rozprawa dopiero się rozpoczynała. Wszyscy sędziowie byli już w komplecie — sześciu opasłych kanoników; tłuszcz ich zdawał się rozplýwać na tym skwarze, chociaż użyto wszelkich sposobów, żeby zmniejszyć duchotę: pomiędzy kraty w oknach powtykano zielone gałązki, na stole postawiono karafki z oziębioną w lodzie wodą, a każdy kanonik miał w kieszeni sutanny trzy, cztery chustki do nosa, którymi ocierał pot z czoła i karku.

Za długim, zielonym stołem, na którym stał krucyfiks, zasiadł *causarum generalis auditor* \* Ferenc Jekelfalussy; za nim dwaj obrońcy nierozzerwalności małżeństwa, prokurator i dwaj protokolanci.

Pierwszy był przesłuchiwany János Buttler. Jego

szczerze, proste słowa opowiadające o sposobie zawarcia ślubu zabrzmiały przekonywająco i wywołały niepokój i wzburzenie wśród sędziów.

Następnie wezwano Marię Döry. Jej szlachetna postawa wywarła dobre wrażenie na obecnych. Zdawało się, że wraz z nią wpadł do sali świeży powiew, niosący aromat kwiatów. Kanonicy, gdy tylko usłyszeli szelest koronkowych halek, momentalnie ocknęli się z senności.

— Jak się nazywasz? — zapytał audytor.

— Hrabina Maria z Dörych Buttlerowa.

— Jaką religię wyznajesz?

— Rzymskokatolicką.

— Ile masz lat?

— Osiemnaście.

— Masz jakąś rodzinę?

— Jedno dziecko — odpowiedziała cicho.

— Odpowiadaj, córko moja, zgodnie z twym sumieniem. Czy to prawda, że w czasie ślubu, który połączył cię z hrabią Jánosem Buttlerem, tenże na pytanie księdza, czy chce pojąć cię za żonę, odpowiedział: „nie”?

Maria Döry zarumieniła się, co sprawiło, że stała się jeszcze piękniejsza.

— Dlaczego nie odpowiadasz, córko moja?

— Dlatego, że nie wiem — wyszeptła.

— Jak to? Czyżbyś nie mogła przypomnieć sobie tak ważnej okoliczności?

— Byłam taka wzruszona.

— To bardzo możliwe — rzekł prokurator.

— Czy to prawda, że, jak podaje akt oskarżenia, hrabia János Buttler, na pytanie, czy cię kocha, odpowiedział: „nie”?

— Nie wiem, nie słyszałam ani jednego, ani drugiego.

— Tak... A czy to prawda, że uszy świadków obecnych przy tej ceremonii były zatkałe watą?

— Ja tego nie widziałam!

— A czy to prawda, że gdy udzielający wam ślubu ksiądz chciał związać wasze ręce stulą, hrabia Buttler zaczął stawiać sprzeciw i ojciec twój musiał uciec się do przemocy?

Maria zbladła, spuściła głowę, jak gdyby się zawstydzila, po czym cichutko wyszeptwała:

— Nieprawda.

— Jak więc to wyjaśnisz, droga córko moja, iż hrabia János Buttler wysunął takie oskarżenie i przy nim obstaje?

Maria podniosła głowę:

— W ten sposób, że on cierpi na halucynacje, proszę przewielebnego konsystorza.

— Na czym opierasz swoje twierdzenie?

— Cała jego służba pałacu w Bozосу potwierdzi, iż często i długo rozmawiał na głos w swoim pokoju z portretem matki, jak gdyby odpowiadał na zadawane pytania.

— Kto może to poświadczyć?

— Vidonkowa, Kaporowa oraz István Gulyás.

Audytor dał znak protokolantowi, że należy wezwać tych ludzi, po czym znów zwrócił się do przesłuchiwanej:

— Zadam ci, córko moja, pewne pytanie delikatnej natury. Zbierz siły, ażeby odpowiedzieć nam, którzy kierują się nie cczą ciekawością, lecz pragną zachować świętość praw kanonicznych i dzięki nim zbliżyć się do źródła prawdy.

Ale zanim dotrze się do źródła prawdy, nie będzie grzechem zażycie tabaki. Przypomniawszy sobie o tym przewodniczący wyjął z kieszeni szczyptę tytoniu i powąchał. Reszta kanoników poszła za jego przykładem, na skutek czego wszyscy zaczęli kichać, a drugi proto-

kolant nie nadażał z powtarzaniem: „Conducatur sanitati\*.”

Hm, delikatne pytanie! Kanonikom nieobca była ta strona procesów rozwodowych. Ich małe jak szparki, zapłynięte tłuszczem oczki ożywiły się i zamigotały niby poruszone knotki w lampkach oliwnych.

— Powiedz mi, córko moja, hrabino Buttlerowa, z domu baronówna Mario Döry, do jakiego stopnia odpowiada prawdzie twierdzenie, jakoby hrabiego Buttlera, używając przemocy i fortelu, przeniesiono za pomocą specjalnej maszyny do twojej łóżnicy?

Maria Döry zmieniła się na twarzy przy wspomnieniu o tej smutnej nocy i załamującym się głosem odpowiedziała:

— Nie wiem...

Drżała na całym ciele, wzrok jej przygasł, a na twarzy, i tak bladej, wystąpiły sine plamy.

— Opowiedz nam, co się działo potem w twojej łóżnicy?

Maria poruszyła wargami, chciała coś powiedzieć, ale nagle drgnęła i padła zemdlona.

Kanonicy przerażeni zerwali się z miejsc. Tylko przewielebny ksiądz Vince Lator, nie tracąc panowania, pochylił się nad bezwładną kobietą, uniósł ją nieco i przyłożył ucho do jej serca, ażeby przekonać się, czy jeszcze bije. Ale — *apage satanas...* — przypadł uchem do jej piersi, która unosząc się ciężko, łaskotała to czerwone owłosione ucho księdza (za tak wielki grzech należałoby je obciąć i zakonserwować w spirytusie, tak jak w swoim czasie postąpiono z uchem Martinuzziego\*). Wreszcie sekretarz prysnął wodą w twarz baronówny, po czym ona z wysiłkiem uniosła powieki i skierowała na kanonika smutne, ale zarazem czarujące i wdzięczne spojrzenie. Ojciec duchowny podprowadził ją do krzesła i z wolna zaczęła przychodzić do siebie.

— Nomen est omen — videte Latronem! \* — szepnął zazdrośnie ksiądz kanonik József Szentgályi, który lubił tworzyć kiepskie wiersze.

— Córko moja — zaczął audytor łagodnie. — Może ci łatwiej będzie przyjść do siebie na świeżym powietrzu. Przesłuchamy cię kiedy indziej, jeśli chodzi o pozostałe szczegóły.

Zaraz po niej przesłuchiowano księdza proboszcza Szucsinkę, który twierdził, że wszystko odbyło się w najzupełniejszym porządku i że rytuał, przewidziany w kodeksie pazmańskim, był utrzymany punkt za punktem.

Przesłuchiwanie księdza Szucsinki zajęło sporo czasu, prokurator brał go w krzyżowy ogień pytań, usiłując zbić z tropu, ale to mu się nie udawało. Kanonicy poczuli się zmęczeni i dalszy ciąg rozprawy odroczone do dnia następnego.

Wszystkie szczegóły rozprawy, chociaż odbywała się przy zamkniętych drzwiach, szybko przedostały się do publicznej wiadomości.

Zemdlenie Marii Döry („Niech mnie gęś kopnie, jeśli to nie była z góry przygotowana komedia!” — mówili ludzie), zeznania księdza, zakłopotanie malujące się na jego twarzy, skromne zachowanie się Buttlera, uwagi rzucane przez kanoników w domu, w obecności ich gospodyń — wszystko to razem już po kilku godzinach stawało się przedmiotem rozmów na bazarze. Ludzie opowiadali się za i przeciw, kłócili się, robili zakłady, słowem, mieszkańcy Egeru żyli tylko tym procesem. Głośna sprawa wzbudziła ogromne zainteresowanie w mieście. Z całej okolicy zjechało mnóstwo szlachty; jedni chcieli spotkać się z Dörym, inni z Buttlerem. Przyjechali oczywiście i tacy, którzy chcieli po prostu spędzić parę wesołych wieczorów, urozmaiconych, rozumie się, grą w karty. Przybyła również

i trupa Thespisa. Bieda nieraz podsuwa dobre rady. Wędrowni aktorzy, kręcący się dotychczas w Miskolcu, zważali, że ten wielki proces będzie trwał kilka tygodni i że zjedzie się nań liczna znudzona magnateria. I aktorzy nie pomylili się.

Pan Fáy, pragnąc odegrać rolę mecenasa sztuki, już pierwszego dnia zakupił resztę biletów i rozdał służbie Buttlera — huzarom, kucharzom i pokojówkom, pod warunkiem, że oni potem odegrają to samo widowisko w domu. A ponieważ cała szlachta przebywająca w Egerze zebrała się po kolacji w pałacu Buttlerów, pan Fáy zwołał do wielkiej sali służbę, która była na przedstawieniu. Po długich certowaniach się dwie pokojówki Zsuzsika i Erzsika odegrały scenkę: rozmowę dwóch szlachetnie urodzonych dam w gronostajowych płaszczach. Jedną z nich miała być Joanna Neapolitańska, a drugą przyjaciółka tejże.

— Dlaczego jesteś taka smutna, księżno Joanno? — spytała Erzsika.

— Wcale nie jestem smutna — odpowiedziała Zsuzsika.

— Nie, jesteś smutna. Masz z pewnością wielkie zmartwienie?

— Jakie tam zmartwienie, do licha? Jestem przecież wesoła.

— Nie, jesteś smutna, mówię ci. Nie upieraj się jak oślica.

— Jak Bożię kocham, jestem wesoła, a jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie oślicą tu, przed jaśnie państwem, to wszystkie kłaki ci z głowy powyrywam...

Z powodu tej sprzeczki, która pozostała nie rozstrzygnięta, kolejne perypetie odgrywanej sztuki nie mogły się dalej potoczyć. Panowie jeszcze pokładali się ze śmiechu, gdy wtem na salę wszedł stary Horváth.

Powitano go z wielką radością. Buttler rzucił mu się na szyję.

— Jakiż ja jestem szczęśliwy, że drogi ojczulek też jest tutaj.

Horváth także serdecznie uściskał Buttlera.

— Jeśli kogoś polubię, to nigdy go nie porzucę.

Później Horváth opowiedział *in camera caritatis*\*, że dziś w południe wręczył arcybiskupowi list od palatyna.

— Wręczyłeś osobiście? — zawołał Fáy.

— Tak.

— Dziwię się, że on cię przyjął.

— Zawiadomiłem go uprzednio o tym liście. Arcybiskup leżał na kanapie z zabandażowaną nogą, owszem.

— A wiesz, co tam było napisane?

— Widziałem, jakie wielkie wrażenie wywarł na arcybiskupie ten list, gdy go czytał. A poza tym ja mam zaufanego szpiega w pałacu arcybiskupa. Owszem, szpiega... Nie dalej niż dziś wieczorem zakomunikował mi, że arcybiskup cichaczem opuścił swój pałac i udał się do wikariusza Jekelfalussyego. Jednakże, co było w tym liście, tego nie wiem.

— Za to ja wiem. Najwidoczniej była w nim jakaś cudowna maść — nie bez powodu noga arcybiskupa od razu przestała boleć.

Wiadomość ta wzbudziła najbardziej tęczowe nadzieje w duszach stronników Buttlera, ale sam hrabia János nie był w pełni zadowolony; miał ochotę dowiedzieć się czegoś jeszcze. Odwołał Horvátha na stronę, podszedł z nim do niszy okiennej i wypalił prosto z mostu:

— Piroska jest tutaj!

Stary pan zmieszał się, zaczął coś mówić zacinając się, wymijająco dobierając z trudem słów.

— Że Piroska?... Tego... czyli, że Piroska... Czyżby? Jakże mogło ci coś podobnego przyjść do głowy?

— Widziałem ją.

— Zdawało ci się.

— Miała na głowie wiejską chusteczkę w groszki. Na próżno ojczulek usiłuje grać komedię. Nie umie kłamać.

— Ależ ja nawet nie usiłuję, owszem. Przyznam ci się, owszem, zabrałem ją ze sobą, tylko nie mów o tym nikomu. Nie mogłem dać sobie z nią rady: tak bardzo chciała chociaż spojrzeć na ciebie. Pozwoliłem im obydwom, jej i Frydzie, przebrać się za chłopki i stanąć na ulicy. Kot zawsze wypatrzy szperkę, dlatego i tyś ją zobaczył.

— Czy ona jest jeszcze tutaj? — zapytał szeptem János i oczy jego przybrały wyraz rozmarzenia.

Horváth chwilę wahał się, po czym, jak gdyby się na coś zdecydował, mrugnął do niego porozumiewawczo.

— A co mi dasz, bracie, jeśli ja urządzę ci potajemnie spotkanie z nią, na pół godziny? Owszem. Ale w tajemnicy, owszem.

Twarz Buttlera zapłonęła, w głowie mu zawirowało niczym pijanemu.

— Nie, nie — rzekł po chwili ze smutkiem i ręce mu opadły. — Dałem słowo honoru, że nie zbliżę się do niej, dopóki pan Fáy nie pozwoli.

Horváth uścisnął mu gorąco rękę.

— Porządny z ciebie człowiek! Za to cię właśnie lubię. Owszem. Chciałem cię po prostu wystawić na próbę, a Piroskę dawno już odesłałem do domu. Sam zaś zostanę tutaj, dopóki będzie trwało przesłuchanie świadków, i będę pisał do niej listy. Taki był jej surowy rozkaz. Owszem. Prawdziwa tyranka!

— Maleńka moja, biedna gołąbeczko! — ciężko westchnął Buttler. — Ach, gdyby można jej było przekazywać tylko same dobre wiadomości!...

— Zobaczymy, co przyniesie dzień jutrzejszy, a także następne... Owszem... następne.

— Mam w Bogu nadzieję — powiedział János z nabożeństwem.

— Ja także wierzę w Boga, ale w jego sługi — z zastrzeżeniami... owszem, z zastrzeżeniami...

Następny dzień rozpoczął się raczej pomyślnie dla Buttlera. Zanim zaczęto przesłuchiwanie świadków, przewodniczący kazał wicesekretarzowi odwołać się do „communis opinio” \*, co stosowano tylko w bardzo rzadkich wypadkach.

Apelowanie do „communis opinio” było, oczywiście, przewidziane proceduralnym kodeksem konsystorza. Idea sądów przysięgłych od najdawniejszych czasów znajdowała częściowe odbicie w sądownictwie kościelnym, jako że przewodniczący zazwyczaj zadawał pytanie świadkom: „Co o tym sądzi opinia publiczna?” W Egerze zaś świętej pamięci arcybiskup Ferenc Ksawery Fuchs (niech Bóg da mu wieczny odpoczynek) bardziej jeszcze umocnił w prawie kościelnym tę szczytną tendencję. Wprowadził jako regułę przy rozpatrywaniu spraw religijnych czy rozwodowych szczególnej ważności ściągnięcie do sądu — niezależnie od świadków obu stron (którzy mogą być stronni), jeszcze dwóch czy trzech, wybranych na chybił trafił spośród „neutralnego tłumu” i zapytywał ich: „Co na temat tej sprawy mówią w waszej wsi?”.

Gdy w sąsiednich salach, oddzieleni od siebie, łazili z kąta w kąt świadkowie Buttlera i barona Döryego, rozważając dotychczasowe wyniki, dowiedzieli się, że sąd apeluje do „communis opinio”, wówczas stronnicy Buttlera zaczęli zacierać ręce z radości:

— Oto skutek listu palatyna.

A Döry, zgrzytając zębami, szeptał z przejęciem do córki:

— Powinnaś składać wizyty kanonikom, Mario. Ja nie chciałem, Bóg świadkiem... ale inaczej nic z tego nie będzie.

Maria zbladła i protestującym ruchem podniosła rękę, jak gdyby coś chciała odsunąć od siebie.

— Tak musi być, moje dziecko, musisz się na to zdecydować — syknął — ktoś pod nami dołki kopie.

W tym samym czasie konsystorz przesłuchiwał hajduka Gergelya Vargę. Badano go długo, mocno przypierając do muru; ponad półtorej godziny przebywał na sali sądowej („Co oni z nim robią? — denerwował się Döry. — Na patelni smażą czy co?”).

Po nim przyszła kolej na drugiego świadka ślubu, gospodynię Szimáncsiową. Oboje zeznali, że hrabia Butler zachowywał się podczas ceremonii tak samo jak zwykle zachowują się narzeczeni.

Generalny audytor: Czy to prawda, że narieczony się sprzeciwiał?

Szimáncsiowa: Nie, proszę wielebnego ojca. Wszystko było bez uchybienia. On stał tam po prostu jak baranek.

Generalny audytor: Czy to prawda, że rzucił w ścianę obrączką?

Szimáncsiowa (z przerażeniem): To taka sama prawda, jak gdyby ktoś powiedział, że ja mam zamiast twarzy ścianę. Czyj to głupi łeb wymyślił coś podobnego?

Generalny audytor: Nie miał językiem po próznicy, chociaż masz go bez kości, i nie pleć byle czego. Odpowiadaj jasno i wyraźnie: tak czy nie. Czy to prawda, że hrabia wyrwał się, gdy ksiądz chciał połączyć dłonie oblubieńców?

Szimáncsiowa: Gdzież tam! Ich ręce, proszę uniesienie, złączyły się tak jak dzióbki dwóch gruchających gołąbków.

Audytor: Czy to prawda, że wy, świadkowie, mieliście watę w uszach?

Szimáncsiowa: Tak jest, widziałam watę w uchu hajduka Gergelya, no bo się skarżył, że mu w uszach strzyka.

Prokurator: Jakże to, moja kobieto, a hajduk Gergely Varga zeznał, że tobie strzykało w uchu i dlatego miałaś watę.

Szimáncsiowa (zmieszana): W moim uchu? Nic nie pamiętam już, rączki i nóżki całuję. Wiem, że któremuś z nas w uchu strzykało, ale czy mnie, czy Gergelyowi, tego już dokładnie nie powiem.

Kanonik Szentgályi: *Ista persona diabolica aberrat a via recta* \*.

— Szatan ją opętał — wyszeptał wodnistooki kanonik Marsalkó do siedzącego obok kanonika Latora.

— Uwaga, amice — odszepnął tamten — bo i na ciebie rzuci uzdę.

Generalny audytor zmarszczył brwi i utkwivszy w kobiecie przeszywające spojrzenie, krzyknął na nią gromkim głosem:

— Przyznaj się, w imię wiary świętej i Najświętszej Marii Panny, kto cię nauczył tak zeznawać?

— Nikt — wymamrotała stara kurcząc się ze strachu jak ropucha.

Zmrużyła malutkie oczki, jak gdyby obawiając się, że za chwilę na jej głowę spadnie powała tej sali, z której ścian patrzyli na nią surowo egerscy biskupi — niektórzy nawet w zbrojach, wąsaci i brodaci, a jeden jako niewinne dziecko — trzyletni Hipolit, szwagier króla Mátyása, w biskupim ornacie. Ten portret budził szczególny lęk w starej Szimáncsiowej: zdawało jej się, że to dziecko patrzy wprost na nią swymi mądrymi oczkami.

Słowem, dziś wszystko układało się niepomyślnie dla stronników Döryego. Zresztą i tak badanie świadków skończyło się wkrótce, gdyż w południe Buttler wydał w swoim pałacu wielki obiad dla arcybiskupa

i wszystkich kanoników. Z niebywałym przepychem przyjmował swych gości młody magnat; rzekłbyś, dżemy ograbiły stół potężnego kalifa i przy pomocy czarów przeniosły tu jedną z legendarnych uczt z „Tysiąca i jednej nocy”. A władca Stambułu patrzy osłupiały na stół i każe ścinać głowy swym kucharzom.

Zabawa przeciągnęła się do późnej nocy, tylko arcybiskup wyjechał zaraz po obiedzie, ucałowawszy Buttlera w oba policzki i nazwawszy go „swoim drogim synem”. O tym w pół godziny później wiadomo już było w oberży „Pod Trzema Bykami”, stanowiącej miejsce spotkań stronników Döryego, gdyż zarówno zwolennicy Buttlera, jak i barona mieli swoich zauszniaków.

— U nas nie ma takiego wspaniałego jada — rzekła Maria zgnębiona — ani takich win.

— Za to on nie ma takich słodkich ust, jak ty — odparł Döry. — Ani takiego uśmiechu.

Najwidoczniej wina Buttlera musiały być przednie, gdyż nazajutrz członkowie konsystorza wyglądali wszyscy na bardzo znużonych i sennych, chociaż przesłuchiwali jednego z najważniejszych świadków — staro Döryego, który z takim niewinnym i poczciwym wyrazem twarzy opowiadał o przebiegu faktów, że nawet kamień uwierzyłby w jego szczerłość. Chwilami wybuchał oburzeniem jako surowy, prawdziwy żołnierz, odznaczający się jakąś nieokielznaną siłą — co ujawniało się zwłaszcza wtedy, gdy usiłował zadać druzgocący cios Buttlerowi, odmalowując go jako tchórzliwego i niezdecydowanego, rozpieszczonego i zarozumiałego magnata, za którego nie wydałby nigdy swej jedynej córki, gdyby znał go tak dobrze jak teraz.

— Brałem udział w dwudziestu bitwach, proszę wielbnego konsystorza, na moim ciele znajduje się siedemnaście ran, które otrzymałem, broniąc cesarza i ojczyzny. Ale żadna z nich nie bolała mnie tak bardzo, jak

ta osiemnasta rana, którą zadał mi ten mazgajowaty młodzian, niewątpliwie ulegający podszeptom przebiegłego Horvátha. Jego dusza jest tak miękka jak gałka chleba, z której można ulepić wszystko, co komu przyjdzie na myśl. Bardzo to smutne, proszę prześwietnego sądu, że ja, siwowłosy starzec, muszę obalać kłamliwe wymysły, zrodzone w głowie chytrusa Pereviczkyego, że z rumieńcem wstydu na twarzy muszę bronić własnego honoru i honoru swej córki. Przecież tutaj zdane są na pośmiewisko i na obrzucanie błotem najbardziej intymne fakty, które pozostają najskrytszymi wspomnieniami każdego małżeństwa. Gdyby chodziło tylko o mnie, proszę wielebnego sądu, odwróciłbym się z pogardą od tego zbląkanego młodziana, który mieni się hrabią Buttlerem; gdyby szło tylko o to, że ten awanturnik, luteranin Horváth, przy pomocy podłych machinacji próbuje odebrać córce mojej wielkie bogactwo, ażeby obdarzyć nim swoją córkę, machnąłbym na to ręką, ale w sprawach honoru nie uznaję żartów...

— Ad rem, ad rem \* — mentorskim tonem upomniał go generalny audytor.

— Ja właśnie mówię do rzeczy, proszę przewielebnego konsystorza, ale nie mogłem nie podzielić się moim rozgoryczeniem z powodu tego urągowiska, na jakie został wystawiony mój honor. — Co więcej — zakończył chytry lis wiedząc, w co należy uderzyć — w obrońnię swego honoru nie zatrzymam się przed niczym! I ci, którzy ośmieliliby się narazić mój honor na szwank, choćby nie wiem jak wysokie stanowiska zajmowali, nie ujdą śmierci od mego miecza. Tak mi dopomóż Bóg!

Półsenni kanonicy od razu podnieśli głowy słysząc te namiętne groźby i wystraszeni zamienili się spojrzzeniami, jak gdyby chcieli powiedzieć sobie: „Per amorem dei” \*, ten piekielny żołnierz pożre nas wszystkich. No i proszę teraz głosować!

## Rozdział czternasty

### GLUPI KAWALEK OŁOWIU

Jeszcze tego samego dnia zostali przesłuchani Kazsmári i Jeszenka, których zeznania jednak nie miały dla sprawy znaczenia. Postawiono ich przed drzwiami tylko po to, żeby nie wpuszczali interesantów do kancelarii, w której odbywał się ślub, gdyż pan starosta surowo nakazał, żeby nikt nie przeszkadzał. Dlatego też nie wpuścili Zsigmonda Bernátha, chociaż ten bardzo nalegał.

— Innych powodów nie było?

— Nie było.

— Czy to prawda, że pan młody wyrwał się z kancelarii, a wyście go przemocą wprowadzili z powrotem?

— Nieprawda.

Tak oto z dnia na dzień wahały się szale wagi. Podobnie jak fale zmieniały się nastroje, niczym w zręcznie napisanej komedii, gdzie jedna scena gmatwa drugą, i wszystko to, co wczoraj wydawało się jasne i ustalone, dziś było niepojęte i bezsensowne. Rzecz polegała na tym, że rozprawa przy drzwiach zamkniętych dopóty pozostawała tajemnicą, dopóki członkowie konsystorza nie rozeszli się do domów. Po obiedzie już wróble ćwierkały o tym, co mówiono w sądzie, i opinia publiczna ciekawa przebiegu sprawy, codziennie sporządzała bilans.

Dziś na przykład szanse stronników Döryego tak po-

szły w górę, że Maria, gdyby chciała, mogłaby w sklepach kupować wszystko na kredyt.

Ale dzisiejszy dzień upamiętnił się jeszcze jednym ważnym wydarzeniem. Miklós Horváth uznał to, co mówił o nim Döry, za wielce go obrażające. Na próżno Fáy i Buttler usiłowali mu wytłumaczyć, że z takim człowiekiem jak baron lepiej nie wdawać się w rozmowy. Zapalczywy starzec odnalazł w jakiejś cukierce dwóch szlachciców ziemleńskich: Barkóczyego i Cseleyego. Posłał ich do Döryego, ażeby zażądali wyjaśnień, a jeśli trzeba będzie, to i satysfakcji.

Baron János Barkóczy przybrał poważny wyraz twarzy, duszkiem wypił swoją palinkę \* i oświadczył, że gotów jest udać się na poszukiwanie starego wilka. Młody Cseley zaś próbował się wzbraniać.

— Proszę bardzo, drogi panie, niech pan zrezygnuje...

— Co, ja mam pozwolić zdeptać swój honor? Nie, nigdy!

— Ależ ja nie proszę, żeby pan zrezygnował z pojedynku — to głupstwo, pojedynki nic strasznego! Proszę, żeby pan zrezygnował ze mnie dlatego, że każdy z Cseleych jest dla pana niebezpieczny. Tam, gdzie pojawia się Cseley, nieszczęście nieuniknione. Proszę mi wierzyć! Jeśli zamiast mnie pójdzie ktoś inny, wszystko się wyjaśni, jeśli zaś pójdę ja — sprawa skończy się śmiercią.

— Do stu piorunów, tego ja właśnie chcę!

— No, cóż, jeśli pan chce, to jestem gotów.

Odnaleźli Döryego w oberży „Pod Trzema Bykami”. Właśnie siedział przy stole i z wielkim apetytem zajadał gęś na zimno.

— Witajcie! — zawołał. — Hej tam, przynieść jeszcze dwie szklanki!

Lecz obaj wysłannicy stanęli przed nim i z uroczystą, marsową miną, jak przystoi węgierskiemu sekundantowi, powiedzieli:

— Przybyliśmy tu w bardzo poważnej sprawie!

— Breeee! — krzyknął Döry odkładając nóż — o co chodzi?

— Pan jakoby użył przed konsystorzem obelżywych słów pod adresem Miklósa Horvátha, którego my reprezentujemy.

— Powiedziałem to, co mi się podobało.

— Życzy sobie pan udzielić nam wyjaśnień czy też cofnąć swoje słowa?

Döry uśmiechnął się, podniósł do ust gęsie udko i zaczął obgryzać.

— Widzicie, panowie, pieczone udko mogę przełknąć, ale słów raz powiedzianych połknąć z powrotem nie mogę.

Barkóczy kiwnął głową.

— Taki punkt widzenia jest dopuszczalny, ale wobec tego, jak to nakazuje honor w stosunkach między szlachtą, żądamy od pana satysfakcji z bronią.

— Doprawdy? — zdziwił się baron wybuchając cynicznym śmiechem — a ja myślałem, że będziemy rzucać w siebie nawzajem flaszki po nalewce różanej i ten, kto spudłuje, zostanie pozbawiony reputacji honorowego człowieka. A zresztą, nie mam nic przeciwko temu. Przegryzę coś jeszcze i przyślę wam, panowie, swoich dwóch ludzi.

Pod wieczór zjawili się sekundanci Döryego: kapitan szwadronu Adam Borhy z regimentu Eszterházyego i hrabia Mihály Tige, przylizany lowelas, stale wionący jakimś modnym pachnidłem. W ostatnich czasach kręcił się koło Marii Döry, dotrzymywał jej towarzystwa na spacerach, posyłał kwiaty, a wieczorem wpadał do oberży „Pod Trzema Bykami”, czym zdobył niemałą popularność wśród innych kawalerów Egeru.

Po niedługiej dyskusji, czy nazwę „awanturnik” uwa-

zać można za tak obraźliwą, żeby warto było o to się bić, sekundanci uzgodnili, że pojedynk na pistolety nastąpi jutro o piątej rano w lasku Szöllöske.

W pałacu Buttlera nic o tym nie wiedzano i naza-jutrz z rana, za ledwie hrabia János przetaił oczy, otwarła się skrzypiąc ciężka brama, pod której łukowatym sklepieniem wisiały skórzane bukłaki, wojenne berdycze, piki, buławy, i to takich rozmiarów, że człowiek współczesny nawet by ich nie mógł udźwignąć.

Buttler niechętnie budził się rano, gdy brutalna siła świadomości wyrzucała go z raju, gdzie przebywał razem z Piroską.

Dziś skrzywienie wrót obudziło go i zburzyło ów tęczowy most, który powstaje ze złotej mgły i czarodziej-skich cieni zwykle na krótką chwilę pomiędzy snem i jawą.

Pierwotni ludzie wierzyli, że dusza ludzka co noc udaje się na wędrówkę, a rankiem powraca. I na tym polega przebudzenie; czasami odchodzi tak daleko, że już nie może wrócić, i to jest śmierć. Z jakąż prostotą patrzyli wówczas ludzie na śmierć.

— Zsigmond, słyszysz? Ktoś przyjechał. Słychać turkot kół na dziedzińcu.

Bernáth spał w tym samym pokoju co Buttler. Jeszcze w czasach, kiedy obaj studiowali na akademii w Pataku, przywykli mieszkać razem w jednym pokoju. Czasami rozmawiali przez całą noc po ciemku, gdyż pani Fáyowa skąpo wydzielala im świece, żeby nie psuli sobie wzroku od migotania światła.

Zsigmond ziewnął głośno i zaczął wsłuchiwać się w hałas dobiegający z podwórza.

— Może to ktoś z Erdöteleku (była to siedziba zarządu heveskich majątków Buttlera)

— Przypuszczam, że raczej ktoś z krewniaków — wyraził swoje zdanie Zsigmond — przyjechał wprost do

nas. Żaden z ekonomów nie ośmieliłby się zjawić tak rano. Może to ciotka Anna Fáyowa.

— Tak mi serce bije, Zsigmond, tak strasznie bije... przeczuję jakieś nieszczęście...

Z podwórza dobiegały nieznajome głosy. Okna sypialni były otwarte, ale zapuszczone żaluzje głużyły dochodzące dźwięki i sens słów. Hałas wciąż przybierał na sile, spośród gwaru wyróżniały się wzburzone okrzyki, tupot nóg; zdawało się, że cały dom stanął na nogi, że drży każda ściana.

Buttler już dwa razy dzwonił na służbę, ale nikt nie przychodził.

— Co to jest, u licha? — zdenerwował się. — Trzymamy sto osób służby, a jak trzeba, to nikt się nie zjawia!

Wreszcie drzwi otworzył kamerdyner, pobladły i jakoś groteskowo odziany: strój zbyt obszerny w stylu rokoko po prostu wisiał na nim, pończochy marszczyły się na nogach, krawat przekrzywiony, a spod szarej kamizelki z miedzianymi guzikami wyglądała granatowa liberia.

— Czy ktoś przyjechał, Márton? — pośpiesznie zapytał Buttler.

— Pan Miklós Horváth — wyjąkał kamerdyner szcękając zębami.

— Dlaczego tu nie przychodzi? — zawołał niecierpliwie hrabia. — Wpuścić natychmiast!

— Nie może tu przyjść, jaśnie wielmożny panie. Nie żyje.

Te słowa zabrzmiały tak, jak gdyby w powietrzu gwizdnął wypuszczony z procy kamień i ugodził Buttlera prosto w skroń.

Z rozdzierającym okrzykiem padł na poduszki.

— Nie żyje? To niemożliwe!

— Pan Döry zastrzelił go w pojedynku przed gozdzią.

W mgnieniu oka Buttler i Bernáth zerwali się z łóżek, ubrali pośpiesznie i wybiegli z pokoju.

W tym momencie właśnie przez duży, wyłożony marmurem przedsionek służba niosła ciało nieszczęśliwego starca. Na przedzie szedł Fáy z opuszczoną głową, wskazując, gdzie go położyć. Ubranie Horvátha było zalane krwią, twarz biała jak alabaster, lecz oczy miał otwarte; nie były wcale straszne i gdyby nie to, że zastygły nieruchomo, miałyby całkiem łagodny wyraz...

— Jeśli Bóg istnieje — wykrzyknął Buttler wstrząśnięty — jakże mógł na coś takiego pozwolić?

— Żadnych sentymentów, żadnego bładania — upomniał go surowo Fáy. — Tym go się już nie wskrzesi. Ten stary człowiek był bardzo dzielny i umarł jak dzielny mężczyzna. Chwalebny miał zgon. Punktum. Reszta jeszcze przed nami.

— Kula przeszła między dwoma górnymi żebrami i rozerwała tętnicę. Ta nieszczęsna kula spowodowała tak szybką śmierć — westchnął doktor, który był obecny przy pojedynku, pyzaty jegomość o wyblakłych oczach.

— To nie kula! Co tam kula! — załamywał z rozpaczą rękę Cseley. — To nie kula była przyczyną.

— No więc co w takim razie? — rozgniewał się doktor zmierzyszy go druzgocącym spojrzeniem.

— A ja, pozwólcie sobie powiedzieć, ja, Cseley. Tam, gdzie się znajdzie jakiś Cseley, zawsze będzie nieszczęście. Mówiłem mu o tym, błagałem, żeby wziął sobie innego sekundanta, ale on nawet słuchać nie chciał. Prawda, Barkóczy? Przecież słyście na własne uszy? Przecież Forgách zabił Karola Małego \* toporem pożyczonym od Cseleyego. Gdy Ludwik II \* utonął, jego przewodnikiem był Cseley; dodać należy, że ta rzeczka nazywała się także Csele. Mogłbym dać tysiące przykładów, choćby ta historia z Attylą \*. Gdy Attyła ożenił się

z Krymhildą, tańczył na swoim weselu z panną Cseley. No i co? Nazajutrz rano żona znalazła go w łóżku zalanego krwią.

Wątpliwe jednak, czy Cseley wybrał sobie odpowiedniego rozmówcę, jeśliby go chciał przegadać. Doktor sam był niemożliwie gadatliwy i bynajmniej nie troszczył się o to, czy ktoś chce go słuchać.

— To już mój trzeci śmiertelny pojedynek — mówił doktor z satysfakcją zamilowanego kolekcjonera. — Ale co ja mówię, to już czwarty! Bóg świadkiem, czwarty! (utkwiał wzrok w przestrzeni, jak gdyby miał przed sobą trzy nadziane na szpilki śmiertelne pojedynki i teraz właśnie przyszpilał obok nich czwarty). Tak, nie ma rady, nie ma rady! Pistolet to nie pogrzebacz.

Większość obecnych zgrupowała się obok Barkóczyego, który opowiadał o ostatnich chwilach Horvátha.

— Nawet dwie minuty się nie męczył. Lekką miał śmierć. Panie, świeć nad jego duszą! Krew się z niego lała, lecz bólu prawie nie czuł. Gdy upadł, podniosłem go z ziemi. Widać było, jak słabnie coraz bardziej i bardziej, aż w końcu usnął na zawsze, spokojnie jak jagnię. Jednakże rozum i żądło ironii nie opuściły go aż do końca i już umierając zdołał jeszcze ukłuć przeciwnika ostatnimi słowami:

— Co on powiedział? A więc powiedział coś jednak? Wydał jakieś rozporządzenia? — zapytało kilka głosów jednocześnie.

— Tylko to jedno powiedział biedaczek, zebrawszy ostatnie siły. Jak mógł, najwyraźniej, tak żeby i Döry usłyszała: „Czuję, że zaraz umrę. Ciało odwieźcie do mego przyszłego zięcia, Buttlera.”

Buttler, wzruszony, zaczął głośno szlochać.

Tymczasem w dużej sali pośpiesznie ustawiano katarfalk.

Fáy znów przejawiał zadziwiającą energię, dwoił się

i troił, wydawał zarządzenia, rozkazy, przydzielał robotę. Jego słowa brzmiały krótko i dobitnie. Zdawać by się mogło, że czyjaś potężna ręka wprawia w ruch gigantyczny mechanizm.

— Co się stało, to się nie odstanie! Teraz nie czas na płacze i biadania. Trzeba działać. Ty, Zsigmond, udaj się, synku, do wikariusza i poproś, żeby ciebie przesłuchano dziś do południa, dlatego że po obiedzie weźmiesz ze sobą ośmiu huzarów i udasz się do Bornócu, eskortując trumnę. Wy, panie zarządzający, wystarcie się o trumnę — najlepiej z brązu, a gdyby się nie udało, to orzechową. Ja sam wyjeżdżam za godzinę. Muszę przygotować tę biedną dziewczynę do ciężkiego ciosu. Tego nie mogę powierzyć nikomu innemu. Niech teraz od razu zaprzęgają do karety najszybsze konie. Pan, doktorze, honorarium otrzyma od zarządzającego. Sekretarz niech poszuka pastora luterańskiego, ażeby pobłogosławił nieboszczyka. Trumnę trzeba będzie postawić na wozie i przykryć sianem. Huzarzy niech jadą za nią, ale w takiej odległości, jak gdyby nie mieli z tym wozem nic wspólnego, ażeby nie wywoływać po drodze podejrzeń wśród przesądnych ludzi. Zrozumiałeś mnie, Zsigmond?

— Zrozumiałem, drogi wujaszku.

— A co będzie ze mną? — zapytał Buttler wycierając zapłakane oczy.

— Nic, ty tu zostaniesz.

Buttler zaprzeczył energicznym ruchem głowy.

— Czuję, że powinienem jechać. Po pierwsze — Piroška potrzebuje pociechy. Po drugie — muszę spełnić swój obowiązek wobec zmarłego. Zginął przecież przeze mnie, biedny! W tej sytuacji opiekun mój nie powinien żądać, abym dotrzymywał danej mu obietnicy, sam los zwalnia mnie od tego zobowiązania. To vis major. Jadę.

— Nie waż się ruszyć ani na krok, hrabio pardański — zagrzemiał Fáy. — Ty sam jesteś jak w letargu, gdzie tobie eskortować zmarłego? Jeśli chcesz spełnić swój obowiązek wobec niego, musisz wrócić do życia, ażeby dać szczęście jego córce, jego dziecku. Musisz zostać tutaj, być w pogotowiu, ażeby nie dopuścić do spisków i udaremnić chytre zamiary przeciwnika. Czyś ty oszalał, chcesz opuścić pole bitwy, ustąpić Döryemu? Ładne mi uszanowanie zmarłego! Nie, János, nawet nie myśl o tym! Dziewczyna wypłacze się i koniec. Nie ma potrzeby dolewać do łez kropel różanych. Łączyć miłość z żałobą to tak, jakby czarny kolor oprawiać w czerwone ramki. Ból sam stanowi wzniosłe uczucie. A ty chcesz okraść zmarłego, pozbawić go pełni sierocej rozpacz i zastąpić część tego uczucia słodyczą spotkania. Niech dziewczyna płacze, a ty bądź przezorny, ty czuwaj. Jakbyś miał sto uszu i tysiąc rąk... Aha, żebym nie zapomniał — trzeba wysłać natychmiast konnego gońca do Bozosa po imię pana Budayego. Niech przyjedzie jeszcze dziś w nocy. To człowiek mądry i uczciwy, słuchaj jego rad, dopóki ja nie wrócę.

## Rozdział piętnasty

### HONOROWANY ŚWIADEK

Wiadomość o wypadku rozeszła się szybko po mieście i wywołała głębokie oburzenie w stosunku do Döryego, a współczucie dla Piroski. Ludzie śpiesznie dzielili się nowiną. Historia w Olaszröszke pociągnęła za sobą jeszcze jedną ofiarę — zginął ojciec Piroski. Całe miasto nad tym ubolewało, chociaż nikt nie znał Horvátha osobiście. Najwidoczniej ludzie są z natury raczej dobrzy niż źli — oczywiście tylko wtedy, gdy nie przynosi to im ani korzyści, ani strat.

— Biedna ta mała Piroaska — mówili. — Najpierw zabrali jej narzeczonego, a teraz zabili ojca. A księża wygłaszają kazania, że świat jest mądrze urządzony!

Ogromne tłumy ludzi gromadziły się wokół pałacu Buttlera, ażeby dowiedzieć się szczegółów. Służba, która miała złożyć na trumnie Horvátha kwiaty, przysłane przez damy Egeru, z trudem przedzierała się wśród ciżby ludzi. Ale jeszcze większe tłumy wyległy w rannych godzinach na ulicę wiodącą do pałacu arcybiskupiego. Gdy ukazał się Döry, powstała wielka wrzawa, studenci prawnicy obrzucali go wyzwiskami, a niektórzy ludzie z tłumu ciskali nawet grudkami ziemi i kamieniami. W odpowiedzi na to Döry wyciągnął pistolet z kieszeni i zagroził zuchwale:

— Kto mnie tknie, pożegna się z życiem!

Nawet starcy powychodzili z domów; niektórzy stali

przed sklepikami obserwując wzburzony tłum; jest to widok nie mniej piękny i majestatyczny niż widok wzburzonego morza. Był wśród nich również imć pan senator Gábor Korponai; zebrawszy wokół siebie gromadkę pospólstwa, perorował:

— Zostawcie Döryego w spokoju, on nic nie winien. Chociaż ludzie mówią, że się do tego przyczynił, ale tym razem sprowokował go sam Horváth. Co się stało, nie odstanie, kula nie wróbel, który nawet w locie wie, co ziarno, a co plewa. Głupi kawałek ołowiu przelatuje w powietrzu jak chrabąszcz. To nie Döryego wina, bo i on także jest ofiarą księży. Oni mają to na sumieniu. Skoro konsystorz zasiada i przesłuchuje świadków przy drzwiach zamkniętych, to dlaczego księża nie utrzymują w tajemnicy tego, co tam się mówi? Oni sami najwięksi plotkarze!...

— To nie księża plotkują — stanęła w ich obronie jejmość Mátyásowa Nagyowa, niosąca na malowanym w żółte tulipany talerzu funt mięsa od rzeźnika, a po drodze zatrzymała się, ażeby posłuchać czegoś mądrego. — Nie księża plotkują, tylko kucharki.

W tym samym czasie w pałacu arcybiskupim przesłuchiowano Zsigmonda Bernátha. Z wielkim krasomówstwem odmalował obraz idyllicznej miłości Buttlera i Piroski Horváthówny. Pełen najgorętszych uczuć do Piroski — mówił — hrabia przybył do Olaszröske. Trudno, będąc w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem, przypuścić, że na ten fatalny ślub wyraził zgodę zakochany hrabia. Wszystko to od początku do końca było jednym wielkim gwałtem. I ksiądz został sprowadzony, zanim jeszcze Buttler zdążył wymienić choćby parę słów sam na sam z Dörym. Wieczorem zaś Bernáth, usłyszawszy rozpaczliwy krzyk Buttlera, odnalazł miejsce przestępstwa — i gdy za pozwoleniem pandurów zajrzał przez dziurkę od klucza, zobaczył, jak Döry mocno trzyma

wątlęgo i słabszego fizycznie Buttlera. Hrabia János usiłował się wyrwać, a tymczasem ksiądz szybko zarzucił stulę na ręce obojga młodych.

Sędziowie byli najwyraźniej pod wpływem dzisiejszej tragedii. Siedzieli w milczeniu, z ponurymi minami i pochyłonymi głowami, jakby im krew leciała z nosów. Tylko prokurator zadawał kilka pytań:

— Utique, a więc ksiądz przyszedł tam jeszcze, zanim odbyła się konfidencjonalna rozmowa? Czym to świadek tłumaczy?

— Tym, że ksiądz był w zмовie z Dörým. Motywy całkiem jasne. Niech tylko przewielebni ojcowie pomyślą trochę.

— Co świadek przez to rozumie?

— To, że jeśli drzewo owocuje wcześniej niż zazwyczaj, to znaczy, że musiało i wcześniej rozkwitnąć... — śmiało odpowiedział Bernáth.

No, hm... W tym momencie z zadziwiającą zgodnością wszyscy sięgnęli do kieszeni po tabakierki.

— No, a dlaczego pandurzy Kázsmári i Jeszenka nie wspomnieli o tym, że świadkowi udało się zajrzeć przez dziurkę od klucza?

— Dlatego, że oni po prostu są przekupieni, zależni od Dörýego i zeznają tylko to, co jest dla niego korzystne.

— Celem wyjaśnienia tej okoliczności trzeba będzie przesłuchać ich jeszcze raz — zdecydował przewodniczący.

Duży, stojący na czterech alabastrowych kolumnach zegar wydzwonił już dwunastą, ale ponieważ konsystorz przystąpił dziś do obrad nieco później niż zwykle, kanonicy postanowili nie przerywać sesji, i hajduk arcybiskupi podszedł do drzwi od pokojów świadków i zawołał:

— József Vidonka!

Odpowiedzi nie było. Adwokat Szücs wybiegł szukać go po korytarzach krzycząc głośno: „Vidonka, Vidonka!” — ale odpowiadało mu tylko echo. Wszyscy szukają, szukają, a Vidonki jak nie ma, tak nie ma. „Był tu przed pięcioma minutami” — odzywają się ludzie to tu, to tam, a Vidonka jakby się pod ziemię zapadł.

Trzeba było zmienić porządek przesłuchiwania świadków i wziąć na spytki tych dwoje służących, którzy nazajutrz po ślubie zajrzeli do sypialni nowożeńców. Ale przecież przesłuchiwanie takich świadków to swego rodzaju smakołyk, którym człowiek woli rozkoszować się długo, gdy wie, że może on roztoczyć przed nim wszystkie swe uroki; pod tym względem na dzisiejszy dzień się nie nadaje.

Notabene, skoro już mowa o kanonikach, to przyznać należy, że delectować się pikantnymi szczegółami gotowi są nawet na pogrzebach, ale dla stronników Buttlera zniknięcie Vidonki było arcynieprzyjemne. Zaginiony nie zjawił się nawet na obiad. Szücs przeszukał całe miasto, ale na próżno. Nie ulegało wątpliwości — Vidonka drapnął.

Nakazano niezwłocznie huzarom dosiąść koni i za wszelką cenę dogonić zbiega: koło południa był jeszcze w pałacu arcybiskupim, a więc nie mógł przez ten czas uciec zbyt daleko.

Pogoń ruszyła na wszystkie strony: przeczesano górę zamkową, zalesione zbocza Hajdúhegy, przybrzeżne zagajniki nad rzeką Egerem. Buttlera załamał ten nowy cios, zamknął się w swoich pokojach. Bernáth także nie miał odwagi ruszyć w drogę, choć wóz z sianem już czekał. Jak pokazać się Fáyemu z wiadomością, że Vidonka uciekł? Przecież to koniec wszystkiego. I Bernáth zwlekał do wieczora w nadziei, że może do tej pory znajda Vidonkę. Ale te oczekiwania okazały się

daremne: wysłani w pogoń huzarzy wrócili do domu z niczym.

Wieczorem trzeba było jednak wyruszyć. Na wozie, na stercie siana leżał Zsigmond Bernáth. Dwóch służących z latarniami w rękę szło obok wozu, albowiem drogi w komitacie Heves były bardzo kiepskie. Z tyłu w oddaleniu jechało truchcikiem ośmiu huzarów.

Posuwali się tak wolno, że nikt, kto ich widział, nie podejrzewał, co wiozą. Czwórka koni mogłaby nawet i kłusować, ale siano na furze, chociaż przyciśnięte żerdzią, na wybojach i kałużach, gdy wóz trzęsie, rozsypywało się na wszystkie strony, a słudzy musieli je raz po raz poprawiać. Na domiar noc była ciemna choć oko wykol. Co prawda, na niebie ukazywał się chwilami wąziutki sierp księżyca, ale zaraz zakrywały go sunące z wolna po niebie ciężkie, czarne chmury.

Bernáth drzemał, ułożywszy się w zagłębieniu zrobionym w sianie, ale na dobre zasnąć nie mógł, gdyż wóz raz po raz podrzucało na wybojach.

— Niech się panicz nie martwi — mówili słudzy. — To lepiej. Za to ten, co leży pod spodem, śpi na dobre.

Do północy nie zaszło nic szczególnego, ale zaraz po dwunastej jeden z latarników ni stąd, ni zowąd uderzył w krzyk. Odrzucił latarnię z taką siłą, że rozleciała się na kawałki, i pomknął na złamanie karku z powrotem.

Bernáth ocknął się z drzemki. Drugi latarnik krzyczał biegnąc za swym towarzyszem:

— Hej, hej, poczekaj, Istók! Co ci się stało? Możeś na szkło nadepnął? (Noc była ciepła i obaj szli boso).

Ale tamten nie odpowiadał i z dzikim wrzaskiem biegł przed siebie. Wówczas ten drugi pokiwał głową, rozejrzał się, poświecił latarką dookoła, ale nie znalazł nic podejrzanego. Bernáth zeskokczył z wozu i kazał zawrócić Istóka z drogi. Chłopak widocznie zmysły po-

stradał, ale huzarzy złapią go i przywiodą z powrotem.

Jak tylko wóz stanął, wśród ciszy nocnej zabrzmiał tętent końskich kopyt, a wkrótce potem głos Istóka, opowiadającego huzarom o czymś z wielkim wzburzeniem.

— Czyście oszaleli? — krzyknął na niego Bernáth, gdy huzarzy zbliżyli się razem z latarnikiem.

— Jezus Maria! To pan jeszcze żyje? — zdziwił się chłopak.

Huzarzy wybuchnęli śmiechem, a Istók chwycił za cugle konia, przytulił się do niego i szcękając zębami jęczał i stękał, żegnając się raz po raz.

— Boże, Boże! Boże miłosierny!

— Coście takiego zobaczyli?

— Jak to co? Przecież wielmożny pan nogę wysunął.

— Co za wielmożny pan?

— Nieboszczyk pan Horváth! Przysięgam na Boga, że widziałem nogę w bucie i kawałek spodni!

— Dureń jesteś — ofuknął go jeden z huzarów, József Bordás. — On już nigdy nogi nie wysunie, bo przecież ja sam dzisiaj własnymi rękami zamknąłem nad biedakiem wieko trumny.

— Bzdura, przysniło ci się, bracie — uspokajał Istóka Bernáth.

— Nie, nie, paniczu. Przysięgnę na Ukrzyżowanego! Mam swój rozum! Ja nie jestem z tych, co to boją się własnego cienia, proszę uniżenie. Brałem udział w trzech bitwach, sam dostałem testimonium odwagi od generała Hadika \*. Widziałem, to prawda, najświętsza prawda, że widziałem. Mogę nawet to miejsce wskazać, z którego wystawała noga. Fitying, poświeć no tu, szwagier!

Szwagier Fitying podszedł i skierował latarkę na tylną część wozu i rzeczywiście ukazał się otwór, przez który mogła wysunąć się noga zjawy.

Jeden z huzarów wyciągnął zawadiacko szablę z pochwy i zawołał z żartobliwą zuchwałością:

— Ano, niech ja pomacam tego ducha, chociaż nie mam świadectwa odwagi od generała Hadika.

I z tymi słowami dwukrotnie dźgnął szablę w siano.

Rozległ się najpierw głuchy jęk, a potem głośny wrzask. Wszyscy zadrżeli, nawet Bernáthowi ciarki przebiegły po plecach, a wojowniczy huzar ze strachu aż wypuścił szablę z ręki.

Nawet jeden z koni, jak gdyby zrozumiał, o co chodzi, zarżał i zaczął stawać dęba. Tylko stary Bórdas zachował spokój. Podkręciwszy siwego węża, gromkim głosem, niby parlamentariusz, zawołał do rzekomego upiora:

— Słuchaj no, duchu! Zwracam się do ciebie w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! Powiedz po dobroci, czego ci trzeba? Jeśli niczego — idź z Bogiem, bo jak nie, to wypalę do ciebie z karabinu!

Oto i cud nad cudami! Duch odpowiedział i to głosem tak głuchym, jak gdyby dobywał się spod ziemi:

— Ojejej! Ja nie duch, ja jestem tylko Vidonka!

Ach, Vidonka! Nagle twarze się rozjaśniły. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Przyjemniejszego i weselszego zakończenia tej całej historii trudno było sobie życzyć. Tylko huzar, któremu wypadła szabla z rąk, czuł się nieswojo. Za to „latarnik” Istók chwalił się, że jednak on miał rację twierdząc, iż widział nogę. Najbardziej ze wszystkich ucieszył się Bernáth: znalazł wreszcie tego cennego świadka.

— Wyłaźże stamtąd! — krzyknął.

Vidonka nie dał się długo prosić, wysunął najpierw jedną nogę, potem drugą, aż w końcu się wyczołgał wijąc się cały jak glista albo wąż.

— To ja, ale ktoś mnie dźgnął.

— A wiesz, że myśmy cały dzień ciebie szukali? Skąd się tu wzięłaś, nieszczęsny?

Vidonka wahał się przez chwilę, nie wiedząc, czy ma się przyznać, po czym wzruszając ramionami rzekł:

— Tak sobie. Dla kawału. Myślałem, żeby się trochę przejechać. Zackniło mi się za moją mamą, a ona mieszka we wsi Bornóc, tam właśnie, dokąd jedziecie. No i wlałem w siano.

— Na miły Bóg, mogłeś przecież się udusić! Nie rozumiem, jak to się stało, że jeszcze żyjesz! Jakaś ty oddychał?

— He, he, he! — roześmiał się Vidonka. — Nie bez powodu nazywają mnie majstrem do wszystkiego. Rano przychodzą do mnie parobcy i proszą: „Niech waszmość powie, jak załadować ten wóz?” A ja mówię: „Dajcie, sam to zrobię.” Na przodzie postawiliśmy trumnę, a ja z tyłu położyłem dwa worki z owsem tak, że pomiędzy nimi było wolne miejsce, gdzie swobodnie mógł zmieścić się Vidonka, jako że to chłopak szczupły. W deskach na dole jest dziura — nie większa, niż pies mógłby wyrwać zębami w spodniach. Toteż leżał sobie Vidonka na brzuchu między dwoma workami, spokojniutko oddychał, a jak się jechało w dzień, to i na drogę patrzył.

— A po coś w takim razie nogę wysunął? — zainteresował się Bernáth. — Z pewnością chciałeś drapnąć.

— Skądże, młody pan. Przypomniało mi się wypytywanie świadków w Egerze. Mówię sobie, źle z tobą będzie, Vidonka. Wielmożny pan Fáy skórę z ciebie zerwie. Wracaj ty lepiej! No i wtedy wysunąłem nogę.

— Ja też tak sobie życzę. Musisz wracać i to natychmiast. Masz ze sobą coś do jedzenia na drogę?

— Miałem torbę z chlebem i szynką.

Sięgnął do swej kryjówki i wyciągnął stamtąd torbę.

— Niech pan jedzie z Bogiem, młody pan, ja też już idę!

— Oho, Vidonka, nie tędy droga. Będą cię eskortowali dwaj huzarzy, żeby ci się co złego po drodze nie przytrafiło. Bordás, weźcie kogoś jeszcze i we dwóch pilnujcie Vidonki jak oka w głowie albo i jeszcze bardziej.

Wtedy to dopiero Vidonka przestraszył się naprawdę. Zaczął stawiać się, że nie jest dzieckiem i że nie boi się nawet samego diabła. Zrozumiał jednak szybko, że tę eskortę dają mu nie dla honoru. Padł na ziemię i zapłakał żałośnie, nazywając Bernátha najmilszym Zsiguską, serdecznikiem, błagając, żeby go tylko puścił wolno, gdyż Döry zastrzeli go z pewnością, jeśli zezna przeciw niemu na procesie. Nie wahał się przecież zabić tak wielkiego pana jak Horváth... Niechaj „młody pan” nie posyła go na pewną śmierć. Co zrobi bez niego niešťczęsna wdowa, Katuska?

Jednakże wszystkie jego prośby okazały się daremne. Zsigmond był nieubłagany i dwaj huzarzy poprowadzili Vidonkę, niby jakiegoś delikwenta, do Egeru. Przyznać należy, że okazywali mu należne honory, nazywając go imię panem.

Nazajutrz w pałacu Buttlera zapanowała wielka radość, że Vidonka się znalazł. Jednakże trzeba było немало trudu, aby dostarczyć go do pałacu arcybiskupiego. Zgodził się dopiero po długich namowach, pod warunkiem, że odwiozą go w zamkniętej karecie i że towarzyszyć mu będą dwaj uzbrojeni huzarzy, którzy nie opuszczą go ani na chwilę. Huzarzy odprowadzą go aż na salę i będą czekali na niego, dopóki nie wyjdzie. A potem, tą samą zamkniętą karetą, nie zatrzymując się nigdzie po drodze, odwiozą do Bozosa, gdzie przełożą w ręce pięknej Katuski, która w lęku o niego wypłakała już pewno swoje aksamitne oczka.

Tak się też stało. Jednakże, chociaż z taką pompą wieziono imię pana Vidonkę, był to najgorszy dzień

w całym jego życiu — drżał przez całą drogę jak galareta, jakby wieziono go na szafot. Chociaż nie spał całą noc, a także został ranny w ramię, to w chwili gdy znalazł się na sali, nabrał niezwykłej odwagi i postanowiwszy „było nie było, raz kozie śmierć”, wyznał całą prawdę. Opowiedział o podnoszącej maszynie, zamówionej przez Döryego, o tym, jak ją zmajstrował, jakie znaleźli dla niej zastosowanie, a potem ją zniszczyli, i o tym, jak Döry go namówił, ażeby za wysoką nagrodą wyjechał za granicę i ukrył się pod obcym nazwiskiem. Od tych wiadomości kanonikom włosy dęba stały.

Zeznania Vidonki wywołały niebywałą sensację. Całe miasto odetchnęło z ulgą, wszyscy zaczęli mówić o tym, że Vidonka zadał baronowi ostateczny cios. Teraz Döry i jego cała klika mogą iść do diabła. Buttler wygrał!

Vidonka był, jak ktoś słusznie powiedział, malutką szpileczką, która przebiła nadmiernie rozdęty pęcherz kłamstwa. Od razu stał się sławny. Do późnego wieczora gonilo za nim dwóch malarzy (w pobliżu pałacu arcybiskupiego kręciło się mnóstwo amatorów pędzla) chcących namalować jego portret. Miejscowe damy, przesiadujące przy kawie, postanowiły upleść wianek laurowy i posłać go Vidonce. Ale wieniec nie zastał go już, w tym samym czasie zamknięta karetka ze zbrojną eskortą pędziła drogą w stronę Ungváru. Bardzo możliwe, że gdyby Vidonka został w Egerze, studenci prawa urządziliby na jego cześć manifestację z pochodniami, lecz skromność to zacna zaleta i Vidonka był już daleko.

Jego karetka była zaprzężona w cztery wspaniałe cudowne konie, tak że przechodnie brali go za księcia i kłaniali się nisko, a koła karety przez całą drogę turkotały: Katuska, Katuska, Katuska.

## Rozdział szesnasty

### SENTENCJA WYROKU

Chciałbym przeprowadzić porównanie z rybą, albowiem jest na to wystarczająco głupia, lecz obawiam się, że ona jednak nie widzi tego wszystkiego, co odbija się w lustrze wody. Pluskwiak jest w korzystniejszej sytuacji, ponieważ pływa na powierzchni i widzi odbite w wodzie korony drzew. Otóż, gdyby taki pluskwiak umiał mówić i rozumować, to na pytanie, jak wyglądają drzewa, odpowiedziałby następująco: „Drzewa to najdziwniejsze zielone stwory; u dołu mają korony, a u góry grube pnie; tak więc potężne pnie wspierają się na delikatnym, ażurowym listowiu. Wszystko to mogłoby, oczywiście, wydawać się nieprawdopodobne — zakończyłyby swoje rozumowanie mądry pluskwiak — gdyby nie to, że my, płynąc w to miejsce, gdzie znajdują się drzewa, przekonaliśmy się naocznie, że drzewa są nierzeczywiste.”

Złudzenia, podobne do tych, jakimi mógłby podzielić się z nami pluskwiak, nieobce są i człowiekowi. Podobnie jak pluskwiak, człowiek nie przypuszcza nawet, jak bardzo się myli sądząc o sprawach według ich odbicia w wodzie. Opierając się choćby na tym przykładzie z pluskwiakami, można zrozumieć, dlaczego od najdawniejszych czasów ludzie uważają, że szkarłatna krew przelana w pojedynku utrzymuje biel honoru.

Zabójstwo człowieka to sprawa wielce nieprzyjemna,

nawet w formie tak zawadiackiej, jak pojedynek. Często mówimy o tych, którzy popełnili takie zabójstwo: „Jak on może potem spać spokojnie?”. Jednakże ów człowiek — chociaż to dziwne — zaskarbia sobie powszechny szacunek, mimo iż w rzeczywistości nie zrobił się od tego ani lepszy, ani szlachetniejszy, splamił tylko swoje ręce cudzą krwią. Przecież on jeszcze bardziej oddalił się od uczciwego świata, a zbliżył się do piekła, na pół pograżył się w smole i nocami już należy do szatana. Chociaż wiemy o tym doskonale, uważamy jednak, że stał się on bardziej godnym szacunku.

Tak też było i z Dörym od chwili, gdy zastrzelił Horvátha. Otoczyła go aureola sławy. Sposób, w jaki wydał on swoją córkę za mąż, wywołał powszechne oburzenie i ogólną niechęć. A gdy na domiar złego zastrzelił jeszcze i ojca rywalki, tak miłej dziewczyny, Döry w opinii publicznej ze złego człowieka awansował na zawadiakę.

Zawadiactwo to wielka potęga na Węgrzech. Wszyscy chcą być dla zawadiaki mili. Zamiast zebrać się i zniszczyć go wspólnym wysiłkiem, starają się ustępować mu z drogi. Pomału otacza go grupa popleczników, dlatego że wygodniej jest utrzymywać przyjaźń z silnymi.

Fantazja ludzka wyolbrzymia jego siłę i odwagę, przypisuje mu czyny, których nigdy nie popełnił, wkłada w jego usta mocne, cięte słowa, jakich nigdy nie wypowiadał.

Tak oto w pałacu arcybiskupim wielki popłoch wywołało zdanie powiedziane jakoby przez Döryego w gospodzie „Pod Trzema Bykami” do młodego wikarego, który odwiedził proboszcza Szucsinkę i skarżył się, że nie może awansować.

— Teraz będzie niemało sposobności do awansu, młody człowieku zapewnił go Döry — w ciągu najbliższych paru dni nastąpi pogrzeb od razu kilku kanoników.

Kucharka jednego z asesorów konsystorza, kanonika Pruzsinszkyego, usłyszała tę wieść na rynku i powtórzyła swemu panu, dodając od siebie, że stolarz Maszly zakupił już na to konto sporą ilość suchych desek orzechowych na trumny.

Począwszy od tego dnia z sali, w której odbywało się przesłuchiwanie świadków, nie przedostawało się na zewnątrz już ani jedno słowo. Co więcej, żaden z kanoników, ani w domu, ani w towarzystwie, nie dzielił się odąd z nikim swoją opinią na temat procesu. Jeśli ktoś wspomniał o sprawie, ojciec duchowny unosił w górę brwi i kwitował to nieokreślonym pomrukiem: hm, hm... Okazuje się, że dobry pistolet może stać się jednocześnie niezawodną kłódką.

A tymczasem sesje konsystorza ciągnęły się jeszcze prawie cały tydzień, po części dlatego, że przesłuchiwano nowych świadków, tak zwanych wyrazicieli „communis opinio”, po części w związku z powtórным wezwaniem już raz przesłuchiwanym.

Wreszcie uczestnicy tego głośnego dramatu wrócili do domu: Buttler do Bozosa, Döry do Olaszröszke i zaczął się okres pisaniny — pole do działania dla adwokatów (Ach, gdyby tak można było wyciągnąć z grobu Pereviczkyego!).

Niezliczone „odpowiedzi”, „repliki”, „trypliki”, „kontra-repliki”, „reasumcje” ciągnęły się jeszcze półtora roku. Przez ten czas osierocona Piroska mieszkała w Bornócu w domu Bernátha, którego stary Horváth w swym testamencie wyznaczył na opiekuna dziewczyny.

Fáy i Buttler nie zasypiali gruszek w popiele; szukali w Preszburgu i w Wiedniu potężnych patronów, których wpływy można by rzucić na szalę wagi, ażeby wygrać proces.

Nie tracili czasu także Döry i jego córka. Maria obje-

chała prawie wszystkich arcyksiążąt i agent dworu Szoltsányi, człowiek jak na owe czasy wyjątkowo śmiały, pisał, iż „nie było ani jednego znanego czy wpływowego człowieka, który nie maczałby palców w tym słynnym i dziwnym procesie, a niektórzy przy tym (dodaje w nawiasie) mocno je zabrudzili”.

Nigdy jeszcze nie było tak sprzyjającej gleby do protekcji, jak teraz (choć klimat węgierski i kiedy indziej nie jest zbyt dla niej surowy), arcybiskup z Egeru nie miał innych trosk niż te, jak znaleźć wpływowych protektorów, którzy pomogliby mu zająć miejsce arcybiskupa w Esztergomie, zwolnione po śmierci arcyksięcia Ambrożego (w tych czasach stolica arcybiskupia znajdowała się w Nagyszombacie). Oprócz tego kilka biskupstw też wakowało.

Toteż nic tak nie mogło ucieszyć Jego Eminencji arcybiskupa barona Istvána Fischera, jak propozycja ze strony wpływowych osób, które chciały pomóc mu otrzymać godność księcia prymasa. Nagle zaczął otrzymywać niezliczone ilości listów zarówno od jednej, jak i drugiej strony. Przyjemnie było wiedzieć, że każdy się o niego troszczy! Przewielebni kanonicy również mogli być zadowoleni, gdyż wysoko postawione osoby nie omijały ich także, budząc nadzieje otrzymania biskupstw. Podobne obietnice, niczym bliskie ognie pasterskie, oświetlały kanonikom drogę i dopomagały przedrzeć się przez ciemny las papierów, dowodów i argumentów.

Wszystko to razem podobało się i arcybiskupowi, i kanonikom, ale po pewnym czasie sytuacja stała się nie do wytrzymania, dlatego że jedni obiecywali pomoc, o ile małżeństwo Buttlera z Marią Döry zostanie unieważnione, inni zaś pod warunkiem, że małżeństwo zostanie utrzymane w mocy.

Arcybiskup i kanonicy, będąc w różowym nastroju

po paru kieliszkach „byczej krwi” \*, mówili: „Dobrze mieć wszędzie przyjaciół!”. Ale gdy byli w złym humorze, wzdychali: „Ach, jak to źle mieć tylu wrogów!”.

W końcu liczne informacje, sztafety, a często i kurierzy dworu z listami, pełnymi już to gróźb, już to obietnic, doprowadziły arcybiskupa od takiego stanu, że zawołał z goryczą:

— Jeśli ten proces przeciągnie się dłużej, pójdę do domu wariatów!

Oczywiście, proces przeciągał się, gdyż adwokaci musieli pokazać wszystko, co umieją. Zdaniem naiwnego ogółu, przypominającym sąd pluskwiaka o drzewach, potężny pień meritum sprawy opiera się na sylogizmach adwokatów, na ich zręcznie wykombinowanych argumentach, chociaż są to tylko cieniutkie, słabiutkie gałązki. Długo jeszcze potem w czterech komitatach wspomniano, jak to adwokat Szücs powiedział tak i tak, albo chwalono adwokata Döryego, który mocno podważył zaufanie do prawdomówności Vidonki twierdząc, że został on po prostu przekupiony przez Buttlera. A wynika to jasno z faktu, że prosty stolarz otrzymuje (co zostało poparte przedstawionymi dokumentami) taką pensję, jak dwaj wiceżupani razem, a przez ten czas wykonał on w majątku hrabiego za ledwie jedną tylko ławeczkę dla dójek, z czego wynika, że ta ławeczka kosztuje więcej niż w innym kraju tron królewski... Wyciągnięto z tego wniosek, iż adwokat Döryego jest lepszy niż Buttlerowski Szücs... A przecież po Buttlerze można się było spodziewać, mówiono, że jego adwokatem jest przynajmniej jakiś nowo objawiony Demostenes. I nie byłoby w tym nic zadziwiającego, gdyż Buttlera stać było na to, ażeby dla celów krasomówstwa kłaść mu w usta zamiast zwykłych kamieni złoto.

Wreszcie paplaninę adwokatów zakończono, a w pewien zimny styczniowy dzień konsystorz zebrał się na

ostatnie tajne posiedzenie i wydał wyrok. Trzech kanoników głosowało za rozwiązaniem węzłów małżeńskich, a trzech przeciw. Ale kto był „za”, a kto „przeciw” — to pozostało dla ciekawych tajemnicą.

Powiadają, że generalny audytor wahał się przez dłuższą chwilę wobec takiego podziału głosów; z przejęcia aż pot wystąpił mu na czoło, po czym sięgnął do tabakierki po szczyptę tabaki i zdławionym głosem oznajmił:

— Biorąc pod uwagę, iż nie ma jednomyślności, ja w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego i zgodnie ze zwyczajem kościelnym przyłączam się do tych, którzy głosowali za utrzymaniem małżeństwa.

Tak więc konsystorz uznał małżeństwo Buttlera i Marii Döry za ważne. To był już koniec.

A życie toczyło się dalej. Słońce zimowe, tak jak dawniej, śmiejąc się zaglądało do okien. Nie nastąpiło trzęsienie ziemi, które w imię sprawiedliwości powinno było zburzyć pałac arcybiskupi; nie wyskoczyli z ram historyczni biskupi, których portrety zdobiły ściany sal pałacowych. Nic się nie poruszyło, tak jakby Boga nie było w niebiosach. Tylko studenci prawa, dowiedziawszy się o wyroku, wybili w nocy szyby kanonikom — zarówno tym, co głosowali przeciw, jak i tym, co byli za utrzymaniem małżeństwa.

W tym samym czasie, gdy w domach kanoników brzęczały tłuczone szyby, a przez okno wpadały kamienie i stęchłe jajka, w pałacu arcybiskupim panowała niczym nie zmacona cisza. Arcybiskup spał smacznie na śnieżnobiałych poduszkach i miał tęczowe sny.

Śniło mu się, że z nieba spadła wiewiórka z koroną na głowie, zaprzężona do malutkiego złotego powoziku z czerwoną uprzężą. Koła powoziku kręciły się szybko po mlecznobiałym powietrzu, ale zdawało mu się, że to wcale nie powietrze, tylko strome zbocza góry, i że wie-

wiórka spada w przepaść z zawrotnej wysokości. Obok niej przelatowały dwa białe gołębie, ale powóz potrącił je i ptaki spadły z połamanymi skrzydłami, a wiewiórka mknęła coraz szybciej, migocząc złotą koroną. Wiewiórka ta była dziwnie podobna do cesarzowej Ludwiki. Po jakimś czasie powozik znalazł się na ziemi i stanął przed pałacem arcybiskupim. Dwaj huzarzy, Pál i Gyurka, podbiegli i od razu zmaleli, stali się podobni do figurek z piernika i wyjęli ostrożnie z powoziku złoty orzeszek. Arcybiskup wziął ten orzeszek i zaczął rozgryzać zębem (ponieważ został mu tylko ten jeden). Rozgryzł i patrzy — wewnątrz orzeszka coś się czerwieni. Obraca orzeszek w palcach, miętosi go i cóż widzi? Czerwone jądro orzeszka rośnie, rośnie i nagle przeobraża się w purpurowy kapelusz kardynalski.

## Rozdział siedemnasty

### PĄCZKI POD ŚNIEGIEM

Dlaczego wszystko stało się właśnie tak?

A skąd ja mogę wiedzieć? Myślę, że z tego samego powodu, z jakiego rzeki płyną tak, jak chcą, a nie tak, jak pokierowałyby nimi człowiek.

Te rwące potoki wiją się to tu, to tam; rozpościera się przed nimi cudowna kraina, a one zwracają się ku ponurym skałom lub kierują nurt na bezpłodną, surową pustynię; i wszystkie śpieszą się, śpieszą, śpieszą...

Gdzieniedzie znów zmieniają bieg bez żadnego powodu i przez jakiś czas płyną w tym samym kierunku, gdzie były wczoraj... Może zapomniały czegoś po drodze? Nic podobnego: wracają wcale nie tym łożyskiem, w którym mogłyby odnaleźć to, co zgubiły.

Dlaczegoż więc powracają? Czy jest w tym jakiś sens? Gdyby się tak nie śpieszyły, te ich powroty można by jakoś wytłumaczyć, a gdyby nie płynęły z powrotem, można by wyjaśnić logicznie i usprawiedliwić ten ich pośpiech.

Lecz one płyną i płyną głupio, bez powodu, tak jak im się zechce.

Ale chwileczkę! Oto pytanie! Czy taka jest ich wola? Czyż nie tajemnicze, władcze siły ziemi kierują ich biegiem? Czyż nie góry i skały zagradzają im drogę i zmuszają do zakrętów to w jedną, to w drugą stronę? Jeden Bóg to wie i wystarczy, że chociaż on wie. Nie ulega

kwestii tylko jedno: tak czy inaczej pewnego dnia przy-  
płyną wszystkie do tego miejsca, do którego śpieszyły —  
do wszechpochłaniającego morza, które czeka na nie  
i już ich nie wypuści.

Podobnie jak wody płynące powoli w kierunku tej  
góry, która potem zagrozi im drogę (o czym na-  
wet nie wiedzą) — tak samo płynął tok procesu  
Buttlera

Wyrok konsystorza podziałał na wszystkich przygnę-  
biająco, jeden tylko Fáy zachował równowagę i nie po-  
zwalał także Buttlerowi upadać na duchu.

— Zachowaj zimną krew, János, mój synu, teraz  
przekażemy sprawę do konsystorza arcydiecezjalnego.

— Ale i tam przecież zasiadają księża.

— Tak, ale tamci są mądrzejsi, a poza tym za ich ple-  
cami nie kręci się ten szczywany lis Fischer. A gdybyśmy  
i teraz przegrali sprawę, to istnieje jeszcze trybunał  
papieski. Mamy czas. Przecież Piroška czeka cierpliwie.  
Czytałaś jej list.

Chodziło o to, że po ogłoszeniu wyroku Fáy napisał  
list do Piroški, w którym zapytywał, czy jest ona skłon-  
na czekać na Buttlera, aż sprawa przejdzie przez  
wszystkie instancje (to znaczy dopóki istnieje jeszcze  
jakaś nadzieja).

Piroška odpisała:

„Będę czekała, dopóki jest nadzieja, będę czekała  
i wtedy, kiedy już jej nie stanie.”

Czyż mogłoby sześciu egerskich kanoników na tysią-  
cach nawet arkuszy papieru napisać tyle gorzkich słów,  
ażeby mogły one zepsuć słodycz tych kilku?

Nieszczęście — cokolwiek mówią o tym poeci — nie  
złamie naprawdę człowieka. Nie do wiary wprost, ile  
może udźwignąć człowiek. Są ludzie, którym wszystko  
jedno, jak wielkie jest nieszczęście, co spada na ich bar-  
ki — czy ma wagę jednego funta, czy tysiąca cetnarów.

Maleńka mrówka z jednakową zwinnością wpełza pod wielką bryłę i pod mały kamyczek. Buttler nie mógł nawet wyobrazić sobie, że zdołałby przeżyć podobny wyrok. Ale cóż, on wciąż jeszcze żyje i nawet snuje plany.

A sytuacja się pogorszyła. Teraz Maria Döry nabrała śmiałości. Dotychczas zakradała się cichaczem do pałaców Buttlerów i odgrywała rolę nieszczęśliwej, zasługującej na współczucie istoty, którą rodzony ojciec wypędził z domu („Idź razem ze swoim dzieckiem do męża, niech wszyscy widzą, że tam twoje miejsce!”), odwoływała się do łaski zarządców, którzy wstydzili się jej nie wpuszczać, rozumując: „Diabeł nie śpi, jeszcze nie wiadomo, czy ona kiedyś nie będzie naszą panią.” Ale teraz inna sprawa: wyrok zapadł, ona jest prawdziwą hrabiną Buttlerową. Z wielką pompą rozpanoszyła się w pałacu pardańskim, otoczyła się frejlinami, garderobianymi, sprowadziła własną ochmistrzynię. Gdy zarządca Ferenc Nogáll zaczął protestować, hrabina zwróciła się ze skargą do komitatu. Wiceżupan torontálski odwiedził Buttlera i zaczął go przekonywać, że skoro ta kobieta nosi jego nazwisko, to hrabia, jako jeden z pierwszych magnatów na Węgrzech nie może nie honorować własnego nazwiska i dopuścić przynajmniej, dopóki sąd nie wyda innego wyroku, żeby mieszkała w jakiejś dziurze, gdyż to skompromitowałoby Buttlerów.

Hrabia odpowiedział, że nie uznaje jej za swoją żonę, ale biorąc pod uwagę, iż prawo to prawo i że jeden wyrok został już wydany, pozwala Marii Döry, aż do zmiany wyroku, mieszkać w pałacu Buttlerów w Erdöteleku i pobierać co miesiąc z jego kasy dwa tysiące reńskich, pod tym jednak warunkiem, żeby w innych pałacach noga jej nie powstała.

Tak więc Maria zamieszkała w Erdöteleku. Hrabia

Tige i oficerowie z Egeru odwiedzali ją codziennie. Gwar wesółych przyjęć zmącił ciszę opustoszałego dotychczas gniazda. Ale żaden ze szpiegów Fáyego nie mógł donieść mu nic takiego, co by świadczyło o rozpustnym trybie życia Marii. Tymczasem do pałacu wkroczył w charakterze dozorca sam wielki spryciarz Krok, ukrywając się pod nazwiskiem Jánosa Kampósa, i ze szczególną uwagą śledził, czy nie zjawi się tam ksiądz z Olaszröszke (w przebraniu albo w jakimkolwiek innym charakterze).

Ale Maria była mądra i umiała uważać na siebie. Co więcej, z właściwym kobietom sprytem potrafiła tak urządzić Erdötelek, jak gdyby to była główna i stała rezydencja Buttlerów.

O Jánosu mówiła, że to po prostu cynik, który się wyrodził z uczciwej szlacheckiej rodziny i tuła się po świecie, opanowany jakąś manią.

Dodać należy, że w Niemczech mieszkało wielu Buttlerów: baronowie i zwykła szlachta, a także zbiedniałe ziemianie, aczkolwiek bez ziemi. Było tam całe mnóstwo dzieci, bez liku starych panien, najróżniejsi wujowie i ciotki, z którymi Maria nawiązała rodzinną korespondencję, zapraszała ich do Erdöteleku i nawet zwracała im koszty podróży. Tutaj opływali we wszystko i nie było dnia, żeby do stołu w pałacu nie zasiadało co najmniej cztery, pięć osób z rodu Buttlera.

Zadziwiająco doprawdy, w jaki sposób umiała zgromadzić w swoim domu tyle czerwono noszących leciwych dam, noszących okulary, pudrowane peruki, a także i nazwisko Buttlerów.

Większość tych szlachetnie urodzonych kobiet były to w młodości frejliny na którymś z małych niemieckich dworów, gdzie arcyksiężna zamykała na noc cukiernicę, a Jego Wysokość Arcyksiążę z oburzeniem wstawał od stołu, jeśli podane na półmisku kurczę nie miało jednego

udka. Za kradzież kurzego udka rozwścieczony książę groził całemu dworowi drakońskimi karami; jeśli zaś był dobroduszny, groził tylko abdykacją.

Byłe damy dworu przydały pałacowi w Erdöteleku takiego blasku, że śmietanka szlachty zamieszkująca komitat heveski zaczęła patrzeć przez palce na „poprzednie wydarzenia” i panowie Almássyowie, Brezovayowie, Dobóczyowie, Lubyowie, a nawet purytańscy Papszászowie nie oparli się pokusie, żeby zawieźć tam swoje panie z wizytą.

O tym wszystkim ojczulek Krok donosił Fáyemu w ten sposób:

„Damy dworu chodzą w wytartych jedwabnych spódnicach, ale mieszkankom okolicznym podoba się szelest jedwabiu i przyjeżdżają jedna za drugą do Erdöteleku, aby nauczyć się dobrych manier i »fusskratzu«.

Pani Maria wciąż jest jeszcze nieszczęśliwa, zżera ją ukrywany smutek. Często chodzi całymi godzinami samotna po ogrodzie, końcem parasolki trącając delikatnie kwiaty. A gdy kobieta igra z kwiatami, to znaczy, że w myśli kogoś całuje. Probatum est\*.

Nie mogę dociec, kto zajmuje jej myśli. Wiem, że nie hrabia Tige. On niedawno w czasie przechadzki chciał poprawić pukiel włosów, który wysunął się spod jej kapelusza, ale mu się nie udało. Rozzłoszczona pogroziła mu mówiąc:

— Proszę zachowywać się przyzwoicie, panie hrabio, bo chociaż jestem samotna, mam męża czy go nie mam, ale swoich dziesięć paznokci i to ostrych na pewno mam, a jeśli pan mi nie wierzy, mogę pana o tym za chwilę przekonać.

W stosunku do innych oficerów jest zimna, rzec można, jak lód i jeśli rozmawia z nimi, to tylko dlatego, że się sama nudzi. Zdumiewająca niewiasta! Swojej małej córeczki, którą nazywają »hrabianką«, nie kocha, z cze-

go wnioskować należy, że księdza nie kocha także, i ja niepotrzebnie na niego czatuję...

Przedwczoraj przyjechał tu sam stary Döry, razem ze swoim szympansem. Leciwe damy Buttlerówny wyprawiają różne figle z małpą. Nawiasem mówiąc, są do niej podobne.

Niedawno podsłuchałem przez dziurkę od klucza taką oto rozmowę ojca z córką:

— Ach, ojcze, takie życie — powiedziała — to istna niewola i jeśli dłużej będzie trwała, stanie się nie do wytrzymania.

— Cierpliwości, cierpliwości, tylko czas może poprawić nasze błędy.

Pani rozplakała się.

— Nawet kamień może się poruszyć w głębi ziemi podmywany wodami podskórnych źródeł, lecz jego serce nigdy nie obróci się ku mnie.

— Kto wie? Po jakimś czasie zapomni o Piroscie.

— Tak sądzisz, papo?

— Jestem przekonany.

— Z czego to wnosisz?

— Znam serce ludzkie. Pali się, pali, a potem wygasa.

— Doprawdy?

— Ech, widziałas ty kiedy, żeby grube polana płonęły i nie spaliły się, nie obróciły w popiół? Widziałas kiedy coś podobnego? No, powiedz. Tak samo i jego serce kiedyś ostygnie, a gdy to nastąpi, może wiatr przyniesie ci popioły jego serca, zwłaszcza kiedy okażesz więcej sprytu.

Przytaczam tę rozmowę w liście do Wielmożnego Pana dlatego, że podejrzewam, iż panią Marię Bóg pokarał, jako że ona w skrytości ducha kocha hrabiego Já-nosa. Rozumie się, to tylko przypuszczenie starego Kro-

ka, który przeczuwa, choć nie widzi. Ale nos ma bardziej czujny niż oczy.

Pozostaje wierny wyżeł Wielmożnego Pana, itd....”

Fáy przeczytał te listy, ale Buttlerowi nie wspomniał o nich ani słowem. Uważał za właściwe odwrócić jego uwagę od tego nieszczęsnego procesu i namówił go, żeby pojechał na dietę do Preszburga i zainteresował się polityką. Co prawda, polityka to malowana pannica i w ostatecznym rozrachunku zawsze człowieka oszuka, ale na jakiś czas może każdego porwać.

Jednakże czas leciał jak ptak, a proces włókł się jak żółw. Minął rok, zanim konsystorz archidiecezjalny ogłosił wyrok, minął drugi, zanim sprawę rozstrzygnął trybunał papieski. Dwa razy zamarzał i dwa razy tajał strumyczek w ogrodzie Bernáthów, zanim i te dwie wyższe instancje apelacyjnie uznały, iż małżeństwo Buttlera jest jednak ważne.

— No, teraz nie pozostało nam nic innego, jak zwrócić się do samego Pana Boga! — zawołał Fáy z głęboką goryczą.

Trudno wyobrazić sobie, jak bardzo przygnębieni byli stronnicy Buttlera. Teraz nie pozostawała już najmniejsza nadzieja. A przecież w spichrzu u Pana Boga nadzieja ukryta jest w największym worku, nigdy nie zawiązywanym, żeby każdy mógł wsunąć weń rękę; pod tym jedynym względem Bóg nie jest skąpy.

Tak też było i teraz. Nikt nie uciekał się do Pana Boga: sam rozdmuchał w ludziach nadzieję. Wprawdzie tym razem nie było to dla niego przyjemne, albowiem wprawdzie musiał powołać do swej chwały niebieskiej starą Szimáncsiową. Otóż więc Szimáncsiowa zmarła. Mówią, że zapaliła się w niej wódka i od tego stara zgorzała. Na łożu śmiertelnym wezwała do siebie wiejskiego sołtysa i dwóch sąsiadów: kuśnierza Józsefa Turpisa i imię pana Györgya Tótha. Zapłakane wnuczeta

proponowały, żeby wezwać księdza, ale umierająca ruchem głowy wyraziła protest: chciała umrzeć jako dobra chrześcijanka, a do tego potrzebni jej byli tylko jeden przedstawiciel władzy i dwaj sąsiedzi.

Gdy wszyscy zebrali się u jej łoża, stara, powierzając Bogu swą duszę, oświadczyła, że ma na sumieniu tak wielki grzech, że nie chce zabierać go ze sobą na tamten świat.

Teraz powie całą prawdę: przed konsystorzem w Egerze złożyła fałszywe zeznania. Naprawdę było tak, że hrabia Buttler nie chciał pojąć za żonę panny Döry, cisnął obrączkę, która uderzyła Szimáncsiową w głowę; od tego czasu za każdym razem, kiedy była pełnia, czuła w skroni ból. Hrabia wyrwał swą rękę spod stuły, powtarzając raz po raz, że ręka dziewczyny nie jest potrzebna ani jego duszy, ani jego ciału.

Przez pewien czas wyznanie Szimáncsiowej przechodziło na wsi z ust do ust w największej tajemnicy; nikt nie odważył się mówić o tym na głos w obawie przed Dörym. Jednakże pan Tóth nie lenił się podzielić tymi wiadomościami z zainteresowanymi. Ponieważ hrabia Buttler był daleko — w Preszburgu na diecie — oberżysta udał się do Bornócu, do jego narzeczonej, która już trzeci rok nosiła żalobę po ojcu.

Ach, jakaż śliczna ta mała Piroska! Nigdy w życiu nie zapomni jej stary Tóth. A jaka miła była dla niego, jak mu dziękowała! Przygotowano dla niego smakowity obiad, rozpytywano, jakie potrawy i jak przyrządzone najbardziej lubi. Jak gdyby był księciem. Zatrzymano go na noc (przyszedł co prawda późnym wieczorem). Dano mu jedwabną pościel, a do przeznaczonego dla niego pokoju odprowadziła go sama Piroska ze świeczką w rękę.

Biedny Tóth wzbraniał się przyjmować wszystkie te dowody uwagi, zawstydzony, nie wiedział, co ma zro-

bić. Raz po raz potykał się o jakieś meble, których było w pokoju tak dużo, i co chwila powtarzał, że to drobiazg, nie warto o tym mówić, młody hrabia jest jego bliskim znajomym, teraz nie ma roboty w polu, wybrał się więc na przechadzkę i ot tak sobie po drodze wstąpił tutaj. Jeść także nie bardzo chciał, a przy każdym nowym daniu wzdychał i biadał, że młodzi panowie nie raczyli wówczas skosztować u niego pieczonych kurcząt — gdyby zostali, nie doszłoby do tego nieszczęścia.

— Waszmość przywrócił mi życie — dziękowała panienska, a po kolacji rozbawiła się jak mała dziewczynka, usiadła na kolanach starego Bernátha, a on zaczął ją huścić. Pani Bernáthowa patrzyła i śmiała się do łez.

— Stary, ale widać, że jeszcze jary!

Ta uwaga tak się spodobała Bernáthowi, że chociaż była już noc, wziął latarnię i sam poszedł do piwnicy (nie można było go od tego powstrzymać), bo tam, powiedział, trzyma zakopaną w piasku butelkę tokaju z tego samego roku, w którym przyszedł na świat. No, a on ma już swoje lata!

I wkrótce pojawiła się na stole omszała, zasnuta pajęczyną butelka, którą Bernáth przyniósł triumfalnie.

— Milszego gościa nie będziemy mieli — powiedział. — Nie mógłbym sobie darować, gdybym wypił tę butelkę z kim innym.

Odkorkowano flaszkę i nalano wina do kieliszków. Pani domu wypila razem ze wszystkimi. Piroska napełniła raz jeszcze kielich i wzniosła toast na cześć imię pana Tótha. Bóg jeden wie, co ona takiego powiedziała, słów nie zapamiętał, ale serce jego ogarnęło takie wzruszenie, że aż łzy stanęły mu w oczach, chociaż ostatni raz płakał wtedy, gdy go akuszerka kąpała.

A w nocy, gdy wszyscy już spali, biedna panienska usiadła i zaczęła pisać list do Fáyego. Pisała prawie całą

noc, donosząc mu, co wyznała przed śmiercią stara grzesznica Szimáncsiowa.

„W zamian za to, że podli świadkowie i źli sędziowie łamali jeden za drugim szczeble do naszego szczęścia, teraz Bóg sam podstawia nam zbawczą drabinę... Trzeba koniecznie wznowić proces”.

Ażeby nie stracić ani sekundy, na list czekał już foryś na osiodłanym koniu i pocwałował co koń wyskoczy do Pataku czy do Kohánya, tam gdzie mógł przebywać obecnie pan Fáy.

O świcie, kiedy przyszedł czas pożegnać się z gościem, Piroska była już na nogach rumiana niby jabłuszko i wesoła jak ptaszek, który dostał do klatki kawałek cukru, a myśli biedaczek, że jest wolny i siedzi na rozkołysanej gałęzi.

Dziewczyna zaczęła wypytywać Tótha, czym i w jaki sposób mogłaby mu sprawić radość. Prosiła, żeby przyjął od niej w prezencie jakiś drobiazg na pamiątkę — zegarek czy pierścionek — i rozłożyła przed nim taką ilość złotych przedmiotów, że dwadzieścia srok nie zgromadziłyby ich przez całe swoje życie.

— Widzi waszmość, jaka jestem bogata! Zrobi mi pan wielką przyjemność, jeśli przyjmie ode mnie jakiś drobiazg na znak mej wdzięczności.

Imć pan Tóth zaczerwienił się po same uszy i odsunął wzruszony te wszystkie „cacka”.

— Jeśli coś zrobiłem, proszę uniżenie, to nie po to, żeby dostawać prezenty. Jestem przecież szlachcicem, proszę uniżenie!

— Ale niechże waszmość przyjmie ode mnie choć cokolwiek! W przeciwnym razie będę obrażona!

Panu Tóthowi nie pozostało nic innego, jak poddać się losowi i zastanowić, co ma wybrać.

— Ale to musi być koniecznie coś złotego — dodała Piroska widząc, że on szuka rzeczy najmniej cennej.

— No, jeśli to już tak koniecznie musi być coś złotego — rzekł oberżysta czując, że na czoło pot mu występuje — to niechaj panienska podaruje mi pasemko swoich włosów, żebym mógł włożyć go do modlitewnika mojej córeczki — bo ja sam, co tu ukrywać, nie mam zwyczaju modlić się dlatego właśnie, że księża radzą to robić, a cóż dobrego może być w księzowskich radach?

— Ajajaj — filuternie pogroziła mu dziewczyna — nigdy bym nie sądziła, że z pana taki niedobry człowiek.

Jednakże od razu wzięła nożyczki i odcięła pukiel włosów. Małe nożyczki skrzypnęły, jakby zaszlochały.

Gładząc delikatnie swymi sękatymi palcami pasmo, pan Tóth z udawaną surowością zmarszczył brwi i zaczął straszyć panienskę:

— He, he, he, a co by powiedział jaśnie pan hrabia, gdyby dowiedział się, co ja dostałem?

Piroska uśmiechnęła się.

— Nic by nie mógł powiedzieć, bo on wie, że ja cała jestem jego, z wyjątkiem tych włosów. Wtedy kiedy on prosił mnie o rękę, miałam inne, ale podczas choroby mi powypadały.

Odprowadziła Tótha aż do samego gościńca i mimo że okoliczni chłopci widzieli, położyła swą malutką pulchną rączkę na jego szorstkiej dłoni:

— Niech Bóg ma pana w swej opiece. I koniecznie, jak waszmość będzie w tych stronach, proszę nas nie ominąć.

— I panienska niech do nas przyjedzie, jak już zostanie hrabiną i losy przywiodą ją do Olaszröszke. Była tam panienska kiedy?

— Nie, nigdy.

— Ładna wieś... — ale w tej samej chwili Tóth uświadomił sobie, że po tym wszystkim, co zaszło w Olaszröszke, lepiej może o niej nie wspominać, i zaraz do-

dał: — A niechby ją piekło pochłoneło! A jednak, gdyby wtedy panowie studenci zjedli pieczone kurczęta, nie rozmawialibyśmy teraz ze sobą.

Po tych słowach wolnym krokiem ruszył w drogę powrotną, zatopiony w głębokich rozmyślaniach. A w domu Bernáthów rozbudził takie rozkoszne nadzieje, że zakochana dziewczyna mogłaby żyć nimi jeszcze dobrych parę lat.

## Rozdział osiemnasty

### BLASK CESARSKO-KRÓLEWSKI

Po zeznaniach umierającej Szimáncsiowej sprawa Buttlera rozgorzała, jakby na nowo rozżarzyły się węgielki w piecu. Oba wrogie obozy chwyciły za broń, ażeby znów stanąć w szrankach. Podszewka tej całej historii, ukazana w nowym świetle, wywołała wśród szlachty wielkie wzburzenie. Protestanci ironizowali: „Do czego doszła korupcja wśród duchowieństwa katolickiego”. Katolicy byli także zaszokowani. Pál Nagy chciał przekazać tę sprawę na jawną sesję i z niemałym trudem wyperswadowano mu ten zamiar. Jeden z hrabiów Eszterházych oświadczył, że o ile ten błąd nie zostanie naprawiony, to on sam przejdzie na inną wiarę.

Na którymś z balów Miklós Draskovics — w obecności samego palatyna — oświadczył na cały głos:

— Kogo broni duchowieństwo takim jaskrawym kłamstwem? Księdza z Olaszröske? Temu świntuchowi należałoby odrąbać aż po ramię rękę, którą udzielił błogosławieństwa, a jego samego przywiązać do końskich ogonów i rozerwać na części, o ile w tym kraju traktuje się poważnie dewizę Najjaśniejszego Pana: *Justitia regnorum fundamentum* \*.

W tym czasie Buttler zdobył sobie w Preszburgu mnóstwo przyjaciół; jego niezwykła skromność, jego wielkie bogactwo, które tak hojnie rozdawał na prawo i lewo, i głęboki smutek, który nosił w sobie — wszystko

to razem zaskarbiało mu wiele serc. Jednocześnie wzrastała powszechna niechęć do arcybiskupa Fischera, który dopuścił świadomie do znieważenia sakramentu małżeństwa. Powszechne oburzenie było tak wielkie, że król, który zamierzał mianować Fischera prymasem, musiał z tego zrezygnować i wyznaczył na to stanowisko Sándora Rudnayego.

W obliczu tak pomyślnych perspektyw Buttler wznowił swój proces w Egerze.

— No, tym razem przegrać już nie można.

Sam wielmożny pan Sándor Kövy zapewniał Fáyego:

— Seneka mówi, że dla bogów nie ma nic przyjemniejszego aniżeli widok mężczyzny walczącego ze ślepym fatum. No, a teraz już nawet takiego widowiska nie będzie, gdyż obecnie fatum jest po stronie Buttlera.

Tak by też było, gdyby Parki przędły nić żywota zawsze na tej samej kądzieli i gdyby tych nici nikt nie podmieniał!... Aż tu nagle ruszyli do ataku ultramontani \* w obawie, że ta sprawa może pociągnąć za sobą poważną kompromitację kościoła. Jezuici jeszcze za czasów Józefa II przepowiadali: *Redibimus sicut aquile* \*. I rzeczywiście wrócili, ale nie jako orły, lecz jako krety, i zabrali się do swych ciemnych machinacji.

A chociaż sprawa Buttlera była w gruncie rzeczy drobiazgiem, jezuici mieli zasadę: „*Kleine Fische gute Fische*” \* — którą później przyjęli karciarze (rzadki wypadek jezuickiej hojności, bo zwykle wszystko tylko do nich się przyczepiało). Chwycili się teraz i tej sprawy. W ogóle nie ma na świecie tak wielkiej rzeczy, żeby obawiali się jej tknąć, ani tak drobnej, żeby nią wzgardzili. Dziś jezuita męczy owcę, żeby mieć z niej jak najwięcej wełny, jutro zacznie drażnić lwa, ażeby on rozszarpał kogoś na strzępy, a pojutrze będzie tresował pchłę, aby przy sposobności wrzucić ją za koszulę jakiejś kobiecie.

Jezuici przeważnie kręcili się przy cesarskim dworze, tam przędli swoją cienką pajęczynę. Najzręczniejszym i najsprytniejszym lisem wśród nich był niejaki Lörinc Wirke, rodem z Koszyc, spowiednik arcyksiężny Marii Elżbiety.

Koła dworskie, a zwłaszcza pięć piękna, bardzo interesowały się nowym obrotem sprawy Buttlera. Przecież ta sprawa, która w ciągu paru lat dawała żer tak interesującym plotkom, znów odżyła. Ojcu Wirke zaświtała pewna myśl, którą pośpieszył się sprzedać arcyksiężnej.

— Z tą sprawą nie będzie spokoju, Wasza Wysokość, dopóki ta dziewczyna nie wyjdzie za mąż.

— Która dziewczyna?

— No, ta Piroska Horváthówna.

— Podobno piękna.

— Nawet bardzo.

Arcyksiężna już od dawna nie była piękna. Zbliżała się do tego wieku, kiedy to kobiety dbają o dobre uczynki, ażeby nagromadzić spory bagaż, z którym będą mogły udać się na tamten świat.

— Oczywiście, oczywiście — mówiła w zamyśleniu — gdyby ta dziewczyna wyszła za mąż, to dla hrabiego Buttlera proces straciłby cały sens.

— Z pewnością.

— Tak, ale nie wiem, co tu można zrobić?

— Wasza wysokość może zrobić wszystko, może uratować kościół od skandalu, który nie wiadomo czym mógłby się skończyć.

— Obawiam się, ojczcie Lörinc, że ksiądz przecenia moje siły.

— Wasza Wysokość może przyjąć ją do siebie jako damę dworu i szybko wydać za mąż, gdyż ona jest bardzo bogata.

Arcyksiężna uśmiechnęła się.

— O, z ojca to sprytny człowiek, ojciec Lörinc, naprawdę sprytny. Później o tym pomyślę. Rankiem głowa świeższa.

— Anioł na pewno podszeptnie podczas snu Waszej Wysokości, co zrobić należy.

To jasne, co mógł szepnąć anioł, albowiem po paru tygodniach do nadzupana w Ungvárze przybyła sztafeta od palatyna, która oznajmiła, że Jej Wysokość Arcyksiężna Maria Elżbieta zamierza odwiedzić w Budzie rodzinę palatyna i że odniosłaby się przychylnie do tego, gdyby panna Piroska Horváthówna, dla której żywi sympatię i współczucie, stanęła przed obliczem Jej Wysokości. Nadzupanowi polecono potraktować tę sprawę oględnie i taktownie.

Jak wywiązał się z tego nadzupan, wiadomo, gdyż pani Bernáthowa i Piroska przyjechały na Zielone Świątki do Budy i zatrzymały się w zajeździe „Sieben Kurfürsten” w Peszcie. Ulokowawszy się tam, pani Bernáthowa wydała huzarowi następujące zlecenie:

— Przywdziej zaraz odświętny strój, poszukaj w mieście baby do nacierania i przyślij ją do mnie. Droga była taka męcząca, że wszystkie kości mnie łamają i proszą się o natarcie. Potem pójdziesz do palatyna. Tylko, pamiętaj, zachowuj się przyzwoicie, żebyś nie przyniósł mi wstydu. Zameldujesz tam komuś ze służby, że myśmy przybyły, rozumiesz, że przybyliśmy i oczekujemy rozkazów. Wszystko, co ci tam powiedzą, dobrze zapamiętaj, żebyś potrafił jasno i dokładnie powtórzyć, gdy wrócisz do nas.

Huzar poszedł i zanim damy rozpakowały się i powymowały z pudeł i sakwojaży suknie i koronki, powrócił z wiadomością, że ani jednej baby do nacierania nie znalazł, ponieważ „one wszystkie mieszkają tylko na wsi.”

— No, a u palatyna byłś?

— Tak jest, byłem.

— Z kim rozmawiałeś?

— Z samym palatynem, proszę uniżenie.

— To niemożliwe — dziwiła się pani Bernáthowa. — Rzeczywiście z nim rozmawiałeś? I wszystko mu powiedziałeś?

— Tak jest, powiedziałem.

— I jakie dał zlecenie?

— Powiedział, że jest pokój.

Ale huzar jeszcze nie zdążył dokończyć, gdy pani Bernáthowa, która, jak wiadomo, była krewkiego temperamentu i miała ciężką rękę, tak trzepnęła go w gębę, że aż mu świeczki w oczach stanęły.

— No więc, jest w Peszcie baba do nacierania czy nie ma? Przecież ty piłeś w traktierni „Pod Palatynem”, ośle jeden!

Trzeba było posłać go jeszcze raz do pałacu palatyna i dać jako przewodnika odźwiernego z „Sieben Kurfürsten”.

Przyznać należy, że tym razem huzar dokładnie wypełnił polecenie, gdyż nazajutrz rano zajechała po damy pozłacana dworska karetka.

Długo byłoby opisywać, w jaki sposób, wedle moich wyobrażeń, przyjmowano obie panie na dworze, tym bardziej że pani Bernáthowa opowiadała to z tysiąc razy, niezmiennie dodając na zakończenie: „Ja i teraz jeszcze powiem, gdy zobaczyłam arcyksiężną, córki i małżonkę palatyna, że najładniejsza, najbardziej dystygowana spośród nich wszystkich jest radość mego życia, nasza Piroska”.

Maria Elżbieta przyjęła Piroską i jej towarzyszkę w altanie ogrodu w Kelenföldzie, tam gdzie palatyn i jego małżonka szukali schronienia przed upałami, które w tym roku nastąpiły bardzo wcześnie.

Gdy karetka zatrzymała się, wysiadły przed furtką

ogrodu, takiego, jaki można zobaczyć w każdej wsi. Nie zauważyły ani wartowników, ani lejbgwardzistów, ani szwajcarów ze złotymi szamerowaniami, ani snującej się tu i ówdzie służby dworskiej; tylko stare, białe psisko merdało ogonem, wysunawszy czerwony wilgotny ozór. Wśród zarośli kopał ziemię jakiś wysoki, niemłody mężczyzna w podniszczonym ubraniu. Po jego twarzy, podługowatej i pokrytej zmarszczkami, spływały krople potu.

— Powiedzcie mi, mój człowieku — zwróciła się do niego po niemiecku Bernáthowa — komu należy zameldować o naszym przybyciu, żeby Jej Wysokość Arcyksiężna Maria Elżbieta raczyła nas przyjąć.

Starszy człowiek zdjął z głowy słomkowy kapelusz z szerokim rondem, a rydel wbił w ziemię, na znak, że gotów je sam poprowadzić. Wskazał im drogę do skromnego na pierwszy rzut oka budynku i otworzywszy drzwi przepuścił damy przodem.

Pani Bernáthowa, sądząc, że ich przewodnik dalej nie pójdzie, wyjęła z kieszeni i podała mu lśniącego talara.

Stary uśmiechnął się i schował ręce za plecami, lecz pani Bernáthowa, mrugnawszy do niego dobrodusznie, rzekła:

— Ależ weźcie, mój człowieku, weźcie.

— Palatyn nie lubi, jak jego ludzie przyjmują napitki — odpowiedział łagodnie. — Stąd wniosek, że i sam nie powinienem brać. Nieprawdaż, łaskawa pani?

— Boże święty — wymamrotała pani Bernáthowa, zatrwożona nieoczekiwanym domysłem. — Przecież chyba nie...

— Ależ tak, właśnie to ja jestem palatynem. Nic takiego, nic takiego, łaskawa pani. Proszę się nie kłopo-

tać. Przecież dając mi tego talara, nie chciała pani zrobić nic złego.

Ale za późno było na ubolewanie, gdyż po chwili znalazły się obie w sali, gdzie siedziały już skromnie ubrane damy. Nikt na świecie nie domyśliłby się, że są to osoby książęcego rodu. Nie były wystrojone ani w złotogłów, ani koronki brukselskie czy walansjenki; a te koroneczki ludowe, które zdobiły ich szyje, były zwyczajnie robione na klocku (pani Bernáthowa poznałaby je z daleka). Na głównym miejscu przy stole siedziała małżonka palatyna i układała pasjansa.

— Oto, droga kuzyko — zwrócił się palatyn do Marii Elżbiety — ta węgierska panienka, którą kuzynka życzyła sobie widzieć.

Na te słowa palatynowa odłożyła karty. Ta kobieta, jeśli się jej dobrze przyjrzeć, wcale nie była taka brzydka. Co prawda, długo trzeba by się przyglądać, żeby mogła się podobać.

Arcyksiężniczki odwróciły z ciekawością głowy i w oczach ich, skierowanych na tę śliczną Węgierkę, odzwierciedliła się szczerą sympatia. One same także były już rozkwitającymi pannami na wydaniu i amatorzy chudziutkich dziewcząt o długich szyjach i wąskich twarzach mogliby je uznać nawet za urodziwe, tylko żeby piersi nie miały tak zapadniętych. Na kolanach ich siedziały koty-angory, a one gładziły je po grzbietach. Bernáthowa miała ochotę trącić Piroską łokciem i szepnąć jej (gdyby miała na to czas i odwagę): Pewno to jest taka najnowsza dworska moda.

Stara, pomarszczona twarz Marii Elżbiety wygładziła się nagle i rozjaśniła; wstała i postąpiła kilka kroków, ażeby przywitać gości. Jej mała główka, z włosami uczesanymi wysoko na modłę hiszpańską, kiwała się jak u papugi kakadu; wydawać by się mogło, że ta

głowa jest przyklejona do tułowia byle jak i przy każdym kroku arcyksiężny zachodzi niebezpieczeństwo, iż lada moment odpadnie i potoczy się po ziemi. (Być może, że podobne myśli nasuwa nam wspomnienie o głowie Marii Antoniny.)

Pani Bernáthowa ukloniła się nisko, a Piroska, która dziś po raz pierwszy zmieniła czarną żałobną suknię na białą, jak nakazywała ówczesna etykieta dworska, zrobiła głęboki rewerans; w tym momencie przypominała delikatną lilię z nadłamaną łodygą.

— Podejź bliżej, dziecię moje — z prostotą i bez żadnej pozy przemówiła arcyksiężna tonem dodającym odwagi i prawą rękę wyciągnęła do pocałowania, a lewą wskazała Bernáthowej krzesło. — Proszę, niech pani siada.

Jednakże pani Bernáthowej nie było sądzone siedzieć, gdyż jednocześnie podeszła do niej małżonka palatyna w wysokim czepcu z nakrochmalonej koronki, szeleszczącym przy każdym ruchu głowy. W niebieskich oczach odbijała się sztuczna uprzejmość, jak gdyby to Bernáthowa była palatynową, a ona sama jej gospodynią.

Pani Bernáthowa wstała pośpiesznie i skłoniwszy się z szacunkiem (cierpiała na reumatyzm i taka poza była dla niej najwygodniejsza), zaczęła nader ostrożnie odpowiadać na łaskawe pytania żony palatyna. Ta dopytywała się o męża pani Bernáthowej, o syna, o to, jakie były urodzaje w tym roku, a potem zainteresowała się, czy mają u siebie dużo kurcząt i gąsiąt i czy stare kwoki i gęsi karmią je własną pierśią?

Bernáthowa odpowiadała wyczerpująco na te wszystkie pytania, a w tym samym czasie arcyksiężna wiedeńska raczyła powiedzieć Piroscie kilka ciepłych słów.

— Masz wielkie zmartwienie, dziecię moje, nieprawdaż?

— Tak, Wasza Wysokość.

— Nie trzeba upadać na duchu, moje dziecko. Życie przeważnie pełne jest goryczy i rozczarowań, a pociechę daje nam tylko wiara.

— I współczucie tak wrażliwego serca, jak serce Waszej Wysokości — odpowiedziała Piroska.

— Ładnie to powiedziane, moja droga. Rzeczywiście, bardzo współczuję. Jesteś sierotą?

— Tak, Wasza Wysokość. Mojego ojca zabili w pojedynku.

— Smutny wypadek, słyszałam już o nim. Bardzo się tym przejęłam. Już wtedy dojrzała we mnie decyzja, którą chciałabym urzeczywistnić, jeśli ty zechcesz posłuchać mojej rady

— Słowa Waszej Wysokości są dla mnie rozkazem.

— Chcę wziąć cię pod opiekę, pod swoją osobistą opiekę — wyjaśniła arcyksiężna słodziutkim głosem. — Chcę zrobić z ciebie swoją frejlinę.

Piroska zadrzała, pobladła, chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Jej Wysokość zauważyła zmieszanie dziewczyny i zwróciła się wprost do Bernáthowej:

— Odda mi ją pani, prawda? Chcę, żeby została moją frejliną.

— Ach, Boże mój! Cóż mam na to odpowiedzieć — odparła łagodnie pani Bernáthowa. — U nas w domu o wszystkim decyduje mój mąż. Pytamy zawsze o jego zdanie.

— No, w takim razie proszę go zapytać — rzekła arcyksiężna, kiwnąwszy łaskawie głową. — Mam nadzieję, że nie dostanę od niego kosza.

— Już sama nie wiem, Wasza Wysokość, jak tam będzie. Wiem tylko tyle, że Wasza Wysokość może znaleźć w swych krajach tyle dam dworu, ile zechce, a mój biedny staruszek ma tylko tę jedną jedyną ulubienicę.

Arcyksiężna zamiast odpowiedzi uśmiechnęła się na te słowa, po czym łaskawie zwolniła obie panie, biorąc od nich obietnicę, że w najbliższej przyszłości zawiadomią ją, co postanowiła głowa rodziny. Karetą dworską odwiozła je do zajazdu „Sieben Kurfürsten”, gdzie od tej chwili zaczęto okazywać im najwyższy szacunek.

## Rozdział dziewiętnasty

### „NIE CZEKAJ MNIE JUŻ, MOJA GOŁABECZKO”

Tak się zakończyła ta ważna audiencja, której wyników z napięciem oczekiwano w Zemplén i w Ungvárze. Niektóre szlachcianki z tych komitatów dałyby odrąbać sobie paluszek w zamian za czarodziejskie lustro i rozek, dzięki którym mogłyby zobaczyć i usłyszeć wszystko, co się robi i mówi w każdym zakątku ziemi! Płonęli niecierpliwością i Fáy, i Buttler, ale najbardziej była przejęta mieszkanka pałacu w Erdöteleku, która dowiedziała się także, że jej rywalka została zaproszona do palatyna. Och, jak to się wszystko skończy?

Fáy z radością podchwycił propozycję arcyksiężnej: to bardzo ważne, że Piroška dostanie taką możną protektorkę. „Niebo rozjaśnia się, synku — pisał do Buttlera. — Obecność Piroški na dworze będzie przypominała komu trzeba, że nastroje kół dworskich zmieniły się, i jestem przekonany, iż wielebni kanonicy z Egeru prędzej odgryzą sobie język, aniżeli zaczną głośować przeciwko nam.”

Dowiedziawszy się o „szczęściu” Piroški, Buttler nie posiadał się z radości. Postanowiono jednogłośnie, że w dzień Świętego Piotra i Pawła Bernáthowa odwiezie Piroškę do Wiednia i przekaze w ręce Jej Wysokości Arcyksiężnej, która wkrótce potem uda się wraz ze swoim dworem do letniej rezydencji w Tyrolu.

Tak się też stało. Jednakże przewidywania ich zawiodły. Nowa protektorka nie wywarła żadnego wpływu na dalszy bieg sprawy: proces nie posunął się ani o krok dalej. Konsystorz w Egerze po dawnemu odraczał sprawę pod tym czy innym pretekstem. Minęły już dwa lata i Buttler, ażeby przyspieszyć sprawę, osiągnął tylko tyle, iż przesłuchano świadków, którzy byli przy łożu śmierci starej Szimáncsiowej.

Każda wojna ma dwie nieprzyjemne strony: po pierwsze — drogo kosztuje, a po drugie — strzelają także i z przeciwnej strony. Poza tym dałoby się to jeszcze jakoś znieść. Podobne wady wykazywała również i kampania rozpoczęta przez Buttlera. Na zeznania świadków, potwierdzających przedśmiertne wynurzenia starej Szimáncsiowej, strona Döryego postawiła swoich świadków, którzy zeznali, że staruszka w ostatnich latach życia cierpiała na delirium tremens i była całkowicie niepoczytalna, tak że nie można było wierzyć ani jednemu jej słowu.

Kanonicy mieli jeszcze łatwiejsze zadanie. Wbrew oczekiwaniom Fáyego wcale nie czuli się skonsternowani tym, że narzeczona Buttlera znalazła się na dworze — przecież oni najlepiej wiedzieli, w jakim celu została tam zaproszona. Jezuici szepnęli Fischerowi, że piękna panna Horváthówna z pewnością wkrótce wyjdzie za mąż, nie bez powodu bowiem kręci się na dworze tylu przystojnych gwardzistów i wytwornych kawalerów. Gdyby dziewczyna miała sto serduszek, a nie jedno, to też by wszystkie pogubiła. Niech tylko kanonicy działają na zwłokę, a jak dziewczyna zostanie odsunięta od tej całej sprawy, poradzą sobie bez trudu z Buttlerem. Opinia publiczna jest jak zmęczona pszczoła: jeśli nie dostrzeżga kwiatka w trawie, to wraca do ula. Z tego wniossek, że kwiatek trzeba zerwać.

Wkrótce i stronnicy Buttlera zrozumieli, że zaprosze-

nie Piroski na dwór to nic innego, jak podstęp: po prostu chcą ją wydać za męża. Wynikało to również z listów samej Piroski, w karnawale co tydzień ktoś jej się oświadczał. Polowanie na męża dla Piroski stało się prawdziwą rozrywką dla arcyksiężnej. Jednakże dziewczyna z uporem odmawiała konkurentom jednemu po drugim.

Gdy Fáy zrozumiał, o co tu idzie, wpadł w złość i zaczął się bić pięścią w czoło:

— Ech, gdzież to ja miałem głowę? Nie wierzyłem nigdy żadnym Niemcom. A tu nagle ich baba wyprowadziła mnie w pole!

Chciał od razu zaprzęgać konie i jechać do Wiednia, ażeby zabrać Piroskę do domu, lecz Buttler mu to wyperswadował.

— Niech ona tam zostanie. Ufam jej, ale gdybym nie wierzył, to tym bardziej nie należałoby jej stamtąd zabierać. Jakież ja mam prawo przywiązywać do siebie dziewczynę, kiedy tak mało jest nadziei, że będę mógł się z nią ożenić. Jeśli ona nie pokocha nikogo innego i wciąż będzie czekać na mnie, co mi z tego przyjdzie? Tylko przyjemne poczucie, że ona jest mi wciąż wierna. Jeśli zaś pokocha innego i wyjdzie za męża, to na tym tylko, biedaczka, wygra. Ja już więcej i tak nie stracę. Przykra jest dla mnie tylko świadomość.

Argumenty Buttlera przekonały starego.

— Szlachetnie rozumujesz, hrabio Jánosu. Masz rację.

W samej rzeczy nadzieje były nader nikłe. Widząc, że Piroska wcale nie wybiera się za męża, i nie mogąc odkładać *ad calendas graecas*\* wyroku, kanonicy wreszcie zatwierdzili poprzedni wyrok. Małżeństwo uznano za ważne.

Czas mijał, upłynęło pięć lat, a w czarnych włosach hrabiego Jánosa zaczęła już ukazywać się siwizna.

W Palmową Niedzielę zarządca Buday, który pojechał do Egeru sprzedawać bydło, przywiózł do Bozосу wiadomość o wyroku.

Buttler apatycznie pokiwał głową.

— Wiedziałem — rzekł głucho, a na twarzy jego nie odmalowało się żadne wzruszenie.

Cały dzień w milczeniu krążył po pałacu, zaglądał do stajni, obór, patrzył na stare ulubione drzewa w ogrodzie tak, jakby się z tym wszystkim żegnał. Pod wieczór wstąpił do Budayego i pobawił się z jego wnukami czekając, aż zarządca odłoży Biblię, którą, chociaż znał od początku do końca na pamięć, czytał co niedziela.

— Waszmość jest mądrym człowiekiem — rzekł Buttler cicho. — Chciałbym o coś zapytać.

— Jestem do usług.

— Czy zna pan taki kraj na świecie, gdzie nie ma klechów?

Imć pan Buday zamyślił się:

— Nie przypuszczam, jaśnie panie, żeby istniał taki naród, który by nie miał swych kapłanów. Może i jest, ale ja w to nie wierzę.

— Jeśli jest, to ja go znajdę — odpowiedział Buttler.

Po tych słowach udał się do swego pokoju, kazał zapakować rzeczy i nazajutrz rano wyjechał.

Po przyjeździe do Wiednia hrabia stanął w hotelu „Stadt Frankfurt”, gdzie zazwyczaj zatrzymywali się panowie węgierscy. Przez dwa-trzy dni krążył po ulicach w pobliżu pałacu Marii Elżbiety; miał w głowie jakiś plan, ale dręczyły go wątpliwości. Chciał zapewne spotkać się z Piroską, żeby jej coś powiedzieć, ale nie mógł się zdecydować, jak to zrobić. Wreszcie zobaczył w witrynie sklepu jubilerskiego wytworne cacko: srebrny okręcik.

Wszedł do sklepu, kupił i kazał wygrawerować na

nim po węgiersku słowa pieśni: „Nie czekaj mnie już, moja gołąbeczko”.

Gdy napis był gotowy, hrabia przestraszył się nagle. To zdanie wydawało mu się nieodpowiednie i jakieś ponuromgliste. Chciał czegoś innego, czegoś innego... Poprosił złotnika, aby usunął te słowa. A gdy tamten szukał pilnika, János rozmyślił się i postanowił zostawić napis. Przecież i tak wszystko jedno.

Kazał zapakować mały okręcik i odesłać Piroscie. Na tym poprzestał i uspokojony ruszył w wielki świat, ażeby z dala od kraju zapomnieć o swoim nieszczęściu.

Prawie rok tułał się po różnych krajach. Pewno szukał takiego, w którym nie ma klechów. Ale na próżno uciekał od swoich wspomnień. Na próżno szukał takiego miejsca, gdzie drzewa inne niż nasze nie przypominałyby mu ogrodu w Bornócu. Nigdzie nie znajdował zapomnienia. Żaden kraj nie podobał mu się: nigdzie drzewa nie wydzielały takiego aromatu, aby można było wśród nich swobodnie i szczęśliwie oddychać; na trawach całego świata nie nagromadziło się tyle rosy, żeby mogła zmyć z niego smutek. Morze nigdzie nie huczało tak głośno, żeby zagłuszyć bicie jego udręczonego serca. I znów ruszył w dalszą drogę.

Swego sekretarza Istvána Bótha odesłał do domu, mówiąc mu:

— Mój drogi, ja chcę sam wędrować po świecie. Przykro mi mieć przy sobie człowieka, który wie, kim byłem.

Wziął innego, obcego, sekretarza i kamerdynera, obydwóch takiej narodowości, o jakiej dotąd nigdy nie słyszał, i nauczył się ich języka. Szukał ucieczki przed samym sobą, chcąc nabrać przekonania, że János Buttler już nie istnieje.

A jeżeli nawet ludzie i drzewa w tych krajach były

inne, jeśli palmy i figowce z leniwą obojętnością wypuszczały liście, to trawy śmiały się mu prosto w twarz — malutkie trawki, zupełnie takie same jak u nas, zdawały się mówić: „My ciebie znamy”. I słońce było to samo co u nas. Majestatycznie, dostojnie płynęło po niebie tą samą drogą, co w ubiegłym roku i jak przed wieloma laty. Płynęło jednocześnie nad Wiedniem, nad Bozosem, nad Konstantynopolem. A gdziekolwiek, w którymś domu na parapecie okna, rósł kwiatek, hodowany przez jakąś dziewczynę, wszędzie to samo słońce grzało go, pieściło, pomagało rozwijać się pączkom.

A morza? O jakże piękne są morskie obszary! Wobec wszystkiego obojętne, o niczym nie wiedzące, pieszczące wzrok i uspokajające. Ale powierzchnie mórz przecinają okręty i zdaje się czasem, że na bezkresnej srebrnolazurowej tafli morskiej ukazują się wciąż te same słowa: „Nie czekaj mnie już, moja gołąbeczko”.

## *Rozdział dwudziesty*

### PRZEZACNY ARCYBISKUP PYRKER

Po trzynastu miesiącach Buttler nie wyzbywszy się wspomnień wrócił do kraju. Wychudł bardzo i nawet jakby się postarzał. Czekwały go niedobre wiadomości. Umarli oboje Bernáthowie. Ona tylko o trzy dni przeżyła męża. Odbył się jego wspaniały pogrzeb, ale zanim szlachta z czterech komitatów zdążyła wrócić do domu, oddała Bogu swą szlachetną duszę i sama wdowa. Musieli więc wszyscy zostać na drugim pogrzebie. Posłano na cmentarz służącego z poleceniem, aby nie zamuroywano krypty, jako że wielmożna pani pośpieszy za swym małżonkiem.

O tych smutnych wydarzeniach zawiadomiono również i Piroskę. Rozstawnymi końmi przyjechała z Wiednia, ale wkrótce potem sama zachorowała. Zanim wróciła do zdrowia, dojrzało w niej postanowienie — Bogu jedynemu wiadomo, czy słuszne — ażeby nie wracać do Wiednia, o czym zawiadomiła listownie arcyksiężnę, przepraszając ją jednocześnie. Teraz Piroaska sama prowadziła gospodarstwo w Bornócu, a do pomocy przyjęła starszego syna Budayego, Pála. Rok przedtem skończył on agronomię na znakomitej uczelni Georgikon \* w Keszthelyu.

Zresztą, śmierć nie zastanawia się, kto winien, a kto nie winien. Wkrótce na dolinę Jozafata udał się i baron Döry. Nastąpił kres jego łajdactw (Niech się z nich tłu-

maczy na tamtym świecie!). Zresztą cóż z tego? Ktoś, komu pocisk urwał nogę, nie ucieszy się zbyt, jeśli się dowie, że rozbita została armata, która wystrzeliła ten pocisk.

Opowiadają, że na pogrzebie Döryego nikt nie uronił ani jednej łzy, tylko mała ryczała i po skończonym obrzędzie pogrzebowym nie chciała odejść od mogiły, usiłując wykopać swego pana spod ziemi.

Teraz wśród ciemnej nocy świeciła Buttlerowi tylko jedna jedyna gwiazdeczka, ostatnia już, a raczej, ściślej mówiąc, słaby i błędny ognik nadziei. W tym czasie umarł także i arcybiskup Fischer. Ledwo Buttler wrócił na Węgry, przyszedł do niego zaufany człowiek Lászlo Pyrker, prymasa Dalmacji. Pyrker zawiadomił go, że gotów jest niezwłocznie wznowić proces i unieważnić małżeństwo pod warunkiem, że zostanie mianowany arcybiskupem w Egerze. Tenże homo intimus\* powiedział Buttlerowi, że Fáy spotykał się z Pyrkerem już parę razy w tej sprawie.

Od nowa w Buttlerze zawrzała krew! A więc istnieje jeszcze jakiś cel w życiu! Naprzód, na ostatni bój!

Co koń wyskoczy pojechał do Pataku. Biedny Fáy był w bardzo złym stanie zdrowia i ledwo go poznał.

— Czy wuj chory?

— Wcale nie mam zamiaru. Czyż ja źle wyglądam? Wiesz, jestem podobny teraz do lampki, która jeszcze się tli, ale oliwy już w niej zabrakło. No, gdzieżeś ty się tułał, synu marnotrawny.

— Szukałem takiego kraju, w którym nie ma klechów.

— No, znam ja taką krainę, ale zostaw ty ją lepiej dla mnie. Zresztą, znaleźliśmy jednego zacnego księdza.

— Wiem, Pyrker. Dlatego tu przybyłem.

— I mądrze zrobiłeś. A teraz idź do swej ciotuni, któ-

ra jest przy maglowaniu bielizny w komorze. Idź, uściśkaj ją, dawno cię nie widziała. Potem, nie wyprzegając koni, udaj się do Preszburga i za wszelką cenę załatw z naszymi krewnymi, żeby ten zacny Pyrker został mianowany arcybiskupem. Ja już pisałem wszędzie, gdzie tylko mogłem. Kiedy wrócisz?

— Cztery dni temu.

— Słyszałeś już o biednych staruszkach?

— O, Boże mój, wszystko na tym świecie się kończy. Ale od czasu jak ich nie ma, świat jakby opustoszał.

Z oczu Buttlera polwały się łzy, ale stary Fáy pośpieszył oderwać go od smutnych myśli.

— Nic, nic, Bornóc zostaje Bornócem. Wiesz chyba, że twoja Piroska mieszka tam teraz.

Buttler westchnął smutno i otworzył przed nim serce.

— Teraz ona już nie moja. Jakżeby mogła być jeszcze moją? Na ziemi są miliony ludzi, a Piroska może należeć raczej do każdego z nich niż do mnie. Nawet zobaczyć się z nią nie mam prawa.

— Pewnie, pewnie — mruknął starzec. — Taki ze mnie tyran, że tylko stoję na twojej drodze.

Buttler zwiesił głowę i nie powiedział ani słowa. Fáy jednak postanowił dodać mu otuchy:

— Wiem przecież, jak trudno oprzeć się pokusie. I ja kiedyś byłem młody i pełen ognia. Kto ma na sobie suknię z lekkiej gazy, nie powinien zbliżać się do płomienia, ażeby się nie zapaliła. Co by z tego wynikło, gdybyś ty przyjeżdżał do Bornócu, gdybyście całymi wieczorami siedzieli obok siebie na kanapie... Co tak na mnie patrzysz? Kanapa by się nie zapaliła, ale krew tak... Nie byłoby w tym nic dziwnego, przecież Piroska jest naprawdę piękna. Bawiła u nas zaledwie godzinę, a tak oczarowała twoją ciotkę, że dotychczas zapomnieć o niej nie może.

— A o mnie nic nie mówiła?

— Jakżeby nie. Ona też chciałaby zobaczyć się z tobą, ale ja jej to wyperswadowałem.

— Ach, gdyby chociaż raz wezwała mnie!..

— Tego nie robi — rzekł Fáy poważnie. — Ty ciągle wyobrażasz ją sobie jako dawną małą dziewczynkę, a od tego czasu nad naszymi głowami przetoczyło się dziesięć lat, syneczku. Piroska to już poważna dama, rozumna, dobrze wychowana, szlachetna, kobieta, która wie, co ma robić.

— Może ona mnie już nie kocha? — zapytał drżącym głosem János.

Fáy zmarszczył czoło i złowróbnym tonem powiedział:

— No ty przecież sam dobrze wiesz, synku. Właśnie ten upór to jej choroba. Dopóki świat światem, nie będzie nikogo kochać prócz ciebie.

Podniesiony tą wiadomością na duchu Buttler udał się do Preszburga i postawił na nogi wszystkich swoich krewnych w sprawie Pyrker'a. Jednakże ultramontani też nie zasypiali gruszek w popiele i gdy tylko zauważyli, że strona Buttlera walczy o arcybiskupa, obrócili się przeciwko niej. Znowu rozgorzała walka. Przeciwnicy Pyrker'a puścili w ruch wszystkie potajemne sprężyny, zarówno jezuitów, jak i bigotki-arystokratki. Szanse na zwycięstwo przechylały się to na jedną, to na drugą stronę. Buttler z pasją rzucił się do tej walki. Był teraz jak gracz-hazardzista, który wszystko postawił na jedną kartę. I rzeczywiście nie zaniedbał niczego, napisał nawet list do imię pana Kövyego do Pataku, wyłuszczył mu, co się dzieje we wrogich obozach, i zapytywał o radę, co ma przedsięwziąć, do kogo się zwrócić, tym razem bowiem i chce, i musi zwyciężyć za wszelką cenę.

Imię pan Kövy odpisał mu:

„Mój wielmożny panie i bracie! Skoro nie można porazić nieprzyjaciela ogniem dział, których się nie ma, należałoby sięgnąć do żelaznych skrzyń, które się ma. Niech one przemówią”.

Hm. Żelazne skrzynie. Oczywiście! Buttler uderzył się w czoło. Że też wcześniej nie wpadło mu to do głowy. No dobrze, niechaj przemówią żelazne skrzynie!

— Bóth, niech waszmość tu przyjdzie!

Imć pan Bóth wszedł i kiwając głową patrzył, jak hrabia otwiera jedną ze skrzyń i wyrzuca z niej banknoty i złoto, aż na stole utworzył się wysoki stos.

— Proszę policzyć. Czy dużo tu pieniędzy?

Hrabia sam był taki prostoduszny i taki marzyciel, że chociaż miał ogromne bogactwa, nie zdawał sobie sprawy z wartości pieniądza.

— Tu jest bardzo duża suma, jasnie wielmożny panie!

— No to proszę zebrać wszystko, zanieść do mego personala \* i powiedzieć, że ofiaruję te pieniądze na cele Akademii imienia Ludwika \*. Słyszał pan o czymś takim?

— A jakże, jest pod samym Pesztem na folwarku rodziny Orczych.

— Jak pan myśli, ilu młodych ludzi może studiować corocznie za te pieniądze?

— Myślę, że ze dwudziestu.

— Proszę powiedzieć szczerze, nie za skromny ten mój dar?

— Przeciwnie, to dar królewski.

Pierwsza skrzynia wywołała wielkie wrażenie. Okazało się, że profesor Kövy miał duży zmysł praktyczny. Inni magnaci, idąc za przykładem Buttlera, również poszperali w swych głębokich kieszeniach. Przedtem wprawdzie także udawali, że chcą coś z nich wygrzebać, ale w rezultacie okazywało się, iż mieli ochotę

tylko się podrapać. Ten i ów zajrzał teraz do starej pończochy.

Nazwisko Buttlera zyskało sobie wielką popularność. Nawet nastroje na Hofburgu stały się bardziej przychylne. Sam cesarz był niemiłosiernie skąpy, ale bardzo chwalił szczodrość poddanych. Buttler zaś widząc, jakim powodzeniem cieszą się dobre rady Kövyego, i wciągnięty w walkę o Pyrkerą, puścił w obieg zawartość pozostałych żelaznych skrzyń. Były to ogromne sumy, oddane niegdyś na przechowanie i leżące w kapitułach lub też przyjmowane pod zastaw od prywatnych osób. Zebrawszy wszystkie te pieniądze hrabia zamienił je na złoto i pojechał do Rzymu do papieża. Tam zjawił się z taką pompą, że mówiło o tym całe miasto. Eskortowała go, niby jakiegoś króla, świta huzarów, kąpiących srebrem i złotem; tłumy mieszkańców zbiegały się na ulicach, żeby na ten orszak popatrzeć. Ale huzarzy podobali się przeważnie białogłom, a Buttler chciał zdobyć czarne sutanny. Do tego celu potrzebni byli nie huzarzy, lecz jeden spryciarz umiejący skłonić do przemówienia żelazne skrzynie hrabiego. I takiego człowieka też miał hrabia János pod ręką — był nim pan Ferenc Nogáll, zarządzający jego majątkiem pardańskim. Mówił on po włosku jak rodowity Rzymianin, a poza tym był sprytny i giętki jak ambasador. Odwiedził po kolei wszystkie znakomości duchowne, mające wpływy w Watykanie, i tak umiał ich przekonać, że zanim Buttler wrócił do kraju, Pyrker już miał nominację na arcybiskupa.

Och, zdawało się, że ziemia zadrży z radości, gdy rozeszła się wiadomość o nominacji Pyrkerą, klerykałowie podnieśli krzyk i zaczęli czynić wyrzuty królowi.

— Nie trzeba było pozwolić, aby temu Buttlerowi wyrosły rogi.

Na wiosnę Pyrker przybył do Egeru, aby objąć re-

zydencję. Sam Buttler zorganizował mu odpowiednie przywitanie. Nowy arcybiskup przyjechał w karecie Buttlera, a obok na koniach huzarzy z obnażonymi szablami. U bram rezydencji powitał go uroczystym przemówieniem sam hrabia. Arcybiskup nie był w stanie wysłuchać go do końca, tak był wzruszony. Ze łzami w oczach uściskał mówcę i wobec wszystkich, wśród radosnych okrzyków tłumu, dwukrotnie go ucałował. Będąc już w pałacu znów rzucił się hrabiemu na szyję i zawołał:

— Tysiąckrotne dzięki, synu mój, za to, coś uczynił. Teraz kolej na mnie.

Tak, teraz przyszła kolej na niego! Znów błysnęła nadzieja. Jeszcze raz wyjrzało zza chmur słońce.

A może słońce wcale się nie ukazało, tylko ciepło zrobiło się od tego, że ktoś dobrze napalił w piecu? (Jeden pan Nogáll mógłby powiedzieć, ile kosztowało to ogrzewanie.)

Ale piec grzeje dopóty, dopóki w nim palą, a potem z wolna stygnie i staje się zimny i obojętny na wszystko.

Hrabia Károly Majláth, który dobrze znał Pyrkerą, będąc świadkiem tej wylewności uczuć i tych uścisków, rzekł do Buttlera z brutalną szczerością:

— Przyjrzyj się dobrze arcybiskupowi, Jánosu, takim jak dziś nie zobaczysz go nigdy więcej.

Tak się też stało. Po pewnym czasie Buttler zaczął przynaglać nowego arcybiskupa o spowodowanie rewizji procesu. Pyrker ciągle obiecywał, ale jednocześnie działał na zwłokę. W obawie o wynik sprawy hrabia János przypominał Pyrkerowi o jego przyrzeczeniu, ten zaś tłumaczył się stale, znajdował setki wymówek, coraz to coś innego stawało na przeszkodzie. Ta zabawa w ciuciubabkę ciągnęła się kilka lat, aż w końcu Buttler stracił cierpliwość i powiedział Pyrkerowi pro-

sto w oczy, że skoro jest dłużny, to niech płaci — taka umowa. — Unieważnienie małżeństwa było przyrzeczone.

Wówczas Pyrker zrzucił maskę.

— Widzi pan, drogi hrabio, to, czego pan żąda, jest po prostu niewykonalne. Teraz to już nie tylko pańska sprawa. Pana udział w niej taki jest malutki, że prawie go nie widać. To była ogromna walka między kościołem a ludźmi, patrzącymi niechętnymi oczyma na duchowieństwo. Bardzo to smutne, że na tym okręcie wojennym, któryśmy zatopili, znajdowała się również pańska pszenica. Jednakże musieliśmy go zatopić, gdyż na jego pokładzie znajdowali się nasi wrogowie. W przeciwnym razie oni zniszczyliby naszą nawę.

— A więc moja pszenica?

— Pańska pszenica, panie hrabio, jest na dnie morza i tam zawsze pozostanie.

— Ale przecież ja miałem co innego obiecać! — wykrzyknął hrabia oburzony.

— Proszę mi wybaczyć, drogi hrabio, ale ja nie byłem wówczas należycie poinformowany.

— Ach, rozumiem — rzekł hrabia z pogardą — i ja także postąpiłem nieostrożnie. I ja także nie zostałem dostatecznie poinformowany co do waszej ucziwości, Eminencjo!

## Rozdział dwudziesty pierwszy

### KARETA JEDZIE BEZ CELU

Niezmiernie rozgoryczony Buttler opuścił pałac arcybiskupi. Gdy wyszedł na ulicę, świat cały wydawał mu się taki pusty, jakby bezludny. Zamyśliwszy się głęboko, jak człowiek, który nie ma gdzie złożyć głowy, stał obok karety, zaprzężonej w cztery konie, które były niecierpliwie kopytami, parskały i zadzierały dumnie głowy. Poniosą go, dokąd zechce, ale dokąd? Co powiedzieć stangretowi? Jechać do Bozosa? A co tam robić? Jechać do Pataku? Do kogo? Tam tylko jeden wielki smutek. Stary Fáy jeszcze w ubiegłym miesiącu został sparaliżowany i od tego czasu leży bezwładny w łóżku, nie może nawet językiem ruszać. Teraz już ani ustnie, ani na piśmie nie uwolni Jánośa od obietnicy, że się nie spotka z Piroską. On już nic więcej nie powie... A zresztą po cóż spotykać się z Piroską? Po tym, co zaszło, nie miałyby to najmniejszego sensu.

Zatopiony w swoich myślach Buttler wsiadł do karety.

— Dokąd jedziemy, jaśnie wielmożny panie?

Przez dłuższą chwilę Jánoś wahał się, wyliczał w myśli nazwy wszystkich swoich posiadłości i nagle zaświtała mu myśl, że jest jedna, w której nigdy jeszcze nie był: Imregh.

— Pojedziemy do Imreghu, Mihály!

Nie zależało mu, aby tam jechać, oczywiście, że nie.

Obchodziło go to tyle co zeszłoroczny śnieg, ale teraz już wszystko jedno. Wymienił Imregh, więc niech będzie Imregh.

Ruszyli w drogę, jechali, jechali, zatrzymywali się na krótko, żeby nakarmić i napić konie, ale gdzie, tego János nie pamiętał. Kamerdyner zapytał, czy pan hrabia nie chciałby zjeść kolacji.

— Nie.

— A może położyć się?

— Nie.

— Więc jedziemy dalej?

— Jedziemy dalej.

Znów jechali, jechali, mijali pola i lasy. Szum drzew działał uspokajająco na jego rozgorączkowaną głowę. Majaczyły mu się jakieś tajemnicze głosy. Droga biegła obok jeziora, oświetlonego blaskiem księżyca; przy samym brzegu kąpały się ptaki i one także jak gdyby były zasłuchane w szum lasu.

Dziwne myśli przelatywały przez głowę Buttlera. W takich chwilach noc to niezastąpiony towarzysz: daje koloryt wyobraźni. Góry zaczynają się poruszać, z mroku wypełzają gryfy i inne potwory; chmury, posłuszne fantazji człowieka, przybierają najrozmaitsze kształty. Ciekawe, myślał, byłoby spotkać się ze śmiercią. Gdyby ta oto góra okazała się kostuchą i przykuśtykała tutaj ze swoją kosą, może by się z nią dogadał. Przecież teraz już tylko śmierć może mu pomóc. Ona jest jego jedyną kumą. Cóż dla niego znaczy cesarz? — Nic! Można rodzina, hrabiowski tytuł — wszystko to nic niewarte. A gdyby tak się dogadać z tą kumą?! Nie oszukałaby go z pewnością tak jak Pyrker. Powiedziałyby: „Słuchaj, oddam ci połowę swoich majątków, jeśli skosisz jedną jedyną kobietę, tę, która siedzi teraz w Erdöteleku”. I od razu znalazłoby się rozwiązanie.

Teraz znowu pojawiło się małe jeziorko. W tej oko-

licy było mnóstwo takich, powstałych na skutek ulew-nych deszczów i wody podskórnej. Jánosowi przywi-  
działo się, że owo jezioro to oko śmierci, mrugające do  
niego ironicznie. I znów myśli zakłębiły się w jego  
głowie. A co będzie, jeśli śmierć powie: „Żądam wszyst-  
kich twoich majątków, twoich herbów i tytułów, na-  
zwiska, wszystkiego, co posiadasz”. Cóż robić, dobrze,  
oddam wszystko. Ale poczekaj, co też ty mówisz? Prze-  
cież jeśli oddam wszystko, co posiadam, nazwisko, ty-  
tuły, majątki, to i śmierć nie będzie mi potrzebna.  
Wówczas i tak odzyskam swobodę.

Niekiedy wzdrygał się, gdy te obłądne rozmyślenia  
przerywało jakieś nieważne pytanie sekretarza:

— Czy jaśnie wielmożny pan nie jest śpiący?

— Nie.

— Proszę spojrzeć, czy jaśnie pan widzi tę gwiazdkę,  
która przez całą drogę świeci nad naszymi głowami  
w jednym i tym samym miejscu, od kiedy jedziemy?

— Hm.

— Jednak ogromnie duży musi być ten firmament.

— Hm... Oczywiście. Nie wiecie, ile może mieć hol-  
dów?

Odpowiadał z roztargnieniem, nie wiedział, o co cho-  
dzi, gdy się do niego zwracano, i znów po chwili zata-  
piał się w swoich myślach. O świcie znowu gdzieś tam  
zatrzymali się, ażeby nakarmić konie. Buttler nawet  
nie wysiadł z karety; o śniadaniu ani pomyślał.  
A w torbach było mnóstwo prowiantu, albowiem  
w owych czasach, jak wiadomo, podróżowało się jeszcze  
z sakwożażami.

— Czy jaśnie pan nie chory, panie hrabio? — dopy-  
tywał się Bóth.

— Niestety, nawet chory nie jestem.

Jednakże koło południa poczuł głód i z niecierpliwo-  
ścią czekał, żeby wreszcie dojechali do jakiejś wioski.

Głód to wielka siła, może złamać i najbardziej upartego człowieka.

Wreszcie w dolinie błysnęły wśród drzew małe białe domki, podobne do rzędu śmiejących się zębów w paszczęce góry. Buttler powiedział:

— Tu się zatrzymamy, i jeśli będzie jakaś karczma, zamówimy obiad. Jestem głodny.

— Jest tu dobra gospoda — odezwał się stangret.

— Co to za wieś? — spytał hrabia.

— Olaszrösške.

Buttler drgnął, ale nic nie powiedział. Nie lubił ujawniać swej słabości wobec służby. Obojętnym na pozór spojrzeniem ogarnął dobrze znaną okolicę.

— Tak, to Olaszrösške. Poznaję dzwonnice, wzgórze...

Znów ogarnęły go smutne myśli i podniósł głowę dopiero wtedy, gdy kareta dojechała do karczmy i stanęła przed podjazdem. Wszystko tu było takie jak dawniej: ganek, słupki, kurnik, nawet kurczęta biegały wokół sągu dREW — kubek w kubek tak samo, jak tamte, do których celował z procy ów uczeń w pamiętny dzień. Ale teraz przed podjazdem stała jeszcze jedna kareta; konie były wyprężone, tylko chomać wiszące na dyszlu, a także worek z owsem i snopek siana przywiązane z tyłu świadczyły, że w gospodzie zatrzymał się ktoś przejezdny. Czy żyje jeszcze zacny imię pan György Tóth? Ależ tak, żyje. Buttler szybkim krokiem przeszedł przez dziedziniec, wszedł do gospody i minawszy wykładany cegłą korytarz, otworzył drzwi do gościnnego pokoju. Wtem cofnął się od progu i zadygotał jak w febrze.

Na samym środku izby przy ładnie nakrytym stole siedziała sama jedna Piroska Horváthówna i obierała nożykiem jabłko.

— Ach, János! — wyszeptała ledwo dosłyszalnie.

Nożyk i jabłko wypadły z jej rąk, a oczy utkwiała nieruchomo w drzwiach, jak gdyby ujrzała zjawę.

Nastała cisza niby w kaplicy. Było tylko słycać, jak brzęczy osa, kołując nad półmiskiem z owocami. Nie miała odwagi usiąść na nich, tylko krążyła i tańczyła w powietrzu, jakby pijana ich aromatem.

Buttler też nie miał odwagi zbliżyć się do Piroški. Patrzył nie odrywając oczu od jej słodkiej twarzyczki, ale czuł, że nie może ruszyć się z miejsca.

— Pan się mnie przeląkł — powiedziała Piroška z wyrzutem. — Nie poda mi pan ręki?

— Och, proszę wybaczyć — bąknął Buttler zmieszany, załamującym się głosem — ale to takie nieoczekiwane... takie nieoczekiwane i...

Zbliżył się i uściskał wyciągniętą ku niemu dłoń. Krew zawrzała w nim. Jakaś słodka niemoc rozlała się po jego żyłach i nerwach, jakby ręka jego napotkała miękkie i ciepłe gniazdko.

— Boże mój, jak pan się zmienił — westchnęła Piroška i spuściła swe piękne oczy.

— Zwalilo się na mnie bardzo dużo trosk — odpowiedział Buttler ze smutkiem.

— Mógłby pan powiedzieć „na nas” — nieśmiało poprawiła go Piroška.

Twarz jej zapłonęła dziewczęcym rumieńcem, choć przed chwilą zdawało się, że już zaczęła więdnąć. Ale wciąż jeszcze była piękna, może jeszcze piękniejsza niż dawniej. W tym momencie razem z rumieńcem widocznie wróciła jej młodość. Przez otwarte okno wpadł wietrzyk, pogłaskał twarz, ale jego łagodny powiew nie zdołał ostudzić płomienia, który się w niej zapalił.

Nastała kłopotliwa, ale mimo to rozkoszna pauza. A przecież nasza „dama dworu” znana była w Wiedniu z tego, że umiała podtrzymać lekką, dowcipną rozmowę. Ambasador francuski, który często odwiedzał Ma-

rię Elżbietę, powiedział pewnego razu o Piroscie: „Gdyby ona przemówiła do sfinksa, to i jego wciągnęłyby do rozmowy.” Zachowywała się nad wyraz swobodnie i naturalnie, a każde jej słowo promieniowało jakimś ciepłem i szczerością. Ale teraz rozmowa nie kleiła się. Byli sam na sam, i tyle mieli sobie do powiedzenia, że ani jedno, ani drugie nie wiedziało, od czego zacząć.

— Jaka ładna dziś pogoda.

— Tak, to prawda.

— Nie usiądzie pan?

— Dziękuję, jeśli pani pozwoli.

— Jakie to dziwne, żeśmy się tu spotkali.

— Ludzie mogliby przypuszczać, że się umówiliśmy.

Takie oto banalne słowa wymieniali między sobą po tylu latach rozłąki. To dziwne, że nic nie mogli na to poradzić. Takie jest prawo przyrody. Wielkie uczucia kryją się w głębi, nie należy ich szukać na powierzchni. Słodki sok krótkotrwałych owoców, jak poziomki, czereśnie, maliny, przy najmniejszym dotknięciu wycieka na zewnątrz; te zaś owoce, które mają dłuższy żywot, Opatrzność zamknęła w szczelnej skorupce. A orzechy na przykład są osłonięte podwójną łupinką, tak że trzeba je rozłupywać.

— Skąd pani się tu wzięła, Pirosko?

— Wracam do domu z Pataku, musiałam jechać okrężną drogą, bo rzeki rozlały.

— Myśmy także często jeździli po tej okolicy.

— Byłoby lepiej, gdybyście tu nigdy nie przyjeżdżali.

To były pierwsze słowa nawiązujące do przeszłości. Prawie zlekli się, chociaż pragnęli ich i oczekiwali. Znowu nastąpiło milczenie, ale tylko na chwilę.

## Rozdział dwudziesty drugi

### ROZDMUCHANY ŻAR

Imć pani Tóthowa, pragnąc okazać swój najgłębszy szacunek gościowi, postawiła na stole wazon z kilkoma gałązkami kasztanu. Nastąpiła akurat pora kwitnienia tych drzew, a wokół karczmy żadnych innych kwiatów nie było. Piroska wyjęła jedną gałązkę i zaczęła się nią wachlować.

— A czy pani tu jest sama? — zapytał Buttler.

— Nie, jest ze mną pokojówka, ale ona ma w tej wsi przyjaciółkę, która mieszka u starych panien Izsépych. Poszła do niej na pół godzinki w towarzystwie imć pana Tótha.

— Co pani robiła w Pataku?

— Odwiedziłam biednego wuja Fáyego. A pan skąd wraca?

— Z Egeru.

— I dokąd pan jedzie?

— Do nikąd.

— Widzę, że pan jest bardzo rozgoryczony. Co powiedział arcybiskup?

— Oszukał. Wszyscy mnie oszukali — odparł głucho, marszcząc chmurnie brwi.

Piroska popatrzyła na niego smutnymi, zakochanymi oczyma.

— Czy i ja także, János?

Buttler wzruszył się i od razu złagodniał. Spojrzeniem czułym pieścił Pirostkę.

— Pani jest święta — westchnął — brak tylko aureoli wokół pani głowy.

Ale była i aureola. Gałązka kasztanu rzuciła na jej głowę białe kwiatuszki, które rozsypały się wśród włosów tworząc jakby nimb.

Słyszając ten komplement Piroška wróciła do właściwej sobie prostoty.

— Ej, niechże pan nie będzie człowiekiem małej wiary. Widzi pan i ja także cierpię; i ja także doznałam wielu rozczarowań w życiu, i mną targa ten sam wichher co i panem. Ale ja zawsze myślę, że rozczarowania mogły być jeszcze większe. Zresztą, jaśnie pan hrabia także mógłby się bardziej rozczarować.

W głosie Piroški zabrzmiały żartobliwe nuty, co szczególnie uraziło Jánosa i zabolalo:

— To tak — powiedział z goryczą — jakby strzelać dwa razy do kogoś, kto już padł od pierwszej kuli. A potem znawcy powiedzą, że można jeszcze bardziej zastrzelić posyłając mu trzecią kulę.

— Nie ma pan racji. Przede wszystkim pan jeszcze nie umarł.

— Przeciwnie, czuję się, jakbym już był na tamtym świecie.

W tym momencie drzwi się uchyliły i przez szparę zajrzał sekretarz Bóth. Buttler niechętnie odwrócił głowę.

— Ach to pan, Bóth? Proszę zamówić dla mnie obiad i niech mi nikt nie przeszkadza.

Bóth zniknął, jakby go wymiotło.

— A więc jaśnie wielmożny duch jest głodny? — zauważyła figlarnie Piroška.

— Od wczorajszego ranka nic jeszcze nie jadłem.

— O, w takim razie rzeczywiście muszę uwierzyć, że pan jest duchem. A dlaczego pan nie jadt?

— Ponieważ jestem pogrążony w rozpacz.

— Co też panu mógł powiedzieć ten wstrętny arcybiskup?

— Odebrał mi ostatnią nadzieję. Małżeństwo zostaje nadal ważne.

— No, a co pan zamierza teraz robić?

— Cóż ja mogę zrobić? Jaką pani mi da radę? — zapytał niepewnym tonem, badawczo patrząc na twarz Pirocki, jak gdyby ona była istotą wyższego rzędu, mogącą odpowiedzieć na nękające go pytanie.

— Przede wszystkim niech pan zje obiad — odpowiedziała spokojnie — a potem zostaje panu tylko to, co i mnie. Czekać.

— Ja już nie mogę czekać dłużej — rzekł Buttler ze smutną stanowczością, opierając głowę na dłoni.

Piroska spojrzała z niepokojem. Twarz jego mimo tylu cierpień tchnęła urodą i szlachetnością.

— Cóż więc pan zrobi, jeśli nie chce czekać?

— Właśnie nad tym łamię sobie głowę od wczoraj i mogę się przyznać, że mam niemało szaleńczych pomysłów.

Piroska od razu spoważniała i upuściła na stół gałązkę kasztanu.

— Proszę mi powiedzieć, co pan wymyślił? Może pan wierzyć, że mnie to także interesuje.

— Nie powiem — powiedział ponuro.

— Dlaczego? — zapytała dziewczyna błędąc.

— Dlatego, że pani mnie nie zrozumie, bo pani nie kocha mnie tak, jak ja panią.

Pierś mu falowała, a w głosie brzmiała śmiertelna udreka.

— Jak pan może tak mówić — wyszeptała dziewczyna drżącym głosem, patrząc szeroko otwartymi oczyma.

— Gdyby pani mnie kochała, nie mówiłaby pani o naszym losie takim obojętnym tonem, prawie wesoło.

Po tych słowach cała gorycz Piroski znalazła upust. Dumnie podniosła piękną główkę, na jej skroni zatętniła żyłka, szlachetna śnieżnobiała skóra na szyi drżała nerwowo. Całe ciało trzęsło się jak w febrze, każdy muskuł na twarzy wyrażał ból.

— To pan ma do mnie żal? Pan, który przysłał mi w Wiedniu srebrny okręciak na znak, żebym już nie czekała dłużej? Pan tak bardzo mnie kocha? Pan, który mógł przez tyle lat żyć, nie pragnąc zobaczyć się ze mną? Niech pan mi nie przerywa i nie przeczy, wiem, że pan był związany słowem honoru. Ale czy to dowód wielkiej namiętności? Wielkie namiętności ruszają z posad góry, nie powstrzyma ich żadna przysięga. Ach, niech pan idzie, niech pan mnie zostawi!

Pirosce głos się załamał, siły ją opuściły, słów zabrakło; główka opadła bezsilnie jak u rannego ptaka. Chociaż to dziwne, ale po tym wybuchu, jakby zamienili się rolami. Teraz Buttler stał się spokojny. Wyrzuty Piroski podziałały zbawiennie na jego duszę.

Nie mówiąc ani słowa w swojej obronie, wyjął z kieszeni mały woreczek z fiołkowego jedwabiu i wysypał na stół zawartość — cztery srebrne cwancygiery, podsunął je Piroscie, która patrzyła na niego z rosnącym przerażeniem, myślała bowiem, że postradał zmysły.

— Oto cztery cwancygiery — powiedział cicho. — Wiele lat noszę je ze sobą, aby móc kiedyś wręczyć pani, albowiem słusznie pani się należą. To jedyna rzecz, jaką zdobyłem własną pracą, Pirosko. W ciągu dwóch, trzech tygodni byłem pomocnikiem ogrodnika, służyłem w pewnym dworku, znosiłem połajanki i rozkazy tylko dlatego, żeby móc ujrzeć moją uwielbianą, ale musiałem zadowolić się tym, co udało mi się o niej usłyszeć, gdyż leżała wtedy ciężko chora. Oto zapłata za moje cierpienie, Pirosko; te pieniądze dał mi ogrodnik, niejaki Müller, za cały okres pracy.

Tego było już za wiele. Dziewczyna zakryła twarz dłońmi.

— O, Boże mój, Boże! Więc to pan był tym zagadkowym smutnym, młodym ogrodnikiem, o którym opowiadała służba w Bornócu?

Zadrzały jedwabiste rzęsy, łyzy trysnęły z oczu i polały się rześiste jak deszcz majowy.

A więc skorupka jednego orzecha już rozłupana, już widać samo jądro. Teraz kolej na drugi.

Podniosła głowę, próbowała obetrzeć łyzy koronkową chustką, ale płynęły bez ustanku; tylko teraz iskrzyły się radością, a uśmiech ubrany w łyzy był bardziej olśniewający niż promień słońca.

— A więc niech i pan się dowie — rzekła marzycielsko w nagłym porywie — że wtedy, kiedy pan przyjeżdżał na rozprawę, to i ja tam byłam w Egerze, przebrałam się za chłopkę i stałam w tłumie, żeby pana zobaczyć.

— Wiem — odparł Buttler.

— Ale ja jeszcze później nie zrzuciłam tego stroju, zachowałam go dla siebie. Trzy lata temu znów go przywdziałam i wprosiłam się do domu imć pana Budayego na służącą, w Bozосу, żeby choć kącikiem oka popatrzeć na pana.

— To niemożliwe! Pani, dama dworu? — wyjąkał Buttler zmieszany i chwycił za brzeg stołu, jak gdyby chciał się przekonać, że to nie sen, lecz jawa.

— Byłam tam cztery czy pięć dni, ale pan hrabia pojechał do Rzymu, a ja uciekłam od mego gospodarza nie otrzymawszy nawet zapłaty: on pewnie po dziś dzień mnie szuka.

— Pirosko! — krzyknął ochryplym głosem. — Czy to prawda?

— Oczywiście, że prawda. Sprzątałam pański gabinet.

I nagle zerwała się od stołu: na krześle leżał jej sakwojaż. Piroska pochyliła się nad nim (o, jakże pełne uroku były jej kształty!) i pogrzebawszy w nim chwilę, wyciągnęła spod chustek, szali, haftów i robótek jakiś album w skórzanej oprawie. Szybko przerzucając karty pokazała go Buttlerowi:

— Proszę spojrzeć, potajemnie narysowałam to w swoim szkicowniku.

Tak, to rzeczywiście był jego gabinet w Bozосу: kanapa, biurko, na stole mnóstwo srebrnych i brązowych figurek, na ścianie herb Buttlerów — złoty orzeł w koronie ze srebrną beczułką na piersi, obraz Madonny i portret jego matki. Ten ostatni był narysowany wyjątkowo starannie i dokładnie, każda kreska jak żywa.

János spojrział na rysunek, a gdy później podniósł oczy na Pirokę, płonęła w nich radość. Twarz mu pojaśniała. Schylił się, ażeby z wdzięcznością ucałować rękę Piroki, głowy ich zbliżyły się, oszołomił go czarowny zapach jej włosów, urywany gorący oddech... Był przecież żywym człowiekiem! Nie mógł dłużej panować nad sobą i zamiast pocałować rękę dziewczyny zaczął całować jej oczy, osuszając łzy, a gdy już leż nie było, w jakimś namiętnym upojeniu okrywał pocałunkami twarz i włosy szepcąc:

— O, moja najdroższa pszeniczka, złocista pszeniczka, ukryta przede mną na dnie morza!

Ta scena śmieszyłaby, gdyby nie była piękna jak majowy sen. I tylko słońce pozwoliło sobie na uśmiech, zaglądając przez okno. Nawet osa przestała brzęczeć, ukryła się w kielichu kwiatu kasztanowego i huśtała się w nim cicho.

— Ach, ach — broniła się Piroska. — Co pan robi? Proszę mnie puścić! János, proszę się opanować! Ojej, pan potargał mi włosy! Proszę się na swoim miejscu.

Szybko, szybko! Proszę spojrzeć w okno, czy pan nie widzi, że idzie tu imć pan Tóth z moją pokojówką?

I rzeczywiście, obok ładniutkiej pokojówki w szeleszczącej, nakrochmalonej spódnicy z powagą kroczył oberżysta Tóth. W ręce trzymał cybuch i wymachiwał nim. Kapelusz, przystrojony zielonym kłosem pszenicy, miał zawadiacko przekrzywiony na bakier.

Hrabia János siadł na swoim miejscu z niewinną miną i zabrał się do oglądania rysunku Piroski.

— A teraz wierzy pan, że kocham? — zapytała.

— Wierzę, wierzę i jestem szczęśliwy.

— I powie pan, co pan wymyślił?

— Wszystko, wszystko.

Właśnie chciał już zacząć opowiadać, ale drzwi otworzyły się i do izby zajrzała pokojówka, ażeby sprawdzić, czy jej wielmożna panienska nie zasnęła.

Dowiedziawszy się, że panienska ani myśli spać, tylko z ożywieniem rozmawia z jakimś panem, do izby wszedł ostrożnie stary Tóth. Popatrzył na uśmiechniętego do niego przyjaźnie Buttlera i w porywie nagłej radości cisnął kapelusz na podłogę i krzyknął:

— *Salve domine, comes illustrissime!*\* A to ci hiria, niech ją lichy porwie! Takie obrazki można zobaczyć tylko na sercach z pierników miodowych.

Pocziwy Tóth miał na myśli ryciny, przedstawiające parę zakochanych — zawstydzoną dziewczynę i rozmazzonego młodzieńca. Podobne obrazki naklejają cukiernicy na miodowe pierniki sprzedawane na jarmarkach.

Buttler radośnie uścisnął rękę starego oberżysty.

— No, przyjechałem, jak drogi waszmość widzi, ażeby spałaszować te kurczęta, których nie zjedliśmy tamtym razem.

Tak, dawno, dawno temu był „tamten raz”. Od tego

czasu głowa oberżysty całkiem się obieleła siwizną, a i młodość Buttlera już także minęła.

— No to wspaniale! Wspaniale! Pewno dlatego śniły mi się w nocy sroki i powrót Napoleona z Wyspy Świętej Heleny. Nikt mnie nie przekona, że on umarł. To tylko księża lżą. No, pójdę, zajmę się obiadem. Czy moja żona wie, że jaśnie wielmożny pan hrabia przyjechał?

— Przypuszczam, że mój sekretarz jej powiedział. Ale dotychczas jeszcze się nie pokazała.

— Fiu! Canis mater! Pewno nie miała odwagi stanąć przed takim wielkim panem. Tak było z pewnością. Ale ja zaraz zrobię z tym porządek.

I od razu poczuło się gospodarską energię pana Tótha. Na podwórku zaklął raz i drugi, potem dała się słyszeć biegania, trzaskanie drzwiami, a wkrótce zaczęto podawać obiad, ten, który już był przygotowany, i to, czym go uzupełniono. Coraz to inne potrawy, nie było im końca. Taki obiad mógłby spożyć nawet sam cesarz Franciszek.

Imć pan Tóth osobiście obsługiwał gości. Zapytał, co porabia pan Zsigmond Bernáth (z pewnością jest chyba już posłem w Preszburgu). Potem przeskoczył na temat wielkiej polityki, twierdząc z uporem, że Napoleon pewnego pięknego poranka jeszcze się tutaj pojawi.

— On już dawno umarł, mogę pana zapewnić.

Pokręcił głową, nie śmiał zaprzeczyć Buttlerowi, tylko tak powiedział:

— A gdyby nawet umarł, to jeszcze jego syn żyje! Słyszałem, że jest w Wiedniu u swego dziadka, a niedawno spacerując po ogrodzie wyciągnął pałasz i zaczął ścinać nim kwiaty. Dziadek pyta go: „Co ty robisz?”. „Rąbię Niemców, dziadku!”. Okazuje się, że czerwone kwiaty to byli dla niego Francuzi, a żółte Niemcy. Ech, będzie jeszcze tutaj zawierucha, niech tylko ten malec

podrośnie! Liczę dni i codziennie myślę, że on właśnie już podrośł trochę.

Buttler był zły, że rozmawia z nim zamiast z Piroską, jednakże opanował się i odpowiadał bardzo uprzejmie.

Otrzymał za to rekompensatę, gdyż imć pan Tóth bezustannie szeptał Pirosce: „Jakież to nadzwyczajny, dobry, szlachetny człowiek! Taki wielki pan, a wcale nosa nie zadziera! A jak umie z ludźmi rozmawiać!”

Tymczasem godziny biegły i zanim się obejrzel, już zaprzężono konie. Oto nadeszła chwila rozstania; jedna karetka pojedzie na lewo, druga — na prawo.

Buttler zwrócił się do oberżysty:

— Ile jesteśmy winni panu, drogi gospodarzu, za ten pyszny obiad?

Ale zapytał go o to tylko dla formalności, wiedział bowiem z góry, jaką odpowiedź dostanie. Włożył więc do modlitewnika leżącego na etażerze banknot tysiącguldenowy. (No, obawiam się, że imć pan Tóth nigdy w życiu go nie znajdzie).

Tóth nawet nie odpowiedział, pokiwał tylko gniewnie głową. Ajajaj! Przespacerował się po pokoju, coś tam mrucząc pod nosem, potem odwrócił się do ściany, jak gdyby chciał jej coś powiedzieć swą kulinarną łaciną:

— *Edisti coenam, nunc edere vis amicitiam meam* \*.

W międzyczasie kręcił się po pokoju szukając, co by tu ofiarować na pamiątkę swoim gościom. Wybrał w końcu dwa stojące na kredensie czerwone puchary (jedyne skarby w tym domu), które przywiózł mu z Czech jego nieboszczyk brat, wędrowny czeladnik. Były na nich wyryte w srebrnym okuciu rysunki przedstawiające kąpiele w Karlsbadzie i jelenie; patrzeć na takie kielichy to prawdziwa przyjemność.

Stanął na palcach i zdjął puchary z kredensu — ten

mniejszy wręczył Piroscie, a większy — hrabiemu Buttlerowi.

— Przyjmijcie ode mnie rogo humillime i pijcie czasami na pamiątkę dzisiejszego dnia!

Na próżno wzbraniali się oboje, wreszcie musieli te prezenty przyjąć, tak szczerze i serdecznie prosił. Wzruszające pożegnanie nie miało końca. Zjawiła się wielce szanowna gospodyni, odświętnie ubrana, w czarnej sukni i świeżo wyprasowanym koronkowym białym czepcu.

Piroska włożyła słomkowy kapelusz. O, Boże, jak ślicznie w nim wyglądała! Rondo przystrojone pączkami róż — wydawało się więc, że jej twarzyczka, bledziutka i mizerna, ujęta jest w ramkę: wianuszek różany.

Jakże biło jej serce, gdy wyszli przed dom. Za chwilę nastąpi ostatni uścisk dłoni — i wszystko się skończy!

Buttler podszedł do niej.

— Pirosko — rzekł — chciałbym porozmawiać z panią kilka minut w cztery oczy. Niech nasze karety wraz ze służbą wyjadą na drogę, a my się tymczasem prze spacerujemy po alei.

— Dobrze — zgodziła się Piroska.

Karety ruszyły naprzód, a Piroska z Buttlerem poszli cieniastą kasztanową aleją, ciągnącą się od oberży aż do gościńca.

Imć pan Tóth chciał im towarzyszyć, ale gdy domyślił się, że wolą być sami, został we drzwiach i razem ze wszystkimi domownikami patrzył rozrzewniony, jak idą obok siebie i gruchają niby gołąbki. Czekał, że może odwrócić się i pomachają mu ręką, ale oni szli i szli rozmawiając z ożywieniem. O, Boże, jakież ta Piroska ma płynne ruchy, jakby nie stąpała po ziemi, po prostu — muzyka! Tylko jej nie słychać. Raz czy dwa zatrzymali się. No, teraz chyba odwrócić się i popatrzą na imć pana

Tótha. Ale nie, przystanęli tylko dlatego, że rozmawiali o czymś bardzo ciekawym. Piroska gestykulowała z ożywieniem, czasem znów Buttler. Może się o coś spierali. Ej, żeby się tylko naprawdę nie pokłócili! No, znowu ruszyli. Patrzcie, oto już są przy gościńcu, żegnają się uściskiem ręki. Ona wsiada do karety, Buttler jej pomaga. Och, moi kochani, ileż to będziecie musieli wycierpieć, chociaż niczego wam nie brak. Macie wielkie majątki, ogromne lasy, łąki, pola, wszystko.

Tóth i jego domownicy stali i patrzyli dopóty, dopóki przydrożny kurz nie zasłonił obydwóch karet i smutnie powiewających chusteczek; dopiero potem wszyscy mieszkańcy oberży weszli do domu i spędzili resztę dnia na rozpamiętywaniu, jak to smakowała Buttlerowi pieczona gęś, cynaderki i pączki. Sosu dobierał aż dwa razy. A Piroska, gołąbeczka kochana, wszystkie jabłka zjadła (Dobrześ zrobiła, matko, żeś je do tej pory uchowała.) A w sieni pan Tóth powiedział z dumą:

— Jednak oberżysta to najlepszy zawód na świecie, żoneczko! To wielka rzecz! Jacyż ludzie tu bywają! Jakie osoby! Choćbym miał dostać całą Olaszröske wraz z okolicą, nie chciałbym zostać ani kuśnierzem, ani organistą!

## Rozdział dwudziesty trzeci

### NIEOCZEKIWANE ZDARZENIE

Hrabia Buttler jechał w ślad za karetą Piroski aż do pierwszego skrzyżowania.

— Skręć na lewo, Mihály!

— Bardzo przepraszam, jaśnie wielmożny panie, ale do Imreghu jeszcze nie tutaj trzeba skręcić.

— Nie pojedziemy do Imreghu — powiedział hrabia — jedziemy do Bozосу.

Taka decyzja uradowała wszystkich. Zwłaszcza ucieszył się imć pan Buday, widząc, że gospodarz przybył w dobrym nastroju.

— No, co tam mówią księża w Egerze? — zapytał.

— Trochę mnie rozzłócili — roześmiał się hrabia — ale i ja nie zostanę im dłużny.

I rzeczywiście, hrabia zaczął dokuczać księżom już po kilku dniach. Ofiarował ogromne sumy na protestanckie szkoły i gminy. Do Máramarosszigetu i kolegium w Pataku odwiózł swój dar osobiście. Niechaj księża pękną ze złości i zawiści.

I w ogóle bardzo się zmienił: poweselał, dużo czasu poświęcał na hulanki. Spraszał, tak jak dawniej, swoich przyjaciół i pełną garścią wydawał pieniądze na prawo i lewo. Zrobił się taki rozrzutny, że aż stary Buday zaniepokoił się: „Dla naszego hrabiego nie starczyłoby i skarbów Dariusza”.

Nagle zaczynał gromadzić kolekcje, rozmaite drobiazgi, bardzo drogie, chociaż zdaniem niektórych zupełnie

bezużyteczne i bez wartości. Agenci jego jeździli po całym świecie, szukając dla niego różnych antyków, obrazów Rafaela i Corregia, rzadkich cacek porcelanowych. A co z tego za pożytek? Wszystkimi czeka jeden i ten sam los — któregoś dnia stłucze je nieostrożna pokojówka.

— Przeczuwa swój koniec — mówili ci, którzy go znali bliżej.

Pewnego dnia, jesienią, Buttler jechał do Preszburga w nowej paryskiej karecie (wtedy właśnie akurat zaczęto wyrabiać brummerowskie karety). Przy nogach miał walizę z wielbłądziej skóry i futerał, gdzie chował należącą do stroju węgierskiego ozdobną szablę i klejnoty. Wszystko to warte ponad dwadzieścia pięć tysięcy guldenów.

Kronika podaje, że hrabia siedział rozparty w swej karecie i drzemał, a ponieważ bagaż nie pozwalał mu wyciągnąć nóg, wykopsał go dosłownie z karety.

Ten niezwykły wybryk, świadczący o prawdziwie magnackim wygodnictwie, wzbudził taką zawiść w Péterze Csernovicsu, znanym w owych czasach rozrzutniku, że stał się on wrogiem Buttlera.

A przecież na tym głupim figlu hrabia nic nie stracił, gdyż jakiś pastuszek podniósł futerał i walizę z gościńca i starosta, któremu to odniósł, ujrawszy tabliczkę z herbem Buttlerów, od razu odesłał wszystko hrabiemu.

W Preszburgu było niemało sposobności, żeby roztrwonić pieniądze. Do tego celu istniały trzy bezdenne przepaście: karty, konie, a także Cyganie. Czwarta przepaść była najniebezpieczniejsza i wszechpochłaniająca, ale na szczęście Buttlerowi nie zagrażała, gdyż na kobiety nie zwracał najmniejszej uwagi.

Jednakże i te trzy przepaście pochłaniały niezliczone sumy pieniędzy, hrabia zaczął robić wielkie długi. Po krótkim czasie musiał sprzedać swój majątek w Im-

reghu, a inne posiadłości zastawił w Wiedniu za olbrzymie pieniądze.

Ludzie tylko głowami kiwali: „Gdyby on nawet łyżkami pożerał złoto, to też nie mógłby wydać takiej ilości pieniędzy”. Niektórzy przepowiadali, że jeśli tak dalej pójdzie, w ciągu czterech lat zostanie całkowicie zrujnowany. Ktoś nawet przepowiadał, że skończy się na tym, iż Buttler zostanie pisarzem gminnym w komitacie ungvárskim — czy aby tylko jego charakter pisma będzie się nadawał?

Inni zaś starali się go usprawiedliwić.

On wie, co w trawie piszczy! Wezbrała gorycz w głębi jego serca. Nie chce, żeby po jego śmierci dostało się cokolwiek żonie i jej córce. Na pewno mówi sobie: „Wlazaś mi na kark, żeby złapać moje majątki. No to poczekaj, zobaczysz, co znajdziesz w mym worku!”. Ten, kto umie tak kochać, potrafi całą duszą nienawidzić!

Być może, że to ostatnie spostrzeżenie było najbliższe prawdy, gdyż i sam hrabia nieraz mawiał:

— Chciałbym wiedzieć dokładnie, jak długo jeszcze będę żył. Tak bym wszystko wymierzył, ażeby na kwadrans przed śmiercią zmienić ostatni tysiączek.

Ba, ale czyż ktoś potrafi to obliczyć!

Na święta Bożego Narodzenia posłowie rozjechali się do domów. A hrabia Buttler nie pojechał mówiąc:

— Mnie w domu i tak nikt nie oczekuje, ani duży, ani mały, lepiej pojedę zabawić się w Wiedniu.

Komu innemu zaś powiedział, że źle się czuje, często ma zawroty głowy i jedzie do Wiednia zasięgnąć porady lekarzy.

W Wiedniu Buttler także miał swój pałacyk, na Kohlmarkt. Opowiadano, że jesienią ubiegłego roku urządzał w nim wielkie orgie, ale tym razem nie zajechał tam. Trzecia wersja (według słów Bótha) głosiła, że

Buttler pojechał do Wiednia po to, aby sprzedać swój pałac. Co on tam robił, nigdy już nie można było ustalić, jedno tylko wiadomo z całkowitą pewnością, że pałac rzeczywiście sprzedał bankierowi nazwiskiem Blind, który wypłacił mu należność w złocie. A na Trzech Króli przyjechał do Bozosa do zarządcy Budayego na koniu pewien okryty szronem człowiek i przywiózł od sekretarza Bótha wiadomość, że w Wiedniu, w czasie kolacji hrabia János Buttler zmarł nagle na aneurizm serca.

Stary Buday szlochał jak małe dziecko, gdy przeczytał ten smutny list Bótha.

Teraz wreszcie biedny pan znalazł taki kraj, w którym nie ma klechów.

Z trudem tłumiąc łkanie zarządzający wydał niezbędne polecenia: wysłał konie rozstawne na wszystkie stacje, aż do Wiednia, ażeby trumna została przywieziona jak najszybciej; rozesłał gońców konnych do wszystkich krewnych nieboszczyka, również do Erdöteleku — do „hrabiny”, do Pataku — do pana Fáyego (choć stary sam był już prawie żywym trupem i nic właściwie nie rozumiał), do Bornócu — do panny Horváthówny; kazał również malować herby, szyć żałobną odzież, wydrukować klepsydry i rozesłać zawiadomienia o śmierci Buttlera, a zwłaszcza do arcybiskupa w Egerze (jeśli on ma choć trochę sumienia, sam będzie celebrował pogrzeb).

Wiadomość o śmierci Buttlera lotem błyskawicy rozniosła się po sąsiednich komitatach, wywołując wszędzie wielką sensację. Kto by to pomyślał, że hrabia tak młodo umrze?

Co prawda Buttler często uskarżał się na serce. Ludzie z natury bardziej romantyczni mówili: „Jakaż to piękna śmierć, serce pękło mu z miłości do Piroski!”. A złośliwi powiadali kiwając głowami: „Pewno za dużo

wina pił, często i kawy po dziesięć, dwadzieścia filiżanek łykał, można było przewidzieć, że tak się skończy!". Wszyscy na ogół zgadzali się, że takie wyjście było dla biedaka najlepsze, jako że i tak nie miał już żadnej radości na ziemi.

Podczas gdy trumna Buttlera, podobnie jak niegdyś Horvátha, trzęsa się na furze w sianie po wyboistych drogach z Wiednia do Bozосу, podczas gdy w stu czterdziestu wsiach należących do hrabiego dzień i noc były dzwony, wszędzie mówiono tylko o nim.

Zresztą sama osoba zmarłego interesuje ludzi tylko przez jeden dzień. Bardzo łatwo oswajają się, że nie ma już na świecie hrabiego pardańskiego: zostało przecież jeszcze tylu innych hrabiów. Mija dzień — i szeroki ogół interesuje się tylko pogrzebem.

Hrabiego mieli pochować w grobie rodzinnym Buttlerów w Doboruszce. Ciekawe — mówili ludzie — czy przyjedzie na pogrzeb „hrabina” z Erdöteleku? A ta Piroska? To dopiero będzie spektakulum, gdy obie rywalki spotkają się oko w oko przy trumnie! Już choćby po to tylko warto pojechać na pogrzeb, żeby zobaczyć, jak tam będzie. Oby tylko nie było zbyt dużego mrozu. Biedny Buttler, że też musiał umrzeć akurat w styczniu!

W piątek około południa przybył Bóth, wyprzedziwszy trumnę, która powinna była dojechać do Bozосу dopiero późną nocą. Wóz wjechał przez tylną bramę parku, a żeby nie dowiedział się tłum gapiów.

Postanowiono nie robić katafalku, lecz ustawić trumnę w wielkiej sali. Następnego dnia po południu miano odwieźć nieboszczyka do Doboruszki i pochować obok ojca.

Bóth opowiedział coś niecoś o tym, jak to hrabia sprzedał swój wiedeński pałac, a z otrzymanej sumy pokrył długi karciane. W drugim dniu Bożego Naro-

dzenia zaczął skarżyć się na serce i wkrótce potem poczuł się tak źle, że napisał testament, którego jeden egzemplarz został odesłany niezwłocznie do kapituły\* w Egerze, a drugi Bóth przywiózł ze sobą.

Wieczorem, tak jak się spodziewano, trumna przybyła do Bozосу — ciężka trumna z brązu, ze złożonymi ozdobami i złotym napisem: „Joannes Buttler comes de Párdány”. Była taka ciężka, że sześciu ludzi z trudem przeniosło ją z wozu do wielkiej sali. Tam postawili ją na stole pomiędzy wielkimi woskowymi gromnicami. Buday zarządził przy trumnie wartę honorową — czterech odzianych żałobnie huzarów z obnażonymi szablami.

On sam tak jak i warta nie odstępował swego zmarłego pana. Zabrawszy ze sobą Biblię i psalterz, czytał je, kiwał z rozpaczą głową i wzdychał gorzko:

— O, Panie Boże mój, czemuś nie zabrał do siebie mnie, starego sługi, dlaczego ja mam grzebać jego, młodego?

Nie mało słów pociechy znajdzie się w świętych księgach, jednakże starego Budayego nie opuszczał smutek. Jak to się stało, że on nawet nie pożegnał się z hrabią, kiedy ten był tu po raz ostatni? Nawet nie przyjrzał się jak należy jego twarzy. Buday poczuł nagle niepohamowaną chęć popatrzenia na swego zmarłego pana, zapragnął teraz pożegnać się w cztery oczy ze zwłokami, które jeszcze tak niedawno były hrabią Buttlerem.

Przyjrzał się trumnie: była zamknięta na zamek. Zapewne klucz ma Bóth, ale on, biedaczysko, zmęczony długą podróżą położył się spać i okrucieństwem byłoby go budzić teraz. Akurat w tej chwili w oknie ukazał się Vidonka, zajrzał i znikł. Oto człowiek, który może otworzyć każdy zamek bez klucza!

— Niech ktoś zawoła mi tu Vidonkę!

Stolarz długo się wzbraniał, utrzymując, że strasz-

nie boi się nieboszczyków; z wielkim trudem udało się jednemu z huzarów wciągnąć go do sali.

— Słuchajcie, przyjacielu, czy umielibyście otworzyć trumnę, a potem znowu ją zamknąć? — zapytał Buday.

— Nic łatwiejszego.

— No to otwórzcie. Niech raz jeszcze spojrzę na naszego pana.

Vidonka przyniósł różne wytrychy i żelazne narzędzia, popracował chwilę, pokręcił to tu, to tam, zamek szczęknął i otworzył się.

— Już otwarte — zawołał stolarz i szybko rzucił się do wyjścia. Stojąc na progu powiedział: — Mocne pan ma serce, wielmożny panie. A gdyby on tak nagle wyskoczył stamtąd?

— Ach, jakżebym tego pragnął, mój synu!

Buday wstał i ostrożnie, w skupieniu podniósł wieko. Zajrzał do wnętrza i — nagle zbladł, odskoczył przerażony, a ciężkie wieko trumny z hukiem opadło samo.

— Co panu? Co się stało, wielmożny panie? — zawołali jednocześnie huzarzy, widząc jego śmiertelną bladość.

Stary pan drżącymi palcami pogładził swe okryte zmarszczkami czoło, jak gdyby zbierał swe myśli.

— Nic, nic — powiedział głucho. — Straszne jest oblicze śmierci, lepiej nie patrzeć.

A po chwili szybko i nerwowo dodał:

— Biegnijcie po Vidonkę. Niech przyjdzie i zamknie. Szybko, szybko!

Vidonka wrócił, ale zanim wziął się do roboty, poprosił o coś dla dodania sobie ducha. Wypił jednym haustem życiodajny płyn i znowu zamknął trumnę.

— No i co, wielmożny panie? — rzekł wzruszając ramionami. — Warto było patrzeć? Teraz będą pana męczyć koszmarne sny.

## Rozdział dwudziesty czwarty

### OSTATNIE CEREMONIE

Imię pana Budayego trzęsa febra, ale nie chciał się poddawać; szybkimi krokami chodził tam i z powrotem po ogromnej sali. Taki już miał zwyczaj, kiedy dręczyły go wątpliwości i nie wiedział, jaką podjąć decyzję. Zastanawiał się długo, mamrotał bez sensu i postanowiwszy coś w końcu, silnie uderzył pięścią w parapet okna, po czym energicznym krokiem śpiesznie wyszedł z sali i kazał wezwać jednego ze swych ekonomów.

— Niechaj niezwłocznie zaprzęgną czwórkę koni — rozkazał swym miękkiem jak zwykle głosem, akcentując jednak z naciskiem słowo „niezwłocznie”. — Pojedzie pan do Ungváru i przywiezie stamtąd blacharza, ażeby zalutował trumnę jeszcze przed świtem. Zrozumieliście?

— Nie rozumiem, po co taki pośpiech, jeśli trzeba, to sami zalutujemy trumnę do południa. Może rano ktoś z krewnych zapragnie jeszcze zobaczyć nieboszczyka.

— Bez wymądrzania się. Dixi! \*

Całą noc Buday czuwał, nie decydując się położyć, dopóki nie przyjedzie blacharz, zresztą w całym pałacu nikt nie zmrużył oka. W kuchni skubano drób, gnieciono ciasto, smażono, ubijano masło, ucierano mak, pieczono, w oczekiwaniu tych, którzy zostaną na obiedzie po obrzędach pogrzebowych. Niejeden indyk gi-

nie z powodu chrzcina, gdy przychodzi na świat wielki pan; indyki giną także z okazji stypy, gdy wielki pan umiera. Biednym indykom wszystko jedno, czy ktoś urodzi się, czy umrze.

W całym pałacu kipiła praca. Krawcy z Kaposu i z Ungváru, zajmując prawie siedem pokojów, krajali i zszywali czarne sukno i krepe. Pomagała im Katuska. Malarze malowali na wielkich arkuszach papieru herby, cieśle stawiali kolumny i postumenty, obciążane później żałobnym kirem. Robót ich pilnował Vidonka, z nieukrywanym gniewem krytykując kształt i proporcje metalowej trumny.

— Piękne ozdóbki, to prawda, ale niepotrzebne. Ja bym wystrugał dla niego z drzewa dużo lepszą.

Po północy zjawił się wreszcie blacharz i szybko załutował trumnę. Teraz dopiero pan Buday mógł się spokojnie położyć. Westchnąwszy ciężko, wyszeptał: „Bodajbym się już nie zbudził!”. Jednakże Wszechmogący nie wysłuchał jego życzeń: wczesnym rankiem obudził go turkot przybywających co chwila karet i powozów. Znow, ale już po raz ostatni, zajechały karety Sztáraych, Majláthów, Sennyeych, Lónyaych, słynna czwórka siwków Pála Ibrányego, piątka karych ogierów Gilányego, „grająca bryczka” Rollyego \* (ale teraz pozytywka była wyłączona). Pojazdy przybywały jeden za drugim i zdawać by się mogło, że wszystkie kwiaty, rozkwitłe w cieplarniach czterech komitatów, napłynęły tutaj, ażeby oddać ostatni hołd zmarłemu.

Ze wszystkich stron kraju, powodowane wdzięcznością za hojność nieboszczyka, zjeżdżały się delegacje: od cechów rzemieślniczych z Kaposu i Ungváru, studenci z Pataku, z odmrożonymi nosami i uszami, wychowankowie akademii Ludoviceum z Pesztu, czterech głuchych z instytutu w Vácu i trzech niemych przed-

stawicielei niedawno założonej Akademii Nauk. Czyż ich wszystkich można zliczyć? Zaroiło się od ludzi w ogromnym gmachu. Piękne damy, baronowe i hrabiny, otulone w kosztowne szuby i futra, zajeżdżały przed schody. Jedni przywozili wiązanki kwiatów, inni wieńce, i tylko jeden człowiek w niebieskiej bekieszki wręczył ekonomowi Gálowi, który objął pieczę nad kwiatami, zeschniętą gałązkę, pokrytą szronem.

— A co to takiego? — rzucił się ku niemu ekonom. — Co to ma być?...

— Już ja wiem, co to jest — odpowiedział mu stary człowiek. — Proszę położyć rogo humillime i to. Jeśli nieboszczyk nas widzi, pozna, co to za gałązka.

— A kto wy?

— Ja nie jestem wy. Jestem szlachcic Tóth z Olaszrösške.

Imć pan Tóth przywiózł na trumnę gałązkę z tych drzew, w których cieniu hrabia János przechadzał się ostatni raz z Piroską.

Gdy zajeżdżały następne karety, wszyscy, a zwłaszcza damy, zebrani w ogrzanych pokojach, rzucali się do okien, pożerani ciekawością, chuchali na zamarzniete szyby, a gdy pojawiała się jakaś interesująca osobistość, w sali rozlegał się szmer.

Jednej sensacji zostali wszakże pozbawieni, czego dowodem były nadaśane usteczka pięknych pań. Przyjechał z Bornócu młody Pál Buday, zarządzający majątkiem Horváthów, i zakomunikował, że jego pani leży obłożnie chora i na pogrzeb oczywiście nie przyjedzie.

— Och, och, biedna dziewczyna — wołali niektórzy — ten wielki cios zwał ją z nóg.

Żałowali serdecznie chorej. Woleliby jednak, żeby najpierw przyjechała, a dopiero potem zachorowała.

Nagle powstało poruszenie, wszyscy rzucili się do okien.

— Kto przyjechał, kto przyjechał? Jest już „wdowa”.

Och, och! Sapristi!\* Goście, nie zważając na mróz, otworzyli okna i wychylili się, niektórzy wspinali się na palce za plecami innych, tak że ze wszystkich okien sterczały głowy jedna nad drugą niby sterta jabłek — wystarczyłoby puścić strzałę, a z pewnością trafiłaby w czyjąś czaszkę.

Tak, rzeczywiście przyjechała wdowa. Była cała w czerni, a służba w żałobnej liberii; nawet konie czarne. Z kapeluszy stangreta i lokaja zwisały szerokie wstążki z czarnej krepy.

Na powitanie wybiegła cała służba pałacowa. Może to ich przysłała pani. Stanęli w szeregu półkolem, zgięci w niskim ukłonie, i czekali, aż stary Buday pomoże jej wysiąść z karety.

— Spójrzcie na tę nikczemnicę — ze zgrozą szemrano w oknach. — Z jaką dumą ona kiwa głową, niczym królowa!

Niebawem dały się słyszeć okrzyki zdziwienia, gdyż w chwilę później wysiadło z karety czarujące dziewczę.

— Cóż to za urocze stworzenie?

— Przecież to jej córka, Maria Buttlerówna.

— Fiu, co za figurka!

— Proszę zaprowadzić moją córkę, mości panie Buday, do jakiegoś dobrze ogrzanego pokoju — cicho powiedziała Maria Döry. — Przemarża nawskroś, biedaczka. A ja pójdę do niego. Gdzie on?

— W dużej sali.

— Można go zobaczyć?

— Niestety, jasnie pani, trumna już zalutowana.

Maria dobrze wiedziała, którądy iść. Wzięła z rąk lokaja wieniec z białych kamelii i udała się wprost do wielkiej sali.

W tym momencie akurat nie było tam nikogo. Warta huzarów wyszła na dziedziniec, ażeby przyłączyć się do pozostałych, albowiem trumnę mieli eskortować huzarzy z obnażonymi szablami po ośmiu z każdego boku. Przed i za trumną będzie jechał orszak pięćdziesięciu huzarów. Jaśnie pan i na tamten świat wyrusza po jaśniepańsku!

Panowała tam grobowa cisza. Wielka, pusta sala, a pośrodku ponura trumna. Od czasu do czasu dawało się słyszeć skwierczenie woskowej świecy lub skrzypnięcie jakiegoś mebla.

Maria, drząc na całym ciele, rozejrzała się dookoła. Zostawić nieboszczyka samego, to niesłychane! Już się odwróciła i chciała wyjść, gdy zauważyła jakiegoś mężczyznę, modlącego się cicho przy trumnie. Chociaż w swych aksamitnych pantofelkach stąpała prawie bezszelestnie, modlący się usłyszał jednak jej kroki i odwrócił ku niej twarz. Był to Zsigmond Bernáth, poseł ungvárski.

Maria poznała go, rzuciła na niego pełne nienawiści spojrzenie, przeszła obok i położyła na trumnie swoje kwiaty. Bernáth podszedł do trumny i z wściekłością zrzucił ten wieniec z kamelii. Spadł na marmurowe płyty sali rycerskiej.

— Niech pani nie będzie taka okrutna — rzekł drżącym z oburzenia głosem — proszę zostawić go w spokoju chociaż teraz!

Maria zamierzała uklęknąć, ale wobec tej nieoczekiwanej napaści zerwała się jak tygrysyca, dumnie odrzuciwszy głowę w tył:

— Jak pan śmie? Kim pan jest? — zawołała porywczo. — Ja jestem jego żoną.

— Tak, według praw klechów — odpowiedział Bernáth z bezgraniczną pogardą. — Ale nie według boskich. A teraz on już należy do Boga!

Nie mógł się opanować; oczy nabiegły mu krwią, zaczął deptać wieniec nogami.

— Niech pani weźmie ten wieniec i zanieś klechom. I powie im, że to pani go zabiła.

I zanim odszedł, rzucił na nią druzgocące spojrzenie, które jednak już do niej nie dotarło, upadła bez przytomności na kamienną posadzkę.

Wielmożny pan poseł westchnął z ulgą, jak ktoś, kto pozbył się ogromnego ciężaru, przytłaczającego mu duszę, wyszedł z sali i powiedział służbie:

— Zajrzyjcie tam! W wielkiej sali leży zemdlona jakaś kobieta.

Ludzie, którzy znaleźli hrabinę i ocucili ją, mogliby powiedzieć: „A może ona jednak go kochała”.

Czy warto mówić dalej? Długo trzeba by opisywać ceremonie pogrzebowe i to, że nie kończącym się sznurkiem przybywali drogą goście i ciekawscy gapie. W oczekiwaniu duchowieństwa krewni Buttlera zbrali się w sali myśliwskiej. Na fotelu siedziała małżonka zmarłego, blada jak śmierć. Znaleźli się tam również przybyli z różnych majątków zarządzający, a przez ten czas odczytano testament, który sekretarz przywiózł z Wiednia.

Zmarły hrabia wszystkie swoje włości, dochody, majątki ruchome i nieruchome zapisał na cele dobroczynne. I tylko połowę dochodów z majątku Erdötelek pozostawił temu nieszczęsnemu stworzeniu, które nazywało siebie jego żoną, a ponieważ ma ona córkę, to ta wychodząc za mąż otrzyma w posagu cztery tysiące holdów ziemi puszczy garagoskiej.

Pewną część swoich majątków zapisał niektórym przyjaciółom i krewnym. Tak na przykład imć panu Budayemu „za długoletnią wierną służbę” puszcę vrebínską, razem z całym inwentarzem, ażeby na stare lata miał gdzie spokojnie „śpiewać psalmy”. Wszystko,

co pozostanie po tym podziale, wszelkiego rodzaju dochody, ziemia i reszta — ma należeć do jego ukochanego opiekuna — Istvána Fáyego czy też, ściślej mówiąc, do jego rodziny.

Jeśli okaże się, że któryś z wyżej wymienionych zapisów dostanie się takiemu stowarzyszeniu, w którym z owoców tych darów mogliby korzystać również i księża, to po wyjaśnieniu takowej okoliczności zapis ten należy uznać za nieważny, a fundację rozdzielić wśród najbiedniejszych w Bozосу i okolicy, itd. itd.

Tymczasem przyjechali czterema karetami księża (z powodu silnych mrozów byli to tylko duchowni z najbliższych okolic) i rozpoczął się pogrzeb, który przeszedł spokojnie bez żadnych incydentów. Ceremonie odbyły się z oszałamiającą pompą. Chłopi pańszczyźniani nieśli tysiące pochodni i gdy pierwsi z nich byli już w Doboruszce przy krypcie, to karawan z trumną jeszcze nie ruszył z miejsca. Wieńce i kwiaty wiezione na czterech wózkach (pewno Pirosce Horváthównie nic by się nie stało i honor jej nie poniósłby szwanku, gdyby i ona posłała choć gałązeczkę rezedy). Nigdy jeszcze nie było takiego tłumu ludzi, zgromadzili się tutaj nie tylko wielcy magnaci, ale także i ludzie prości. Przybył tu Ungvár, Kapos i cała okolica. Patrzcie, patrzcie, jest nawet i oberżysta Griby razem z Hadasową — ale teraz to już jest jego żona. Katuska pokazuje im wszystko i udziela wyjaśnień.

Napływ ludzi z wyższych sfer był tak olbrzymi, że żaden prostaczek nie mógł się przedrzeć, ażeby popatrzeć z bliska na trumnę. Nawet sam imć pan György Tóth wraz z innymi został wypchnięty do tyłu, chociaż przyjechał przecież wcale nie po to, żeby oglądać plecy opasłych panów. Chciał zobaczyć i oplakać zmarłego. Był taki zły, że wyrwał się i udał do Dobo-

ruszki, postanowiwszy czekać na orszak pogrzebowy przy samej krypcie.

Przybył tam jako jeden z pierwszych. Obejrzawszy grobowiec — zbudowany jak domek z cegieł pod sklepieniem z czerwonej dachówki, z wykuszem podobnym do okna — postanowił wdrapać się na stryszek. Z tego miejsca mógł oglądać całą ceremonię pogrzebową, nadjeżdżające karety, magnaterię, migotliwe pochodnie, powiewające barwne herby, konie w żałobnych czapkach, a może uda mu się dojrzeć wśród tej obfitości kwiatów i swoją gałązeczkę. Będzie mógł o tym w domu opowiedzieć żoneczce. Wlazł na górę bardzo łatwo i nie zauważony, jako że żywym nikt się nie interesował.

O, jakie to wszystko było piękne i niewypowiedzianie smutne! Przed kryptą panowie zdjęli trumnę z karawanu i zanieśli ją do grobu na własnych barkach (z tymi panami często grywał w karty). Do grobowca mogli wejść tylko nieliczni. Zresztą, ceremonia trwała niedługo: księża zakończyli ją szybko, gdyż sami porządnie zmarli. Wstawili trumnę. Stuk-stuk! Stuk-stuk! I skończyło się wszystko. Ostatni hrabia pardański przyjechał do domu na zawsze.

Potem odwrócili tabliczkę z herbem. Na błękitnym polu złoty orzeł w koronie, ze srebrną beczułką na piersi.

...Był orzeł, nie ma orła. Uleciał, a razem z nim cały ród Buttlerów... Tylko na starych szablach i na antycznych oprawach ksiąg widnieje nadal, dźwigając swój bezsensowny ciężar — srebrny antałek, który dał mu kiedyś w nagrodę za niepamiętnych czasów król — fantastą i wesołek (w owych czasach beczułki kuto jeszcze w srebrze). Dzisiaj są już tylko z drzewa — i nie ma co zbierać do nich na tokajskiej górze.

## Rozdział dwudziesty piąty

TACE!

Tłum rozchodził się szybko, jedni tu, drudzy tam; panowie wsiedli do karet, inni poszli pieszo, jeszcze przez jakiś czas rozmawiając o zmarłym.

Ostatni zostali: imć pan Buday i sekretarz. Bóth zwlekał z odejściem, być może przypadkowo, a stary Buday dlatego, żeby wielkim kluczem, który trzymał w ręku, zamknąć drzwi grobowca.

Wówczas, jak ludzie opowiadają, zdarzył się wypadek, o którym słuchy przechodziły z ust do ust w komitatach zempleńskim i ungvárskim aż do wybuchu rewolucji. Potem rewolucja zmiotła tę legendę. Nie na legendy był wtedy czas, gdy trzeba było dokonywać czynów naprawdę legendarnych, kiedy tenże sam młody gimnazjalista z Újhely, który niegdyś strzelał z procy do kurcząt oberżysty Tótha, porywał do boju swoje rozprasające się pułki.

No, skoro już padło nazwisko imć pana Tótha, opowiem coś niecoś o tej legendzie, która za jego pośrednictwem poszła w świat. Zresztą, to nie jego wina, gdyż nikomu nie wyjawiał swej tajemnicy, jeśli nie liczyć jego żony (co prawda, sam tego żałuje). Niemniej i ten brak dyskrecji okazał się wystarczający, ażeby tajemnica przestała być tajemnicą.

Zgodnie z legendą Tóth opowiadał, co następuje: gdy imć pan Buday został sam na sam z Bóthem przed wej-

ściem do grobowca, Tóth znajdował się jeszcze na stryszku, gdyż wstyd mu było schodzić na dół w czyjejkolwiek obecności, i przez szparę widział i słyszał, jak imć pan Buday, trzymając sekretarza za klapę palta i patrząc mu przenikliwie prosto w oczy powiedział:

— A wie pan, panie sekretarzu, że gdy ja w nocy otworzyłem trumnę, to ciała hrabiego Buttlera w niej nie znalazłem?

Sekretarz rozejrzał się bojaźliwie dokoła i wymamrotał ze strachem:

— A co tam było?

— Drewniana kukła wśród piasku i wiórów.

— I co jeszcze? — rzucił Bóth i spojrzał na starego takim wzrokiem, że krew od niego mogła zastygnąć.

— Na piersi tej kukły leżała tabliczka — mówił ci cho Buday — z napisem „Tace!” \*

— Ergo, tace!\* — ponuro, z groźbą w głosie powiedział sekretarz.

I taka to legenda zaczęła szerzyć się w owym czasie. Ale ponieważ wszędzie znajdują się ludzie — należał do nich również imć pan Tóth — którzy nie wierzą, że ich ulubieni bohaterowie, jak na przykład Napoleon, umarli, a przecież każdy wie, że wszyscy ludzie na ziemi są śmiertelni, to w tę mało prawdopodobną opowieść jedni wierzyli, a drudzy nie. Dowiedzieć się czegoś bardziej zasługującego na wiarę nie można było, jako że stary Buday zmarł w trzy tygodnie po pogrzebie hrabiego, a sekretarz Bóth znikł na zawsze z tych okolic zaraz na drugi dzień po pogrzebie. Tak, że Bóg jeden tylko wie, co jest prawdą! Ale gdy po roku na wiosnę Piroska Horváthówna także sprzedała swój majątek w Bornócu jakiemuś hrabiemu z Moraw i wyjechała z tej okolicy czy też z kraju, zacierając za sobą ślady, liczba tych, którzy uwierzyli w legendę Tótha, znacznie wzrosła. Sam zaś oberżysta, paląc swą ulubioną fajkę,

aż do samej śmierci cieszył się myślą, że gdzieś, w jakimś cichym zakątku świata, żyje — na pewno żyje — szczęśliwa para, która w niedzielę stawia na stole dwa puchary z czerwonego szkła, zdobne w srebrne jelenie, i popijając z nich wino, raz po raz wspomina ofiarodawcę: „Czy jeszcze żyje nasz poczciwy, stary Tóth w Olaszröske?”

Długo krążyła ta legenda wśród sfer magnaterii, już to cichnąc, już to ożywając, nie nabierając jednak większego rozgłosu. Wynikało to stąd, że trumny aż do dziś nie otworzono (choćby były i takie propozycje).

Śpi spokojnie hrabia Buttler, jeśli on rzeczywiście tam leży — mężczyzna, od którego nie było piękniejszego w całym komitacie ungvárskim. Cicha przystań, krypta w Doboruszce, to najlepsze miejsce do wiecznego snu: dookoła panuje głucha cisza, znikły i lasy, nie słychać ich majestatycznego szumu. Tylko żaby rechocą w pobliskich bagnach:

„Górrą księża! Górrą księża!”.

## PRZYPISY

str. 17

Komitat — jednostka podziału administracyjnego, odpowiednik polskiego województwa.

Per pedes apostolorum (łac.) — pieszo.

str. 18

Sero venientibus ossa (łac.) — późno przybywającym — kości.

Palatyn — przedstawiciel szlachty węgierskiej w radzie królewskiej.

str. 19

Hajduk — pełniący służbę na dworach węgierskich

str. 21

Valde bene (łac.) — bardzo dobrze.

Donatysta — uczeń niższych klas gramatycznych w ówczesnym systemie szkolnym. Nazwa od rzymskiego gramatyka Donatusa.

Lajos Kossuth (1802—1894) — węgierski bohater narodowy, wódz rewolucji 1848 r. Proklamował niepodległość Węgier.

str. 23

Franciszek II Habsburg, cesarz austriacki (1768—1835)

str. 27

Ferenc II Rákóczi (1676—1735) — przywódca powstania węgierskiego przeciw Habsburgom 1703—1711; od jego

nazwiska pochodzi tytuł węgierskiej pieśni narodowej „Marsz Rákócziego”. Kuruce — uczestnicy tego powstania.

str. 30

Johann Amadeus Franz de Paula Thugut (1736—1818) — konserwatywny działacz i dyplomata austriacki. Na jego żądanie stracono w 1795 r. przywódców węgierskich jakobinów.

str. 31

A tylla — narodowy strój węgierski, dolman, kaftan z wyłogami i szamerowaniem, noszony przez huzarów.

Biedny stary Thugut może był i niezłym dyplomata, ale kiepskim prorokiem, gdyż na własne oczy widziałem Zsigmonda Bernátha, jako najstarszego deputowanego na sesji parlamentu węgierskiego. (Przyp. aut.)

str. 32

Canis mater (łac.) — psia mać!

str. 34

Mihály Csokonai (1773—1805) — sławny poeta, pionier literatury i literackiego języka węgierskiego. „Dorota” — jego satyryczny poemat.

Abbé (franc.) — opat, w mowie potocznej ksiądz.

Albrecht von Wallenstein (1583—1634) — książę Frydlandu, magnat czeski, dowódca wojsk cesarskich w wojnie 30-letniej, zamordowany na skutek posądzenia o zdradę.

str. 36

József Simonyi (1771—1832) — pułkownik huzarów, wślawił się w walkach z wojskami Napoleona.

Książę Eugeniusz Sabaudzki (1663—1736) — feldmarszałek austriacki, wybitny dowódca w wojnie z Turkami.

Jan Kupeczký (1667—1740) — słynny malarz-portrecista, Czech z pochodzenia.

str. 37

Domine illustrissime (łac.) — najjaśniejszy panie.

str. 39

Claude Joseph Rouget de Lisle (1760—1836) — oficer francuski, autor muzyki i tekstu Marsylianki.

str. 40

Carmagnola (Karmaniola) — nazwa pieśni i tańca z czasów rewolucji francuskiej, pochodząca od miasta włoskiego Carmagnola w Piemontcie obleganego w 1792 r. przez rewolucyjne wojska francuskie.

str. 47

Ignoti nulla cupido (łac.) — Czego nie znamy, tego nie pożądamy.

str. 53

Titulus et vitulus (łac.) — tytuł i majątek.

str. 54

Cwancygier — dwadzieścia grajcarów — miedziana moneta austriacka.

Preszburg (węg. Pozsony) — dawniejsza nazwa Bratysławy.

Behemoth (hebr.) — w księdze Hioba olbrzymie, potężne zwierzę.

str. 55

János Bihari (1769—1827) — węgierski kompozytor i wirtuoz-skrzypek znany z motywów ludowych w swej twórczości.

Vis major (łac.) — siła wyższa.

str. 56

W oryginale nieprzetłumaczalny kalambur „ebetek nem beteg” — tzn. „chora nie chora” a jednocześnie „wasz pies nie chory”.

str. 58

Medve — po węgiersku niedźwiedź.

str. 61

Prügelknabe — tak nazywano dzieci chłopskie, które

w czasach feudalnych dziedzice karali zamiast własnych, gdy te zawiniły.

str. 63

*Ergo* (łac.) — a więc.

str. 67

*Braganza* — dynastia królów portugalskich (1640—1910).

str. 75

*Alessandro Cagliostro* (1743—95) — właśc. *Giuseppe Balsamo*, awanturnik, magik i „cudotwórca”, znany we wszystkich niemal krajach Europy z licznych oszustw; skazany w Rzymie na dożywotnie więzienie.

*Astharoth* — w magii: duch wieczoru.

str. 76

*Kurmacher* — konkurent, adorator.

str. 80

Inaczej wyobrażała sobie matka, a inaczej zrządził los. *István Szirmay* w 1857 r. w dniu przyjazdu cesarza *Franciszka Józefa* do *Milskolca* jechał na koniu w galowym stroju na czele eskorty. Rażony apopleksją spadł z konia. W ten sposób rzeczywiście umarł w królewskim przepychu. (Przyp. aut.)

str. 82

*Pandur* — żandarm komitatowy.

str. 83

*Cito citissime* (łac.) — szybko, jak najszybciej.

str. 95

Piece z kominkiem posiadały w owych czasach tylko zamożne dwory.

str. 96

*Tertium non datur* (łac.) — trzeciego nie dano (do wyboru).

str. 97

*Ars poetica* (łac.) — sztuka poezji, twórczość poetycka.

str. 101

**Self-made man** (ang.) — człowiek, który robi lub zrobił karierę własnymi siłami.

str. 104

**Ferenc Kazinczy** (1759—1831) — wybitny węgierski pisarz i publicysta, członek klubu jakobinów, na którego czele stał Ignác Martinovics.

str. 109

**Piroska** — po węgiersku czerwona, rumiana.

str. 116

**Hold** — miara powierzchni równa mniej więcej 0,57 ha.

str. 124

**Ad vocem** (łac.) — w sprawie; właściwie, stosownie.

str. 131

**Postillon d'amour** (franc.) — poczta miłosna.

str. 132

**Ad audiendum verbum** (łac.) — na posłuchanie.

str. 136

**Mucjusz Scewola** (Mucius Scaevola) — bohater rzymski. W r. 508 p.n.e. usiłował zabić króla Etrusków Persennę. Schwytany włożył dłoń w ogień na dowód, że nie lęka się tortur.

str. 138

**Audiatur et altera pars** (łac.) — Należy wysłuchać i drugiej strony.

str. 140

**Iuventus ventus** (łac.) — młodość jest płocha jak wiatr.

str. 142

**Modus vivendi** (łac.) — sposób życia, obrót spraw, wyjście z sytuacji.

str. 152

Heliogabal (204—222) — cesarz rzymski słynny z okrucieństwa i rozpusty.

str. 166

Bonum mane praecor (łac.) — dzień dobry.

Jurat in verba magistri (łac.) — przysięga na słowa nauczyciela, uznaje święte zasady.

str. 171

Denique (łac.) — właśnie, przecież.

str. 174

Ab invisis (łac.) — nawet nie patrząc.

str. 176

Ludwik Wielki (1326—1382) — król węgierski od 1342 i Polski od 1370. Syn Karola Roberta Andegaweńskiego i Elżbiety Łokietkówny, ojciec polskiej królowej Jadwigi.

str. 184

Intelligis ne, amice (łac.) — czy rozumiesz, przyjacielu?

str. 191

Rytuał pazmański — obrzęd nazwany od Pétera Pázmánya (1570—1637) — arcybiskupa Esztergomu, działacza katolickiego w walce z reformacją na Węgrzech.

Ritus celebrandi matrimonii sacramentum (łac.) — obrzęd ślubny.

Nulla regula sine exceptione (łac.) — nie ma reguły bez wyjątku.

str. 193

Benedictio annulorum (łac.) — obrządek pobłogosławienia obrączek przy zaślubinach.

str. 194

Gaspar Hauser — tajemnicza postać, która pojawiła się w 1828 roku w okolicy Norymbergi. Jako dziecko był porwany przez złoczyńców i długie lata więziony w ukryciu.

**George Buckingham** (1592—1628) — kanclerz angielski, stronnik Hugonotów. Zamordowany przez purytanina Feltona.

**Benedictio nubentium** (łac.) — błogosławienie nowo zaślubionych połączone z wpisaniem do ksiąg metrykalnych.

str. 196

**Domine reverende** (łac.) — ojciec wilebny.

str. 199

**Per longum et latum** (łac.) — równoległe.

**Árpádowie** — węgierska dynastia panująca od 890—1301 r. nazwana od imienia Árpáda — przywódcy plemion węgierskich, które przybyły na Węgry w IX wieku.

str. 200

**Lehel i Botond** — wodzowie wojowniczych drużyn w połowie X wieku napadających na tereny zachodniej Europy i Bałkanów.

**Stefan I** (975—1038) — uznany przez Kościół za świętego. Pierwszy król Węgier, wprowadził tam chrześcijaństwo ok. 1000 r.

str. 201

**Quod erat demonstrandum** (łac.) — co było do dowiedzenia.

**Kálmán** (1095—1116) — król węgierski z dynastii Árpádów.

str. 206

**Farkas Kempelen** (1739—1804) — słynny mechanik cesarski, budowniczy wielu obiektów architektonicznych w Budzie i Wiedniu. Wynalazca maszyny do gry w szachy.

str. 210

**Jus gladii** (łac.) — prawo miecza, które pozwalało feudałom karać śmiercią.

str. 217

**Malum omen** (łac.) — zły znak.

Mihály Teleky (1634—1690) — hrabia, działacz polityczny i wojskowy, sojusznik księcia Siedmiogrodu i cesarza Leopolda.

str. 219

Diabolus rotae (łac.) — dosłownie: diabeł koła okręgu; tu: przyczyna sedna zła.

Rogo (łac.) — prosię.

Rogo humillime (łac.) — prosię najpokorniej.

str. 220

Sine qua non (z łac.: conditio sine qua non) — warunek konieczny.

str. 221

Po upadku powstania kuruców i zawarciu pokoju szatmárskiego (1711) rząd wiedeński okroił i zmienił poprzednie granice komitatów węgierskich, żeby osłabić możliwość buntu przeciw Habsburgom.

Turul — legendarny ptak, od którego jakoby pochodzili Árpádowie.

Wiceżupan — władza administracyjna komitatu wybierana przez szlachtę. Nadżupan — mianowany przez króla reprezentant jego polityki w komitacie.

str. 222

Czerwony Rak — herb rodu Szirmaych.

str. 225

Amici (łac.) — przyjaciele.

Periculum in mora (łac.) — niebezpieczeństwo w zwlekaniu.

Brachium (łac.) — ramię; tu ramię zbrojne, czyli władza wykonawcza.

Insurgent (łac.) — powstaniec.

str. 228

Praesente medico (łac.) — w obecności lekarza.

str. 229

**Scitha idioma** (idiomat scytyjski) — w pewnym okresie żartobliwie nazywano język węgierski językiem Scytów.

str. 230

**Panaceum** — uniwersalny lek przeciwko wszystkim chorobom.

str. 231

**Infamia** (łac.) — hańba, utrata czci lub praw obywatelskich.

**Fraude et vi coacta** (łac.) — podstępem i przemocą.

str. 234

**Deo gratias** (łac.) — chwała Bogu.

str. 235

**Consummasti ne matrimonium, domine frater?** (łac.) — Czy małżeństwo spełnione, panie bracie?

**Non, domine vicecomes, nec corpus tetigi** (łac.) — Nie, panie wicezupanie, nie dotknąłem jej ciała.

str. 245

W języku węgierskim są osobne nazwy młodszego i starszego rodzeństwa, np.: **húg** — młodsza siostra, **növér** — starsza siostra, **öccs** — młodszy brat, **bátya** — starszy brat.

str. 246

**Gratias ago, domine spectabilis** (łac.) — Dziękuję uprzejmie, wielmożny panie.

str. 248

**Retorsjonalny** (z łac.) — odwetowy.

str. 249

**Utique** (łac.) — zwłaszcza, zaiste.

str. 252

**Carissime amice** (łac.) — najdroższy przyjacielu.

**Septemvir** (łac.) — jeden z siedmiu mężów, członek siedmioosobowego kolegium sędziowskiego.

**Mathé Csák** (1260—1321) — jeden z najbogatszych i najmniejszych przedstawicieli feudałów węgierskich w Nitrze. **Gara i Omodé** — stare znakomite rody magnackie na Węgrzech.

**Corpus iuris** (łac.) — zbiór praw.

**Na, wie geht es, Alter?** (niem.) — No, jak się powodzi, staruszk?

**Dieta** — sesja ówczesnego sejmu węgierskiego.

**Illo tempore** (łac.) — owego czasu.

**Ignác Martinovics** (1755—1795) — opat klasztoru, pisarz polityczny, autor „Katechizmu człowieka i obywatela”, przywódca jakobinów węgierskich, walczących przeciwko Habsburgom o niezależność Węgier. Przywódcy tego spisku zostali straceni 20 maja 1795 r. w Budzie.

**Miklós Barabás** (1810—1898) — sławny węgierski malarz-portrecista. Spod jego pędzla wyszły portrety najznakomitszych osobistości owych czasów.

**Olejný portret Jánosa Buttlera** naturalnej wielkości wisi obecnie w auli domu komitatu w Nogradzie. (Przyp. aut.)

**Izajasz Buday** (1766—1841) — biskup kalwiński, profesor akademii w Debreczynie. Walczył o prowadzenie wykładów w języku węgierskim zamiast w niemieckim.

str. 292

Karbowane kije — w owych czasach kredytowane należności oznaczano wcięciem na kijkach.

str. 305

Domine dilectissime (łac.) — miłościwy panie.

De iure (łac.) — prawnie, zgodnie z prawem.

Prudentia (łac.) — umiejętność, roztropność.

Obligatus servus (łac.) — zobowiązany sługa; tu: zobowiązany do usług.

str. 318

Gratissima persona (łac.) — osoba ciesząca się największymi względami.

str. 321

Ferenc Kölcsey (1790—1838) — krytyk, poeta, autor węgierskiego hymnu narodowego, słynny mówca, walczył o uwłaszczenie chłopów.

str. 321

Miklós Eszterházy (1765—1833) — hrabia, dyplomata i wojskowy.

str. 336

W 1552 r. podczas wojny z Turkami i oblężenia przez nich Egeru bohaterską rolę odegrały kobiety — mieszkanki tego miasta. Opisał to Géza Gárdonyi w powieści pt. „Gwiazdy Egeru”.

str. 343

Causarum generalis auditor (łac.) — rzecznik przy sądzie kościelnym, wyznaczony do rozstrzygnięcia określonego sporu.

str. 346

Conducatur sanitati! (łac.) — Na zdrowie!

György Martinuzzi (1482—1551) — paulin, późniejszy kardynał. W czasach najazdu tureckiego na Węgry prowadził podwójną grę sprzyjając i Turkom, i Habsburgom. Zabity skrycie na zlecenie rządu wiedeńskiego.

str. 347

Nomen est omen — videte latronem (łac.) — w nazwisku wróżba — widzicie łotra (lator po węgiersku znaczy łotr, opryszek).

str. 349

In camera caritatis (łac.) — w swoim zaufanym gronie.

str. 351

Communis opinio (łac.) — opinia publiczna.

str. 353

Ista persona diabolica aberrat a via recta (łac.) — ta diaboliczna zeszła z prostej drogi.

str. 355

Ad rem (łac.) — do rzeczy.

Per amorem dei (łac.) — na miłość boską.

str. 357

Palinka — wódka przeważnie robiona z owoców.

str. 361

Karol II Mały — wybrany na króla przez stany w 1385 r., zmarł wskutek ran odniesionych po zamachu Balázsa Forgácha w 1386 r.

Ludwik II (1506—1526) — król węgierski, utonął w rzece Csele uciekając przed Turkami po przegranej bitwie pod Mohaczem, 1526 r.

Attyla — (453 r.) wódz koczowniczego plemienia Hunów. Z centralnej Azji czynił wiele zwycięskich wypraw wojennych, podbijając kraje Europy. Umarł w noc poślubną przy Krymfildzie na skutek krwotoku płuc.

str. 370

András Hadik (1710—1790) — hrabia, generał w armii Marii Teresy, wsławił się wielką odwagą i bohaterstwem.

str. 379

Bycza krew — od nazwy czerwonego wina węgierskiego bikavér.

str. 386

Próbatum est (łac.) — to jest sprawdzone.

str. 394

Justitia regnorum fundamentum (łac.) — sprawiedliwość jest podstawą państwa.

str. 395

Ultramontani — klerykałowie, dążący do zapewnienia papieżowi i duchowieństwu decydującego wpływu na wszystkie dziedziny życia.

Redibimus sicut aquilae (łac.) — wrócimy jako orły.

Kleine Fische gute Fische (niem.) — małe ryby, dobre ryby (powiedzenie jezuitów, że nawet mała zdobycz też się liczy).

str. 406

Ad calendas graecas (łac.) — na czas nieograniczony.

str. 410

Georgikon — pierwsza uczelnia ekonomiczna na Węgrzech ufundowana przez hrabiego Festebiesa w 1797 r. w Keszthelyu w pobliżu Balatonu.

str. 411

Homo intimus (łac.) — człowiek zaufany.

str. 414

Personal — przedstawiciel króla, który przewodniczył w posiedzeniu niższej izby szlacheckiej (sejmu).

Akademia Ludwika (Ludoviceum) — pierwsza na Węgrzech akademia wojskowa założona w 1808 roku, nazwana imieniem Marii Beatrycze Ludwika, żony cesarza Franciszka I.

str. 430

Salve domine, comes illustrissime! (łac.) — Witam jaśnie pana hrabiego!

Edisti coenam, nunc edere vis amicitiam  
meam (łac.) — Zjadłeś mój obiad, a teraz chcesz zjeść moją  
przyjaźń.

str. 440

Kapituła — kolegium złożone z kanoników.

str. 442

Dixi! (łac.) — powiedziałem, takie jest moje zdanie!

str. 443

Rolly — ekscentryczny magnat węgierski, który kazał  
skonstruować pozytywkę przy osi bryczki tak, aby w czasie  
jazdy grała muzyka. (Przyp. aut.)

str. 445

Sapristi (franc.) — przekleństwo: do diabła, do licha!

str. 451

Tace (łac.) — milcz.

Ergo tace (łac.) — Więc milcz.

## SPIS ROZDZIAŁÓW

<i>Przedmowa</i> . . . . .	5
<b>CZĘŚC PIERWSZA</b>	
Studenci z Olaszrösške . . . . .	17
Baron Döry i jego rodzina . . . . .	32
Stary świat . . . . .	45
Jakie może być życie pozagrobowe? . . . . .	70
Amator zagadek . . . . .	92
Trzecia córka . . . . .	108
Gdy okręciki płyną z prądem i pod prąd... . . . .	127
Czerwona różna, biała róża . . . . .	140
Wielmożna pani w stroju galowym . . . . .	148
Imć pan Tóth plotkuje . . . . .	163
Dziwne zwiastuny . . . . .	173
Dramat w Olaszrösške . . . . .	182
Józsi Vidonka . . . . .	199
Sytuacja się komplikuje . . . . .	209
<b>CZĘŚC DRUGA</b>	
Wielka bieda małą leczy . . . . .	217
Brachium . . . . .	227
Znakomity profesor Kövy i adwokat Pereviczky . . . . .	242
Przygotowania do walki . . . . .	253
Zjawia się ojczulek Krok . . . . .	263
Ubranie Gribyego . . . . .	274
Wesele w „Gryfie” . . . . .	281
Ojczulek Krok kombinuje . . . . .	290
Prawdziwa krówka . . . . .	299
Niewidzialne ręce . . . . .	313
Dwa piękne obrazy . . . . .	324
Gorączkowe dni w Egerze . . . . .	332
Rozprawa przed konsystorzem . . . . .	343

Głupi kawałek ołowiu . . . . .	356
Honorowy świadek . . . . .	365
Sentencja wyroku . . . . .	375
Pączki pod śniegiem . . . . .	382
Blask cesarsko-królewski . . . . .	394
„Nie czekaj mnie już, moja gofąbeczko” . . . . .	404
Przezacny arcybiskup Pyrker . . . . .	410
Kareta jedzie bez celu . . . . .	418
Rozdmuchany żar . . . . .	424
Nieoczekiwane zdarzenie . . . . .	435
Ostatnie ceremonie . . . . .	442
Tace! . . . . .	450
<i>Przypisy</i> . . . . .	453

12. VII. 69.



CZYTELNIK

*Przekłady z literatury  
węgierskiej do nabycia  
w księgarniach:*

Sándor Gergely  
PO GRUDZIE  
Przełożył Tadeusz Olszański  
s. 480                      zł 34,—

Gyula Illyés  
OBIAD W PAŁACU  
Przełożyła  
Ella Maria Sperlingowa  
s. 128                      zł 10,—

Magda Szabó  
FRESK  
Przełożył Jan Ślaski  
s. 216                      zł 15,—

Magda Szabó  
SARENKA  
Przełożył  
Andrzej Sieroszewski  
s. 176                      zł 15,—

Cena zł ████ 25,—



